

ROK X.

K W A R T A Ł IV.

Miesiące:

Kwiecień, Maj, Czerwiec.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IV.

	str.
Obecne prześladowanie religii katolickiej w Prusach . . .	3, 163, 331
VI Pieśń Iliady przełożył wierszem Dr. Paweł Popiel . . .	79
O Kobiernictwie, Arassy i kobierce, Zygmunta Augusta. przez L. Siemieńskiego	79
Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem o ko- ronę czeską, przez Juliana Sutowicza	413
List z Wielkopolski, przez Epsylona	124, 287, 441
Z Rzymu, przez Józefa Popiela.	447
Przegląd literacki, przez Stan. Tarnowskiego, L. Powidaja i L...o	129, 294, 468
Przegląd polityczny, Ignacego Skrochowskiego .	152, 218, 485
Przegląd ekonomiczny, przez Alfreda Szczepańskiego	324, 474

THE END

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PRZEGLĄD P O L S K I.

ROK X.

Zeszyt X. Miesiąc Kwiecień 1876.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr. Ign. Skrochowski.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni „CZASU“
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.
1876.

OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH.

Przyczyny prześladowania.

Wszyscy, katolicy i akatolicy, swoi i zagraniczni, którzy nie są w tajemniczeni w kręte ścieżki polityki pruskiej, zadawali i zadają sobie do dziś dnia pytania: co mogło wywołać tak nagle, tak niespodziane prześladowanie religii katolickiej, którą jedna trzecia ludności całych Prus wyznaje? Jakież zbrodni stanu, jakież winy dopuścili się katolicy względem Prus? Czyż katolicy niemieckiej narodowości, wierząc jeszcze wówczas w słuszność wojny podjętej, nie szli do boju z tem samem uniesieniem patryotycznym przeciw Francyi, jakie ożywiało ludzi wszystkich innych wyznań? Nie złożyłaż katolicka Kolonia więcej ofiar dobrowolnych dla armii, niż wszystkie inne miasta protestanckie chociaż liczniejsze? Czyż oddziały katolickie dopuściły się jakiej zdrady na Prusach? Czyż ich kapłani, zakonnicy i zakonnice nie oddały w czasie kampanii znakomitych usług armii pruskiej resp. niemieckiej w pielęgnowaniu chorych i rannych tak protestantów jak katolików? Iluż z nich zostało ozdobionych krzyżami, orderami i różnemi upominkami, z któremi w rok potem zagranicę kraju wy-

rzuceni zostali? To zadziwienie, te pytania najoczywistszym są dowodem, że nikt zapewnianiom i zaręczaniom rządu nie wierzył aby podawane przezeń przyczyny i powody do rozpoczętego prześladowania były niemi rzeczywiście. Rosyjskie prześladowanie, które jeszcze trwało i trwa, miało przynajmniej jakkolwiek pozór w nieszczęsnem powstaniu r. 1863, w które, niestety, znaczna część duchowieństwa się wplątała. Łatwy przeto przeskok i pozór logiczny, że, ponieważ niektórzy duchowni katoliccy mieli udział w powstaniu, kościół katolicki przeto odpowiadać powinien. Ale w Prusach najmniejszego nawet pozoru nie było.

W najdrażliwszym zatem punkcie monarchii pruskiej nie było w chwili, kiedy prześladowanie rozpoczęło, pozornego nawet powodu do niego. W katolikach zaś niemieckiego pochodzenia, a mianowicie w episkopacie katolickim Prus znalazł rząd przy wszystkich wstrząśnieniach politycznych, a mianowicie w r. 1848 najpewniejszą i najstateczniejszą podporę. Dość wspomnieć ś. p. kardynała Diepenbrocka i Ks. Kettelera, ówczesnego posła Frankfurtskiego, a dzisiejszego biskupa Moguncy i generała Radowitza. Duchowieństwo np. Szląskie było tak patriotycznie dla Prus usposobione, iż je w innych diecezjach nazywano raczej pruskiem, aniżeli katolickiem. Słuszniej możnaby katolikom niemieckiego pochodzenia odwrotny zrobić zarzut, że rządowi protestanckiemu, który kościołowi katolickiemu nigdy szczerze nie sprzyjał, zbyt cznie zaufali. Z kądże tedy i tu przyczyna do takiego prześladowania religii katolickiej? Czyż usposobienie ludności katolickiej tak korzystne dla rządu pruskiego mogło się jednej nocy zmienić? Czyż jest podobieństwem, aby z gorących patriotów, jakimi się okazali w czasie boju, mogli się bez żadnego powodu przeistoczyć w nieprzyjaciół ojczyzny, za którą co dopiero krew przelewali?

Od czasu popełnionych gwałtów na arcybiskupach Gnieźnieńskim i Poznańskim, Duninie, tudzież Kolońskim, Droste Vischering, zaczął się za rządów Fryderyka Wilhelma IV dla Katolików nie tylko stan znośny, ale nawet od r. 1848 pod wielu względami pomyślniejszy, niż w niektórych krajach katolickich. Z konstytucją z r. 1850 odzyskał kościół swobody jakich dawno nie używał. Ustanowienie wydziału katolickiego

w ministerstwie spraw duchownych i szkolnych, który miał zadanie ministra o sprawach katolickich oświecać, jeśli niczem więcej to przynajmniej dowodem pewnej wyrozumiałości dla katolików. Instytucja ta dawała im pewne zaspokojenie, że sprawy katolickie przedstawia ministrowi katolik, który je rozumie. Zniesione już dziś §§. 15, 16 i 18 wzmiankowanej wyżej konstytucji dawały w prawdzie dość obszerną kościołowi swobodę tak w zarządzie spraw duchownych jak majątkowych, ale istotną wartość tej niezawisłości przeceniano i przesadzano pochwałami w kraju i zagranicą. Pomijano bowiem przy tem tę nader ważną okoliczność, że wykonawcą i nader baczny stróżem tych praw była biurokracja wyłącznie prawie protestancka, która w każdym przypadku, w każdym kroku, o ile i jak mogła, skąpiła kościołowi przynależnego mu wymiaru słuszności i sprawiedliwości. Co mu się należało odebrać pełną garścią, dostawał szczyptą. Ztąd poszło, że chociaż w innych krajach prawodawstwo nie było tak pomyślne jak w Prusach, stan jednak rzeczywisty był lepszy, bo wykonanie było sprawiedliwsze. Predykanci protestancy, a mianowicie superintendenci i inni wyżsi urzędnicy kościelni zawistnem i zazdrosem spoglądali okiem na pomyślny rozwój kościoła katolickiego ubolewając, że sami wpleceni w organizm państwa i pozbawieni wszelkiej niezawisłości nie mogli w tej mierze katolikom sprostać. Uskarżali się przeto pokątnie, że rząd obchodzi się z biskupami katolickimi (Fabri. Kirche und Staat str. 56.) jak z książętami udzielnymi, a reprezentantów ich kościoła za nic sobie uważa. Wymawiano często płacone biskupom katolickim kompetencye, jak gdyby je rząd z publicznego skarbu wypłacał i nie dawał tylko okrucichów z tego, co zabrał. Niewątpliwą przeto jest rzeczą, że kościół katolicki w Prusach obszerniejszej używał swobody na papierze, niż w rzeczywistości.

Mimo tych rozlicznych niedostatków, które nie zawsze były zgodne z intencjami rządu, i na karb osobistej nieprzychylności urzędników policzone być mogą, czuł się kościół katolicki w Prusach dość swobodnym, a Prusy zjednały sobie u katolików, a szczególnie w Rzymie reputacją sprawiedliwości i wyrozumiałości dla religii katolickiej. Szczególnie katolicy mieszkający w małych księstwach (Nassau) cieszyli się

że się wydarli z szponów tych drobnych tyranów i dostaną się pod opiekę prawa. Do jakiego stopnia pozyskały sobie Prusy zaufanie katolików, najwydatniejszym jest do tego ta okoliczność dowodem, że w chwili, kiedy się sejm Bawarski wahał, iść z Prusakami na Francją, Piotr Reichensperger, jeden z najdawniejszych i najznakomitszych przywódców katolickich Izby poselskiej pruskiej, skłaniał katolików bawarskich niedowierzających Prusakom do złożenia wszelkich wątpliwości i łączenia się z nimi. Trudno o wyraźniejszy i oczywistszy dowód szczerego zaufania katolików do rządu pruskiego nad powyższy, Katolicy niemieckiego pochodzenia nie znali ducha rządu pruskiego tak, jak my i często wątpili o słuszności zażaleń naszych posłów. Nie przypuszczali, aby łagodniejsze obchodzenie się z katolikami nadreńskimi było tylko skutkiem bliskości granicy francuskiej. Dla tego rozczarowanie ich jest tem okropniejsze, doznany, a niespodziewany zawód tem dotkliwszy. Nie tają się także z tem wcale, że ich ostatnie wypadki z tego błęgiego zaufania do rządu pruskiego gruntownie wyleczyły. „Błędem było z naszej strony, mówi biskup Moguncki Keteler na wstępie jednego z pism swoich, żeśmy się spuszczaeli na trwałość konstytucyi, na prawa, które nam niewątpliwie przyznaje! błędem było z naszej strony, żeśmy ufali, iż w Prusach silniejszą będzie sprawiedliwość, aniżeli potęga przesądów przeciw nam katolikom panujących i moc namiętności stronnictw; doznaliśmy zawodu. Są to błędy, których się wstydzicie nie potrzebujemy.“ Król Wilhelm, którego rządów obawiali się katolicy z powodu że należy do sekty masonskiej, nie naruszył w pierwszych latach panowania swego praw przyznanych kościołowi katolickiemu, chociaż mu żadnej jak poprzednik jego przychylności nie okazywał. Stosunki rządu pruskiego z Stolicą Apostolską tak były wówczas dobre, że tenże król w czasie swej koronacyi w Królewcu, i jeszcze później przy odebraniu przysięgi od kardynała Arcybiskupa Ledóchowskiego i Melchersa, Arcybiskupa Kolońskiego (w Kwietniu 1866) mógł powiedzieć: „Stan kościoła katolickiego jest w mojem państwie tak dobrze uregulowany, iż mi to nawet głowa kościoła przyznała.“ Bismark sam, co z pewnego mamy źródła, starał się wówczas z powodów dziś już nie tajnych tak o pozyskanie nowego jak utrzymanie zdobytego już zaufania

katolików i w tej myśli usiłował wakujące biskupstwa jak najprzyjemniejszymi Stolicy Apostolskiej osobami czyli mówiąc dzisiejszym językiem, najczystsze „ultramontanami“ poobsadzać. Dowodzi tego wybór Arcybiskupa Ledóchowskiego na katedrę Gnieźnieńską i Poznańską, a Melchersa na Kolońską. Trudno bowiem o duchownego, któryby więcej mógł być „ultramontańskim“ papieskim, niż nuncyusz, który osobę samego Papieża reprezentuje, a o takiego prosił rząd pruski Ojca św. Nie napróżno tedy powiedział w ówczas Marchijski Tygodnik kościelny w Berlinie (Märkisches Kirchenblatt), że Bismark o lepszych stara się biskupów dla Kościoła katolickiego, niż niektóre Kapituły.

Te przyjazne stosunki pomiędzy rządem pruskim a kościołem katolickim, trwały, jak się zdaje, *przynajmniej na zewnątrz*, krótką jeszcze chwilę po ogłoszeniu cesarstwa niemieckiego w Wersalu, chociaż zaraz po wojnie austriackiej odzywały się tu i owdzie ze strony protestantów nieprzychylne Kościołowi katolickiemu głosy. W królu przynajmniej nie można w tym czasie żadnej jeszcze dopatrzeć zmiany, chyba, że równie jak książę Bismark zamiary swoje ukryć umiał. Odpowiedź bowiem, jaką wówczas dał cesarz Wilhelm kawalerom maltańskim prowincyi Nadreńskiej i Westfalii na adres mu podany „że zabór Rzymu przez Włochów uważa za akt gwałtu i zuchwalstwa, że po ukończeniu wojny nie omieszka wspólnie z innymi książętami wziąć tej sprawy pod rozagę“ dowodzi, że wówczas nie miał jeszcze cesarz zamiaru prześladowania Kościoła katolickiego albo usiłował go w tajemnicy zachować. Książę Bismark zaś musiał już wtenczas być zupełnie zdecydowany do rozpoczęcia tej nowej kampanii przeciw Kościołowi katolickiemu, gdyż nikomu nie tajno, że sam był intelektualnym sprawcą zaboru Rzymu. Sprowadzenie do Wersalu Kardynała Ledóchowskiego w widokach wyjednania pomocy dla uciśnionego Ojca ś. było bardzo zręcznem zamaskowaniem swych planów w obec katolików. Gdyż, chociaż do dziś dnia nie jest wiadoma treść rozmowy Kardynała Ledóchowskiego z cesarzem Wilhelmem, osoby bowiem wtajemniczone umiały nieprzyjaciółom nawet dochować dyskrety, sam fakt jednakże pozwolenia przybycia z prośbą tego rodzaju do Wersalu i uprzejmego przyjęcia Kardynała wśród ówczesnych okoliczności jest naj-

wymowniejszym dowodem, że cesarz albo jeszcze nie myślał o prześladowaniu religii katolickiej, albo zamiar swój podobnie jak książę Bismark starannie ukrył, aby katolików w ich dotychczasowem zaufaniu do jego sprawiedliwości, a nawet pewnej przychylności dla kościoła katolickiego utrzymać i ubezpieczyć. Innej alternatywy w tym przypadku nie masz. Rola ta jest bardzo podobna do owej, jaką Prusy względem Polski w czasie drugiego rozbioru odegrały. Jak wówczas na Polskę, tak teraz na katolików miał ten grom spaść całkiem niespodzianie, aby ich szyki pomieszać. Gdyby katolicy nie byli właśnie katolikami, gdyby nie mieli nieomylnego prawidła postępowania, byłaby bez wątpienia taka nagła, niespodziana i zręcznie wykonana napaść mogła ich szyki była pomieszać. Ale ponieważ sumienie katolickie nigdy nie jest bez pewnego i nieomylnego przewodnika, przeto manewr ten, jakkolwiek znienacka wykonany, zastał jednak katolików przygotowanych. Takiemi podstępami łatwiej było rozbić pułki austriackie lub francuskie, tudzież stronnictwa polityczne, które na komendę nazywały czarnem, co całe życie uważały za białe, aniżeli przeświadczenie religijne katolików. O opokę wiary rozbija się mądrość mądrych i roztropność roztropnych.

Cóż tedy mogło być tej nagłej zmiany pruskiej polityki względem Kościoła katolickiego przyczyną? Czyż to było li tylko konsekwencyą przyjętych już przed rokiem 1866 a przeprowadzonych w tymże roku zasad rewolucyjnych, które w sobie zawierają nieubłaganą logikę następstw? Czy to owoc pychy i nienasyconej żądzы panowania, która nadspodziewanem powodzeniem olśniona ani nad sobą ani obok siebie nie niezawisłego ścierpieć nie chciała mówiąc: *quis noster dominus est*? Czy to zabobonny przesąd, który opanował i rozgorączkował umysły do tego stopnia, iż cieszyć się zdają, jakoby Prusy, które z świętokradztwa wiodą swój początek, miały jakąś misyą historyczną, jakieś przeznaczenie odpowiednie początkowi swemu dopełnienia rozpoczętego dzieła przez Lutra i zburzenia Kościoła katolickiego? Szereg tych pytań możnaby o wiele przedłużyć, ale czyżby rzecz wyjaśniły? Któż dziś jest w stanie te tajne sprężyny i plany odsłonić i światu wyjawić? Wszakżeż najznakomitsi dyplomaci pruscy jak np. hr. H. Arnim nie zawsze przewodniczącą myśl polityki kanclerza odgadnąć zdo-

łali. Dokładniejsze zatem wyjaśnienie tej tajemnicy należy do przyszłości. Dziś możemy ją tylko z faktów, na które patrzymy, z słów umyślnie lub nieumyślnie wypowiedzianych i rozmaitych skazówek odgadywać. Aby się w tej mierze jakośkolwiek zorientować i jeżeli nie więcej, to przynajmniej do prawdy zbliżyć, roztrząsujmy najpierw te przyczyny, które sprawcy prześladowania podają, a w które sami nie wierzą. Usunąwszy na bok to, co nie było i nie jest rzeczywistą przyczyną tej ciężkiej krzywdy Kościołowi katolickiemu wyrządzonej i ciągle wyrządzanej, łatwiej dojdziemy do tego, co nią było w istocie. Wszystkich przyczyn, jakie poplecznicy tego systemu umiejętnego barbarzyństwa w jego obronie przytaczają, powtarzać nie myślimy, bo nie zasługują na uwagę i zbyt wyraźne piętno oczywistego kłamstwa na sobie noszą. Przyjdzie nam jednak tu i owdzie o nie potrącić. Ograniczymy się przeto tylko na te, któremi osoby rządowe, organa urzędowe i półurzędowe, a nadto posłowie należący do większości prześladowczej swoje okrutne postępowanie względem Kościoła katolickiego usprawiedliwić usiłowali. Wszystkie te w różnych tonach powtarzane argumenta przeciw Kościołowi katolickiemu redukują się ostatecznie na trzy główne, na których się opierano dotychczas.

1. Ogłoszenie dogmatu o nieomyślności głowy Kościoła, do czego zwykle przyczepiano encyklikę z dnia 8 Grudnia 1864 i Syllabus.

2. Oskarżano Kościół o zaczepkę, o napaść na prawa państwowe, na swobody ludowe i zdobycze nowoczesnej cywilizacji.

3. Utworzenie frakcyi parlamentarnej tak nazwanego „centrum“, co Bismark sam w właściwem wyrażeniu drastycznem nazwał „mobilizacyą przeciw państwu“.

Na pierwszy rzut oka przebija się w tych trzech argumentach prawda zawarta w bajce o wilku i baranku. Zaczniemy od pierwszego t. j. od dogmatu nieomyślności Papieża.

Ten przedmiot ważny i święty został przez opaczne, niedołężne, błędne i fałszywe przedstawienia tak zeszkaradzony, znieważony i sponiewierany, że go w krótkim czasie w najokropniejszą karykaturę zamieniono. Krom wiernych katolików, nikt się nie troszczył o istotną treść tej definicyi, o jej znaczenie, a każdy powołany czy niepowołany, wykształcony czy

prostack, protestant czy żyd, krzyczał z całego gardła w pis-mach publicznych, parlamentach, towarzystwach i miejscach publicznych na ubóstwienie człowieka, na zniewagę wyrządzoną rozumowi ludzkiemu, na niebezpieczeństwo zagrażające niepo-dległości państw, wolności ludów i t. d. i t. d. jak gdyby się już nad głowami wszystkich paliło — *Hannibal ante portas!* Czyż definicya ta zobowiązywała katolików i niewiernych do poddania się wyrzeczonej przez Kościół prawdzie? Nie. Czyż dekret ten postawił papieża na czele milionowej, niezwyczęzo-nej armii, któraby katolików, akatolików i niewiernych zmu-szać miała do wierzenia w tę prawdę objawioną? Nie. Naj-prostszy umysł wiedział, że mu ten dekret Watykański włosa z głowy nie strąci. Zkądże tedy ta wrzawa, ten popłoch szcze-gólnie w obozie akatolików i niewiernych? Cóż ich to obcho-dziło? Oczywiście, że do tego hałasu nie było najmniejszego rzeczywistego powodu, że zatem sztucznie musiał być wywo-łany. Spisek „umiejętności niemieckiej“ z dyplomacją pruską przeciw Kościołowi katolickiemu ukuty podniósł go. Z nim połączyły się inne jeszcze potęgi, o czem będzie mowa niżej.

Że tych potwornych opinij, jakimi płatna prasa i zacię-tość stronnictwa w parlamentach obalamowała i dotąd obalamu-ka publiczność, roztrząsać i zbijać nie będziemy, łatwo czytelnik wyrozumie. Tu bowiem nie piszemy rozprawy o tym wyłącznie przedmiocie. Ograniczymy się przeto na same urzędowe zdania i głosy, aby się przekonać, o ile dogmat ten mógł wpłynąć na postępowanie rządu pruskiego względem katolików, a o ile był tylko okolicznością w porę mu podaną do uciemienia Kościoła katolickiego w państwie pruskiem. Jakie rządu z tego dogmatu wyciągał wnioski, najwyraźniej wypowiada to sam książę Bismark w depeszy z dnia 14 Maja 1872 odnoszącej się do przyszłego wyboru Papieża. Pomiędzy innemi mówi w tej depeszy: „Uchwały te (soboru Watykańskiego) posta-wiły Papieża w możności wzięcia w ręce swoje praw biskupich każdej dyecezyi i substytuowania władzy papieskiej w miejsce władzy biskupów *krajowych*.“ „Jurysdykcya biskupia pochło-niętą została przez papieską.“ „Papież nie wykonywa już teraz, jak dotąd, pewnych pojedynczych praw rezerwowanych, ale prawa biskupie spoczywają w całej pełni w jego ręku;“ „w za-sadzie zajął on miejsce każdego pojedynczego biskupa,“ „i w za-

sadzie od niego jedynie zawisło, w praktyce każdej chwili stanąć w obec rządów w jego miejscu.“ „Biskupi zostali jeszcze jego tylko narzędziami, urzędnikami bez własnej odpowiedzialności;“ w obec rządów stali się urzędnikami obcego monarchy, „i wprowadzie monarchy, który w moc swej nieomylności jest absolutnym zupełnie, więcej niż którykolwiek absolutny monarcha na świecie.“

W tym samym dniu, w którym książę Bismark tę depeszę podpisał, t. j. 14 Maja 1872, bronił usilnie w parlamencie niemieckim praw Papieża wśród dyskusyi nad budżetem, a w szczególności nad pozycją wydatku na utrzymanie poselstwa przy Stolicy Apostolskiej, bez najmniejszej wzmianki o tem, że uchwały soboru Watykańskiego stosunek Papieża do rządów zmieniły. Liberalne bowiem stronnictwo na wniosek posła Loewe dopominało się wymazania tejże pozycji z budżetu z powodu, że Papież przestał już być monarchą, poselstwo zatem zbyteczne. Uzasadniając książę Bismark swoje żądanie, do którego się ostatecznie przychylnono, powiedział te słowa: „Nie masz żadnego zagranicznego monarchy, któryby — jak Papież był powołany do wykonywania w Niemczech *na mocy naszego prawodawstwa* tak obszernych praw, które się nieledwie równają prawom panującego, a żadną konstytucyjną odpowiedzialnością nie są zabezpieczone.“ Przy tej obronie praw Papieżowi przysługujących oddawał Papieżowi kilkakrotnie tytuł: „Jego Świątobliwość,“ co u protestantów nie jest wogóle zwyczajem.

Kilka miesięcy zaś poprzednio t. j. 30 Stycznia 1872 r. kiedy już prawo Lutra o strzeżeniu przez policją ambony było wyszło, a rozprawy nad prawem o dozorze nad szkołami elementarnymi w zacięty sposób się toczyły, oświadczył książę Bismark w Izbie poselskiej pruskiej: „Rząd pruski dalekim jest od rozpoczynania sporów dogmatycznych o zmiany lub deklaracje dogmatów Kościoła katolickiego i każdy dogmat, który tyle i tyle współobywateli kraju wyznaje, powinien być ziomkom i rządowi świętym.“ Że tu książę Bismark miał na myśli dekret o nieomylności Papieża, nie ulega najmniejszej wątpliwości, gdyż na te słowa odwoływali się w tem znaczeniu kilkakrotnie posłowie, a mianowicie członkowie Centrum, a nigdy im nie oświadczone, że słowa te mylnie zrozumieli.

W którymże tedy razie wypowiedział kanclerz istotne zapatrywanie się rządu na ten przedmiot? W depeszy z 14 Maja czy w przemówieniu parlamentarnem tegoż samego dnia i 30 Stycznia? Czy w tych kilku godzinach, które mogły upłynąć pomiędzy wyprawianiem tej depeszy, a przemówieniem zaszła taka wielka zmiana w przekonaniu jego politycznem, zmiana tak wielkiej doniosłości? A jeśli tak, czemuż wszystkie czyny rządu w tej chwili i później dokonywane odpowiadają ściśle zasadom wypowiedzianym tajnie w depeszy, nie zaś głośnym jawnie w parlamencie i nie zdradzają najmniejszego wahania się rządu, najłżejszej niepewności w postępowaniu przeciw Kościołowi? Czyliż rząd, jeśli w jakim notorycznym wypadku istotne widzi niebezpieczeństwo dla kraju, w ten sposób z jego reprezentantami postępuje? Dla czego ta dwulicowość wówczas była jeszcze potrzebną, zbyt jest jasną, abym ją tłumaczył. Ale tyle przynajmniej jest niewątpliwie pewno, że rząd pruski wtenczas już ani się tych konsekwencji z ogłoszenia dogmatu nieomyślności Papieża obawiał ani z powodu tej obawy usta duchownym na ambonie krępował i opiekę nad uczącą się dźwiatwą odjął. Chciał tylko wypadek ten na szkołę Kościoła katolickiego, a na wzrost swojej potęgi jak najobszerniej wyzyskać.

W rzeczy samej nie było także dla żadnego rządu, a tem samem i dla pruskiego najmniejszego powodu do jakichkolwiek obaw. Udawał rząd pruski, że się obawia jakiegoś potworu hierarchicznej potęgi, który wraz z doktrynerami Monachijskimi sam wymarzył i tem mamidłem protestantów straszył i tlejącą jak w zarzewiu nienawiść ich do kościoła katolickiego rozniecał, aby tę pieniędzmi wywołaną i rozjątrzoną opinią w czasie dogodnym stawić na świadka przeciw Kościołowi. Czyż inaczej robili Faryzeusze z Zbawicielem naszym? „*Szukali przeciw Jezusowi świadectwa, aby go na śmierć zdali, a nie znaleźli. Albowiem wiele ich przeciw jemu fałszywie świadczyli: lecz świadectwa ich zgodne nie były.* (Ś. Marek. 14. 55-56.) A tu były i są świadectwa zgodne? Jedni obwiniali Papieża, drudzy Jezuitów, inni biskupów całego synodu, inni znowu biskupów znajdujących się w opozycji o nieuctwo, brak umiejętności całego synodu! brak niezawisłości i tak bez końca. W jednym tylko wszyscy i świadkowie i sędziowie byli

zgodni t. j. w nienawiści do Kościoła katolickiego. Tak samo było w Jerozolimie. Przekupieni świadkowie nie chcieli zeznać, a sędziowie nie chcieli wiedzieć prawdy. Co Pan Jezus odpowiedział Najwyższemu kapłanowi: „*Jam jawnie mówił światu: jam zawsze uczył w bóżnicy i w kościele, gdzie się wszyscy Żydowie schadzają; a w skrytości nicem nie mówił,*“ (Ś. Jan. 18. 20) to samo na synodzie Watykańskim uczynił Kościół. Synod „*jawnie mówił światu,*“ nie taił nigdy i nie tai swej nauki podobnie jak masoni. Potrzebaż tedy było przekupionych i fałszywych świadków, aby się o zupełnej prawdzie dowiedzieć i przekonać? Czyż rząd pruski, który tylu milionami katolików rządzi, nie wiedział o tem, iż katolicy wierzą w Kościół, którego fundamenta i cała budowa ręką samego Zbawiciela są założone i wystawione, że zatem najmniejszy kamyczek z tej budowy nie może być naruszony ani wyjęty ani odrzucony? Można ten gmach ozdabiać, upiększać, jego pojedyncze części wydoskonalać i uwydatniać, ale nigdy nie zmieniać w najmniejszej nawet odrobinie, bo wszystko jest w nim instytucją Boską. Taka w tym punkcie jest wiara katolików. Jeśli tedy rząd nie miał w tej mierze zupełnej wiadomości, a chciał istotnie prawdy dociec, czemuż jej nie zaczerpnął z źródła czystego, niewątpliwego, od biskupów, od Stolicy Apostolskiej, zamiast szukać i słuchać świadków fałszywych; odstępców od Kościoła? Jakże od tych, którzy porzucili Kościół, można się prawdy o Kościele dowiedzieć? Kiedy rząd regulował synagogi żydowskie, czyż zasięgał wiadomości o ich organizacyi od przechrztów.

Sobór Watykański nie nowego katolikom do wierzenia nie podał nad to, w co już oddawna wierzyli. Tak samo jak pierwszy sobór Nicejski, deklarując dogmat o bóstwie Syna Bożego przeciw Aryuszowi, nie utworzył nowego artykułu wiary, ale to, w co od początku wierzone, objaśnioną prawdę określił ściśle i od fałszywego zrozumienia na przyszłość zabezpieczył. Sobór Watykański nie zrobił Papieża nieomylnym, który nim był tak przed soborem jak po soborze. Dar nieomylności w rzeczach nauki wiary i obyczajów zlał na głowę Kościoła swojego w osobie Piotra św. sam Zbawiciel świata, nie zaś sobór. Podobnie władzę rządzenia nie tylko „pojedynczemi dyecezyami“ jak się Bismarkowska depesza wyraża, ale

całym Kościołem udarował Papieża nie sobór, ale Chrystus Pan. Tę prawdę tedy objawioną, którą garstka pisarzy Gallikańskich, Jansenistowskich i Febroniańskich zaprzeczała, sobór Watykański ściśle określił czyli zdefiniował i wątpliwości wierznych błędną wywołane nauką uchylił. Sobór przeto Watykański nie pomnożył, nie powiększył w niczem ani o włos władzy papieża, jaką miał od chwili założenia Kościoła Bożego. Śmieszkiem tedy jest twierdzenie księcia Bismarka wypowiedziane w depeszy wyżej przytoczonej, jakoby dekreta tego soboru podniosły władzę Papieża „do więcej absolutnej, niż któregośkolwiek monarchy na świecie.“ Sobór bowiem nie mógł Papieżowi dać tego, czego sam nie ma. Wszystkie zatem definicje i deklaracje Papieża w rzeczach wiary i obyczajów *ex Cathedra* t. j. z powołania, z urzędu Namiestnictwa Chrystusowego wadane, jak n. p. bulle „Unam Sanctam“ Autorem Fidei „Unigenitus“ nie stały się wyrokami nieomylnymi dopiero przez dekret soboru Watykańskiego, ale były niemi od wieków, od chwili ich ogłoszenia. Uchwała nic im z ich mocy zobowiązującej nie dodała ani nie ujęła. Sobór Watykański uczynił w przedmiocie orzeczenia nieomyślności Papieża to tylko co wszystkie inne sobory w innych przedmiotach wiary, jak n. p. bóstwa Chrystusowego, połączenia w boskiej Jego osobie natury boskiej i ludzkiej i t. p. ale nie więcej.

Definicja przeto soboru Watykańskiego żadnej nie spowodowała w nauce Kościoła zmiany, chyba dla tych, którzy tej nauki nie uznawali albo o niej wątpili. Dla wszystkich zaś wiernych, gdyż nieuznających tej prawdy jest nader mała tylko garstka, najmniejsza nie zaszła zmiana. O nowość obwiniali tylko odstępcy i nieprzyjaciele Kościoła sobór Watykański i wyciągali z niej niedorzeczne i dla rządów groźne niby wnioski. Kto twierdzi, ten ma obowiązek dowieść prawdziwości twierdzenia. Dowodzić negacyi trudno, niepodobna. Aby tedy te fałszywe lub błędne twierdzenia nie samem tylko zaprzeczeniem zbić, przedstawimy w jak najkrótszych wyrazach prawdę samą, a ta najskuteczniej błędy i fałsze rozproszy.

Cóż po przewodniku, który sam nie zna drogi? Cóż po religii, po kościele, któremu człowiek jedyne, najzacniejsze, najszlachetniejsze, co ma i czem jest, t. j. duszę swoją powierza, jeśli tenże nie jest w stanie pewną, nieomylną drogą

prowadzić go do ostatecznego przeznaczenia jego, czyli jeśli nie jest nieomylnym? Chrystus Pan nie pozostawił swoich wyznawców w takiej niepewności, któraby całe jego dzieło boskie w krótkim czasie zrównować była musiała. Katolicy przeto od samych zawiązków Kościoła wierzyli statecznie w jego nieomylność. Każde dziecko, które zna katechizm, wie o tem. Kościół zatem jest ustanowionym przez samego Zbawiciela świata żywym i nieustannym *świadkiem, sędzią* czyli *stróżem i nauczycielem* boskiej Jego nauki i jej czystości.

Cóż tedy w tym dekrete Watykańskim nowego, niezwykłego, co niektórych polityków w taką niespokojność wprawiło? Przedstawmy w krótkich słowach jego osnowy. Konstytucya ta składa się z czterech rozdziałów.

Rozdział pierwszy mówi o ustanowieniu Apostolskiego Prymatu w osobie ś. Piotra. Wykazuje w nim, że Zbawiciel świata ustanowił w osobie Piotra ś. głowę Kościoła i złął zarazem na niego bezpośrednio nie tylko Prymat czyli zwierzchnictwo honorowe, ale nadto i jurysdykcyjne. Jest tu tylko mowa o władzy duchownej.

Drugi rozdział orzeka, że to zwierzchnictwo zlane na Piotra św. trwa ciągle; raz, że Piotr ś. ma nieprzerwany szereg następców, powtóre, że w tym Prymacie czyli zwierzchnictwie papież jest następcą i spadkobiercą Piotra św.

Trzeci rozdział orzeka, że jurysdykcya papieża jest zupełna i najwyższa tak w przedmiocie nauki wiary i obyczajów, jak dyscypliny i rządów Kościoła; nadto że jurysdykcya ta jest zwyczajną, bezpośrednią i rozciąga się na wszystkie Kościoły i osoby.

Czwarty rozdział mówi o nieomylności nauczycielstwa (magisterium) czyli o najwyższej powadze nauczycielskiej papieża. Rozdział ten orzeka, że w tej mierze Zbawiciel świata udarował Piotra św. nadprzyrodzoną pomocą, a w jego osobie wszystkich jego następców, aby urząd swój skutecznie wykonywać mogli. W końcu dodaje, że nauka ta od początku Chrześcijaństwa nieprzerwanem podaniem przekazana została.

Nadto sobór ten dodaje, że papież wtenczas tylko, kiedy *ex cathedra* t. j. z powołania jako najwyższy nauczyciel Kościoła naucza, ma nadprzyrodzoną pomoc boską, która go od błędu chroni.

Papież przemawia *ex cathedra*, kiedy w przemówieniu jego znajdują się następujące warunki: 1) kiedy przemawia jako najwyższy nauczyciel, 2) do całego Kościoła, 3) w celu orzeczenia pewnej nauki, 4) którą cały kościół przyjąć powinien i 5) która się odnosi do nauki wiary i obyczajów.

To jest cała treść tego dekretu. Przedmiotem jego nieomyłności jest tylko prawda objawiona. Wszystko zatem, co leży po za obrębem prawd objawionych, nie jest wcale materią, przedmiotem jego dekretów nieomylnych. Akty jego wszelkie odnoszące się do rządów Kościoła, rozporządzenia i t. p. które wprowadzie podwładnych zobowiązują, nie są przedmiotem nieomyłności. Śmiesznem przeto jest, kiedy nieprzyjaciele Kościoła nie mający wyobrażenia o rzeczy, w celu ohydzenia jego nauki przytaczają na dowód, że papież jednak często się mylił, Brewe „*Dominus ac Redemptor*,” którem wyrzekł kasatę Towarzystwa Jezusowego, a jeden z następców znowu je przywrócił. Papieże bowiem nie tylko zmieniają swoje rozporządzenia i przepisy, ale często mają nawet obowiązek je zmieniać. Co przed 300 lub tysiącem lat było dla Kościoła pożytecznem, zbawiennem, dziś mogło się stać albo niepotrzebnem albo nawet szkodliwem. Duch Boży Kościołem kierujący działa przez ludzi dla ludzi, a ci podlegają zmianie, miejscowości i czasowi. W Kościele przenikają się dwa elementa nawzajem, boski i ludzki. Pierwszy niezmienny, zawsze ten sam, prawdy objawione, ostatni ulega zmianie, jak wszystko stworzenie.

Cała treść dekretu watykańskiego dowodzi najoczywściej, że tenże sobór nie dodał ani nie ujął nic władzy papieżkiej, ale dał tylko świadectwo prawdzie objawionej, która żyła w kościele od chwili jego założenia. O stosunku zaś Kościoła a w szczególności Stolicy Apostolskiej do państwa, do rządów, wzmianki nawet nie ma. Tym przedmiotem sobór wcale się nie zajmował, pozostał zatem stosunek taki, jaki był dotąd. Jedyna tylko wzmianka o władzy świeckiej jest w następującym związku. Paragraf czwarty powiada, że wykonywanie najwyższej władzy duchownej jest niezawisłem od żadnej ludzkiej potęgi, tudzież, że żadna część Kościoła nie może się od niego uchylić; nadto, że wszelkie akty papieskiej władzy duchownej same z siebie są ważne i zupełne i do swej ważności nie potrzebują żadnego zatwierdzenia ani zezwolenia jakiegokolwiek-

bądź władzy. Lecz i ta prawda tak jest dawną, jak słowa Piotra św. wyrzeczone do przełożonych żydowskich, kiedy apostołom zakazywali ogłaszać słowo Boże: „*Jeśli jest sprawiedliwa przed oczyma Boskiemi was raczej niżli Boga słuchać, rozsądźcie.*“ (Dzieje Ap. 4. 19). Wnioski zatem, jakie politycy z tego dekretu watykańskiego wyciągać poczęli, a szczególnie książę Bismark w wspomnianej wyżej depeszy, nie miały żadnej w tym dekreście podstawy. Ściśle i trafnie wypowiedzieli tę prawdę biskupi niemieccy w odpowiedzi z stycznia i Lutego z. r. danej Bismarkowi na zarzuty w jego depeszy Kościółowi uczynione. Słowa tych biskupów mają tem większą wartość nie tylko z tego powodu, że jasno i ściśle rzecz określają, że wychodzą z ust tych właśnie biskupów, którzy na soborze do opozycji należeli, ale mianowicie z tego, że są zupełnie autentyczne, bo je Stolica Apostolska osobnem Brewem pochwaliła oświadczając, że wiernie w tym punkcie wypowiadają naukę Kościoła katolickiego. Z tego powodu przytaczamy odnoszące się do tego przedmiotu ustępy.

„Wszystkie te twierdzenia (wyżej z depeszy z dnia 14 maja 1872 przytoczone) nie są uzasadnione i znajdują się z dosłownem brzmieniem, z prawdziwem przez papieża, episkopat i uczonych katolickich wyjaśnionem zrozumieniem uchwał soboru watykańskiego w najzupełniejszej sprzeczności.“

„W rzeczy samej jest podług uchwał tegoż synodu kościelna władza jurysdykcyjna papieża *suprema, ordinaria et immediata*, przez Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, w osobie Piotra św. zlna na papieża, zwierzchnością najwyższą rozciągającą się na cały Kościół, a następnie na każdą pojedynczą dyecezyę i wszystkich wiernych w celu utrzymania jedności wiary, karności i rządów Kościoła, nie zaś upoważnieniem do wykonywania niektórych tylko praw rezerwowanych.“

„Lecz to nie jest wcale nauką nową, ale zawsze uznawaną prawdą wiary katolickiej i znaną zasadą prawa kanonicznego, nauką, którą sobór watykański przeciw Gallikanom, Jansenistom i Febronianom w związku z wyrokami poprzednich soborów na nowo deklarował i sam potwierdził. Podług tej nauki jest papież biskupem rzymskim, nie zaś biskupem jakiegokolwiek innego miasta lub dyecezyi, nie biskupem kołońskim, wrocławskim i t. d. Ale jako biskup rzymski jest

zarazem papieżem t. j. pasterzem i głową całego Kościoła, głową wszystkich biskupów i wszystkich wiernych i władza jego papieska nie odżywia się w pewnych tylko oznaczonych przypadkach wyjątkowych, ale wywiera bez ustanku wszędzie i zawsze swoje znaczenie, swoją moc. W tem stanowisku ma papież czuwać nad tem, aby każdy biskup w zupełności swoich powinności dopełniał, a gdyby biskup doznał jakiej w tej mierze przeszkody lub inna niezbędna okoliczność tego wymagała, natenczas ma papież prawo i obowiązek, nie w charakterze biskupa dyecezyalnego, ale z ramienia swego jako papież rozporządzić wszystko, czego zarząd dyecezyi wymaga. Wszystkie państwa Europejskie uznawały zawsze aż do obecnych czasów, że prawa te papieskie należały po wszystkie czasy do systemu Kościoła katolickiego i w układach swych z Stolicą Apostolską uważały piastuna ich za rzeczywistą głowę całego Kościoła katolickiego, tak biskupów jak wiernych, a nigdy za jakiegoś pełnomocnika do wykonywania praw wyjątkowych.“

„Dalej, uchwały soboru watykańskiego nie dają cienia nawet powodu do twierdzenia, jakoby papież przez ich ogłoszenie stał się absolutnym monarchą i do tego mocą swej nieomylności zupełnie absolutnym, więcej, niż którykolwiek absolutny monarcha na świecie.“

„Przedewszystkiem jest dziedzina, do której się kościelna władza papieża odnosi, w istocie swej różną od tej, która do najwyższej władzy świeckiego monarchy należy; katolicy także nigdy nie zaprzeczali, że panujący piastują najwyższe prawa w obrębie praw świeckich. Pomijając nawet tę okoliczność, nie można miana absolutnego monarchy przez sam wzgląd na sprawy kościelne wcale zastosować do papieża, który stoi pod prawem Bożem i jest związany danemi przez Chrystusa dla Kościoła ustawami. Papież nie może ustanowionej przez boskiego założyciela konstytucyi zmieniać, jak świecki prawodawca zmienia konstytucyą kraju. Konstytucya bowiem Kościoła spoczywa we wszystkich swoich istotnych częściach na ustanowieniu Bożem, a tem samem niedostępna dla wszelkiej dowolności ludzkiej. Na tem samem ustanowieniu boskiem, na którym się papiestwo opiera, spoczywa także episkopat: on ma także swoje prawa i powinności z mocy rozporządzenia boskiego, których zmienić nie ma papież ani prawa ani władzy.

Jest to przeto opaczne zupełnie zrozumieniem uchwał watykańskich twierdzić, jakoby na mocy tychże „biskupia jurysdykcya znikła w papieskiej“ a papież „zajął stolicę każdego pojedynczego biskupa“ biskupi zaś stali się tylko „narzędziami papieża, jego urzędnikami bez własnej odpowiedzialności.“ Podług nieprzerwanej nauki Kościoła katolickiego, jak to sobór watykański wyraźnie deklarował, nie są biskupi li tylko narzędziami papieża, jego urzędnikami bez własnej odpowiedzialności, „ale przez Ducha św. ustanowionymi w miejsce apostołów, aby jako prawdziwi pasterze paśli i zarządzili powierzone im trzody.“

„Jak przeto prymat dotychczas przez ośmnaście upłynionych wieków obok i po nad ustanowionym przez Chrystusa episkopatem na mocy postanowienia Bożego w organizmie Kościoła istniał i ku zbawieniu jego działał, tak samo pozostanie i nadal: tudzież, jak prawo papieża wykonywania kościelnej władzy rządzenia Kościołem na całym świecie katolickim nie sprawiło, że powaga biskupów stała się illuzoryjną, tak ponowna deklaracya dawnej nauki Kościoła o prymacie nie może dać powodu do tego rodzaju obawy na przyszłość. Notoryczną przecież jest rzeczą, że wszystkie dyecezye całego świata katolickiego w ten sam sposób rządzone są przez swoich biskupów po soborze watykańskim, jak przed soborem.“ . . .

„Mniemanie nareszcie, jakoby papież „mocą swej nieomyślności stał się zupełnie absolutnym monarchą,“ opiera się na zupełnie błędnem wyobrażeniu o dogmacie nieomyślności papieskiej. Jak sobór watykański w wyraźnych i jasnych słowach wypowiedział i natura rzeczy sama wskazuje, odnosi się ta nieomyślność li tylko do atrybucyi najwyższego nauczycielstwa papieża, a ten urząd nauczycielstwa obejmuje ściśle ten sam tylko przedmiot, który jest materją nieomyślności Kościoła w ogóle i jest przywiązany do treści pisma św. i podania, jak niemniej do zapadłych już wyroków Kościoła.“

Pomijam tu przemowę Ojca św. mianną w tej materji do Towarzystwa literackiego na dniu 20 lipca 1871, w której się użala na złośliwe fałszowanie dogmatu o nieomyślności, gdyż sądzę, że to, com przytoczył, wystarcza do wyjaśnienia rzeczy.

Co tedy sobór watykański orzekł, jest odwieczną nauką Kościoła katolickiego, która nigdy nie dała powodu do niepo-

kojenia rządów. Zkądże więc rząd pruski wytropił w niej tak groźne niebezpieczeństwo dla państwa, iż ztąd mniemał być w konieczności odpierania tego niebezpieczeństwa tak prześladowaniem katolików swego kraju, jak Kościoła w ogóle, o ile i gdzie go mógł osiągnąć, a mianowicie papieża. Żadne z państw europejskich nie jest tak stare jak ta właśnie nauka, wszystkie pod opieką lub obok tej nauki się rozwinęły i wzrosły, a żadnego z nich nie zrujnowała, zkądże naraz te obawy, wrzawy i prześladowania? Że rząd pruski przynajmniej mniemanych tych niebezpieczeństw się nie obawiał i z tej przyczyny kroków nieprzyjacielskich przeciw religii katolickiej nie rozpoczął, dowodzi tego już ta okoliczność, że co chwilę innemi powodami swoje postępowanie przeciw katolikom usprawiedliwiał. Raz miały być tego przyczyną dekreta soboru watykańskiego, niesłuchane wyniesienie władzy papieża zagrażające niezawisłości państwa, czemu znowu publicznie zaprzeczano; drugi raz wysoki hierarchii Kościoła katolickiego (jakie?) zmuszające rząd w interesie własnej obrony do represyi, to znowu zaburzenie pokoju religijnego, które dekreta watykańskie miały wywołać; zagrożenie wolności sumienia przez Syllabus i dekreta watykańskie; utworzenie się frakcyi centra, na które książę Bismark aż do Stolicy Apostolskiej skarżył i t. d. i t. d. Gdy mu jeden z tych błahych argumentów czyli pozorów z pod nóg usunięto, przeskakiwał na drugi, a gdy i na drugim, trzecim utrzymać się nie mógł, wracał znowu do pierwszego i tak w kółko się obracał i obraca aż do dnia dzisiejszego, aż nareszcie, aby ująć oczywistej śmieszności, wyrobił sobie czczą fołmułkę, której nigdy niczem nie uzasadnił, że „walka ta gwałtem rządowi narzuconą została“ i tą się aż do ostatnich czasów przy wymierzaniu nowych ciosów na katolików zasłaniał. Czyż ta tkanka z kłamstwa i mactwa upleciona nie jest dość przeźroczystą, aby nie przejrzeć, że poza nią ukrywa się istotna rzeczywista przyczyna prześladowania, której jeszcze wyjawić nie można było, aby nie zniweczyć zamierzonego celu? Odsłonięcie zamiaru jużby było przegraną, boby przerzuciło odrazu najlepszą część ludności do obozu opozycyi, a mianowicie tych katolików, którym szczere przywiązanie do domu Hohenzollerów nie дозволяło przypuszczać, aby się rząd poważyl targnąć na najwyż-

sze i najdroższe ich dobro. Co więcej, cała wypowiedziana prawda i wyjawienie całego planu byłoby całe masy ludu, prostych i tak zwanych wykształconych nawet oburzyło przeciw rządowi i całą kampanią uniemożliwiło. Trzeba tedy było koniecznie prawdę starannie taić i istotny zamiar popularną, szumną liberalną frazeologią okrywać, jakoby wolność i wszystkie nabytki i zdobycze cywilizacji na szwank były narażone. Taki manewr mógł być i był nie tylko pomiędzy protestantami, ale i katolikami, którzy sobie niektóre dogmata liberalizmu, a przynajmniej jego frazeologią przyswoili, dość długo skuteczny. I tak walczyli w imię wolności, w imię cywilizacji przeciw cywilizacji i własne swoje szarpali wnętrzności.

Nie uchwały tedy soboru watykańskiego, jak tego ich treść sama najoczywiście dowodzi, były przyczyną tych niespodzianych i opłakanych wypadków w Prusach i w Niemczech, ale raczej spisek „umiejętności niemieckiej“ i dyplomacy pruski w Monachium przeciw Kościołowi na rok jeszcze przed otwarciem soboru uknuty. Gdyby nie to, nie byłiby się ani politycy ani rządy, a najmniej pruski o dogmat nieomylności papieża troszczył. Teologowie protestancy byliby przez czas niejaki przeciw tej nauce Kościoła polemizowali — i na tem koniec.

Na czele tego spisku stał i stoi ks. Dr. Döllinger, praelat kolegiacki i profesor historii kościelnej przy uniwersytecie monachijskim. Niegdyś, a mianowicie w czasach, kiedy słynął Józef Görres, Philipps i inni, należał i on do gorliwych obrońców Kościoła katolickiego, szczególnie wobec protestantyzmu i zjednał sobie imię znakomitego uczonego historyka kościelnego. Z ś. p. hr. Montalambertem i sławnym biskupem Dupanloup zostawał w stosunkach naukowych aż do soboru watykańskiego. Niektóre ustępy pism jego traktujące o przedmiocie władzy papieskiej, przeciw której teraz rokosz podniósł, należą do najlepszych, co teologiczna literatura niemiecka w tych czasach wydała. Jego historia reformacji, o ile dotąd na świat publiczny wyszła, niemniejszymi odznacza się zaletaniami. Blisko do siedmdziesiątego roku życia swego służył w tym chlubnym zawodzie Kościołowi wiernie. Z tej wysokości strąciła go upokorzona i urażona miłość własna. Najpierw Döllinger zwołał na wzór prawników, lekarzy, filologów i in-

nych w swych zawodach biegłych uczonych także kongres teologów katolickich. Uczony profesor w tej chwili zapomniiał, że Chrystus swej nauki nie powierzył profesorom, choćby najuczciwszym, ale Duchowi św. Stolica Apostolska przeto nie pochwalała tego kroku Döllingera i zakazała go na przyszłość. To było dotkliwem dla uczonego profesora, że nie mógł odtąd błyszczeć na kongresach — scientia inflat. Nadto później miał publiczne odczyty o władzy świeckiej papieża czyli o zarządzie państwa papieskiego, na które uczęszczał i nuncyusz apostolski, rezydujący w Monachium. Gdy w tych prelekcjach zaczął dotkliwie wytykać wady świeckich rządów papieża, nuncyusz opuścił salę i od tego czasu więcej na te prelekcye nie przyszedł. Aby to, co w prelekcjach wypowiedział, lepiej udowodnić, wydał potem dość obszerną książkę pod tytułem: „*Kirche und Kirchen*“, w której dotkliwą dla Stolicy Apostolskiej krytykę rządów świeckich papieża powtórzył i rozprowadził. Nareszcie przedstawiony przez monarchę na arcybiskupa monachijsko-frejsingskiego, nie uzyskał potwierdzenia Stolicy Apostolskiej. Prócz tego Döllinger był patriotą niemieckim i w interesie swej ojczyzny pragnął gorąco pojednania protestantów z katolikami. Chęć ta mogła się w nim przyczynić także do uchylania z nauki Kościoła katolickiego tego wszystkiego, co protestantów podług jego zdania najbardziej raziło i powrót do Kościoła im utrudzało. Mniemanie zatem, że dogmat nieomylności papieża najtrudniejszym będzie dla protestantów w powrocie do Kościoła katolickiego do przebycia szkopułem, zdaje się, popchnęło go do zaprzeczenia odwiecznej nauki Kościoła katolickiego. Takim kosztem nie może i nie okupuje Kościół nigdy zwolenników. Sprawiedliwość wymagała, abyśmy i ten powód przytoczyli, chociaż, co do nas, nie wątpimy, że był podrzędny, gdyż sam nie byłby w stanie tej zaciętości i zawziętości obok słabości argumentów wytłomaczyć, z jaką Döllinger przeciw Kościołowi, a mianowicie przeciw Stolicy Apostolskiej występował.

Oto jest człowiek, około którego wszelkie clementa opozycji w łonie Kościoła gromadzić się zaczęły cały rok przed rozpoczęciem soboru. Długie lata był profesorem i miał kilka generacyj uczniów w gronie duchowieństwa; łudził tedy siebie i innych, „że tysiące duchownych“ za nim pójdą, a tymczasem

poszli za głosem namiestnika Chrystusowego, a za nim i z nim poszła tylko garstka Reinkensów i Michäelisów. Dyplomacya zaś pruska i loża masońska użyły go za narzędzie, pierwsza do swoich politycznych, ostatnia bezbożnych celów.

Rząd pruski, jako protestancki i mający w zamiarach swoich wojnę z Francją, miał nader wiele powodów do trzymania się za kulisami. Sam kierował całym planem potajemnie, a na zewnątrz posługiwał się narzędziem bardzo dogodnym, rządem katolickiej Bawaryi. Döllinger był tu zaś w tej mierze wyrocznią. Agitacya przeciw soborowi rozpoczęła się ośm miesięcy przed jego się zebraniem celem wzniecenia i utrzymania najdziwaczniejszych uprzedzeń przeciw niemu tak w rządach europejskich, jak opinii publicznej. Sobór został otwarty dnia 8 grudnia 1869 r., a już 9 kwietnia tegoż roku wydał książę Hohenlohe, prezes ministerstwa bawarskiego, następującą depeszę do wszystkich rządów:

„Do . . .

„Można za rzecz pewną przyjąć, że sobór powszechny przez Jego Świątobliwość papieża Piusa IX zapowiedziany, jeśli nieprzewidziane nie zajdą wypadki, rzeczywiście w grudniu przyjdzie do skutku. Bez wątpienia zjedzie się nań bardzo wielka liczba biskupów z wszystkich części świata, w skutek czego sobór ten liczniejszym będzie od któregokolwiek z poprzednich, a następnie będzie się dla siebie i swoich uchwał w opinii publicznej i świata katolickiego domagał tego wysokiego znaczenia i tej powagi, jakie sobór powszechny ma rzeczywiście. Aby sobór ten zajmował się li tylko kwestyami wiary, przedmiotami czystej teologii, nie można przypuszczać, gdyż tego rodzaju kwestyj, któreby wymagały soborowego załatwienia, nie masz wcale obecnie. Jedyną dogmatyczną materją, którą, jak się z pewnego dowiaduję źródła, w Rzymie pragną przez sobór zdecydować i w interesie której we Włoszech, Niemczech i gdzieindziej agituja Jezuici, jest kwestya nieomylności papieża. Lecz przedmiot ten sięga daleko po za granice czysto religijnej dziedziny i jest w wysokim stopniu politycznej natury, gdyż tym sposobem zostanie władza papieży w rzeczach świeckich nad wszystkimi książętami i narodami (nawet od Kościoła oderwanemi) ustaloną i do godności

nauki wiary wyniesioną. Jeżeli tedy już ta nader ważna i w skutkach swoich brzemenna kwestya jest zupełnie tego rodzaju, aby zwrócić na ten sobór uwagę wszystkich rządów, które katolickich mają poddanych, to interes, słuszniej obawa ich zwiększyć się powinna, skoro rzucą okiem na rozpoczęte już w tym celu w Rzymie przygotowania i rozkład utworzonych do tego wydziałów. Pomędzy temi bowiem wydziałami jest jeden, który się tylko przedmiotami należącemi do prawa publicznego ma zajmować. Jest przeto bez wątpienia w zamiarach dworu rzymskiego tak kierować soborem, aby tenże niektóre przynajmniej uchwały w kościelno-politycznych materjach czyli kwestyach mieszanej natury powziął. Do tego dodać należy, że pismo czasowe *Civiltà Cattolica*, przez rzymskich Jezuitów redagowane, któremu Pius IX w osobnem Breve znaczenie półrządowego przyznał organu kuryi, donosiło, że zadaniem soboru będzie także, odrzucone przez Syllabus papieski z dnia 8 grudnia 1864 r. zdania na stanowcze uchwały i dekreta soboru zamienić. Ponieważ te artykuły Syllabusa wymierzone są przeciw wielu ważnym axiomatom ustroju państw, jaki się u wszystkich ucywilizowanych narodów wykształcił, przeto powstaje ztąd ważna dla rządów kwestya: czy i w jakiej formie wypadałoby im tak uwagę podwładnych im biskupów, jak później samego soboru zwrócić na niebezpieczne następstwa, jakieby takie wyrachowane i zasadnicze wstrząśnienie dotychczasowych stosunków państwa do Kościoła za sobą pociągnąć musiało. Ztąd dalsza wynika kwestya: czyby nie było rzeczą odpowiednią celowi, aby rządy wspólnie, choćby tylko przez reprezentantów swoich, których mają w Rzymie, zastrzeżenie lub protestacyą założyły przeciw takim uchwałom, któreby sobór bez przyzwania reprezentantów władzy świeckiej, bez wszelkiego poprzedniego zawiadomienia o kwestyach państwowo-kościelnych lub przedmiotach mieszanej natury miał powziąć. Mnie się wydaje być rzeczą niezbędną, aby rządy, które w tej rzeczy mają interes, postarały się o wzajemne w tej mierze porozumienie. Czekalem dotąd, czy rzecz ta z tej lub owej strony poruszoną nie zostanie; lecz ponieważ to nie nastąpiło, a czas nagli, przeto widzę się być spowodowanym JW. . . upoważnić do wytoczenia tej sprawy u rządu, u którego jesteś akredytowany, abyś jego usposobienie i zapatrywa-

nie się na ten przedmiot wybadał. JW. . . . zechciej przytem pod rozwagę wymienionego wyżej rządu tę kwestyą przedstawić: czyby nie wypadało wspólnego, choćby nie zbiorowo przez państwa europejskie obranego środka mniej więcej w tej samej formie się chwycić, aby nie pozostawić dworu rzymskiego w niepewności, jakie wobec soboru rządu stanowisko zająć zamysławiają, i czyby nie było najwłaściwszą rzeczą, aby reprezentanci wszystkich interesowanych rządów w osobnej konferencyi przedmiot wspólnych kroków pod ścisłe wzięli obrady. JW. . . . upoważniam niniejszem do udzielenia odpisu tej depeszy ministrowi spraw zagranicznych w . . . gdyby sobie tego życzył, i proszę o spieszne, ile możności, zawiadomienie mnie o przyjęciu, jakiego ta komunikacya doznała.

Mam zaszczyt i t. d.

Hohenlohe.“

Już w tej depeszy narysowane są dość znacznie wszystkie haczyki, o które później „Kulturkampf“ swoje argumenta zaczepił. Plan zatem był już gotowy, chodziło tylko jeszcze o pomyślną porę do rozpoczęcia kampanii. Że cyrkularza tego autorem nie był książę Hohenlohe, nie ulega wątpliwości. Niżej wykazemy jego źródło wyraźniej.

Wkrótce po rozpisaniu soboru przez papieża ukazała się znana książka pod tytułem „*Janus*.“ Ma ona być dziełem wielu rąk, a nawet narodów. Najgłówniejszą treścią tego pisma jest wylew żółci przeciw Rzymowi, a w szczególności przeciw nieomyślności papieża i Syllabusowi. Książka ta jest w wyszukany tonem goryczy i obelżywej zniewagi przechodzącej wszelką miarę przeciw Rzymowi napisana. Wyraznym jej celem było poburzyć umysły a szczególnie rządy przeciw soborowi. Pismo to jest najlepszą ilustracją wyżej przytoczonej depeszy Hohenlohego. Co tamta tylko napomykała, wypowiadał sposób obrachowany na słabości i namiętności ludzkie, a mianowicie narodowe uprzedzenia Niemców do Rzymu. W postępowaniu swoim wobec rządów okazał papież wielką mądrość i sprawiedliwość, pozostawiając je na tem stanowisku, które sobie same obrały. Pozrywały węzły jedności katolickiej, jakie świe-

cką władzę z duchowną łączyły, a Pius IX trzymał je za słowo. Zwołał duchowne powagi prawodawcze Kościoła, a nie wezwał do udziału tych, którzy się tem szczycili, że już zerwali z Kościołem. Okoliczność ta wzniciła zazdrość i podejrzenia, a nadto zajątrzyła i tak już niedobre dla soboru usposobienia. Wymarzone w cyrkularzu Hohenlohego i Janusie obawy i niebezpieczeństwa zdawały się w tem postępowaniu znajdować potwierdzenie.

W wrześniu 1869 przedłożyło ministerstwo bawarskie wydziałowi teologicznemu monachijskiemu pięć pytań do rozwiązania. Kwestye te były wyraźnie na to obliczone, aby wywołać odpowiedź, że nieomyłność papieża, gdyby ją sobór miał wyrzec, jest nie tylko niezgodną z nauką Kościoła katolickiego, ale nadto zagraża bezpieczeństwu rządów świeckich. W chwili pożądaney przez agitatorów ukazały się publicznie owe odpowiedzi i nie pozostawiły w nikim, który znał położenie rzeczy, wątpliwości, kto był istotnym i rzeczywistym autorem tak przedłożonych pytań, jak danych na nie odpowiedzi. Na depeszę zaś Hohenlohego odpowiedział najpierw minister hiszpański Olozaga, wyrażając nadzieję, że sobór się nie zbierze, a przynajmniej, że „Syllabusa, który się sprzeciwia nowoczesnej cywilizacyi, nie przyjmie i nie potwierdzi.“ W przeciwnym razie groził Kościołowi nieprzyjaznymi krokami ligi rządów: francuskiego, włoskiego, portugalskiego, hiszpańskiego i bawarskiego. Hohenlohemu schlebiało, że w małej Bawaryi tak ważną rolę dyplomatyczną odgrywa.

Podczas, gdy z poduszczenia Döllingera i rządu pruskiego Hohenlohe agitował pomiędzy rządami, a uczeni niemieccy wtórowali jej, wpływając wszelkimi sposobami na opinią publiczną, ocknęły się i łóże, czy to właściwym sobie wiedzione instynktem, aby z tak zgręcznej okoliczności szkodenia Kościołowi skorzystać, czy też pobudzone przez rząd pruski, który, jak wiadomo, od dawna w najściślejszych z sektą masonską pozostawał i pozostaje stosunkach. Dość, że jeden z niedowiarzków włoskich w tym czasie zwołał antiekumeniczny sobór masonski do Neapolu. Francuz jeden, tej samej faryny brat mason, który na ten antisynod został zaproszony, a obecnym być na nim nie mógł, w szumnych odpowiedział frazesach: „Zwołanie synodu idei w przeciwieństwie do synodu dogmatów, jest

myślą płodną i szlachetną. Przyjmuję ją. Po jednej stronie teokratyczne uprzedzenie, po drugiej duch ludzki. Duch ludzki jest boskim duchem, jego promienie na ziemi, jego gwiazda na wysokości. . . . Choć nie mogę przybyć do Neapolu, będę tam jednak. Dusza moja tam będzie.“ Czytelnik zechce mi wybaczyć, że przytaczam tę cześć i pustą renomantadę. Uczyniłem to tylko, aby pokazać, jak na głos jednego przeniewierzonego kapłana wzywający do boju przeciw Kościołowi ruszyli się ze wszystkich zakątków nieprzyjaciele krzyża, aby się z nim łączyć i wspólnymi siłami na Kościół uderzyć.

W czerwcu 1869 odezwał się Hohenlohe znowu do innych rządów z zaproszeniem do wspólnego działania przeciw soborowi. Powszechnem było mniemanie, że do tego kroku skłoniły go Prusy, których polityka wymagała tego, aby na zewnątrz okazywać większą względność dla Kościoła katolickiego, niż rządy katolickich krajów. Z tego samego powodu, jak się domyślano, poruszono z Berlina tę sprawę i we Włoszech, wskutek czego Menabrea o tym samym czasie wydał cyrkularz do agentów dyplomatycznych z propozycją, aby wszystkie rządy z przyczyny, że nie zostały na synod zaproszone, nie zezwoliły na zebranie się jego. Tak Prusy wszelkie sprężyny przeciw Kościołowi potajemnie poruszały, a jawnie i pozornie większą od katolickich rządów udawały dlań życzliwość. Gdy te wszystkie kroki dyplomatyczne pożądanego nie odniosły skutku, wyprawił jeszcze Hohenlohe wraz z rządem włoskim wspólną notę do gabinetu francuzkiego z naleganiem o odwołanie wojska francuzkiego z Rzymu „*celem zabezpieczenia wolności obrad.*“

Skoro tylko znane powszechnie „*postulatum*“ biskupów domagające się przedłożenia soborowi przedmiotu definicyi nieomylności papieża zapublikowanem zostało, wyszedł nareszcie Dölliger z za kulisy i odezwał się publicznie przeciw niemu, a minister francuzki hr. Daru zrobił Stolicy Apostolskiej obszernie przedstawienie na piśmie celem zapobieżenia rzeczonej definicyi. Groźby odwołania załogi francuzkiej na seryo wypowiedziane towarzyszyły pismu ministra francuzkiego. W tej samej chwili zaś, w której gabinet francuzki przedstawienia robił i groził, minister austriacki hr. Beust, protestant, oświadczył, że definicya ta „opłakane pomiędzy Kościołem a państwem

wywoła konflikty.“ Od tej chwili zaczęły wszystkie rządy, jeden mniej drugi więcej, wywierać nacisk na synod, aby przeszkodzić tej definicyi. Lecz mógłże ten nacisk być dla soboru, dla papieża słusznym powodem do odstąpienia od ogłoszenia prawdy objawionej, jeśli to uważali za rzecz potrzebną i zbawienną dla Kościoła? Cóż to byli i są za ludzie, którzy intrygowali przeciw Kościołowi? Ci sami, którzy przed i po jego się zebraniu wszelkich godziwych i niegodziwych używali środków, aby wolność synodu przemocą rządów świeckich skrepować, oskarżali go potem, gdy się to nie powiodło, o brak nie podległości. Lecz nie tu jest miejsce obszerniej o tej obłudzie nikiemnej mówić.

Źródłem opozycyi przeciw soborowi watykańskiemu była nadęta „umiejętność niemiecka“ w Monachium i upokorzona miłość własna. Tej opozycyi użyły Prusy, aby ją wyzyskać przeciw Kościołowi w sojuszu z odstępcami i z lożą. Publikowane depesze Arnima, a mianowicie proces jego, wyjaśniły to dostatecznie, chociaż jeszcze nie wszystko doszło do wiadomości publicznej. Zarozumiałość profesorska i nieprzyjazna Kościołowi katolickiemu dyplomacya pruska wymarżyły niebezpieczeństwa, jakimi dekreta watykańskie zagrażają światu, wywołały agitacyą, pobudziły wszystkie dawne uprzedzenia, zapaliły ogień nienawiści i namiętności i wspólnie z niemi uderzyły na Kościół.

Nie odwieczna przeto nauka Kościoła o nieomyślności papieża, która w najmniejszej odrobinie nie zmieniła boskich i nienaruszonych jego podwalin ani naruszała dotychczasowych stosunków papieża do rządów, była przyczyną tej wrzawy i jej następstw, ale nad wszelką miarę wygórowana pycha profesorska poparta intrygą dyplomacyi pruskiej, która okoliczność tę wyzyskała w widokach swoich politycznych. Czemuż bowiem rząd pruski i żaden inny nie zaprotestował zaraz przeciw uchwałom zapadłym soboru, jeśli mniemał, że w łonie swoim tak groźne dla niego ukrywają niebezpieczeństwo? Czemuż czekał prawie dwa lata, nim przeciw temu niebezpieczeństwu, które sam sobie wymarzył, głos i broń podniósł. Dla czego wtenczas dopiero stało się to niebezpieczeństwo groźnem, kiedy już Francya została powalona o ziemię? Rząd pruski oddawna traktował z papieżem, jako głową Kościoła katolickiego

i w jego nieomyślności niebezpieczeństwa nie znalazł. Kiedy papież naukę Hermesyańską za niezgodną z nauką Kościoła uznał, rząd pruski profesorów wydziału teologicznego w Bonn, którzy się wyrokowi papieża poddać nie chcieli, usunął z katedr uniwersyteckich i przeciw nieomyślności wyroku papieskiego nie protestował. Dla czegoż teraz Wollmanna, nauczyciela religii w Braunsbergu, gdy się nie już wyrokowi papieża, ale soboru powszechnego nie poddał, a mimo to urząd nauczyciela religii katolickiej chciał zatrzymać, — tak uporczywie brał w obronę i do dziś dnia bierze? Możnaż tedy przypuścić, aby rząd pruski w to, co w łatwowierną publiczność protestancką publicznie wmawiał, jakoby dekret watykański konstytucją Kościoła katolickiego zmienił, sam był wierzył, kiedy już przed tylu laty w własnym kraju miał niezaprzeczone dowody wykonywanej przez papieża atrybucyi nieomyślności? Wszystkie fakta do tego przedmiotu się odnoszące, cały przebieg sprawy od początku aż do tej chwili dowodzą najoczywiściej, że nie definicya nieomyślności papieża, ale całkiem inne widoki rządu były istotną i rzeczywistą przyczyną tego niczem nieusprawiedliwionego prześladowania religii katolickiej.

W ścisłym nader związku z tym pozornym argumentem, że przez ogłoszenie nieomyślności papieża Kościół katolicki przestał być tem, czem istotnie był, znajduje się drugi, jeśli podobna, jeszcze niedorzeczniejszy, bo całkiem śmieszny. Podniesiono głosy urzędowe i półurzędowe, w parlamentach i w pismach publicznych, że rząd znajduje się w konieczności bronienia się przeciw „napaści Kościoła“, czyli, jak się powszechnie wyrażano, „agressyi.“ Masy ludu, które pragnęły zgody i pokoju, nie pojmowały tego, bo nie mogły zrozumieć, jaką i gdzie Kościół katolicki zrobił napaść na rząd pruski i to rząd potężny od stóp do głów uzbrojony. Tłumaczono sobie, że to musi być jakie chwilowe nieporozumienie, które niezadługo przeminie. Rozsądniejsi sądzili, że rząd użył tego środka zaniepokojenia Kościoła, aby tym sposobem na władzy duchownej czyli biskupach wymódl jakiego pożądanego koncesye i do większej powolności dla rządu ich zmusi, a cel ten podług ich mniemania wart był trochę swarów. W tem przekonaniu utwierdzały łatwowiernych, którzy poprzednich kroków dyplomacyi nie tropili, częste i prawie nieustanne zapewniania,

zareczania rządu, ministrów w Izbach, króla nawet samego, że rząd Kościoła katolickiego, jego nanki wiary w niczem nie dotyka, że się tylko broni przeciw wyskokom hierarchii kościelnej i poskromić je musi. Do dziś dnia, kiedy już karano duchownych za odprawienie cichej mszy św., za udział w pogrzebie, za mowę pogrzebową, za słuchanie spowiedzi na odpuszczenie, za odmówienie penitentowi rozgrzeszenia, a biskupów za udzielanie sakramentu bierzmowania i za poświęcenie olejów świętych w wielki czwartek, do dziś dnia mają jeszcze ministrowie pruscy czoło głoszenia publicznie, że do wewnętrznych spraw Kościoła wcale się nie mieszają i mieszać nie chcą. Takie oświadczenia i zareczania ze strony rządu przy każdej zręczności powtarzane bałamuciły umysły, a mianowicie protestantów, którzy o organizmie Kościoła katolickiego najmniejszego wyobrażenia nie mają. Uwierzyć zaś w prawdę tem trudniej pospolitym umysłem było, im mniej przypuszczali, aby rząd trzymający się niby zasady wolności sumienia i pozostawiający ją żydom i wszelkiego rodzaju niedowiarkom, miał ją w katolikach tak bezwzględnie prześladować. Uprzedzenia te, połączone z nienawiścią do Kościoła katolickiego, tak zaślepiły ludność protestancką, iż najoczywistsze i uderzające pogwałcenia wolności sumienia, jakie zaszły w gimnazjum braunsbergkiem, jeszcze im oczu otworzyć nie zdołały. Do utrzymania ludności protestanckiej w tym błędzie nastrojona była cała prasa funduszem godzinowym karmiona. Jak tylko daleko ramię rządu sięgało, nie dopuścić, aby pisma katolickie były w publicznych lokalach wykładane jak n. p. po restauracjach należących do kolei żelaznych i t. p. Nie dość, że im wszelkich ogłoszeń urzędowych odmówiono, ale nadto trapieno redaktorów pism katolickich ustawicznie o najmniejsze drobności processami, karami pieniężnymi, więzieniami i konfiskatami pojedynczych numerów. Największe tylko wysilenia gorliwości katolików, aby przynajmniej swoim dostarczyć wiadomości o prawdzie, zdołały ich egzystencją utrzymać. Protestancka zaś ludność, której pisma te mniej są przystępne, pozostała po największej części w tej niewiadomości utrzymaną.

Kilkakrotne zapytania posłów z frakcyi centra, jakie rząd ma dowody na obwinienia Kościoła o „napaść“, o wysoki hierarchii kościelnej, o posądzanie katolików o zasadniczą nieprzychylność dla państwa (staatsfeindlich), zbywali ministrowie czczemi frazesami lub ironicznemi żartami, czując, że mają w Izbie pewną większość po swej stronie. Tak książę Bismark, gdy żądano od niego dowodów na zarzuty krzywdzące katolików, nie mogąc nic prawdziwego powiedzieć, wywinął się wśród potakującego śmiechu liberałów: „Zakołaccie, panowie, do sere waszych,“ jak gdyby żart taki był w stanie zastąpić dowody. Cierpkie nawet wyrzuty, robione z tego powodu ministrom nie mogły z nich żadnej innej odpowiedzi wycisnąć prócz ogólnych i już otrzaskanych frazesów. Tak ś. p. Malinckrodt na sesyi Izby poselskiej dnia 7 iutego 1874 powiedział: „Poseł Reichensperger pytał się w ostatniej swojej mowie, którą miał w tej samej materyi, kilkakrotnie o dowody. Pan minister oświecenia wołał jednak odpowiedzieć milczeniem. Na mnie robi to postępowanie wrażenie, jakoby to było zupełnie mądrą, rozumnego męża bardzo godną metodą! (wesołość). Lecz pod jednym tylko warunkiem, t. j. jeśli nie trafno odpowiedzieć nie umie. Mimo to nie przestaje jednak rząd, który ma potrzebę przedstawiania swiatu, jakoby się znajdował w stanie koniecznej obrony własnej, bo sobie nie dowierza, aby zdołał napaść swoją w oczach ludu usprawiedliwić — rząd, mówię, nie przestaje przy każdym nowym projekcie i jego motywowaniu z tem starem zdaniem, które w formę axjomatu przystroił, na nowo występować; tak się stało i teraz. I tak zaraz w pierwszym ustępie motywów jest mowa „o nieprzyjaznem dla państwa wystąpieniu,“ o „narzuconej państwu walce,“ o „środkach, jakich państwo w interesie własnej obrony“ użyć musi. W axjomacie tym, ściślej mówiąc, tyle jest prawdy, ile w twierdzeniu wilka wobec baranka w znanej powszechnie bajce. Nie, nie z naszej strony wyszła napaść, rząd ją gwałtem własną ręką wykonał.“

Na cynizm, z jakim w Izbach pruskich i parlamencie niemieckim w tej szczególnie materyi policzkowano prawdę, trudno odpowiedzi znaleźć wyraz bez obrazy uszu. Rząd który pobił Austryę i Francją, na którego zawołanie stawało milion bagnatów, miał czoło usprawiedliwiać się przed własnym

krajem i zagranicą, że się znajduje w stanie koniecznej obrony. Przeciw komu? Przeciw Kościołowi bezbronnemu. Jeżeli rząd przeciw jawnym nieprzyjaciołom kraju niegodnych używa podstępów, manewrów, obłudy i intrygi, nie w każdym razie znajduje usprawiedliwienie, a cóż dopiero powiedzieć, kiedy się tego dopuszcza na własnych swoich poddanych, którzy w interesie kraju co dopiero mienie i życie swoje nieśli. Zresztą argument ten, którym się rząd pruski posługiwać nie wstydził, jest tak błachy, maska tak przezroczysta, iż tylko zaślepieniu, w jakie wywołane nienawiści pogrążyły umysły, na co także rząd liczył, i przekupnej prasie, chwilowo zawdzięczał powodzenie. Rozwodzić się jednak nad tym argumentem dłużej, niewarto, gdyż zbyt jasną jest rzeczą. że to nie było przyczyną prześladowania.

Jeśli podobna, więc jeszcze obłudy i nieprawdy zawiera w sobie trzeci argument to jest utworzenie się frakcyi parlamentarnej tak nazwanego „Centrum.“ Roku 1866 i wojna z Austryą, chociaż nader pomyślnie dla Prus się skończyła, otworzyła jednak ludziom myślącym, a szczególnie konserwatorom oczy, że rząd już teraz jawnie za przykładem Cavoura puścił się torem rewolucyi. To zaniepokoiło głębsze umysły, czego dowodzą ogłoszone w tej materyi pisma Gerlacha, biskupa mogunckiego Kettelera i innych. Obawy te wzmogły się zaraz po wojnie francuzkiej, kiedy fałszywy liberalizm niemiecki coraz wyraźniej zaczął brać górę. Katolicy zaś szczególnie słuszniejsze daleko mieli powody do obaw o prawa swoje, aniżeli protestanci i wszyscy inni. Nie rzadko bowiem podnosiły się w owym czasie głosy, że te wszystkie wielkie i dla Prus pomyślne wypadki są tryumfem protestantyzmu nad katolicyzmem. Do cesarza, który w swoich telegramach z placu boju o Bogu zawsze mówił, i do Bismarcka, który z wygórowanych i przesadzonych opinii konserwatorskich od roku 1848 dobrze był znany, mieli jeszcze ludzie tego kierunku najzupełnie sze zaufanie i obawiali się tylko niesfornej i wszelkich zasad uczciwości pozbawionej większości liberalnej parlamentu. Najoczywiściej dowodzi jednego i drugiego list. księdza Kettelera, biskupa mogunckiego dnia 1 października 1870 r. do Bismarcka pisany, w którym się domaga, aby swobody wyznań religijnych, jakie pruska konstytucya wszystkim,

a wszczególności, i katolikom zapewnia, i przyszłej konstytucji niemieckiej na całe cesarstwo niemieckie rozciągnąć. Na dowód tego następujący ustęp z listu tego przytaczam:

„Wogóle wydaje mi się być rzeczą niezbędną, aby wszyscy wierni chrześcianie, wszyscy, dla których religia jest i pozostanie najważniejszą sprawą, osiągnęli pewność, czego się po nowej organizacyi państwa niemieckiego pod względem swoich przekonań religijnych spodziewać mają i czy im daje to zaręczenie, że w niem swobodnie i spokojnie podług zasad ich wiary żyć będą mogli. Wielokrotnie już przedstawiono wypadki obecne jako zwycięztwo protestantyzmu odniesione nad katolicyzmem. Jakkolwiek to nie jest prawdą, przebijają się jednak w tych oświadczeniach utajone w sercach życzenia. W tym kierunku są po jednej stronie nadzieje, a po drugiej obawy. Całkiem nie można nam katolikom za złe poczytać, jeżeli nas, krom wszelkiej radości z odniesionego przez oręż niemiecki zwycięztwa, niekiedy i bojaźń przechodzi, aby kiedyś, gdy już króla i jego radców, których osobistość jest nam zadatkiem zupełnej wolności sumienia, nie będzie, ruch ten nie został na skórę katolików wyzyskany. Bojaźń ta nikogo zadziwiać niepowinna, kto się bacznie zastanawia nad pewnemi kierunkami czasu naszego, które usiłują opanować władzę państwa celem rozpoczęcia propagandy religijnej. Pewność, że nowa organizacya Niemiec, z których wielkości i potęgi z całej duszy się cieszymy, uderuje katolików i protestantów zupełną wolnością tak, iż będą mogli żyć podług zasad wiary swojej, najgłębsze zgotowałoby uspokojenie umysłów i uchyliłaby bojaźń, która radość ich zmniejsza.“

„Takie zaspokojenie wydaje mi się jeszcze niezbędniejszem na przypadek, gdyby się udało, dawne Niemiec przywrócić granice i niemiecką Alzacyą wraz z Lotaryngią z ojczystym krajem połączyć. Upłynie nie mało czasu nim się znowu te kraje zupełnie zniemczą. Aż do tej chwili pozostaną zawsze niebezpieczeństwem, bo Francya żadnego nie pominie środka, aby zupełnemu ich zrośnięciu się z Niemcami zapobiedz. Usiłowania zaś te odrazu się przetną, jeśli ludność będzie miała zabezpieczenie, że połączenie jej z Niemcami nie będzie dla niej początkiem epoki upośledzenia religijnego i pewnego dążenia do powolnego jej sprostamentyzowania. Pojedyncze obie-

tnice dane przy zaborze mało w tej mierze przyniosą pożytku; ale zaręczenie wypowiedziane w ogólnej dla całych Niemiec konstytucyi zniesie wszelką wątpliwość ugruntowaną.

W taki sposób zapatrywali się jeszcze wtenczas katolicy i protestanci zasad konserwatywnych na położenie rzeczy. Nie wiedzieli i nieprzeczuwali nawet, że ich zaufanie do rządu już strasznego doznało zawodu. Rozczarowanie nastąpiło zbyt szybko.

Wobec tych niebezpieczeństw, jakie zagrażały ze strony liberałów i postępców, otwartych nieprzyjaciół wszelkiej wiary, religii i powagi, kościołów, społeczeństwo i wolność tak osobistą jak korporacyjną, zawiązało się grono ludzi konserwatywnych zasad z frakcją polityczną i przyjęło nazwę „Centrum.“ W samym zatem początku skierowana była ta frakcja, jak się z tego cośmy wyżej powiedzieli, jasno pokazuje, wprost przeciw stronnictwom rewolucyjnym, nie zaś przeciw rządowi, w którym jeszcze niejakiś pokładano zaufanie. Program frakcyi tej pierwiastkowy był następujący:

„Frakcja parlamentu niemieckiego nazwana „Centrum“ trzymać się będzie w postępowaniu swoim następujących zasad:

- 1) Federacyjnego jako fundamentalnego (*Justitia fundamentum regnorum*) charakteru państwa niemieckiego zobowiązujemy się bronić, a następnie wszelkim usiłowaniam zmianienia federacyjnego charakteru konstytucyi cesarstwa zapobiegać, z samodzielności zaś pojedynczych państw we wszystkich sprawach wewnętrznych tyle tylko na rzecz ogółu ustępować, o ile tego interes całości niezbędnie wymaga.
- 2) Popierać o ile możności moralne i materyalne dobro wszystkich klas ludności; starać się o zabezpieczenie konstytucyą państwa, obywatelskiej i religijnej wolności wszystkich mieszkańców cesarstwa, a mianowicie prawa stowarzyszeń religijnych przeciw gwałtom prawodawstwa.
- 3) Podług tych zasad będzie frakcja obradować i decydować o wszystkich do obrad parlamentu cesarstwa wniesionych przedmiotach, pozostawiając pojedynczym człon-

kom frakcyi wolność odmiennego od uchwał w frakcyi zapadłych głosowania w Izbie.

Berlin w wiośnie 1871 r.

Przewodnictwo frakcyi Centra:

Podpis. Savigny, Dr. Windhorst (Meppen), Mallinckrodt, Probst, Reichensperger (Olpe), Karol książę Löwenstein, Freytag.“

Później nie zmieniła wprowadzić frakcyja programu, ale go przed wyborami ostatnimi w innej formie ogłosiła pod godłem: „*Za prawdę, wolność i prawo.*“ Zasad wypowiedzianych trzymała się frakcyja wiernie. Gdy im później książę Bismarck zarzucał w Izbie poselskiej pruskiej, że się łączą z Polakami, jawnymi nieprzyjaciołmi państwa, odpowiedział mu Mallinckrodt, że na chorągwi swej wywiesili jawnie obronę prawdy, wolności i pawa. Słusznie tedy występują w obronie Polaków, skoro widzą, że się na nich rząd bezprawia dopuszcza.

Głównym zadaniem tego programu było bezwzględnej polityce powodzenia i utylitarności stawić czoło. Tej polityce powodzenia i utylitarności poświęcił rząd pruski wszystko, co tylko dotąd w przekonaniu człowieka i narodów całych było świętem i uczciwem, religią, moralność i wszelkie prawa. Przed tem bałwanem zysku i powodzenia były zawsze czołem wszystkie stronnictwa liberalne i pod pozorem dobra pospolitego wyzyskiwały je raczej dla siebie. Taka polityka nie przebiera w środkach, wszystko jest dla niej; godziwem, byle się tylko udało. Jest to przeniesienie gry giełdowej, matactw i szachrajstw napiętnowanych zbrodnią na najważniejsze i najdroższe dobra społeczeństwa, nad religiją, sprawiedliwość i wolność.

Drugim niemniej ważnem zadaniem tej frakcyi było oprzeć się absolutnej centralizacyi podług wzoru francuzskiego. Zwyciężona Francya przekazała swoim zwycięzcom wszelkie swoje wady i błędy, które ją do upadku przywiodły. Ta absolutna centralizacya jest owocem absolutnego czyli wszechmocnego państwa. System centralizacyjny jest czczym, abstrakcyjnym formalizmem tylko, ograniczony na pewną liczbę kumunałów,

bez idei, bez ducha, bez religii i moralności, którym zadaje gwałt i usiłuje tym gwałtem na wszystkich krajach i stosunkach wymóżyć mechanicznie zastosowanie swych zasad. Ludzie wszyscy aż do dziecka szkolnego w jego tylko ciasnej uniformie mogą być obywatelami kraju. A to wszystko ma być prawdziwie narodowem dziełem i z czysto germańskiego wytryskać ducha. Lecz jak prawa mechaniki nie są ani polskie, ani niemieckie, tak i ten abstrakcyjny formalizm nie nosi na sobie żadnego narodowego charakteru. Najwydatniejszym tego dowodem, który wart głębszego się zastanowienia, jest ta okoliczność, że głównymi reprezentantami tego „germanizmu czystej krwi,” przeciw „romanizmowi” są Żydzi. Dziwna rzecz, że liberały niemieckie od Żydów uczą się tego, co należy do istoty narodowości niemieckiej. System ten sam w sobie fałszywy jest źródłem najokropniejszej tyranii, bo nie uznając żadnego prawa prócz siebie, nie może go szanować ani w indywidualach ani w korporacjach ani w społeczeństwie, w nim nie państwo jest dla ludzi, ale ludzie dla państwa. Gdzież tu może o jakiegokolwiek wolności być mowa!

To są te szkodliwe zasady zatruwające zdrowy rozwój każdego społeczeństwa, którym się frakcja Centra całemi siłami opierać postanowiła. Cóż w tym programie zdrowego? Cóż w nim takiego, coby w najodleglejszem znaczeniu tego wyrazu można było nazwać „mobilizacją przeciw rządowi?” Jestże w osnowie tego programu najłżejszy powód do podniesienia prześladowania przeciw kościołowi katolickiemu?

Zarzut, który kilkakrotnie tej frakcyi robił Bismarck, a za nim cała gawiedź stronnictwa liberalnego i prasy płatnej powtarzała, jakoby frakcja ta niebyła wcale *polityczną* ale wyłącznie *religijną* i to *katolicką*, był wprawdzie mądrze obrachowany na podkopanie jej wpływu w parlamencie i w masach ludności protestanckiej, nie mija się po prostu powiedziawszy, z prawdą. Program sam najoczywiściej dowodzi, że była i jest w wysokim stopniu polityczną frakcją. Jeśli później wśród rozpraw parlamentarnych zmuszoną była do występowania w obronie praw kościoła katolickiego, czyniła to na mocy tej samej zasady politycznej, z której brała w obronę prawa języka polskiego, prawa własności króla Hanowerskiego i t. p. jednym słowem na mocy zasady politycznej, że wszędzie i zaw-

sze ujmować się będzie za krzywdą wyrządzoną prawu i słuszności. Nie jestże to czysto polityczną akcją? A zresztą, czyż to frakcja centra wniosła kościelne sprawy do obrad parlamentarnych? Jeśli tedy zmuszoną była odpierać napaści liberałów i rządu na prawa religii katolickiej, jeśli i na tem polu stósownie do przyjętych zasad opierała się pokrzywdzeniu praw najświętszych przez wszechwładztwo rządu, czyż z tego powodu utraciła charakter stronnictwa politycznego? Gdyby frakcja ta była się domagała li tylko pewnych praw lub przywilejów dla kościoła katolickiego na szkodę wyznań protestanckich, miałby ten zarzut jeszcze jakieś znaczenie. Ale ponieważ nie żądali nic więcej, jak tylko nienaruszania i nie gwałcenia praw konstytucyą pruską tak katolikom, jak protestantom zareczonych, przeto niemożna im zarzucać, jakoby *wyłącznie katolickich* pilnowali interesów. Inaczej trzeba by konsekwentnie twierdzić, że konstytucya pruska także *wyłącznie katolickich* interesów przestrzegała, coby było oczywistą śmiesznością. Książę Bismarck w owym czasie wiele tego rodzaju nedorzecznosci i oczywistych sprzeczności nagadał, któreby każdego innego, a nawet jego samego wśród innych okoliczności na publiczne szyderstwo były naraziły, ale teraz wypowiedziane ustami zbawcy Niemiec, pogromcy Austrii, Francyi, naczelnika liberałów, i wojny przeciw kościołowi katolickiemu, nie tylko je wybaczone, ale nadto oklaskami obsypywano. Z resztą do frakcyi tej należy kilku protestantów i do tego bardzo znakomitych ludzi, nie składała się zatem i nie składa wyłącznie z samych katolików.

Kilku członków należących dziś do Centra, jak August i Piotr Reichenspergerowie i Mallinckrodt składali od roku 1848 frakcyą katolicką, która się wówczas w parlamencie Frankfurckim i w Izbach pruskich ceiem dopilnowania praw kościoła katolickiego była zawiązała. Lecz skoro konstytucya została zaprzysiężona, i prawa kościołowi katolickiemu przyznane w życie wprowadzone, frakcja ta, uważając zadanie swoje za spełnione, rozwiązała się. Stronnictwa przeto wyłącznie katolickiego nie było odąd wcale.

Przypatrzmy się jeszcze pokrótce pierwszym krokom parlamentarnego działania tej frakcyi, aby się przekonać, czy

mogły dać najmniejszy powód do prześladowania religii katolickiej.

Czego się ludzie poważni zasad konserwatywnych obawiali, to się ponad ich oczekiwanie zaraz w pierwszej sesji zwołanego parlamentu w wiośnie 1871 roku sprawdziło. Już rozprawy nad adresem odsłoniły całą wielkość niebezpieczeństwa dla praw religii katolickiej. Projekt do adresu, który liberalne stronnictwa ułożyły, wyraził tak wybitnie nieprzychylność, a nawet otwartą nienawiść ku kościołowi katolickiemu, iż żaden z katolików bez zaparcia się najświętszych uczuć religii głosować nie mógł. W chwili tak wielkich i pomyślnych dla Niemiec wypadków, które najbujniejsze ich nadzieje przewyższyły, nie można się dziwić, że adres ten z pełnego rogu obfitości sypał cesarzowi hołdy. Członkowie frakcyi Centra przeczuwali i przywidywali jasno następstwa, jakie na nich odrzucenie adresu większości niezawodnie sprowadzi to jest, że ich nazwą „nieprzyjaciółmi cesarstwa“ dla tego, że korona cesarska na protestanckiej spoczęła głowie, „nieprzyjaciółmi ojczyzny“ i t. d. i t. d. Rozprawy same usprawiedliwiły aż nadto ich przewidywania. Lecz mimo to poszli za głosem sumienia, odrzucając przedłożony, a przedstawiając własny swój projekt do adresu. Że projekt ich tak „co do formy jak co do treści“ przewyższał proponowany przez większość, przyznać to musiała Augsburgska nawet gazeta. Tendencye stronnice przemogły jednak i odrzucony został.

Główną różnicę pomiędzy obydwooma adresami wyrażał projekt większości w następującym ustępie:

„Niemcy także z powodu, że ich mocarze puszczały się torem podać obcego elementu, dostały przez mieszanie się w wewnętrzne sprawy narodów, w udziale zaród upadku. Nowe cesarstwo wytrysło z samego tylko ducha ludu, który do obrony tylko uzbrojony, a statecznie dziełom pokoju oddany. W stosunku do obcych ludów nie żądają Niemcy dla swoich obywateli nic więcej, nad poważanie prawem i obyczajem zabezpieczone i życzą, nie uwodząc się ani niechęcią, ani przychylnością, każdemu narodowi, aby sobie własne drogi do jedności wynalazł, każdemu państwu, aby konstytucyą w właściwy sobie sposób nadał. Dni mieszania się do wewnętrznego ro-

zwoju innych narodów, nie powrócą, spodziewamy się, pod żadnym pozorem, pod żadną formą.“

Mimo oczywistej przesady w ostatniem zdaniu zawartej już w następującym roku zrobił rząd niemiecki interwencyę na rzecz *Żydów w Rumunii*. A niezadługo wmieszał się w dotkliwy sposób, jak to proces Arnima wykazał, w sprawy Francyi, potem Hiszpanii, Belgii i t. d. dopóki zapędów jego nie ukrócono. Cóż więc te słowa w adresie do cesarza a zatem w tak uroczysty sposób wypowiedziane mogły mieć za znaczenie? W rzeczywistych stosunkach politycznych świata nie było do ich wyrzeczenia żadnego powodu, a za prawidło dla postępowania rządu w polityce zagranicznej także nie służyły. Te słowa w swej przedmiotowości wzięte nie miały w tym adresie żadnego znaczenia i niktby ich nie zrozumiał, gdyby ich tendencyjny zamiar stronnictwa i rządu nie był wyjaśnił t. j. że chciano niemi dać policzek katolikom.

Po cesarzu bowiem, który przyrzekł, dać w Niemczech opiekę wszelkiemu prawu, spodziewali się katolicy, że użycie potężnej powagi słowa swojego na rzecz Głowy Kościoła, którego położenie dotykało praw wszystkich katolików. Że katolicy nie wymagają wcale zbrojnej interwencji w sprawie Papieża, oświadczył to członek Centra, Windhorst (Meppen) wyraźnie. Temu wprowadzie nikt nie zaprzeczył, ale jednak zrobiono swoje celem dokuczenia i oświadczenia katolikom, że nawet słowem nie ma się rząd za ich prawami ująć. To był pierwszy akt frakcyi Centra, lekkomyślnie przez większość z poddmuchu rządu wywołany, który rządowi dał niby powód do podniesienia broni przeciw niej.

Drugim krokiem na tem polu był podany przez frakcyę Centra wniosek przy obradach nad konstytucyą cesarstwa o umieszczenie w niej tych artykułów z konstytucyi pruskiej, które prawa Kościoła katolickiego i protestanckich wyznań zabezpieczają. Frakcyja ta miała do podania tego wniosku nader słuszny powód w tej okoliczności, że podług artykułu 2 konstytucyi cesarstwa wszystkie prawa pojedynczych państw niemieckich muszą w każdym razie ustąpić pierwszeństwu prawom wydanym dla całego cesarstwa, a zatem ulegały temu przepisowi i prawa konstytucyjne. Niepodobną bowiem było dla katolików i wogóle ludzi zasad konserwatorskich, głosować za

konstytucją, której tak wielką przyznano kompetencją, bez zabezpieczenia w niej najświętszych praw dla człowieka. Choćby sprawa była najśluszniejszą, wniosek ten jednak upadł. Za nim głosowali tylko członkowie centra i Polacy w liczbie 59 przeciw 223.

Nie dość, że wniosek ten przez większość sprzyjającą rządowi odrzucony został, ale nadto wywołał tak w prasie rządowej jak liberalnej wrzawę niesłychaną i oskarżenia, że frakcja Centra zaburza spokojność religijną kraju i oczywiście okazuje nieprzychylność dla cesarstwa, dla jedności Niemiec. Zasady zatem, któremi się Prusy przez dwadzieścia kilka lat w stosunku do Kościoła rządziły, które ściśle sformułowane stanowiły integralną i ważną część konstytucji pruskiej, stały się na raz szkodliwymi, zaburzającymi spokojność religijną i podkopującymi bezpieczeństwo cesarstwa niemieckiego. Któż w stanie taką logikę zrozumieć? Odtąd wiedzieli już nietylko katolicy, ale i religijni protestanci, z jakim rządem mają do czynienia i na co się w ogóle zanosi.

Do jakich uciekano się środków, aby umysły przeciw frakcji Centra, a szczególnie jej katolickim członkom podburzyć i obalamucić, niech posłuży za dowód następujące zajście, które się za kulisami odgrywało w czasie tejże sessyi parlamentarnej.

Hrabia Frankenberg wybrany przez większość katolicką głosował w parlamencie tak przeciw adresowi ułożonemu przez frakcją Centrum, jak i przeciw wnioskowi, o których co dopiero była mowa. Wyborcy jego przekonawszy się, że zawiódł ich oczekiwania, przesłali mu wotum niezaufania. Hr. Frankenberg usprawiedliwiając swoje postępowanie w odpowiedzi danej swoim wyborcom dnia 17 Maja 1871 powiedział pomiędzy innemi: „Kardynał Antonelli korzystał z zrzeczności, aby wyrazić swoje niezadowolnienie z postępowania frakcji Centra w parlamencie niemieckim. Do oświadczenia sławnego ministra Jego Świątobliwości nie mam naturalnie nic do dodania.“

Katolicy nie dawali temu wiary i uważali to za jakąś mistyfikacją, ale cała prasa urzędowa i liberalna wyzyskiwała tę oczywiście fałszywą wiadomość na sparaliżowanie działania frakcji Centra i ohydzenie go w obec patryotów niemieckich. Na potwierdzenie tej zfabrykowanej wiadomości pojawia się

w miesiąc potem list księcia Bismarka do hr. Frankenberga z dnia 19 Czerwca 1871, w którym go zapewnia, że wyrzeczona przez Kardynała Antonellego nagana postępowania frakcyi Centra jest istotnie ugruntowana. Sam (Bismark) naprzód o tem nie wątpił, gdyż znając oświadczenia „zadowolnienia i zaufania, jakie Jego Świątobliwość cesarzowi wyrażał“ musiał tę nagane uważać za potrzebną. Hrabia Tauffkirchen mówił z jego (Bismarka) polecenia z kardynałem Antonellim w obec reprezentantów innych państw i słowa przezeń o tym przedmiocie wypowiedziane znajdują się w jego ręku. Do tej wiadomości przypiął jeszcze Bismark kilka uszczypliwych przyćinków frakcyi Centra.

Takie urzędowe potwierdzenie owej nieprawdopodobnej wiadomości rozbudziło na nowo wszystkie nienawiści i namiętności patryotów niemieckich i liberałów przeciw frakcyi Centra. A o to tylko Bismarkowi i większości liberalnej parlamentu chodziło. Chcieli tylko wpływ jej na opinią publiczną sparaliżować i głos prawdy przytłumić, choćby tylko na chwilę, dla której to zagłuszenie było potrzebnem.

Tymczasem X. Ketteler, biskup Moguncki udał się sam do kardynała Antonellego z prośbą o objaśnienie tej rzeczy. Listem datowanym dnia 7 Czerwca 1871 odpowiedział kardynał Antonelli, iż mocno ubolewa nad rozszerzoną przez nieprzyjazne Kościołowi dzienniki, jakoby postępowanie katolickich deputowanych parlamentu niemieckiego był miał zganić. Z hrabią Tauffkirchen mówił tylko o wiadomości dziennikarskiej, jakoby posłowie katolicy w interesie Papieża (co było fałszywem) żądali interwencji, co za przedwczesne uważał. Z tego się pokazuje, pisze dalej, że w czasie tej rozmowy nie mogłem mieć wcale na myśli, wypowiedzieć nagany posłom, którzy w trudnych nader okolicznościach tak sumiennie bronią religii i praw Głowy Kościoła.

Tem pismem zaprzeczył Kardynał Antonelli wszystkim twierdzeniom zawartym w liście Bismarka na niekorzyść frakcyi Centra. Mimo to książę Bismark jednak ani słów Antonellego, które miał mieć w ręku, w obronie swej nie zapublikował, ani na zarzut oczywistej nieprawdy nie odpowiedział. O to mu także niechodziło, a cel, dla którego to zrobił, poniekąd i na chwilę osiągnął, bo list kardynała Antonellego

nienawiści i ohydzenia, w jakie członków frakcyi Centra padał, z tychże nie zdjął. Kiedy się sprawa toczy przeciw Kościołowi katolickiemu, wtenczas wszelka uczciwość, rozum, logika i sprawiedliwość musi iść na bok.

Denuncyowanie katolickich członków pewnej frakcyi politycznej ciała prawodawczego nie może mieć innego celu, jak tylko ten, aby wyrzeczona przez Głowę Kościoła nagana wpłynęła na zmianę ich postępowania. W myśli zaś czystego konstytucjonalizmu, w myśli liberałów, w myśli szczególnie indywidualizmu protestanckiego nie jestże to prawdziwym attentatem „napaścią“ na wolność polityczną, wolność sumienia członków ciała prawodawczego? A jednak ani jeden z nich uwagi nawet nie zwrócił na ten „wybryk hierarchiczny,“ owszem cieszą się, że frakcja Centrum formalną i urzędową od Stolicy Apostolskiej dostała nagane, którą w najrozmaitszych tonach opiewano. Żółć zalała wszystkim rozum. Dopiero „Independance“ wytrzeźwiła ich nieco z tego szału i dała im nauczkę tą trafną uwagą: „Krok tego rodzaju gabinetu cesarskiego zrobiony do Głowy Kościoła katolickiego zdaje się niewątpliwie zawierać przyznanie Papieżowi prawa mieszania się do świeckich spraw państwa, a Stolica święta nie mogłaby słusznie z tego zajścia wywieść uprawnienia do wykonywania tego prawa, ilekroć nadarzy się do tego zręczność, bez względu na to, czy będzie o to proszona lub nie?“

To dziwaczne, podstępne i nad miarę przez publiczność protestancką i organa rządowe wyzyskiwane zajście, jakoby Stolica Apostolska istotnie postępowanie polityczne członków frakcyi Centra była naganila, mogło tylko na tem całkiem mylnem i tylko w rozmarzonych głowach protestantów zagnieżdżonem przypuszczeniu się opierać, że Stolica Apostolska rzeczywiście nad czynnościami politycznymi katolików całego świata czuwa, cenzuruje je i kieruje niemi. Tak sobie bowiem protestanci marzą o stosunku katolików do Rzymu. Tymczasem nic mylniejszego i fałszywszego nad to przypuszczenie, aby się Stolica Apostolska w takie sprawy mieszała. Dla tego żaden z rozsądnych katolików ani na chwilę nie wierzył, aby Ojciec ś. lub kardynał Antonelli tego rodzaju wpływ polityczny na katolickich członków parlamentu niemieckiego był miał wywierać.

Otóż wszystkie zbrodnie członków frakcyi Centra, za które ich rząd, a w szczególności książę Bismarck, liberały i cała ich prasa wszelkimi godziwemi i niegodziwemi środkami ścigała i do dziś dnia ściga.

Jakże sobie wytłumaczyć tę ślepą nienawiść do członków tej frakcyi, a mianowicie w mężu stanu, jakim jest Bismarck, nienawiść szczególnie do osoby Windhorsta (Meppen) posuniętą do cynizmu i nierozumu, która go nawet na dotkliwie upokorzenia naraziła w Izbie, która go przywiodła do robienia dziwaczego Windhorstowi zarzutu z tego, że dla dawnego króla swego Hanowerskiego, którego był ministrem, zachował jeszcze serdeczną przychylność? Tę ślepą nienawiść i zawziętość zrodziły częścią polityczne częścią psychologiczne powody.

W wojnie austriackiej udało się Bismarkowi dobrodusznego przeciwnika kilka razy wywieść w pole, a potem nagle go napaść i pobić. W wyższym jeszcze stopniu udało mu się to w sprawie wywołania wojny z Francją, bo w tej sprawie zagranicy, a szczególnie Niemcom samym musiał prawdę zataić i tym sposobem do entuzjazmu ich popchnąć. W „wyprawie przeciw Rzymowi“ jeszcze plany i zamiary głębiej były ukryte, nadzieja przeto tem pewniejsza, że tu się łatwiej jeszcze wszystko powiedzie i nim się garstka katolików wiernych spostrzeże, już w zasadzie będzie Kościół katolicki w państwie pruskim resp. cesarstwie niemieckiem zniszczony, obalony. Tymczasem członkowie frakcyi Centra przejrżeli zamiary i wymierzone na Kościół katolicki zamachy. Głosem swoim odważnym przebudzili w dobrodusznem zaufaniu do rządu uspio-nych katolików Prus i całych Niemiec. Taka baczna straż, tacy nieustraszeni i wysoko uzdolnieni świadkowie krętych i zawitych dróg i ścieżek, jakimi Bismarck katolików obejść zamierzał, byli mu i są bardzo niewygodnymi i niebezpiecznymi przeciwnikami jego „wyprawy na Rzym“ czyli Kościół katolicki. Nie liczba tej frakcyi, ale prawda, którą wyjawili światu, była dlań na samym początku niebezpieczną. Ztąd użycie wszelkich środków przy wyborach, aby ich do parlamentu nie przepuścić, a gdy to się nie udało całkiem, usiłował ich sparaliżować, złamać i zniszczyć moralnie.

Te polityczne powody nienawiści tłumaczą same jej psychologiczną stronę. Bo cóż mogło człowieka z natury gwałto-

wnego, którego jeszcze szczęście i nadspodziewane powodzenie i w zamiarach swoich utwierdziło i zaślepiło, więcej rozgniewać, więcej oburzyć, jak pokrzyżowanie jego ulubionych planów i zamiarów? Cóż mogło dotkliwiej ranić wygórowaną miłość własną kadzidłami obsypywaną, jak odważne i śmiałe wykrywanie przed światem nikczemnych środków przezeń użytych do pozbawienia obywateli kraju, którzy co dopiero zań żadnych ofiar i krwi nie szczędzili, najdroższego, najszlachetniejszego i najwyższego dobra t. j. religii? Kto jest z natury zdolny do gniewu, musiał go tego rodzaju przeciwnik, na którym się materyalnie pomścić i żaru zapalczywości ugasić nie mógł, rozjątrzyć i do tak niesfornych wybuchów gniewu przywieść. Nie wstyd, którego ludzie tej faryny nie znają, ale obrażona pycha szamotała się bezrozumnie.

Któż tedy z rozsądnych ludzi uwierzy, że frakcja Centrum była przyczyną prześladowania religii katolickiej w Prusach i Niemczech? Czyż nie jest rzeczą jasną jak na dłoni, że przeciwnie właśnie twierdzenie jest prawdziwem? Nie rzeczona frakcja zatem wywołała prześladowanie, ale przeciwnie prześladowanie już rozpoczęte połączyło jej członków w osobne grono i wywoło tę frakcję polityczną. Uporczywe powtarzanie tej nieprawdy należy do rzemiosła liberałów, których rząd był i do dziś dnia jest przewodnikiem. Maską ta nie zrécznie zastosowana do przytłumienia prawdy starczyła chwilowo dla tych tylko, którzy nie chcieli przejrzeć i widzieć prawdy, ale dla nikogo więcej. Członkowie tej frakcyi ciężką nader przebyli próbę i jeszcze przebywają, ale wobec powszechnego serwilizmu i korupcyi, jakim nauka i nadęta „umiejętność niemiecka“ w pierwszej linii ścieląc się do stóp bałwanowi powodzenia uległa, uratowali jedyni zacność i godność człowieczeństwa i będą mieli niewątpliwie piękną kartę tak w dziejach parlamentów jak Kościoła katolickiego.

Jasną przeto jak słońce jest rzeczą, że nie dekret Watykański o nieomyślności Papieża, nie frazes o urojonej „napaści hierarchii“ na cesarstwo niemieckie, nie zawiązanie się frakcyi Centra, czem się rząd dotąd zasłaniał, było i jest przyczyną tego prześladowania, ale całkiem co innego.

Istotne przyczyny prześladowania.

Jużeśmy nadmienili wyżej, że dziś nie jest jeszcze pora do podania przyczyn tłumaczących z zupełną pewnością to niespodziane w naszych czasach zjawisko: prześladowania religii chrześcijańskiej w dziewiętnastym wieku. Jednakże, gdy weźmiemy wszystkie okoliczności i stosunki Niemiec, a w szczególności państwa pruskiego pod rozagę, nadto i charakter osób losami prus i Niemiec kierujących, jesteśmy przekonani, że jeżeli zupełnej nie osiągniemy pewności o prawdzie, to przynajmniej bardzo się do niej zbliżymy.

Najpierw jeden człowiek, choćby najpotężniejszy i zdolniejszy, nie jest w stanie takiego prześladowania wywołać, gdyby czyny jego nie znalazły poparcia w ideach, wyobrażeniach, opinii, jednym słowem w sumieniu i przeświadczeniu ludności. Górujące przeto i rozpowszechnione w kraju wyobrażenia o państwie, o jego stosunku do obywateli kraju i do państw sąsiednich, o jego władzy nad wszystkimi, wyobrażenia, w których osoby rząd składające zostały wychowane i wzrosły, są niewątpliwie najgłębszą przyczyną tego, co się w kraju dzieje. Na to tedy najpierw należy zwrócić uwagę, aby zrozumieć, co w Prusach było podobnem.

W Prusach od dawna, tak w czasie rządów absolutnych jak konstytucyjnych, zawsze idea państwa panowała ponad wszystkim. Już prawo krajowe (Landrecht) na tych zasadach oparte. Tu wszystko było królewskie począwszy od borów i lasów aż do człowieka. Dowodzi tego przymus szkolny, biurokracya i militarizm. Dziecko z łona familii wzięte i do szkółki elementarnej oddane było tylko w tym kierunku trenowane, aby wyrosło na żołnierza lub biurokratę, jak gdyby człowiek żadnego innego wyższego przeznaczenia nie miał. Nic przeto dziwnego, że ta idea państwa pochłaniała wszelkie inne prawa, a państwo nie było dla ludu, ale odwrotnie lud dla państwa. Dopóki jeszcze przeważały w klasach oświecześniejszych wyobrażenia i zwyczaje chrześcijańskie, łagodziły poniekąd i ożywiały ten zimny i martwy mechanizm państwa. Ale z czasem te resztki prawd chrześcijańskich, które tak nazwana reformacya szesnastego wieku z Kościoła katolickiego wyniosła,

roztoczyła negacya protestantyzmu na ułomy, które znikły. Ślad po nich pozostał tylko w pewnych czczych formach i wyrazach, które wszelkiego chrześcijańskiego pozbawione zostały znaczenia.

Te instynktowe idee o państwie już panujące w Prusach usystematyzowała filozofia. Wiele w tej mierze zrobił już Fichte, ale najzupełniejsze wydoskonalenie temu systemowi nadał panteizm Hegla w teoryi o *absolutnem* państwie. Co rewolucya francuzka zrobiła w konwulsyjnym szale bez dokładnej świadomości o pryncypiach, na których się opierała, to filozofia niemiecka ujęła w system i sformułowała ściśle.

Panteizm ten, przyjmując za najwyższe jestestwo idee wszechświata, jakiś *absolut*, który odpowiednio do każdego panteistycznego systemu raz jest idealnym drugi materialnym, jak np. Spinosy, wywraca już założeniem swoim cały system chrześcijański, bo zaprzecza exystencję Boga żywego, pana i stwórcę wszech rzeczy. Ta idea absolutna, to najwyższe coś ma w tym systemie rozmaite tytuły i nazwy, a jest w swej przedmiotowości bez wiedzy, bez rozumu. Z tego powodu mógł jeden z najnowszych tej szkoły filozofów (Hartmann) pisać filozofią „tego, co niema świadomości o sobie“ (Philosophie des Unbewussten). To zatem, co świat chrześcijański dotąd nazywał Bogiem, jest w tym systemie idealną jednością, całością wszechświata, która nie ma istotnej exystencji wcale i żyje tylko w głowie i wyobraźni filozofa i zwolenników jego. Utwór ten rozbijałej i niesfornej myśli człowieka, któremu spodobało się twórcom tego rodzaju systemów dać miano Boga, przechodzi w rozwoju swoim koniecznym i nieświadomym przez wszystkie kształty jestestwa od najniższego poczynszu aż dopiero w duchu człowieka znajduje światło, poznaje sam siebie, zdobywa wiadomość, że jest Bogiem. Jest to zrozumiałemi słowy powiedziawszy najzupełnijszem ubóstwieniem człowieka. A ponieważ państwo w tym systemie jest tylko zbiorowym, spotęgowanym człowiekiem, niezbędnem przeto tych zasad następstwem, ubóstwienie państwa w najwydatniejszy sposób, na jaki bóstwo samo zdobyć się może. Stosunek człowieka do państwa jest w tym obrębie wyobrażeń jak jednostki, jak indywiduum do całości, jak kropli wody do morza, w którym tonie. Następnie jednostka ta, ponieważ równie jak

bóstwo, nie jest osobistością, nie może także mieć żadnych praw nietykalnych, jak w systemie chrześcijańskim człowiek, jego dusza nieśmiertelna. Prawa tylko może mieć i wykonywać te tylko, jakie mu przyzna bóstwo państwowe, które względem niego jest wszechmocnem i nie może żadnemu podlegać prawu, bo samo w sobie jest absolutnem. Ztąd wynika logicznie, że absolutów tych czyli Bogów tyle być musi na świecie, ile jest państw lub narodów, bo każde w swych granicach jest absolutem. Cóż więc dziwnego, że trop w trop za temi teoryjami podnoszą się głosy domagające się *kościółu narodowego, państwowego*? Jeżeli bowiem Bóg jest zamknięty w granicach narodu, państwa czyli jeśli jest tylko narodowym, jakże Kościół ku czci Boga swego ustanowiony może sięgać poza granice jestestwa boskiego?

Te teorye ogarnęły siecią swoją wszystkie gałęzie nauk i umiejętności w Niemczech protestanckich, a mianowicie w Prusiech. Historia, nauki przyrodzone, ekonomia polityczna, a szczególnie prawo publiczne na tej nauce jedynie prawie są zbudowane. Z katedr uniwersyteckich przelewając się nawet do szkół gimnazyalnych i tak nauczyciele jak uczniowie powtarzają często zasady i zdania, których nie umieją do ostatecznych i nader szkodliwych pryncypiów sami odnieść, w dobrej wierze i w przekonaniu, że się niemi dobijają prawdziwej oświaty. Nauką tą przejęta jest i przesiąkła na wskrós cała intelligeneya pruska, a mianowicie biurokracya od ministra aż do woźnego, a konsekwencye jej z świadomością lub bez świadomości roznoszą dzienniki do najniższych warstw ludu. Oświećsza klasa w Prusach w dziedzinie tych wyobrażeń wychowana i wzrosła. Głębsze tylko umysły, jak Gerlach, Kleist-Retzow i inni podobni widzą fałsz i niebezpieczeństwo, ale to są rzadkie nader wyjątki. Co się z chrześcijańskich wyobrażeń, form jeszcze utrzymało wśród tej klasy ludzi, jak wyjątkowe święcenie Niedzieli i t. p. jest tylko czczym i pustym zabytkiem starożytności bez treści i znaczenia. „Wysokie ideały moralności, sprawiedliwości i ludzkości nie istnieją wcale dla państwa“ mówi jeden z najnowszych teoretyków polityki pruskiej (Adolf Lasson. Prinzip und Zukunft des Völkerrechts). Jakoż w rzeczy samej na takiej teorii zbudowane państwo nie

może także znać tych ideałów, bo nie uznaje Boga nad sobą ani odwiecznych praw i praw jego.

Zastosować teraz tę teorią na społeczeństwo, na kościół katolicki, do jakichże musi się dojść rezultatów? Społeczeństwo składające się z indywidualów, jednostek i atomów nie znających w obec państwa wszechwładnego żadnego prawa któreby i państwo uszanować powinno, musi niezbędną konsekwencją parte iść w przepaść komunizmu i socjalizmu. Jeżeli ten absolut, ten bóg zbiorowy państwa sam nie ma wolności i kroczyć musi torem żelaznej konieczności, jakże może obdarzyć wolnością jednostki, z których się składa? A gdzie nie masz wolności, osobistości, gdzie się znajdzie podstawa, małżeństwu, rodzinie, o co się zahaczy prawo własności? Wszystkie zwierzęta też są indywiduami i jednostkami, a dla czegoż jednak nie znają prawa własności, ale są raczej jego przedmiotem tylko. Jeśli państwu, temu zbiorowemu bogu, wolno się rządzić „li tylko swoim egoizmem, pożytkiem i zabierać wszystko, co i gdzie tylko prawem mocniejszego zdobyć może“ (Lasson) jak co dopiero przytoczony filozof pruski na innem miejscu naucza, jeżeli to państwo w imie mocniejszego dla swej korzyści może obdzierać kościół, biskupów, kapłanów, królów i książęta z ich własności, z ich praw i koron, czemuż ten jednostkowy bożek nie ma tego samego czynić i na innych indywiduach, skoro tylko moc odpowiednią zdobędzie? Teorią swoich filozofów rząd pruski od dawna już wprowadził i wydatnił to szczególnie w ostatnich wypadkach. Nieubłagana konsekwencja Komunizmu i Socjalizmu zapowiada mu w tych szczególnie społeczeństwach, które się wyrzekły zasad chrześcijańskich, a uwikłały się w te niebezpieczne teorie, niewątpliwą przyszłość. Bagnet bowiem, który jest w ręku Liberalizmu może przyjść jutro w ręce Socjalizmu i Komunizmu.

Zastosowanie zaś tej nauki czysto pogańskiej na kościół katolicki musi także koniecznie do potwornych i niesłychanych prowadzić gwałtów. Możesz w tym systemie znaleźć miejsce nadprzyrodzone objawienie boskie, kiedy w nim Bóg sam nie ma miejsca? W „państwie absolutnem“ ziemia jest niebem, a Bóg, nieśmiertelność duszy ludzkiej to cześć marzenia i urojenia. Człowiek rozpływa się z śmiercią „jak kropla wody

w morzu w ogólnej substancji“ mówi najnowszy filozof Hartmann. Cóż w takim „państwie absolutnem“ po kościele, którego jedynem zadaniem prowadzić człowieka do Boga i wieczności jeśli ono samo już jest „obecnym Bogiem“ (der präsente Gott) jak się Hegel wyraża, jest „obecnością i wiecznością razem? Całe dzieło odkupienia, cała nauka Chrystusa, cała instytucja przez Niego założona, dla zbawienia rodu ludzkiego, którą jest kościół, staje się w tym systemie nie tylko zbyteczną, ale nadto czemś śmiesznem i niedorzecznem. Z tego stanowiska zapatrując się mógł posel Virchow w Izbie poselskiej bez narażenia się na wezwanie go przez marszałka do porządku nazwać księgi pisma św. „mitologią chrześcijańską.“ Że kościół katolicki w tak pojętem i zrozumianem państwie nie może mieć absolutnie warunków swej egzystencji, celu swego bytu, a następnie pola działania, wydaje mi się być rzeczą tak jasną, iżbym czytelnika nudził, gdybym się nad tem dłużej zatrzymywał. Jedną tylko jeszcze robię uwagę. Czy sami sprawcy tego prześladowania zamierzili sobie ostatecznie zniszczyć i wykorzenić do szczytu Chryścijaństwo tak daleko, jak ich potęga sięga, czy tymczasowo bliższy cel mieli na oku, tego przesądzać nie śmiem, ale to jest rzeczą niewątpliwą, że z zasad i nauki o państwie, z których wychodzą, godzą w istotę Chrystyanizmu i świadomie czy nieświadomie nad wytępieniem go oczywiście pracują.

Oczywistą przeto jest rzeczą, że „absolutne państwo“ na panteistycznej teorii zbudowane i nią rządzone w zasadzie, w zarodzie samym religią chrześcijańską znosi i nie może jej w łonie swoim ścierpieć. Wola takiego państwa jest najwyższem prawem, bo po za nią nie ma już wyższej woli, nie ma przykazania Bożego, gdyż inaczej przestałoby państwo być właśnie tem, za co się ma, t. j. absolutem, gdyby inny absolut nad sobą uznało. Prawdziwość tej konsekwencji uwydatnia się rzeczywiście w sporze rządu z Ks. Kremenstem, biskupem Warmińskim, o którym później będzie mowa, gdzie rząd nie chciał uznać i nie uznał zasady, że każdy chrześcijanin w razie kolizji obowiązków „raczej prawa Bożego niż ludzkiego słuchać powinien.“ Te zasady przeniosły rząd pruski zupełnie na stanowisko pogańskie starożytnego państwa Rzymskiego. Jak tamto wszystkie religie choćby najzabobon-

niejsze w łonie swajem pomieściło, a li tylko chrześcijańskiej znieść nie mogło, tak i państwo pruskie czyli cesarstwo niemieckie cierpi najrozmaitsze sekty, a religii chrześcijańskiej czyli katolickiej strawić nie może. Te same skutki mogą być wywołane tylko przez te same przyczyny, te same zasady. W gruncie zatem nie masz w tem państwie miejsca wcale dla religii chrześcijańskiej. Że przywódcy prześladowania jeszcze tego przed światem nie wypowiedzieli, aby przed czasem rozpoczętego dzieła nie zniszczyć, nie potrzebujemy tego tłumaczyć. Byłoby to rzeczą zbyt śliską i niebezpieczną. Rzymianie mieli za sobą tradycje pogańskie, byli, że tak powiem, w posiadaniu fałszu, z pochodzenia poganami, dzisiejsi mają przeciw sobie tradycje chrześcijańskie i są apostatami, którzy się wyrzekli Boga i jego objawienia; Rzymianie byli panami całego wówczas znanego świata, teraźniejsi zaś, jakkolwiek potężni, nie są tem jednak. Te okoliczności realne same już położyły granice ich zamiarom i czynom. Dla tego widzimy, że od czasów pogańskiego państwa Rzymskiego i Turków mocarze świeccy nie rzucali się na prześladowanie całego kościoła. Spory te i starcia stoczyły się raczej o pewne prawa i przywileje, a władze świeckie usiłowały wpływowi i działaniu kościoła coraz ciaśniejsze zakreślić granice. Jakkolwiek środki, których rządy w tej mierze używały, rozmaite były i stósownie do czasu i okoliczności się zmieniały, zawsze jednak w razie, gdy spór się zajątrzył, uciekano się do sposobów *rozbitcia jedności kościoła*. Im silniej umysły przejęte są zasadami pogańskimi, im bardziej się niemi upoją, tem wyraźniej podnoszą się w takich czasach głosy przeciw jedności kościoła. I to zjawisko odpowiada zupełnie zapatrywaniu się starożytnych pogan. Wiadomo bowiem powszechnie, że najdziwaczniejszem wydawało się poganom przekonanie chrześcian, że jeden jest Bóg, a następnie jedna tylko może być prawdziwa religia. Tego nie mogli pojąć, aby mogła być jedna wiara dla wszystkich narodów, pokoleń i wieków, zawsze ta sama, a zawsze świeża i nieskażona. Tak i dzisiejsi poganie nie mogą i nie chcą tego rozumieć, że kościół założony przez Chrystusa nie może być z istoty swej innym, jak jednym i powszechnym bo jest przeznaczonym dla całej ludzkości, a nie dla jednego wyłącznie państwa lub narodu, że zatem kościół katolicki

czyli chrześcijański nie zna granic ani czasu ani miejsca. Co było w nim przed tysiącem lat prawdą, jest nią i dziś, co było moralnie dobrem lub złem, jest jeszcze dziś. Ile kroć razy tedy państwa i ich naczelnicy obalamuceni zostali pogańskimi teoryjami o wszechmocności swojej, tyle razy kusili się potargać jedność kościoła i oderwać od jedności, a potem podbić sobie pod swoje rozkazy tę część jego, której przemoc ich osiągnąć mogła. Tak marzono od wieków o utworzeniu *kościół narodowych, krajowych i państwowych*. Postawienie w miejsce kościoła Chrystusowego, obejmującego cały świat, małego, ciasnymi granicami państwa lub narodu zakreślonego kościoła, wyrwanego z całości budowy, bez ducha i siły, poddanego i organizowanego podług dowolności wszechwładnego państwa i wplecionego w jego machinę rządową, to było, zawsze życzeniem gorącym despotyzmu, a logiczną konsekwencją nauki pogańskiej o absolutnem państwie. Skoro niepodobnem było wytepić całkiem prawdy chrześcijańskiej, trzeba było tymczasowo poprzestać na takim jej skrępowaniu i podbiciu wszechwładzy państwa, aby mu nie była w stanie zawadzić.

Tym torem puścił się rząd pruski czyli kanclerz nowo zbudowanego cesarstwa. Utworzenie *kościół narodowego niemieckiego*, zlanie się katolicyzmu z protestantyzmem było tymczasowo najwyższym patryotów ukrytym celem. Do osiągnięcia tego celu narodowego i zarazem najświętszego, bo w ich wyobrażeniach nic świętszego już być nie mogło nad bóstwo narodowe, godziło się wszelkich użyć środków, jakich dotychczas we wszystkich innych wyprawach używano. Oderwanie zatem katolików cesarstwa niemieckiego od jedności kościoła, a w razie oporu prześladowanie aż do wystąpienia jest usprawiedliwione i uświęcone celem utrwalenia jedności narodowej. Można było temu bałwanowi narodowemu i państwowemu złożyć na ofiarę Polskę, można było nawet dzieci polskie zmuszać do chwalenia go po niemiecku, cóż przeszkadzało, aby się i na kościół katolicki nie targnąć. Prawa przyrodzone nie mniej są boskimi od tych, które nam w nadprzyrodzony sposób objawione zostały. Oto jest *causa finalis persecutionis Borussicae*.

W idei „absolutnego państwa“ i w jej rozpowszechnieniu w umysłach intelligencji niemieckiej mamy najgłębszą przy-

czynę możebności, a w utworzeniu narodowego kościoła niemieckiego najbliższy cel tego prześladowania. Te dwie rzeczy są niewątpliwe, przyszłość sprawdzi je niezawodnie. Do tego dodajemy, że myśl *kościół narodowy* jak w innych krajach tak szczególnie w Niemczech, gdzie od trzech lat zakorzeniona nienawiść do Rzymu dodawała temu pomysłowi potęgi i popularności, nie była nową, ale ciągle, a szczególnie od upadku Napoleona I. odzywała się w patryotach niemieckich. W niezgodzie bowiem religijnej upatrywali przyczynę osłabienia i upadku politycznego Niemiec. Mniemano zatem, że taki kościół narodowy zaspokoi z jednej strony potrzeby religijne ludności niemieckiej, a z drugiej strony przywróci jedność polityczną Niemiec a zniży potęgę i znaczenie. Pomysł ten zawracał głowy akatolikom. Co sobie ci mędrcy pod tym kościołem narodowym wyobrażali, trudno odgadnąć, sami tego nigdy nie wyjaśnili. Najpewniej, że sami nie rozumieli swego pomysłu, bo zrozumieć wyłożyć rzecz choćby najtrudniejszą, można, ale niedoręczności nigdy. Kanclerz, który się umiał rachować z siłami wszelkiego rodzaju i nie nie zwykł odrzucać. co mu do celu posłużyć mogło, pochwyił pomysł ulubiony patryotów niemieckich raz z powodu, że był zgodny z jego ideami o państwie, że mu się wydawał najskuteczniejszą być spójnią świeżo co dopiero przezeń zbudowanej jedności. Widział, że po roku 1870 rozbudzony i do szaleństwa rozbijały szął narodowy będzie jego potężnym sprzymierzeńcem, któremu garstka „ultramontanów“ oprzeć się nie zdoła. Nie przypuszczał pewno, aby szął ten nie miał i katolików niemieckich porwać i w masach do odstępstwa przywieść. W imię narodowości, jedności i potęgi niemieckiej wszystko było godziwem — za tego nowego Boga mieli katolicy i wiarę swoją zaprzędać. Mylne przypuszczenie, że intelligencya katolicka równie jak protestancka już jest pozbawiona wiary, że zatem z motłochem tylko będzie do czynienia, zaślepiło do reszty kanclerza tak, iż się pierwszy raz w zawodzie swoim politycznym puścił torem doktrynaryzmu profesorów.

Z tą fałszywą ideą o „absolutnem państwie“ i jej logicznymi konsekwencyami w ścisłym znajduje się związek inna doktryna uczonych niemieckich, a zwłaszcza pruskich, a jakiejś wielkiej historycznej misji Prus. Czem właściwie jest ta misja,

w czem się ma spełnić, każdy podług swego widzimi się przedstawia, ale żaden ścisłego o niej wyobrażenia nie daje, bo go niewątpliwie sam nie ma. Dość, że Prusy mają podług tych opinii wielką misją do spełnienia nie tylko w Niemczech, ale nawet w ludzkości. Misja ta, jak wszystko w tych filozoficznych systematach, spełnić się musi z taką nieubłaganą koniecznością, jak się wypełniają prawa przyrodzone. I to posłannictwo Prus jest absolutne, góruje ponad prawem, sprawiedliwością i słuszością. Wszystko, co mu się opiera, nie ma racji bytu i musi być obalone i zniwelowane. To mistyczne posłannictwo nazwano „*borussyanizmem*.“ Takie wyobrażenie o zadaniu pewnego państwa może się tylko w tych głowach wylądź, które już są opętane ideą „absolutnego państwa.“ Jest to tylko zastosowaniem tych wyobrażeń teoretycznych na Prusy, z tąd ten ścisły związek pomiędzy tą ideą państwa wogóle, a *borussyanizmem*. Treść tego posłannictwa jest zupełnie dowolna. Polityk wyobraża sobie wielką potęgę i świetność, teolog tryumf protestantyzmu nad katolicyzmem, liberał organizacją państwa podług jego ulubionych zasad itd. Ale każdy mniema, że w tym pochodzie Prus wszystko, religia, moralność, prawo z drogi się musi namykać, bo nic w obec tego *absolutu* nie ma prawa do opierania mu się, kroczy bowiem torem konieczności historycznej. „Prusy, mówi jeden z tych fantastów, (I. G. Droysen) obejmują tylko ułamki kraju i ludu niemieckiego, ale do istoty i trwałości tego państwa należy owo posłannictwo do całości, której części dalej a dalej zagrabia. W tem posłannictwie ma swoje usprawiedliwienie swoją siłę. Państwo to przestałoby być koniecznem, gdyby swego powołania mogło zapomnieć.“ Häusser miesza do tego posłannictwa i protestantyzm.

Ten *borussyanizm*, jakkolwiek fantastyczny i w treści swej pusty, ogarnął jednak umysły intelligencji pruskiej, a powodzenie lat ostatnich niesłychane zamieniło go nieoedwie w dogmat. Szkodliwość i niebezpieczeństwo takiego doktrynaryzmu są oczywiste. Co bowiem z istoty swej jest koniecznem, niezbędnem, jak każde prawo przyrodzone, musi tem samem mieć nietylko prawo bezwzględne do urzeczywistnienia się, ale nadto muszą wszelkie warunki i środki do tego celu użyte także być uprawnione czyli godziwe bez różnicy, czy są złe

lub dobre. Jeżeli tedy do posłannictwa tego Prus należy pomiędzy innemi i założenie narodowego kościoła niemieckiego, natenczas musi się to drogą konieczności czyli gwałtu spełnić bez względu na środki, jakich do tego użyje, godziwych czy niegodziwych, bez względu na rzecz samą czy zła czy dobra, bo co absolut ten chce, musi wszystko być dobrem a co mu się opiera, jest tem samem złem.

W państwie zatem takimi wyobrażeniami opanowaniem, a szczególnie w sferach rządowych jakież może być położenie kościoła katolickiego? Kościół, który wyznaje i ogłasza prawdy wieczne, niezmiennie i bez zaparcia siebie nigdy ich się nie wyrzeka, musiał najpierw z temi zasadami a gdy zasady stały się prawidłem działania, z czynami takiego rządu wniknąć w kolizyę. Temu borussyanizmowi kroczącemu drogą rzekomej konieczności historycznej nie mogły się prawdy objawione wiary i moralności uamykać z drogi, a kościół ogłaszający je światu nie mógł ich się zaprzeczyć i ścieląc się nowemu bałwanowi pod stoszy, nazwać fałszu prawdą, a prawdy fałszem, dobrego złem a złego dobrem. Co zaś stoi na zawadzie temu pochodowi konieczności borussyanizmu, co mu się nawet śmie opierać, traci tem samem prawo bytu, musi być startem i zniszczonem. Skoro tylko rząd pruski przyjął ten fantastyczny doktrynaryzm za prawidło postępowania, co już polityka zagraniczna, a mianowicie wojna Austriacka była udowodniła, nie zmienił go i w polityce wewnętrznej, w której kościół katolicki był najpotężniejszym i najniebezpieczniejszym wrogiem tego nowoczesnego bałwochwalstwa. Trzeba go tedy było koniecznie albo całkiem z Niemiec wypędzić jak Austrię, albo przynajmniej w niewolę borussyanizmowi tak poddać, aby celom jego służyć musiał. O zdeptanie najświętszych praw, sprawiedliwości, słuszności o łamanie wiary, najuroczystszych przyrzeczeń królewskich, gwałcenie konstytucyi, wcale się nie pyta borussyanizm, bo wola jego absolutna musi być spełniona, środki, których używa posłannictwem jego są usprawiedliwione. Takie usposobienie umysłów intelligencji pruskiej i niemieckiej nie tylko było przyczyną rozpoczętego dzieła zniszczenia, albo zarazem i potężnym środkiem do wykonania tego zamiaru — *causa instrumentalis persecutionis*.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że tylko ten doktrynaryzm wchodził w rachubę. Ważną także odgrywała i odgrywa tu rolę strona religijna. Wszystkie odwieczne i zastarzałe uprzedzenia i nienawiści protestantów do kościoła katolickiego były wzięte w rachubę a zwłaszcza, że się w dekrecie Watykańskim nadarzyła tak pomyślna pora do ich rozdmuchania i rozżarzenia. Są one wprawdzie przyczyną także, ale niemniej zarazem środkiem, bo są wiernym rządu przymierzeńcem, a szczególnie w niższych warstwach ludu protestanckiego. Chociaż protestanci rozpadli się na tyle prawie sekt, ile głów to jednak, gdy chodzi o pogwałcenie kościoła katolickiego, wszyscy przeciw niemu stają w szeregiach do boju. Ta negacya łączy i Żydów z nimi. Od najdawniejszych czasów zawsze herezya miała w Żydach swoich sprzymierzeńców przeciw kościołowi katolickiemu, jakżeby w obecnym czasie mogło być inaczej? Najgłówniejsze zasady borussyanizmu są, jakby z Talmudu wzięte o „ludzie wybranym.“ Potrzeba je tylko zastosować do Prusaków. Nie jest to rzeczą przypadkową, że w Niemczech szczególnie, gdzie zasada bezwzględna użyteczności stała się jedynym prawidłem polityki zagranicznej i wewnętrznej, Żydzi do tak wielkiego przyszli znaczenia. Wszakże to jest ich właściwy żywioł, w którym się czują swobodni jak ryba w wodzie.

Niezliczone sekty protestanckie są w dwóch głównie kierunkach reprezentowane. Jeden rozwijając konsekwentnie fundamentalnie ujemne założenie rzekomych reformatorów szesnastego wieku, dobił do ostatecznego kresu negacyi, do nihilizmu. Nie uznaje absolutnie żadnej powagi w nauce wiary i obyczajów, otrząsnął się w tym postępie nie tylko z wiary w bóstwo Chrystusa, ale w ogóle w Boga i uznaje jedyne bóstwo w „absolucie“ państwa. Najwierniejszymi tego kierunku sprzymierzeńcami są Żydzi. Wszelka tedy wiara oparta na nadprzyrodzonym objawieniu boskiem, wszelka powaga w rzeczach religii czy u katolików czy u protestantów zarówno im jest obmierzła. Schodzą się w tym punkcie zupełnie z teoryami o „absolutnem państwie.“ W ich systemie jest wszelka powaga w rzeczach religii, wszelki kościół, wszelkie wyznanie w zasadzie swej zbytecznem, złem, które musi być uchylone. Religia, jeśli jej ktoś czuje potrzebę, jest jego rzeczą prywatną

indywidualną. Dla tego nie może być cierpiana jako instytucja ani w państwie ani w społeczeństwie ani w szkole ani w rodzinie; z tej zarazy muszą być wszystkie instytucje państwa oczyszczone. Jak „państwo absolutne“ rozbija społeczeństwo świeckie na atomy w swoich konsekwencyach, tak stronnictwo liberalne w łonie protestantyzmu rozciąga religię swoją absolutną negacją. To wypędzenie religii z całego obszaru życia publicznego i zamknięcie jej szczelnie w jednostce jest rzeczywiście eufemizmem tylko dla mas wykształconych i niewykształconych, które nie są w stanie rzeczy do gruntu rozpoznać i czczemi frazesami, jak: „religia w sercu tylko zamieszkać powinna, w niem tylko należy się ołtarz Najwyższemu budować“ daje się wywieść w pole. Wszakże w procesie prowadzonym przeciw Ks. Kanonikowi Kurowskiemu powążył się prokurator Królewski w Poznaniu uderzyć w te szumne frazesy, których pewno sam nie rozumiał. Bo w systemie tym, jak to już z tem cośmy poprzednio powiedzieli jasno się pokazuje, nie może wogóle o religii być mowy. A czego wogóle nie ma, co nie ma żadnego warunku egzystencji, tego także nie można zamykać w sercu pojedynczego indywiduum, aby tam ołtarze Panu Bogu stawiało. Bo czyż jednostka będzie zbiorowemu bogu „absolutowi państwowemu“ którego sama jest częścią, cześć religijną oddawać? Jestże to wogóle rzeczą podobną?

Ten sposób mówienia ubarwiony jeszcze czasem słowy Chrystusa Pana jest w istocie tylko „świecącą bańką wewnątrz pustą“ wędka na nieświadomych, którzy przecież słyszą, że o religii mowa i do tego o religii, która w sercu człowieka zamieszkać powinna. Cóż tedy ci ultramontanie chcą? Wypędzić religię z serca ludzkiego, aby w formach zewnętrznych utonęła? Oto jest płytkie rezonowanie, jakie w tajemniczeniu w teorye umiejętnie, a ciemnie, rzucają ludności na powszechną strawę i jej wątpliwości zaspakajają. Podobnie i z politycznego stanowiska podają jej jako głęboką mądrość utarty frazes: „Kościół katolicki niezgodny jest z nowożytnym organizmem państw, bo jest stanem w stanie, państwem w państwie.“ Tak, i na pozór mądre słowo zaspakaja zupełnie tak nazwaną czytającą publiczność, która się karmi okruchami spadającymi ze stołu mędrców. Ale nikomu z nich nie przyjdzie do głowy

zapytać się: a czemuż to rodzina, gmina, prowincya autonomiczna nie jest stanem w stanie, państwem w państwie? Dla czegoż w tych sferach domagają się wszyscy pewnego samorządu, pewnej niepodległości wobec wszechmocności państwa? Czyż te drobne organizmy, które w pewnych odrębach spełniają zadanie państwa nie wkraczają wyraźniej i wydatniej w interesa państwa, aniżeli kościół, który się nie doczesnymi sprawami, ale jedynie duszą człowieka zajmuje? Dla czegoż ten frazes ma być tylko na niepodległość kościoła zastósowany?

Ten kierunek konsekwentnego protestantyzmu, który reprezentuje rozgałęzione stowarzyszenie protestanckie (Protestantenverein), jest wraz z żydami na polu religijnem najwierniejszym i najliczniejszym sprzymierzeńcem rządu, który obecnie jego idee, życzenia i marzenia rzeczywiście wykonywa. Gdyby przywódcy tego kierunku sami machiną rządu kierowali, możeby w tym razie nie śmieli tak nagle i gwałtownie swoich najulubieńszych opinij urzeczywistniać, jak to czyni terażniejszy rząd pruski. Ludzie tej faryny zarówno wprowadzie nienawidzą ortodoxyi luterskiej, kalwińskiej, jak katolickiej, ale obecnie na te resztki roztoczonej już nauki chrześcijańskiej nie zwracają nawet uwagi, a natomiast całemi siłami biją w Kościół katolicki. Czynią to nietylko z powodu, aby w wierzących protestantach nie stracić sprzymierzeńców, ale głównie z tego, że w tych niedobitkach nie masz już siły i potęgi wiary, któraby im się oprzeć nie już zdołała, ale nawet śmiała. Ducha, siłę i potęgę czują tylko w kościele katolickim. Nie tają się nawet z tem i mówią otwarcie: „Byleśmy tylko pokonali kościół katolicki, to protestancką ortodoxyą zdmuchniemy, jak pył z starej książki.“

Mimo to wierzący protestanci z małemi nader wyjątkami nie widzą albo nie chcą widzieć tego niebezpieczeństwa, jakim terażniejsze postępowanie rządu i ich wyznaniu oczywiście zagraża. Zakorzenione przesady, uprzedzenia, nienawiści i drobiazgowe zazdrości zaślepiają ich zupełnie. Pojedyncze głosy, które się do nich odzywały, były głosem wołającego na puszczy. Niezmierna ich większość pracuje wspólnie z nowoczesnymi poganami nad podkopaniem chrześcijańskich prawd i zasad, wspiera rząd całemi siłami i oświadcza głośno, że

„w wyprawie tej przeciw Rzymowi całym sercem mu towarzyszy.“ To popieranie rządu w oczywiście złej sprawie jest dla tych, którzy nie mają wyobrażenia o istocie herezyi, niepojętą zagadką. Pierwsi radykalni nihiliści wyrzekli się już Boga i Jego objawienia, nienawidzą więc to, z czem sami zrobili rozbrat, co za przesąd i zabobon uważają, Ale po tych, którzy się jeszcze chrześcianami być mienią i do zasad chrześciańskich przyznają, należałoby się innego postępowania spodziewać. Oto są owoce herezyi! Fakt taki uderzający powinien być dla katolików nauką i przestrogą i przekonać ich o dziwnej mądrości Kościoła, który od czasów apostolskich przed niczem tak usilnie i troskliwie nie upominał wiernych, jak przed herezyą. Prześladowanie aryańskie nie mniej było uporczywe i okrutne.

Protestanci od kolebki nie mieli niezawisłego zarządu kościelnego. Sami sprawcy tej herezyi oddali siebie i swoją naukę od początku władzy świeckiej, bez którejby się nie byli mogli utrzymać. Odtąd panujący w kraju był dla nich i jest dotąd najwyższą powagą kościelną *summus episcopus regni*, a instytucja, którą zowią kościołem stała się gałęzią administracji świeckiej tak samo, jak policja, szkoły i t. d. Lepszy z pomiędzy protestantów ubolewali często nad tym opłakanym stanem kościoła ewangelickiego, ale jakże było z zasady fałszywej wywieść prawdziwe konsekwencje? Logicznem następstwem negacyi był tylko i jest dotąd nihilizm. Lecz ten przerażał i przeraża religijne serca. Mocą tylko niekonsekwencji a raczej sprzeczności mogli się jako piąte koło u woza w tej machinie rządowej często bardzo niewygodnej utrzymać. Z zazdrością przeto spoglądali na Kościół katolicki, a zwłaszcza od czasu konstytucyi, że mógł z niej za pomocą swej organizacji z praw nią zabezpieczonych korzystać i pewną niezawisłość utrzymać. Ta zawiść przebiegała się i w dyskusjach parlamentarnych i w pismach publicznych. Cieszyli się tedy, że Kościół katolicki gwałtem w te same kajdany okuty zostanie, które oni od początku dla utrzymania swej powagi dobrowolnie nosili. Rząd zaś przez usta Roona zapewniał ich w pruskiej Izbie panów, że wszystkie kroki nieprzyjazne Kościołowi wymierzone są jedynie przeciw katolikom. Bezwładność, niemoc zupełna protestantyzmu wobec rządu, w którego organizm był wple-

ciony, mściła się parta zazdrością na kościele katolickim za to, że nie może ani pod względem wpływu na lud ani pod względem wewnętrznej siły i potęgi Kościołowi katolickiemu sprostać. Dziecko dla tego, że słabe, wywiera swoją siłę tylko krzykiem. Protestanci sami byli sobie swej zupełnej bezwładności świadomi. „Wśród tych okoliczności ze wszech miar niepomysłnych i krytycznych, mówi jeden z nich, (Fabri) ma kościół ewangelicki usta jak gdyby całkiem związane; od dawna wkreślony w machinę rządową państw pojedynczych, ogołocony został z wszelkiej inicjatywy. Nie tylko nie jest w stanie nic działać, nie tylko nie śmie w legalny sposób mówić, swoich życzeń, wątpliwości i wniosków wypowiedzieć, ale jest całkiem wydany na łaskę i niełaskę władzy państwa, która może z nim zrobić, co jej się podoba.“ To poczucie własnej niemocy spoglądało zawistnem okiem na bujny i pomysłny rozwój kościoła katolickiego. Potrzeba było tylko te tłące namiętności poruszyć, aby w nich znaleźć sprzymierzeńca wiernego. O tem wiedział rząd pruski bardzo dobrze i dlatego uderzył w tę słabą stronę protestantyzmu na wszystkich punktach.

Takie było usposobienie umysłowe i moralne w protestanckiej intelligencji niemieckiej, a mianowicie pruskiej, w profesorach, biórokracyi i najwyższych sferach rządowych. Polityczne teorye, uprzedzenia i niechęci łączyły się zupełnie z religijnymi. Potrzeba tylko było pomysłnej pory do spełnienia najulubieńszych pomysłów, najgorętszych życzeń i do wywarcia długo powściąganej i troskliwie tajonej słodkiej zemsty na Kościele katolickim. Zemsta ta miała być zadośćuczynieniem za urojone krzywdy.

Ta pora nadeszła po pobiciu Austrii i powaleniu Francji. Ani z jednej ani z drugiej strony nie było już obawy, a zwłaszcza dla zachodnich prowincyj katolickich. Najbujniejsza wyobraźnia nie była zdolna pomysłniejszej wymyślić pory nad tę. Po pokonaniu nieprzyjaciół ościennych, pozostał jeszcze do zwalczenia, jak się rząd sam tylokrotnie wyrażał „nieprzyjaciół wewnętrznych“ a nim była religia katolicka. To była jedyna jeszcze potęga, nie w bagnety ale w wiarę uzbrojona, która czołem nie uderzyła przed bałwanem wszechmocnego „państwa absolutnego.“ Naczelnicy i kierownicy tej

wszechmocnej maszyny czuli instynktowo, że najsilniejszego i najwytrwalszego przeciwnika zasad, jakimi się rządzą, znajdują w odwiecznej nauce kościoła katolickiego. Trzeba tedy wszelkich użyć środków, aby go zgnieść i raz na zawsze nie-szkodliwym uczynić. Jakoż po ludzku sądząc, wszystkie okoliczności, cała konstellacya polityczna tak oczywiście temu planowi sprzyjała, iż przeprowadzenie jego zręcznemi, a godziwemi i niegodziwemi środkami kierowane na pozór wątpliwości ulegać nie było powinno. Przemoc materyalna nad miarę, za nią opinia publiczna, uniesienie patryotyczne i cała intelligencya. Jakże tu było wątpić o pomyślnym skutku wyprawy!

Głowa Kościoła uciśniona, od wszystkich rządów katolickich opuszczona, zdawało się, że uciemiężonemu Kościołowi w Niemczech żadnej skutecznej nie będzie w stanie dać pomocy. Co więcej postarano się już z Wersalu o to, aby Ojca św. pozbawić Rzymu, ostatniego zadatku wolności i swobody działania. Włochy obdarzone przez zwycięstwa pruskie Wenecyą i nareszcie Rzymem pozostaną, jak się spodziewano, w politycznej zawisłości od Berlina i powolności dla jego życzeń. Przypuszczano nie bez racyi, że rząd włoski, będąc oddawna już Prusakiem we Włoszech, będzie Prusaka wszelkimi sposobami wspierał także w Niemczech, gdyż to ta sama sprawa. Kościół katolicki nie jest narodowym, nie jest zamknięty w ciasnych granicach pewnego narodu, pewnego państwa, ale jest z założenia swego, z woli boskiego mistrza swojego katolickim czyli powszechnym. Chociaż tedy część jego w Niemczech, w Prusach zostanie pogiębioną, byłoby to dlań dotkliwą stratą, nie przestałby jednak być tem, czem z woli Zbawiciela jest t. j. kościołem katolickim. Chcąc go tedy skutecznie u siebie zwalczyć, trzeba było w głowę jego, w centrum jedności ugodzić. W tej myśli wezwał Bismark już w Wersalu rząd Włoski do zaboru Rzymu, a gdy się gabinet włoski przez wzgląd na Francją wahał, odpowiedział: „albo teraz albo nigdy.“ Zdawało mu się tedy, że za pomocą sprzymierzeńca włoskiego będzie miał i papieża w swej mocy. Nadto podeszły wiek Ojca św. zdawał się sprzyjać tym strasznym zamachom. Nie spodziewano się wcale, aby w wieku słabości, chorobliwości znalazła się odpowiednia takim wypadkom siła i energia. Trudno zaprzeczyć, że chwila ta była jakby na ten cel dana, że

plan misternie obmyślany. Ale czemże jest „*mądrość mądrych i roztropność roztropnych*“ wobec zrzążeń Opatrzności!

Wśród tych okoliczności cóż mogło być pożądańszego dla rządu pruskiego nad *opozycją* w synodzie watykańskim podtrzymywaną szczególnie przez biskupów niemieckich i pruskich? Spisek „umiejętności niemieckiej z dyplomacją pruską“ na rok prawie przed zebraniem się soboru uknuty, o którym wyżej była już mowa, znalazł w tej mniejszości pozorny punkt oparcia, pozorny argument przeciw Kościołowi. Wyzyskiwała tedy ta intelligencya Monachijska ten przedmiot na najobszerniejsze rozmiary, a cała prasa płatna roztrąbywała te fałsze na wszystkie strony świata i bałamuciła opinią wiernych nawet katolików. Ci sami profesorowie, którzy przed zebraniem się jeszcze soboru już dlań kuli kajdany i usiłowali skłonić rządy do wywierania nań nacisku czyli ścieśnienia jego wolności i swobody, teraz gdy ich te nadzieje zawiodły, wmawiali w publiczność, że sobor nie używał potrzebnej wolności i niepodległości, że zatem nie jest soborem ważnym, powszechnym, a następnie dekreta jego nie zobowiązują katolików w sumieniu. Robili nawet rządowi bardzo miłe wyrzuty, że biskupów niemieckich znajdujących się w opozycji nie popierał. Gdyby biskupi byli pewni opieki rządu, nie byłiby z pewnością ulegli większości, ale przeciw jej uchwałom zaprotestowali. Nie było oddawna sprawy, któraby rozsiewanemi przez prasę płatną fałszami tak została wykrzywioną i opacznie przedstawioną, jak sobór watykański. Rządowi pruskiemu było to bardzo na rękę, bo w tej mętnej wodzie najwygodniej mógł łowić. Przypuszczał nawet, że lubo nie wszyscy, to przynajmniej niektórzy biskupi z grona opozycji, skoro będą pewni opieki rządu, przychylią się na stronę opinii publicznej w Niemczech czyli na stronę patryotyczną. Tem więcej mógł się tą płonną nadzieją łudzić, im głośniejsze były zapewnienia Döllingera i towarzyszy, że „tysiące duchownych za nim stoją.“ Choćby tylko jeden z pomiędzy biskupów niemieckich był chciał zostać pruskim prymasem a raczej papieżem, jużby był kamień węgielny do narodowego kościoła niemieckiego założony, jużby rząd był miał pewny punkt oparcia.

Do tych błahych nadziei i widoków nie dali nawet biskupi niemieccy słusznego powodu. Najpierw krom może je-

dnego, nie oświadczała się biskupi niemieccy przeciw rzeczy samej, przeciw dogmatowi o nieomyślności papieża, ale raczej przeciw stósowności chwili (*opportunitas*), którą uważali za niebezpieczną dla Kościoła. Znając bowiem usposobienie kraju, przewidywali, że nieprzyjaciele Kościoła będą ztąd wywodzić najdziwniejsze konsekwencye na szkodę Kościoła. I po ludzku sądząc, mieli rację. Ale czyż wzgląd taki na jedną część kościoła mógł być dostatecznym dla powszechnego soboru powodem do zamilczenia prawdy, jeśli ztąd inąd uważał, że należy ją deklarować? Na groźby wycofania załogi francuzkiej z Rzymu na przypadek, gdyby sobór przy definicyi nieomyślności papieża obstawał, odpowiedział Ojciec św.: „Takimi argumentami nie może się rządzić namiestnik Chrystusa.“ A sobór powszechny miałże się niemi rządzić?

Powtóre, biskupi ci wszyscy wnieśli z sobą do soboru to przekonanie niewzruszone, że to, co Duch św. przez najuroczystszy organ prawdy nieomyślnie postanowi, będzie także i dla nich wyrokiem nieomyślnym. Cóż więc dziwnego, coś niesłychanego w tem, że schylili swe głowy przed wyrokami Ducha św.? Czyż mógł kto przypuścić z pokrzywdzeniem tych zacnych biskupów, że przyszli na sobór z przekonaniem o własnej nieomyślności, jak monachijska „umiejętność niemiecka?“ Z jakim sumieniem można im było zarzucać chwiejność i niestateczność w ich postępowaniu? Jakimi poszli na synod, takimi w gruncie pozostali. Wzięli z sobą na sobór głęboką wiarę w nieomyślność Kościoła, a schylając głowy przed uchwałami soboru, stwierdzili czynem, w co dotąd wierzyli i czego nauczali. Czyż to nie jest postępowaniem prawdziwie katolickiem i od wieków praktykowanym? Potrzebaż było, aby aż postępowiec Kirchmann pouczał liberałów i protestanckich i katolickich, że w tem nie masz nic uderzającego? Że co do niektórych punktów byli odmiennego zdania od większości, coś w tem niezwykłego? Nie byłoż to samo przed i w czasie wszystkich soborów powszechnych począwszy od apostolskiego w Jerozolimie? Gdyby nie było tej różności zdań przed soborem, byłżeby w ogóle sobór potrzebny, miałżeby jaki cel? Jakże można było robić tym biskupom zarzut, jak go logicznie uzasadnić, że się uchwałom soboru poddali?

Ci, którzy biskupom niemieckim tak nierozumne zarzuty robili, nie mogli tego myśleć na seryo. Zarzuty te były raczej tylko wyrazem uczucia zawiedzionych nadziei, gniewem na to, że dotrzymani Kościołowi wiary, dąsaniem się, że w gronie ich nie było ani jednego apostaty, czego owa opinia spiskiem wywołana tak gorąco pragnęła. Dopóki na synodzie byli w opozycji, wynosiła też prasa wynajęta pod niebiosa ich głęboką naukę, ich zacność charakteru, ich odwagę z oświadczeniem, że całe Niemcy katolickie za nimi stoją. Skoro tylko dopełnili swej najświętszej powinności sumiennie, wyroki soboru całem sercem uznali i w dycecyjach swoich ogłosili, brakło im wyrazu dość mocnego na uwydatnienie ich nieuctwa, znieważenie ich charakteru, wyszydzenie ich trwożliwości. Jak pochwały w pierwszym kierunku im sypane odpierali od siebie, jako zniewagę im wyrządzoną, tak potem na obelgi odpowiadali milczeniem pogardy.

Gdy ani pochwały ani nagany i zniewagi w niczem nie zachwiały stałości biskupów, obiecywano sobie jeszcze, że środki przymusowe, kary pieniężne i więzienie złamią i skruszą ich „upór“. Liczono na to tem więcej, im głośniej roztrębowano w opinii publicznej, że zawistość od Rzymu czyli, jak się wyrażano „to jarzmo Rzymskie“ już biskupom niemieckim obmierzło. Tak się przynajmniej odzywały nietylko organa prasy rządowej, ale i głosy poufne w sferach rządowych.

Te mylne zdania, sądy, przypuszczenia i nadzieje miały źródło swoje w najzupełniejszej nieznajomości istoty i natury soboru katolickiego. Mniejszość biskupów reprezentujących różne od większości zdanie, uważano za frakcyą parlamentarną, za stronnictwo polityczne, które, chociaż chwilowo ulegnie większości, nie wyrzeka się jednak przyjętych przez siebie zasad i opinii, ale przeciwnie pracuje poza parlamentem usilnie nad tem, aby swoim zasadom na przyszłość zdobyć większość i panowanie. Ztąd mamy te ustawiczne fluktuacye i zmiany w rządach parlamentarnych, w których raz te, drugi raz owe zasady i osoby je reprezentujące przychodzą do rządów, do władzy. Co w pewnem państwie przed kilku lub kilkunastu laty było fałszem, zbrodnią stanu, staje się później zasadniczą prawdą i fundamentalnem prawem państwa. Przed rokiem 1848 był konstytucjonalizm w Prusach zbrodnią stanu i w roku

1847 jeszcze powiedział Fryderyk Wilhelm IV, że „pomiędzy nim, a ludem, nigdy, nigdy nie będzie świstka papieru.“ A dziś odwrotnie, zamach na konstytucyą byłby zbrodnią stanu. Jakże tedy Kościół, którego nauka przez Syna Bożego ogłoszona, którego konstytucya przez Niego założona, takim ulegać może zmianom i przewrotom? Byłże w dziejach Kościoła blisko od dwóch tysięcy lat aby jeden przykład, któryby wykazywał, że to, co jeden sobór powszechny w rzeczach nauki wiary i obyczajów postanowił, drugi lub trzeci z późniejszych zniósł lub zmienił? Jestże aby jedna herezya, począwszy od Cerynta (za czasów Ś. Jana Ewangelisty) aż do „Starokatolików,“ którą Kościół za prawdę objawioną uznał? Nie jestże nauka Aryusza, Gnostyków, Nestoryusza, Eutychesa, Pelagiusza itd. tak samo dziś potępiona, jak została odrzucona w synodzie Nicejskim i następnych? W narodach zaś i państwach jaśniej dziś jako prawda nietykalna, co kilka lat przedtem było herezyą zagrożoną karą śmierci. O ile zatem w organizmach świeckich mają miejsce frakcyje parlamentarne i stronnictwa polityczne z swojemi programami przyszłości, o tyle w soborze powszechnym katolickim każda tego rodzaju frakcyja nosiłaby już na sobie piętno herezyi podobnie jak Aryusze, Nestoryusze i t. p. Frakcyja parlamentarna wchodzi do Izby z programem gotowym w intencji osiągnięcia dla swoich zasad politycznych zwycięstwa, a gdy pobita zostaje, nie ma i nie miała myśli uznania prawdy niezmiennej w głosie większości, ale pozostaje nadal przy swoim, ulega konieczności, nie zaś uznanej a priori prawdzie. Inaczej biskup katolicki. On nie wstępuje do soboru z gotowym programem; z zamiarem przeprowadzenia swoich zdań tak w soborze jak poza soborem, ale w intencji sumiennego wypowiedzenia swoich przekonań i przedewszystkiem przyjęcia za nieomylną prawdę wyroków Ducha Ś. Nie ulega przeto konieczności tylko, zachowując w duszy prywatne swoje zdanie, jakoby sam był nieomylnym, ale przeciwnie, prostując swoje dotychczasowe przekonanie, przyjmuje orzeczenie soboru całym sercem, nie jako votum stronnictwa większości, które kiedyś może być w mniejszości, lecz jako nieomylną prawdę wypowiedzianą przez organ na ten cel przez Zbawiciela samego ustanowiony. Nie było zatem nic przewrotniejszego nad ocenianie mniejszości soboru

Watykańskiego podług prawideł stronnictw parlamentarnych. Na tem się zawiedła „umiejętność niemiecka“ i zgutowała gorzszy zawód rządowi pruskiemu. Nadzieje tedy znalezienia sprzymierzeńców nader pożądaných w łonie samego soboru, jakkolwiek nie znającym rzeczy uśmiechać się zdawały, spełzły na niczem. Co innego jest rozbić stronnictwa polityczne niewygodne, a co innego rozerwać węzeł wiary.

Do tych wszystkich pomyślnych dla rządu okoliczności należy jeszcze policzyć entuzjazm narodowy, posunięty do szału zawracającego głowy. Była to dla rządu w sprawach polityki wewnętrznej potęga niezrównana. Wydawało się, że się jej nic oprzeć nie zdoła. Najulubieńsze pomysły i idee Niemców, najgorętsze ich życzenia i ideały, które poeci opiewali, uczeni profesorowie z katedr głosili, politycy o nich marzyli, młodzież do nich wzdychała, gorętsi patryoci za nie szli do więzień, na wygnanie i śmierć, to wszystko spełniły Prusy i do tego takimi świetnemi zwycięztwami oręża niemieckiego. Cóż bohaterowi, który takiego dzieła dokonał, mogło się wydawać niepodobnem do przeprowadzenia w Niemczech? Wszystkie najpoważniejsze i najsilniejsze stronnictwa pruskie, które dotąd przeciwnych zupełnie trzymały się zasad, rozprysły się na atomy i przed powodzeniem takim padły na kolana. Ludzie stanu rachujący się li tylko z siłami przyrodzonymi nie przypuszczali wcale, aby temu gwałtownemu i potężnemu prądowi patryotycznemu śmiała się opierać garstka katolików. Owszem mniemali, że szął ten większość katolicką także ogarnie i obalamuci tak, iż na okup tak wielkiej potęgi i świetności Niemiec, chętnie resztki, jak mniemali, obumarłej już wiary, poświęcą. Powszechnie bowiem przyjętym jest frazesem pomiędzy protestantami tak wierzącymi jak niewierzącymi, że Kościół katolicki jest już trupem, szkieletem bez życia, który za pierwszym silnem uderzeniem w proch się rozsypie. Jakżeby tedy ten trup był w stanie wytrzymać tak potężne i natarczywe parcie patryotyzmu niemieckiego a zwłaszcza w samych Niemczech? W nadętej pysze nie przypuszczali wcale, aby oświecona klasa ludności katolickiej trzymała jeszcze szczerze z Kościołem. Jak Celsus i pogańscy filozofowie, tak sądzili i terażniejsi, że to tylko jest pokarm dla ciemnego społeczeństwa, które będzie można tak łatwo wywieść w pole, jak

w wieku szesnastym. Tymczasem były to tylko szumowiny, które odpadły i do tego w nic nieznaczącej ilości. Nic dziwnego, że ludzie bez wiary nie umieli jej siły i potęgi ocenić. Doktrynaryzm niemiecki zawiódł w swych rachubach siebie i rząd pruski, który mu zaufał. Mimo tego zawodu była to jednak i jest do tej chwili potęga wielka, warta lepszego celu, aniżeli ten, do którego jej rząd pruski użył; porwała ona z sobą nie tylko wierzących protestantów z małemi nader wyjątkami, ale nawet niektórych katolików. Rząd ją wprawdzie przeceniał, ale na ludności protestanckiej się nie zawiódł. W każdym przeto razie była to siła i potęga, którą rząd pruski przez zwycięstwa swoje w Niemczech zdobył i przeciw Kościołowi katolickiemu w najobszerniejszy sposób wyzyskał.

Ta garstka katolików, których fale szału patryotycznego z sobą uniosły, byłyby znikła bez śladu, gdyby jej spisek „umiejętności niemieckiej“ przed soborem jeszcze w Monachium związany nie był dał pewnego punktu oparcia teoretycznego i luźnych wyobrażeń, niepewnych uczuć i wybujałej wyobraźni niesformułował i w pewnej sekcje religijnej nieskoncentrował. Tą sektą byli i są „Starokatolicy“ czyli słuszniej i sprawiedliwiej „neoproteſtanci.“ Jakże taki wyłom w Kościele katolickim przez katolików dokonany i na niemieckiej ziemi spełniony musiał być rządowi pruskiemu pożądanym! Coś miłszego, coś planom swoim bardziej sprzyjającego sam Bismark nie byłby sobie w stanie wymyślić! Nowe rozdwojenie w łonie Kościoła katolickiego, nowa sekta religijna, na której czele nie już Czerski, nie Ronge, ale uczeni profesorowie, jak Döllinger, Reinkens, Hubert i inni, za którymi „tysiące stoją duchownych,“ cóż to za nieoceniony sprzymierzeniec w wyprawie przeciw Rzymowi! Co więcej, sekta ta tą samą bronią walczy, co rząd i liberały, szaleńcem narodowym, patryotycznym, technie nienawiścią do Rzymu i zmierza widocznie w oddali do ulubionej mrzonki, „kościół narodowy.“ Czegoż jeszcze więcej potrzeba? Do szeregów tej sekty garnie się intelligencja katolicka poczynawszy od Monachium, z Bonu, Wrocławia, Braunschweigu, a zatem z wszystkich krańców nowego cesarstwa. Polska nawet ludność katolicka znalazła w tym kierunku swojego reprezentanta w Kamieńskim. Zdawało się, że samo szczęście, a mówiąc językiem borussyanizmu, sama konieczność history-

czna popchnęła rząd pruski, a mianowicie księcia Bismarka na trzy prześladowania Kościoła katolickiego. Sami protestanci mówią, że wątpliwą jest rzeczą, czyby Bismark był podjął tę walkę, gdyby Starokatolików nie było w przedniej gwardyi. „Z trudnością, mówi Fryderyk Fabii, byłoby największemu mężowi stanu, w którego ręku więcej, niż losy samych Niemiec spoczywają, przyszło zdecydować się do tej walki, gdyby nie był mógł równocześnie na sprzymierzeńca na polu religijnem liczyć. Tem jest ruch „starokatolicki“ który głównie zasługuje na uwagę. Przezeń dopiero walka ta może być zupełnie zrozumianą. Jakoż w rzeczy samej, w nim tkwi zarzut, który żądę sławy największego nawet męża stanu, okrytego świeżą niesłychanemi czynami co dopiero zdobytą sławą, mógł na nowo podrażnić. Marzenie wieków, zjednoczenie Niemiec, zostało urzeczywistnione, nowe niemieckie cesarstwo zbudowane. Wszakżeż najlepsi naszego ludu opłakiwali od wieków zarówno polityczne poniżenie, jak kościelne rozdwojenie Niemiec! Nie byłoby podobnem wraz z pokonaniem politycznego rozstroju uchylić i kościelny rozdział? Od tak dawna upragnione oderwanie niemieckiego katolicyzmu od Rzymu spełnić? a może nawet połączenie rozdwojonych wyznań w kościele narodowym przygotować?”

Oto znaczenie polityczne tej sekty profesorskiej „neoprotestantów“ i jej wpływ na prześladowanie Kościoła. Pochwylił rząd pruski oburącz tego pożądanego sprzymierzeńca, aby go postawić na nogi i natchnąć życiem, którego w nim nie było i nie masz. W swej żarliwości naraził się rząd na śmieszność. Granica bowiem pomiędzy wielkimi i śmiałemi przedsięwzięciami, a śmiesznością, jest jak włos, gdy się nie powiedzą; „Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas.“ Bo cóż może być śmieszniejszego i dziwaczniejszego nad uznanie i udotowanie z publicznego skarbu w osobie Reinkensa biskupa przeznaczonego do missyi na całe cesarstwo niemieckie? Któż go obdarzył posłannictwem, jurysdykcyą czyli władzą duchowną nad mieszkańcami tej całej wielkiej przestrzeni? Papież nie, biskup heretycki, który go święcił, także nie, bo nie miał w Niemczech nic do mówienia. Zaiste nikt inny, jak cesarz niemiecki, jako *summus pontifex imperii*. Jakże się tu dziwnie zbiegają z sobą ostateczne wypadki tych samych pryn-

cypalnych zasad, chociaż je tysiące lat od siebie rozdzielają. Cesarze rzymscy, dopóki byli poganami, piastowali także w rzeczach religii urząd *summi pontificis*, najwyższego kapłana.

Zamiar rządu w tym dziwnym kroku jest zbyt wyraźny, aby się długo nad nim rozwodzić. Najpierw chciał tej sekcji dać pewny punkt oparcia, pewne centrum, około którego mogłoby się szczególnie duchowieństwo gromadzić i tym sposobem ją ukonsolidować, aby była zdolną do wywierania wpływu na obszerniejsze rozmiary. Powtóre, chciał jej zapewnić przyszłość łudzącą katolików, aby się mogła pozornie tak samo jak Kościół katolicki przez święcenia kapłańskie odmładzać i wzrastać! Nadto, aby należący do tej sekty świeccy znaleźli w niej wszystko, co im do zaspokojenia ich potrzeb duchownych potrzebne, jak bierzmowanie, święcenie olejów, jednym słowem, aby w niej mieli wszystko to, co pozostawili w prawdziwym Kościele i za nim się więcej nie oglądali. Tak samo postępowano sobie z biednym ludem katolickim w wieku szesnastym. Po trzecie i to było rzeczą najgłówniejszą, aby przeprowadzać masy ludu z Kościoła katolickiego do tej nowo zbudowanej świątyni narodowej. Dość już było polemiki uczonnej „umiejętnej“ przeciw Kościołowi katolickiemu, a mianowicie przeciw Papieżowi, książę Bismark chciał koniecznie praktycznych rezultatów. W tej myśli powiedział poufnie: „Tych wszystkich uczonych profesorów chętnie daruję za Kamieńskiego i Hirschwäldera.“ Opinią publiczną już mieli w ręku, już była dostatecznie nastrojona przeciw Rzymowi, ale cóż rządowi było po tem, kiedy się okazała niepłodną i niezdolną ludu w założoną matnię napędzić? Sądono przeto, że powaga biskupa, pewność zaspokojenia wszystkich potrzeb duchownych dla katolików będzie siłą skuteczniejszą i dla tego przystąpiono do utworzenia tej pociesznej karykatury biskupiej.

Że w tym nowym biskupie w tak obszerną wyposażonym jurysdykcyą w całym cesarstwie wielkie pokładano nadzieje, najlepiej to wyraża przyboczny organ Bismarcka, *Norddeutsche Allgemeine Ztg.* Z pomiędzy wielu innych nad wielkością i przyszłością biskupa Reinkensa rozwodzących się z uniesieniem przepowiedni, przytaczamy z owego czasu jedną tylko: „W starożytny, kościelny sposób dokonany wybór i w apostołskiej sukcesyi złane święcenie na głowę *takiego* męża na bi-

skupa missyjnego dla całych Niemiec ma niewątpliwie w wyrokach odwiecznej mądrości znaczenie opatrzone..... Jak osoba biskupa Reinkensa jest jakby stworzona na reformatora Kościoła katolickiego, tak niemniej i okoliczności czasu, w których wybór i święcenie jego nastąpiły, zostały przez Opatrzność zgotowane, aby reformatorskie działanie jego upłodzić i przez pomyślny wzrost tegoż działania z czasem *jedność religii w całych Niemczech* zaprowadzić. W chwili, można powiedzieć, w której biskupi Prus prawom państwa w obec Boga i sumienia ich zobowiązującym, gdyż rite(?) przyszły do skutku, posłuszeństwo wypowiadają i uroczyście ogłaszają, zostaje Reinkens, mąż pełen uniesienia dla wszystkiego, co jest wzniosłem, a tem samem dla cesarza, cesarstwa i ojczyzny, przez patryotycznych duchownych i świeckich wybrany na biskupa *niemieckiego*, ogłasza uroczyście w liście swoim pasterskim po wyświęceniu wydanym, że chce być *niemieckim* biskupem z *niemieckiem* sercem i *niemieckim* językiem " Te szumne, a czeze, na podniecanie narodowego szalu, a ohydzenie wiernych Kościoła katolickiego biskupów obrachowane frazesy wyrażają jasno zamiary, intencye i nadzieje, jakie wówczas rząd pruski miał i pokładał w tej karykaturze biskupiej.

Lubo ten dziwaczny utwór dowiecnie i podstępnie był przemyślany, zręcznie urzeczywistniony, a potem z całą siłą popierany i pielęgnowany, nie przyniósł jednak rządowi pruskiemu nic więcej, jak przykry zawód i dotkliwie się skompromitowanie. Co samo w sobie było spruchniałą purchawką, temu ani sztucznie wywołana opinia publiczna ani umiejętność niemiecka" ani dotacya i troskliwa opieka rządu życia nadać nie mogła. „Starokatolicyzm“ nie wzrasta, ale maleje. Odtrąciwszy od nich nihilistów protestanckich i Żydów, zostanie tylko garstka szumowin, którą burza prześladowania z Kościoła katolickiego wyrzuciła. Roztropniejsi protestanci, lubo ich z radością witali, jako nowych sprzymierzeńców przeciw Rzymowi, nie zapowiadali im jednak żadnej przyszłości. Nie zapuszczając się w dalsze tłumaczenie tego zjawiska, co by nas od zadania naszego za daleko odwiodło, zaprzestajemy na tej tylko uwadze: że sekty religijne mogą się tylko tworzyć i wzrastać na roli silnego jakkolwiek błędnego przekonania religijnego, a tego właśnie w neoprotestantach nie było i nie

masz. Na tle negacyi przedzierzgającej się w nihilizm nie może się żadna sekta religijna ani przyjąć ani wzrósć. Mówią ci ludzie wprawdzie bardzo wiele o religii, jak Virchow, który sam w nic nie wierzy, mówił niedawno na zgromadzeniu ludu w Berlinie o nowej ordynacyi kościoła ewangelickiego, ale nie w intencji zaszczepienia i pielęgnowania jej w własnem i bliźniego sercu, lecz w myśli wyziębienia jej i wyniszczenia — non in aedificationem, sed in destructionem. Odpadli od kościoła, aby się pozbyć religii, a ile razy się zjadą na synod, tyle razy jeden lub więcej artykułów wiary obetną aż nie nie pozostanie. Jakże tedy mogą obdarzyć drugich tem, czego sami nie mają?

W chwili jednak, w której się podnieśli, byli najmilszymi rządowi sprzymierzeńcami, a zwłaszcza, że rząd sam był już wtajemniczony w kręte ścieżki całego spisku i jego plany. Walczyć przeciw religii tylko przemocą, siłą brutalną ani rządowi przystało ani obiecywało pomyślny wypadek walki. Trzeba tedy było koniecznie postawić religię naprzeciw religii, aby zapomocą jednej godzić w drugą i całemu postępowaniu odjąć pozór gwałtu.

Zestawmy teraz w streszczeniu wszystkie przyczyny i powody, które częścią wywołały częścią podsycaly prześladowanie religii katolickiej.

Najpierw rozpowszeelnione w Niemczech, a mianowicie w Prusach teorye „o absolutnem państwie“, tradycyjnie przechowywane w Prusach, a już od wojny Duńskiej z świadomością przez rząd za zasadę przyjęte i praktykowane. W państwie takim Kościół katolicki nie tylko zawadzał, ale w zasadzie, *principaliter*, jest niepodobnym. Rząd go tedy cierpiał, dopóki musiał, ale wyglądał z upragnieniem chwili, kiedy go się będzie mógł pozbyć. Że w tem przedsięwzięciu całą inteligencyą protestanskich Niemiec będzie miał po swojej stronie, nie mógł ani na chwilę wątpić.

Powtórę, fantastyczne, ale uczoną frazeologią upstrzone idee o powołaniu Prus, czyli borussyanizm, przenosiły te pogańskie nauki o państwie wprost na Prusy i pobudzały rząd pruski pośrednio i bezpośrednio do wywracania i niweczenia bez względu na prawo i środki wszystkiego, co jego wszechmocności, jego absolutnemu prawu na przeszkodzie stoi. Nie-

podległość Kościoła katolickiego była zatem w obrębie tych wyobrażeń najzupełniejszą anomalią.

Po trzecie, tak nihilizm, jak ortodoxya protestantyzmu równą pałały i pałają nienawiścią do Kościoła katolickiego. Żydzi, chociaż pryncypalnie trzymają się pierwszego kierunku, jednakże, gdy się rzecz toczy przeciw Kościołowi katolickiemu, przechylają się i do drugiego. Pierwszy kierunek t. j. nihilistyczny stanowi w Niemczech północnych, a mianowicie w Prusach, niezmierną większość. W religijnem czyli raczej anti-religijnem usposobieniu większości mógł rząd liczyć na stanowczą i pewną pomoc.

Po czwarte, położenie polityczne nie mogło być do wymierzenia zamachu na Kościół katolicki, po ludzku sądząc, pomyślniejsze nad to, z którego korzystano.

a) Ze strony pobitej Austrii i Francyi nie było żadnej obawy, ani jedna ani druga nie była w stanie uciemżonym katolikom podać ręki, ba nawet głosu w ich obronie podnieść.

b) Ojciec ś. pozbawiony swego kraju, a nawet własnej rezydencyi, opuszczony od wszystkich rządów, wiekiem przyciśniony, jakąż może dać ciemżonym owieczkom swoim pomoc?

c) Wszyscy biskupi niemieccy i pruscy prócz dwóch w opozycji Papieża. Okoliczność ta fałszywie przedstawiana rzucała pozor rozdziwienia jedności Kościoła i to na stronę Niemiec.

d) Nareszcie rokosz podniesiony przeciw Kościołowi i to przez profesorów i uczonych katolickich, którzy się szczycili, że cała intelligencya katolickich Niemiec ich przekonania podziela.

Ludziom, którym zbywa na głębokim przeświadczeniu religijnem, a następnie na świadomości o sile wiary i potędze niepokonanej Kościoła Chrystusowego, nie musiałoż się wobec tego położenia wydawać, że nadeszła istotnie chwila niepowrotna może, z której korzystać należy, aby urzeczywistnić swoje ulubione i wypieszczone pomysły i uderzyć na ten stary ku upadkowi chylący się gmach i odrazu go wywrócić i skruszyć na zawsze? Była to ciężka pokusa dla znakomitego, śmiałego i szczęśliwego męża stanu. Nie wytrzymał, uległ jej. Prześladowanie jeszcze się nieskończyło, a już zmalął.

Te przyczyny przedmiotowe, te okoliczności dane nie mogły się same poruszać i brać inicjatywy, były jakby zarzewiem

tlącem się pod popiołem. Gdyby zatem nie było przyczyny indywidualnej czyli człowieka, który to zarzewie rozdmuchał, wszystkie materiały palne zgromadził i ogień pod nie podłożył, nie byłoby przyszło do wybuchu tego pożaru — nieprzystajne Kościołowi żywioły mogły się na chwilę podąsać, a potem znowu ukołysać i na długie czasy przycichnąć. Lecz czyż podobna, aby kanclerz niemiecki tych okoliczności nie był miał na rzecz swoich ulubionych idei, gorących życzeń i rozległych planów wyzyskać, choćby tu nawet było chodziło o użycie „żelaza i ognia“?

Książę Bismarck od dawna był zwolennikiem rozpowszechnionego w Niemczech marzenia o oderwaniu katolików niemieckich od Rzymu i założenia jednego *narodowego Kościoła niemieckiego*, z którymby się i protestanci pomieścić mogli. W jak ścisłym związku znajduje się tego rodzaju pomysł z wyobrażeniami i teoryjami o „absolutnem państwie,“ wykazaliśmy już wyżej. Cóż tedy mogło być bardziej harmonijnem, zgodnem z wyobrażeniami, uczuciami i najgorętszemi życzeniami kanclerza nad urzeczywistnienie tego pomysłu? Kanclerz niemiecki umie wprowadzić osobistym uczuciom, gdzie tego potrzeba, nakazać milczenie i obrachować chłodne wszystkie szanse, ale w obecnym przypadku i najzimniejsze obrachowanie, polityka zdawała się z uczuciami i wyobrażeniami od młodości powziętymi być w jak najzupełniejszej zgodzie. Jeżeli zaś rozum stanu wskazywał korzystać z tego pomyślnego położenia na rzecz widocznie Niemiec, na rzecz utrwalenia i ukonsolidowania utworzonej co dopiero jedności, mogłyż osobiste uczucia i idee stać na przeszkodzie powziętemu zamiarowi? Przeciwnie w takim razie mogły tylko podnosić energią i wytężeniem, jakich dodaje każde szczerze zamiłowanie rzeczy. Dlatego widzimy, że w tej sprawie nie spuścił się Bismarck nawet na wybranego przez siebie ministra, ale co chwilę sam ją chwycił i popierał, sam się całkiem z nią zidentyfikował. Z całego postępowania, z każdego przemówienia publicznego i poufnego pokazuje się jasno, że cała ta sprawa, podjęcia i przeprowadzenia tego zamiaru i planu jego własnem jest dzieckiem. W tem przeświadczeniu Bismarcka politycznem mamy przyczyny, które poruszyła te wszystkie piekielne siły i potęgi

które w zaciszu pokątnem zgrzytały tylko zębami przeciw kościołowi, *causa movens* czyli *efficiens*.

Te polityczne wyobrażenia i rachuby połączone z osobistymi przekonaniem i uczuciami są niewątpliwie najgłówniejszą przyczyną rozpoczęcia wojny z kościołem katolickim, ale nie jedyną. Obok niej najpierwsze z pewnością zajmuje nienasycona żądza panowania. Namietność ta żadną zdobyczą się nie zaspokoi, ale przeciwnie do nowych zapala. Najpotężniejsi przeciwnicy powaleni o ziemię, czemuż znosić i cierpieć najsłabszego, bezbronnego? Jeśli idei borussyanizmu takie potęgi oprzeć się nie zdołały, czegoż się obawiać trupa i szkieletu, który, chociażby chciał, skutecznego oporu nie jest w stanie stawić? Z potęgą niewidzialną wiary tego rodzaju ludzie się nie rachują, większe ma u nich znaczenie opinia publiczna, którą mogą według swego upodobania zrobić! Węzeł łączący katolików niemieckich z Rzymem wisi na włosku. Zanadto bowiem są owiani duchem „umiejętności niemieckiej“ zanadto przejęci patryotyzmem, aby za tą jednością uporczywie obstawać mieli. Takie doniesienia urzędowe i nieurzędowe, publiczne i poufne dochodziły do uszu kanclerza i całego rządu. Dziś jeszcze mówi w broszurze w tym roku co dopiero wydanej profesor de la Garde w Göttyndze, nihilista, o kościele katolickim, jako o „trupie“ bez ducha i życia. Doradcy, któremi się kanclerz w tych sprawach posługiwał, wszyscy byli i są tego samego kalibru, jak Friedeberg, Herrmann, Treitschke, Schulte i t. d. Mógł jednego tylko wysłuchać, a byłby tyle wiedział, co od wszystkich. Jakże tedy nie uwierzyć, że istotnie tak jest, kiedy uczeni katolicy i akatolicy tak utrzymują, a zwłaszcza, jeżeli zdania te są właśnie pożądane i zgodne z własnem przekonaniem? Dla czegoż tedy nie skruszyć tego przeciwnika, który wszechwładztwu państwa w każdym kroku na zawadzie stoi, kiedy się zrzeczność do tego sama nasuwa?

Z żądzą panowania szła w parze żądza sławy, obiedwie rodzone siostry i córki pychy, która je poczęła i wykarmiła. Dokazać tego, o co się najpotężniejsi mocarze daremnie kusili, cóż to za niezrównana sława! Przy tak sprzyjających okolicznościach warto było po ten szczyt sławy sięgnąć. To były wyobrażenia, uczucia i namietności kanclerza, które jego krokami kierowały od chwili, kiedy w zawód życia publicznego

wstąpił, ale nie patryotyzm niemiecki, przynajmniej ten się nigdy przedtem w nim nie odzywał. Przeciwnie dzisiejszy kanclerz niemiecki należał statecznie od roku 1848 do najwydatniejszego stronnictwa patryotycznego pruskiego, nazwanego „Junkerparthei,“ które założyło w tym duchu organ: *Gazetę Krzyżową*. Stronnictwo to tak było wyłącznie i zacięcie pruskie, iż nawet nienawdziło stronnictw marzących o jedności Niemiec. Nienawiść tę do śmieszności nawet posuwali, przywiązując kokardy niemieckie psom do ogonów, na cośmy własnymi oczyma patrzeli, i oświadczając, jak to w jednej z mów swoich książdz Janiszewski przytoczył bez doznania zaprzeczenia z którejkolwiek strony Izby poselskiej: Ach jaka szkoda, że też dotąd nikt nie wynalazł mowy pruskiej, a my musimy tego przekłętogo języka niemieckiego używać!“ Nie powiedział wprawdzie tego Bismarck sam, ale żył w najściślejszych stosunkach z ludźmi, których takie uczucia ożywiały i z sobą w jedną frakcyą parlamentarną łączyły. Znany był także powszechnie z swego gorącego patryotyzmu pruskiego i przywiązania do dynastyi Hohenzollerów, ale nigdy z patryotyzmu niemieckiego. Pragnął zawsze szczerze wielkości i świetności Prus i panującego w nich domu, Niemcy zaś o tyle go tylko obchodziły, o ile były i są najbliższym i najwłaściwszym przedmiotem zaboru, a zatem środkiem tylko do podwyższenia potęgi Prus, ale nie istotnym celem. Że Bismarck mimo to wywiesił horągiew narodowości niemieckiej, w chwili, kiedy była pora po temu, czyż ta okoliczność może być dowodem patryotyzmu niemieckiego? Czyż tego samego nie zrobił z Czechami i Węgrami podczas wojny Austyackiej. Przyjaźń jego dla każdej narodowości tak długo trwała, dopóki jej potrzebował. Pamiętnik jenerała Lamarmory nie mniej wyraźnie dowodzi jego wydatnego patryotyzmu pruskiego. Niemcy zawsze u niego były w drugiej dopiero linii. Gdyby Niemcy miały być zostać zjednoczone pod koroną cesarską, Habsburgów lub Wittelsbachów, byłby Bismarck taką jedność Niemiec swoim patryotyzmem popierał? Nie byłby przeciw takiemu zjednoczeniu Niemiec wszelkimi sposobami walczył, jak w roku 1848 i następnych? Tymczasem prawdziwemu patryocie powinno było chodzić głównie o jedność narodu, a interesa separatyczne czyli prowincjonalne i dynastyczne zstąpić

na drugą linią. Czyżbyśmy się dziś pytali, gdybyśmy byli w tem szczęśliwem położeniu połączenia wszystkich części rozszarpanej ojczyzny przedewszystkiem o to, który szczep polski, który dom ma nosić koronę polską? Czyżbyśmy dla tej podrzędnej w obec wielkości sprawy kwestyi wyparli z jedności ojczystej sześć do siedmiu milionów braci naszych, jak to uczynił Bismarck w imieniu patryotyzmu niemieckiego? Jemu chodziło tylko o wielkość Prus, o zasznurowanie Niemców w mundur pruski i wsadzenie im na głowy pikelhauby pruskiej. Jak długo będzie z tem niektórym szczepom niemieckim wygodnie zobaczymy. Nie uniesienie zatem patryotyczne dla Niemiec, które zwykle szlachetniejsze obiera sobie tory, popchnęło kanclerza do boju z kościołem katolickim, ale zakorzenione od dawna wyobrażenia w państwie, o posłannictwie Prus, żądza panowania i sławy tak nadzwyczajnem powodzeniem zasycona. To umysłowe i psychologiczne usposobienie wyniesione powodzeniem do najwyższej potęgi, która zaślepiła, wmówiła w niego, że posłannictwo „historycznej konieczności“ Prus, co niektórzy tłumaczą na język chrześcijański przez Opatrzność, zlane zostało na niego. On jest powołany na pogromcę tego przeciwnika „absolutnego państwa,“ którego dotąd żaden z mocarzy świata pokonać nie zdołał. *Quem Deus punire vult, dementat.*

Drugą niemniej ważną osobistością w tym dramacie, jest król pruski, cesarz niemiecki. Przyczyną tego prześladowania est o tyle, o ile kanclerzowi pozwolił w nowo wystawionym gmachu jedności niemieckiej dowolnie gospodarować, a zwłaszcza w tym punkcie wszystko, co mu tylko w tej mierze przedłożono bezwzględnie i to z pewnym pośpiechem, znaczącym wyraźne zadowolenie sankcyonował. Ci którzy się z dala przypatrywali temu, co się dzieje, nie pojmowali, jak król, którego telegramy z pola bitew pewnem namaszczeniem religijnem tchnęły, w tak okrutny sposób religią chrześcijańską, choć nie jego wyznania, prześladować może. Ta nawet okoliczność, że jako następca tronu był członkiem i protektorem łóż masonskich, nie rozwiązuje tej sprzeczności dostatecznie, a zwłaszcza, że jako król jest zarazem „summus pontifex,“ najwyższym biskupem protestanckich wyznań swojego kraju. To wyzwanie instytucji państwa z wszelkiego charakteru religii chrześcijańskiej, jak szkoły, małżeństwo, zniesienie przymusu

chrzczenia dzieci i t. p. możnaż to pogodzić z ową pobożnością telegramów i z najwyższą władzą duchowną wyznań protestanckich? Cóż powiedzieć o powoływaniu do rządów duchownych nad protestanckimi wyznaniami, które się przecież same za chrześcijańskie jeszcze uważają, ludzi, którzy nawet w bóstwo Chrystusa nie wierzą? Zagadkę tę niechaj przyszłość rozwiąże, dziś poprzestańmy na faktach. Dość na tem, że król zezwalał bezwzględnie na wszystko, co tylko przeciw Kościołowi katolickiemu było wymierzone, chociaż niektóre prawa, jak np. o małżeństwach cywilnych i wystąpieniu z Kościoła czyli apostazji, szkodliwiej dotykały, jak się później pokazało, wyznania protestanckie, niż Kościół katolicki. Sami tedy siebie ranili, byle tylko katolikom dokuczyć.

Cóż tedy króla mogło spowodować do takiego postępowania, a zwłaszcza, jako najwyższą powagę duchowną protestancką? O wpływie Bismarka na umysł cesarza mówić nie ma potrzeby, jest to bowiem rzecz powszechnie znana. Zaufanie, jakie pokłada w kanclerzu, jest także wypadkami usprawiedliwione. Lecz musi w usposobieniu cesarza Wilhelma coś być takiego, co go czyni skłonny do przyjmowania tych wpływów tak na pozór sprzecznych z sposobem myślenia cesarza. W Prusach nim przyszły teorye, praktykowały się zasady „państwa absolutnego“ oddawna, jakieśmy to już nadmienili wyżej. Cesarz miał je tedy z praktyki. A ponieważ w życiu swoim zajmował się przeważnie wojskowością, w której „absolutne państwo“ najwybitniej w swoich rysach występuje, nie przeto dziwnego, że pomysły i środki Bismarka na tem tle osnute przyjmowały się w umyśle i przekonaniu cesarza. Z tego powodu jak Bismarkowi, tak i cesarzowi niepodległość Kościoła katolickiego była niewygodną. Czemuż się tedy nie miał przychylić do planów kanclerza, skoro mu udowodnił, że to jest teraz rzeczą nietylko możebną, ale nawet łatwą do przeprowadzenia?

Prócz tego cesarz Wilhelm ma wielką żądzę sławy. Nic go bardziej nie unosi nad pewne nadzieje i widoki nabycia wielkiej, nieśmiertelnej sławy. Gdy mu tedy przedstawiono, że „historyczna konieczność“ po chrześcijańsku Opatrzność powołuje go do spełnienia największego dzieła, wobec którego gasną wszystkie jego świetne zwycięstwa, łatwo się dał do tego

przedsięwzięcia nakłonić. Myśl, że się pomści na Rzymie za mniemane krzywdy wyrządzone narodowi niemieckiemu, za upadek dynastji Hohenstautów, że niezrównaną w całych Niemczech zdobędzie popularność i dynastyą swoją na tronie cesarskim utrwali, była w stanie przy takim usposobieniu szaleć na stronę zamiarów Bismarka przeważyć. Następcy jego nie będą już w tak pomyślnem położeniu, już ich tak świeże wawrzyny zwyciężkie zdobić nie będą, jak jego w tej chwili. Trzeba tedy iść za skazówką Opatrzności, korzystać z drogiego czasu, dopóki sprzyja i skruszyć odwiecznego wroga Niemiec, który nigdy cesarstwu protestanckiemu szczerze sprzyjać nie może i nie będzie. Cesarz temu uwierzył i Rubikon przeszedł.

To są istotne przyczyny tego tak uderzającego zjawiska w naszych czasach, prześladowania religijnego. Że są prawdziwe, nie wątpię, czy są wszystkie, zupełne, czas pokaże. Może bowiem bardzo wiele być okoliczności, osób i względów, które się przyczyniły do przeważenia szali na tę stronę, które z czasem uzupełnią i zbogacą szczegółami dotąd nieznanemi ten obraz, ale myślę, że wszystkie okoliczności w ramach tych znajdują miejsce, gdyż całkiem coś nowego pewno się nie znajduje. Te przyczyny tłumaczą także dostatecznie tak źródło jak przebieg, charakter i cel tego prześladowania. Każdy krok, który rząd pruski w tym kierunku robił, znajduje swoje w nich wyjaśnienie. Przebieg dotychczasowy prześladowania wykaże to dostatecznie.

Nie dekreta przeto Watykańskie, nie wymyślane wysoki hierarchii kościelnej, których w tym czasie nie było, a nawet być nie mogło, nie zawiązanie się frakcyi Centra było przyczyną wojny, której się rząd sam wstydził. Nieomylność Papieża była tylko chwilową zręcznością, którą w porę pochwyciono. Reszta pozornych argumentów rzucana była na strawę czytającej, ale niemyślącej publiczności, aby jej zdrowy rozum i prosty sąd o rzeczach obalamucić. Nikt bowiem z ludzi, którzy tylko po powierzchni ducha czasu pływają, nie pojmował, aby w dziewiętnastym wieku oświata i cywilizacyi prześladowanie religijne było podobnem. Oświata, cywilizacya, to lekarstwo jeneralne na wszystkie choroby i bóle państw i społeczeństw, ta matka wszelkiej wolności i swobody, mogłaby ta-

kim jadem trucizny napełniać serca, najdelikatniejszą i najświętszą stronę człowieka, sumienie jego okuwać w kajdany? Takiej sprzeczności pospolity rozum nie pojmował, trzeba mu więc było podać tłumaczenie tego zjawiska. Tego rodzaju ludzie nie przypuszczali, że oświata mimo swej nazwy łudzącej, jeśli się pozbawi nadprzyrodzonego światła, może zboczyć na tory najokropniejszych błędów i w najstraszliwsze ciemności wprowadzić człowieka. Taki wypadek, jak dzisiejsze prześladowanie, powinnyby i nieświadomym otworzyć oczy na rodzaj dzisiejszej oświaty, aby rozróżniali oświatę od oświaty.

Ciąg dalszy nastąpi).

VI. PIEŚŃ ILIADY ¹⁾

Przełożył wierszem miarowym

DR PAWEŁ POPIEL.

Tak opuścili bogowie Achajów i Trojan potyczkę;
Często się tu lub owdzie w równinie walka odbywa,
Podczas gdy jedni na drugich spiżowe dzidy kierują
W środku pomiędzy nurtami Xanthosa i Simoenta.

5. Najprzód syn Telamona, Ajas zaporą Achajów,
Trojan przełamał szeregi i światło druhom zapewnił
Męża ubiwszy, co jak najlepszy był między Thrakami
Akamanta Ejssora potomka wielkiego, dzielnego.
Jego ciało najpierw w guzik od grzywiastego szyszaka;
10. W środku czoła utkwiała i w kość głęboko się wryła
Dzida spizowa; lecz jemu ciemności oczy zakryły.
Axylosa zaś ubił o głosie donośnym Diomed
Teuthrana syna, co mieszkał w Arysby domach ozdobnych
Opływając w dostatki, od ludzi był bardzo lubionym;
15. Wszystkich bowiem ugaszcział mieszkając w domostwie przy
drodze.

Ale go żaden z nich nie ratował od smutnej zagłady
Piersią go zasłoniwszy; obydwóch zabił Diomed
Jego i Kalezego pachołka, którego mu końmi
Jako woźnica kierował; obydwóch ziemia przyjęła.

¹⁾ Pierwsza pieśń tłumaczenia Iliady tego samego autora była umieszczoną pod literami E. C. w zeszycie „Przeglądu Polskiego“ ze stycznia 1875 r.

20. Euryalos Ofeltia i Dreza rynsztunku pozbawił;
Później zaczął Pedaza i Ajzepa; niegdyś ich wodna
Nimfa Abarbarea zrodziła Bukolionowi.
Ten ostatni był synem świetnego Laomedonta
Rodem najstarszy, a matka go pokryjomu powiła;
25. Owce pasąc połączył się z nią miłością i łozem,
Ona zaś jemu uległa i dzieci bliźnięta zrodziła.
Ich to ciała młodzieńcze pozbawił siły i życia
Syn Mekistes a i cały rynsztunek im obdarł z ramienia.
W boju odważny Polypoit uśmiercił Astyaloza;
30. Syna Pidyza Perkozya, Odysse zbroi pozbawił
Dzidą spiżową, a Teukros boskiego Aretaona.
Zamordował Antyloch Ablera dzidą błyszczącą,
Syn Nestora, Elata zaś król Agamemnon przemożny;
Mieszkał on koło brzegów Satnios a co płynie uroczo
35. W stromym Pedazie. Fylaka porywa Lejtos bohater
Zbiegającego; Erypił Melanthia wyzuł z rynsztunku.
Adrestosa atoli o głosie donośnym Menelaj
Złapał żywego; bo konie spłoszywszy mu się na równinie
Zawadziwszy o gałąź jałowca, powózkę zagięta
4. W kłębku dyszla złamały, a same pobiegły ku miastu,
Dokąd i inne rumaki w popłochu tym uciekały;
On zaś sam się na ziemię potoczył tuż wedle koła
Głową naprzód na twarz w kurzawę. Zatrzymał się przy nim
Menelaos Atrydes trzymając włócznię ogromną.
45. Począł go błagać Adrestos chwytając go za kolana:
„Daruj mi synu Atreja, a okup godny odbierzesz.
Wiele bogaty mój ojciec ma skarbów w zapasie leżących,
Miedzi i złota i stucznie wyrabianego żelaza,
Z tego z radością ci ojciec wypłaci okup ogromny,
50. Jeśli go dojdzie wiadomość, żem żyw przy okrętach Achajskich.“
Tak powiedziawszy onemu nakłonił umysł i serce,
Chciał go już zaraz powierzyć słudze by tenże do szybkich
Zaprowadził go łodzi Achajskich; lecz Agamemnon
Biegnać naprzeciw niego odezwie się głośno wołając:
55. Menelaju najdroższy! dla czegoż to tyle nad ludźmi
Masz miłosierdzia? zaprawdę wybornie się z tobą Trojanie
W domu obeszli, lecz z nich ani jeden zguby nie ujdzie
Z naszych rąk; ani ten co go jeszcze matka w swem łonie

Nosi jako niemowle, i taki nie ujdzie, lecz wszyscy

60. Niech w Ilionie zginą bez wieści i bez miłosierdzia.“

Temi słowami braterskie serce bohater odmienił
Słusznie gadając, lecz tamten odepchnie ręką od siebie
Adrestosa dzielnego. Zaś jego król Agamemnon
W brzuch ugodził; Przewrócił się tamten, atoli Atrydes

65. Piętą na piersi stanawszy wyciągnął dzidę klonową.

Nestor zaś do Argejów na cały głos się odezwie:

„Drodzy i dzielni Danaje Aresa cni towarzysze!
Niechże się nikt do łupienia nie rzuca i nie pozostaje
W tyle, ażeby najwięcej zabrawszy do łodzi się dostał,

70. Lecz zabijajmy mężów, a później sobie spokojnie
Ciała poległych będziecie obdzierać pośród równiny “

Tak powiedziawszy pobudził umysł i serce każdemu.

Wtedy by byli Trojanie przez mężnych parci Achajów
Do Ilionu wrócili, zwątpieniem wszyscy znagneni,

75. Tylko że przy Hektorze i przy Aeneaszu stanawszy
Ozwał się syn Priama Helenos z wróżbitów najlepszy:

„Aeneaszu i ty Hektorze, ponieważ o pracy
Lykiów i Trojan myślicie najwięcej, bō pierwsi jesteście
Jak do każdej wyprawy, tak również do walki i rady,

80. Tutaj przystańcie i wojsku do bramy przystępu nie dajcie
Wszędzie na koło odchodząc, ażeby w objęcia małżonek
Uciekając nie wpadli, na naszych wrogów uciechę.

Skoro zaś tylko falangi wszelakie w ruch wprowadzicie,
My pozostając tutaj Danaów weźmiemy w obroty,

85. Chociaż strudzeni jesteśmy, konieczność atoli wymaga;
Ty zaś Hektorze do miasta się udaj i potem napomnij

Twoją i moją matkę, by zgromadziwszy staruszki,
W sowiookiej Atheny świątyni, na szczycie warowni,
I otworzywszy kluczami świętego bramy przybytku,

90. Tę oponeć co jej się wydaje najozdobniejszą
Z domowego zapasu; o którą też dba osobliwie,
Na kolanach Atheny jedwabnowłosej złożyła;
Niech jej obieca poświęcić dwanaście wołów w świątyni
Rocznych, nieujarzmionych, ażeby się zmiłowała

95. Nad Trojanów posadą, żonami i niemowlętami;
Oby też syna Tydeja wstrzymała od Ilion świętego
Kopijnika srogiego, strasznego dowódcę pogoni,

Któryn jak sądzę ze wszystkich Achajów najodważniejszy.
Nawet bym się Achillesa rycerzy kwiatu tak nie bał,

100. Któryn jak mówią z bogini się rodzi, tak tamten okropnie
Dokazuje, i nikt się w sile z nim mierzyć nie może.“

Tak powiedział, a Hektor się bratu niechciał opierać.
Zaraz wyskoczył z powózki z rysztunkiem całym na ziemię,
Trzęsąc ostremi dzidami obchodził wszędy szeregi,

105. Napominając do walki do strasznej roboty napędzał.
Ci się zwracają na miejscu i stają naprzeciw Achajów;
Argejowie się zaś cofnawszy mordować przestali,
Sądzą albowiem że któryn z bogów z niebios gwiazdzistych
W pomoc Trojanom przybywa, tak nagle się oni zwrócili.

110. Hektor zaś napomina Trojanów donośnie wołając:
„Ducha dzielnego Trojanie i sojusznicy przesławni!
Bądźcie drodzy mężami i ciężkiej pamiętni potyczki,
Podczas kiedy ja pójdę do Ilion i starcom zapowiem
W radzie zasiadającym i również naszym małżonkom,

115. By się do niebian modlili i Hekatomby składali.“

Rzekłszy oddalił się Hektor o powiewającym szyszaku
Potrącała go brzegiem o szyję i kostki włósiasta
Skóra ciemna, wisząca około tarczy wypukłej.

- Glaukos Hippolochosa potomek, i syn Tydejowy
120. Wysunęli się naprzód do środka potykać się pragnąc.
Gdy się nareszcie zbliżyli naprzeciw do siebie idący,
Wtedy się pierwszy odezwie o głosie donośnym Diomed:
„Któż to ty jesteś mężu szlachetny, z ludzi śmiertelnych?
Nigdy cię bowiem nie widział wśród bitwy dla mężów za-
szczytnej

125. Przedtem; teraz atoli o wieleś wszystkich wyprzedził
Pełen odwagi, że mojej cienistej włóczni się stawiasz.
Tylko nieszczęsnych rodziców dzieci się mierzą z mą siłą.
Lecz jeżeli ty jesteś z bogów i znieba przybyłeś,
Wtedy co do mnie z bogami, co w niebie, walczyć nie pragnę.

130. Przecież i nawet odważny Dryanta syn Lykoorgos
Długo nie istniał, bo śmiał podrażnić bogów niebiańskich,
Któryn to kiedyś Dionyza szalejącego piastunki
Do Nyzeja boskiego zapędził; one zaś różeczki
Zielem owite cisnęły, przez zabójczego Lykorga

135. Żgane ostremi kijami. Dionyzos wtedy ze strachu

- W pianę się morską zanurzył, przyjęła go w łonie Thetyda
 Zdjęta obawą, bo strach ją ogarnął na krzyki zabójcy.
 Toż się na niego sierzdzili bogowie swobodnie żyjący;
 W krótkce go tknął ślepotą syn Krona i już nie na długo
140. Żył, bo wszyscy go wieczni bogowie z nienawidzili.
 Z szczęśliwymi bogami i ja więc walczyć niemyśle.
 Jeśli zaś jesteś z ludzi co ziemi płodami się żywią,
 Wtedy się zbliżaj, by prędzej cię zguba śmiertelna dosięgła.“
 Jemu na to odrzecz syn świetny Hippolochosa:
145. „Wielkoduszny Tydejdzie dlaczegóż o ród wypytujesz?
 Równie jak liści zawiązki, tak samo ród mężów powstaje.
 Liście albowiem na ziemię strącają wiatry, lecz lasy
 Nowe puszczają pędy, gdy pora wiosenna powraca;
 Tak pokolenia i ludzi, to rosną, to znów upadają.
150. Jeżeli zaś chcesz i o tem posłuchać byś wiedział dokładnie,
 Powiem ci z kąd pochodzimy; nasz ród wielu mężom jest
 znany.
 W głębi koniorodnego Argosu jest miasto Efira,
 Tamże przebywał Syzyf, nad wszystkich mężów przebiegły,
 Syzyf Aiola potomek; on spłodził Glauka syna,
 155. Potem zaś Glaukos spłodził dzielnego Bellerofonta.
 Jego Bogowie urodą i czarującą męzkością,
 Obdarzyli. Lecz Projtos mu w duszy był nieżyczliwym,
 Z kraju go bowiem wypędził, bo był od innych Argejów
 Najmoźniejszym, a Zews mu władzę oddał pod berło.
160. Z nim zapragnęła gorąco małżonka Proita Anteja
 Skrycie w miłości się łączyć, lecz nie skłoniła do tego
 Męża o sercu uczciwem dzielnego Bellerofonta;
 Ona się w tedy z kłamstwem odezwie do Projta księżęcia:
 „Albo umieraj Projcie lub zabij Bellerofonta,
 165. Któryn mię zmuszał do związku miłości przeciwko mej woli,”
 Tak przemówiła, lecz król usłyszawszy gniewem zapłonął.
 Wzdrygał się on go zabijać, bo w duszy się wielce obawiał,
 Lecz do Lykii go wysłał i wróżby złowieszcze dołączył
 W szczelnie zamkniętej tablicy, spisawszy nań wyrok zagłady,
 170. Rozkazując ją wręczyć teściowi, by życie postradał.
 Wybrał się tedy do Lykii pod błogą bogów opieką;
 Gdy zaś do Lykii się dostał i Xantha nurtów głębokich,
 Przyjął go szczerze i uczcił władyka Lykii obszernej.

- Dziewięć dni go ugaszczał i dziewięć wołów poświęcił.
175. Gdy się zjawiła dziesiąta różanopalcą jutrzeńka,
 Wtedy go badać poczyną, i żąda wieści obaczyć
 Jakie od zięcia swojego, od Proita posłaniec przynosi.
 Gdy się atoli dowiedział o zgubnych zięcia wyrokach,
 Żąda od niego po pierwsze, by niezwyciężoną Chimajrę
180. Zabił. Pochodził ten potwór od bogów nie zaś od ludzi,
 Z przodu jak lew, od tyłu jak smok, a środkiem jak koza
 Buchający okropnie silnego ognia płomieniem.
 Jego tedy pokonał ufając znakom od bogów;
 Z Solymami powtórę sławnemi się musiał potykać;
185. Walkę tę za najcięższą uważał z mężami staczaną.
 Zaś Amazonki po trzecie, do mężów podobne, pokonał.
 Wreszcie na wracającego podstępem chytrym się uwziął;
 W Likii obszernej wybrawszy co było mężów najlepszych
 Kazał im iść na zasadzkę. Lecz z nich ani jeden nie wrócił,
190. Wszystkich albowiem uśmiercił, bez skazy Bellerofontes.
 Wreszcie atoli gdy poznał go dzielnym i z rodu boskiego,
 Tamże jego zatrzymał i córkę mu własną zaślubił,
 Władzę królewską mu oddał, dzieląc ją z nim do połowy,
 Lykijczycy mu zaś wybornej ziemi kawałek
195. Piękny oddali na ogród i pola dla własnej uprawy.
 Troje Bellerofontowi zrodziła żona potomstwa:
 Hippolochosa, Izandra i córkę Laodameję.
 Laodameję do łoża zapragnął Zews niezbadany,
 Ona powiła boskiego Sarpeda o zbroji miedzianej;
200. [Wtedy dopiero gdy tenże gniew bogów ściągnął na siebie
 Wszystkich, pośród Alejskiej równiny samotnie się błakał
 Trawiąc siły żywotne i śladów ludzkich unikał]
 Syna zaś jego Izandra do walki Ares najskorszy
 Zabił, gdy tamten wyprawę na sławnych Solymów gotował;
205. [Córkę zaś w gniewie Artemis o złotych lejcach zabiła]
 Mnie zaś spłodził Hippoloch, od niego mój ród ja wywodzę;
 On mię tu wysłał do Troji i napominał usilnie
 By się sprawować najlepiej i zawsze innym przodować,
 Żeby imienia praojców nie skałać, którzy o wiele
210. Byli w Efirze lepszymi i Lykii krainie obszernej.
 Z tego ja rodu pochodzę i takiem się szczycę krewieństwem.“
 Tak opowiadał, ucieszył się Diomed o głosie donośnym.

- Dzidę z zamachem wepchnął do ziemi obficie rodzącej,
 Zaś przyjaźnemi słowami zagadnie pasterza narodów:
 215. „Przebóg! w tobie poznaje dawnego gościa mych ojców;
 Boski albowiem Ojneusz dzielnego Bellerofonta,
 Kiedyś w pałacach ugaszcział i dni dwadzieścia zatrzymał,
 Ci zaś piękne goścince pomiędzy sobą mieniali:
 Od purpury świecącą przepaskę Ojneusz darował,
 220. Bellerofontes atoli złocisty puhar dwuręczny,
 Pozostawiłem go w mojem domostwie, wybrawszy się w drogę.
 [Już nie pamiętam Tydeja, bo mnie jeszcze bardzo małego
 Pozostawił, gdy naród Achajów zginął pod Thebą.]
 Przyjacielem więc jestem dla ciebie w pośrodku Argosu,
 225. Jak i ty dla mnie w Lykii, gdy naród wasz będę odwiedzał.
 Unikajmy nawzajem pocisków naszych wśród walki;
 Wielu mi Trojan zostanie i sojuszników przesławnych,
 Których mi bogi pozwolą pokonać, i w biegu osiągnąć,
 Tobie zaś wielu Achajów, byś zabił kogo potrafisz.
 230. My zaś nasze rynsztunki zamieńmy, ażeby poznali
 Wszyscy, że się rodową przyjaźnią nawzajem szczyrimy.“
 Oni więc po tych słowach, skoczywszy z powózek na
 ziemię,
 Dłońmi nawzajem się łączą, i wierność poprzysięgają.
 Kronid wtedy przytomność umysłu Glauka pomieślał,
 235. Że się pomieniał swą zbroją na zbroję Tydejdy Diomeda
 Złotą, wartości stu wołów, na miedź wartości dziewięciu.
 Hektor zaś gdy do bramy Skajskiej i buka się dostał,
 Zaraz się Trojan małżonki i córki zbiegły do koła
 Zapytując o synów, o braci, i blizkich pokrewnych
 240. Oraz i mężów. Lecz on im nakazuje się modlić do bogów
 Wszystkim z kolei; nad wielu głowami wisiła żałoba.
 Lecz gdy do wspaniałego Priama domu się dostał
 Opatrzonego gankami gładkimi — w pośrodku zaś jego,
 Było pięćdziesiąt komnat o ścianach z gładkiego kamienia,
 245. Jedna tuż koło drugiej stawiane; tam się synowie
 Priamowi mieścili przy zaślubionych małżonkach.
 Naprzeciwko dla córek tożsamo z wnętrza dziedzińca
 Było komnat pokrytych dwanaście z gładkiego kamienia
 Jedna tuż koło drugiej stawiane; tamże zięciowie
 250. Spoczywali Priama przy zaślubionych małżonkach.

Wyszła na jego spotkanie dobrocią matka słynąca
 Z Laodyceą przy boku z swych córek najurodziwszą;
 Wtedy go bierze za rękę, wygłasza słowo i mówi:
 „Na cóż mój synu z okropnej uchodząc walki przybyłeś?

255. Ciężko zaprawdę nas niszczą Achajów zgubni synowie
 Siejąc postrach po mieście; zapewne cię serce skłoniło
 Wszedłszy na szczyty grodu do Zewsa ręce podnosić.
 Chwilę zaczekaj aż wina jak miód słodkiego przyniosę,
 Byś Diosowi na cześć i innym bogom poprzednio
 260. Wylał, a później i sam się ucieszył napojem posilnym.
 Utrudzonemu mężowi sił wiele wino dodaje,
 Kiedy jak ty się umęczył w obronie narodu i krewnych.“

Hektor o powiewającym szyszaku jej na to odrzeczę:

- „Wina co serce pociesza nie dawaj mi matko dostojna,
 265. Ani mnie też rozczulaj, bo siły i męstwa zapomnę.
 Dłonią nieczystą dla Zewsa wylewać wino złociste
 Boję się; ani się godzi Kroniona w chmurach skrytego
 Błagać, gdy jestem krwią zbroczony i błotem zbryzgany.
 Ty się atoli do świątyń Atheny co łupy gromadzi
 270. Udaż z kadzidłem ofiarnym, zwoławszy starsze niewiasty;
 Peplum najozdobniejsze i najobszerniejsze wybieraj
 Z tych co się mieszczą w komnatach, i które ci najulubieńsze;
 Na kolanach Atheny o pięknych warkoczach je połóż
 Obiecując zarazem dwanaście wołów w przybytku,
 275. Rocznych, nieujarzmionych poświęcić, ażeby nad miastem
 Ulitowała się Trojan, żonami i dziećmi małemi,
 Żeby i syna Tydeja wstrzymała od Ilion świętego,
 Kopijnika strasznego co wszędy grozi postrachem.
 Zatem się udaż do świątyń Atheny co łupy gromadzi;
 280. Teraz ja muszę wyszukać Parysa, by jego powołać
 Czy się też zgodzi usłuchać namowy; bodajby go ziemia
 Pochłonęła bo Zews go na zgubę wielką Trojanom
 I Priamowi zacnemu i dzieciom jego wychował.
 Gdybym go wpadającego do głębi Hadesa obaczył
 285. Może bym w sercu o smutnem nieszczęściu zdołał zapomnieć.“

Tak wypowiedział, lecz ona wracając do domu na sługi
 Woła, by one po mieście zebrały godniejsze niewiasty.
 Sama zaś do wykadzonej komnaty sypialnej pobiegła,
 Tam były szaty z purpury złożone, roboty Sydońskich

290. Niewiast, które był sam Aleksander bogom podobny
 Kiedyś z Sydonu sprowadził, przebywszy morze szerokie,
 W onej podróży gdy przywiózł Helenę rodu możnego.
 Wziąwszy z nich jedną Hekabę w ofercie poniósł Athenie,
 Tę co najwięcej świeciła haftami a była największą.
295. Jakby gwiazda świeciła, na samym zaś spodzie leżała;
 Wyszła narescie, a wiele staruszek jej towarzyszyło.
 One gdy zaszły do świątyń Atheny na grodu wyżynie
 Zaraz im bramy otwarła Theano o licach uroczych
 Córa Kisseja, małżonka Antenora koni poskromcy;
300. Ja bowiem byli obrali Trojanie kapłanką Atheny.
 Wszystkie na głos do Atheny się modlą ręce podnosząc.
 Odebrawszy zaś peplum Theano o licu uroczem
 Składa je na kolanach Atheny o pięknych warkoczach,
 Wznosząc modły błagalne do córy Diosa możnego.
305. „Można Athene co gród nasz strzeżesz bogini dostojna!
 Diomedowe pociski pokrusz i uczyn by onże
 Twarzą padając na ziemię przy bramie Skajskiej zakończył,
 Byśmy ci mogli odrazu dwanaście wołów w przybytku
 Rocznych, nieujarzmionych poświęcić, ażebyś nad grodem
310. Ulitowała się Trojan, żonami i niemowlętami.“
 Tak ślubując się modli, lecz Pallas-Athene odmawia.
 Tak się one wpraszały do córy Diosa możnego.
 Do Alexandra pałaców tymczasem Hektor podążył
 Pięknych, sam je zbudował z mężami co wtedy pierwszymi
315. Byli budowniczymi w Trojańskiej ziemi obfitej;
 Oni mu wybudowali sypialnię i gmach i dziedziniec
 Blizko Hektora siedziby i Priama w mieście na wzgórzu.
 Tam miły bogom się udał Hektor z kopią w rękę,
 Długą na stóp jedenaście; od przodu proporca świeciło
320. Ostrze śpiżowe na koło obręczą złotą chwycone.
 Jego w sypialni znajduje, gdy czyścił zbroję ozdobną
 Tarczę i pancerz, i łuk zagięty w kabłąk próbował;
 Z nim Helena Argijska siedziała pomiędzy niewieścią
 Służbą, nadzorującą ozdobną służek robotę.
325. Jego gdy Hektor obaczył przykre mi słowy docina:
 „Dziwny! nie pięknie zaiste urazę chować w pamięci.
 Wycieńczają się wojska nakoło miasta i murów
 Walcząc; z twego powodu ta cała wrzawa wojenna

Wre naokoło grodu; i ty byś innemu wyrzucał,

330. Zauważywszy gdziekolwiek, że walki okropnej unika.

Ocknij się więc aby miasto na pastwę płomieni nie poszło.“

Na to mu zaś Alexander do bogów podobny odrzeczł:

„Kiedy mnie słuszuie skarciłeś Hektorze, a nie zaś niesłuszenie,

Zatem ci wręcz powiadam, a ty mnie słuchaj z uwagą.

335. Nie, bym się gniewał do tyła na Trojan i na nich się sierdził

Siedzę w sypialni; mym żalom dopiero oddać się miałem.

Teraz mnie żona atoli słodkimi słowy skłoniła

Bym się do walki gotował; sędzę i ja że tak lepiej

Będzie, albowiem kolejno zwycięztwo mężom przysłuża.

340. Zatem poczekaj tu chwilę bym przywdział zbroję wojenną

Albo też idź, będę gotów i sędzę że zdążę za tobą.“

Skończył; nie ozwał się wcale Hektor z powiernym szy-
szakiem

Lecz się Helena do niego odezwie z mową serdeczną:

„Szwagrze niegodnej kobiety, złowrogiej, niesławę niosącej,

345. Bodaj by mnie w onym dniu, gdy mnie najprzód matka zro-
dziła

Gdzieś tam daleko porwała złośliwa trąba powietrzna

W góry lub też na bałwany huczącej groźnie otchłani;

Fala by mnie pochłoneła, nim wszystko się stało jak dzisiaj.

Kiedy jednakże bogowie te klęski postanowili,

350. Czemuż mi chociaż nie dane być żoną męża lepszego,

Któryn by uczuł nienawiść i wszelką hańbę u ludzi.

On nie posiada zaś męztwa żadnego, ani też później

Mieć go nie będzie i sędzę, że skutków tego doświadczy.

Teraz atoli tu wstąp i spocznij na tem krzeselku

355. Szwagrze, bo głównie turbacya na twoim umyśle zawisła

Dla mnie niegodnej kobiety i grzesznych dzieł Alexandra,

Których tak srogo nawiedził nieszczęściem Zews, że i później

Będziem przedmiotem żałośnych pieśni dla przyszłych pokoleń.“

Hektor o powiewającym szyszaku jej na to odrzeczł:

360. Nie każ mi siadać Heleno, choć kochasz, i mnie nie namawiaj;

Już mię bowiem sumienie pobudza, ażebym ochraniał

Trojan, bo w mej niebytności tęsknota ich wielka zdejmuję;

Ale ty jego pobudzaj, bodajby i sam się rozruszał,

Żeby mnie jeszcze dogonił dopóki w mieście zostanie.

365. Ja zaś pójdę do mego domostwa, ażeby obaczyć

Domowników i drogą małżonkę i syna niemowlę.

Niewiem albowiem czy jeszcze bądzkiedy do nich powrócę,
Lub czy bogowie rozkażą bym uległ dłoniom Achajów.“

Tak powiedziawszy Hektor w szyszaku powiewnym odeszedł.

370. Wkrótce zaś potem do domu o izbach obszernych podążył,
Lecz Andromachy nie zastał w komnatach, białoramiennej;
Ona albowiem z dziecięciem i niańką schludnie ubraną
Stała na wieży płacząca i w smutku nieutulona.

Gdy więc w domu nie zastał małżonki nieskazitelnej

375. Stał Hektor na progu i tak do sług się odezwie:
„Chodźcie no tu niewolnice i wszystko gadajcie po prawdzie.
Gdzież Andromacha o białych ramionach wyszła z komnaty?
Czy nawiedziła siostry mężowe i strojne bratowe,
Czyli też wyszła do świątyń Atheny, gdzie teraz i inne

380. Pięknowiąse Trojanki boginię srogą błagają?“

Nadzorczyńni sumienna mu na to odpowie w te słowa:

„Kiedy mi każesz Hektorze, bym wszystko jak prawda mówiła
Ani do sióstr mężowych i strojnych bratowych nie poszła,
Ani do świątyń Atheny, gdzie teraz zebrały się inne

385. Pięknowiąse Trojanki, by groźną przebłagać boginię,
Lecz na wysoki szczyt Ilionu poszła, słyszawszy
Że upadają Trojanie, a wielką jest siła Achajów.
Wtedy w pośpiechu największym do murów twierdzy pobiegła
Jakby szalona, a niańka chłopaczka za nią poniosła.“

390. Tak powiedziała klucznica; wybiega Hektor z domostwa
Drogą tą samą wracając przez zabudowane ulice.

Gdy zaś spiesząc przez miasto obszerne doszedł do bramy
Skajskiej, tędy albowiem zamysłał wyjść na równinę,
Tam przybiegła ku niemu bogata, posażna małżonka

395. Andromache, córka zacnego Ejetiona;
Mieszkał zaś Ejetion w pobliżu Plakos leśnego
W Thebie u stóp góry Plakos i mężom Cylickim panował;
Jego to córkę za żonę posiadał Hektor wojownik.

Ona go tedy spotkała, a za nią dążyła służąca

400. Dziecko przy piersi trzymając niewinne i jeszcze niemowlę
Hektorydę drogiego, równego gwieździe świecącej.

Jego nazywał Hektor Skamandrem, lecz inni go zwali

Astyanaxem, bo Hektor sam jeden bronił Ilionu.

Jemu się Hektor uśmiechnął w milczeniu na chłopca patrzący;

405. Andromache się zaś do niego łzami zalana
Zbliża i bierze za rękę i słowo wygłasza i mówi:
„Dziwny! kiedyś cię zgubi twe męztwo, ach niemasz litości
Nad niemowlęciem i mną nieszczęsną; ja wkrótce zostanę
Wdową po tobie, bo wnet cię zamordują Achaje
410. Napadając pospołem. Zaprawdę by lepiej mi było
Skryć się pod ziemię, gdy ciebie mi braknie, bo wtedy pociechy
Żadnej nie będzie, gdy ty przeznaczenia swego dokonasz,
Ale sam smutek, — już niemasz ni ojca ni matki dostojnej.
Ojca albowiem naszego uśmiercił boski Achilles,
415. Również i ludne miasto Kilików do szczytu wyburzył,
Thebę o bramach wysokich i zabił Ejetiona;
Broni mu zaś nieodebrał, bo wielce się tego obawiał,
Ale go spalił na stosie z rynsztunkiem całym ozdobnym,
W miejscu usypał mogiłę; więzami ją poobsadzały
420. Nimfy górskie, Diosa co trzęsie egidą potomstwo.
Wszakci i braci siedmioro ja miałam w pałacach ojcowskich,
Lecz oni wszyscy jednego poranku zeszli do Hada,
Wszystkich albowiem zabił Achilles w biegu najszybszy
Koło ciężko chodzących wołów i białych owieczek.
425. Matkę zaś co królowała pod górą Plakos lesistą
Tutaj na miejsce sprowadził, zarazem z innemi łupami,
Wkrótce ją wprowadzie wypuścił pobrawszy wykup ogromny,
W domu ją ojca atoli zabiła Artemis łucznicza.
O Hektorze tyś dla mnie i ojcem i matką dostojną
430. Oraz i bratem, boś ty młodociany łoża towarzysz.
Teraz się zmiłuj nademną i zostań tutaj na wieży,
Byś nie zostawił chłopaczka sierotą, a wdową małżonkę.
Wojsko przy drzewie figowem uszykuj, bo tędy najłatwiej
Można do miasta się dostać i ponad murem przepawić.
435. Trzykroć się najdzielniejsi nań wdrzeć usiłowali,
Pod Ajaxów kierunkiem i Idomenea sławnego,
Wraz z Atrydami pospołem i synem odważnym Tydeja;
Bądź że im ktoś to objawił co dobrze wróżby świadomy,
Bądź że ich samych do tego odwaga i męztwo skłoniło.“
440. Wielki jej na to odpowie z powiernym Hektor szyszakiem:
„Wszystko i mnie to obchodzi, niewiasto, lecz wielce się boję
Trojan a także Trojanek o długich wlokących się szatach,
Jeźlibym równie jak tchórz z daleka wojny unikał.

- Ani mi serce po temu bom przyzwyczajony być dzielnym
445. Zawsze, i między pierwszymi Trojaną walczyć w szeregach,
Imię chwalebne ojcowskie chowając i własną mą sławę.
Dobrze mi to jest albowiem i w sercu i w duszy wiadomo;
Przyjdzie nareszcie ten dzień kiedy zginie Ilion święte,
Priam i wszystek naród Priama kopią dzielnego.
450. Ale mnie tyle nie troszczy nieszczęście Trojan w przyszłości,
Ani też samej Hekaby koleje, lub króla Priama,
Ani też braci rodzonych, acz wielu ich padnie i dzielnych
W pośród kurzawy wojennej, zwalczonych wrogów rękoma,
Ile twój los, kiedy któryś z Achajów miedzią okrytych
455. Ciebie porwie płaczącą, wolności dnia pozbawiwszy;
Jeśli byś w Argos będąca dla innej przędzę trzymała,
Albo też wodę nosiła z Messejdy lub z Hyperei
Bardzo niechętnie, przymusem do tego srogim zagniona,
Jeśli by ktoś cię ujrawszy zalaną łzami powiedział:
460. „Oto jest żona Hektora co w walce u Trojan celował
Koni poskromców, w on czas gdy koło Ilionu się bili!,
Tak może kiedyś powiedzą; ztąd nowe zmartwienie dla ciebie
Wdowy bez męża, którenby od dnia niewoli cię bronił.
Bodaj bym zginął i ziemia mnie pierwszej mogiłą zakryła,
465. Zanim mnie dojdzie twój głos i wieść że cię uprowadzono.“
Tak powiedziawszy chciał objąć synaczka Hektor prze-
świetny
- Dziecko atoli do piersi się niańki starannie ubranej
Z krzykiem tuliło, postaci drogiego ojca się bojąc,
Patrząc z obawą na grzywę włosistą, która od szczytu
470. Spiżowego szyszaka się groźnie ku niemu skłaniała.
Na to się rodzic kochany i matka dostojna zaśmieli.
Zaraz atoli swój szyszak zdejmuje Hektor prześwietny
Z głowy i, zewsząd błyszczący, ostrożnie kładzie na ziemię;
Syna zaś potem drogiego całując i głaszcząc rękoma
475. Rzecz, modlitwę do Zewsa i innych bogów zwracając:
„Zewsie i inni bogowie! przyzwólcie niech takim zostanie
Mój oto syn, by jak ja pomiędzy Trojaną celował,
Tak niezużytym był w sile i dzielnie rządził w Ilionie.
Niech o nim kiedyś powiedzą, o wiele jest lepszym od ojca!
480. Z boju gdy będzie powracał, krwawemi łupy obciążon
Męża strasznego zabiwszy, niech serce matczyne pociesza.“

- Tak powiedziawszy go w ręce małżonki drogiej oddaje,
 Syna swojego, lecz ona do piersi woniącej go tuli
 Między łzami się śmiejąc. Rozczulił się mąż na ten widok
 485. Ręką ją pieścić zaczyna, wygłasza słowo i rzecze:
 „Biedna! smutkowi zbyt niemu w swej duszy się nie oddawaj.
 Żaden mnie mąż wbrew losu do Hada wysłać nie może;
 Niema zaś męża takiego co przeznaczenia uniknie,
 Czy on dobry czy zły, jak tylko się raz już urodził.
 490. Ale ty wracaj do domu i pilnuj twoich zatrudnień
 Koło wrzeczona i przedzy, a sługom nakazuj, by każdy
 Pracą się swoją zajmował. O boju radzą mężowie
 Wszyscy, a ja najwięcej z mieszkańców miasta Ilionu.“
 Tak powiedziawszy do góry grzywiasty szyszak podnosi
 495. Hektor prześwieatny, a droga małżonka do domu powraca
 Często się odwracając i łzy wylewając serdeczne.
 Gdy zaś nazad do domu Hektora co męża morduje
 Obszernego wróciła, i tamże mnogą zastała
 Czeladź, natenczas i u nich żałobę wszystkich wzbudziła.
 500. Choć jeszcze żył, za Hektorem w domostwie jego płakały,
 Nie sądziły albowiem że jeszcze żyjący powróci
 Z wojny, uchodząc szczęśliwie potędzę i dłoniom Achajów.
 Parys się też nieocigał w pałacu o szczytach wysokich,
 Ale przywdziawszy sławny rynsztunek, od miedzi świecący,
 505. Dążył pospiesznie przez miasto, ufając nogom sprężystym:
 Jak kiedy rumak na stajni, wyobroczony przy żłobie,
 Pęty zerwawszy, wybiegnie brykając po płaskiej równinie,
 Przyzwyczajony się pławić w strumieniu uroczu szumiącym,
 Łeb zadzierając do góry zuchwale, a grzywa nakoło
 510. Karku się zwiesza; lecz on piękności swojej dufając
 Szybko nogami rzebiera ku kłaczy pastwisku znanemu,
 Takoz i Parys Priamów syn wzdłuż szczytów Pergama
 Świecąc swoim rynsztunkiem, kroczył podobny do słońca,
 Pełen ognia, a nogi go szybkie nosiły. Pokrótce
 515. Brata, Hektora boskiego dogonił, właśnie gdy tenże
 Miał się odwracać od miejsca gdzie z żoną poufnie rozmawiał.
 Wtedy się pierw Alexander do bogów podobny odezwie:
 „Drogi mój, chociaż ci spieszo ja wiele ci czasu zabieram
 Przez ociąganie, na czas nie przybywszy jak mi poleciłeś“

520. Hektor z powiernym szyszakiem w odpowiedź mu na to odrzecz:

„Dziwny! pewno by żaden mąż rzetelnego umysłu
Dzieł twych wojennych nie zganił, albowiem jesteś odważny,
Ale się lubisz ociągać i niechcesz, a jestem strapiiony
W duszy i sercu, że słyszę o tobie gadki niegodne

525. Między Trojany, co cierpią z powodu ciebie zagłębę.
Trzeba nam iść, ułożymy to potem, jeżeli dozwoli
Zews nam kiedyś, by bogom niebieskim, wiecznie żyjącym
Kielich na cześć wolności nastawić w naszych pałacach,
Gdy się nam z Troji wypędzić Achajów zbrojnych powiedzie

O KOBIERNICTWIE:

ARRASY I KOBIERCE

ZYGMUNTA AUGUSTA.

Nigdy u nas kobiernictwo nie stało na szczepku tej doskonałości, żeby się do sztuk pięknych policzyć mogło. Było ono zawsze ordynaryjnym wyrobem na domową potrzebę, rękodzielnią praktykowaną w pewnych okolicach lub miastach, zamieszkałych przez tatarskie lub karaimskie osady. W doborze kolorów, we wzorach niewolniczo powtarzających się można i dziś jeszcze dostrzedz pochodzenie ich wschodnie.

Niemógłem przeto znaleźć dostatecznej podstawy do traktowania o kobiernictwie w całej jego rozciągłości, aby do tego ogólnego poglądu i naszą produkcję przyczepić. Choćbym bowiem podszył pod Arrasy i Gobeliny nasze kilimki kulikowskie lub litewskie, niedałoby im to większego znaczenia jak mają. Atoli okoliczność ta nieusprawiedliwia obojętności dla tej pięknej sztuki wełnianych tkanin, zdobiących niegdyś ściany pałaców królewskich — tem bardziej, gdy w tym rodzaju przechowują się jeszcze tu i owdzie cenne zabytki — a o najznakomitszych mówi nasza historia.

Czytając opis Orzechowskiego sławnych kobierców zdobiących komnaty królewskiego zamku, kobierców za które Zygmunt August zapłacił ogromną sumę stu tysięcy dukatów, kobierców które w pieniężnych kłopotach Rzeczypospolitej, często

szły w zastaw do kupców gdańskich aby opłacić zaciężnego żołnierza... lub uśmierzyć konfederację wojskową. Zadałem sobie najprostsze w świecie pytanie: Gdzie są te kobierce te flandryjskie szpalery? Gdzie jest ten sławny *Potop*, który dał nazwisko całemu zbiorowi? Czy zawsze ubogi skarb Rzeczypospolitej, niemogąc wykupić zastawu, dał go za przepadłe? Czy wykupiony gdzieś się zapodział w ostatniej katastrofie Rzeczypospolitej? Jaki wreszcie los spotkał te kosztowne tkaniny, które przecież nie zniknęłyby bez śladu, tem więcej że podobne zabytki nigdy nie traciłyby na wartości, owszem w każdym czasie umiano je wysoko cenić i poszukiwać. Muszą więc zdobić jakie zagraniczne muzeum, lub być w posiadaniu jakiego możnego amatora?

Na to znalazła się odpowiedź w dwóch wzmiankach ogólnikowych, które wprawdzie dawały wskazówkę, lubo niedawały żadnej pewności.

Jak zaś doszedłem do odszukania Jagiellońskiego *potopu* opowiem w swoim miejscu, a tymczasem, ze względu na te tkaniny, niepośledniego znaczenia w historii sztuki rękodzielniczej, wypada zrobić małe studium, aby zrozumieć jak wielką odgrywały rolę tak w najodleglejszej starożytności, jak w wiekach średnich aż do dzisiejszych gobelinów: Należały one bowiem do nieodzownych ozdób świątyń, kościołów, pałaców królewskich i pańskich mieszkań.

I.

Rękodzielnictwo tkanin wełnianych sięga najgłębszej Starożytności, kobierzec był niejako pierwszym sprzętem domowym. W życiu pasterskim, które było wstępem do cywilizacji, koczujący Azyata rozbijając swój namiot na pustyni wilgotnej lub spalonej od słońca, pierwszy musiał pomyśleć jakby się uchronić od jednej lub drugiej niedogodności — i znalazł tkaninę z wełny, kobierzec, a ten z postępem czasu stroił się w barwy, służył nie tylko na posłanie lecz i na ozdobę. Najpewniej było to zadanie niewiasty, pilnującej namiotu i oddanej domowemu gospodarstwu.

Biblie, księgi święte Hinduzkie, Homer, mówią o kobiercach i oponach.

Mojżesz w księdze Exodus podaje szczegółowe opisy opon zdobiących Tabernaculum: „Dziesięć opon z bisioru kręconego, i z hyacyntu i szarłatu i z karmazynu dwakroć farbowanego z odmiennych maści robotą haftarską uczynisz,“ w drugim miejscu tejże samej księgi, mówi: „Uczynisz zasłonę z hyacyntu i szarłatu i karmazynu dwakroć farbowanego i z bisioru kręconego robotą haftarską i piękną odmianą utkaną.“ — wyraźnie tu jest mowa o tkaninach różnokolorowych (*opus polymitarium*) która to sztuka bardzo była uprawianą w Egipcie. O podobnych tkaninach natrąca parę ustępów ksiąg Joba; a z wszystkiego można wnosić że kobiernicy Mojżeszowi używali do swych tkanin nie tylko wełny barwy purpurowej, hyacyntowej (czyli błękitnej) i czerwonej, lecz jeszcze złotych nici. Herodot w 3 księdze swojej historyi, daje wysokie wyobrażenie o tkaninach egipskich, gdy mówi o napierśniku podarowanym przez egipskiego króla Amazysa Lacedemończykom „Napierśnik ten był z nici, ozdobny mnóstwem figur zwierząt tkanych złotem. Każda nitka tego napierśnika zasługiwała na osobliwą uwagę i podziw. Każda nitka aczkolwiek cienka, składała się z 360 nitek różniących się między sobą.“ Musiało to być dzieło nadzwyczajnej cierpliwości. W innym miejscu w księdze I (klio) mówi o wyrobach ludów na Kaukazie: „Ludy te mają, jak słyszałem, pewne drzewo, którego liście utarte i rozpuszczone w wodzie, dostarczają im barwy, do malowania na szatach figur zwierzęcych. Malowań tych niezmywa woda, tak, jak gdyby były tkane z kolorowych nici.“

Świadectwa te, i inne wskazówki posłużyły sławnemu Champolionowi do rozpisania się nad tkaninami w starożytnym Egipcie. Powiada on że ta obfitość tkanin i bogactwo kostiumów, jakie można widzieć na rycinach dodanych do jego dzieła, przekonywują iż sztuka farbiarska, podobnie jak tkactwo doszło w Egipcie do wysokiej doskonałości. Egipt bowiem obfitował w różne barwiące substancje, w czym mógł współzawodniczyć z Tyrem, Babilonem, Indyami, a rzecz dowiedziona że tyryjscy kupcy mieli swoje zakłady w Memfis.

Tkaniny babilońskie, a raczej hafty, które starożytni zwali *malowaniem igłą*, słynęły od niepamiętnych czasów.

Świadełstwo Iliady i Odysei wystarcza co do Grecyi. Texta liczące po trzy tysiące lat mówią za starożytnością tkanych wyrobów. W IX pieśni Iliady wchodzimy pod namiot rozdąsanego Achillesa, wraz z wysłanymi wodzami, którzy przychodzą gniew ten rozbroić. Achilles zaprasza ich do namiotu i sadowi na długich siedzeniach okrytych purpurowemi kobiercami.

W Odysei (X pieśń) na pływającej wyspie Eola spotykamy się z kobiercami. Liczna rodzina tego dozorecy wiatrów prowadzi żywot bardzo szczęśliwy

W wonnych gmachach gdzie stoły gięły się od jadła
I napitku, a fletni odgłos brzmiał w przysionkach
Tak we dnie; a zaś w nocy, męże przy małżonkach
Śpią w łóżach zaścielenych pięknemi makaty...

W piętnastej Idylli Teokryta „*Syrakuzanki*“ spotykamy kilka wierszy malujących wspaniałe opony pałacu Ptolomeusza.

Podobnych miejsc można wiele przytoczyć z innych pisarzy Greckich i łacińskich, stwierdzających tylko tę pewność, że kosztowne tkaniny używały wielkiej popularności w wiekach starożytnych, i że dochodziły do cen ogromnych. Traktat przypisywany Arystotelosowi o problematach i rzeczach cudownych podaje następującą powiastkę: „Dla Alkistenesa z Sybaris zrobiono tak przepyszną pawołokę, że osądzono ją godną ekspozycji na uroczystości Junony-Lacynii, ściągającej mieszkańców z całej Italii; obudziła też podziw większy niż inne przedmioty. Pawołoka ta dostała się następnie w ręce Dyonizjusza Starego, który odprzedał ją Kartagińczykom za 120 taletów czyli 300,000 złr. Była ona barwy purpurowej, i tworzyła kwadrat piętnasto łokciowy i od góry do dołu przedstawiała mnóstwo figur wrobionych w tkaninę. W górze były tam święte zwierzęta Suzyjskie, u dołu perskie — w środku Zews, Hera, Temis, Atene, Apollo i Afrodyta; na dwóch rogach dwakroć był przedstawiony Alkistenes i Sybaris.“

Na nieszczęście ani w hipogeach, ani w grobach nieprzechował się choćby szczątek tych tkanin kobierniczych, abyśmy mogli mieć o nich dokładne wyobrażenie. Domyślać się jednak można, że wyrób ten nieróżnił się wiele od dzisiejszych wyro-

bów orientalnych. Do tego przypuszczenia upoważnia ta okoliczność, że ów warsztat tkacki, na którym niegdyś tkwały żony i córki patryarchów, lub kobiernicy Medyi i Babilonu, prawie nie odmienił się przez tyle wieków. Anthony Rich w swoim dykcyonarzy Starożytności greckich i łacińskich podał nam rysunek tkackiego warsztatu podług wzoru znalezionej w Egipcie, jest on bardzo prosty, i w zasadzie nieróżniący się od dzisiejszego. Na takim to warsztacie, cała starożytność tkala swoje kobierce, i dziś jeszcze kobiernicy na wschodzie do swoich wybornych wyrobów używają tego samego warsztatu, jakiego używano przed trzema i czterema tysiącami lat, a co więcej sławne rękodzielnie francuskich gobelinów, wykonywają swoje arcydzieła, w sposób tylko drobnymi poprawkami różniący się od pierwotnej fabrykacyi, którą nazwałbym heroiczną, jeżeli płody jej opiewały poemata Homera.

Rzymianie zapewne znali od dawna kobierniczy warsztat, kiedy Owidyusz w VI księdze *Metamorfozów*, czyli przemian, opisuje go tak dokładnie, i ze szczegółami, jakbyśmy dziś patrzali na warsztat kobierców Gobelinowych.

Jest to właśnie ten ustęp, gdzie poeta przedstawia Arachnę wyzywającą Palladę, która z nich piękniejszą wykona tkaninę. Obie zasiadają do warsztatu:

Do krosien w różnej stronie każda z nich zasiada
I jak najcieńszą przędę na ramę zakłada
Brzeg kryje płótnem, postaw grzebieniem przeplata,
Wątek w ostrem czółenku samym środkiem lata,
Przez rozdzielone nici zręczna dłoń go ciska,
A karbowana płochą gęsto tkanie ściska.
Tkają nici tyryjskim napuszczzone sokiem
A nadają odcienia niedostrzeżone okiem....
... Gdzie niegdzie między nici każda złoto wszyła
I na tkance dzieł dawnych wspomnienie wskrzesiła.

Zdaje się że Rzymskie kobierce nieużywały takiej sławy, żeby na nich poprzestawali zbytkownicy czasów cezaryńskich kochający się w przepychu; z Azji bowiem sprowadzano wielkiej ceny kobierce i opony, po których zwycięzcy i ujarzmiciele świata deptali w swoich *cenacula'ch* i *pulvinaria'ch*.

Najkosztowniejsze przychodziły z Frygii, nazywano je malowaniami igłą: *opus phrygium*, *acu pictum*. W steku bogactw i osobliwości złupionych przez Verresa na urzędzie pretorskim, kobierce i opony niepoślednie zajmowały miejsce.

Był zwyczaj zdobić ściany pałaców cesarskich w kobierce tkane w obrazy *pictura textilis*; których dostarczała Azja; celująca artystycznością swoich wyrobów. Zwyczaj ten uszanowało Chrześcijaństwo przejmujące wiele rzeczy ze zwyczajów pogańskich, atoli napełniając je swoim duchem. Kobierce i opony przeszły na ozdobę kościołów, jak pierwiej zdobiły mieszkania możnych Kwiryków.

Cenny inwentarz Anastazego, bibliotekarza rzymskiego kościoła w IXtym wieku, daje liczny poczet rozmaitych kobierców służących do okazałości obrzędów kościelnych w pierwszych wiekach Chrześcijaństwa. Były na nich wyrobione różne sceny z nowego i starego Testamentu, jak: Zwiastowanie N. Panny, Narodzenie Zbawiciela, Rzeź niewińątek, Chrzest, rozmnożenie chlebów, wjazd do Jeruzalem. Było tam i ukrzyżowanie, i Zmartwychwstanie, były dzieje apostołskie, i ustępy z Żywotów Świętych, jak Ś. Piotra, Jana, Marcina, lub męczeństwo Ś. Wawrzyńca. Zapewne dzieła te wykonane były przez kobierników greckich, lub też haftowane.

Fr. Michel w dziele: *Recherches sur le commerce, la fabrication et l'usage des étoffes de soie, d'or, et d'argent* itd. także w tej materji daje objaśnienie: „Znaną jest powszechnie zręczność greckich rzemieślników w wyrobach tkackich i w farbierstwie. Odkąd handel i rękodzielnie założone przez Ptolemeuszów rozpowszechniły w Europie znajomość i użycie jedwabiu, sztuka robienia tkanin przedstawiających osoby, tak się wydoskonaliła w ręku Greków (bizantyjskich) że i dziś nawet w obec naszego postępu, wyroby ich rozbudzają najżywszy podziw. Na Todze niejednego Senatora chrześcijańskiego można było naliczyć ze sześćset figur; zręczny robotnik artysta przedstawiał w nich całe życie Chrystusa, wesele kananejskie, wskrzeszenie Łazarza i inne cuda.“

Tak więc docierając aż do źródła najdawniejszego społeczeństwa, spotykamy się tam z początkami tej sztuki, i widzimy jak ona przechodziła z ludu do ludu, gdzie się rozwijała odpowiednio do przyrodzonych zdolności i do materyału

jakim mógł rozporządzać. Kościół Chrześcijański użył tych tkanin do swoich ozdób, i przez nie jak przez wszystko, czego się dotknął szerzył boskie słowo ewangelii. Rzym dał w tem pierwszy przykład, naśladowany w całym chrześcijaństwie. Papieże zaraz od początku zdobili rzymskie bazyliki kunsztownie tkanami kobiercami, który to zwyczaj utrzymywał się tak w ciągu średnich wieków, jak w epoce odrodzenia za Leona X, aż do najnowszych czasów. Wielkie gotyckie katedry, bogate opactwa, klasztory, ubiegały się na wzór Stolicy Świętej o te przepyszne tkaniny, aby je rozwieszać na ścianach; niemniej były one przedmiotem współubiegania się między monarszemi dworami i zamkami możnych panów, które tak przyozdabiano w kobierce i makaty jak dziś w malowidła.

Rzeczywiście, sztuka kobiernicza jest bardzo ważną gałęzią sztuk pięknych, jeżeli ją porównamy z witrażami i malowaniem ściennem, przewyższa je bowiem niekiedy wspaniałością efektu.

Karol Blanc w uczonej swej pracy o sztuce dekoracyjnej, tak mówi o zdobieniu mieszkań pańskich w wiekach średnich: „Nasi prodkowie z owych czasów żyli w świecie poetyczniejszym i więcej zajmującym niż nasz dzisiejszy, pełni poezyi, byli poetami w architekturze wyrażającej uczucia religijne i rycerskie, byli nimi w malowidłach szyb kolorowych, niedopuszczających białego światła, aby się kąpać w atmosferze barw tęczyowych. Takież usposobienie kazało im lubować się w kobercach i oponach, które rozwieszali na ścianach, lub z których robili przepierzenia tworzące małe alkowy sprzyjające poufnej pogadance. Opony te miały charakter tajemniczy, Intrygi miłosne, tajemnice stanu, spiski, niespodzianki, skryte przesmyki — wszystko to w tych wiekach rycerskich, nieustannych wojen, podstępów, kryło się pod temi ciężkimi oponami, które właściwie zastępowały ściany, i drzwi, tem się różniące od dzisiejszych, że często miały uszy i oczy. Starożytność jak i średnie wieki lubowała się w tych kobierniczych oponach, Alexander W. kazał wziąć na tortury Filotesa obwinionego o udział w spisku; a sam skryty za oponą podsłuchuje co obwiniony mówi. Agrypina także schowana za oponą obecna jest rozprawom Senatowi, w Szekspirze Polonius słucha

z poza opony rozmowy między Hamletem i królową matką — i ginie tragiczną śmiercią...!

Kobiernictwo mając tak szerokie zastosowanie do potrzeb i wygod średnich wieków, było jednym z najbardziej kwitnących, a oraz używających wielkich przywilejów, i wolności rękodzieł. Nietylko całe miasta, ale i prowincye oddawały się temu rodzajowi wyrobu. Francya a mianowicie Flandrya nie tylko rywalizowała ze Wschodem, ale go prześcignęła daleko, głównie w tak zwanych kobiercach historycznych.

II.

Zebrane z różnych wzmianek w autorach, niemniej inwentarzów klasztornych, archiwalnych dokumentów królewskich zapiski, dają tę pewność, że sztuka tkanin wełnianych ciągle utrzymywała się od pierwszych wieków chrześcijaństwa przedewszystkiem, a może jedynie po klasztorach zachodu, gdzie wyrabiano tkaniny służące do ozdoby świątyń pańskich.

Industria ta nabrała jednak większej rozciągłości od czasu jak Karol Martel w początku ósmego wieku rozbił najazd Saracenów, a rozproszeni z tego pogromu, długo tułając się po kraju, zaczęli w niektórych stronach stale osiadać, i brać się do kobiernictwa, wyroby ich wzięły ztąd nazwę Saraceńskich. Nigdzie jednak niepowiedziano, gdzie ci rękodzielnicy osiedli, i jakiego rodzaju były ich wyroby. Mimo tego w statutach korporacji kobierniczych długo przechowała się nazwa kobierców Saraceńskich.

Biorąc na uwagę mnóstwo zebranych świadectw mniej więcej dokładnych, kolebką sztuki kobierniczej, bo jeszcze za rzymskich czasów miało mieć sławę ze swoich tkanin miasto flamandzkie Arras. *Vestes Atrebaticae* były poszukiwane i wysoko cenione przez Rzymian, którzy mieszkańcom dali przydomek *Aranearii*, zapewne przez porównanie z mitologiczną Arachną, która w swej sztuce rywalizowała z Minerwą. Wszakże dopiero po pierwszej krucjacie, kiedy rycerze Flandryi i Artezyi ponawozili ze sobą kobierce tkane w Bizancyum lub w Smyrnie, zaczęto na ten sposób wyrabiać je w Arras, i prędko prześcignięto Lewantyków. Podług wszelkiego podo-

bieństwa ci sami krzyżowce, co powracali ze wschodu przynieśli z sobą zamiłowanie w ozdabianiu mieszkań kobiercami i oponami, czego nauczyli się od Greków i Saracenów, do dziś jeszcze przechowujących ten zwyczaj.

Sposób wyrabiania tych tkanin bywał rozmaity. Otrzymywano je już to wybierając wzory kolorowe na gotowej, jednej barwy tkaninie, i wtedy nie była to opona tkana, lecz właściwie *malowanka*, mówiąc wyrazem używanym u gminu. Podobne figury, lub wzory wykonywano jeszcze wyszywając je igłą i dobierając stosownych kolorów włóczki, lub jedwabiu i niemi zapełniając drobne kratki, kanwy, lub płótna. Ten rodzaj dziś wszystkim znany, jak był znany w starożytności; która go nazywała *malowaniem igłą*!

Sławne kobierce miasta Bayeux przedstawiające zawojowanie Anglii w r. 1066 są najslawniejszym pomnikiem haftarskim. Są one dziełem Matyldy córki króla francuskiego Henryka I, a żony Cesarza Henryka V, a następnie Godfreda Plaxtegeneta która, z pomocą dam swego dworu, miała dokonać tej olbrzymiej roboty mającej 214 stóp długości a 18 cali wysokości. Fryza ta dostarczyła wiele ważnych szczegółów znanemu historykowi Augustynowi Thierremu.

Robiono także kobierce z różnych skrawków materyi, które wycinano i zszywano ze sobą, tworząc tym sposobem mozaikę; twarze zaś i ręce i inne delikatniejsze części zastępowano malowaniem, lub je haftowano włóczkami i jedwabiem.

Ostatni najdoskonalszy sposób należący do właściwego kobiernictwa, na tem zależy, że czy to postacie ludzkie, czy inne przedmioty naśladujące naturę, wrobione są w tkaninę, tak iż przedstawiony obraz jest oraz kobiercem. W tym ostatnim rodzaju wyrobu słynęła Flandrya, a mianowicie miasto Arras, od którego wyrabiane tam kobierce i opony głośne i poszukiwane w całym świecie, przyjęły nazwę *Arrasoir*.

Warsztaty kobiernicze zwane *haute-lisse*, tem się różnią od zwanych *basse-lisse*, że w pierwszych postawa naciągnięta jest prostopadle, a w drugich horyzontalnie; te ostatnie podobne są do krosien. Opisywać szczegółowo konstrukcję warsztatu, na którym dziane są kobierce, natrafia na tę trudność, że mamy brak terminologii kobierniczej, z tej zapewne przyczyny, że ten rodzaj rękodzielnictwa niekwitnął u nas, a je-

żeli były podobne rękodzieła to znikły, a z nimi i odpowiedni język.

Chcąc mieć jakie takie wyobrażenie o wspaniałości Arrasów w epoce, kiedy wyroby te doszły do największej świetności, trzeba je sobie przedstawić, jak za pomocą włóczek różnobarwnych, nici jedwabnych, złotych i srebrnych produkowały te same kształty, te same tła złociste i kolory, tylko świeższe i bogatsze, niż te co dziś podziwiamy w staroświeckich tryptykach, malowaniach ściennych, i na kartach pergaminowych manuskryptów. Na tkaninach tych przychodzą te same tła złoty tylko świetniejsze; te same barwy co w krajobrazach lub szatach, z tą jednak różnicą, że zielone kolory w pejzażów są żywe i w różnych odcieniach; a szaty są utkane z tych samych nici co rzeczywiste. Ciało równie traktowane jakby na malowidle; a wszystko, aż do wielkości naturalnej figur, przedstawia uderzającej okazałości sceny. Tkaniny te noszą charakter wielkiego malarstwa, z powodu swojej rozciągłości pozwalającej oddawać długi szereg zdarzeń historycznych lub alegorycznych, i to bez żadnej przerwy przeciętej ramami. Nic dziwnego że o te monumentalne tkaniny, ubiegano się aby zdobić nimi monarsze pałace, zamki baronów, bogate opactwa i katedry.

Jak już mówiliśmy, wzorów do kobierców arrasich w średnich wiekach dostarczały po większej części miniatury manuskryptów, które nieznani dziś malarze rysowali na kartonach, na tę skalę na jaką miał być wykonany kobierzec. Najwięcej w wieku XIV i XV czerpano przedmioty do tych tkanin z pisma Świętego, z powieści rycerskich, (*fabliaux*) i moralnych alegoryj (*moralités*) głośnych w swoim czasie; atoli wyrabiano i wizerunki osób panujących i dostojników duchownych; wyrabiano także pejzaże, drzewa, kwiaty, i te znane u nas były pod nazwą szpalerów (*verdures*). Jeszcze dodać można tę uwagę, do ogólnej charakterystyki Arrasów, że te; jakie wyrabiano do drugiej połowy piętnastego wieku, miały zazwyczaj tło złote, lub z zielonych liści i drobnych kwiateczków. Na takim tle rysowały się figury i zwierzęta.

III.

Zdawało się, że stan kwitnący tkanin kobierniczych, a przynajmniej korporacji kobierników i tkaczów, które zatrudniały przy warsztatach prawie trzecią część ludności tych prowincyj, skończył się z śmiercią Karola Zuchwałego i upadkiem Burgundzkiego domu. Historia opowiada okropności jakie się działy we Flandrach, kiedy Ludwik XI król francuski od dawna cychający na tę bogatą zdobycz, zajął miasto Arras, osadził załogę francuską, a kobiernicy i tkacze od dawna zaprawieni do rozruchów, dali hasło do wypędzenia załogi, w skutek czego nastąpiła okropna zemsta: jednych wymordowano, drugich rozpędzono, a miastu odebrano starą jego nazwę, przemieniając na *Franchisse*. Atoli żywotność tych przemysłowych i pracowitych flamandów była tak niepokonana, że pomimo klęsk ogromnych, warsztaty jak pierwiej, tak i później nieprzestały produkować. Sam zwycięzca uszanował przemysł i pracę tego ludu, i znowu zaczął naprawiać co zepsuł w pierwszym porwyie zemsty.

Wszystko wróciło do dawnego porządku, a sam koniec XV i początek XVI wieku zajaśniał tkaninami Arraskiem i Brukselskimi, które pod opieką xiążąt z domu Austriackiego, stanowią jakby nową epokę, w tym rękodzielnictwie; zaczęto bowiem tkać kobierce i opony podług wzorów i kartonów najslawniejszych malarzy flamandzkich i włoskich, przez co nabrały wartości artystycznej, gdy dotąd miały dekoracyjną i archeologiczną.

O tkaninach z tego czasu kiedy wpływ rozbudzonego malarstwa, nadał im nową świetność i wartość, powiada znakomity znawca sztuki p. Vitet, zastanawiając się nad kobiercem przedstawiającym Turnieje, a odkrytym w r. 1830 w Valenciennes:

„Mało obrazów — mówi on, zrobiło na mnie takie wrażenie, bądź siłą kolorytu, bądź łagodnie spływających ze sobą cieniowań, bądź czystością i szczerością rysunku, bądź nakoniec śmiałością i ciepłem całej kompozycyi, jak ta tkanina.“

Polegając na zdaniu tak znakomitego znawcy, widzimy jak wielki skok zrobiło kobiernictwo wieków średnich przez

udział znakomitych artystów epoki odrodzenia, których dzieła brano za wzór, a radom dawano ucho. Nowe wyroby mające charakter pięknych malowideł, mocno różniły się od owych wzorzystych kobierców i opon, jakie zdobiły w wiekach średnich kościoły i komnaty zamków. Zwykle na nich figury, podobne były do grubego rysunku o czarnym konturze, jakby wyciętego i przyklejonego na tle zieleni liściastej, lub kwiecistej; tak iż trudno było zrozumieć, co jaka scena wyraża bez napisów na wstęgach idących z ust, lub umieszczonych pod spodem. Zgoła pod względem artystycznym dawne kobierce stały nadzwyczaj nisko, dopiero pod sam koniec XV wieku a początek XVI, malarze flamandzcy zaprawni na wielkich dziełach dekoracyjnych, wtajemniczeni przytem w sposoby tkanin kobierniczych, nadali nowy rozwój tej industyi, która biorąc natchnienie z takich wzorów jak Leonarda de Vinci, Rafaela, Jana z Udiny, Juliusza Romano, a poddając się takim kierownikom jak Van Orlej, Coxius, Piotr Campana, licząc nareszcie takich opiekunów jak papież Leon X., Juliusz II. Franciszek I, Karol V, i Medyceusze, wydawać zaczęła arcydzieła, które do monumentalnych dzieł sztuki są policzone.

Najslawniejszym pomnikiem sztuki kobierniczej, są te przepyszne arrasy, które Leon X kazał wykonać podług kartonów Rafaela, a dwom jego zdolnym uczniom Van Orlejowi i Michałowi Coxie, polecane było kierować robotą kobierników arraskich. Kartony te wykonał Rafael w r. 1515 i 1516; posłano je do Flandryi, do Arras, aby tam wykonano w tkaniu z włóczki, jedwabiu i złota, owe jak zowią we Włoszech *Arrazi*, albo *Panni di russia*. *Paris de Grassis*, papieżki mistrz ceremonii, podaje o nich wiadomość w swoim dzienniku, i pisze pod r. 1519: „W dzień św. Stefana kazał ojciec św. zawiesić nowe *Arrazi* nader piękne, kosztowne, na których widok osłupieli wszyscy w kaplicy (Syxtyńskiej), albowiem zdaniem wszystkich, co tam byli, są to dzieła, jakich w świecie nie ma piękniejszych i niezmiernej wartości, bo kosztujące po dwa tysiące czerwonych złotych w złocie ¹⁾.“

¹⁾ In die S. Sephani jussit Papa appendi suos pannos di russia novos, pulherrimos, pretiosos, de quibus tota capella stupefacta est in aspectu illorum, quia ut fuit universale

Wszystkie 20 sztuk ceniono na 40 tysięcy skudów; Vasari zaś cenił na 70 tysięcy skudów.

Parsavant wielki znawca i biograf Rafaela; takie zdanie daje o tych kompozycjach mistrza z Urbinu: „W kartonach tych znajdujemy Goetta plastyczną wielkość, połączoną z rzadkiem wykończeniem szczegółów, czem się odznaczała sztuka włoska na początku XVI wieku. Czystość smaku nabytego przez studyowanie antyku, łączy się tu z wyższem, właściwem sztuce chrześcijańskiej życiem duchowem. Żaden mistrz nie wszedł od niego głębiej w tajemnicę ducha i prawdy życia; żaden wyżej nie wzniosł się moralną potęgą, ani też tak porywającą dramatycznością w przedstawieniu, jak Rafael w obrazach z dziejów apostoelskich przez to połączenie najwyższych wymagań sztuki. Słusznie kompozycje te uważane są za nierównie wyższe od wszelkich obrazów przedstawiających sceny czysto historyczne.“ Jakkolwiek sławne są te obicia, niemniej największą ich sławę zrobiły kartony Rafaela, które w liczbie siedmiu sztuk znajdują się dziś w Anglii w zamku Hampton-Court.

Opony rafaeliczne przechodziły przez burzliwe koleje wojen i rewolucyi. W niewiele lat po ich zawieszeniu w Syxynie Konnetabl Burbon w roku 1527 napadł i złupił Rzym, a jego bandy zaciężnych Niemców zrabowały te kosztowne arcydzieła sztuki kobierniczej. Później bo w r. 1555 odkupił je Juliusz III od Konnetabla Montmorency; atoli skradzione znowu w r. 1789, i dostały się w ręce żydów, którzy jedną sztukę przetopili na złoto; a inne przedali kupcom genueńskim, od których ojciec św. Pius VII odkupił pozostałe opony w r. 1808.

Podług kartonów Rafaela, robiono jeszcze kilkakrotnie Arrasy, jak to można się przekonać z opon znajdujących się po muzeach. Pan Viardot w dziele swoim o muzeach w Anglii zwraca uwagę na ten inetresujący przedmiot i powiada, że liczba tych reprodukcji nie musiała być znaczną z powodu,

judicium sunt res, qua non est aliquid in orbe nunc pulchrius, et numquodque pretium est volaris duorum millium ducatorum auri in auro.

że gdzieżby się podziały te drogiecenne zabytki, któreby nie mogły przepaść jak kamień rzucony w wodę?... Jakoż oprócz watykańskich znajdują się rafaeliczne arras w dwóch stolicach, to jest w Dreźnie i Berlinie. W pierwszej tej stolicy jest sześć sztuk wykonanych podług kartonów Rafaela, a w drugiej dziewięć.

Wspomina jeszcze Felibieu ¹⁾, że katedra w Chartres miała dziesięć Arrasów, które zginęły; miały one 40 łokci długości i były niegdyś wykonane we Flandrach podług rysunków Rafaela.

Jeszcze przeszło cały wiek słynęło Arras, a w ogóle Flandrya wyrobami kobierców. Do podniesienia tej przemysłu przyczynił się udział, jaki w niej brali znakomici malarze niderlandzcy i włoscy, którzy dostarczali kartonów; a niemniej cesarz Korol V, który odziedziczywszy hrabstwo Flandryi osobiście opieką otaczał kobernictwo, już to nagradzając hojnie malarzy dostarczających modelów, już wydając rozporządzenia i statuta zaprowadzające ścisły dozór i porządek między cechami i korporacyami koberników. Wszakże królowie francuscy zaczawszy od Franciszka I, nieprzestawali współzawodniczyć z Flandryą; na wielu miejscach powstały manufaktury królewskie hojnie opatrywane i protegowane, co ściągało zdolnych rękodzielników z Flandyi.

Mimo tych usiłowań, dopiero za Ludwika XIV mianowicie za ministerstwa Colberta powstała sławna na cały świat fabryka Gobelinów, która przez użycie najbieglejszych robotników sprowadzonych z Flandyi, przez zachętę i zapomogi rządowe, a głównie przez wpływ znakomitych malarzy, wyciskających pieczęć swego talentu na tych wyrobach, niebawem doszła do tej doskonałości, że nigdzie nie odważono się współzawodniczyć z jej produkcjami.

Jeniusz uniwersalny Lebruna królewskiego malarza, dokazywał cudów, wsparty dzielną pomocą znakomitych artystów powołanych do tej manufaktury Gobelinois. I tak Van der Meulen miał wydział bitew, koni, kostiumu; Jan Chrzyciel Monnoyer, kwiatów; Nikazy Bernaert zwierząt. Oprócz tego w pa-

¹⁾ Entretiens sur les vies et les ouvrages de plus excellents peintres anciens et modernes (1666—1688).

łacu Gobelinów otworzoną została szkoła. Blisko stu uczniów ćwiczyło się w swoim rzemiośle, pobierając naukę od mistrzów w rysunku i modelowaniu.

P. Lacordaire w wybornem dziele o Zakładzie Gobelinów takie daje zdanie o pierwszych tkaninach jakie wyszły z tej rękodzielni: „Nietyle liczbą tkanin odznaczał się ten zakład, ile rzeczywistym postępowaniem dokonanym tak w kompozycji, jak w sposobie wyrabiania tapetów. Stanowczo twierdzą, jako żadna, nawet z późniejszych epok nieprzewyższyła czasów Ludwika XIV w wyborze i kompozycji wzorów, co ma zawdzięczać wybornemu Zarządowi tej manufaktury, a głównie malarzom kierującym robotami. To pewna, że ówcześni kobiernicy, bynajmniej nieprześcignęli swoich poprzedników, szli bowiem za tradycją swojej sztuki, i znali te same sposoby — jeden tylko wpływ i kierunek artystyczny sprawił to, że tak zwane Gobeliny przewyższyły wszystko, co dotąd mogła dokazać sztuka kobiernicza.“

Później ubiegano się o to, aby w tkaninach Gobelinowych, naśladować obrazy wielkich mistrzów malarstwa; kierunek ten chybił celu, bo co innego jest tkanina a co innego malowidło. I najjenialniejszy kobiernik choćby miał na zawołanie najobszerniejszą skalę kolorów i ich odcieni, nie jest w stanie oddać tego delikatnego wyrazu jakim tchnie obraz ręki mistrza wykonany środkami, których kobiernik nieposiada. Niepozostaje mu nic innego, jak tylko włóczęką i jedwabiem tłumaczyć obrazy dekoracyjne, tem więcej, że kobiernictwo będąc z natury swojej sztuką dekoracyjną, do zrównania się z malarstwem niemoże mieć pretensyi.

Jestto zasada dla wszystkich sztuk w szczególności, że każda powinna znać siebie, i ściśle trzymać się swego zakresu; przekraczanie bowiem tej delikatnej granicy, dzielącej kunszt od kunsztu, zawsze wpływa na niekorzyść produkcji.

IV.

Krótki ten rzut oka na dzieje kobiernictwa od najdawniejszych do najnowszych czasów, aczkolwiek ten rodzaj rękodzielnictwa nieznajduje u nas bezpośredniego zastosowania,

jednakowoż nie może być obojętnym, raz że żyjemy w epoce, która ożywiła się wielkim interesem dla sztuki, a mianowicie dla sztuki zastosowanej do rękodzieł; po drugie że posiadaliśmy niegdyś ogromne skarby w wyrobach tego rodzaju, to jest oponach flandryjskich, szpalerach, makatach, rasach które zdobiły komnaty tego tu zamku na Wawelu, a później z przeniesieniem stolicy, zamku królewskiego w Warszawie.

Był to sprzęt monarszej okazałości, nabyty przez Zygmunta Augusta, który po matce swojej Włoszce odziedziczył zamiłowanie do rzeczy pięknych i kosztownych, tak iż skarbiec jego zdaniem tych, co go oglądali należał do najbogatszych, co też i testament potwierdza.

Na pierwszy opis tych opon (cortinae) natrafiamy w rzadkiej dziś broszurze sławnego i ruchliwego publicysty 16 wieku Stanisława Orzechowskiego, której tytuł: *Panegyrycus nuptiarum Sigismundi Augusti Poloniae Regis. Cracoviae Lazarus Andreae excudebat MDLIII*. Jest to panegiryk na wesele Zygmunta Augusta z Katarzyną Austriaczką, siostry pierwszej jego żony Elżbiety, drukowany w r. 1553. Broszura ta miała troje wydań z różnymi odmianami i dodatkami, które wszakże mniej dziś mają dla nas wagi niż zawarty w niej opis szczegółowy tych opon jakie zdobiły komnaty królewskie przystrojone na tę wielką uroczystość weselną.

Opis ten — jako dokument współczesny, jedynym jest przewodnikiem mogącym na ślad naprowadzić w odszukaniu tych monumentalnych zabytków, które zniknęły. Opis w tłumaczeniu z łacińskiego brzmi jak następuje, idąc porządkiem komnat:

„Po wieczery i tańcach, pisze Orzechowski — udano się wewnątrz komnat aż, gdzie była łożnica. U niewielu monarchów widzieć można bogactwo i wspaniałość, okrywających ściany, szpalerów. W tych tu pierwsze z pisma św. przygody igłą, jakgdyby pędzlem, wyrażone były. Najprzód, początek bycia i kłesk naszych. Adam i Ewa, na tle złotem stali, jakgdyby żyjące, wyrażeni. A że cała ich historia dziwną sztuką i dowcipem wyrobiona tam była, żebyś i talent artysty, gust i wspaniałość króla naszego poznał, dokładnie wszystkie tu kresłę: —

Pierwsza opona szpalerów, u głowy małżeńskiego łoża wyrażała szczęśliwość pierwszych rodziców naszych, którzy że niewinni, nie widzieli się być nagiemi, każda płeć odmalowana igłą ze wszystkimi wdziękami swemi.

Na drugiej oponie widziałeś zakazaną jabłoń! tam i obłudę węża i ciekawość Ewy i grzech Adama zdawały się przemawiać.

Trzecia, wyrażała nędzne wygnanie z Raju Adama, trwogę Ewy, zapalczywość zagniewanego Boga; to wszystko wyrażone było w najpiękniejszych odcieniach.

W czwartej, żal i boleść rodziców naszych. Nieszczęśliwy Adam okryty skórą wypędzony z Raju, ziemię lemieszem rozdzierał, Ewa zaś upokorzona z dwoma niemowlętami u łona; około ubogiej krzątała się lepianki, nad lepianką i koło Ewy nieznane ptastwo latało, jakgdyby się natrzęsające z wygnańców i wyrzucając im grzech ich.

W piątej, przyjemna Bogu ofiara Abła, Kain z zawiści i gniewu kłusującą swą rękę.

W szóstej rzucający się bezbożny Kain na brata Abła, lewą ręką porywa go za włosy, prawą podnosi szczękę końską, już gotów śmierć zadać, tuś widział wściekle oczy zabójcy, twarz rozognioną, najeżone włosy; rzekłbyś, że wszystkie miotały nim jędze.

W siódmej z otwartego Nieba spozierał Bóg zagniewany; leżał broczący się w posoce trup Abła; naprzeciw, zabierający się do ucieczki Kain, rozpacz i zemsta w postaci kobiet ściągają zabójcę.

Ósma wyrażała zbrodnicze niegodziwego Kaina potomstwo. Ci porywali niewinne dziewice, inni gwałcili małżonki, owi najeżdżali miasta, zabierali cudze własności; wszędy gwałt, zabójstwa, godne ojca takiego czyny.

W dziewiątej widziano Boga, mściciela zbrodni tych, przechodzącego się z Noem, zapowiadającego mu potop, który miał występne plemię wygubić. Tu wszystkie figury, zdawało się mówiące prawie były.

Takie były sypialnego pokoju szpalery. Żebyśmy zaś wierny opis podali tym, którzy tam przytomnymi nie byli, lub przez uszanowanie wnijść do komnat tych nie śmieli, przydam resztę do historii Noego, a chcąc to uczynić, muszę was

na chwilę z sypialni królewskiej wywieźć, wkrótce do niej powrócim.

W średnim pokoju równie bogate i kunsztowne szpalery, wyrażały rozmowę Mojżesza z Faraonem, przejście onego przez morze Czerwone, danie 10u Tablic i wojna z Amalachitami; wszystko wyszywane barwistym jedwabiem, złotem i srebrem.

W sali, poprzedzającej przedpokój do sypialni, widziałeś Wszechmocnego, dającego Noemu przepisy względem budowania korabiu.

W drugim pokoju szpalery przedstawiały budowę korabiu, tak wiernie, iż zdawało się, żeś słyszał młoty kowalów i uderzenia siekier ciesielskich.

W trzecim Noe zgromadził do korabiu rozmaite zwierzęta; żywność dla nich i sam z swojemi zamykał się w niej.

W czwartym widziałeś otwarte okna niebios, lejące się deszczu powódzie z piorunami i grzmotami, przerażającemi trwogę, obalającemi na ziemię bezbożne plemię Kaina; jedni czepiali się drzew, wychodzących jeszcze nad wody; inni wdzierali się na wyniosłe skały, wszędy trwoga, okropne zamieszanie przerażały oczy patrzących.

W piątym już pokoju ukojone morze i opadłe wody, bite ofiary wznoszące się z ołtarzów płomienie, nakoniec ubłagane Bóstwo.

W szpalerach tych zadziwiającą sztuką wyrażone były trupy potopionych ludzi, już miękkie i gnijące. Nic bardziej przerażającego ręka ludzka utworzyć nie mogła.

W szóstej komnacie dziękował Noe Najwyższemu; jaśniała tęcza na niebie, znak obietnic Boskich.

Takie były te, sztuką i bogactwem nieporównane, „szpalery.“

Z opisu Orzechowskiego widzimy, że wyliczone tu Arrasy przedstawiały sceny wzięte ze Starego Testamentu, mianowicie z księgi rodzaju. Zachwycenie Autora mogło być rzeczywiste na widok tych wspaniałych, złotem i żywością kolorów chwytających oczy opon flandryjskich, gdy o nich mówi „że igłą jak gdyby pędzlem wyrażone były“ (textu de picti).

Najżywszemi farbami maluje obraz *potopu*, który na nim największe musiał zrobić wrażenie „jedni czepiali się drzew wychodzących jeszcze nad wody; inni wdzierali się na wynio-

słe skały — wszędy trwoga, okropne zamięszanie, przerażały oczy patrzących.“

Zdaje się że od silnego wrażenia jakie ten obraz sprawiał, cały szereg tych opon otrzymał ogólną nazwę, *potopu*. Odtąd w różnych okolicznościach i pismach publicznych, gdy przyjdzie wzmianka o tych oponach, czytamy: Potop Zygmunta Augusta.

Lubo niewiadomo na czem opiera się tradycja że król Zygmunt August zapłacił za te opony 100 tysięcy dukatów, a zatem o wiele większą sumę niż Papież Leon X za Arrasy tkane podług kartonów Rafaela, to zawsze trzeba przyjąć ten pewnik, że musiały kosztować ogromne pieniądze, kiedy będąc własnością skarbu Rzeczypospolitej, często zastawiane były w chwilach krytycznych; jak na prowadzenie wojny, lub uśmieszenie żołnierskiego rokoszu.

Dwór polski, podobnie jak inne monarsze dwory w owych wiekach wiele dbał o okazałość, nietylko w klejnotach, szafach, rządach i powozach, lecz w przyozdobieniu komnat pańskich, do czego głównie służyły kobierne wyroby szczególniej flandryjskie. Ztąd też w naszym języku przechowały się nazwy: opon flandryjskich, szpalierów, rac (panni di russia). Niewątpliwie królowie nasi, głównie z Jagiellońskiego domu otrzymywali bądź darem od monarchów, lub sami nabywali te sławne opony Arraskie, które w wiekach średnich należały do koniecznych ozdób mieszkań królewskich. Gdy ściennych malowań nieużywano, z powodu rzadkości biegłych w sztuce dekoracyjnej malarzy, i zresztą że to niebyło w ówczesnym obyczaju — zawieszano kobierce na ścianach; wyścielano nimi podłogę; robiono z nich osobne gabineciki; one zastępowały miejsce drzwi między jedną komnatą a drugą; one gdy nieznano stołków wyścielanych włósiem, lub jak dziś na sprężynach, służyły do nakrycia ławek, stołów, łoża itp.

Jednem słowem, kobierzec należał do najgłówniejszego sprzętu. Dość zajrzeć w stare inwentarze zamków królewskich; książęcych we Francyi; lub rejestra wydatków dworskich, aby się przekonać jaka obfitość była tych tkanin, i jak ogromne wydawano na nie sumy. Najciekawszym w tym względzie był dwór Karola Zuchwałego Xięcia Burgundzkiego. Pan ten o ile Zuchwały, o tyle nieroztropny kochał się w przepychu i z ta-

kim bogatym taborem miał zwyczaj ciągnąć na wojnę, nie przypuszczając, że jej wypadek niezawsze może być pomyślny. W ogóle w owych wiekach, kiedy wojny niekończyły się tak prędko, jak za dni naszych, zabierano ze sobą do obozów nie tylko sprzęt do wygody służący, lecz i kosztowności w szatach i klejnotach: Otóż w trzech miejscach pamiętnych krwawymi bitwami w ostatniej połowie XV wieku rozsypały się te sławne skarby Karola Zuchwałego; to jest pod Grenson, Morat i Nancy, które dostały się łupem wojennym chłopom Szwajcarskim, i Lotaryńczykom. Pod Gronson biedne chłopstwo Szwajcarskie kiedy rozerwało obóz Burgundzki, i chwyciło łupy bogate, nieznając ich wartości, sprzedawało je za byle co. Ogromny dyament, który Xiążę nosił na szyi, a który niegdyś ozdobił koronę Wielkiego Mongoła, a był największym w Chrześcijaństwie, dostał się za talara jakiemuś wiejskiemu plebanowi; od tego przechodząc z rąk do rąk, coraz drożej płacony, zdobi dziś tiarę papieżką. Były jeszcze inne dwa sławne diamenty co podobnej doznały kolei; z tych jeden należy do domu Rakuskiego, drugi znany pod imieniem *Sanci*, stał się własnością rodziny Dymidowów.

Lecz historia tych klejnotów, mniej nas tu obchodzi; więcej nierównie łup artystyczny; owe przepyszne makaty jedwabne i aksamitne haftowane perłami; owe sznury i kutasy kręcone z nici złotych, które utrzymywały namiot królewski; owe złotogłowy, i adamaszki, owe koronki flandryjskie, a nadewszystko Arrasy, które tam znalazły się w niesłychanej obfitości, a przy podziale między zwycięskich Szwajcarów pocięte były na łokcie, jak zwyczajne płótno.

Dokoła królewskiego namiotu gorejącego od purpury i złota, stało czterysta innych namiotów należących do dworu i przedniejszych panów. Można sobie wyobrazić czego tam niedobyto, nie tylko w klejnotach będących dziś ozdobą monarchów, lecz i artystycznych dzieł złotniczej sztuki jak relikwiarze, posągi apostołów lane ze srebra, ołtarz z krzyształu skalnego, aż do książki do nabożeństwa w przepysznej oprawie. W drugiej równie nieszczęśliwej bitwie nad jeziorem Morat (1476) obóz Karola Burgundzkiego znowu się dostał w ręce zwycięskich Szwajcarów. Już w nim nie było tych bo-

gactw co w obozie pod Granson; ale zawsze ogromna zdobycz w arrasach; zbrojach misternej roboty, namiotach itp.

Pod Nancy zaszła trzecia katastrofa, która skończyła się śmiercią Karola Zuchwałego.

Z tego to źródła wzbogaciły się kościoły Szwajcarskie przepysznemi oponami. Szczególniej katedra Berneńska dotąd przechowuje owe wspaniałe Arrasy średniowieczne będące przedmiotem studyów dla historyi sztuki i archeologii.

Takich opon jest sześć. Jedna przedstawia: Trzech królów przynoszących dary Dzieciątku Betlejemskiemu; druga: Gloryfikację cnoty Sprawiedliwości, inne w kilku sztukach Życie Cezara. Wszystko z opisem i rysunkami wydał Achille Jobinal, włączając i inne Arrasy z najdawniejszych epok, jakie się znajdują po katedrach, w niektórych zamkach i muzeach.

Cały ten ustęp z historyi Burgundzkiej wplotłem w moje opowiadanie, dla pokazania jak wielką rolę grało kobiernictwo w wieku 15 i 16, i jak kosztowny ten sprzęt towarzyszył rycerzom nawet w wyprawach wojennych, który zwyczaj jak mnie mam przyszedł z krucyatami. Turcy bowiem zwykli byli ciągnąć na wojnę z taborem, gdzie nietylko niebrak było kosztownych kobierców perskich i adziamskich, lecz znajdowały się łaźnie i haremy. Rozbicie namiotów Kara-Mustafy przez Sobieskiego pod Wiedniem odkryło tam mnóstwo zbytkowych przedmiotów jakich się niespodziewano znaleźć w obozie, kioski, fontany, łaźnie a nawet menażeryę — nareszcie i szpalery flandryjskie, które od dawnego czasu używały wielkiej wziętości na Wschodzie. ¹⁾ Dziś sześć sztuk tych opon darowanych przez Jana III biskupowi Małachowskiemu zdobi górną część ścian katedry krakowskiej.

¹⁾ Froissard kronikarz francuski pisze, że po bitwie pod Nikopolis, kiedy Jakób de Helly przybył do Francyi, aby traktować o wykupno jeńców francuskich będących w niewoli u Bajazeta, radził że niczem niemożna by tak ująć Sułtana, jak ofiarując mu kobierce tkane w Arras, a przedstawiające obrazy historyczne... (*de bonnes histoires anciennes*). Posłano mu też historyę Alexandra Wielkiego zapewne nie podług Kurcyusza, lecz wziętą z rycerskiego romansu o Alexandre W., który to rodzaj najwięcej do *fabliaux* dostarczał tematów.

Wracając atoli do Zygmuntofskich kobierców, a raczej do jego testamentu z r. 1571 i w którym rozporządza nimi, znajdujemy ten ustęp: „Także obicie wszystkie które jest w Tykocinie, albo gdzieindziej się znajduje: flanderskie opony ze złotem, albo figurami i prostej roboty; także złotogłowowe, aksamitne, i inne jedwabne obicie, kobierce, szpaliery, race, i inne gmachów, komór, ścian, stołów, ław i ochędostwa, łoża, podłogi itd.“ Wszystko to zapisuje król pozostałym swym trzem siostróm i każe się nimi podzielić.

O potopie jednak niema wzmianki, co pozwalałoby wnośić, że należał do skarbu koronnego, nieposzedł na podział. W każdym razie z przytoczonego ustępu z Testamentu widzimy, jak wielka obfitość i rozmaitość była tych tkanin po zamkach i rezydencyach królewskich.

Odtąd niespotykamy żadnej wzmianki o Zygmuntofskich Arrasach, dopiero wychodzą one na widownię wśród wielkich klęsk, jakie spadły na Rzeczpospolitą za panowania Jana Kazimierza. W ciężkich okolicznościach w jakich się ten król znajdował, tułając się poza granicami kraju — trzeba było uciec się do skarbu koronnego i zastawić, nie tylko klejnoty, lecz i *Potop*. Bogaty mieszczanin Gdański Grotty dał na zastaw 120 tysięcy złotych ówczesnych. Podczas abdykacyi Jana Kazimierza warowały sobie Stany Rzeczypospolitej aby król przyrzekł, iż wróci, obicie *Potop* zwane, które dwa miliony kosztuje.“ (Ambroży Grab. cytuje to z rękopismu: Acta Archi-Confraternitatis Compassionis Jesu Christi — znajdującego się u XX. Franciszk. w Krak., gdzie pod r. 1668 zapisana jest ta wzmianka.)

Na Sejmach i Sejmikach często upominano się o wykupno *Potopu*, który długie lata leżał w zastawie u Grottych, i jak Biskup płocki Szembek wyraził się w swojej mowie: Za mojej bytności w Gdańsku przesuszał się po kościołach.“ Oddałby go był nieboszczyk J. P. Grotta za pięćdziesiąt tysięcy, a był zastawiony (in fallor) za sto tysięcy dobrej monety.“

Jan Odrowąż Pieniążek Woj. Sieradzki zaskarża podskarbiego W. k. Andrzeja Morsztyna, na którego głowę ze wsząd sypały się oskarżenia, „że niewykupił dotąd obicia potopowego sztuk wielkich kilkadziesiąt zastawionych u pana Grotty.“

Upominania się te miały nakoniec swój skutek. Już bowiem w Czerwcu 1724 r. na processyi Bożego Ciała (jak pisać współczesne gazety) którą solenizował Jan X. Biskup poznański, w rynku (w Warszawie) wystawione były trzy ołtarze, a czwarty w Zamku adornowany owem Rzeczypospolitej obiciem *Potop* nazwanem, które JMC. Pan podskarbi W. kor. (Jan Przebendowski) wykupił od suksesorów ś. p. pana Grotty. A zatem za Augusta II Sasa wróciły te kosztowności, po latach przeszło siedmdziesięciu na swoje miejsce.

Zaszła jeszcze inna okoliczność w r. 1676, gdy wyznaczona komisya traktowała z sukcesorami pozostałego majątku po królu Janie Kazimierzu. Xiążę d'Enghiens w swoim czasie pretendent do korony, a następnie dziedzic testamentowy, przysięgł sobie pretensye na mocy cessyi, zrobionej na jego korzyść przez Palatynową Reńską — upominał się o owe kobierce *Potop* zwane (*peristromata Diluvium experimentia*) atoli odrzucono jego żądanie, kobierce bowiem były własnością Skarbu Rzeczypospolitej. Uczony Włoch Sebastiano Ciampi w dziełku swoim: *Flosculi historiae Polonae* pisze, że znalazł list w archiwum Medyceuszów odnoszący się do *Potopu* Zygmunta Aug. i udzielił go Franciszkowi Longhena, a ten go umieścił w życiu Rafaela tłumaczonem na włoskie z *Quatre-mère de Quincy*.

List ten pisany do W. Xięcia Toskańskiego, przez Santi Boni sekretarza króla polskiego z Krakowa d. 23 Listopada 1676 zawiera następującą wiadomość: „Komisya zajmująca się sukcesyą byłego króla Jana Kazimierza, ma funkcjonować do miesiąca Maja, w którym to czasie da się wiadomość, gdzie mogą być zapłaćeni kredytorowie, i nastąpią poszukiwania, czy Xiążę d'Enghien stanie się spadkobiercą reszty, gdyż zdawałoby się że ma ochotę na sławne obicia, robione *podług rysunku Rafaela*, do których Rzeczpospolita urości sobie prawo.“ ¹⁾

¹⁾ Da una Lettera di noticia degli affari di Polonia inderitta al G. Duca di Toscana da Santi Bani fiorentino, segretario regio del Re di Polonia per la corrispondenza d'Italia, in data di Cracovia à 23 Novembr. 1676 in hala seguente, notizia: „La Commissione sopra l'eredita del fu re Casimiro resta limitata per il mese di maggio, al qual tempo

W liście powyższym spotykamy się z pierwszą wzmianką jakoby tapety Zygmunta Augusta, były robione *podług rysunku Rafaela*, co wprowadziło Ciampiego na domysł, że chyba za czasów dwóch Sasów mogły być wzięte do Drezna — atoli w Galeryi Drezdeńskiej znajdujące się Arrasy, były rzeczywiście wykonane podług kartonów Rafaela, dotąd przechowywujących się w Hamptoncourt w Anglii. Niepozostało tedy jak przypuścić, że *Potop* mógł być robiony podług kopii z Loggiów Watykańskich wyobrażających sceny z ksiąg Genezy, co wszystko kazało się w nich domyślać wielkiej artystycznej wartości. Ś. p. Rastawieckiemu, który tak wiele zasług położył dla dziejów sztuki w Polsce, zawdzięczamy ważny szczegół do historii Zygmuntownskiego *Potopu*. Znalazł on w archiwum Podskarbiego kor. Teodora Wessla: konotacyę wydanego obicia *potopowego* Rzeczypospolitej z dyspozycyi JWPana Teodora Wessla podskarbiego W. kor do adornowania pokoiów J. K. Mości Stanisława Augusta w Zamku Warszawskim, przy obecności Wści p. Schmita Starosty Brodnickiego, Imć pana Fontaniego architekta JK. Mości i Rzeczypospolitej.

Stanisław August wstąpiwszy na tron, zapragnął przystroić Zamek ten bogactwem arrasów i gobelinów znajdującem się w skarbcu koronnym. Lista wydanych sztuk niepoślednia: Skarbiec zawierał ogółem 156 sztuk kobierców; jakoto: Potopu sztuk 21; *item* z herbami 11; szpalerów 47; taboretów 12; z cyframi S. A. (Sigismundus Augustus) 15; Różnych kawałków 50.

W *Bibliotece Warsz.* T. I. z r. 1853 zamieścił ś. p. Rastawiecki *in extenso* odpis tej konotacyi, która podaje bliższe szczegóły niż opis Orzechowskiego o Arrasach *potopu* miano-

si daranno gli assegnamenti, dove si passano pagare li creditori e si scrutinera, se il S. Duca di Enghien sarà l'erede del resto; parendo che abbia voglia delle famose tappezzerie di disegno di Raffaello sopra le quali la Republica pretende aver qualche azione.“

Z dzieła: Vita di Raffaello scritta da Quatremere de Quincy e tradutta in Italiano. Con giunte di note illustrazioni dal sig. Francesco Longhena (Milano per Francesco Soncagno 1829).

wicie co do rozmiaru ich i treści z pisma Ś. I tak: na d. 14 Sierp. 1764 r. wydano:

1. Sztuka szeroka na łokci 15, cum inscriptione: Deus Adae et Evae ne pomo ligni vescerentur perciperat Gen. 3.
2. Sztuka szeroka na łokci $9\frac{1}{4}$ cum inscriptione: Jubet Deus Adamo operari terram. Gen. 3.
3. Sztuka szeroka na łokci 10, cum inscr. per fidem. Abel meliorem. Gen. 4. Hebr. XI.
4. Sz. szeroka na łokci $4\frac{1}{4}$ cum inscr: Egredimur foras.
5. Szeroka na łokci $9\frac{1}{2}$ cum inscr: Iniustus Cain iracundiae suggesta. Gen. 4.
6. Szeroka na łokci 9 cum inscr: Cain a Deo correptus. Gen. 4.
7. Szeroka na łokci $10\frac{1}{4}$ cum inscr: Noe ambulat cum Deo. Gen. 6.
8. Szeroka na łokci 15 cum inscr: Noe per fidem ad salutem. Gen. 7. Hebr. 11.
9. Szeroka ł. $13\frac{1}{2}$ c. in: Noe cum omni familia cunctisque Gen. 7.
10. Sz. ł. $14\frac{1}{2}$ c. in: Aquis inundantibus omnia pereunt sola mediis tempestatibus servatur arca. Gen. 7.
11. Sz. ł. $15\frac{3}{4}$ c. in: Deus aquis cessantibus servat. Noe cum familia cunctisque animantibus educit ex arca. Gen. 8.
12. Sz. ł. $13\frac{1}{2}$ c. in: Noe exstructi altari Deo offert Holocausta. Gen. 8
13. Sz. ł. $10\frac{1}{2}$ c. in: Deus benedicit Noe. Gen. 9.
14. Sz. ł. $10\frac{1}{2}$ c. in: Noe inebricetus iacens. Gen. 9.
15. Sz. ł. $14\frac{1}{2}$ c. in: Nimrod etc. Gen. 11.
16. Sz. ł. $7\frac{1}{2}$ c. in: Descendit autem Dominus. Gen. 22.
17. Sz. ł. $5\frac{1}{2}$ c. in: Confundamus linguam eorum.
18. Sz. ł. $4\frac{3}{4}$ c. in: Dispersit eos Dominus.

Jest jeszcze w spisie trzy sztuki ze zwierzętami, które liczono, jak się pokazuje do tego szeregu obić potopowych, jak je nazywano.

W konotacyi tej wymienione obicia z księgi rodzaju zgadzają się z opisem Orzechowskiego, nawet co do liczby ośm-

nastu sztuk, biorąc na uwagę, że Orzechowski przechodząc komnatami, w jednej komnacie mógł dwie liczyć za jedną.

Zastanawia że lubo różni podróżni zwiedzający Warszawę opisywali pokoje i zbiory Stanisł. Augusta, czemuż niemówią nic o tych obiciach zdobiących ściany zamkowe? Wina milczenia była zapewne, że tego rodzaju zabytki bardzo spadły w cenie tak u znawców sztuki, jak u publiczności, raz że wyroby Gobelinowe lepiej dogadzały wykwintnemu smakowi, a i żywością barw ćmiły stare, wypływały opony flandryjskie, a takiemi zapewne już były arrasy i szpalery Zyg. Augusta, przesuszane po kościołach, figurujące zapewne na procesjach Bożego Ciała, a przez wiele lat leżące w zamknięciu u Grotów. Odtąd niema już o nich wzmianki prócz w Niemcewiczu, który w piątym tomie Pamiętników o Dawnej Polsce, powiada: „Ostatnie szpalery którem ja jeszcze za czasów Stanisława Augusta widział wyrażające Potop, w r. 1764 zabrane i wywiezione z kraju.“ Rok przytoczony, widoczną jest pomyłką. Niemcewicz w tym roku był jeszcze dzieckiem; a *Potop* właśnie w tym roku wydobyto ze skarbcza. Trzeba więc czytać r. 1794, w którym po upadku rewolucyi Kościuszkowskiej *Potop* jako własność Rzeczypospolitej razem z Biblioteką Załuskich zabrany został przez Jen. Buxhoevden i wywieziony do Petersburga.

Radząc się tych wskazówek niepozostało nic innego jak szukać zapadnionego Zygmuntownskiego Potopu w Petersburgu.

Jakoż udałem się w tej sprawie do P. S. znanego w naukowym świecie z prac historycznych, lubo nie oddającego się sztukom i archeologii.

Uprzejme jego listy, pełne cennych wiadomości, naprowadziły mię prędko na ślad.

Pałace petersburskie mogą poszczycić się wielkim zbiorem tapetów z różnych epok i fabryk, tak dalece, iż nigdzie niema może tak obfitego materiału do robienia studiów na zabytkami staroświeckich tapetów, jak w tej północnej stolicy.

Do ogólnej historyi tych zbiorów tyle da się powiedzieć że znaczną część *gobelinów*, (pod tą nazwą objęte są tam nawet flandryjskie opony, tak zwane Arrasy) otrzymała Carowa Katarzyna II. w darze od Ludwika XV, i prawie wszystkie darowała księciu Potemkinowi, chowano je też w tak zwanym pałacu Tauryckim zbudowanym i дарowanym Carowej przez

Potemkina. Następnie część Gobelinów, zakupiono w Anglii u hrabiny Kensington; są jeszcze tapicerye robione w Rosyi na wzór francuskich. — Nakoniec znaczna część, dostała się z Warszawy, a na tych znajduje się cyfry *A. S.*, które tam powszechnie poczytują za cyfrę Stanisława Augusta, a nie Zygmunta Augusta, co naturalnie robi te opony prawie o pół-trzecia wieku młodszymi niż są.

Dzisiaj cała ta masa tapetów wydobyta została z magazynów dworskich i pałacu Tauryckiego, i rozdzieloną na cztery części odpowiednio do ich pochodzenia i treści przedmiotów biblijnych, historycznych, mitologicznych i ornamentowych. Jedne przeto zawieszono w pałacu w Gatchynie; drugie oddano do Kantoru stajen Cesarskich; trzecie do Akademii sztuk pięknych; czwarte do Dyrekcyi teatrów Cesarskich. Dopiero w r. 1860 i 61. Ministerstwo dworu zwróciło uwagę na te skarby leżące w ukryciu, a niemając miejsca odpowiedniego do pomieszczenia ich w jednym gmachu, zniewolone było do rozdzielenia w powyższy sposób.

Publiczne poszukiwania wskazały o sześć mil od Petersburga odległy pałac w Gatchynie niegdyś rezydencyą Cara Pawła I, w którym miały się mieścić tapety biblijne z księgi Rodzaju (*Genesis*). Rzeczywiście znalazł się tam Zygmontowski *Potop*, jak to wykazuje następujący opis porządkiem sal.

Sala A.

Obraz I. W głębi Ewa i Adam spożywają jabłko, na przodzie wypędzenie z Raju.

Deus adae et evae ne bono ligni vite vescerentur perceperat, illi inobedientes eiecti sunt paradiso. *Gen. III.*

Obraz II. Ofiara Kaina i Abła.

Per fidem abel meliorem obtulit deo hostiam quam cain. *Gen. IIII. Hebr. XI.*

Obraz III. Ucieczka Kaina.

cain a deo corrrptus territur perfugit profugientem vindicta et desperatio sequuntur. *Gen. IV.*

Sala B.

Obraz IV. Kain zabija Abła.

iniustus cain iracundie suggestu iustum occidit abelem. *Gen. IIII.*

Obraz V. Wejście Noego do arki.

noe cum omni falia omnisq. generis animalib. ingreditur arcam ridentibus impiis. *Gen. VII.*

Obraz VI. Pijany Noe z trzema synami.

filio ridetur quod reliquos puduit. *Gen. IX.*

Sala C.

Obraz VII. Kain prowadzi Abła na zabicie, chowając za sobą paszczękę zwierzęcia jako narzędzie zabójstwa.
egrediamur foras.

Sala D.

Obraz VIII. Adam uprawia ziemię, Ewa z dwojgiem dzieci,
jubet Deus adamo operari terram.

Obraz IX. Rozkaz Noemu budować korab.

Noe abulat cum deo cui deus futuri aperit diluvia arcamq. servatricem facere iubet. *Gen. VI.*

Obraz X. Bóg błogosławi Noego po potopie.

Deus benedicit noe eiusq. filiis ostenditq. eis posita in nubibus iridem signa aeterni cum eis foederis. *Gen. IV.*

Sala E.

Obraz XI. Budowanie arki.

noe per fidem ad salutem domus sue aparat arcam impii virum subsonnantibus riden... im... *VII. Hebr. XI.*

Obraz XII. Wyjście z arki (pyszny ogromny obraz).

deus aquis cessantibus servatum noe cum familia cunctisq. animalibus educit ex arca. *Gen. VIII.*

Obraz XIII. Ofiara Noego po potopie.

noe extracto altari offert deo holocausta ex omnibus animalibus mundi. *Gen. VII.*

Sala F.

Obraz XIV. Potop.

aquis inundantibus omnia pereunt sola mediis in-
tempestatibus servatur arca. *Gen. VII.*

Porównywając ze sobą trzy podane tu opisy *Potopu* Zygmuntownskiego, to jest opis Orzechowskiego, konnotację Podskarbiego Wessla i powyższy tapetów pałacu Gatchyny, znajdujemy między nimi najzupełniejszą zgodność; są to bowiem jedne i te same flandryjskie opony niezaprzeczona własność Skarbcza Rzeczypospolitej zagrabiona. Na mocy tego samego prawa, które Xiążę Bismark dziś tylko odświeżył, aby precedencya nieposzła w niepamięć.

Co do bliższych szczegółów dotyczących się stanu tapetów, podaje relacya naocznego świadka: Są to obicia bardzo suto tkane srebrem, a jeszcze gęściej złotem. Srebro poczerniało lecz złoto zachowało swój połysk; nici złote wchodzą nietylko do tła, do haftów i bramowań na szatach figur, ale nawet części wypukłe ciała rozświecone są złotem. Rozmiary obić prawie jednostajne co do szerokości, która na oko może mieć $1\frac{1}{2}$ do 2 sążni. Długość ich rozmaita. Szlaki prześliczne w rodzaju ornamentów loggiów Watykańskich; są to fantazyjne rośliny przeplatane zwierzętami i figurami mitologicznymi; i tak: faun; kosz kwiatów; dwie nagie figurki, jedna siedzi na karku drugiej: Znowu kosz kwiatów; pyzate dziecko; kosz kwiatów; paw; kwiaty; itd.

Oprócz tych wielkich obrazów z księgi Rodzaju, jest wiele mniejszych i węższych tapetów także przetykanych złotem i srebrem, wyobrażają one widoki raju; zwierzęta rajske itp. Na żadnym obrazie, ani szlaku niewidzieć herbu lub nazwiska kobiernika. Stan tych opon opłakany. Wypłowiwały zupełnie koloryt daje się tylko odgadywać; za to pozostał rysunek przepyszny; piękność konturów i całej kompozycyi każe jej domyślać jakiegoś wielkiego mistrza włoskiego, z najlepszej epoki. — Z tymi monumentalnemi zabytkami, postąpiono sobie mniej więcej tak samo, jak z książkami biblioteki Załuskich kiedy je wywożono z Warszawy, jeżeli która niechciała zmieścić się w skrzyni, szabla kozacka uciniała brzeg za nadto

wystający. — Otoż gdy i te arrasy zawieszano na ścianach, a w ścianie był kominek, bez długiego namysłu wykrawano w tapecie czworokąt u dołu by dać miejsce kominkowi. W ten sposób uszkodzono najprzepyszniejszy ze wszystkich obraz *potopu*, ten *potop* który dał nazwę całemu zbiorowi Jagiellońskich tapetów.

W przyległej potopowi sali, znajduje się niewielkie podłużne obicie tkane złotem i srebrem, z podobnym szlakiem jak na wielkich obrazach, co wskazuje że z tej samej co tamte wyszło rękodzielni. Na tem obiciu w środku laurowego wieńca orzeł biały, w koronie z nastrzępionymi piórami; na piersiach jego plecione dwie litery A. S. pod orłem przewiązująca wieniec laurowy biała wstęga z napisem: *Scabellum pedum tuorum*. Pod wieńcem tarcza brunatna, na niej trzy białe belki; z obu stron data 1560 — a poniżej litery C. R. C. R. (Catharina Regina.)

Ostatnia ta tkanina wymownem jest świadectwem do kogo cały ten zbiór prawdziwie monarszy należał, i z jakiej okoliczności został zamówiony w fabrykach flandryjskich. Cyfra A. S. później C. R. i rok 1560, dają dowód niczem niezbity.

Tak tedy Jagielloński *Potop*, długo miany za stracony, wynalazł się... Teraz nic innego niepozostaje, jak dalej ściślejsze studia prowadzić na miejscu, aby odkryć gdzie te sławne Arrasy były wykonane i podług *kartonów* jakiego mistrza?

L. Siemieński.

LISTY Z WIELKOPOLSKI.

I.

Walka w imię kultury wre u nas dalej z zawziętością. Słyszałem wielu ludzi mówiących, że wkrótce nastąpi jakiś *modus vivendi* między państwem a Kościołem, ale trudno się ludzić, bo sądy ścigają księży odprawiających Msze św. w odległej parafii lub sprawiających inne funkcyę duchowne. Przed kilku dniami (8 b. m.) trybunał dla spraw kościelnych w Berlinie (*Gerichtshof für kirchliche Angelegenheiten*) złożył z urzędu ks. biskupa monasterskiego Dra Brinkmanna, a wkrótce arcybiskup koloński Melchers i biskup trewirski będą pozbawieni swych urzędów. U nas w Wielkopolsce złożono z urzędu dwóch księży: ks. dziekana Rzeźniewskiego, który ekskomunikował ks. Kubeczaka z Książa i ks. proboszcza Amandusa Różańskiego; wkrótce ta sama procedura rozpocznie się przeciw ks. biskupowi Janiszewskiemu z Poznania znajdującemu się obecnie w więzieniu gnieźnieńskim. Sześciu tylko biskupów w Prusiech (pominawszy biskupa fuldajskiego, który umarł) uznaje dotychczas państwo pruskie tj. biskupa chełmińskiego, hildesheimskiego, trewirskiego, osnabrückskiego i limburgskiego. Dziwią się gazety popierające politykę rządową, dla czego państwo oszczędza ks. biskupa chełmińskiego von der Marwitz, który szydzi z praw państwowych itd. Głosy te odzywają się bardzo sporadycznie, gdyż biskup chełmiński jest *persona grata* na dworze berlińskim. Starzec ten blisko ośmdziesięcioletni brał udział w wojnie przeciw Napoleonowi I, odznaczył się w kilku bitwach, wskutek czego otrzymał krzyż żelazny; dzisiaj zaś jest *staatsgefährlich*!! Zacny ten biskup, chociaż zchorzały, stanowczo oparł się uroszczeniom państwa; skazano go przeto na różne kary pieniężne, zabrano mu meble itd.,

lecz państwu zabrakło odwagi, aby ozdobionego krzyżem żelaznym zamknąć w więzieniu i złożyć z urzędu. Podobno obawiają się w Berlinie, aby ten biskup patryota nie umarł w więzieniu — i dla tego rząd trzyma się axjomatu prawa rzymskiego; *odiosa sunt restringenda!*

U nas w Wielkopolsce kary pieniężne sypią się na duchowienstwo jak z rogu obfitości za niekorespondowanie z p. Massenbachem. Wedle *Kuryera Poznańskiego* suma ta wzrosła do 53 tysięcy 467 talarów!! Pieniądze te stara się rząd ściągnąć przez egzekucye. Że zaś wielu księży, chcąc zaspokoić wierzących, cały swój majątek im zapisali wobec sądu, uważa p. Massenbach teraz za swój obowiązek ścigać ich sądownie o to, że nieczekali, aż on jako *pierwszy wierzący* nie zaanektuje swej należitości. Ks. Veitha dziekana z Brenna wskazał za to sąd wschowski na 3 dni więzienia. Ks. Gajowiecki proboszcz z Chodzieża i inni kapłani będą mieli w tej sprawie wkrótce terminu, a jak można sądzić, spotka ich los, jaki spotkał ks. Veitha.

Miesiąc Luty pamiętnym będzie u nas z dwóch względów: raz z powodu powodzi, która w końcu tego miesiąca zalawszy część Poznania i okolice nad Wartą, Prosną i Lutynią wielkie poczyniła szkody, drugi raz z *pięćdziesięciu* wieców urządzonych w obronie języka ojczystego. Charakterystycznym znamieniem każdego państwa roszcżącego sobie pretensye do omnipotencyi jest, że w swym składzie nie może ścierpieć innych organizmów mających czy to inną mowę, czy też inną religią. Co przed kilkudziesięciu laty Hegel starał się na katedrze berlińskiej udowodnić za pomocą formulek filozoficznych, że państwo pruskie jest Panteuszem, to dzisiaj te teorye państwo, popierane w sejmie przez national-liberałów, usiłuje w praktyce przeprowadzić. Ztąd ta walka zacięta przeciw naszemu Kościołowi; z tego też zapatrywania wypłynął ów projekt do ustawy o języku urzędowym. Odtąd nie wolno ma być żadnemu, Polakowi w stósunkach sądowych i administracyjnych posługiwać się językiem ojczystym; na opornych nałożona ma być kara pieniężna. Projekt ten ogólne u nas wywołał oburzenie, które się zmanifestowało dobitnie w 50 wiecach zwołanych i po wsiach i po miastach. Sprawa wieców dopiero od dwóch lat zyskała u nas ogólne uznanie; przez dłuższy czas z różnych powodów silny znajdowała opór ze strony naszego dziennikarstwa. Panu Drowi Szymańskiemu redaktorowi *Orełdownika*, odsiadującemu obecnie w wschowskim więzieniu roczną karę za przestępstwo prasowe, należy się zasługa, że umiał zainteresować publiczność naszą tą sprawą, a co główniejsza, że sam w praktyce okazał, jak się wiece urządzi. Po przełamaniu pierwszych lodów dziś już każdą ważniejszą sprawę roztrząsamy na wiecach, a lud gromadzi

się tłumnie i z natężoną przysłuchuje się uwagą wywodom mówców. Wiece zwołane w ostatnich czasach przeraziły rząd; komisarze policyjni najblahsze wynajdywali powody, aby rozwiązywać wiece, lecz w ogóle zamiary ich spętzły na niczem. Jedyny tylko wiec rozwiązano u nas w ostatnich czasach za jakieś wyrażenie mówcy. Inaczej ma się rzecz z wiecami w Prusach Zachodnich, gdyż kilka wieców nie mogło się odbyć wskutek żądania komisarza, aby rozprawy toczyły się w *języku niemieckim!!*

Wiece nasze miały ten skutek, że wysłaliśmy do sejmku setki petycji z 332,000 podpisów. 7 Marca toczyły się obrady w sejmie pruskim przy pierwszym czytaniu tego projektu. Świecnie przemówili z naszej strony p. Ignacy Łyskowski i p. Bogusław Łubieński. Pierwszy z mówców reprezentuje w sejmie jeden z powiatów Prus Zachodnich; i niemałe położył już zasługi na polu narodowym jużto upominając się w sejmie o nasze prawa, jużto wpływając korzystnie na rozwój rolnictwa. Następujące słowa jego zasługują, aby je tutaj przytoczyć:

„Panowie mówili prawo niniejsze wypędza ludność polską z własnych progów. Konstytucya pruska zaszlaby w tym razie do znaczenia aparatu, który dlatego wprowadzono, aby ludziom i narodom prawa odbierać, a w późniejszych wiekach mogłoby ztąd powstać podanie, że za czasów państwa niemieckiego wyrrywano języki dzieciom polskiem, a dorosłym kłódki do ust przykładano!”

Pan Łubieński reprezentujący w sejmie Wielkopolskę nie mniej dobitnie przemówił, lecz, zdaniem naszym, niepotrzebnie pogroził Niemcom sojuszem Polaków z Rosyą. Strachy to na Lachy, a mogące jedynie tem większą wywołać nienawiść w obozie przeciwnym.

Komiczne wrażenie wywołała tu u nas mowa jakiegoś Handta von Hafften. Indywiduum to importowane do Wielkopolski, nieznające tutejszych stosunków, usiłowało wejść na szczydła wysokiej polityki pruskiej i z tej wyżyny starało się oplwać wszystko co polskie. Zresztą mowa jego: *bellt aber beisst nicht!*

Antytezę do tego przemówienia stanowił głos protestanta i Niemca Gerlacha, który właśnie w dniu tym skończył 81 lat. Wielki patryota pruski, w młodości walczył przeciw Napoleonowi I, później służył radą w niejednej trudnej sprawie domowi Hohenzollerów, jako biegły prawnik brał nieraz udział w sejmie w redagowaniu praw, na których wzrosła wielkość Prus, od kilku lat jednak gdy liberalizm rozpanoszył się w sferach rządzących, ogłoszony nieprzyjacielem państwa i skazany na kilka miesięcy więzienia (za napisanie broszury *Kaiser*

und Papst). Zaczny ten starzec obrany został posłem w jednym z przeważnie *katolickich* powiatów nad Renem, przystąpił w sejmie do *katolickiej* partii centrum i nieraz dzielnie odpierał uroszczenia państwa w ostatnich czasach względem Kościoła katolickiego. Nie sądziliśmy jednak, aby był tak wielkim przyjacielem sprawy naszej.

„Panowie, wołał, bezpieczeństwo i potęga Prus są zagrożone tem projektem do prawa. Jestże to rzeczą tak małego znaczenia, że w ojczyźnie naszej mamy całą prowincją przesiąkniętą najzaciętszą niechęcią i doznających od lat wielu krzywd bezustannych? Czyż nie wywiąże się ztąd położenie pełne niebezpieczeństwa? *Cóż mi po dobrach ziemskich skoro depczą nogami narodowość moją, mowę ojczystą, religię!*”

Tak przemówić może tylko charakter wzniosły wypróbowany w walce z życiem, człowiek, który się wzniosł ponad namiętności stronnice, mąż, dla którego argumenta ludzkości i równouprawnienia wyższe są ponad wszelką z każdym dniem zmieniającą się „racyą stanu.”

Projekt w pierwszym czytaniu został przekazany komisji złożonej z 21 członków, między któremi Polacy: Łyskowski, Kantak, Magdziński i Wierzbński. Że projekt ten z różnemi modyfikacyami zyska w końcu moc prawa, wątpić nie można.

Począwszy od 6 do 11 odbywały się w Poznaniu walne zebrania różnych towarzystw, jak: agronomicznego, Pomocy Naukowej, Oświaty ludowej i t. d. Rzecz zastraszająca, że młodzież nasza od zebrań tych prawie się całkiem usuwa. Na tejże sali Bazarowej w karnawale widzieliśmy młodzież naszą i nie gorszyliśmy się tem, bo młodość ma swe prawa i przywileje, ale tej apatyi dla spraw publicznych, dla prac organizacyjnych wytłumaczyć sobie nie umiemy. Z każdym rokiem starzy bojownicy schodzą z pola walki, a któż w ich braku pochwyci sztandar pracy?

Nie miłe wrażenie w kołach konserwatywnych i katolickich wywołały obrady na walnem zebraniu oświaty ludowej na dniu 10 b. m. Towarzystwo to założone przed kilku laty w zarodku już było zwichnięte, bo pominięto czyli raczej za mało uwzględniono jeden bardzo ważny czynnik to jest duchowieństwo nasze. Statuta zresztą tak były zredagowane, że towarzystwo mogło zabłąkać się na tory bezwyznaniowe, zamiast szerzyć oświatę na podstawie katolickiej. Wskutek tego ks. Arcybiskup zaraz w początkach ostrzegł duchowieństwo, aby nie brało udziału w pracy nie mającej wyraźnie tendencji katolickiej. Kilka lat inicjatorzy tego towarzystwa wszelkich dokładali sił, aby zyskać dla towarzystwa szerszy zakres działania, lecz napróżno. Przed dwoma laty dyrekcyja przyznała

nawet, że od udziału duchowieństwa zależy dalszy rozwój towarzystwa. U nas bowiem duchowni już od dawna pracowali w tym kierunku, zakładali biblioteczki parafialne, abonowali pisma ludowe i darmo je ludowi rozdawali, a mając ciągle z nim styczność, umieli sobie zyskać wielkie zaufanie; rzecz więc jasna, że bezkarnie nie można było pominąć duchowieństwa. Ze zaś u nas duchowieństwo z małemi wyjątkami zna całą nicłość liberalizmu, żądało gwarancyi, aby pod jego firmą nie bawiono się przypadkowo w experimenta liberalnej oświaty ludowej. Chodziło więc o dodanie do § 1 statutów brzmiącego, że oświata ludowa winna się rozwijać na podstawie narodowej „i na podstawie katolickiej.“ Wniosek ten postawił p. Henryk Krzyżanowski, dawniejszy poseł Krotoszyński, lecz zebranie złożone głównie z żywiołów liberalnych nie zgodziło się na to. Pan Dr Niegolewski poseł oświadczył, że wnioskodawca chciałby wszystkim świeckim stowarzyszeniom nadać cechę katolicką naśladując rząd pruski, który ma „królewski urząd pocztowy, telegraficzny, a nawet *Königliches Gestüt*.“ Dowcip ten świadczący co najmniej o dziwnym smaku posła poznańskiego przechylił znać zwycięstwo na stronę oponentów „podstawy katolickiej.“ Wskutek tej uchwały oświadczył piśmiennie jak się dowiaduję ks. Tłoczyński z Poznania należący do dyrekcyi, iż opuszcza swe stanowisko. Nie ma więc obecnie jednego duchownego u steru tego towarzystwa i rzecz jasna, że księża popierać jego tendencyi w tej formie nie mogą. Odtąd jak się z pewnego dowiaduję źródła, konserwatywne żywioły zgodziły się na to, aby nie zważając na dyrekcyą chcącą centralizacyi, w małych okręgach (parafiach) kształcić lud na podstawie katolickiej i narodowej. *Quod faustum felicitumque sit!*

Epsilon.

Przegląd Literacki.

(Oeuvres choisies de Jules Stowacki: Traduction française par Jules Mien: L'Arabe Beniowski — Le Tombeau d'Agamemnom — Mon Testament 1ère et 2 Livraison Cracovie 1875.

Poètes illustres de la Pologne au XIX siècle: Jules Stowacki. Un Épisode en Suisse: Le Tombeau d'Agamemnon. Paris — Plon et Cie 1876.

Poètes illustres de la Pologne au XIX siècle: Sigismond Krasiński — L'Aube du Grand Jour. Paris — Plon et Cie. 1876.

Boli nas często nieznajomość rzeczy polskich za granicą: żalimy się na niesprawiedliwość losu, że dawszy nam język piękny i wielkich poetów, nie dał nam pociechy pochlubienia się nimi na świecie. Niemcy znają poetów francuzkich, Francuzi niemieckich bodaj z imienia, Anglicy wiedzą o włoskich, Włosi o angielskich, a o naszych, którzy przecie więcej warci niż tamci wszyscy, z wyjątkiem Göthego, Schillera i Byrona, nie wie nikt, a jeżeli czasem przypadkowo zdarzy się taki, co słyszał o Mickiewiczu, to wyobrażenia o nim nie ma i mieć nie może, bo po polsku nie umie, a w tych przekładach, jakie są, z upodobaniem go czytać, poznać się na nim nie może. Upokorzenie to jedno więcej, mniejsze zapewne od innych, ale bardzo przykre. A rada na nie jaka? Na teraz nie ma podobno rady żadnej. Wszystko, co się tylko polskiem nazywa, tak jest niemiłym, tak podejrzanem, tak strasznem dla świata europejskiego myślącego tylko o tem, jakby się Prusom i Rosyi przypodobał i przypodchlebił; że gdyby dziś sam Byron prze-

tłumaczył *Wallenroda* a Musset *Szwajcaryę*, Anglicy znaleźliby, że w Walenrodzie nie ma talentu a Francuzi, że w Szwajcaryi nie ma wdzięku. Na teraz, mamy przekonanie, poezya polska znalazłaby tylko „słuchaczów głuchych.“ Przed laty kilkunastu, może znowu za lat kilkanaście, jeżeliby co mogło zwrócić na nią uwagę, to jedynie takie o niej uwiadomienia, jak był pana Klaczki artykuł o *Bezimiennym Poecie*, i to nie same, ale poparte, objaśnione, ilustrowane dobrmi tłumaczeniami. Mówię *dobremi*, nie takimi jak jakiś dawny przekład *Wallenroda* i *Grażyny*, ani jak dobre, bo wierne ale prozaiczne tłumaczenia *Krasińskiego*, z których myśl jego wyrozumieć ale nie forma poznać się daje: tłumaczenia dokonane przez ludzi z talentem poetycznym, którzyby w przekłady swoje przenieśli i natchnienie i artystyczną piękność oryginałów. Przecież, choć dziś i od najdoskonalszych nawet nie wyglądałibyśmy wielkiego skutku, te dobre próbki przekładów naszych poetów witamy z radością, ze szczerą wdzięcznością dla cudzoziemców, którzy je podejmują, z nadzieją, że one nie dziś to kiedyś pomogą naszej poezyi do tego w świecie poszanowania, jakie jej się słusznie należy. A na odwrót, nie możemy obronić się od uczucia żalu, gniewu i wstydu na widok niepowołanych i niedołężnych tłumaczy, którzy, z dobrej chęci zapewne ale ze zdolnością mniej niż żadną, przekładają polskie rzeczy na obce języki w miłym złudzeniu, że służą tem naszej poezyi, kiedy naprawdę obracają ją tylko w śmieszność i podają w pogardę.

Do obu tych wrażeń dały nam powód tłumaczenia ze *Słowackiego* i *Krasińskiego*, których tytuły wypisaliśmy powyżej. Zacznijmy od tego, co przyjemniejsze.

Pan Juliusz Mien, Francuz, osiadły od lat kilku w Polsce, a obecnie w Krakowie, wyuczywszy się po polsku i zapoznawszy z naszą poezyą, znalazł w niej tyle powabu a w sobie tyle do niej sympatii, że przyszła mu na myśl i chęć naturalna przyswojenia własnej literaturze tego, co mu się podobało u obcej. Zaczął tłumaczyć. Czy systematycznie? z wyraźnym planem przełożenia wszystkich dzieł jednego poety lub dzieł znaczniejszych kilku poetów? nie wiemy, a pytać nie mamy prawa. Sądźmy przecież, że tłumaczenia te, przynajmniej pierwsze ich próby, powstały bez planu, od niechcenia: że nie pytając sam siebie, co będzie robił dalej, tłumaczył tylko to, co go w tej chwili właśnie pociągało. I kto wie, może dla tego tłumaczył tak swobodnie i dobrze. A powołanie ciągnęło go do *Słowackiego*; może to wielka z naszej strony niedyskrecya, a w takim razie niech nam ją szanowny tłumacz daruje, ale trudno nam wstrzymać się od powiedzenia, że mieliśmy w ręku ukończony przekład *Lilli Wenedy* (zapowiedziany w dotychczasowych zeszytach), i że żałujemy, że nie on roz-

począł szeregu francuzkich tłumaczeń Słowackiego. A ten tajemniczy jakiś pociąg, który kazał panu Mien wybrać Słowackiego, nie Mickiewicza lub Krasińskiego, znalazł u niego mimowolne zapewne ale niemałe i gotowe ułatwienie, jakoby przedwstępne studyum. Wiemy, że z poetów swojego kraju pan M. ze szczególnem zamiłowaniem zajmował się Mussetem. Otóż, zdaje nam się, że to najlepsze przygotowanie dla każdego, ktoby chciał tłumaczyć Słowackiego na język francuzki, że przejąwszy się dobrze stylem Musseta i przyswoiwszy sobie różne chody jego wiersza, łatwiej można znaleźć tam i wiersz potrzebny do oddania Słowackiego i jemu właściwy.

Nie możemy, nieszczęściem, oceniać przekładów pana M. pod względem piękności francuzkiego języka i wiersza. Żeby cudzoziemiec sto razy powiedział, że wiersz wydaje mu się jedynym i śmiałym, wyrażenia szczęśliwemi czy w energii czy w delikatności, a koloryt poetycznym, wszystko to nic nie znaczy, bo cudzoziemiec o tych rzeczach sądzić nie ma prawa: brak mu tej wrodzonej instynktowej znajomości języka, która każdą piękność jego jak każdy błąd niemylnie zawsze uczuje, a która się nabyć i wyuczyć nie daje. Powiedziawszy więc tylko jednym słowem, że styl tych przekładów wydaje nam się prawdziwym dobrym stylem poetycznym, przejdźmy do tej zalety, o której my znowu lepiej od Francuzów sądzić możemy, to jest do wierności przekładu.

Pod tym względem trzeba rozróżnić przekłady ścisłe i parafrazy. W niektórych wierszach tłumacz powtarza tylko myśl oryginału na swój sposób, a wtedy (zważywszy zwłaszcza że czytelnika zawsze o tem ostrzega) ma niezaprzeczone prawo odstąpić od litery tekstu, opuścić nie jedno, lub nawet coś swojego dodać.

• Co do nas wyznać musimy, że nie jesteśmy przyjaciółmi takich parafraz, i że przekład ścisły zdaje nam się zawsze mieć więcej wartości od takiego, który pomysł poety zmienia choćby go miał nawet i poprawić.

Ale każdy oczywiście ma prawo robić jak chce i rozumie, a parafraza *Pogrzebu Lirnika* z pieśni Beniowskiego tak mało, zdaniem naszym, odstępkuje od oryginału, że mogłaby śmiało nazwać się tłumaczeniem tylko nie zupełnie ścisłym.

Tam zaś, gdzie ścisłym być chce, wydaje nam się pan Mien bardzo blizkim zupełnej wierności. W żadnym tłumaczeniu, a dopiero w tłumaczeniu z polskiego na francuzkie, przy tak zupełnie różnej naturze języka, przy tak zupełnie odmiennych jego formach i konstrukcyach, nie podobna jest ustrzedz się tego, żeby raz jakiegoś słowa nie dodać, drugi raz wyrażenia bardzo zwięzłego nie oddać innem dłuższem: to są rzeczy konieczne, nakazane względami i prawami języka, na który się tłumaczy; one to są powodem, że kopia rzadko kiedy jest

tak piękną jak oryginał, ale żadnemu tłumaczowi zarzutu z nich robić nie można. Nic nas nie dziwi i nie gorszy na przykład, że sześćcio-wierszowa strofa *Grobu Agamemnona* zamieniła się w przekładzie na ośmio wierszową; a choć cztero-wierszowe ustępy *Testamentu* mają w swojej zwięzłości więcej energii i powagi od sześćcio-wierszowych w przekładzie, pojmujemy doskonale, że przez wzgląd na swój własny język, tłumacz musiał sobie tę formę cokolwiek rozciągnąć. Zresztą, dostrzegliśmy tu i owdzie dodane słowo lub słów kilka (może wymagał tego wiersz, może zrozumiałość myśli), ale nie widzieliśmy nigdzie, żeby zmienionym był ton oryginału. Pod tym względem styl tłumacza zdaje nam się iść bardzo wiernie za stylem poety; a jeżeli koloryt nie zawsze jest tak świetny jak w oryginale, to darmo; Mickiewicz mógł pod tym względem zrównać Byronowi w tłumaczeniu „*Giaura*“, Słowacki Calderonowi w „*Księżu Niezłomnym*“, ale kopia, zupełnie tak piękna jak oryginał, jest rzeczą jeszcze rzadszą niemal i trudniejszą od pięknego oryginału.

Gdzieniegdzie (mówimy to na dowód, że czytaliśmy bardzo uważnie i sumiennie) myśl jest cokolwiek zmieniona. Na przykład w *Testamencie*, kiedy Słowacki obiecując, że z tamtego świata przyjdzie ukazać się przyjaciółom, mówi: „Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę“, on widocznie tego przyjsścia, tego ukazania się przyjaciółom pragnie, uważa je za szczęście. Tłumacz przełożył ten wiersz tak, że on ma znaczenie wprost przeciwne:

„Si de mon destin

„Le Seigneur prand pitié, s'il comprend mes tortures,

„Je ne reviendrai point, raviver mes blessures,“

mniejsza o to, że długo, że „*tortury*“ i „*blessury*“ osłabiają myśl zamiast ją wzmocnić, że ten *Pan*, który rozumie jego cierpienia lub ich nie rozumie, jest i dodany zupełnie i nie bardzo szczęśliwie wymyślony i zupełnie niezgodny z usposobieniem, w jakim ten wiersz był pisany, z tą pokorą i posłuszeństwem, z tem mistycznym wyrzeczeniem się własnej woli, jakiego Słowacki w tych latach od siebie żądał: ale myśl główna jest przekręcona: tłumacz mówi zupełnie co innego, nie to, co powiedział poeta.

Więcej jeszcze razi nas w *Grobie Agamemnona* to piękno wypisane na czole poety „*en lettres écarlates*“, którego w oryginale nie ma, ten kraj Iłotów „*qui fut hélas son berceau*“ — uczucie i styl, kiedy dochodzą do pewnej wielkości, już wtedy nie znoszą metafor, i wszystko, co w niższych sferach wyszłoby im może na ozdobę, tu zniża i zmniejsza ich majestat. W *Agamemnonie* zawsze dwa przymiotniki, *passif* i *fantif*, które z sobą rymują a odnoszą się do „*sere*, w któ-

rych nie trwa myśl ani godziny“ i do poety, który „mówi, bo smutny, i sam pełen winy“, są może dobre w prozie, ale tu za niskie, za małe. Czyby się takich usterek nie znalazło więcej? nie ręczymy; być może. W każdym razie wybraliśmy te, które nam się wydały najbardziej rażącemi, na dowód, że przekład cały musiał nam podobać się bardzo, kiedy mu takie tylko robimy zarzuty.

A do nich dodamy jeszcze jeden, ale ten nie tyczy się już dobroci tłumaczeń. Oto żałujemy, że wydając je pan Mien na sam początek puścił w świat te właśnie, które obcego czytelnika dobrze dla Słowackiego usposobić nie mogą. *Arab* tak przesadzony w swojej demonicznej złości, że staje się nie strasznym, lecz śmiesznym, jest grzechem młodości, który francuskiemu czytelnikowi dobrego wyobrażenia o Słowackim dać nie może. *Pogrzeb Lirnika*, fragment fragmentu, który nawet w myśli autora jeszcze był żadnej ustalonej formy nie przybrał, dla nas Polaków jest tylko pomysłem, pierwszym rzutem, z którego coś bardzo pięknego być mogło, ale z którego w tym stanie, w jakim jest, nie prawie poznać nie można, czemuż dopiero on może być dla cudzoziemców? oczywiście czemś niezrozumiałem zupełnie, w czym trudno od nich żądać, żeby mogli zasmakować. A *Grób Agamemnona*? Ten z wyjątkiem trzech strof ostatnich, i pomimo nich, jest może najpiękniejszym Słowackiego wierszem, ale jest pomimo całej swojej piękności tym właśnie, który najmniej radziłyśmy widzieć w ręku cudzoziemców. Dla nas to doskonałe, ale im do tego nic. I tłumacz, który na samym wstępie to mi dał do czytania, czy miał na nas wzgląd, który, jako przyjaciel, może mieć być powinien, czy się zastanowił nad tem, jaką boleścią byłoby dla poety, gdyby o niem mógł wiedzieć, tłumaczenie tego jego wiersza na jakikolwiek język obcy? . . .

Wybór wydanych dotąd rzeczy Słowackiego zdziwił nas i wyznajemy, że wolelibyśmy „Lillę“ lub „Mazepę.“ Ale niemniej wdzięcznie dla tego przyjmujemy przekład, niemniej go cenimy wysoko jako taki, który, zdaniem naszym, może dać dobre wyobrażenie o Słowackim, i z niemniejszym upragnieniem wyglądamy zapowiedzianego dalszego ciągu rozpoczętej publikacyi.

Na ślicznym papierze, kształtnym drukiem, w zgrabnym formacie, nader starannie i ozdobnie, wydaje ktoś drugi w Paryżu u Plona et Comp. *Grób Agamemnona* znowu i *Szwajcaryę*. Kto? Czytając jego podpis, *de Noire Isle*, cieszyliśmy się, że przynajmniej Francuz; niestety w przedmowach swoich mówi tyle razy o „naszej ojczyźnie, naszej poezyi“ i t. p., że odbiera nam to złudzenie, tę ostatnią pociechę, i każe mniemać, że pod tem francuzkiem nazwiskiem kryje się jakiś bezbożny Polak, że to „bratnia ręka“ zrobiła z pięknej *Szwaj-*

caryi potworną karykaturę, a sponiewierała, na urągowisko wystawiła *Przedświt*. Czy umyślnie? Nie; umyślna parodya byłaby może cięższym grzechem na sumieniu tłumacza, ale nie byłaby takim smutkiem i takim wstydem dla nas, dla naszej poezyi, dla tych wielkich poetów, którzy w jego przekładzie tracą natchnienie, myśl, uczucie, formę, wszystko, tak, że toby ich znał z tego przekładu tylko, a wiedział, że są w swoim narodzie uważani za wielkich, ten musiałby pomyśleć, że to jakiś naród głupi i dziki, który od swoich poetów nie żąda ani rozumu ani wyobraźni ani uczucia ani nawet sensu, i lada wierszokletę, który dwa rymy związać potrafił, ogłasza wielkim poetą.

Z tym szczęśliwym zmysłem, który pewnych ludzi nie opuszcza nigdy, nasz tłumacz wybrał sobie do tłumaczenia, co? Szwajcaryę Słowackiego, to jest rzecz z całej może poezyi polskiej do przełożenia najtrudniejszą! Nie chcemy przez to bynajmniej powiedzieć, żeby inna łatwiejsza była mu się może udała lepiej, nie. Do tłumaczenia, choćby bardzo miernego, potrzeba przecież jakichś warunków, trzeba nie twórczości, dajmy już, że nawet nie talentu, ale trochę taktu, trochę rozeznania zwrotów i wyrażeń, trochę znajomości form właściwych językowi, w którym się pisze i rozumienia, które z nich kiedy mogą być na swoim miejscu, wreszcie trzeba by jakiejs, bodaj najmniejszej biegłości w wierszu. Że nasz tłumacz nie jest zdolny wnieść się nawet na ten najniższy szczebel mierności, że nie może napisać nic, coby było znośnem, tego dowodzi każdy wiersz jego przekładu, a choćby tylko ten, którym to dzieło swoje jakiejs przyjaciółce dedykuje:

Je vous dédie
Cette traduction
Et la confie
A votre affection

i tam dalej. Darujemy resztę czytelnikowi przekonanemu już dostatecznie; sądzymy, że człowiek, który mógł takie wiersze napisać inaczej jak na żart, dobrych napisać nie może. Ale co się dzieje dalej! Gdyby nie tylko tytuł! Tytuł źle przetłumaczyć, to sztuka, a zwłaszcza ten, doprawdy do przetłumaczenia nie trudny: *W Szwajcaryi: En Suisse*, może nie pięknie, ale dosłownie. On tymczasem robi z tego *Un Episode en Suisse. Episode . . . de quoi?* Czy nie wiesz tego tłumaczu, że we wszystkich językach na ziemi *epizod* nie może być sam przez się, ale musi być koniecznie epizodem czegoś? Że może być romans w Szwajcaryi, Idylla w Szwajcaryi, dramat w Szwajcaryi i Słowacki w Szwajcaryi i może być w Szwajcaryi epizod z romansu Idylli, dramatu lub z życia Słowackiego, ale

Epizod w Szwajcaryi sam, to nie ma sensu. Ale mniejsza o tytuł, byleby text nie był śmiesznym jak on, a jest niestety śmieszniejszym. Wiadomo, że największym wdziękiem uroczego poematu jest ta niezrównana delikatność i przejrzystość kolorów; to nie są kolory materyalne, dotykalne, jakimi malarz maluje na płótnie, ale raczej te, które gra światła wywołuje w powietrzu, które jak promień słońca albo jak tęcza nie dadzą się ująć i uchwycić. Ztąd niesłychana trudność tłumaczenia Szwajcaryi, dla każdego, nawet dla prawdziwego poety, ale nie dla naszego tłumacza. Ten nie wątpi o niczem, i z wrodzoną sobie gracyą, z tem szczęśliwym uczuciem poetycznego stylu, którem się odznacza, naśladuje wszystkie ruchy i zwroty myśli i języka Słowackiego, wskakuje ciężko obiema nogami w jego mgły i tęcze, dotyka niezgrabną ręką i rwie bez litości jego pajęczyny, girlandy i bańki z mydła, grubym pędzlem smaruje obok siebie siedm pasów różnego koloru i powiada, że ta tęcza rywalizuje ze Słowackim „jak z Rafaelem Sokalscy malarze,“ a kontent z siebie uśmiecha się z gracyą do czytelnika, jak żeby mówił: „no, sam powiedz, czym nie taki dobry jak on.“

Doprawdy Lafontaine był bardzo dobry człowiek, a jego bajki znajdują w życiu tysiące przystósowań. Tu przypomina się i pewna żaba i pewien naśladowca zgrabnych skoków pieśczonego pieska, ah czemuż przypomnieć się nie może lis odchodzący od winnych gron, które dla niego za wysoko wisały!

Nie podobna iść krok w krok za poetą i tłumaczem i porównywać każdy wiersz oryginału z odpowiednim wierszem kopii. Byłoby to ucieszne może, ale za długie. Zresztą kilka małych próbek wystarczy, żeby dać wyobrażenie o poetycznym tonie całości. Pamiętasz czytelniku kaskadę Aaru, gołębia przelatującego przez tęczę, pamiętasz ten wiersz:

„Za tym zmysłem, co kochać przymusza
Poszło i serce i za sercem dusza,

pamiętasz jak rozkochany poeta boi się, że to, co widzi, to widmo tylko, które za jego zbliżeniem „upadnie w tęczę i w kaskadę i roztopi się i zgaśnie i zniknie?“ Zobaczże teraz jak ten obraz wygląda w przekładzie:

„Mes yeux la dévoilant de la tresse aux talons
„Y fixèrent ravis, de l'amour les jalons!

Czy nie ładnie? Już samo wyrażenie *dévoiler* jest bardzo szczęśliwie znalezione, a cóż dopiero *talon*! czy go tłumacz brał w znaczeniu pięty, czy w znaczeniu obcasu od zgrabnego bucika, jest oczywiście daleko lepiej i wyraźniej niż stopy,

o których mówił Słowacki. A dopieroż oczy utwierdzające szczerze miłości w tej postaci (bo jużciż to *y fixèrent* ją chyba oznacza?), co za śmiała i nigdy jeszcze nie widziana przenośnia, co za obraz poetyczny, drabina z postaci kochanki a po niej drapie się miłość! Powieś się Petrarko, strzel sobie w łeb Romeo, którzyście nigdy nic takiego nie wymyślili? A dalej, kiedy się boi, żeby mu nie znikła, pyta co ona jest: „*ombre, sylphide, ou gnome?*“ Żadna kochanka w świecie nie była jeszcze porównaną do gнома; a potem jeszcze lęka się, że ona rozplynie się w powietrzu

„*Sans pouvoir maintenir ses splendides appas!*“

Splendides appas! doprawdy! jak żeby była mowa o mamce z *Medecin malgré lui* Moliera.

A uśmiech wracający „do swego gniazda, do pereł i róży?“ Jest tu wprawdzie i gniazdo i pereł i róże, ale z jakim dodatkiem!

Un sourire effleurant sa lèvre *purpurine* s'échappa i t. d.

Że *lèvre* może doskonale rymować z *fièvre*, to niezawodne. Ale żeby ten przymiotnik obu tym rzeczownikom równie dobrze mógł służyć, wydaje nam się wątpliwem. Zresztą o tem niech sądzą Francuzi, może to i dobrze po francuzku choć w polskich uszach brzmi śmiesznie. Ale przeciwko czemu już śmiało protestować musimy to przeciwko tym „*lutins sans pudeur glissaient sur la beauté*“ których tłumacz zobaczył w rrocie choć ich tam Słowacki nie włożył. U Słowackiego wp awdzie „sylfy z jasnością ogromną“ (krople ze stalaktyców lodowych) „deszczem spadały na białą i skromną“ ale nie *sans pudeur*. Owszem co najpiękniejszego właśnie w Szwajcaryi, to ta czystość, ta skromność, ta bezzmysłowość, którą Słowacki utrzymuje ciągle nawet w tych ustępach najdrażliwszych, gdzie jej nie utrzymał, tłumacz wierny swojej przedmowie, dodał mu jasności i precyzji.

Niepodobna wyliczać wszystkich nedorzecznosci, jakie on biednemu Słowackiemu popełniać każe: ale jeszcze parę dla lepszego przekonania. I tak: „Ptaszęta wonne jak kadzidło mirry“ tłumaczy przez „*Vase d'élection, cassolette d'encens*“; słońce, którego piękna nieznajoma bała się wychodząc z groty opisuje jako „*puissant despote*“ i uczy nas łaskawie, że ono jest „*centre du monde entier gravitant tout autour*.“ A ta chwila, kiedy się księżyc ma ukazać“ ten ustęp najczarowniejszy może ze wszystkich, jak go tłumacz uzupełnia, jak podprawia, jak dodaje to, co Słowacki niebacznie opuścił:

„*Parfois aussi les chiens se mettent à hurler*

„*Contre l'image en plein de la chaste Diane*

„*Portant comme ceinture un simple anneau d'argent!*“

Że poeta nazwie krąg księżycy pierścionkiem Diany, to nic dziwnego, ale zkąd i dla czego Diana sama występuje ubrana w pas, a tym pasem jest srebrna obrączka? Francuz, który to przeczyta, pomyśli sobie, że Słowacki był okropnie głupi, jeżeli wymyślał takie porównania, bo przecież to sensu nie ma; a przenośni czy personifikacyi, w której nie ma sensu nie robi poeta, który ma sens w głowie. A cóż dopiero pomyśli ten Francuz o tych, którzy takiego poetę czytają, kochają, podziwiają! I oto skutek jedyny, jeżeli jaki będzie, tego przekładu i jego ogłoszenia. Śmieszność rzucona na polską poezję i na jednego z naszych wielkich poetów, śmieszność bez ratunku, bo cudzoziemcy prawdziwej Szwajcaryi nie znają i mają teraz prawo sądzić ją z tej niegodnej karykatury. I kiedy my będziemy mówić o naszej poezyi parskną nam w oczy, pokażą *un Episode en Suisse* i zapytają to wasze piękności? to wasza poezya? A my, co im odpowiemy, jak ich przekonamy, że w tej poezyi jest co innego jak w jej francuzkim przekładzie? Doprawdy, gdybyśmy mieli w ręku pruski *Reptilien-fond*, wynagrodzilibyśmy z niego hojnie tego tłumacza, który tak bezczelnie, tak bezbożnie poniewiera piękności i świętości naszej poezyi: a gdybyśmy mieli władzę w ręku pozwalibyśmy go o występek obrażonego majestatu ojczyzny, bo obraża go bardzo, kto ją wystawia na urągowsko, a choć nie ją samą to jej poezję, jedną z wielkich i pięknych rzeczy, jakie ona wydała, jedyną jaka jej jeszcze w całości pozostała.

I na tę przykrość, na tę śmieszność, na ten wstyd, nie móżd sobie poradzić, to doprawdy można dojść do rozpaczycy ze złości i z upokorzenia. Ale byłaby może rada, gdybyśmy o niej mówić mieli prawo i odwagę: gdyby pewien francuzki przekład *Szwajcaryi*, o którym wiemy, chowany przed okiem świata z nieśmiałości, ze skromności, ze wszystkich najpiękniejszych pobudek, raczył się teraz ukazać, mógłby poprawić, ocalić sławę biednego poety, i naszą. O jakbyśmy o jego ogłoszenie dziś gorąco prosić i błagać chcieli, gdybyśmy śmieli...

Rozpisałiśmy się o tych przekładach dłużej niż one warte. Nie dla tego, żeby się z nich śmiać... śmieszne są bardzo i w każdym innym razie możnaby się niemi zabawić. Ale teraz czasy nie po temu: smutków i upokorzeń mamy dosyć, i żeby jeszcze lada częstochowski poeta pozwalał sobie dodawać nam nauk, tego zanadto. Mówimy więc o nim nie dlatego, żeby się jego kosztem bawić, ale żeby przeciw jego przekładowi protestować, żeby od nich bronić naszą poezję, zuchwale choć wierzymy, że bezwiednie i bez złego zamiaru, przez niego wystawioną na śmieszność. A niestety protestacya to i obrona nie zbyt uczynna. Tłumacz nie zatrzymuje się widać w rozpoczętej drodze, ma znać zamiar chwalebny zaprezentowania swoim

sposobem przed zagranicą całej poezyi polskiej, po *Szwajcaryi* przetłumaczył i ogłosił *Przedświt!* a któż wie co na nas jeszcze z jego ręki spaść może, „was uns die nächste Stunde schwarz Verschleiert bringt? Psalmi? czy Irydiona? Ojca Zadzumionych, czy może Farysa lub Dziady?

Przedświt! to gorzej jak *Szwajcarya*. Tej złe tłumaczenie jest tylko parodią piękności: tamtego jest profanacją świętości, jest wyjawieniem pod formą dziką i śmieszną uczuć najdroższych i najtajniejszych, które powinny zostawać zamknięte u nas i w nas i niepokazywać się nikomu, aż do dnia, w którymby im nikt nie mógł zaprzeczyć słuszności, każdy zaświadczyć musiał. Wyznajemy, że wszelki przekład *Przedświtu* lub Psalmów, choćby nawjspanialszy, dziś byłby nam przykrym. Irydiona? Nieboską komedye? tłumaczcie i owszem. Ale nadzieja, ale wiara *Przedświtu* i dzisiejsza rzeczywistość to tak różne, tak sprzeczne, tak jedno drugiemu urąga, tak wywołuje szyderstwo, że lepiej do niego sposobności nie dawać. Cóż dopiero te nadzieje i obietnice *Przedświtu* w formie dziwacznej, potwornej, w której on wydaje się nie już niedościgłym marzeniem, ale nedorzecznem mrzeniem, to jest ze strony tłumacza rzecz nie dodarowania, świętokradztwo prawie, a dla nas boleść i upokorzenie wielkie. Bo jak ten biedny *Przedświt* pod jego piórem wyglądać może, tego domyśli się kto widział powyższe wyjątki ze *Szwajcaryi*. Nie wygląda lepiej, oh nie, owszem gorzej. Nie będziemy wiele przytaczać, zanadto nas to samych boli i gniewa, ale przecież na dowód, że mówimy prawdę, parę przykładów:

„W jednych my cierniów chadzali koronie

Krew moich dłoni krwawiła tve dłonie“

brzmi po francuzku „saignant du même ulcère“ ten wspólny wrzód, jako symbol miłości, logiczne absurdum, fizyczne niepodobieństwo, estetyczna obrzydliwość, daje poznać talent i roz wagę naszego tłumacza. „My zabitej matki dzieci“ oddaje on jak następuje:

„Sur terre pauvres orphelins

„Fruits d'une mère assassinée

„Sevrés de ses regards câlins i t. d.

Co tu ładniejsze? czy *fruits*? czy *sevrés*? czy *regards câlins*?

„W duchu jest pogarda co ma także swe panieństwo,“ amplifikuje tłumacz szczęśliwym dodatkiem, w którym Krasiński świadczy sam sobie (z jego łaski), że jest nad wiek dojrzały:

„Mais mon esprit grave et précoce

Dans sa pleine maturité.. etc.

„Czy to cuda czy to złuda“ wygląda tak..

Illusion
Ou vision
En étincelles
Continuelles
Jaillit le ton
De ta chanson... etc.

O piękności jego formy zresztą nic nie może dać lepszego wyobrażenia jak dedykacja przekładu „Pamięci Autora,“ którą jako curiosum przytaczamy poniżej.¹⁾ Ale nie mniej ciekawa, choć nie tak urocza, jest prozaiczna przedmowa dodana przez sumiennego tłumacza na to, żeby fran-

¹⁾

Te suivre aux cieux,
Admirant en vision pure
Le glorieux
Rayonnement de la nature!...
Voir, ébloui,
L'image de notre Patrie,
— Songe inoui,
Douce et sublime rêverie,
Guidant à Dieu,
Aux régions de la lumière,
Divin milieu,
Les peuples unis de la terre!...
Oùir, ravi,
La voix de nos vaillants ancêtres;
L'orde suivi
Au firmament, par tous les êtres,
De couronner
La Pologne, martyre sainte;
De l'amener
En triomphe, de lauriers ceinte,
Au haut du ciel
Où trône en sa splendeur et gloire
L'Être éternel;
Où patronne de la victoire,
Mère à Jésus,
Nous admettant dans la série
D'angels élus,
Resplendit la Vierge Marie!

Puis-je le faire, en vérité,
Incrédule et chétif poète?...
Prête-moi ta sérénité,
Chantre inspiré, divin prophète!....

cuzki naród dowiedział się czegoś przecie o Krasińskim, o Polsce, o jej historyi. Istotnie, można się z niej dowiedzieć nie jednej rzeczy ciekawej, jak na przykład że tłumacz Krasińskiego nie znał nawet dobrze daty jego urodzenia i jego śmierci (każe mu się rodzić 24 Lutego 1811, a umierać znowu 24 Lutego 1859) — że Rakoczy był hospodarem wołoskim, że Jan Kazimierz abdykował w roku 1655, kiedy Karol Gustaw ogłosił się królem polskim, że przy tej sposobności miał swoją sławną mowę w której przepowiedział rozbiór — wszystkie te rzeczy, które wywołałyby głośny śmiech w trzeciej klasie gimnazyalnej, gdyby tam który z uczniów w ten sposób odpowiadał na pytania z historyi polskiej, a które dają miarę o człowieku. Człowiek dojrzały (zapewne?), człowiek który chce pisać, i to o polskich rzeczach, a zdaje z nich tak świetny egzamin ignorancyi, jest osądzony. Choćby miał talent największy niech nie pisze dopóki się choć trochę nie poduczy; jeżeli talentu ma, jak udowodnił swemi przekładami, nie nic, ale najstraszniejsze minus śmieszności, niech nie pisze. O niego nam nie chodzi, niech się naraża na śmieszność jak mu się podoba. Ale niech pisze oryginalnie, uiech tworzy na własną rękę, niech nie karykaturuje i nie profanuje poezyi polskiej i nie wydaje jej na śmiech i natrząsanie się obojętnych, niechętnych i nieprzyjaciół.

I jeszcze jedno pytanie do tego pana tłumacza. Ktokolwiek on jest, musi przecież wiedzieć, musiał choć słyszeć, że dzieła pisarzy zmarłych, przez ich śmierć nie stają się własnością wszystkich lub niczyją; że należą do spadkobierców, są ich własnością, i że bez ich wiedzy i upoważnienia nie godzi się i nawet prawnie nie wolno dzieł tych tłumaczyć? To jest, wolno zawsze każdemu bawić się w swoim pokoju tłumaczeniem, ale nie wolno go drukować. Czy tłumacz miał takie upoważnienie od spadkobierców Zygmunta Krasińskiego? Wątpimy bardzo, żeby oni byli się zgodzili na ogłoszenie takiego przekładu Przedświtu. A jeżeli takiego upoważnienia nie miał to co zrobił? jak postąpił? niech się nad tem zastanowić raczy.

Jeżeli zaś pozwolenia takiego ze strony właścicieli dzieł Zygmunta Krasińskiego nie było, jeżeli zatem oni mają prawo protestowania przeciw temu tłumaczeniu i wydaniu *Przedświtu* w takim razie, gdyby to do nas należało, namawialibyśmy ich usilnie, żeby protestowali zaraz i stanowczo. Nie na to żeby tłumaczowi dokuczyć, ani żeby się na nim mścić, ale żeby urzędownie i prawnie ogłosić za niewiarogodny przekład, który uwłacza sławie i Krasińskiego i poezyi polskiej w ogólności.

Ateneum. Pismo naukowe i literackie. Warszawa drukiem Ungra. Redaktor i Wydawca H. Benni.

Nowe to pismo wychodzi dopiero od Stycznia b. r. raz na miesiąc w objętości jak dotąd (wyszło dwa zeszyty) 15 arkuszy druku. Jakie zajmie stanowisko naukowe trudno dziś przesądzać, pierwsze zeszyty niczego nie dowodzą, każda redakcyja stara się na początek olśnić publiczność zamieszczając prace główniejszych pisarzy, aby podrażnić ciekawość czytających, wzbudzić dobre mniemanie o siłach naukowych i literackich swego pisma. Jak będzie dalej za to nikt ręczyć nie może, nawet redakcyja sama. Dotąd zamieszczono artykuły: Nowe Studium nad Syrokomlą Włodzimierza Spasowicza, Najnowsza literatura historyczna w Niemczech Kaźmierza Jarochońskiego, Listy Horacyusza w przekładzie Felicjana. Stan ekonomiczny włościan w Polsce Witolda Załęskiego, Sztuka w Niemczech J. I. Kraszewskiego, Krzysztof Grzymułtowski Aleksandra Jabłonowskiego, Księżeczka Jadwigi albo Nowajki XV wieku przez Dr. Jana Rymarkiewicza, Michelet i jego dzieła pośmiertne Kazimierza Jarochońskiego. O Turach w Europie Augusta Wrześniewskiego, Bulgarya i Bulgarowie Bronisława Grabowskiego, O Pawle Edmundzie Strzeleckim, Narczyży Żmichowskiej. Duch pisma jest lekko pozytywny, widocznie *Ateneum* ma za cel równoważyć a może i zniszczyć wpływ Biblioteki Warszawskiej stojącej na gruncie katolickim i narodowym. Pozytywizm najwidoczniej się objawia w rozprawie o Syrokomli Wł Spasowicza. Wobec tej doktryny Syrokomla pod skalpelem anatomicznym Spasowicza schodzi do bardzo skromnych rozmiarów; „śpiewak litewski, powiada o nim autorm, miał nie złe narzędzie do śpiewania, nie wiedział jednak ani co śpiewać, ani jak śpiewać, to jest brakowało mu treści i formy, przyczyną tego było brak wszechstronnej wiedzy i grunt ogólnego nastroju ówczesnego społeczeństwa mułem idealizmu zjałowionego, który dopiero później pozytywizm i materialne doktryny uzyzniły, stało się to powiada autor wskutek zawieruchy z r. 1863, lecz musiałyby nastąpić i bez niej bo to było koniecznością loiczną. Szkoła romantyczna już wszystko wyśpiewała, wyidealizowała, nie było już materiału do dalszego przedziwa w tym samym kierunku, front trzeba było zmienić, jeżeli nie miał nastąpić zupełny zastój umysłowy. Autor studyum nie gorszy się szkołą romantyczno-narodową, uważać ją nawet raczy jako logiczną konieczność. Podział ojczyzny przerzucił obywateli Rzeczypospolitej w zupełnie inne stosunki, które nieznane im zupełnie, często w sposób bardzo szorstki obrażające ich pojęcia i praktykę dotychczasowego życia teraźniejszość im obmierzył, z zamiłowaniem więc zwracano się ku prze-

szłości, wszystko co tam w niej napotkali rosło w ich oczach w olbrzymy, teraźniejszość była im tak nieznośną, że lada kamyk lada podanie dla nich miało urok świętości, lubowali się w nich otaczali miłością, w takim usposobieniu moralnem całego narodu wszystko idealizowano, nawet całość dziejową wyobrażano sobie jako idealnie piękną, za pojedyncze plany robiono odpowiedzialnymi to tego lub owego króla, to tego lub owego magnata, wylewając całą zółć to na Zebrzydowskiego, to na Szczęsnego Potockiego, trzecia czwarta generacja już się pouczyła żyć w stosunkach podziałem stworzonych, za przeszłością przestała już tak tęsknić, niebawem przekonać się musiała że owe czarne plany na wypoetyzowanym ciele Rzeczypospolitej były tylko koniecznymi objawami wewnętrznej choroby, która toczyła Ojczyznę, indywidua przeklinane to tylko symptomata choroby, których by nie było, gdyby choroba nie istniała, wystąpienie ich na wewnątrz to tak nieuniknione jak guz przy uderzeniu, jak krosty przy ospie, a jak się ten guz i te krosty nazwie to już obojętne, autor przykładem ilustruje doktrynę: Jezuiści musieli prześladować Acerna, szlachcic musiał pić, stroić burdy na sejmikach, konfederować się przeciwko królowi, taki zwrot, równie konieczny jak pierwszy, usłał drogę pozytywizmowi. U autora rzeczzonego studium, loika to grunt, wszystko inne to objawy chwilowego nastroju umysłu. Idalizm, którego i my wyznawcami się mienimy, jakkolwiek nie jesteśmy przesadnego jego kierunku adeptami, miał nawet w aberracji swojej coś dodatniego na korzyść naszej narodowej samoistności, on to zrobił, że pozytywiści dzisiejsi chociaż w przyszłość Polski powątpiewają, przecie jeszcze po polsku czują, i czy w pozytywizmie swoim chylą się ku panslawizmowi czy ku kosmopolityzmowi, chcieliby jeszcze polską indywidualność ratować i zachować, rozumują oni mniej więcej tak: jak indywiduum nie zatarło się w rodzinie, rodzina w szczepie, szczep w narodowości tak narodowość utrzyma się wśród ludzkości. Do takiej to loiki doszedł już p. Spasowicz i Ateneum. Że pozytywizm podkopuje narodowość to nie ulega wątpliwości, internacjonalny wpływ pozytywizmu nie zna narodowości. Syromla według Spasowicza był także już człowiekiem przejściowym, religia, tradycja były u niego jeszcze w sercu, nie było ich już w głowie, w gronie poufnych przyjaciół śmiał się z kościoła i duchownych, cuda brał jako materyał do swoich powieści lecz wiary do nich nie przywiązywał, poetyzując pojedyncze momenta dziejów, lub reprezentantów ich miał poczucie czy przecucie że katastrofy ostatniej przyczyną byli nie ludzie ale instytucje i cytuje ustęp ze Starych Wrót:

„Nie oni zgonu twojego przyczyną
Kraje przez siebie nie przez obcych giną..”

Nauki mu tylko potrzeba było aby się stał pozytywistą! Tyle o Syrokomli i p. Spasowiczu.

Artykuł Jabłonowskiego o Grzymułtowskim wojewodzie Poznańskim nie zawiera nic nowego pod względem ogólnej charakterystyki ówczesnego stanu Polski w XVII wieku, zawsze ta sama skłonność do anarchii, poświęcanie Rzeczypospolitej interesowi własnemu lub prowincjonalnemu. Rozkład widoczny, upadek niedaleki, szlachta to widzi, czuje, bezmyślnie powtarza frazes o złotej wolności, chociaż w perspektywie obce jarzmo staje jej przed oczyma, ale co tam myśleć o jutrze byle dziś użyć. Grzymułtowski nieodrodny syn swego wieku, wyniesienie i korzyści własne to dla alfa i omega mądrości stanu.

Stronnik dworu, pisze się na elekcyę za życia Jana Kazimierza równie jak Lubomirski, gdy pierwszego minęły kolejno dwie senatorye, a drugiemu Austria ofiarowała książęcy tytuł i nadzieję popierania jego samego na tron, stają się przeciwnikami elekcyi za życia króla, osobiste widoki pokrywają frazesami mir u szlachty mającemi, jak „wolna elekcyja“, „król zamyśla de absoluto imperio“, Grzymułtowski otrzymawszy poznańską kasztelaniją jest znowu poplecznikiem króla i za ustaleniem form monarchicznych, spiskuje i agituje przeciw królowi Michałowi, Jana III jest najwierniejszym adherentem dopóki miał nadzieję wziąć cła publiczne w antreprzyze z których dawał 170 tysięcy więcej niż poprzedni przedsiębiorca, gdy jednak wskutek intrygi zapewne dawny przedsiębiorca i na dawnych warunkach pozostał, nietylko na każdym sejmie poborów odmawia, bo skarb nie umie grosza szanować, nie przyjmując jego wyższej oferty, ale wszędzie robi królowi opozycyę. Co skłoniło króla do zostawienia dawnego poborcy nie wiadomo, czy Jan wziął łapówkę co jest możebnem, czy też obawiano się, że pan senator wypłacać się nie będzie, zasłoni się stratą i Rzeczypospolitej upraszać będzie o defalkę. Wszystko możebne, dowodów niema. Patryotyzmu jego zaściankowego jeżeli ten był jeszcze, następująca okoliczność będzie miarą; Austriacy posiłkując Jana Kazimierza w wojnie szwedzkiej beczynnie wylegiwali się w Krakowskim, niszcząc okoliczne włości i miasto furażami i zabieraniem prowiantów, nakoniec ani sprzymierzeńcy, ani ludność miejscowa nie mieli co jeść, trzeba było koniecznie austriackie posiłki gdzieindziej przemieścić, zamyślano o Wielkopolsce, raz że okolice nie były tam tak wyniszczone, powtóre aby je bliżej posunąć ku nieprzyjacielowi, zmusić niejako do czynnego wystąpienia; trzeba wiedzieć jak wymownie i euergeticznie wystąpił senator wielkopolski przeciwko temu zamiarowi, cóż tam że krakowskie ginie, byle rodzinny kątek a między innemi Grzymułtow nie ucierpiał od tych niemiłych gości; o interesie Rzeczypospolitej nikt ani

pomyślał. Dziwić się wypada dlaczego Jan III. tak nieprzychylnego sobie senatora wybrał do traktowania z Moskwą o wieczysty pokój. Instrukcyje mówiły: obstawać energicznie przy oddaniu Kijowa, jeżeliby to natrafiło na trudności, zgodzić się na odstąpienie w zamian za indemnizacyę pieniężną i alians przeciwko Turkom, tu była oznaczona ilość wymaganych posiłków i wskazane miejsce gdzie z królewskim wojskiem połączyć się miały. Grzymułtowski za 200,000 talarów zrzekł się imieniem Rzeczypospolitej Kijowa, a o posiłki tak nie stanowczego i i określonego nie postanowił, za całą wyprawę króla Jana na Wołoszczynę, której podbicie miało Polsce strateg Kijowa wynagrodzić zwichnął i udaremnił. Ani Moskale ani Austriacy nie przyszli, król ledwie zdołał armię od zagłady uratować.

Czy to była zemsta nad królem, czy nieudolność dyplomatyczna, czy nawet przekupstwo różnie o tem współcześni mówili. Biograf jego kończy swój artykuł tą uwagą: Grzymułtowski nie był gorszym od innych. Naprawdę nie wielka to pochwała.

Jarochowski w dwóch rozprawach: o historykach niemieckich i o pośmiertnych dziełach Micheletta stoi na gruncie czysto naukowym zarówno nieprzystępnym skrajnemu idealizmowi jak i szkole pozytywistów. Wytyka sumiennie tendencyjność Sybla, Rankego, Droysena Roepla w interesie Prus przeciwko Austrii, jak oburza się na francuzkiego pisarza za jego niepatryotyczne pomiatanie najpiękniejszymi kartami swych dzieł dla tego ze dokonane zostały nie przez Republikanów. Napoleon I to największy wróg Francyi, zakała i ohyda ludzkości według pojęć tego pisarza. Słusznie też nazywa taki sposób pisanii historyi, Sedanem historycznego kunsztu. Rozprawa Rymarkiewicza o książeczce do nabożeństwa Jadwigi oparta na samych przypuszczeniach niczego nie dowodzi i niczego nie zaprzecza, co już przedtem o tem zabytku polskiego piśmienictwa powiedziano.

Wiadomości statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe bióro statystyczne pod redakcyą prof. dr. Tadeusza Pilata. Rocznik II. Lwów, z drukarni Winiarza, 1876, 8ka, str. 193. Tablic statystycznych str. 69.

Już kilka razy zwracaliśmy uwagę naszych czytelników na wielką doniosłość publikacyi statystycznych dokonanych pod redakcyą prof. Pilata. Jeżeli kraj ma z pożytkiem wejść na drogę reform czy to ekonomicznych czy administracyjnych, musi koniecznie znać zasoby materyalne i moralne swoje; tylko na danych liczbą wykazanych, da się budować, inaczej będzie to klejenie domków na piasku, grożących co chwila ruiną. Ta-

kie eksperymenta jednodniowe tworzą zamęt, zniechęcają ludność, odejmują ufność do instytucji i osób im przewodniczących. Zamiast zgody społecznej, tworzą jeszcze większe zawiłkiania i nieporozumienia. Gdybyśmy od pierwszych początków naszego życia autonomicznego mieli daty statystyczne pod ręką, nie jednoby inaczej wypadło — nie jednoby się zaniechać musiało dla braku sił czy to materialnych czy moralnych; w braku dat budowało się na chybił trafił; nie dziwota więc, że nasze zachody nie odnoszą oczekiwanych skutków; instytucje powstałe cierpią na niedokrewkość. Jak doktor po pulsie chorego poznaje stan jego choroby i stosowne przepisuje lekarstwo, tak statystyczne daty są pulsem organizmu społecznego, które koniecznie z całą ścisłością trzeba zbadać nim się przystąpi do leczenia słabości tego organizmu. Rocznik II zawiera dwie rozprawy: Dra Pilata o kasach pożyczkowych gminnych i dra Kleczyńskiego o propinacyi. Pierwsza dotyczy jednej z najżywniejszych kwestyj ekonomicznych kraju, bo dostarczenia ludowi prędkiego i taniego kredytu, — druga ma dzisiaj więcej znaczenie historyczne niż ekonomiczne, nie będziemy się też długo nad nią zastanawiać.

Z raportu Wydziałów krajowych, będących opiekunami kas gminnych, wyczytać nie można, aby one wszędzie należycie działały; w jednych miejscowościach brak jest zdolnej, odpowiedniej administracyi, w drugich lud nie ma jeszcze należytego pojęcia o kredycie; wystawia sobie kasy pożyczkowe jako instytucje dobroczynne, które go wspierają w czasie krytycznym bez obowiązku spłacenia długu. Wszędzie, nawet w najlepszych warunkach, brak słowności, brak przestrzegania terminu spłaty, ztąd kasy nie mogą funkcyonować ustawicznie; kapitałem ledwie raz w rok obrócić mogą, gdyż kasy są puste. Pożyczki często udzielane bywają, bez poręki, bez gwarancyi, ztąd nie w jednej kasie zamiast zwiększenia się kapitału, nastąpiło jego zmniejszenie. Wszystko to są chwilowe niedogodności, które z czasem usunąć się dadzą; zawsze już samo istnienie ich pouczy lud o dobrodziejstwach i warunkach kredytu, nauczy go słowności i oszczędności. Zrażać się nie potrzeba, nie potrzeba także pobłażania dla niesłownych posuwać do ostatnich granic, tak w interesie instytucji jak i tych, dla których dobra zostały zaprowadzone. Sprężystość pewna w egzekucyi zaległości być musi; żeby jednak nie przeszła w uciążliwość i szykanę, trzeba by administracyę powierzyć ludziom wykształconym i zacnym, którzyby poświęcili swój czas i zdolności interesom ludu. Mówimy dużo o poświęceniu się dla ludu, gdy przyjdzie jednak do rzeczy, każdy się usuwa. Właściciele dóbr, zastępcy obszarów dworskich, plebani i wikaryusze, nauczyciele ludowi mogliby tu włościanom i społeczności wielkie oddać usługi, zajmując się kasami gminnymi;

bez poręki nie powinno się pożyczek dawać; w braku poręki cenzorowie powinni być za każdą udzieloną pożyczkę odpowiedzialni; cenzorowie będąc zarazem członkami zarządu kasy, będą w takim razie w przyznaniu pożyczki ostrożniejsi, w ściąganiu jej skwapliwsi. Nie podobna także, aby w najbliższym kasie gminnej miasteczku nie znalazł się ktoś dosyć inteligentny i patriotyczny, któryby manipulacyi kasy nie wziął na siebie. Gmina chętnie wysłałaby po niego podwodę, aby nakilka godzin raz na tydzień do gminy dojechał dla utrzymania w kasie i w skryptach wierzytelnych porządku. W powiatach, gdzie kasy pożyczkowe gesto istnieją, jak np. w Brzeskim, mogłyby kasy wspólnemi siłami utrzymywać urzędnika, przeznaczając mu 1 do $1\frac{1}{2}\%$ z obróconego kapitału, aby go do pracy zachęcić i porządnem prowadzeniem rzeczy własny jego interes uwydatnić. Jeżeli będzie chociażby drobna remuneracya, każdy pisarz gminny, każdy nauczyciel ludowy starać się będzie o nabycie rutyny w manipulacyi kasowej. Byłoby to wydaniem sobie świadectwa niezaszczytnego, aby dla braku inteligencyi w ludzie, a braku dobrej woli w inteligencyi, kasy pożyczkowe upaść miały. Dzisiejszy stan kas może zubożnić nawet lud na dalsze ich istnienie. Naprzód wszystkim potrzebom gminy kasa zaradzić nie jest w stanie, chociażby najlepiej była prowadzona; cóż dopiero, jeżeli, winą administracyi, kasa nawet tego pożytku nie przynosi, jaki przynieść powinna. t. j. jeżeli przez cały rok w kasie są pustki, a przecież te kasy już dziś, w stanie w jakim są, mogą skutecznie stawiać opór lichwie. Wszystkich kas jest dotąd 1246 z kapitałem 1,047,437 złr., wypada na jedną kasę bez mała 900 złr., w niejednej gminie arendarz takiego kapitału obrotowego nie ma; mieszkańcy innego wierzyciela oprócz arendarza miejscowego nie mają i nie znają, a jednak ten arendarz w kilku latach niejednego lichwą najzupełniej zrukuje. Nie mówimy o tych, których zrukuje pijaństwem, bo to do rzeczy nie należy. Gdyby już większego i donioślejszego znaczenia kasy pożyczkowe gminne nie miały, jak ratowanie ludu od miejscowego a tem samem najdokuczliwszego lichwiarza, jużby zasługa ich była wielka. Przecież trzeba przypuszczać, że za jakiś czas, odkładając pewną część procentu na kapitał, ogólna suma kapitału się powiększy i na rozszerzenie operacyi pozwoli, co przy innych zakładach kredytowych, z których lud korzystać może, przeciw naciskowi lichwy na całej linii skutecznie oddziaływać będzie. Korzystnemby było dla działalności i skuteczności kas pożyczkowych, oznaczyć ściśle statutami maksymalność pożyczki. W sprawozdaniu czytamy o zaległościach powyżej 50 złr. Nam się zdaje, że nawet udzielanie pożyczek do wysokości 50 złr. nie powinno być zadaniem kas gminnych.

Kasy pożyczkowe jeżeli nie działają szybko, ustawicznie tracą całą swoją wartość. Wypożyczając większe kapitały, narażone są kasy na dwie trudności: jedna cały kapitał kasy prędko zostaje wyczerpnięty w całości np. gdzie kasa ma tylko 400 złr., ośmiu pożyczających po 50 złr. już cały kapitał zabrali. Ci ośmiu zapewne jeszcze należeć będą do najbogatszych we wsi; dla biedniejszych, dla tych, którzy przedewszystkiem taniego i prędkiego kredytu potrzebują, nic nie zostaje; druga, kapitał większy od 25—50 złr. lub jeszcze wyżej wypożyczony, potrzebuje długiego terminu, bodaj czy nie rocznego; po roku nastąpi znowu prolongata, takim sposobem kapitał ten na dłuższy czas z obiegu wycofany. Wprawdzie możnaby taką pożyczkę ratami miesięcznemi spłacić, spłaty użyć na drobniejsze pożyczki, ale i tutaj są trudności: kapitał wraz z procentem wynosić będzie 55 lub 56 złr., przypada prawie 5 złr. spłacić miesięcznie; pytanie, czy na termin ta fatalna piątka będzie w domu; jeżeli jej nie będzie, trzeba ją wziąć u arendarza, a jeżeli się temu włościanin raz w ręce dostanie, już podobno z rąk jego nie wyjdzie, a w najlepszym razie kapitał z kasy pożyczkowej wzięty kosztować go będzie nie 10 do 12, ale 20 do 25 procentu, a cóżby dopiero było, gdyby 3 lub 4 raty od arendarza brać trzeba było, wtedy już z całą pewnością za 50 złr. wziętych w kasie zapłaci 100%. Włościanin, który te 50 złr. wziął tylko może dla tego, że niewielki będzie płacił procent, wpadnie tym sposobem w ręce lichwy, z którąby się inaczej pewno nie spotkał. Spłata ratami przy większych pożyczkach powinna być dozwoloną a nie wymaganą, jeżeli pożyczającego nie ma spotkać los, jakiśmy powyżej skreślili. 5, 10, 15 to reńskowe pożyczki z terminem trzymiesięcznym z możliwością prolongaty, to operacye, jakie interesowi uprawnionych najbardziejby odpowiadały, jeszcze administracya powinna dbać o to, aby na przednowku kasy nie były próżne przez czas dłuższy, bo wtedy właśnie działalność ich staje się najzbawienniejszą. Inteligentna administracya jedynie dzisiejszym niedogodnościom zaradzić potrafi, praca też prof. Pilata główny nacisk na nią kładzie. W kilku miejscowościach jest już administracya wzorowa, jak się ze sprawozdania Wydziałów powiatowych dowiadujemy, w innych znośna. Trzeba mieć nadzieję, że z biegiem czasu wszędzie lepiej będzie, jeżeli tylko inteligencya szczerze temi pożytecznemi instytucjami zająć się zechce. Dla patryotyzmu piękne tu pole działania.

Dra Kleszczyńskiego praca o propinacyi ma dzisiaj już tylko historyczne znaczenie; kreśli on jej powstanie od najdawniejszych czasów, przebiega historyczny jej rozwój aż do dni naszych. Z początku należała ona do regaliów książęcych i nie była przywiązana do własności ziemskiej; propinacya należała

zawsze do króla lub do tego, na czyją korzyść praw swoich ustąpił. Z propinacją prawo wyrobu trunku stanowiło integralną całość. Jeżeli uprzywilejowany do założenia karczmy postawił ją na gruncie prywatną własnością będącym, za używanie gruntu musiał właścicielowi się opłacać; ztąd bardzo wcześnie, bo już w połowie XV wieku, właściciel ziemi zaczął się uważać i za właściciela propinacyi, przemocą, podstępem albo kupnem rugował dawnego posiadacza przywileju, tak że w XVI wieku prawie już nigdzie propinacya jako odrębna własność nie istniała. Zlanie się tych dwóch własności w całość źle oddziaływało na moralność ludu; jeżeli dawniej właścicielowi ziemi zależało na tem, aby lud na jego ziemi osiadły nie rozpijał się, teraz przeciwnie zysk widział widoczny w jak największej konsumeyi trunków. Dołączyły się do tego inne nadużycia. Właściciele niektórzy nie tylko nie dozwalali chłopom sprowadzać trunków z poza obrębu, gdzie prawo propinacyi mieli, ale nadto przy większych uroczystościach familijnych, jak wesela, chrzciny, pogrzeby, przeznaczali stósownie do zamożności gospodarza, tyle a tyle piwa, tyle a tyle wódki do wypicia, bez pytania się, czy on tyle potrzebuje czy nie, po prostu odnoszono trunek do jego chaty i należytość ściągnięto. W Kobylance, dawniej własności Wielopolskich, znajduje się obszerny akt zawierający skargę mieszkańców starostwa grybowskiego. wniesioną do starosty ówczesnego, którym był kanclerz Wielopolski, na dzierżawcę starostwa, że takim przymuszaniem ich do pobierania nad możność od niego trunków, rujnuje ich zupełnie. Kanclerz jednego z kanoników krakowskich uprosił do rozpatrzenia tej skargi; prałat zjechał na miejsce i śledztwo przeprowadził, zażalenia znalazł słuszne i cały akt ten staroście przedłożył. Jaki był koniec tej sprawy, nie wiemy; akt rzezonny rozwiązania nie podaje, zostało tylko świadectwo, że takie nadużycie się praktykowało; zapewne nie było ono ogólne, przypuścić jednak trzeba, że nie było i odosobnione. Propinacya pod rządem austriackim wielkim zmianom nie uległa, chociaż mnóstwo przepisów odnoszących się do niej wydano. — Dr. Kleczyński w tej pracy dał się poznać jako sumienny historyk i prawoznawca, mianowicie w części udowadniającej prawomocność rabycia własności propinacyjnej, która tylko drogą indemnizacyi wykupioną być może.

Sylwetki przez Kazimierza Chłędowskiego. We Lwowie nakładem Gubrynowicza i Schmidta z drukarni Winiarza r. 1876 w 16ce str. 281.

Nazwisko autora nie po raz pierwszy zapisujemy w Przeglądzie, zamieszczaliśmy jego artykuły w łamach naszego

pisma, zdawaliśmy sprawę z jego prac gdzie indziej wysłanych. Pan Chłędowski cokolwiek pisał, pisał z zamiłowaniem, taktem i umiarkowaniem, wszędzie mu szło o rzecz nie o osoby, nie gorszył, nie oburzał, lecz nauczał i bawił, wszystkie stronnictwa i teorye mogły go czytać z upodobaniem i przyjemnością, chociaż żadnemu nie pochlebiał, wypowiadał swoje zdanie bez goryczy bez tendencji innej, jak żeby złe które spostrzegł skarcić lub ośmieszyć, a nie brał się do tego z pedantyzmem mentorskim ani żółciową powagą moralisty skwaszonego nieprawościami ludzi, dla których ma tylko pogardę, lub nienawiść, nasz autor kocha ludzi, nawet wytykając ich wady, nie czyni to w sposób ażeby wszystkich do nich zniechęcić, a im samym odjąć wiarę w siebie i wiarę możliwość poprawy, nie wskazuje nikogo pelcem, nikt nie może powiedzieć to mnie wystawił na pośmiewisko i urąganie, czem zwykle utrzymuje się w uporze w ten sposób traktowanych, podnieca się w nich junakeryę do wytrwania na raz obranej drodze, aby niemyślano że pierwszy lepszy skryba mógł wpłynąć na zmianę ich postępowania, przyucza się ich pogardzać nawet uczeiwą opinią i wychowuje na bohaterów zgorszenia. Ileż to ludzi takim nietakownem, żółciowem wystąpieniem pchnęliśmy w objęcia nieprzyjaciół, w obojętnych wywołali żar nienawiści przeciwko sobie. W gruncie to wystąpienie mogło nie być bez racyi, przestroga. nawet za pomocą słowa drukowanego wypowiedziana z miłością, byłaby chwilowo oszołomionego sprowadziła na drogę obowiązku i cnoty, wypowiedziana z sarkazmem i żółcią wprost przeciwny osiągnęła skutek. Tacy moralisci i publicyści to prawdziwa klęska dla kraju, jątrzy zamiast uspakajać, wywołują upór w złem, zamiast nakłonić do poprawy błędzących. Najświętsze, najrozumniejsze zasady ich obronie powierzone tracą urok, a adepci i wyznawcy tych zasad opuszczają ręce, ile razy obrońcy ich własnych zasad wystąpią publicznie.

Nasz autor ma tę zasługę że występując jako moralista, występuje sympatycznie, z pobyżaniem; mówiąc o wadach nie pozuje na doskonałość raczej powiada: ja mam wady, wy macie wady, ale wszyscy mamy rozum, nie wypierajmy się go, działajmy rozsądnie, niech jeden drugiego wspiera, jeden dla drugiego będzie sprawiedliwym i wyrozumiałym, a wszyscy na tem zyskamy, nie tylko jako osobistości, ale jako społeczność, jako naród. Te przymioty indywidualne autora czynią z niego bardzo cennego i sympatycznego pisarza. Nie powiadamy aby wszystkie jego prace miały te same zalety umysłowe i estetyczne chociaż wszystkie mają jedną i tę samą moralną wartość. W powieściach na większe rozmiary autor się wikła w trudności z których wybrnąć nie może, nawet styl traci świeżość, znać duch męczy się nad pokonaniem materyału,

co odbija w nie zawsze loicznym przeprowadzeniu opowieści i w zaniedbanej formie. Inaczej się rzecz ma w krótkich opowiadaniach jak na przykład w Fotografjach dawniej, a teraz Sylwetkach, tu autor występuje z całą swobodą, świeżością umysłu, niepospolitym darem spostrzegawczym i przedstawia się odrazu jako znakomity kunstrzmistrz w swoim zawodzie. W Sylwetkach więcej jeszcze niż w Fotografjach, tutaj nie rzadko czuć się daje albo apologeta albo pamfletysta, sam z resztą materyał wzbudzał ciekawość bez względu jak był obrobiony. w Sylwetkach treść i forma stanowią harmonijną całość, której nic dodać nie ując nie można.

Sylwetki naszym zdaniem to najlepsza praca autora, tyle tam życia, psychologicznej prawdy, faktycznych objawów obecnego naszego społeczeństwa. Nikt mu nie zarzuci pochlebstwa, przesady lub uprzedzenia.

Wszyscy takie osobistości znamy, są one z życia wzięte, prawdziwe, mają krew i kości, a przecież, powiedzieć nie możemy, że to ten lub ów; mają one indywidualność swoją, nie przedstawiając indywidualności żyjącej z której pojedyncze rysy mogły być zdjęte, to największa zasługa, to prawdziwy talent który w autorze wysoko cenimy. Kreślić typy nie trudno, ale z charakteryzować typ, zrobić z niego indywidualność nie tracącą ogólnego typowego znaczenia, otrzymać jakby Heglista powiedział *jedność w wielości* to nie każdemu jest dane. Obserwacyjny talent autora nie ogranicza się na jednym stanie na jednym obozie, przedstawia się on równie świetnie, kreśląc obrazek ze stanu arystokratycznego jak średniego lub ludowego. Pan Senator, Pan Szambelan, hrabia Jerzy są zarówno prawdziwi jak kucharz Bartłomiej, jak lokaj Józef, jak Emigrantka jak Wędrowny literat, jak Weteran dziennikarski, wszyscy ci odmalowani są z równą prawdą i miłością. Widzimy ich wady ubolewać możemy nad niemi, mimo tego nie tracą oni ani naszego szacunku ani naszej miłości. Racyjalnie wychowany Adaś, jakkolwiek nie sympatyczny, jest zawsze wiernie z natury zdjętym obrazkiem. Siedem grzechów towarzyskich dołączone do Sylwetek mają tę samą zaletę literacką i artystyczną. Górują nad innymi grzechami dobitnością i dowcipem Błaga i Miłość Chrześcijańska, dwie wady które są prawdziwym utrapieniem dzisiejszej społeczności. Błaga pozująca i udająca to, czem się nie jest i czego nie ma. Miłość chrześcijańska, dla tego przez ironię tak nazwana, że pod jej pokrywką, dopuszczają się ludzie czynów, najbardziej z chrześcijańską miłością niezgodnych; plotkarstwa, oszczerstwa, denuncjacyi: wszystko się to praktykuje pod maską miłości chrześcijańskiej ad majorem Dei gloriam, aby uratować duszyczkę od potępienia wiecznego; nie było by to gorszącem, gdyby dobra wiara temu przewodniczyła, a nie chęć wywołania skandalu, i radość, że się rzu-

ciło poróżnienie i nienawiść tam, gdzie dotąd panowała zgoda i miłość. Wznieca się więc podejrzenie męża przeciw żonie, oskarża wprost męża, wybryk chwilowy dziecka przedstawia się jako upadek bez nadziei ratunku. Ludzie taką miłość chrześcijańską praktykujący na szczególniejsze zasługują napiętnowanie, bo podkopują wiarę w to, co jest najświętszem i najwznioślejszem.

Reasumując sąd nasz o ostatniej pracy p. Chłędowskiego, z całą sumiennością powiedzieć możemy, że dawnośmy tak wybornego dziełka w rękach nie mieli, a polecając go naszym czytelnikom, wypełniamy tylko względem nich najprostszy obowiązek.

L. Powidaj.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 Marca.

Nawet i w tych niedobrych czasach, do jakich od dawna przywykliśmy w Europie, nie było może chwili tak złowrogiej, nierównie gorszą jeszcze przyszłość zapowiadającej jak obecna. Już teraz we wszystkich gabinetach europejskiego Kontynentu zapanował jeden i tenże sam duch rewolucyjny, nieograniczenie. Wszędzie doszli do bezwzględного steru ludzie jednej i tej samej sekty rewolucyjnej. Dotychczas przynajmniej Hiszpania i Francya stanowiły poniekąd wewnętrznem życiem swoim wyjątek od tego *Lasciate ogni speranza*, jakie gdzie indziej już było zapanowało. Niechcemy przez to powiedzieć żeby w Hiszpanii i Francyi do niedawna była kwitła wolność, ale przynajmniej nie zupełnie wszystko w wewnętrznej polityce szło tam na pruską modłę, zdarzało się przecież tu i tam czasem coś takiego, co niemiłym było telegraficznym biórom Wolffa i Hawasa roznosić po świecie, co trzeba było naciągać przekręcać, bo naga prawda kłóła w oczy, dziś, už na służbie rewolucyi zostające prądy elektryczne nie potrzebują krztusić się i kłamać, bo zewsząd śmiało na długich skrawkach papieru wypisywać mogą *vae victis!* W Hiszpanii i we Francyi widzieliśmy do niedawna jeszcze dwa poniekąd równoważące się obozy, z których każdy z osobna zapisywał swoje *facit* i dodatnie cyfry przeważały choć czasem ujemne, dziś i tu tam wszystko uległo przemocy, wszystko zakute w niewoli tego samego panującego systemu.

W Hiszpanii dopóki naprzeciw rządu madryckiego był obóz Karlistów, wstrzymywało to pp. ministrów Don Alfonsa od zbyt jaskrawego występowania przeciw tak drogiej Hiszpanom jedności religijnej, w tym kraju cudem prawie aż do

dziś dnia jeszcze zakonserwowanej. W tym miesiącu potrzeba już było energicznego odezwania się kardynała Moreny a nawet Ojca św. odręcznym listem, przeciw zamierzonym reformom. Te grożące przez kilka lat jak lawina z Pyreneów półki Don Karlosa, przyczyniały się niezmiernie do z konsolidowania się jakiegoś przecieź rządu i zaprowadzenia karności także i w Madrycie, teraz gdy pp. Martinez Campos, Riveira, Castellar, Pavia, Zorilla nie mają powodu łączyć się z p. Canovas del Castillo przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi w Pyrenejskich górach, zobaczymy jak długo i jaką drogą pójdzie w Hiszpanii maszyna państwowa. Izba Cortezów, już była teatrem nieprzyjemnych sporów, a przypominano przytem Don Alfonsowi, iż on nie jest królem z następstwa po Donnie Izabelli, lecz Królem z *Pronunciamento*.

Obiecałem w poprzednim zaszycie „Przeglądu“ iż dam bliższe wytłómaczenie nagłej katastrofy Don Karlosa z końca przeszłego miesiąca. Dokumentów objaśniających ten fakt dotychczas bardzo niewiele się ukazało, oprócz trzech proklamacyj wydanych przez samego Don Karlosa przy przekroczeniu granicy Francuzkiej, do ochotników, do armii i do Hiszpanów, właściwie nic więcej nie mamy.

Don Karlos zaprzestał walki, jak sam powiedział: „na teraz bezskutecznej“ „ustąpił przed siłą okoliczności, w obec olbrzymiej przewagi liczebnej, a bardziej jeszcze w obec ucisku swoich wiernych ochotników, *przeciw którym wszystko się sprzyścięło*.“ Karliści dali dowody wielkiego mężstwa i większej jeszcze wiary, bo w istocie nietylko z Hiszpanią ale z całą Europą mieli do walczenia, gdyż to co zamierzali, stoi w zupełnej sprzeczności z tem co dziś powszechnie panuje. Dla tego też ostatecznie nie tyle liczebna przewaga madryckiego wojska, jak to „że się wszystko przeciw nim sprzyścięło“, zniszczyło wreszcie Karlistów. Mianowicie ta okoliczność, że rząd francuzki, pomimo przyrzeczeń Mac Mahona że na to nigdy nie zezwoli, przez palce patrzył na to, jak Alfonsiści przez terytoryum francuzkie przeprowadzali swe wojska i cale tabory z amunicją. by tył zająć Karlistom, głównie przyspieszyła katastrofę, wtedy i Pyrenesy nie pomódz nie mogły, wzięci we dwa ognie Karliści uleść musieli, nie wspomniał o tem Don Karlos wyraźnie w swoich proklamacyach, zapewne przez wzgląd na to, iż po rozpuszczeniu wojska chwilowo z francuzkiej gościnności korzystać musiał w przejeździe do Londynu, było to jednak ze strony Francyi bardzo nieszlachetne naruszenie neutralności, i pogwałcenie prawa narodów. Nie ukazało się dotąd żadne *un po'piu di luce*, któreby ten smutny koniec całej sprawy rozświeciło, obiecana broszura karlistowska w Londynie dotąd nie wyszła, jednakże łatwo i na mocy wiadomych już faktów skombinować, którzy to mężowie stanu tajemnem porozumie-

niem się ostatni cios zadali karlistowskiej wojnie; Canovas del Castillo i. p. Décazes w tym razie, jak i we wielu innych, powolne narzędzie ks. Bismarka, dokonali tego *humanitarnego* dzieła, p. Décazes zdobył sobie za to jeden z pierwszych hiszpańskich orderów, a jak żeby na dowód, do jakiego stopnia Hiszpania nie tyle sobie samej jak zewnętrznej konstelacji i zewnętrznym wpływom zawdzięcza koniec domowej wojny, hr. Andrassy i ks. Gorczaków zostali właśnie uhonorowani tytułami Grandów hiszpańskich — ks. Bismark jest nim już dawno. Teraz Hiszpania może żyć spokojnie, i pp. Ministrowie mogą wyprawiać bankiety dla pani Ratazzi!

Tymczasem i we Francji nowy skład izby wersalskiej i zmiana ministeryum sprowadziły zupełny przewrót. Mac Mahon jest wprawdzie jak dotąd prezydentem, ale p. Gambetta — dyktatorem, i jakim dyktatorem! na nowe tory Francya teraz wchodzić zaczyna pod jego egidą! Czytając sprawozdanie z posiedzenia Zgromadzenia narodowego z 24go b. m. można by myśleć, że to zapiski nie z Wersalskiej lecz z Berlińskiej Izby, tak czuć we wszystkim pruski *Kulturkampf*, który żywcem przeniósł się teraz nad Sekwanę. Republikańska anti-kościelna większość terroryzująca mniejszość, zastęp szczerych katolików zredukowany prawie do liczby członków Berlińskiego centrum, bo zaledwie sto kilkadziesiąt głosów liczący, oto rezultat ostatnich wyborów. W tem zgromadzeniu wymyślono nową teorię i praktykę pozbywania się najbardziej niemiłych dla większości członków parlamentu: zakwestyonować wybór jako nielegalny, później uchwalić zawsze skorą do tego większośćią głosów ankietę — i rzecz skończona, proceder arcywygodny! Tak postąpiono z p. de Mun, posłem z Pontivy w Bretanii. Zarzucono nielegalność jego mandatu, gdyż wybór jego poprzedził zalecający go list otwarty Biskupa do wyborców, i dlatego, że duchowieństwo okoliczne także było za jego kandydaturą. P. de Mun sam wystąpił w Izbie w obronie własnej i w obronie wolności brania udziału duchowieństwa w legalnej walce wyborczej, bez której prawie żaden na świecie wybór deputowanego się nie odbywa, a wystąpił z taką energią i odwagą, z taką szczerością, popartą niezwykłym talentem krasomówczym, że odrazu, można powiedzieć, stanął jako szef katolickiej mniejszości we francuzkiem zgromadzeniu narodowem. (Jakże ciężko przychodzi pisać o *katolickiej mniejszości* we *francuzkim* parlamencie). Wystawiwszy w całej nagości niesłuszność i błahość powodów, bardziej jeszcze przeciw duchowieństwu niż przeciw niemu wymierzonej ankiety, p. de Mun przerzucił dyskusyę na ogólniejsze pole, zwracając się do lewicy: „Mówicie, kończył p. de Mun, że religia nie jest zagrożona . . . przypominam wam słowa wyrzeczone przez p. Gambettę (6 Lutego b. r.) w Lille: „Trzeba, żeby przyszłe zgro-

madzenie narodowe, które wybrać macie, powstało i powiedziało: *Me voilà, je suis toujours la France du libre examen et de la libre pensée.*“

— Głosy z lewej: To Francya przemówiła.

Przypominam, mówił dalej p. de Mun, i tę drugą mowę p. Gambetty w Lyon, gdzie otwarcie powiedział: „gdy się śledzi co jest dominującym tonem ostatnich wyborów, widzi się to, że Francya cała chce zrzucić ze siebie pęta klerykalizmu.“

— Głosy z lewej: To znowu Francya przemówiła!

Przypominam wreszcie, że podczas całej walki wyborczej hasłem narzuconem całej Francyi było: wojna przeciw katolikom! — A teraz ja wam powiadam panowie, to hasło zrozumiano, i katolicy podnieśli rzuconą rękawicę; i takie jest znaczenie mego wyboru, oto dlaczego kler i wszyscy katolicy przyjęli go z radością, oto co wam odsłoni ankietę! Szukacie jakiegoś sprzysiężenia, nie znajdziecie go, ale znajdziecie katolików złączonych silnym węzłem wiary, która im jest wspólną, aby całą siłą sprzeciwić się tej *wolnej myśli*, którą już ogłaszacie, odkryjecie, że po całej Francyi są ludności chrześcijańskie, które nie chcą żeby naruszano ich wiarę, i gdzie każdy, kto stanie wobec nich i powie głośno że jest katolikiem, jest pewny, że wszystkie głosy będzie miał za sobą i cały wpływ usiłowań. Oto co ankietę wam odsłoni, nie szukajcie napróżno niczego innego, tem szczerem wyznaniem chcę wam oszczędzić długą i żmudną ankietę.“

Pozwoliłem sobie przytoczyć tu ten ustęp z mowy p. de Mun, gdyż zaznacza on najdobitniej jedną z ważniejszych chwil historyi Francyi, w której teraz zaczyna się nocna robota Penelopy, by wypruć wszystko z księgi ustaw, co tylko dobrego w ubiegłym roku zrobiono. Już nowy minister oświecenia Waddigton wniósł obostrzenia uchwalonej zaledwie w przeszłym roku wolności szkół wyższych, i żeby tylko na tem się skończyło, ale zapewne wkrótce zaczną się kuć i nowe prawa na wzór pruskich.

We Włoszech także nowy gabinet dała lewica — oddawna czuła na wpływ pruski, ministerium Nicotera zapowiada z góry, iż chwyci się bezwzględniejszej drogi w kwestyach kościelnych. Bardzo prawdopodobnie brzmia doniesienia niektórych dzienników, iż między Włochami i Prusami zaszło porozumienie względem podziału Szwajcaryi. Słowem chociaż od przeszłego maja główny ton w polityce europejskiej nadawała Rosya, Prusy także nie próżnowały wcale, jak świadczą o tem porobione w Hiszpanii, Francyi i Włoszech tak zwane w pruskim języku *moralne zdobycze*.

Kwestya wschodnia przycichła w Europie, energiczne wystąpienie gabinetu austriackiego przeciw zbrojnemu wnie-

szaniu się Serbii do Hercogowińskiej sprawy oddziało bardzo na powstanie, które, przynajmniej według doniesień dzienników, prawie już ustało, nie ustała jednak z pewnością tajemna gra dyplomatyczna między interesowanymi mocarstwami. Przytem kwestya wschodnia nie ogranicza się na Europie, jej teatrem jest przestrzeń długości blisko pół kuli ziemskiej od Pogranicza Wojskowego do półwyspu Korei; zaangażowane w niej są wszystkie trzy części świata naszej Hemisfery, o ile żyją politycznie. Ciekawym bardzo epizodem w tej sprawie jest kwestya dołączenia do korony angielskiej tytułu cesarskiego dla „dependencyj angielskich“ we wschodnich Indyach, i dyskusye jakie się z tego powodu wywiązały w londyńskim parlamencie. Disraeli główny twórca tej myśli nie wahał się przyznać, iż jestto demonstracya przeciw nad miarę rozszerzającemu się imperyum rosyjskiemu w Azji, bo już tylko kilka dni marszu dzieli posiadłości angielskie od rosyjskich: przeciw Carstwu trzeba więc postawić Cesarstwo. Bardzo ostro krytykował ten pomysł Gladston, nierokując temu tytułowi cesarskiemu dobrego przyjęcia w Indyach i nieprzewidując zamierzonego nim wzmocnienia angielskiego tamże panowania, a zarazem uważając go jako niebezpieczny dla historycznej korony królewskiej w Anglii, gdzie ten tytuł Cesarzowej, a później Cesarza, gotów prędzej niż w Indyach się przyjąć ze szkodą dla historycznej ciągłości angielskich tradycy. W istocie ze staro-angielskiego punktu widzenia, jest to krok rewolucyjny, *coup d'état*, w skutek którego znowu jedna z niewielu w prawdziwym poszanowaniu jeszcze będących koron królewskich, przetopi się w nieokreślony i nieco szczerem błyszczący cesarski dyadem.

O toczących się rozprawach w sejmie lwowskim otrzymaliśmy list, który podajemy poniżej.

Ignacy Skrochowski.

Lwów 29 Marca.

Wiadomo powszechnie, że kadencya sześćioletnia już w roku zeszłym uważaną była za ukończoną, że sesya obecna sejmowa stała się prawie niespodzianką dla kraju i posłów. Już na przeszłorocznej niechęć podejmowania spraw większych, z wyjątkiem propinacyjnej, była bardzo widoczną, była też i naturalną, bo trudno żądać od posła, aby spieszył się pod koniec sesyi z wnioskami, które stawiane już wielokrotnie, nigdy większości znaleźć nie mogły. Po kilkoletniej praktyce zna się klawiaturę i wiadomo co na niej odegrać można a co nie.

Tymczasem przyszło jeszcze raz do sesyi z tą samą klawiaturą, z tymi samemi ludźmi, pomiędzy którymi zjawilo się kilku nowych, pod sam koniec kadencyi wybranych. Jużci to sesya tylko od budżetu, powiedziano sobie zrazu; przedłożeń rządowych nie było prawie, wydziałowych mało, wniosków poselskich, któreby ważniejsze poruszały rzeczy, niespodziewano się wiele. *Deus nobis haec otia facit*, mógł sobie powiedzieć poseł jadący na sesyę... Tymczasem właśnie dla tego może stało się inaczej. *Natura horret vacuum*, sejm musi nad czemś obradować. Przytem wybory przed drzwiami, niejednen z posłów niechętnie przypuściłby tylko, że ostatni raz zasiada w Izbie. Inni, którym to obojętne, mają może owo rzewne usposobienie, towarzyszące rozstawaniu się z tem, na co może narzekali nieraz, ale do czego się przywiązali. Wszyscy prawie (uczestnicy koła polskiego) niemając przed sobą spraw wielkich i walk do stoczenia, minnowoli czują się więcej niż kiedy zbliżeni do siebie w tej że się tak wyrażę testamentowej obecnej kadencyi godzinie. Chciałoby się też ile można uzewnętrznic, czego się jeszcze pragnęło, a czego zrobić niebyło czasu lub możliwości. Ztąd wnioski liczne, przeważnie Wydziałowi krajowemu do wypracowania przedstawić się mające. Przyszła kadencya będzie się musiała liczyć z duchem obecnej. Po stronie nieprzyjaznej cała polityka obrócona oczywiście ku Wiedeńskiej Radzie Państwa i wiejskim wyborom, więc demonstracyjnych wniosków, świetnych popisów oszczędności niebrak... W trzecim tygodniu sejmu namnożyło się pracy na drugie trzy tygodnie.

Sprawa zapomogi głodowej, sprawa budowy gmachu sejmowego, ostateczna redakcyja ustawy o policyi polowej i budżet — oto wszystko co z rzeczy ważniejszych sejm zająć miało. Pierwsza już załatwiona trafnie i gładko, po odbytych trzech posiedzeniach koła polskiego; druga dosyć dotąd sporna, bo właściwego planu nie ma, a Izba z czterech planów piątego układać niemoże; trzecia zapewne pójdzie gładko i szczęśliwie. Na budżetową dyskusyę niezawodnie elementa dorabiające się popularności u ludu za pomocą oszczędności mocno sobie ostrzą zęby — załatwić też powinna w zasadzie uprzednio tę sprawę *zgoda koła polskiego*, bo niebezpieczna to rzecz, igranie z instynktami oszczędności w naszej izbie — można zejść aż do barbarzyństwa. Natomiast postawionych w Izbie wniosków namnożyła się znaczna ilość i jeszcze mnoży. Na czele stoi niezawodnie wniosek posła Dunajewskiego i towarzyszy, poparty świetną jego mową.

Znacie i wniosek cały i całą jego przeszłość, a o ile sobie przypominam, i rzegląd polski pierwszy w świat go wprowadzał. Wnioskodawca i towarzysze nie taili sobie wcale, że do praktycznego rezultatu w terażniejszej sesyi nie doprowadzi

a jeżeli wzywali Rząd, aby na zasadach „Zarysu“ projekt przedstawił, czynili to biorąc pojęcie Rządu dosyć abstrakcyjnie od dzisiejszego jego składu i stanu. Dzisiejszy Rząd wniosku, który dąży do wzmocnienia rządu i Administracyi, który z t. z. Autonomii dużo poświęca i na rodzaj spóhrządu autonomicznych czynników z rządowymi ją zmienia — nie będę zaiste fałszywym prorokiem — nieuczyni podstawą przedłożenia swego. On woli samorząd, który za pociśnięciem sprężyny rządowej stanie się bezwładnym, niż dopuszczenie do władzy i rządu tych, którymi chce rządzić bez kontroli z bliska. Tyle tam siły na obwodzie w tym wniosku, że ci, którzy lubią tylko siłę w centrum, obejdą go bardzo ostrożnie. Z prawdziwym „horrorem“ omijać go będą też ci, którzy nie lubią, aby im w podziemnych ich knowaniach na palce patrzano — Świętojurcy. I tu właśnie brawura, tu żywotność tego wniosku, tu prawdziwa przyjemność, że z galicyjskiego sejmu pochodzi. Wśród Polaków jawi się projekt urządzenia kraju, który chce rządu silniejszego niż dotąd, który do funkcji administracyjnych zgłasza się z pomocą żywiołów krajowych, autonomicznych, który powiada: w rzeczach, które nam i rządowi są wspólne pracujemy razem, ręka w rękę z rządem. Projekt też ten, przyjęły przez większość sejmu, podniesiony przez kraj, konsekwentnie przez delegację w Wiedniu popierany, jako polecenia godny dla krajów austriackich, mógłby niezmiernie przyczynić się do podniesienia stanowiska Polaków, jako pierwsze dodatnie ich słowo a skuteczny, jakim jest do przebudowy dzisiejszego administracyjnego budynku, złożonego z starej biurokracji i nieporadnego do rządzenia liberalizmu, wywołać z czasem spokojne, bez wywrotów, normalne przetworzenie, sięgające w polityczną sferę.

Mimowoli przy tym projekcie nasuwają nam się natrętnie słowa p. Łyskowskiego w Berlinie, oskarżające Polaków w Galicyi, że przestają być Polakami. Gotów je powtórzyć, jeżeli przeczyta to, cośmy powyżej powiedzieli. Gdyby je powtórzył odpowiemy mu za Polaków w Galicyi to jedno, że są w Galicyi w istocie tacy heretycy polskości, co nieuważają za rzecz ubliżającą narodowi, aby w państwie, dającym im lepsze warunki bytu, działać organicznie — dla tego państwa i dla siebie i życzyć mu n. p. rzeczy, zbliżonych do lepszej administracyi pruskiej, rzeczy, których Prusacy właśnie Polakom dać niechcieli. Ci heretycy wierzą oczywiście, że to herezją nie jest, że gdzie wśród lepszych okoliczności zdarzy się sposobność, jać się czynnie spraw na porządku dziennym będących, odznaczyć się przy ich traktowaniu, okazać że się nie jest tylko do protestacyi i negacyi zdolnym, ale i do afirmacyjnego działania: nie jest ubliżeniem narodowi, ale pokazaniem, że i on ma prawo do życia. Niewyobrażaliśmy sobie nigdy, aby polskość polegała na ascetycznem odpychaniu wszelkich lepszych

warunków życia pod niepolskimi rządami, pozorowaniu obawy, że ją te warunki życia zabiją. Bardzo by ona była słabą w takim razie. Wyobrażamy sobie ją w przyszłości jako przyjmującą te warunki, świadomą, że przyjęcie ich nie jest kwitowaniem z czegokolwiek bądź, ale i zobowiązaniem w obec siebie i rządu do współdziałania dla celów publicznego dobra.

Mogłoby się wydać rzeczą dziwną, że dzisiaj jeszcze po doznanych kilkakrotnych ze strony dzisiejszego rządu. bądź zawodach, bądź dowodach niechętnego zwrotu, stają wnioski, na obecny Rząd liczyć niemogące. Tu pamiętać należy o niezmiennym usposobieniu sejmu, pełnem zawsze najżywszej do osoby Cesarza sympatyj, usposobieniu, które miarkuje zawsze radykalniejszą przeciw Rządowi opozycję. I to usposobienie zdaje nam się być prawdziwie politycznem w sejmie naszym, co więcej nadajacem mu cechę polską. Polacy nie idą z żadnym systemem konstytucyjnym w Austrii tak wyłącznie, aby spieszyli się dla jego wątpliwego zwycięstwa do przewrotów; oni górują dotąd, stojąc przy tronie nad konstytucyjnymi w Austrii sporami, i gdyby to stanowisko w tej sesyi określone być mogło, zaiste, określenie to nie byłoby zbyt cennem...

Przeważna ilość wniosków innych tyczy się spraw edukacyjnych i naukowych. Tu należą wnioski Dr. Zolla o zaliczanie supleptom egzaminowanym lat służby od chwili otrzymania suplentury; tegoż o ustanowienie seminarjów żeńskich; tegoż o niewykluczenie z dni feryalnych dnia Zadusznego, Popielca i przedłużenie feryi Wielkanocnych; Bożego narodzinia; P. Pawła Popiela wniosek o ustanowienie internatów przy Seminarjach nauczycielskich dla szkół ludowych; Dra Kabata o uzupełnienie Uniwersytetu lwowskiego; Dra Szujskiego o odebranie Archiwów krajowych pod administrację Wydziału. Niebrakło naturalnie wniosku p. Antoniewicza o zmianę ustawy o języku wykładowym w szkołach średnich, jak i wniosku (tą razą pośła Kowalskiego) o zaprowadzenie języka ruskiego w szkole grecko-katolickiej we Lwowie, co należy oczywiście do gminy miasta Lwowa.

Dzisiaj obszernie i z znaną znajomością rzeczy uzasadniał poseł Krzczunowicz swój wniosek w sprawie podatkowej, który ocenić rzecz ekonomisty raczej niż moja.

OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH.

(Ciąg dalszy).

Początki prześladowania.

Nim rząd stanowcze rozpoczął w tym kierunku kroki, puścił najpierw postrach na katolików. Już w pierwszej połowie roku 1871 dała Gazeta Krzyżowa, która wówczas była jeszcze duszą i ciałem Bismarckowi oddana, pierwszy sygnał do boju, a za nią odezwały się na całej linii wszystkie organa na żołądzie rządu stojące, jak „Norddeutsche Allg. Ztg., Kolońska, Augsburgska, Weserska“ i inne. Pogrożki były wprowadzić tylko ogólne: że rząd dość długo był cierpliwy, że nareszcie w interesie własnej obrony musi wystąpić, aby powściągnąć hierarchiczne wybryki zaburzające spokojność religijną kraju. Po pokonaniu nieprzyjaciela zagranicznego, należy poskromić nieprzyjaciela wewnętrznego, a tym jest „ultramontanizm“, którego serce nie w niemieckiej ojczyźnie, ale za górami.

Aby się od samego początku wobec większej publiczności, zamaskować i niedozwolić jej przejrzeć, o co rzeczywiście chodzi, zrobiono zaraz tę różnicę pomiędzy „ultramontanizmem“, a prawdziwym „katolicyzmem“. Pierwszy miał być owocem intryg małej, ale potężnej partji Jezuityzmu, który wywołał owo nie-

szczęsne rozdwojenie w łonie kościoła katolickiego, ostatni jest dawnym kościołem katolickim, którego wyznawcy brzydzą się pierwszym, są dobrymi patryotami i w zgodzie żyją z innemi wyznaniami. O ile na pierwszy hojnie miotano obelgi, o tyle ostatniemu, bo na myśli był „Starokatolicyzm,“ kadzono i schlebiano, aby opinią przeciw pierwszym nie tylko pomieędzy protestantami, ale niemniej i pomiędzy katolikami uprzedzić, sumienia szczególnie katolickie zobałamuścić i w błędzie utrzymać, że rząd nic nie zamierza złego przeciw kościołowi katolickiemu. Alternatywa była, dla katolików niemieckiego pochodzenia, którzy w skryte plany rządu nie byli w tajemniczeni ani podstępui takiego nie przypuszczali, nader trudną i przykrą; albo stanąć po stronie zohydzonych „ultramontanów, nieprzyjaciół ojczyzny i cesarstwa,“ albo po stronie uwielbianych i wynoszonych pod niebiosa patryotów. Nie zapominajmy, że to była chwila najwyższego szału narodowego i patryotycznego, w którym niejednemu zabrakło chłodnej rozwagi i zdrowego o rzeczy sądu. Do tego dodajmy najuroczystsze i ciągle powtarzane przez rząd i samego cesarza zaręczenia, że tu bynajmniej nie chodzi o kościół katolicki, ale jedynie o poskromienie i ukrócenie „ultramontańskiego Jezuityzmu,“ a nie powinno nas zadziwiać, że wielu katolików zostało rzeczywiście obałamuconych i z niewiadomości podpisywało znany adres do cesarza. Tym podstępem posługiwał się rząd w bezwstydnym sposobie i rzeczywiście na swoją niekorzyść zbyt długo. Bo gdy tak katolicy jak protestancy członkowie frakcyi Centra nielitościwie zdarli z niego tę maskę, nie wierzyła mu w tej materyi publiczność katolicka nic, jak się minister Falk uskarżał, chociaż nawet prawdę mówił.

Nadmieniamy tu o tym podstępie przez rząd aż do znudzenia i śmieszności później używanym, abyśmy potem nie potrzebowali tej samej rzeczy przy każdym jego kroku powtarzać.

Nie zrobiliśmy zaś osobnego ustępu o planie prześladowania, i środkach i taktyce w tym boju użytych, bośmy przekonani, że to się najwydatniej w każdym pojedyńczym zamachu i przypadku pokaże. Na to tylko, co się wszędzie i zawsze powtarza, jako frazes stereotypowy, uważaliśmy za stosowne zwrócić na początku uwagę.

Po takim zapowiedzeniu i wypowiedzeniu wojny Kościołowi katolickiemu przez organa poufne kanclerza uderzył rząd równocześnie w dwa punkta od razu, w jeden w Berlinie, w drugi na prowincyi czyli: w *wydział katolicki* w ministerstwie spraw duchownych i w *biskupa warmińskiego Kremenza* o wyrzeczenie ekskomuniki przeciw Wollmannowi, nauczycielowi religii przy gimnazyum Braunbergskiem. Pierwszy krok zrobił rząd z własnej inicjatywy bez najmniejszego zkądinąd powodu, drugi na wniosek Wollmanna uciekającego się pod opiekę rządu. Zaczniemy od pierwszego.

Rozkazem gabinetowym z dnia 8 lipca 1871 zniósł król na wniosek ministerstwa wydział ewangelicki i katolicki w ministerstwie spraw duchownych i oświaty i oddał załatwianie interesów obu wydziałów jednemu tylko wydziałowi. Zamach ten wymierzony pozornie przeciw ewangelikom i katolikom wspólnie, godził li tylko w Kościół katolicki w Prusiech. Najpierw bowiem wydziały te nie miały wcale głosu stanowczego, ale tylko doradczy, a minister decydował sam. Ich rzeczą było tylko przedłożyć ministrowi stan sprawy. Minister wyznań zaś jest, a nawet musi być zawsze protestantem, bo w charakterze swoim jest zarazem niejako wikaryuszem jeneralnym króla dla spraw duchownych wyznań protestanckich. Król papieżem, a on jego alter ego. Protestanci zatem nie na zniesieniu wydziału tego ucierpieć nie mogli. Co więcej, zyskali nawet, gdyż ten jeden wydział, któremu sprawy obydwóch teraz poruczone zostały, składa się także prócz jednego katolika wyłącznie z protestantów. Zniesienie zatem obydwóch wydziałów było także zamaskowaniem zamiaru, aby ci, którzy nie znali sprawy, nie mogli się pomiarkować, że tu chodzi jedynie o wyrzucenie katolików z ministerstwa i pozbawienie Kościoła katolickiego w Prusach najwłaściwszego środka porozumiewania się w rzeczach kościelnych z rządem. Krok ten przedwstępny do rozpoczęcia prześladowania był prawie niezbędnym, bo nie dość, że ten wydział byłby stał na przeszkodzie przy każdym nowym zamachu na kościół, ale nadto trudnoby było ukryć przed nim w zupełności dalsze wymierzone ciosy. A wiadomość o dalszych zamiarach rządu utajonych była dla niego pół przegranej. Prócz tego rząd już był przyszedł do tego kresu w swoich planach, że nie chciał znać prawdziwego stanu

i położenia spraw katolickich, nie mógł już zatem zasięgać rady wiernych Kościołowi katolików czyli „ultramontanów“, ale musiał się otoczyć apostołami. Wierni bowiem Kościołowi katolicy nie mogli mu ani przewodniczyć ani towarzyszyć w prześladowaniu Kościoła, któremu prawną dawać opiekę było ich głównem zadaniem. Taką zatem przeszkodę w pochodzie tej okrutnej wyprawy trzeba było przedewszystkiem usunąć, a zwłaszcza, że ją uważano za instytucją administracyjną, nie zaś na prawodawczych ustawach opartą.

Początek i wprowadzenie w życie tego wydziału katolickiego najlepiej tłumaczy jego znaczenie i zadanie. Ustanowił go Fryderyk Wilhelm IV dnia 14 lutego 1841 r. istniał już zatem w Prusach przeszło 30 lat. Rany zadane uczuciom katolickim w czasie sporu o mieszane małżeństwa przez uwięzienie dwóch arcybiskupów państwa Gnieźnieńskiego i Poznańskiego w osobie X. arcybiskupa Dunina i Kolońskiego w osobie X. Droste v. Vischering pragnął wymieniony król szczerze zagoić i powetować. Czuł bowiem ten monarcha dobrze, że rząd pruski ciężką krzywdę wyrządził katolikom. Skoro tylko objął rządy, wszedł zaraz w układy z Stolicą Apostolską, a po ich pomyślnem ukończeniu, pozwolił odtąd biskupom katolickim kraju wprost znosić się z Rzymem, nie zaś za pośrednictwem tylko rządu, jak było dotychczas. W owych czasach policyjnego nadzoru przyjęli to katolicy z wielką wdzięcznością. Nadto założył ów wydział katolicki, jak w rozkazie gabinetowym sam wyrażnie powiada: „w celu utrzymania pomiędzy państwem a Kościołem dla obu stron dobrych stosunków“. Przebieg ówczesnych zatargów pomiędzy Kościołem a rządem wyjawiał światu taką niewiadomość spraw katolickich w ministerstwie pruskiem, iż ustanowienie owego wydziału katolickiego zdawało się być wywołane najostatniejszą potrzebą rządu samego, aby miał kogoś pewnego, kto go z urzędu o tych przedmiotach objaśnić jest w stanie.

Bacniejsi z pomiędzy katolików odgadnęli od razu, na co się zanosz. Cel i skutki tej instytucji były im znane. Pierwszy, t. j. cel określił ówczesny prawodawca sam wypowiadając otwarcie, że mu chodziło o utrzymanie dobrych stosunków z kościołem katolickim. Skutki błogie tej instytucji dla rządu i Kościoła wykazał trzydziestoletni przeciąg czasu jej egzy-

stencyi. Zniesienie zatem tej instytucyi było najoczywistszym dowodem, że rząd obecnie ani jednego ani drugiego już nie chce. Pewną zatem było już rzeczą, czego rząd nie chce, wątpliwość mogła tylko jeszcze zachodzić, jakie są dodatnie jego cele.

Czego fakt ten nie był w stanie jasno wytłumaczyć, uczyniły to pisma publiczne urzędowe, usprawiedliwiające postępowanie rządu w tej mierze. Dwoma szczególnie argumentami usiłowała opinia publiczna krok ten rządu usprawiedliwić. Pierwszym, że konstytucya z d. 31 Stycznia 1850 r. stosunek rządu do państwa uregulowała, instytucya zatem tego wydziału stała się niepotrzebną, a nawet szkodliwą, gdyż osoby składające ten wydział więcej będą zawisłe od Kościoła, niż od rządu. Na zabicie tego błahego argumentu nie potrzeba było nic więcej, jak tylko zwrócić uwagę na egzystencją tej instytucyi przez przeciąg czasu dwudziestoletni od ogłoszenia konstytucyi. Drugi argument był dogmatycznej treści. Ogłoszenie nieomyślności papieża zmieniło i obaliło wszystkie dotychczasowe stosunki, jakie zachodziły pomiędzy Kościołem a państwem. Rząd przeto musi się przeciw temu niebezpieczeństwu bronić i dla tego musiał wydział ten skasować. Że dogmat nieomyślności w tej mierze najmniejszej nie spowodził zmiany, powinno być jasnem z tego, cośmy już poprzednio o tym przedmiocie powiedzieli. Te argumenta rozjaśniły katolikom stan rzeczy i zamiary rządu lepiej niż samo zniesienie tej instytucyi. Na bój otwarty nie długo czekali.

Drugi cios wymierzył rząd wprost przeciw nauce wiary i jurysdykcji duchownej w sprawie biskupa warmińskiego. Rząd widocznie z niecierpliwością szukał zaczepki i dla tego chwycił na oślep, co mu się nawinęło bez względu na to, czy zręczność pochwycona była odpowiednią i stosowną lub nie. Chciał gwałtownie korzystać z szału narodowego, nim umysły z niego wytrzeźwieją i spostrzegą się na pogwałceniu praw sprawiedliwości, logiki i zdrowego rozumu. Oto wszystko zawadził rząd w tej sprawie Braunsbergskiej zbyt widocznie i niezgrabnie, aby nie był miał się narazić na porażkę. Rzecz była taka:

X. Dr. Wollman, nauczyciel religii przy katolickiem gimnazjum Braunsbergkiem nie uznał dekretu soboru watykań-

skiego o nieomyślności papieża. Gdy poprzednie napomnienia kanoniczne nic nie pomogły, przystąpił biskup warmiński z obowiązku swego do wyrzeczenia przeciw niemu ekskomuniki, co nastąpiło dnia 4 lipca 1871. Nim jeszcze do wykonania ekskomuniki przyszło, żalił się już X. Wollman przed rządem na postępowanie biskupa przeciw sobie. Podług dotychczasowego ustawodawstwa pruskiego zostawał biskup z przepisami prawnymi w tej mierze w zgodzie, a ministerstwo, jeśli chciało X. Wollmana wziąć w obronę, mogło mu pozostawić dotychczasową pensyą, ale nie mogło się oprzeć prawnie żądaniu biskupa, potwierdzenia innego przez biskupa wybranego nauczyciela religii w miejsce X. Wollmanna. Kilka w podobnych decyzji przez „starokatolików“ wywołanych przypadkach wydał już był rząd poprzednio, zgodnych z dotychczasową praktyką. Przeciwnie tedy rozporządzenie ministerstwa z dnia 29 Czerwca 1871 wszelkiej dotychczasowej praktyce powszechnej wywołało zadziwienie i zdumienie. Prasa oficjalna i liberalna, po której ostatniej należało się najpierw spodziewać silnego oporu przeciw tak okropnemu gwałtowi zadanemu sumieniu, zaczęła to rozporządzenie tłumaczyć najpierw tym śmiesznym argumentem, że wyszło z uchwały całego ministerstwa, a powtóre, że to jest pierwszy wyraz akcji przeciw „ultramontanom.“ O rzecz przeto nie chodziło stronnictwom liberalnym, ale jedynie o „ultramontanów“. Treść rozporządzenia tego była: rząd nie może się przychylić do żądania biskupa oddalenia X. Wollmanna z posady, gdyż dogmat nieomyślności nie dotyka stosunku państwa do kościoła katolickiego, uznanie lub nieuznanie tego dogmatu przez obywatela kraju pruskiego wcale nie obchodzi i na stosunek urzędowy pruskiego urzędnika najmniejszego nie ma wpływu. Tu już widzimy posługiwanie się dogmatem nieomyślności podług upodobania. Gdy to było na rękę poczytywano go za niebezpieczny dla państwa, w innyż zaś przypadkach za rzecz rządowi całkiem obojętną.

Te błahie argumenta ministeryalnego reskryptu odparł biskup warmiński pismem z dnia 9 Lipca 1871 w taki sposób zwycięzki, iż nawet pisma urzędowe i liberalne nie śmiały bronić oczywistego pogwałcenia praw słuszności i logiki. „Co jest nauką Kościoła katolickiego, mówi biskup warmiński, a co nie, o tem nie ma prawa sądzić i wyrokować minister, ale

biskup, a w najwyższej instancji Stolica Apostolska. Jeżeli tedy pan minister w wspomnianym wyżej reskrypcie mój wyrok orzekający, że nauka X. Wollmanna nie jest katolicką, z zupełnem pominięciem jedynej w tej mierze instancji sam obala i przewrotną jego naukę za prawdziwą ogłasza, zmuszając zarazem wszystkich katolickich uczniów pod karą wydalenia ze szkół do uczęszczania na jego wykład religii, przywłaszcza sobie tem samem rolę wyższej odemnie instancji w rzeczach wiary, wdzierając się gwałtem w wewnętrzną dziedzinę Kościoła, przyznaje sobie władzę nadzoru i dyscypliny, którą prawodawstwo złożyło w ręce biskupów katolickich i zadaje oczywisty gwałt zaręczonej konstytucją wolności sumienia obywateli kraju... Uwaga pana ministra „że X. Wollmann dziś jeszcze naucza tego, czego przed dniem 18 Lipca 1870 r. za zezwoleniem Kościoła katolickiego nauczał,” jest zupełnie mylną,... gdyż X. Wollmann podług złożonej przez siebie przysięgi nauczał dotąd, że to, co sobór powszechny w rzeczach wiary i obyczajów wyrzecze, jest prawdą nieomylną i zobowiązującą wszystkich wiernych. Jeżeli tedy teraz nie przyjmuje i nie uznaje wyroków powszechnego soboru watykańskiego, naucza oczywiście czegoś innego teraz, jak nauczał przed 18 Lipca 1870.“ mimo tych argumentów bijących w oczy i uderzających, mimo prośb biskupa i rodziców katolickich posyłających dzieci swoje do tego gimnazjum, aby rząd przynajmniej od uczęszczania na wykład religii ich dzieci zwolnił, mimo odwoływania się na katolicki charakter tego gimnazjum, na fundusze kościelne, jednak rząd uparł się na swoim i zagroził wydaleniem ze szkół wszystkim uczniom katolickim, którzyby nie uczęszczali na lekcje religii dawane przez ekskomunikowanego X. Wollmanna. Na to wszystko ówczesny minister Mühler, który się tuż przed swoim upadkiem temi rozporządzeniami splamił, odpowiedział: że przymus ten jest następstwem nieodzownem szkolnego prawodawstwa pruskiego. Jedyne tylko wyjątek stanowi prawo krajowe w tym razie „jeżeli dzieci uczęszczające do szkoły w innej religii, jak ta, której nauczają w szkole, mają być wychowane, natenczas nie można ich zmuszać do brania udziału w lekcjach religii.“ Lecz do obecnego przypadku nie można tego przepisu zastosować, gdyż rodzice, o których dzieci chodzi, są „katolikami.“

X. Wollmann w szkole daje „naukę katolicką,” nie masz zatem żadnego słusznego powodu do zwalniania ich od uczęszczania na naukę religii.

Te reskrypta ministeryalne znalazły tylko w prasie ministeryalnej pobłażanie. Roztropniejsi zaś protestanci, jakkolwiek nieprzychylni Kościołowi katolickiemu, potępili je jednak. Pierwsza tedy akcja rozpoczętego prześladowania była w rzeczy samej dla rządu bardzo niefortunna. Pogwałcić i zdeptać za pierwszym zaraz zamachem w tak oczywisty sposób wszelkie zasady prawa, słuszości, logiki i zabezpieczonej konstytucją wolności sumienia i religii, było akcją bardzo niezręczną i kompromitującą rząd w oczach zdrowego rozumu zbyt jawnie. Odtąd już żadna maska zamiarów rządu przynajmniej w oczach katolików ukryć nie zdołała. Z powagą ministeryalną wypowiedziane zdanie reskryptu, że uznanie lub nie uznanie dogmatu nieomyślności nie wywiera żadnego wpływu na stanowisko mieszkańca kraju do rządu, a tem mniej dotykać może urzędnika, było i jest czczym frazesem. Bo któż o tem w Prusach wątpił? Któż o tem nie wiedział, że wiara lub niewiara w nieomyślność papieża nie jest wcale przedmiotem prawa karnego? Zresztą chodziło tu o obywatela Wollmanna? Albo czyż w osobie X. Wollmanna był li tylko urzędnik pruski, który urząd nauczyciela religii katolickiej bezwarunkowo od rządu tylko przyjął? Nie spoczywał jego urzędowy charakter względem rządu niezbędnie i prawnie na podstawie jego charakteru kościelnego i nie musi upaść wraz z podstawą, która mu się przez ekskomunikę z pod nóg usunęła? W rzeczy samej w tej sprawie wcale nie chodziło o dogmat nieomyślności i w ogóle o żaden dogmat. Rządu bowiem nie jest zadaniem ani badać ani wyrokować o dogmatach katolickich. Pytanie raczej było proste i jasne takie: Czy ma rząd prawo kapłana do jakiegokolwiek bądź wyznania należącego, który przez swoją właściwą zwierchność duchowną prawnie i kanonicznie został ekskomunikowany, uważać i nadal za nauczyciela religii dla wyznawców tego Kościoła, który go z łona swojego wydalil i podtrzymywać go gwałtem na tym urzędzie? Ani prawo ani dotychczasowa praktyka ani zdrowy rozum ludzki nie może żadnemu rządowi przyznać tej władzy bez najoczywistszego pogwałcenia zasady wolności religii i sumienia. Jest

to gwałt i despotyzm najdotkliwszy, przeciw któremu Kościół katolicki przeszło 300 lat z samem pogaństwem nie licząc w to herezyi, walczył i na okup tej wolności krew milionów męczenników w ofierze złożył. W Prusach tem niedorzeczniejszym był ten gwałt, że exkommunika kościelna żadnych następstw cywilnych nie pociąga za sobą. Ta niezgrabność, z jaką rząd sprawę tę pochwycił, ta niezręczność i niedołężność, z jaką ją prowadził, dowodzi widocznie niecierpliwości, z jaką czychał na najdrobniejszy powód do rozpoczęcia od dawna uplanowanych zamiarów. Katolikom zaś otworzyło to postępowanie rządu oczy, czego się mają po nim spodziewać. Odtąd już się tylko mogli łudzić ci, którzy sami chcieli być oszukanyimi. Nieprzychylni Kościołowi katolickiemu ale roztrośniejsi protestanci, którzy szczerze pragnęli upokorzenia „Ultramontanów,“ ubolewali nad temi szalonymi krokami rządu z obawy, że walka tak nierozumnie rozpoczęta nie może pomyślnych osiągnąć skutków. „Chcieć Kościołowi katolickiemu,“ mówi jeden z nich, (Fabri) przepisywać, kto ma udzielać naukę religii dzieciom, a kto nie, wykluczonego z jego łona człowieka narzucić przemocą państwa na nauczyciela religii dzieciom, których rodzice wraz z swoim biskupem i wszystkimi biskupami Prus przeciw niemu protestują i do tego przy gimnazyum katolickiem, funduszami katolickimi założonem, dowodzi bez wątpienia opaczego w najwyższym stopniu stanowiska rządu i jest niezaprzeczonem pogwałceniem zasad wolności sumienia i religii.“

Reskrypta ministeryalne w tej sprawie wydane pominęły troskliwie właściwą kwestyą, a broniły się frazesami. Decyzye wydawane w sprawach z istoty swej prawnych pod wpływem politycznych usposobień, poglądów i natchnień, które do swoich widoków i celów naginają sprawiedliwość, zamieniają się zwykłe w miecz obosieczny raniący później i tego, który go wziął w rękę. Sprawdzi się to niewątpliwie niezadługo na stronnictwach liberalnych niemieckich. Lecz tą bronią mógłby był i rząd, jeśli nie siebie samego, to przynajmniej najwierniejszego sprzymierzeńca zranić. Przypuśćmy, co dzięki Bogu nie nastąpiło, żeby się jeden z biskupów państwa pruskiego był dekretem Watykańskim oparł i wywiesił chorągiew „starokatolicką.“ Biskupa takiego byłby niewątpliwie rząd hojniejszymi łaskami obsypał, niż Reinkensa, boby był planom jego bardziej na

rękę. Gdyby tedy ten biskup, apostata, wszedł w położenie, o co w takim razie nie byłoby trudno, zawieszenia w urzędzie lub exkommunikowania kapłanów, którzy pozostali wierni Kościołowi, czyżby ich rząd podług zasad w tych reskryptach wypowiedzianych nie był musiał tem samem prawem, jak Wollmanna brać w obronę? Byłoby to wprawdzie dla rządu fatalnem położeniem, ale sprawiedliwość i słuszość wymagałyby jednak, aby wiara dla wszystkich była ta sama. Te okoliczności dowodzą, z jakim brakiem namysłu, z jaką gwałtownością rząd działał.

Jeden tylko wzgląd na przyszłość „starokatolików“ był w stanie doprowadzić rząd do tych sprzeczności. Oświadczając bowiem wbrew deklaracyi biskupa Warmińskiego, i wszystkich biskupów Prus, że nauka religii Wollmanna jest „katolicką“, ogłosił tem samem „starokatolicyzm“ Kościołem rzymsko-katolickim, który miał niezaprzeczenie przyznane prawa w Prusach. Czy rząd wtenczas już kierował się tą myślą, trudno odganiać, lubo późniejsze wypadki zdają się to potwierdzać.

Wprawdzie i rząd Bawarski, który instrukcye swoje z Berina odbierał, wypowiedział zasadę, że ekskomunikowanych „starokatolików“ uważa także za katolików. Chociaż zasadniczy fałsz tak w Prusach jak w Bawaryi jest ten sam, zastosowanie go jednak na plebanie Meringskim, Hirschwälderze miało za sobą pozory łudzące. Fałsz zatem ten nie występował wobec świata w tak rażący sposób, jak na Wollmanie. Najpierw w Bawaryi istnieje *placetum regium*, którego rząd Bawarski biskupom odmówił do ogłoszenia dekretów Watykańskich. Mimo to ogłoszenie ich nastąpiło bezkarnie. Powtórę większość parafii Meringskiej trzymała z swoim plebanem i robiła wnioski do rządu o opiekę dla niego i pozostawienia go na miejscu. Takie samo było położenie w Prusach w gminie Nakel z plebanem Pongermannem, ale rząd jeszcze się w tenczas nie spostrzegł i opieki mu nie dał. Lecz całkiem inne okoliczności panowały w Braunsbergu. Wollmann nie miał owieczek, któreby się do jego wiary przyznawały, przeciwnie całą swoją parafią t. j. gimnazystów i rodziców miał przeciwko sobie, narzucał więc gwałtem swoją naukę innym. Brakło zatem rządowi w tym przypadku na pozorze nawet, któryby był zdolny jakośkolwiek okryć nagość gwałtu.

Wobec takiego niesłychanego ucisku sumienia milczały wszystkie dzienniki liberalne, wszystkie organa kościelne protestanckie. Nienawiść do Rzymu, do nauki kościoła katolickiego, pozbawiła ich rozumu. Wyrzuty te robili im i protestanci mniej uprzedzeni. W ostatniej dopiero chwili, kiedy się już w tej materii przygotowywał wniosek w Izbie pöselskiej ze strony frakcyi Centra, spuściła i prasa liberalna przynajmniej co do jednego punktu z tonu i oświadczyła się przeciw przymuszeniu uczniów katolickich do uczęszczania na naukę religii Wollmana, ale wystąpiła zaraz z propozycją, aby w szkołach średnich w ogóle znieść obowiązek nauki. Rozprawy Izby nad postawionym przez Reichenspergera wnioskiem zmusiły rząd do odwrotu i zniesienia zadanego uczniom i rodzicom ich gwałtu. Nikt jednak prócz frakcyi Centra nie śmiał podnieść głosu w obronie wolności, stała więc już z tego jedynego powodu rządowi, a szczególnie kanclerzowi na przeszkodzie. Pierwsza zatem wycieczka rządu przeciw kościołowi nie powiodła się wcale.

Trzecia napaść na kościół była już na szersze rozmiary uplanowana. Jej zadaniem było wszystkie elementa kościołowi przeciwnie nie tylko w Prusach, ale w całych Niemczech pod broń powołać. Aby plany rządu pruskiego jeszcze jakośkolwiek zamaskować i nienawiść protestacką ku kościołowi katolickiemu upozorować, użyto do tej wyprawy rządu katolickiego Bawaryi, a w szczególności ministra Lutza, szczególniejszego patrona „starokatolików.“ Rządowi przeto Bawarskiemu odstąpił kanclerz niemiecki tego smutnego zaszczytu wniesienia do parlamentu niemieckiego wyjątkowego prawa przeciw kaznodziejom czyli przeciw wolności ambony. Jest to ów znany dodatek do § 130a prawa karnego dla całego cesarstwa wydany. Dodatek ten brzmi, jak następuje:

„Duchowny lub inny sługa kościelny, któryby w wykonywaniu lub z powodu wykonywania swego powołania wobec mnóstwa ludzi publicznie w kościele lub na innem do religijnych zgromadzeń przeznaczonem miejscu wobec więcej ludzi sprawy państwa wziął za przedmiot ogłaszania lub roztrząsania w sposób narażający na niebezpieczeństwo spokojność publiczną, ma zostać ukarany więzieniem lub aresztem forttecznym aż do dwóch lat.“

Cel, jaki kanclerz niemiecki chciał tym przepisem karnym osiągnąć, jest tak oczywisty, że wiele o nim mówić nie potrzeba. Naprzód chciał wszelkie przeszkody z drogi usunąć, na jakie mógł liczyć, aby zwycięstwo zapewnić i ułatwić. Chodziło tedy głównie o utrzymanie mas ludu katolickiego w zupełnej niewiedomości o tem, że mają być pozbawione wiary ojców swoich. Trzeba tedy było koniecznie zamknąć usta duchownym, którzy lud najpierw i najsukutekniej byli w stanie oświecić o rzeczach wiary i przygotować go na niebezpieczeństwo, jakie nad głowami ich zawisło.

Nie możemy tu pominąć tej okoliczności, że prawo to, jak i wiele innych, z nadzwyczajnym pośpiechem przez radę związkową wniesione i z lekkomyślną szybkością przez parlament przyjętem zostało. W ostatniej nieledwie godzinie sesyi jesiennej parlamentu wystąpiła rada związkowa z tym projektem, który w ciągu 23. 25 i 28 Listopada 1871 już się stał uchwałą parlamentu. Pośpiech w prawodawstwie w ogóle nigdy nie jest dobry ani pożyteczny, a zwłaszcza w chwilach wielkich wstrząśnień, gwałtownych poruszeń i wyłącznych dążeń politycznych, a cóż dopiero powiedzieć o prawie karnem, które ma decydować o wolności i honorze 40,000 osób? Co więcej cóż powiedzieć o zgromadzeniu czyli parlamencie, który w taki sposób pospieszny i gwałtowny decyduje o prawie *wyjątkowem*, które od poczęcia swego nosiło na sobie piętno niezatarte nienawiści i tendencyi politycznej? Krawiec nie zdoła w tak krótkim czasie wygodnej sukni zrobić. Prawo to pomści się kiedyś na swoich twórcach, a teraz już jest znaczną rządowi przeszkodą do rozpowszechnienia i spopularyzowania uroczystości Sedańskiej, do której tak wielką wagę przywiązuje.

Prawo to z natury swej monstrualne, a w konsekwencyach swoich prostotę chrześcijańskich obyczajów podkopujące wymagało koniecznie dla pozoru samego gruntownego umotywowania i uzasadnienia. Już w radzie związkowej Saksonia przeciw temu wnioskowi się oparła oświadczając: „że socyalni demokraci codziennie miotają obelgi na konstytucyą państwa, na prawa, a nikt nie robi wniosku, aby dla ich poskromienia prawo karne zmieniać, nie widzi tedy słusznego powodu, aby ten wyjątek dla duchownych robić. Prawo takie będzie tylko obrażać, rozjątrzenie wywoływać, a pożądanego nie odniesie

skutku.“ Im zatem gruntowniejszego potrzeba było uzasadnienia pozornego przynajmniej wobec słuszności i logiki, tem trudniej było nadsztukować frazesami rzecz złą i do osiągnięcia pewnych tylko celów, których wyjawić nie można, zastosowaną. Mizernem też w istocie było i jest umotywowanie tego prawa i wykazanie jego mniemanej potrzeby koniecznej. W każdym innym czasie wstydziłby się którykolwiek rząd takie argumenta podać, a parlament niemi się zadowolnić. Tego uczucia nie było ani po jednej ani po drugiej stronie. Możliwości nadużycia ambony, było jedną z głównych myśli tego uzasadnienia, nie może nikt zaprzeczyć, bo duchowni są przecież ludźmi, Jakgdyby wszyscy inni ludzie świeccy nie byli także ludźmi, ale aniołami. Paragrafy 130 i 131 prawa karnego, które zagrożają karą *złośliwe* szerzenie i twierdzenie *wykrzywionych* lub *falszywych* faktów w celu wystawienia urzędów państwa na wzgardę“ wystarcza dla wszystkich innych obywateli kraju, ale nie dla duchownych. Czemu? „Gdyż, odpowiada owo uzasadnienie, podkopywanie uszanowania dla urzędów krajowych jest możebnem bez zmyślania, przekręcania faktów tudzież bez zamiaru podania w pogardę tychże urzędów.“ Rzadka większa naiwność, a raczej cynizm w prawodawstwie nad ten, który się w tych słowach przebija. Każdy przeto obywatel kraju, w jakimkolwiek znajduje się urządzie lub stanowisku, ma prawo obrony w odwołaniu się na prawdziwość twierdzonego faktu, oraz w dowodzie, że nie miał zamiaru przez swoje roztrząsanie instytucji krajowych podać tychże w pogardę. Jeden tylko duchowny został pozbawiony tego prawa obrony i nie może się przed sądem usprawiedliwić ani tem, że prawdą jest to, co o instytucjach krajowych powiedział, ani tem, że sposób, w który wypowiedział, wszelki złośliwy zamiar wyklucza. Oto w krótkich słowach uzasadnienie, jakie rada związkowa wraz z projektem śmiała parlamentowi przedłożyć.

Dyskusja parlamentarna nad tym przedmiotem jeszcze widoczniej, jeśli podobna, wyświeciła nicość podawanych na uzasadnienie prawa tego powodów. Każde bowiem prawo czy przez rząd czy przez członków parlamentu wniesione powinno być rzeczywiście potrzebą usprawiedliwione. Jeśli tej brak, nie ma natenczas niezbędnego warunku egzystencji. Przedewszystkiem zatem powinny były rozprawy wykazać, a zwłaszcza, że

togo nie uczyniły motywa, że rzeczywiście nadużywano w całych Niemczech ambony do złośliwych wycieczek na rządy, na instytucje krajowe i to na tak obszerne rozmiary, któreby krok tak niezwykajny, tak wielce zjadliwej doniosłości były w stanie usprawiedliwić. Dowieść tego miał najpierw obowiązek rząd Bawarski, z czego się nie uścił. A gdyby nawet w Bawaryi samej nadużycie ambony w samej rzeczy było nad miarę rozpowszechnione, o czem niżej będzie mowa, byłoby to dla rady związkowej i parlamentu dostatecznym powodem do rozciągania tego rodzaju prawa na całe cesarstwo niemieckie, gdzie o tych nadużyciach mowy nie było? Czyż w takim razie nie wskazywał najprostszy rozum, aby Bawarya sama temu nadużyciu zapobiegła? Ale zkąd prawo tak okrutne i krzywdzące dla reszty krajów cesarstwa, które o tem nadużyciu nic nie wiedziały? Tymczasem z tych przypadków urojonego nadużycia ambony, które z samej Bawaryi wśród dyskusyi przytoczono, nie masz ani jednego, któryby mógł być pod to prawo podciągnięty. A tak przyjął parlament prawo o poskramianiu nadużyć ambony bez wszelkiego dowodu, że w rzeczy samej jedno nadużycie w całym cesarstwie nastąpiło. Takich środków chwycił się rząd w celu ujarznienia, a potem wytępienia kościoła katolickiego w Niemczech.

Zamiast dowodu potrzeby takiego prawa silił się minister Lutz i zwolennicy jego Schauss, Völk i Fischer na czeze reklamacje i najpospolitsze wycieczki przeciw kościołowi katolickiemu, rzucając nań najsromotniejsze obelgi, aby sobie zjednać sympatyą większości protestanckiej nie mającej wyobrażenia o kościele katolickim, a tchnącej zastarzałą nienawiścią ku niemu. Najpierw pochwylił znany i otrzaskany powszechnie kumunał, „że żaden rząd nie może ścierpieć państwa w państwie, stanu w stanie i ciskał na wszystkie strony szumnemi frazesami o Ultramontanizmie i Jezuityzmie, którego duch owionął teraz duchowieństwo, jednym słowem używał dobitnych dziennikarskich wyrażeń; aby przeciw kościołowi katolickiemu, któremu się sam już sprzeniewierzył, obudzić w nihilistach, żydach i uprzedzonych protestantach wszystkie złe namiętności Aby zmierzyć beczelność, do jakiej wolno było w owym parlamencie posunąć się ministrowi, niech przynajmniej jeden fakt posłuży. Nadmieniliśmy wyżej że rząd bawarski w sprawie

ekskomunikowanego plebana Hirschwäldera postąpił sobie zupełnie tak, jak rząd pruski z Wollmannem. Słuchajmy, co mimo tego śmie minister Lutz mówić o wolności sumienia i religii. „Żaden minister spraw duchownych nie ma prawa orzekać, kto jest członkiem kościoła, a kto nie, żaden minister spraw duchownych nie ma prawa decydować, komu się godzi sprawować funkcyje kapłańskie, a komu nie. To wszystko przyznaję.“ Niech ta jedna okoliczność z pomiędzy wielu innych posłuży do ocenienia parlamentu, w którym wolno było ministrowi takich pomiędzy swemi uczynkami, a słowami dopuszczać się sprzeczności bez narażenia się na szyderstwo słuchaczy.

Drugim ogólnikiem, który minister Lutz wraz z swoimi poplecznikami bawarskimi wobec protestantów i żydów w najfałszywszy wyzyskiwał sposób, był dogmat nieomyślności papieża. Wszystkie najniedorzeczniejsze konsekwencye, o których wyżej była mowa, wyciągał z tego dogmatu i wobec ludzi nie mających wyobrażenia o rzeczy, rozwijał ich niebezpieczeństwo grożące nowemu ustrojowi państw. Nieomyślność nauki w przedmiocie obyczajów obejmuje, „wszystkie stosunki ludzi do ludzi“ tak, iż nawet prawa finansowe mogą być pod nią podciągnięte. Na udowodnienie prawdziwości tego twierdzenia odczytał jeden z pomocników jego bawarskich osnowę jednego kompendium teologii moralnej. Trafną nader dał im na to odpowiedź ś. p. Mallinkrodt, że niepotrzebnie tak daleko szukał prawdy, znajduje się bowiem w daleko krótszem streszczeniu to jest dziesięciorgu przykazań Bożych, a szczególności co do materyi w tych słowach: „Nie pożądaj żony bliźniego twego, ani domu, ani sługi, ani służebnicy, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest.“ Takie przykazania są bardzo niewygodne tego rodzaju rządowi i ministrom.

Nareszcie, gdy już i deklamacyi i wycieczek nie starczyło, wycisnęło się coś Lutzowi z serca w wielkim ferworze, co było jednym z prawdziwych zamiarów, które pragnął osiągnąć przez to prawo. Powiada bowiem w końcu: „Panowie, wyznaję otwarcie, że do projektu z tego powodu największą przywiązuję wagę, aby tej części duchowieństwa, która się machinacyami przezemnie opisanemi z całego serca brzydzi, dać za jego pomocą opiekę.“ Tu się wreszcie coś przynajmniej

z tego, co pod sercem utajonem było, przebiło na jaw. Mylnie tedy deklamował i twierdził w całych $\frac{2}{3}$ swej mowy, że tu chodzi o wystawienie warowni przeciw kościołowi, przeciw niebezpieczeństwom, jakimi nieomylnie papieża zagraża państwu, gdyż wyznaje otwarcie, że mu najwięcej na tem zależało, aby zbuntowanemu przeciw swym biskupom duchowieństwu skuteczną dać opiekę. Podkopywanie zatem powagi kościoła było najszczerzem jego życzeniem, właściwym zamiarem. Co się jeszcze więcej pod tym słowem częściej frazeologii ukrywało, wiemy dziś, chociaż minister Lutz tego nie wypowiedział. Otwartość cyniczna w tym jednym punkcie, który wyjawiał, ma swoją wartość.

Gdy jeden, drugi, trzeci i czwarty obrońca bawarski tego prawa w ogólnikach się tylko obracał, a żadnego faktycznego dowodu uzasadniającego potrzebę rzeczywistą, takiego prawa nie przytoczył, zaczął się tak nawet nieprzychylnie dla duchowieństwa usposobiony parlament niepokoić i żądać przytoczenia przypadków, w których nidużywano ambony. Deputowany Völk wymienił nareszcie kilka, z których trzy najgłówniejsze przytaczam, aby się przekonać, jakimi blichtrami można było większość ówczesnego parlamentu niemieckiego zaspokoić, gdy chodziło o dokuczenie kościołowi katolickiemu.

Pierwszy przypadek dotyczył plebana Bergmaiera z Geisenhausen, który rzeczywiście został przez sąd skazany za jakieś oświadczenie publicznie wypowiedziane, ale to nie nastąpiło ani w kościele, ani z ambony. Cóż to tedy miało za związek z przedłożonem prawem? Jakaż logika jest w stanie dedukować potrzebę rzeczzonego prawa ograniczenia wolności ambony?

Drugi przypadek dotyczący plebana Scharl z Ottersing jest zupełnie ten sam, co pierwszy. Rzeczony pleban został także ukarany za to, że coś kary godnego powiedział publicznie, ale nie w kościele ani na ambonie.

W trzecim przypadku nie wymienił rzeczony deputowany ani nazwiska osoby ani miejsca. Aby się na oczywistą śmieszność nie narazić, przytoczył tylko kilka wyrazów na efekt obliczonych, jak np. „hołota masońska“ i inne sprośne zdania, które wesołość wywołało w parlamencie, i na tem koniec gdyż reszta faktów jest tylko wyjątkami z dzienników katolickich.

Oto faktyczne powody, które miały wykazać niezbędną potrzebę postawienia ambony pod dozór policyi.

Znakomitsi członkowie parlamentu, a zwłaszcza prawnicy wstydzili się sami potem swojego votum i tłumaczyli się tym politycznym względem, że to był pierwszy przypadek, w którym się Bawarya udała o pomoc do parlamentu niemieckiego; dla ukonsolidowania jedności Niemiec nie wypadało wniosku jej odrzucić. Prawo zatem to było jedynie, jak się liberalna prasa oświadczała, zadatkiem przyjaźni dla Bawaryi. Ten względ polityczny miał zastąpić brak rozumu, logiki i wadliwość niepotrzebnego prawa. Jestże to dowód prawdziwej przyjaźni? Kto widzi przyjaciela na drodze błędu, przestrzega go a w ostatecznym razie odmawia pomocy, aby go zmusić do odwrotu. Czyż ci, którzy swoje kroki tym względem politycznym tłumaczyli, nie byli w rzeczy samej fałszywymi przyjaciółmi Bawaryi?

Jakiż był skutek tego prawa, które miało „pożar zagrażający exystencją Bawaryi“ ugasić? Mimo luźności i elastyczności sformułowania tego prawa tak, iż je można naciągać i naginać stósownie do politycznych i religijnych przekonań sędziego, mimo niepodobieństwa obrony, jakieśmy to wyżej wykazali, były w W. X. Poznańskim od roku 1871 do końca Stycznia r. b. dwa przypadki, w Nadreńskich prowincjach i Westfalii trzy, a w Bawaryi i do tej chwili ani o jednym nie słyhać, w którymby to prawo skutecznie było zastosowane. Miałóż tedy rzeczywiście ten cel, który mu pozornie nadawano? Najoczywiście, że miało cel inny, ukryty, który dziś dla nikogo już nie jest zagadką.

Dziwna rzecz, że o protestanckich predykantach mowy wcale nie było, że w dyskusyi nawet nikt o nich nie potrącił, chociaż prawo to niemniej ich tenorem swoim dotykało, jak katolików. Niektórzy z nich, jak Gerlach, Fabri i inni użalali się nawet na to zupełne ich pomijanie, jak gdyby ich wcale na świecie nie było. Dlaczego ich traktowano w ten sposób, wytłumaczyliśmy już wyżej. Tu tylko nadmieniamy, że ich rzeczywiście nie było. Bo w ciągu tej całej walki toczzonej nie tylko przeciw zasadom kościoła katolickiego, ale wogóle Chryścjanizmu, nie było ich rzeczywiście w boju ani w parlamencie ani w prasie.

Nie wątpimy, że większa część publiczności katolickiej zgodzi się na to z nami, że ambona nie jest trybuną parlamentarną, a następnie, że polityka nie należy do ambony. Z niej ma być ogłaszana prawda odwieczna, nieomylna, która mimo swej świeżości, zawsze jednak jest ta sama. W polityce zaś zmieniają się zasady i widoki co chwilę. Jakże jedno z drugiem pogodzić? Pomijam tu już nawet stronnictwa polityczne i namiętności z niemi nieuchronnie połączone. Możeż to wszystko na miejscu świętem role swoje odgrywać? Im dalej zatem polityka uchyla się od ambony, tem lepiej dla niej. I gdyby było podobieństwo w drodze prawodawstwa cywilnego bez pogwałcenia wolności słowa Bożego i osobistej, bez wywołania nowego rodzaju szpiegostwa, otaczania miejsca świętego zausznikami i najzupełniejszej deprawacy ludu, politykę całkiem od ambony oddalić, byłoby to niewątpliwie rzeczą bardzo pożądaną. Ale na tej drodze osiągnąć ten cel jest rzeczą niepodobną bez narażenia się na gorsze daleko konsekwencye, niż to złe, które kiedyś niekiedy z tego rodzaju nadużycia ambony wyniknąćby mogło. Lecz czego w tej mierze nie jest w stanie dokazać żaden rząd świecki, to ma w swoim ręku kościół. On ma sobie tylko właściwe środki do uchronienia ambony od sprofanowania, bo ona do niego wyłącznie należy. Rząd świecki w tym względzie nigdy tam dotąd temu złemu, jeśli się gdzie pojawi, nie jest w stanie tak skutecznie zapobiedz, jak kościół.

Z drugiej strony prawo, o którem mowa, posuwa rzecz do ostateczności bezrozumnej. Bo, jeżeli krytyka formy rządu, ustroju państwa, zasad stronnictw politycznych i t. p. nie należy do ambony, czyż razem z tą przemijającą grą wyobrażeń, opinii i namiętności może być cała idealna strona i podstawa życia narodowego, jego rozwój wzrastający lub hylący się do upadku, wykluczona z Kościoła, z ambony? Nie maż ta strona idealna żadnego związku z odwiecznymi prawdami objawienia? Nie maż nawet kaznodzieja w pewnych okolicznościach ścisłego obowiązku przedstawienia narodowi jego życia publicznego, jego dobrych i niedobrych stron w świetle nieomylnych prawd moralności chrześcijańskiej? A jeśli ma niewątpliwie ten obowiązek, jakże mu można odmawiać prawa do spełnienia swej powinności? Na ileż lat musiałby ś. Ambroży, nasz Skarga,

Lacordaire i w. i. iść do więzienia za to właśnie, za co ich późne jeszcze błogosławią wieki? Czyż nasze czasy nie dostarczają aż do zbytku tego rodzaju materii, których kaznodzieja w pewnych przypadkach i okolicznościach pomijać nie powinien? Możesz np. milczeć o szerzących się zgubnych naukach w przedmiocie małżeństwa, własności i t. p.? Czyż tego wszystkiego nie można podciągnąć pod prawo tak nieskończenie elastyczne, jak to, o którym mowa? Czyż nie uskarżano się często słusznie na to, że kaznodzieje zanadto się obracają w ogłaszaniu słowa Bożego w ogólnikach, w abstrakcyi, a za mało zastósowują je do życia, do rzeczywistości? Potrzebaż jeszcze było kłódki do zamknięcia im ust, żeby się żaden promyk światła chrześcijańskiego nie mógł przebić przez ten straszliwy chaos wyobrażeń pogańskich do społeczeństwa? Widzimy i tu, jak się w każdym kroku rządu przebija zamiar wytępienia nie tylko Kościoła katolickiego, ale w ogóle wszelkich zasad chrześcijańskich. Kościół katolicki dla tego tylko jest przedmiotem prześladowania, że w nim przeciwnie instynktowo czują całą potęgę chrześcijaństwa, a odszczepione od niego wyznania nie warte są nawet boju, gdyż same się już pozbyły treści objawienia. Państwo na teoryach, o jakich na początku była mowa, zbudowane; nie może z natury swej znieść prawd nietykalnych i nieugiętych.

Cóż tu powiedzieć o rzuconem hojnie nasieniu deprawcy w masę ludu, na którą jeden z posłów W. X. Poznańskiego słusznie zwrócił uwagę? Nie jestże to obliczone wyrażnie na namiętności i słabości ludzkie, na które każdy, a szczególnie dobry i gorliwy pleban jest wystawiony? Czyż pomiędzy tysiącami parafian nie znajdzie się kilku przynajmniej kozłów? Nie sąż parafianie tym środkiem pobudzeni i niejako pokątnie wezwani do odgrywania roli Faryzeuszów, którzy słuchali nauk Chrystusa celem „podchwycenia go w mowie”? A gdy się to jednak nie powiedzie, czyż nie koniecznem następstwem obsaczyć ambonę tajną policją? Możnaż tedy bezecniej miejsce święte sprofanować? A w razie oskarżenia, w razie słuchania świadków, co już nastąpiło, możeż się sumienny sędzia spuścić na słuchaczy, którzy w prostocie serca słowo Boże przyjmują, aby wszystkie zwroty i odcienia myśli kaznodziei wiernie byli w stanie oddać? Będzież się lud kwapić na

kazanie, jeśli kilku z nich raz drugi tak gorzkiej doznają przykrości świadczenia przeciw kapłanowi którego kochają, i którego nauki ich zbudowały? Prawo to miało widocznie i ten cel rzucić kość niezgody pomiędzy duchowieństwo a lud, podać ostatniemu dokuczliwą broń w rękę przeciw pierwszemu, podkopać powagę, a z nią i wpływ duchownego na parafian.

Nareszcie prawo to, jakieśmy to już wyżej nadmienili, jest obosiecznym mieczem. Rząd przecież sam wszelkich używa środków, aby wspomnienia narodowe, pamiątki świetnych zwycięstw, urodziny monarchy i t. p. wnieść na ambonę, uczcić je namaszczeniem religijnem i tym sposobem zapewnić im w sercach ludu niewygaśłą pamięć. Lecz możnaż mówić o świetnych pamiątkach narodowych, o monarsze bez dotknięcia spraw politycznych? Nie sąż te przedmioty same natury politycznej w najwydatniejszym znaczeniu? Godziż się zaś kaznodziei chrześcijańskiemu być bezwzględny panegirystą? Już dziś znajduje się rząd w bardzo drażliwym i fałszywym położeniu z zaprowadzeniem, upowszechnieniem i upopularyzowaniem uroczystości Sedańskiej. Wszelkie wysilenia, używanie nawet częste gwałtu, aby się dostać do dzwonów, aby szkolne dzieci katolickie do udziału przymusić, nie odniosły żadnego skutku, uroczystość ta nie chce się w sercach ludu przyjąć. Na Szlążku nawet już w dzień urodzin królewskich panegiryki z ambon nie huczą tak głośno, jak dawniej. Lecz wkrótce może się to położenie rządu z przykrego zamienić na groźne, gdy chmura socjalizmu na seryo nad głowami społeczeństwa zawisnie. Czyż to także nie są „sprawy państwowe?“ Czyż wtenczas dopiero myśli rząd usta duchowieństwa rozwiązywać? Jakiż duchowieństwo będzie miało interes brać w obronę ojca socjalizmu przeciw własnemu dziecku, jeden fałsz przeciw drugiemu, jednego prześladowcę przeciw drugiemu? Drugiego nie ma nawet powodu się obawiać w pierwszej chwili, bo cóż mu zabierze? Pierwszy już go z wszystkiego obdarł krom życia. Nie będzie miał przeto powodu rzucania się na obdartego i uciśnionego, ale raczej na tego, który obdzierał i uciśkał.

Ze wszech miar przeto jest to prawo nierozumne, złe i szkodliwe, ale było rządowi pruskiemu do dopięcia utajonych jeszcze zamiarów przeciw Kościołowi katolickiemu powziętych potrzebne, dla tego przyszło do skutku. Hańba dla protestan-

ckiej prasy kościelnej, że nawet przy tem prawie nie zdobyła się na odwagę wypowiedzieć z stanowiska chrześcijańskiego słowa prawdy. Słusznie przeto ignorowano w tej całej sprawie wyznania protestanckie, jakby ich wcale nie było.

Czwarty cios wymierzony przeciwko Kościołowi nastąpił w Lutym 1872 w sejmie pruskim. Chodziło tu o odjęcie prawa dozoru nad szkołkami elementarnemi duchowieństwu czyli o zupełne wydalenie a raczej wyrzucenie Kościoła ze szkoły.

Projekt do tego prawa Izbom pruskim przedłożony opiera się również na tak słabem uzasadnieniu, jak poprzedni. Umożliwienie bowiem tego wniosku spoczywa na faktach niesprawdzonych wcale, a zatem na twierdzeniach rządu, że niektórzy dziekani i plebani W. X. Poznańskiego, Prus zachodnich i Górneggo Szląska, wykonywający dozór nad szkołami ich obwodu mieli w tym swoim urzędzie więcej baczyć na język polski i Kościół katolicki, aniżeli na język niemiecki. W tej okoliczności upatrywał rząd uszkodzenie języka niemieckiego i narodowości niemieckiej. Celem skutecznego zapobieżenia temu na przyszłość „nadużyciu,“ wnosi rząd, aby przyznane dotąd prawo dozoru plebanom nad miejscowemi szkołami, a dziekanom nad szkołami całego dekanatu, całkiem zostało odjęte, a oddane urzędnikom państwa, którzy przez rząd do tego urzędu powołani a przez skarb publiczny opłacani być mają. Co zaś najdziwaczniejszem jest w tem prawie, co najwidoczniej obraża logikę, słuszność i wolność osobistą, jest ten przepis, że gdzie rząd nie zamianuje świeckich inspektorów, duchowni są obowiązani ten bezpłatny urząd piastować, dopóki im odebrany nie zostanie. Jeżeli tedy zasadnicza potrzeba, bezpieczeństwo państwa wymagało tak gwałtownie wydalenia duchownych ze szkół, jakże ich się godziło zatrzymywać jeszcze nadal i do tego wbrew ich woli? Mówię gwałtownie, gdyż prawo to jest tylko wyrwaną drobną częsteczką z zapowiedzianego artykułem 26 konstytucyi prawa o edukacyi publicznej w ogóle. Czyż nie wymagał zdrowy rozum, wzgląd na całość zapowiedzianego prawa, jego zasada i praktyczność, aby się wstrzymać jeszcze z przedłożeniem jednej części przesądzającej pryncypalne zasady całości? Byłyż mniemane nadużycia, (o których wiemy z pewnością, że nie są niemi), kilku plebanów lub dziekanów tak niebezpiecznemi dla państwa pruskiego, iż nie było w stanie

doczekać in statu quo chwili przedłożenia sejmowi całego prawa edukacyjnego? A jeżeli niebezpieczeństwo było istotnie tak groźne, iż państwo nie zdołało go przetrzymać, czemuż zatrzymano plebanów i dziekanów przy inspekcji na czas nieograniczony? Jakże takie sprzeczności z sobą pogodzić? Co więcej nie dostarczało dotychczasowe prawodawstwo rządowi środków do skutecznego zapobieżenia tym sporadycznym „nadużyciom“, jeśli je uważał za rzeczywiste? Komu jakośkolwiek znane prawodawstwo pruskie co do tego przedmiotu, wie że szkoły wszędzie były *monopolem* w Prusach, chociaż względnie wykonywanym, nie zbywało mu zatem na środkach do zapobieżenia złemu, jeśli je uważał za rzeczywiste. Jakoż wiemy z doświadczenia, że prezes naczelny Horn każdego plebana i dziekana, skoro mu tylko doniesiono, że jest „Ultramontaninem i do tego Polakiem (clerical-polnisch gesinnt) usuwał od inspekcji szkolnej i oddawał ją duchownym, o których patryotyzmie pruskim inne miał przekonanie. Na jednej sessji regencyjnej postanowiono 60 duchownym odjąć inspekcją nad szkołami. Nie wchodzę wcale w kwestyą, czy postępowanie to obydwóch regencyi, Poznańskiej i Bydgoskiej zgodnem było z przepisami prawa krajowego, które każdego plebana uważało za urodzonego inspektora szkółek jego parafii, dość, że paragrafy do tego przedmiotu się odnoszące rząd na swoją korzyść wytłumaczył i faktycznie tak postępował. Nadmieniam tu tylko pobieżnie, że ten urząd inspekcji stał się w tym czasie, a zatem jeszcze kilka lat przed prześladowaniem, nieznośnym dla duchownych ciężarem i obowiązkiem pełnym goryczy. Im bowiem pleban pilniej i gorliwiej swej powinności względem szkoły dopełniał, (mówię tu o okolicach polskich i mieszanych), tem był nauczycielowi niedogodniejszym. Aby go się pozbyć, nie potrzebował nauczyciel nic więcej, jak denuncyować plebana, że jest zagorzałym Polakiem, że namawia parafian do głosowania tylko na Polaków przy wyborze na sejm pruski, a to było bez indagacyi, bez śledztwa wystarczającym powodem do odjęcia takiemu plebanowi dozoru nad szkołą. Te stosunki opłakane zdeprawowały znaczną część szczególnie nauczycieli polskich moralnie i zmieniły ich na nikczemnych i podłych szpiegów swoich własnych pasterzy. Niemieckie prowincye i okolice od tej przynajmniej zarazy były wolne, a duchowni

znajdywali po największej części w nauczycielach istotną pomoc i podporę. Nie miałże tedy rząd pruski w dotychczasowem prawodawstwie zadosyć środków do położenia tamy temu, co z swego niczem nieusprawiedliwionego stanowiska za złe i szkodliwe uważał? Czyż się z tego przedstawienia nie pokazuje, że nie tylko miał odpowiednie środki, ale już ich był do tego celu użył w rozmiarach krzywdzących zarówno narodowość polską, niewiune dzieci w ich edukacji, jak Kościół katolicki? Byłóż tedy jeszcze potrzeba specjalnego prawa wyrwanego z całości, jaką ma przyszłość włożyć, aby zapobiedz temu, co się dalszym widokom politycznym rządu sprzeciwiało i co już przezeń gwałtem stłumionem zostało? Celem przeto rządu nie było i być nie mogło urojonym „nadużyciom“ sporadycznym koniec położyć, bo nawet urojonych już nie było. A pominąwszy nawet tę okoliczność, przypuściwszy, że rząd wierzył w rzeczywistość przezeń wymarzonych „nadużyć“ sporadycznych w niektórych okolicach kraju obszernego, czemuż zdoła usprawiedliwić rozciągnięcie tego prawa na całą monarchię, na okolice i prowincye, w których o polonizmie mowy być nie mogło? Wszyscy przeto czuli, wszyscy wiedzieli, że rząd godził nie w ten przedmiot, który za cel wystawiał, ale w Kościół katolicki, a w szczególności w podkopanie powagi i wpływu plebanów na lud i przygotowanie sobie generacji już mlekiem Kościoła niewykarmionej. Chodziło mu i chodzi głównie o potarganie wszelkich węzłów łączących Kościół z ludem i o danie nowego dowodu nieprzyjaciółom Kościoła, że na seryo występuje do boju przeciw niemu. Rozdrażnienie i gwałtowność, z jakimi się nad tym przedmiotem z natury swej niebudzącym namiętności, toczyły rozprawy, zdradzały widocznie tło daleko głębsze i intencye dalej sięgające, niż rzecz, o którą pozornie chodziło.

Aby wykazać jak najoczywiściej, że prawo to nie było istotną potrzebą wywołane, przedstawimy w krótkości stan prawny edukacji publicznej w Prusach w tych ramach, w jakich go konstytucya zakresliła. Artykuł jej 15 dziś już zniesiony stanowi: „Kościół ewangelicki i rzymsko-katolicki tudzież każde inne stowarzyszenie religijne zawiaduje i zarządza swemi sprawami samodzielnie i pozostaje w posiadaniu i używaniu swoich instytucyi, legatów i funduszków przeznaczonych na ich

nabożeństwo, szkoły i cele dobroczynne.“ Druga część przytoczonego artykułu zabezpiecza wyraźnie stowarzyszeniom religijnym nietylko legowany ich instytutom naukowym majątek, ale nadto ich dalszy byt, który i konstytucya zastała oraz dotychczasowe prestacye przez rząd im przyznane. Ostatnie t. j. rządowe dodatki nie płynęły nigdy dla instytutów katolickich z skarbu publicznego, ale spoczywały na specjalnych tytułach prawnych. Rząd zatem dawał to tylko, do czego był prawnie obowiązany i to nie w każdym jeszcze razie. Konstytucya tedy tym artykułem przyznaje, że w Prusach istnieją nietylko szkoły elementarne wyznaniowe, ale w ogóle szkoły tego rodzaju i że wyznania religijne mają swój własny na ten cel przeznaczony majątek. Niewątpliwe ma także w tej mierze znaczenie art. 14 tejże konstytucyi, który brzmi: „Wszelkie urządzenia państwa, które się w związku z praktykowaniem religii znajdują, mają, bez naruszania zaregczoney artykułem 12 wolności religii, spoczywać na podstawie religii chrześcijańskiej.“ Że zatem i szkoły dla chrześcijańskich przeznaczone dzieci należą do instytucyi państwa, które są w związku z praktykowaniem religii, nie ulegało wątpliwości. Nauka zaś sama zupełną miała wolność zabezpieczoną, której granice zakreśla art. 22. temi słowy: „Nauczać instytutu naukowe zakładać i niemi kierować, wolno każdemu, byle tylko swoje morale, umiejętności i techniczne uzdolnienie w obec zwierzchności państwa udowodnił.“ Przedmiotowo oceniając te słowa, nie zawierają na pozór nic niebezpiecznego dla wolności osobistej. Ale rząd mający tendencye ukryte, z którymi na jaw nie występuje, mógł to „moralne uzdolnienie“ rozciągnąć na wszystko, co mu się podobało lub niepodobało, i zabezpieczoną wolność zakładania instytutów naukowych prywatnych całkiem zniweczyć. Jakoż dla Polaków W. X. Poznańskiego artykułu tego prawie nie było wcale. Kto np. przy wyborach posłów na sejm głosował na Polaka lub innego kandydata rządowi niemiłego, nie miał „moralnego uzdatnienia“ do założenia szkoły, nauczania i t. d. Dodatek ten dla polskich przynajmniej mieszkańców Prus zniósł zupełnie wolność nauczania i uczenia się i ograniczył Polaków na „monopol“ rządowy. Zadaniem przeto przyszłego prawa edukacyjnego powinno było być, stawić w tej mierze skuteczną zapórę dowolności rządu i wziąć w obronę

zagrożoną wolność nauczania i uczenia się. Artykuł 23 przyznający rządowi prawo dozoru nad wszelkimi publicznymi i prywatnymi zakładami naukowymi i wychowawczymi, nie byłby niebezpiecznym w obec rządu sprawiedliwego, bo nie wyklucza ani wspólnego dozoru Kościoła ani prawa rodziców do takiego urządzenia szkoły, jakie ich sumieniu odpowiada. Ale w obec rządu, który wszystko pod swoją wszechmocną władzę zagarnąć usiłuje, wymagał i ten punkt ograniczenia dowolności jego. Co do szkół ludowych czyli elementarnych, o ile tylko można, uwzględniać stosunki wyznań religijnych: nauką religii w szkołach ludowych kierują odpowiednie stowarzyszenia religijne. Szkoły zatem ludowe czyli elementarne miały być z zasady wyznaniowe, co także jest jedynym ich pomysłem zadatkim. W co rząd w ostatnich szczególnie czasach ten artykuł zamienił, a w szczególności ostatni jego ustęp, niech posłuży za dowód ta okoliczność, że właśnie w chwili, kiedy to piszę trzech plebanów Szląskich pozwanych zostało przed kratki sądowe za to, że w godzinach poza szkolnych poważyli się dzieciom katolickim dawać naukę religii. Co sąd wyrzeczy, jeszcze nie wiadomo, ale co rząd robi, już pewno. Zapowiedziane przeto artykułem 26 prawo edukacyjne miało już pewne fundamenta tak w konstytucyi, jak w dotychczasowym doświadczeniu do zachowania tego, co się okazało praktycznem i pożytecznem, a uniknienia wadliwości, które czas wykazał. Była więc podstawa nie najgorsza do ułożenia praktycznego i zbawienego prawa edukacyjnego.

Lecz narysowane zasady konstytucyi, na których się prawo edukacyjne oprzeć było powinno, nie odpowiadały ani ulubionym teoryom, ani widokom i tendencyom liberałów czyli nihilistów. Bogiem tego rodzaju ludzi, jakeśmy to na wstępie wykazali, jest państwo i jego władza; wszelkie atrybuta, jakie chrześcianin przyznaje li tylko Bogu, dzierży ich „bóg obecny”; jak jest „źródłem wszelkiego prawa,” tak tem samem źródłem wszelkiej prawdy, nauki, jedynym panem szkoły; w jego imieniu wolno tylko nauczać i w jego tylko imieniu ogłaszaną naukę przyjmować czyli uczyć się. Czemże jest dogmat nieomylności Kościoła na przedmiot objawienia boskiego ściśle ograniczony w porównaniu z przywłaszczaną sobie nieomylnością „państwa absolutnego” rozciągającą się na wszystkie przed-

mioty wiedzy ludzkiej? Taki jest logiczny, a dziś już rzeczywisty wypadek rozpowszechnionych w Prusach i w Niemczech teorii o „państwie absolutnem“ zastosowanych na system szkół i edukacji. Edukacja publiczna to znaczy dziś edukacja w duchu panującego stronnictwa.

Nie tu jest miejsce do obszerniejszego roztrząśnienia tego przedmiotu, zaprzestać tu musimy na kilku tylko uwagach, które w związku z tem, cośmy dopiero powiedzieli wystarczy do ocenienia rzeczy, o której mowa. Jakie źródło ma monopol szkoły i przymus uczęszczania do niej, wykazaliśmy co dopiero. Takie umonopolizowanie nauczania i uczenia się czyli zniszczenie wolności w jednym i drugim kierunku jest najstraszliwszą niewolą, jakiej nawet świat pogański nie znał, najsroższem okrucieństwem, jakiego się człowiek na człowieku dopuszcza. Jest to ujarzmienie ducha, przykrępowanie wszystkich władz umysłu człowieka do jednej wyłącznej formy. Czem dla żołnierza mundur i pikelhauba, tem dla młodzieży, nawet dla dzieci ma być w Prusach szkoła. Wydać na świat żołnierza jest jej najwyższem zadaniem. Rodzice znaczne podatki płacą na szkoły, gwałtem muszą dzieci swoje do nich posyłać, aby je dać na pastwę niewiary i zepsucia. Szczególnie dotkliwym jest ten ucisk dla klas uboższych, które nie mają środków do wydobywania swych dzieci z szponów wszechwładnego państwa. Skarb wiary, który ubodzy rodzice dzieciom swoim w miejsce majątku i posagu dają, jest przez ten system na oczywistą narażony stratę. Tego rodzaju system szkolny niemniej narusza praw Kościoła, jak przyrodzonych praw rodzicielskich i rodziny. Dziecko, jak Danton powiedział, należy przedewszystkiem do państwa, nie do rodziców. Państwo zabiera tu i ciało i duszę jego. Czyż można systematyczniej uorganizować komunizm, jak go teraz rząd pruski organizuje w szkole? Jak mu się może skutecznie w innych kierunkach opierać, kiedy mu tak szeroko roztworzył wrota w systemie szkolnym? System ten był wprawdzie w głównych zarysach od dawna w Prusach, ale jego zasadniczy fałsz łagodziły jakośkolwiek względy na rzeczywiste potrzeby przekonań religijnych i narodowych, i dla tego był znośniejszym. Ale teraz, kiedy wszystkie prawa przyrodzone, historyczne, boskie i ludzkie mają być zniwelowane dla bałwana narodowości niemieckiej, dla „państwa absolutnego,“ pokazują się

dopiero skutki tej z wielu miar zapoznanej zasady fałszywej „monopolu i przymusu szkolnego.“ Głębsze i przenikliwsze umysły od dawna się tej zasadzie sprzeciwiały, chociaż z umiarkowaniem i względnością była wykonywana. Wogóle jednak użyli się w to ludzie i przywykli jak woły do tego jarzma tak, iż ledwo dziś, kiedy nihiliści przyszli do steru i nie już teoretyczne, ale praktyczne z tej fałszywej zasady wywodzą konsekwencye, zaczynają tu i owdzie się przekonywać, że ten wielbiony monopol i przymus szkolny mieści w sobie nader groźne niebezpieczeństwa.

Otóż stronnictwo nihilistyczne, bo w istocie na nazwę liberalnego nie zasługuje, od dawna czychało na chwilę pogodną, aby na tem polu, które im prawodawstwo pruskie było przygotowało, swoje niwelacyjne zasady przeprowadzić i przygotować sobie generacją antichrześcijańską. Już w r. 1863, kiedy się w Izbie poselskiej czuło w większości, wywierało nacisk na rząd o przedłożenie prawa edukacyjnego. Samo nawet robiło już wtenczas projekta zawierające przepisy usuwające duchowieństwo od inspekcji nad szkołami elementarnymi. Lecz wtenczas jeszcze się rząd nie był zidentyfikował z nihilistami i utrzymał dawny stan rzeczy, a później konflikt zajął wszystkie umysły i pochłonał czynności sejmu, nie było więc czasu do tego.

Lecz w roku 1872, kiedy się cele rządu zbiegły zupełnie z celami nihilistów, pożądana pora do urzeczywistnienia ulubionych teorii nadeszła. Przedłożenie ogólnego prawa edukacyjnego było w czasie rozpoczętej z Kościołem wojny, która wszystkie siły rządu wyczerpywała, niepodobnem, a dla celu, który rząd osiągnąć zamierzał, także niepotrzebnem. Wyrzuceniem bowiem Kościoła ze szkoły przesądził odrazu pryncypalną zasadę przyszłego prawa zdobył absolutny monopol i przymus szkolny, ograniczył wpływ Kościoła na lud i stał się panem nieograniczonym udzielania i pobierania nauki. Reszta i tak, jakżeśmy z zastosowania artykułów konstytucyi widzieli, była już w jego ręku. Żaden bowiem prywatny zakład naukowy nie może się inaczej utrzymać, chyba w tym samym zakresie rządowym.

Ta kwestya szkolna w tak tendencyjny i szataputny sposób przez rząd przesądzona będzie go jeszcze, jakikolwiek obe-

cne prześladowanie Kościoła obrót weźmie, długo wewnątrz niepokoić. Ta bezwzględność bowiem, z jaką rząd monopol szkoły i przymus zastósował, otworzyła wielu, którzy tych konsekwencji nie przewidywali, oczy na fałszywość pryncypalnej zasady. Z tej przyczyny liczyć można na pewno, że ta gwałtowność rządu, z jaką się na ten przedmiot rzucił i na różne wyznania i narodowości zastosował, ten ucisk sumienia i praw przyrodzonych człowieka, jakim ta zasada tłoczy katolików, Polaków i inne narodowości, to zdeptanie wszelkich praw ludzkich i boskich wywołać musi reakcją, która wstrząśnie podstawy dotychczasowego prawodawstwa pruskiego w przedmiocie edukacji publicznej. Katolicy już w znacznej bardzo większości wyrobione mają w tej mierze przekonania. Odniesione w tej mierze zwycięstwo we Francyi na rzecz wolności jest dla nich przykładem i wzorem. Agitacya rozpoczęła się już w tej materii na wielkie rozmiary, a przybierze niewątpliwie obszerniejsze, bo się przelewa w najniższe warstwy ludu. W czym duchowni nie zdołali ludu oświecić dostatecznie przy zamkniętych ustach, co mu trudno było wyjaśnić mowami mianami na zgromadzeniach katolickich, tego dokazał rząd sam w sposób praktyczny i tak oczywisty, iż najprostszy rozum pojąć rzecz może. Nowo bowiem zamianowani inspektorowie szkół z szeregów nihilistów dobrani najwyraźniej i najskuteczniej lud w tej materii pouczają. Jedni zakazują dzieciom używać zwyczajnego pomiędzy katolikami pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,“ drudzy powyrzucali ze szkoły krzyż i obrazy przedstawiające Świętych pańskich i sceny z historii świętej, a na ich miejsce pozawieszali obrazy cesarza i cesarzowej, inni znowu przekonywali dzieci, że historia święta, którą sobie zaprzatają pamięć, nie jest prawdą, ale bajką, inni jeszcze zadawali piśmienne wypracowania dziewczętom tej treści: „jakie uczucia przejmują serce panienki na widok oficera od huzarów?“ i t. d. Takie nauki były i są skuteczniejsze od wszystkich wykładów kaznodziejskich. Jakąż goryczą muszą być zaprawione serca rodziców, jeśli takich nauczycieli i inspektorów krwawo zapracowanym groszem muszą opłacać i pod ciężkimi karami zniewoleni są do takiej szkoły dzieci swoje posyłać? Bolesć ta tem dotkliwsza, tem bardziej dokucająca, że przedtem dozór nad szkołą nie nie kosztował, a

spoczywał w rękę osób, które były w stanie ich sumienia zaspokoić. Rząd na wsparcie szczególnie gmin katolickich przy zakładaniu szkółek elementarnych nie miał grosza w skarbie tak, iż gminy ubogie często przez dwadzieścia lat musiały się składać, nim sobie szkołę wybudować zdołały, a teraz dla urzeczywistnienia swoich teorii przewrotnych w celu wykorzenienia wiary z dusz niewinnych dzieci wyrzuca krocie na opłatę nowych inspektorów szkoły. Ten oplakany i już urzeczywistniony stan rzeczy nadaje rozpoczętej już w tej materii agitacji przez stowarzyszenie katolików Niemców zawiazane w Moguncyi siłę i zapowiada niewątpliwe powodzenie. Rezolucye w tej mierze powzięte przez walne zgromadzenie odbyte w Sierpniu r. z. w Moguncyi znalazły odgłos w wszystkich katolickich prowincjach Prus. W Monasterze, Kolonii, Geldern, w W. X. Poznańskiem w kilku miejscach przyjęły niezwykle licznie zebrane zgromadzenia katolików te same rezolucye. Jest to wprawdzie dopiero początek, ale dobry i znakomity.

Piąty, najwალniejszy cios przygotowywaczy do całej kampanii wymierzony został w parlamencie niemieckim przeciw *Jezuitom* przedewszystkiem, a poza nimi przeciw Kościołowi. Rozpoczął się w połowie Maja 1872 r. a dokonany został w drugiej połowie Czerwca tegoż roku. Rząd się spieszył, bo chciał kuć żelazo, dopóki szaleń germanomanii było jeszcze rozpalone. W obec żaru i rozburzonych fal namiętności, jakeimi parlament niemiecki się miotał w rozprawach nad tym przedmiotem, gaśnie i maleje wszystko, co zaszło przy sprawie biskupa Warmińskiego, prawie Lutza i dozoru nad szkołami. Rząd widocznie z wyrafinowaniem wyszukał sobie ofiarę, którą rzucając rozhukanej tłuszczy na pastwę, wszystkimi pociskami na nią miotanemi tak kierował, aby z nią razem dotkliwiej jeszcze raniły Kościół. Jak w prawie ograniczającym ambone zrzekł się rząd pruski pozornie zaszczytu inicjatywy, tak i w tej sprawie stanął za kulisami. Im sprawa haniebniejsza i ohydniejsza, tem się troskliwiej maskował, aby wszelką nie-nawiść i sromotę pozostawić innym, a czyste tylko zbierać korzyści. Był to plan ukartowany i role każdemu rozdane i materiały palny przygotowany. Chodziło tylko o to, kto ma pierwszy podłożyć ogień. A rząd party niby koniecznością i naciskiem woli narodu niemieckiego, czyni jej zadość i niby uśmie-

rza wzburzone przez siebie umysły. Początek tej akcji jest następujący.

Spisek Monachijskich profesorów, o którym już wyżej była mowa, niewątpliwie na skinienie z Berlina dał pierwszy hasło do podniesienia tej wrzawy. Kongres „Starokatolików“ obradujący od 22—24 Września 1871 r. w Monachium cisnął pierwszy jawnie kamieniem na Jezuitów w swoim programie art. VI w te słowa:

„Ponieważ jawną jest rzeczą, że tak nazwane „Towarzystwo Jezusowe“ sprawcą jest obecnego, nieszczęsnego rozdwojenia w Kościele katolickim; ponieważ ten zakon potężnego swego wpływu na ten cel używa, aby w hierarchii, duchowieństwie i ludzie szerzyć i żywić tendencje nieprzyjemne cywilizacji, niebezpieczne dla państwa i antynarodowe; ponieważ wykląda fałszywą i moralność podkopującą naukę i znaczenie jej zdobywa; przeto wypowiadamy przekonanie, że pokój i szczęście, zgoda w Kościele i dobry stosunek pomiędzy nim, a świeckim społeczeństwem wtenczas tylko jest podobnym, jeżeli się ze wszech miar szkodliwemu działaniu tego zakonu koniec położy.“

Ile słów, tyle kłamstw w tem oskarżeniu żadnymi dowodami nie popartem. Za niem sypnęły się na komendę odezwy przeciw Jezuitom. Tylko ten, kto sobie zakrył oczy i zatkał uszy, nie wiedział, że niewidzialna jakaś ręka kieruje tą agitacją. Ten głos z Monachium odezwał się w końcu Września, a już na początku Października występuje z groźniejszą jeszcze odezwą „zjazd Protestantów“ w Darmstadt, który 4 i 5 Października obradował. Zjazd protestantów (Protestantentag) jest to zgromadzenie członków lewicy protestanckiej czyli nihilistów protestanckich, których zadaniem wywrócić wszelkie podstawy dane chrześcijańskie wyznań protestanckich. Rezolucya II składająca się z 8 punktów wymierzona jest przeciw Jezuitom. Jest to obszerniejsza parafraza tego, co już powiedzieli „Starokatolicy“ mieszająca z dogmatem nieomylności Encyklikę z 8 Grudnia 1864 i Syllabus. W jakim duchu i na jakie rozmiary agitacja ta była zakrojona, dowodzi tego najoczywistej pismo zarządu tego zgromadzenia rozesłane do pojedynczych członków stowarzyszenia wraz z rezolucją i mową w tej ma-

teryi mianą z wezwaniem, aby uchwały zjazdu Darmstadzkiego „przeciw Jezuitom“ w niezliczonych exemplarzach odrukowane rozrzucali pomiędzy wszystkie warstwy ludu, rozjątrzali „przeciw Jezuitom Kościoła rzymsko-katolickiego i protestanckiego“ opinią publiczną i w pracy tej nie ustawiali, dopóki nie wymogą na rządzie wydalenia z całych Niemiec tego i spokrewnionych z nim zakonów. Zgromadzeniu temu przewodniczył profesor Dr Bluntschli, brat niegdyś łoży Zurychskiej „Modestia,“ a obecnie wielki mistrz łoży „pod słońcem“ w Baurath. Że zatem w tej agitacji łoże masońskie żywy brały udział, nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Za nimi trop w trop poszli „Starokotolicy“ z Wiesbaden pod dniem 31 Października 1871, a z Kolonii i Bonn pod dniem 6go Listopada tegoż roku. Wszystkie te odezwy jednym tchną duchem nienawiści, do jednego zmierzają celu t. j. do wydalenia z Niemiec Jezuitów i spokrewnionych z nimi zakonów, wszystkie ich obwiniają o to, że oni byli sprawcami dogmatu nieomyślności papieża, że tym sposobem zaburzyli Kościół katolicki, potargali jego dotychczasowy stosunek do państwa, naruszyli pokój pomiędzy katolikami i protestantami i t. d. i t. d. Jedne namiętniej i gwałtowniej, drugie mniej namiętnie, ale wszystkie tę samą zanuciły piosnkę tak, że jednolity kierunek w tej agitacji był namacalny. Pisma wszystkie bez wyjątku na całej linii urzędowej i półurzędowej odezwały się tym samym tonem i wiernie instrukcyi Bluntschlego się trzymając, rozpuściły cugle wybuchom namiętnej zaciętości przeciw Jezuitom, a w gruncie przeciw Kościołowi katolickiemu.

Katolicy pouczeni już doświadczeniem i dotychczasowymi manewrami rządu niemieckiego, poznali odrazu, co ta burza znaczy i powstali w obronie Jezuitów jednomyślnie na wszystkich krańcach Niemiec. Ojciec ś. już poprzednio w celu objaśnienia wiernych o złośliwie rozsiewanych fałszywych twierdzeniach nieprzyjaciół Kościoła, jakoby Jezuiti zupełnie Jego opanowali osobę i nią rządzili, a następnie spowodowali go do ogłoszenia dogmatu nieomyślności, wydał pod dniem 2 Marca 1871 do kardynała wikarego Patrizzego osobne brewe, w którym Jezuitom jak najpiękniejsze daje świadectwo i zarzuty Jego dotyczące osoby stanowczo odpięra. Skoro tylko odezwa zjazdu Protestantów“ wyszła na widok publiczny, podnieśli

także głos za Jezuitami biskupi niemieccy zbijając krzywdzące ten zakon zarzuty i dając ich nauce gruntownej w teologii, nieposzlakowanym obyczajom i gorliwej w kościele pracy jak najchlubniejsze świadectwa. Już dnia 17 Października wystąpił biskup Limburski z takim oświadczeniem, dnia 23 Października biskup Paderbornski, 26 t. m. arcybiskup Bamberski, 31 Października arcybiskup Monachijsko-Trysyngski, 28 Października biskup Augsburski i Eichstaedski. W tymże samym miesiącu ogłosili swoje oświadczenie zbiorowo arcybiskupi i biskupi całych Prus. Z pomiędzy tych rozlicznych oświadczeń całego episkopatu, którego zdanie w rzeczach, o które chodzi, niewątpliwie jest najkompetentniejsze, przytaczam jedno najkrótsze, które ogłosili arcybiskupi i biskupi Prus:

„Wobec zniewag i napaści bez miary, jakie zgromadzenie tak nazwanych „katolików protestanckich“ w Monachium i zjazd członków stowarzyszenia Protestantów w Darmstadt, a za nimi cała nieprzyjazna Kościołowi katolickiemu prasa na wszystkich niemal punktach przeciw Jezuitom z wielkim rozgłosem podniosły, poczuwając się podpisami arcybiskupi i biskupi, którzy w dyecezyach swoich patrzeli na życie i działanie Jezuitów, w interesie prawdy i sprawiedliwości do złożenia niniejszego świadectwa, że te zniewagi, oskarżenia i napaści najmniejszej nie mają podstawy; przeciwnie, że członków Towarzystwa Jezusowego prawdziwie moralne i chrześcijańskie życie zaleca, a w szczególności, że kapłani jego odznaczają się gruntownymi wiadomościami i zdrowymi zasadami w naukach teologicznych, jak niemniej gorliwą i w błogie owoce obfitą pracą, w zawodzie pasterskim, o ile ich biskupi pod swoim przewodnictwem do pomocy w tym kierunku wezwali. Za osobliwą zasługę musimy Jezuitom poczytać, że pasterzowanie ich w pośród robotników fabrycznych nader błogie przyniosło owoce, a mianowicie, że w okolicach, w których pracowali; umieli robotników od socyalnych, demokratycznych i kommunistycznych obłąkań zachować. Tudzież zaświadczamy, że Jezuici zgodnem z prawami i wiernem zachowaniem się tak względem powag cywilnych jak kościelnych dobrym przykładem przewodniczyli wiernym i w obu kierunkach

słusznego nabyli prawa do pochwały, a w żadnym razie nie zasłużyli sobie na podnoszone przeciw nim oskarżenia i obwinienia. Nareszcie nadmieniamy, że osobliwie w ostatnich wojnach tak kapłani jak świeccy bracia Towarzystwa Jezusowego w skorem niesieniu pomocy duchownej i pielęgowaniu rannych i chorych żołnierzy niepospolite zjednali sobie zasługi w obec kraju i Kościoła. Takie dajemy świadectwo, Towarzystwu Jezusowemu uznanemu za dobre przez Kościół, a spotwarzanemu i prześladowanemu przez jego nieprzyjaciół.“

W Październiku 1871 roku Podpisani:

Mieczysław, Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański. Paweł, Arcybiskup Koloński. Henryk, książę biskup Wrocławski. Piotr Józef, biskup Limburgski. Konrad, biskup Paderbornski. Maciej, biskup Trewirski. Jan Bernard, biskup Monasterski.

Wkrótce potem ogłosili swoje oświadczenia w tym samym duchu, administrator archidiecezyi Frejburgskiej, biskup Fuldajski i Moguncki, a zatem cały episkopat Niemiec i Prus.

Za przykładem biskupów ruszyło się duchowieństwo i katolicy z adresami i petycyami do parlamentu niemieckiego za Jezuitami. Miasta, korporacye, stowarzyszenia, zgromadzenia ludowe, szlachta, wszystko, co tylko jeszcze było katolickiem, podniosło głos swój za Jezuitami. Przeciw tym kilku petycyom „katolików protestanckich“ i nihilistów o wypędzenie Jezuitów, wniesiono do parlamentu przeszło 2000 petycyi z przeszło 200000 podpisami. Mniejsza tu jeszcze o ilość petycyi, ważniejsza daleko kwestya o to, czyje świadectwa podług wszelkich zasad rozsądku na większą zasługują wiarę. Możesz profesor Bluntschli i jego towarzysze, z których nie jeden pewno w życiu swoim Jezuitę nie widział nawet, złożyć kompetentne świadectwo o moralnem usposobieniu, życiu, nauce i duchownej pracy Jezuitów? Sąż w stanie osoby, które od młodości straszono Jezuitami jak dzieci kominiarzami, chociażby im na dobrej nie zbywało woli, wydać prawdziwe i słuszne świadectwo o zakonie Jezuitów, a w szczególności o ich działaniu w ostatnich czasach w Niemczech? Czyż z samego położenia rzeczy nie wynika oczywiście, że w tej mierze bez porównania wyższą powinny mieć wartość świadectwa biskupów, pod których duchowną opieką żyli i pracowali, świa-

dectwa duchownych, którzy wspólnie z nimi „ciężar i upał dnia całego“ znosili, pod ich przewodnictwem ćwiczenia duchowne odprawiali, świadectwa wiernych nareszcie, którzy ich nauk słuchali, u nich się spowiadali i z rąk ich Sakramenta śś. przyjmowali? Ostatni dawali świadectwo o tem, co sami znali, na co własnymi oczyma patrzeli i na własne uszy słyszeli, o ludziach, z którymi żyli i przedstawali. Pierwsi zaś nie mając żadnej znajomości rzeczy ani osób, odgrzewali dawne po tysiąc razy gruntownie zbite i odparte zarzuty i oskarżenia bez dowodów, bez pokuszenia się nawet o dowody i na mocy czczych i urojonych twierdzeń śmia w imię wolności i cywilizacyi dopominać się pozbawienia wolności osobistej, praw nawet przyrodzonych i konstytucją zabezpieczonych swoich współbraci i współobywateli. Zaiste fanatyzm racjonalizmu, materjalizmu i nihilizmu nie ustępuje w niczem pierwszeństwa najzjadliwшему sekciarstwu religijnemu. W cóż się tu wobec Jezuitów zamieniła owa wszechwładna potęga „umiejętności niemieckiej“, w obec której obskurantyzm Kościoła katolickiego, a tem więcej Jezuitów jak ciemność przed światłością zniknąć musi? Czemuż się ten potężny duch niemiecki boi Jezuityzmu i jego ciemności? Czemu nie walczy z uim bronią „umiejętności“, a nie przemocą i gwałtem? Śmiesznem istotnie jest to nieustanne odkazywanie się i nadymanie tego ducha niemieckiego w obec Jezuitów. Tej sprzeczności, w jaką ich namiętność koteryjna uwikłała, nie uszli nawet w swoich petycyach do parlamentu. „Katolicy protestancy“ z Kolonii i Bonni powiadają w swym wniosku wyżej wzmiankowanym pomiędzy innemi: „Ta jedna tylko myśl zaspakajała patryotę, że cesarstwo niemieckie z swojemi urządzeniami Kościoła i szkół, z zdrowym zmysłem ludu niemieckiego, niepotrzebuje się lękać tej zagranicznej, romanjskiej nauki. Lecz, niestety, i ten środek zaspokojenia zawiódł nas. Gdyż nigdzie ta doktryna tak wiernego nie znalazła odgłosu, jak na ziemi niemieckiej.“

Jakkolwiek świadectwo Ojca św. biskupów i katolików w ogóle jest ponad wszelką wątpliwość wyniesione, to jednak uprzedzenie może mu ten zrobić zarzut, że broniąc Jezuitów w własnym to czynią interesie. Na szczęście okoliczności już dawno tak zrzędziły, że wywołały dla Jezuitów z strony ich nieprzyjaciół świadectwo od tego podejrzenia zupełnie wolne.

W roku 1853 przyszła sprawa Jezuitów, a w szczególności missyi przez nich odprawianych, w skutek niektórych zażaleń na policyą utrudzającą swemi rozporządzeniami porządek missyi, pod obrady Izby poselskiej sejmu pruskiego. Referentem kommissyi do tego przedmiotu wyznaczonej był ówczesny poseł Gerlach, który o sprawie tej powiada: „Pozwólcie mi, Panowie, przytoczyć jeszcze niektóre materyały i to ipsissima verba. Materyał ten różni się od wszystkiego tego, com dotąd przytoczył, tem, że się odnosi *do ostatniego czasu, bezpośrednio naszego dotyka przedmiotu*. Dozwolono mi, poinformować się z urzędowych sprawozdań, mianowicie z prowincyi nadreńskich o missyach odprawianych przez Jezuitów; te sprawozdania są, o ile mi wiadomo, wyłącznie przez protestantów, a z pewnością po największej części przez protestantów spisane, a nie wątpię, że sprawozdania o missyach Jezuickich na Szląsku, których nie mogłem do rąk moich dostać, w rzeczy zgadzają się z wymienionemi. Słuchajcie dosłownego ich brzmienia:

„„Od proselityzmu i wzniecania niepokoju pomiędzy wyznaniami dalekimi byli Jezuici. Z tego powodu doznały ich prace rozlicznego uznania także ze strony protestantów. Tylko demokracja sroży się na nich, gdyż Jezuici występują wszędzie jako apostołowie zasady powagi tak w rzeczach Kościoła jak społeczeństwa świeckiego i z socyalistycznych mrzonek, któremi demokracja egoizm mas ludzi i uwodzi, zdziera maskę i siecze je nielitościwie. Zwolennicy demokracji zowią ich przekupionymi agentami rządu i grożą im pamfletami. Indiferentyści, których noga od 20 lat w świątyni Pańskiej nie stała, musieli ze wstydem wyznać, że ich w sposób przekonywujący siła wiary takiej głębokości i mocy uderzyła, iżby nigdy nie byli przypuszczali, aby w tym czasie była podobną. Landraci nie mogą zadosyć nachwalić jednogłośnie, jak zbawienne są praktyczne skutki ich missyi, które są widoczne nie tylko w zewnętrznych objawach obyczajności i prawności, w unikaniu przemycania, wykroczeń policyjnych, pijaństwa, nocnych tańców i t. p. ale niemniej i na wewnątrz przez obudzenie ducha

chrześcijańskiej skromności i miłości pomiędzy małżonkami, rodzicami i dziećmi, państwem i służbą, tudzież w stosunkach domowych, familijnych i gminnych.“

„Te sprawozdania, których przedmiotem są czysto kościelne, duchowne sprawy, nosząc na sobie suche, urzędowe piętno wprawdzie, jak inaczej być nie może, ale każą się jednak domyślać, jakie tajemnice sumienia, jakie cuda łaski ukrywają się pod temi zewnętrznymi skutkami. Nie wiem, Panowie, czy słysząc to, macie uczucie, iż jesteśmy zadosyć bogaci, aby się tego rodzaju wpływów wyrzekać. Nie wiem, czy mniemanie, że lud nasz posiada tak wielki skarb skromności i obyczajności, a rozumiem tu nietylko niższe, ale i wyższe stany. Nie wiem, czy macie to przekonanie, że nam się godzi takie dobrodziejstwa od nas odpychać. Gdy spojrzę na ojczyznę naszą pogrążoną w grzechach i niedowiarstwie, to się nie czuję bogatym; ale ubogim; ubogim, gdy rzucę okiem na tę Izbę, a najuboższym, gdy na siebie samego.“

Nie do tych słów, które ten zacny protestant wypowiedział, przywiązujemy tak wielką wagę, jak raczej do świadectwa, które wystawili pruscy landraci Jezuitom. To jest bowiem świadectwo ich zasadniczych nieprzyjaciół, którzy na sumienie wezwani, musieli chcąc nie chcąc oddać cześć prawdzie. Te okoliczności zamieniły prześladowanie i wypędzenie Jezuitów z Niemiec w najwyższy dla nich tryumf. Bo o tem, co dla chwały imienia pańskiego czynili, niktby nie był wiedział, wzorowego prowadzenia się członków Towarzystwa niktby nie był znał, gdyby właśnie nieprzyjaciele ich nie byli tego po całym świecie roznieśli.

Oto materyał, który dnia 15 i 16 Maja parlamentowi niemieckiemu pod obrady przedłożony został. Gdyby nie było ukrytych zamiarów od dawna już powziętych i planów przez rząd z większością parlamentu naprzód już ułożonych, byłoby rzeczą podobną, aby zgromadzenie tylu ludzi zapomniało nawet o szacunku sobie winnym i na mocy tego materyału wymagało od rządu wyjęcia z pod opieki prawa i wypędzenia współobywateli z kraju, którzy takie za sobą mieli świadectwo?

W jakim duchu zawziętości i stronnictwa toczyły się rozprawy nad temi petycyami przeciw i za Jezuitami najwy-

mowniejszym dowodem jest ta okoliczność, iż z pomiędzy dziwięciu mówców, którzy w tej materji głos zajmowali, dwóch tylko przemawiających za Jezuitami przypuszczono do głosu, Reichenspergera i Moufanga. Przekroczylibyśmy o wiele granice tego pisma, gdybyśmy te dwudniowe rozprawy parlamentarne chociaż tylko pobieżnie przedstawić chcieli. Dość na tem, że były nadzwyczaj gwałtowne i namiętne. Wszyscy przeciwnicy krzyczeli niby na Jezuitów, a na myśli mieli Kościół i w niego godzili tak, iż jeden z nich (Windhorst z Berlina, nie stryj jego z Meppen) w zapale swoim szalonym posunął się aż do tego stopnia, iż powtórzył pamiętne francuskich nieprzyjaciół Kościoła straszliwe słowa: „Nie masz innego środka: Écrasez l'Infame.“ Argumenta były te same, co w petycyach: „że Jezuiści są! niebezpieczni dla państwa, niebezpieczni dla cesarstwa, niebezpieczni dla cywilizacji, jednym słowem, że są ze wszech miar niebezpieczni i szkodliwi (gemeinschädlich“). Naturalnem tych twierdzeń następstwem, że ich trzeba wytepić i wyniszczyć podobaie, jak szkodliwe gady i owady. Zapytać się było o fakta, o dowody na te twierdzenia, odpowiadano tak, jak Bismarck w podobnym przypadku Windhorstowi (Meppen): Przecież to jest rzeczą notoryczną! Cóż znaczy ta notoryczność? Oto, że jeden za drugim to samo powtarza, jedna gazeta najemna za drugą to samo na komendę pisze — że Jezuiści są sprawcami wszystkiego złego, oni są autorami Encykliki z 8 Grudnia 1864, oni dekretów Watykańskich — oni w spisku z cesarzową Eugenią pochodnię wojny 1870 zapalili, oni przygotowują nową wojnę, aby się nią Francja mogła pomścić na Niemcach za doznane porażki i upokorzenia, oni nienawidzą Prus, cesarstwa niemieckiego, kanclerza — „potrzebnyż dowód na to, że słońce świeci? Pocóż dowodzić tego, o czem wszystkie piszą gazety? Oto była najcięższego kalibru broń przeciw Jezuitom i Kościołowi wytoczona. Przy tej okoliczności mieszano wszystkie kwestye poruszające w tym kierunku umysły, jak zupełne rozłączenie Kościoła od państwa, cywilne małżeństwa i t. p. Żaden z ministrów nie był na tych rozprawach obecnym. Wagener zaś przemawiał tylko w charakterze deputowanego, chociaż ścisłe jego stosunki z kanclerzem nie zostawiały najmniejszej wątpliwości o usposobieniu rządu, gdyż każdy wiedział, z jakiego źródła ta cała agitacja

czepała swoje natchnienie. P. Wagener starał się odróżnić od tych, którzy „krzyczą Jezuici, a na myśli mają Kościół, ale mu się ta sztuka nie powiodła. Mówił niby ze stanowiska rozumu stanu, że „rząd znajduje się „w położeniu koniecznej obrony przeciw napaści hierarchii kościelnej“ którą opanowały zasady Jezuityzmu. Najgłówniejszym przedmiotem jego mowy był Syllabus, którego zdania nie tylko przekręcał, w najnieprawdziwszej przedstawiał myśli, ale nawet w całym znaczeniu tego wyrazu przytaczane miejsca fałszował, których większa część słuchaczy nie znała, a tem mniej sprawdzić była zdolną. A zresztą jakież związek Syllabusa z rzeczą? Syllabus już od roku 1864 istniał i dobrych stosunków pomiędzy Rzymem i Berlinem niczem nie zakłócił, żadnego niebezpieczeństwa Prusom nie zgotował, owszem od czasu jego exystencji do najwyższej przyszły potęgi. Jakimże sposobem stał się na raz tak szkodliwym? Ogólniki i twierdzenia żadnymi dowodami niepoparte niezdolały dać odpowiedzi dostatecznej na te pytania, ale burzyły umysły i prowadziły do zamierzonego celu. Lecz, jeśli podobna, więcej jeszcze „umiejętność niemiecka“ na szwank naraziła swoją reputacją w osobie profesora Gneista, aniżeli rząd w osobie Wagenera. Ten sam człowiek, który przed dziewięciu laty z całym zasobem swej nauki i z całą potęgą wymowy bronił konstytucyi w czasie konfliktu, teraz na skinienie palca z góry targa się na nią, gdy chodzi o uszanowanie przyznanych i przez 24 lat uznawanych i wykonywanych praw Kościoła. Widzieć reprezentanta „umiejętności niemieckiej,“ jak się sili najwyszukańszymi sofizmami wbrew oczywistej sprzeciwiać się prawdzie, jest smutnem nader zjawiskiem. Artykuły bowiem konstytucyi 15, 16, 18 i 30 najoczywiściej dowodzą, że wszelkie stowarzyszenia czyli assocyacje religijne czyli zakony miały za sobą opiekę prawa, chociaż nie używały praw korporacyi. Gdyby to prawo nie było uzasadnionem w konstytucyi, byłaby rząd pruski przez 24 lat zakony, a mianowicie Jezuitów w kraju ścierpiał? Ten fakt sam wystarcza na dowód, że exystencja zakonów na fundamencie prawa o assocyacji i niepodległości Kościoła była konstytucyą zabezpieczona. W czasie rozpraw nad tym przedmiotem w Izbie poselskiej przy rewizyi konstytucyi odzywały się ze wszystkich stronnictw głosy, że temi artykułami zabezpieczone jest prawo

zakonów, a w szczególności Jezuitów. W uczuciu napuszonej „umiejętności niemieckiej“ powiedział już wtenczas jeden członek liberalnego stronnictwa (Wachles) w tej myśli: „Państwo pruskie i intelligencya jego mieszkańców może z zupełnym spokojem wyczekiwać, czy Jezuici znajdą u nich obiecujące dla siebie pole działania.“ Odmówienie przeto prawa exystencji zakonom, a w szczególności Jezuitom w Prusach, było oczywiście pogwałceniem zaprzysiężonej konstytucyi.

Z drugiej strony tak radzie związkowej, jak parlamentowi niemieckiemu zbywało zupełnie na kompetencyi do powzięcia stanowczych w tym względzie uchwał. Wszystkie bowiem kwestye odnoszące się do stosunku Kościoła do rządów pozostawiła konstytucya niemiecka każdemu państwu zosobna. Wniosek Reichenspergera o umieszczenie w konstytucyi niemieckiej art. 12, 15, 27—30 konstytucyi pruskiej zabezpieczających wolność stowarzyszeń religijnych, odrzucił parlament niemiecki po długich rozprawach w dniach 1, 3 i 4 Kwietnia 1871 roku prowadzonych głównie i jedynie z powodu, że parlament niemiecki nie ma do tego kompetencyi, gdyż stosunki te powinno każde państwo samo sobie uregulować. Chociaż deputowany Reichensperger najoczywistszemi dowodami wykazał, że rezolucya, jaką parlament uchwalić zamierza, wykonaną być nie może bez pogwałcenia fundamentalnych praw konstytucyą pruską zabezpieczonych, że żaden z członków parlamentu niemieckiego, który zaprzysiągł konstytucyą pruską, nie może bez zgwałcenia tej przysięgi za tą rezolucyą głosować, że nareszcie władzy centralnej cesarskiej nie dostaje kompetencyi do regulowania tego rodzaju stosunków, nic to jednak nie pomogło, namiętności i plany od dawna już przygotowane wzięły górę nad rozumem i prawem i następujące rezolucye 205 przeciw 84 głosami przyjęte i uchwalone zostały: „Petycye wszystkie w tej materyi nadesłane do parlamentu przekazać kanclerzowi z wezwaniem:

- 1) aby się starał o zaprowadzanie w granicach cesarstwa takiego stanu prawa publicznego, któryby dostatecznie zabezpieczał pokój religijny, równe uprawnienie wyznań i opiekę obywatelom kraju przeciw przemocy duchownej ukracającej ich prawa:

- 2) w szczególności aby parlamentowi przedłożył projekt do prawa, któreby na mocy wstępu i artykułu 4. N. 13 i 16 konstytucyi wydanej dla cesarstwa regulowało prawne stanowisko religijnych zakonów, kongregacyi i stowarzyszeń, kwestyą, czy i warunki, pod jakimi mogą być przypuszczone do kraju, oraz ich działanie, a mianowicie „Towarzystwa Jezusowego“ grożące niebezpieczeństwem cesarstwu karami obłożyło.“

Od czasów, kiedy słuźebnik najwyższego kapłana „dał policzek Jezusowi“ rzadkie są w dziejach ludzkości chwile tak straszliwych obłąkań, w którychby najoczywistszą prawdę sromotniej policzkowano, niż w tym parlamencie, który się stał słuźebnikiem „najwyższego kapłana narodowego.“ To jest wypadek dwudniowych rozpraw najzaciętszych. Chociaż w ciągu tej dwudniowej dyskusyi ciągle robiono wycieczki i na „protestanckich Jezuitów“, pod którymi rozumiano protestantów wierzących jeszcze w Boga, a mianowicie w bóstwo Chrystusa, chociaż lżono i poniewierano wszystkie nieomal artykuły wiary chrześcijańskiej, ani jeden jednak protestant, lubo ich kilku było w parlamencie, nie otworzył ust w obronie Chrystyanizmu. Sami tylko katolicy szturm ten wytrzymać musieli.

Rząd, który prócz Wagenera żadnego w rozprawach nie miał udziału, a nawet reprezentowany nie był, miał wolne ręce i mógł z tej luźnie sformułowanej rezolucyi, jak garncarz z gliny, zrobić, co mu się podobało albo ją do koszyka wrzucić. Lecz machina, którą nakręcił, szła już sama tak gwałtownie, iż mu to miłe i pożądane zgotowało położenie, jakoby był przez nią party, ulegał woli narodu i jeszcze do umiarkowania zachęcał. Czem jednak w rzeczy samej było to umiarkowanie, dowodził tego najwidoczniej pośpiech, z jakim życzeniu parlamentu zadość czynił.

Już bowiem w dniu 14 Czerwca, kilka dni przed zakończeniem sessyi parlamentarnej radzca tajny Dr Friedeberg wniósł projekt do prawa „o ograniczaniu prawa pobytu Jezuitów w obrębie cesarstwa.“ Tytuł projektu mówił tylko o Jezuitach, a treść jego i o „pokrewnych z Jezuitami zakonach i kongregacyach.“ W przemowie swojej mówi niby o umiarkowaniu i zajmuje wypowiedziane już w poprzedniej dyskusyi

stanowisko Wagenera; że „rząd znajduje się w stanie koniecznej obrony własnej.“ „Zdanie parlamentu, że Jezuici są niebezpieczni dla cesarstwa, podzielają rządy“ „gdyż Jezuici zakłócają spokojność cesarstwa.“ Na burzycieli zaś publicznego pokoju nie ma potrzeby zastosować postępowania karnego, jak na wszystkich innych obywateli kraju,“ przeciw nim można użyć prawa doraźnego, jakie przysługuje każdemu panu domu (Hausrecht) t. j. wyrzucić ich z miejsca, gdzie robią niepokój.“ „Prawo to jest wprawdzie niedostateczne, ale należy wziąć na uwagę, że jest właśnie tylko prawem tymczasowem, wywołanem *niezbędną potrzebą własnej obrony*.“ „Z całą energią, mówił w końcu, odpieramy zarzut, jakoby prawo to było ukute przeciw Kościołowi katolickiemu. Żadna myśl, żadna intencja nie oddala się bardziej od zasadniczej myśli tego prawa nad przypuszczenie, że jest w duchu nieprzyjacielskim przeciw Kościołowi katolickiemu wymierzone; nie chcemy, aby zakon Jezuitów identyfikowano z Kościołem katolickim.“ Jakaż niezgrabna maska! W oczach katolików byłoby lepiej dla rządu, gdyby był całkiem milczał, jak w dniach 15 i 16 Maja, aniżeli taką przezroczystą maską się przyodziewał. Bo możnaż niewinne mordować dziecko, zaręczając równocześnie jego matce, że się to z przyjacieli dla niej dzieje?

Zrozumiały także obie strony, co znaczą te słowa *umiarkowania*. Nieprzyjaciele Jezuitów czyli Kościoła rzucili się znowu z całą wściekłością na rzuconą im ofiarę i powtórzyły się znowu sceny i krzyki dni 15 i 16 Maja. Prawo to przedłożone było im zbyt łagodne, zostało przeto obostrzone. Treść argumentów przeciwników była ta sama, co w pierwszej dyskusyi „że cesarstwo jest w niebezpieczeństwie, że się musi bronić“ i t. p. Trafnie im na to August Reichensperger odpowiedział: „Wszakże cała fizyczna i umysłowa potęga państwa pruskiego nie spoczywa w ręku ultramontańskim. Macie całą armią, całą biurokracją, uniwersytety i wszystkie szkoły, macie przeszło 50000 egzemplarzy pism publicznych niezmordowanych w spotwarzaniu katolików, które się targają na najwyższe sfery i obrzucają błotem to, co katolicy czczą i szanują. Dodajcie do tego teatry w miastach cesarstwa, które zowiecie pełnemi wykształcenia, wiary i pobożności, teatry, w których przedstawiają skandala klasztorne, powiastki i baśni o zakonnicach,

jednem słowem wszystko, co tylko sprosno z wszystkich kątów na jeden stos znieść można i licznemu pospólstwu przed oczy stawić. A jednak mimo to wszystko czujecie potrzebę chwytać się gwałtu celem przyduszenia Kościoła katolickiego.“ Uroczyste zaś zaręczenia dane przez Friedeberga imieniem rządu illustrował dostatecznie Wagener temi słowy: „Cesarstwo i Rzym są stronami wojującemi,“ co znaczy: jesteśmy w stanie wojny, a w takim razie nie może być mowy o prawie i sprawiedliwości ani dla Jezuitów ani biskupów ani w ogóle dla katolików.

Naprawdę robił Mallinkrodt wniosek, aby wytoczyli śledztwo Jezuitom, a nie potępiali przynajmniej niewinnych bez śledztwa, sądu i wyroku. „Konstatuję, powiedział pomiędzy innymi w tej pamiętnej mowie, że po dwudziestopięcioletniej pracy w krajach niemieckich nie zdołano ani jednego faktu przytoczyć, któryby udowodnił, że przynajmniej jeden z Jezuitów dopuścił się jakiegokolwiek uchybienia lub ubliżenia prawu; przeciwnie ten sam członek Izby, który z największą gwałtownością przeciw temu zakonowi mówił, był zmuszony przyznać zacność każdego Jezuitę z osobna, oświadczając wyraźnie, że są ludźmi poważnymi i szanownymi! A roztrząsając treść petycyi za Jezuitami przemawiających powiada: „Rozporządźcie śledztwo ścisłe i surowe, a potem karzcie, jeśli się znajdzie coś kary godnego. Ja was sam w tem przedsięwzięciu wspierać będę, jeśli się wypadek śledztwa okaże niepomysłny dla Jezuitów. Ale potępiać niewinnych bez prawa, to nigdy nie było w Niemczech zwyczajem. Gdyż najnędniejszy człowiek ma przynajmniej prawo przenoszenia się dowolnego z miejsca na miejsce, dopóki go wyrok tej wolności nie pozbawi i na pewną przestrzeń nie ograniczy. Tymczasem Jezuici nie ściągnęli na siebie takiego wyroku potępiającego; nie zostali jeszcze dotknięci żadną karą, co więcej, wzmianki nawet nie zrobiono, aby się jeden z nich najmniejszego uchybienia przeciw prawu był dopuścił. A w obecnym razie, Panowie, rząd cesarski, muszę to powiedzieć, ma czoło przedłożyć prawo wyjątkowe, które ludzi przez krocie, miliony obywateli niemieckich dla ich cnót i błogich nad miarę prac szanowanych i poważanych niżej wagabundów stawia, które im odmawia prawa, jakiego się nikomu nie odmawia, prawa żądania śledztwa przed

potępieniem. Projekt do tego prawa jest prawdziwie monstrualnością; jest to karykatura prawa, projekt, który sobie drwi z warunków niezbędnych, jednym słowem z wszystkiego, czego po prawie i dobrych obyczajach wymagać należy. Stawienie takiego wniosku jest kuszeniem ciała prawodawczego aby je wprowadzić w błąd, żądając od niego, aby zaniedbało świętej powinności, jaką ma, bronięcia prawa i porządku, a tem samem, aby się dało użyć za narzędzie najabsolutniejszej samowoli. Na widok takich rzeczy, Panowie może uczucie łatwo unieść człowieka do użycia twardych wyrażań. Tymczasem im niesprawiedliwsza napaść, tem lepiej zachować spokojność. Na propozycyą wam przedłożoną nie mam nic lepszego do powiedzenia, jak wzdrygnąć ramionami i oświadczyć, że sama piętno potępienia na sobie nosi.“ Nie mówię już uczucie sprawiedliwości, ale wstyd wobec gorzko wypowiedzianej i upokarzającej prawdy nie zdołał ostudzić rozpalonej namiętności i przywieść do upamiętania. Jeden Żyd Lasker z garstką zwolenników wstydił się za takim prawem pozbawionem wszelkich warunków prawa głosować. Uchwalone przeto została 181 głosami przeciw 63. Tenor jego następujący:

- § 1. Zakon Towarzystwa Jezusowego i spokrewnione z nim zakony lub podobne doń kongregacye wykluczone są z krajów cesarstwa niemieckiego. Erekye nowych tego rodzaju domów są zakazane. Domy zaś istniejące mają być rozwiązane w przeciągu czasu, jaki rada związkowa oznaczy, który jednak sześciu miesięcy przekroczyć nie może.
- § 2. Członkowie zakonu Towarzystwa Jezusowego lub spokrewnionych zakonów lub podobnych kongregacyj mogą być wypędzeni z krajów cesarstwa, jeśli są zagraniczni; jeśli zaś są krajowcami, może im być pobyt w miejscach oznaczonych zakazany lub naznaczony.
- § 3. Rozporządzenia odnoszące się do wykonania i przeprowadzenia tego prawa zostaną wydane przez radę związkową.“

Oto dojrzały płód zakrojonych z góry, a rozpoczętych, kongresem „katolików protestanckich“ w Monachium agitacyi i czterodniowych w maju a potem czerwcu namiętnych rozpraw

parlamentu niemieckiego. Katolicy szczególnie prowincyi nadreńskiej i Westfalii pokładali jeszcze nadzieje w cesarzu, że takiego prawa sankcyonować nie będzie. Wyprawili tedy w tym celu liczną deputacyą do Ems, gdzie cesarz właśnie bawił, której wcale nie przyjął i rzezione prawo już 4 lipca 1872 r. podpisał.

Prawo samo jest prawdziwie drakońskie, ale o wiele jeszcze twardszem było wykonanie jego. Ta dowolność w wykonaniu jego nadała mu charakter prawdziwie barbarzyński i udowodniła najoczywiściej, czem było umiarkowanie, do którego rząd przez usta Friederberga wzywał parlament.

Już rozporządzenie rady związkowej z dnia 5 lipca podpisane przez kanclerza przekroczyło o wiele na niekorzyść Jezuitów granice prawem samem zakreślone, a jak zobaczymy, władze wykonawcze czyli policyjne jeszcze się bezkarnie dalej posunęły. Prawo bowiem samo wzbrania zakonowi Towarzystwa Jezusowego, spokrewnionym zakonom i podobnym kongregacyom pobytu w cesarstwie niemieckiem. Zakazuje zakładanie nowych domów i każe obecnie istniejące rozwiązać. Członkowie zaś jego, jeśli są krajowcami, zatrzymują prawo pobytu w cesarstwie, chociaż pobyt ten może im w pewnych okolicach być wzbroniony lub na pewne miejsca ograniczony. To jest całą treścią tego prawa, które rada związkowa była upoważniona wykonać. Prawo samo nie mówi ani słowem jednym o działaniu i czynności zakonnej pojedynczych członków rozwiązanego domu zakonnego.

Cóż sobie pozwala rada związkowa prócz tego? Zaraz w § 1 wydanego rozporządzenia powiada „że Jezuitom zakazanem jest wykonywać wszelkie funkcyje zakonne w kościele, szkole i odprawiać misye.“ Pomijając brak ścisłości w wyrażeniu „funkcyje zakonne“ z dodatkiem „w kościele i szkole,“ widzimy na pierwszy rzut oka, że doniosłość tego paragrafu o wiele dalej sięga, aniżeli samo prawo. Cóż to bowiem znaczy „funkcyja zakonna w kościele i szkole?“ Czemże się różni od innych funkcyj odbywanych w kościele i szkole, które nie są zakonne? Albo kiedyż i pod jakimi warunkami nabędą funkcyje kapłańskie, które każdy kapłan świecki w kościele lub szkole odprawia, charakteru zakonnego, jeżeli je Jezuita odprawia, jak n. p. msza, nieszpory i t. p.? Ścisłe podług prawa

tego drakońskiego możnaby prawie w takim tylko razie tego rodzaju funkcyje kapłańskie podciągnąć pod charakter zakonny, gdyby w imieniu i z polecenia przełożonego domu zakonnego i w obrębie samego domu były odprawiane. Lecz takie tłumaczenie sprzeciwia się najoczywiściej prawu samemu, które wszystkie domy zakonne i ich organizm rozwiązuje. Wszelkie tedy tego rodzaju funkcyje pojedynczych członków, jak msza, spowiedź i t. p. nie mogą być odprawiane z ramienia przełożonego zakonnego, ale władzy duchownej wogóle a następnie nie są już nawet w duchu tegoj prawa funkcyami, zakon-nemi ale wogóle kapłańskimi. Takie kręte ścieżki pod-
stępu same się karzą swoją wewnętrzną nieprawdą, rażącą sprzecznością.

Roporządzenie rady związkowej nie tylko w tym jednym punkcie przekracza granice danego prawem upoważnienia. W tym samym bowiem paragrafie zakazuje Jezuitom odprawiać misye. Czyż odprawianie misyi należy do „funkcyj zakonnych?„ Nieodprawiająż ich często świeccy kapłani? Któż jest w stanie policzyć odprawione w samem W. Ks. Poznań-skiem misye przez kapłanów świeckich? Maż którykolwiek zakon władzę odprawiania na własną rękę misyi? Czynią to jedynie na wezwanie biskupów i plebanów, ale nigdy na mocy własnej powagi. Odprawianie misyi jest nadzwyczajną pomocą w zawodzie pasterstwa dusz. Co Jezui i inni zakonnicy robią na misyach, to w niczem nie przechodzi granic zwyczajnego pasterzowania i różni się tylko formą, większą obfitością nauk, kazań i nabożeństwa. Są to zatem funkcyje czysto kapłańskie odprawiane w imieniu biskupa dyecezalnego, ale nie zakonne. Zakaz przeto ten nie wyrządził tak dotkliwej krzywdy samym Jezuitom, jak raczej biskupom, duchowieństwu, a mianowicie ludowi katolickiemu. Jest przeto wymierzony niby przeciw Jezuitom, ale ma ranić kościół katolicki. Ta krzywda tem boleśniej dotyka katolików, że protestanci zapisują sobie z całego świata predykantów na swoje misye i żadnego w tej mierze nie doznają ograniczenia.

Jak rada związkowa rozciągnęła swoim rozporządzeniem doniosłość prawa, tak władze policyjne rozszerzyły dowolnie w tym samym kierunku wymienione rozporządzenie bezkarnie. Rada związkowa zakazała członkom, którzy jako krajowcy

mieli prawo pozostać w cesarstwie, „funkcyi zakonych“ a policya wzbroniła im wszelkich funkcyj kapłańskich, jak odprawianie mszy, miewania kazań, słuchania spowiedzi, odwiedzania chorych i t. p. Tak się stało w Malborgu, Padebornie i Śremie. W ostatniem miejscu szczególniejszą landrat okazał surowość zakazując Ojcom odprawiać mszę sw. w kaplicy ich publicznej przy zamkniętych nawet drzwiach. Przełożony domu, O. Michał Mycielski zaprotestował wprawdzie przeciw tej nieprawnej surowości, ale władze wyższe nie sprostowały postępowania landrata aż dopiero po upływie miesiąca. Tym sposobem pozbawili pojedynczych członków Towarzystwa Jezusowego wszelkiego prawa, bo tak samo, jak im policya zakazała sprawować funkcyje kapłańskie, mogła im zakazać absolutnie wszelkich funkcyj pod pozorem, że wszystko co tylko Jezuita czyni, jest tem samem „funkcją zakonną.“ Takie wykonanie prawa równało się wyrzuceniu wszystkich Jezuitów, a tem samem i krajowców z cesarstwa niemieckiego. Bo jakże może kapłan tam egzystować, gdzie mu wszelkiej wzbroniono funkcyi kapłańskiej? Cóż ma bowiem począć, jeżeli mu nie wolno tem się zająć, co jest zadaniem całego życia jego? Najsrożej dotknięci zostali tym ciosem ci kapłani, którzy już poprzednio od wielu lat byli świeckimi kapłanami i należeli do grona duchowieństwa dyecezalnego, a potem do Jezuitów wstąpili. Na jeden raz nie wolno im było sprawować w tej samej często dyecezyi tego, dla której pierwsiastkowo wyświęceni zostali, ani biskupom, którzy ich wyświęcili, używać do pracy duchownej.

To jest barbarzyńskie wykonanie prawa, które prócz czczej formy żadnego warunku prawa nie ma w sobie. Należy nam jeszcze zwrócić uwagę na krzywdę wyrządzoną tem prawem Kościołowi, wolności osobistej katolików i ich sumieniu.

W ogóle tam, gdzie Kościół ma prawo exystencji, ma prawo być takim, jakim właśnie jest, t. j. z zakonami doń należącymi. Zakony bowiem nie są rzeczą przypadkową, ale instytucjami Kościoła do jego istoty należącymi. Gdzie zatem Kościół nie ma prawa wprowadzać zakonów, tam prawo jego nie jest zupełne, tam żywotnej swej siły rozwijać nie może. Bez nadwergżenia praw Kościoła w ogóle nie może żadne państwo tej władzy Kościołowi odmówić. Istota bowiem zakonu nie zasadza się na wypełnianiu tego lub owego specjalnego

powołania, jakiemu się zakonnicy w celu zaspokojenia rozmaitych potrzeb chrześcijańskiego społeczeństwa oddają, ale na dobrowolnem zobowiązaniu się do wypełnienia rad ewangelicznych. To jest najzupełniejsze, najwierniejsze naśladowanie żywota Zbawiciela, urzeczywistnienie zasad ewangelii ś. zawartej podług nauki Kościoła w słowach Chrystusa Pana: „*Jeśli chcesz być doskonałym, idź, sprzedaj, co masz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie: a przyjdź, pójdź za mną.*“ (Mat. 19. 21.) Takie znaczenie miały te słowa Zbawiciela od kolebki chrześcijaństwa. W tym duchu zachowywały pobożne dusze, idąc za przykładem Chrystusa i apostołów, dożywotną czystość, a pustelnicy zaludniali puszcze. W zakonach Kościoła katolickiego przechowuje się do dziś dnia wiernie nietylko martwa litera biblijna tej rady ewangelicznej, ale żywe jej uobecnienie. Jeśli tedy jeden zakon czyli zakonnik poświęca się pielęgnowaniu chorych, drugi wychowaniu młodzieży, inny naukom i umiejętnościom, inny znowu kaznodziejstwu lub missyom, kontemplacyi i modlitwie, to zaiste nie przez te specjalne powołania i zatrudnienia, którym się oddaje, staje się rzeczywiście zakonnikiem, gdyż te mogą być i poza obrębem zakonu wykonywane, ale jedynie przez dobrowolnie przyjęty na siebie obowiązek naśladowania żywota Jezusa i osiągnięcia najwyższego ideału życia chrześcijańskiego. Cóż to tedy ma za znaczenie, zabraniać Kościołowi wprowadzać i pielęgnować zakony? Zaiste nie inne, jak odmawiać mu wolności, naśladować wiernie żywot Jezusa i urzeczywistnić najwyższy ideał doskonałości chrześcijańskiej. Świat w materjalizmie pogrążony odpycha od siebie to wszystko, co mu wymownie przypomina i przed oczy stawia ostateczne przeznaczenie człowieka, nie chce się przegłędać w zwierciadle cnót chrześcijańskich, aby nie naruszały spokojnego używania aż do przesycenia dóbr materjalnych. Zakon, w którym kwitną najpiękniejsze cnoty chrześcijańskie, jest wprawdzie niemą, ale dotkliwą krytyką zatopionego w bezbożności społeczeństwa. To jest przyczyną, dla której ono zakonów niecierpi i nienawidzi. Dla tego wolno wszelakim namiętnościom schlebającym zmysłowości człowieka rozlewać się swobodnie strumieniami po wielkich szczególnie miastach, ale naśladowanie cnót Zbawiciela karami obłożone. Wszystko, złe nawet oczywiście rzeczy używają wolności zupełnej w dzisiejszem społec-

czeństwie, jednemu tylko Chrystusowi w osobie wiernego naśladowcy nie wolno się w nim pokazać. Zakaz przeto zakonnego życia, które należy do istoty Kościoła i jest niejako kwiatem jego wzrostu i powodzenia, wyrządza Kościołowi ciężką krzywdę, bo tamuje dotkliwie rozwój jego wewnętrznego życia. Jest on w takim położeniu podobny do drzewa, któremu niby pozwalają rósć, ale obcinają gwałtem konary i gałęzie, gdy ma rozkwiąć!

Nie mniejszą krzywdę wyrządza taki gwałt biskupom i całemu duchowieństwu. Zakony bowiem mają obok głównego zadania dążyć do doskonałości chrześcijańskiej, nieść pomoc w pracy pasterskiej duchowieństwu świeckiemu, a zwłaszcza w czasach naszych, w których Kościół wszelkich innych nadzwyczajnych środków pozbawiony został. Sam przykład umartwionego życia zakonnego już na lud chrześcijański zbawienny wpływ wywiera. Pozbawienie dyecezyi zakonów jest ograniczeniem pracy duchownej na zaspokojenie najniezbędniejszych potrzeb religijnych wiernych. Jest to nieoedwie to samo, jak pod względem fizycznym wskazać człowieka na chleb i wodę i wymierzać jeszcze ten pokarm nader skąpo, bo duchownych świeckich w stosunku do liczby wiernych jest tak mało w dyecezyach pruskich, iż siły ich ledwo na to wystarczą. Jakże wśród takich okoliczności może duchowieństwo pomyśleć o skutecznej uprawie nauk i umiejętności teologicznych, wyższego życia świątobliwego wśród wiernych, o środkach nadzwyczajnych podniesienia ducha pobożności, wykorzenienia starych nałogów i t. p.? Potrzeby nadzwyczajne są częste, a środków nadzwyczajnych do ich zaspokojenia nie masz wcale. Wspomnienie jedno o missyach wystarcza do ocenienia tej krzywdy. Duchowieństwo bowiem parafialne zbyt jest obciążone zwyczajnymi pracami pasterstwa, aby było w stanie zająć się skutecznie tego rodzaju pracami. Wypędzenie zakonów odejmuje biskupom i duchowieństwu w ogóle środki do skutecznego pasterzowania zwyczajnego, które niekiedy potrzebuje pomocy, podźwignienia i podniesienia.

Najcięższej zaś krzywdy doznają z tego gwałtu wierni. Jako katolicy bowiem mają, że tak powiem, przyrodzone prawo do korzystania z wszystkich skarbów i środków duchownych Kościoła katolickiego. Dzieci Kościoła mają prawo być nasy-

ceni tym rozmaitym pokarmem duchownym, jaki Kościół w łonie swoim dla nich posiada. Że tu jednego tylko dotknę przedmiot. Kto np. z katolików czuje potrzebę otworzyć serce i sumienie swoje kapłanowi zakonnemu i jego za przewodnika duszy swojej obrać, nie doznaje ciężkiej krzywdy, prawdziwego gwałtu w najświętszym prawie swoim, jeśli mu to odmówionem zostanie? Możnaż bowiem sobie wystawić cięższy i dotkliwszy gwałt nad odmówienie mu wolności wyboru spowiednika? Ograniczenie wolnego wyboru spowiednika równa się, a przynajmniej niedalekiem jest od nakazu spowiadania się przed tym, którego rząd do tego ustanowi.

Zakaz zakonów i zakonnego życia jest nareszcie straszliwym pogwałceniem wolności osobistej katolików, a w szczególności tych, którzy właśnie czują w sobie powołanie do zakonnego życia. Zakon, jakeśmy to wyżej nadmienili, jest dobrowolnem związaniem się ślubami do wiernego zachowywania i wypełniania rad ewangelicznych celem osiągnięcia doskonałości chrześcijańskiej i stania się coraz podobniejszym Jezusowi. Jak do kapłaństwa, tak i do zakonnego życia potrzebne jest koniecznie powołanie boskie. Kto tedy czuje w sobie to powołanie i po ścisłem zbadaniu swego sumienia w niem tylko jedyne szczęście swoje znajduje, nie doznaje gwałtu sumienia i wolności osobistej, jeśli mu nie wolno iść za jego głosem i powołaniu swemu się oddać? Czemże się różni przeszkoda w tej mierze stawiona od przymusowego wtrącenia kogoś do klasztoru? Komuż zabraniają gonić za majątkami, dostatkami i rozkoszami tego świata? Czemuż tedy ma być zakazane naśladowanie żywota ubogiego Jezusa? Któregoż marnotrawcę, co na zbytki i rozpustę strwonił nietylko majątek, ale nawet skarb czci i dobrego imienia przodków swoich, wypędzają z kraju? Jakiemże tedy prawem można tego barbarzyńskiego używać środka przeciw tym, którzy „sprzedali co mieli, dali ubogim i poszli za Jezusem“? Nikomu nie zakazują wybrać sobie stan podług swego upodobania, żyć podług swej fantazyi, puszczać wodze skłonnościom swoim i żądom w sposób, którego bez pogwałcenia wstydu wspomnieć nie można, czemuż tedy nie ma być wolno wybrać sobie ten stan, który te chucie i żądze trzyma na uwięzi, który je umartwia i nad niemi panuje? Oto wolność osobista w państwie „absolutnem“!

Teraz widzimy, co znaczyły uroczyste i energiczne zaręczenia rządu przez usta Friedeberga wypowiedziane, że prawo to wymierzone jest „li tylko przeciw Jezuitom, ale bynajmniej nie przeciw Kościołowi katolickiemu.“ Aż do śmieszności używał rząd niezręcznie tej maski. Oburzało go tylko, że frakcja Centra nielitościwie zdzieraa ją z niego. Katolicy także nie łudzili się temi słowy, chyba ci, którzy chcieli sami się oszukiwać.

Cel rządu był widoczny; nim uderzy na Kościół sam, chciał go pierw osłabić, odejmując mu pod innym pozorem rączę i wprawne siły. Wiedział naprzód, że mu się to z łatwością uda, bo znał dobrze, jaką nienawiścią całe niedowiarstwo w Niemczech pałało ku Jezuitom; był pewnym, że wszelki gwałt w tym kierunku użyty z oklaskami będzie powitany. Sądził, że przez uniemożliwienie missyj zmniejszy wpływ Kościoła na lud, o co mu bardzo chodziło. Spotęgowanie zaś namiętnościami przeciwnika Kościoła było z jednej strony utrudnieniem walki dla katolików, a z drugiej strony powiększeniem siły własnej. Nie było bowiem środka odpowiedniejszego i zręczniejszego do obudzenia i rozpalenia nienawiści ku Kościołowi katolickiemu, jak poruszenie i rozburzenie agitacji przeciw Jezuitom. Tym sposobem przygotował i uprawił sobie rząd rolę dostatecznie do zasiania prześladowania wymierzonego wprost przeciw Kościołowi. Rozprawy w sprawie Jezuitów odgrzebały odwieczne uprzedzenia, przesady i nienawiści przeciw Kościołowi katolickiemu do tego stopnia, że się z tej strony przynajmniej żadnego oporu obawiać nie potrzebował.

(Ciąg dalszy i dok. nastąpi).

JAN ZAMOYSKI

W PADWIE I WENECYI.

W życiu ludzi bardzo znakomitych ta charakterystyczna nas uderza cecha, że cokolwiek w ręce ujeli to im się udawało, w jakimkolwiek się znaleźli położeniu, to takowe wyzyskać i zawsze wybitne stanowisko zająć potrafili. Ponieważ zaś żywot ludzki nie jednym torem płynie, ale zwłaszcza ludzie wyżsi i ambitni rozmaitemi chodzą drogami, zanim staną na tej wysokości, na której siła ich umysłu i woli swobodnie rozwijać się może, ciekawem jest badanie odrębnych ich życia czasów, przygód i okoliczności; zajmującym bardzo dociekanie jak dalece na niższym stanowisku i w mniej obszernej sferze działania uwydatniły się i wyszły na jaw owe znamiona charakteru i woli, polotu i dzielności umysłowej, które im później wysokie w historii zjednały stanowisko; i w tem właśnie leży urok pisania historii w formie biograficznej.

Jeżeli gdzie biografia powinna znaleźć uznanie, i skrzętnie znachodzić pielęgnowanie, to właśnie w historii naszego narodu. Nigdzie bowiem znakomite osobistości tak ściśle z życiem narodu nie były zespolone, i tak stanowczego na losy onegoż nie wywierały wpływu jak w Polsce. Zmysł, albowiem i organizacya polityczna narodu tak była słaba, że polityki prawdziwej, przewidującej przyszłość, przygotowującej wypadki i obra-

chuwującej wszelkie możliwe przeszkody, brak u nas zupełny. Tradycyi szkoły politycznej, pewnych zasad które mężowie stanu nawzajem sobie przekazują, i któremi nieodstępnie się kierują, dłuższego nieco pasma wypadków, którymby jedna myśl przewodniczyła, niemal wcale niespotykamy. Natomiast możemy się poszczycić wielką stosunkowo liczbą znakomitych ludzi, wykazujących w świetny sposób przyrodzone Polakom bardzo bogate zdolności umysłowe. Oni to wielkimi przymiotami i poświęceniem bezgranic jako tako torowali drogę, wobec zamętu działania na własną rękę, buty szlacheckiej i warcholstwa politycznego, a ich działaniu przypisać należy, że gmach naszej budowy polityczno narodowej, nie runął o wiele wcześniej.

Ale zaiste dziwny, a zasmucający wielce historia nasza w wielu przykładach nam przedstawia widok, że ile razy znakomity mąż, czyto na polu administracyjnem, wojskowem lub politycznem zeszedł z widowni, tyle razy przecinało się odrazu całe pasmo ich działania. Żadnej tradycyi i szkoły politycznej po sobie nie zostawiali, a to wszystko co największem wysileniem i trudami, najszlachetniejszym poświęceniem zdobyli, następne pokolenie odrazu i bezpowrotnie zmarnowało. I znów wszystko szło samopas, dawnym swoim trybem póki jaka nowa osobistość narodu do czynniejszego i rozumniejszego działania nie pobudziła. Ztąd późniejsze pokolenia nie budowały nigdy dalej na podwalinach założonych przez poprzedników, ale każde swoją drogą i swemi sposobami na nowo pracowało, miasto korzystania z pracy i zasługi przodków.

Z tych powodów życiorysy wielkich ludzi naszego narodu będą zawsze niepomiernym przyczynkiem do znajomości ogólnych onegoż dziejów.

Mało która, śmiem powiedzieć żadna postać historyi naszej, właśnie jako indywidualność tak wysoko nie stoi jak osoba Jana Zamojskiego. Zarówno dzielny jako wojskowy, prawnik i mąż stanu, tę samą czynność rozwija jako uczony, gospodarz i administrator, czego się dotknie wszystko mu się udaje, gdziekolwiek się znajduje niebawem pierwsze zdobywa miejsce. Zdawałoby się że postępował zawsze według owego godła które Hippoloch idącemu na wyprawę trojańską synowi dał w drogę: „by się sprawować najlepiej i zawsze innym przodować.“ Obok nawału czynności w sprawie publicznej podejmowanych

nie spuszcza z oka własnej i rodziny swojej interesów i potrafił jej nadać piętno karności, miłości kraju i nieskazitelności w postępowaniu publicznem, od którego nigdy ani kropkiem nie zboczyła.

Tak szybkiego, a dodajmy zasłużonego wzrostu z prostego szlachcica w ogromną potęgę polityczną, obywatelską i majątkową, drugiego przykładu w historii naszej nie mamy, i można go tylko przypisać ogromnym zdolnościom z żelazną połączonym pracą.

Jeżeli Jan Zamoyski na prawdziwego męża stanu nie wyrósł, jeżeli wielkie popełnił błędy polityczne, które później acz nadaremnie starał się naprawić, to z pewnością część jego winy położyć należy na karb niesłychanie twardych warunków, z jakimi u nas każdy wielki król, każdy mąż daleko widzący walczyć był zmuszony. Wobec niesforności szlachty, obojętności na sprawę publiczną, ciągłego odmawiania podatków i poboru, trzeba było nieraz poświęcić zasadę, dla uzyskania potrzebnego do przeprowadzenia ważniejszej sprawy wpływu. To pewna że Zamoyski swej popularności nigdy dla osobistych widoków lub przewrotnych dążeń politycznych nie nadużył, a owszem kiedy tego wymagała potrzeba, całą swoją wziętość niemiłosiernie na szwank wystawiał.

Obok tego zaś posiadał przymioty nader u nas rzadkie a do rządzenia ludźmi i kierowania sprawą publiczną niezbędnie potrzebne, a niemi są głębokie poczucie prawa, uszanowanie legalności i wymuszenie od innych posłuszeństwa dla władzy. Przymioty te przy pierwszym jego publicznem wystąpieniu odrazu na jaw wyszły, kiedy żądał podwójnego wymierzania kary na przestępstwa w ciągu bezkrólewia popełniane, a w sprawie Zborowskich na dużo większe rozmiary się uwydatniły. Całe zaś jego postępowanie jako męża stanu cechowała godność polityczna, żądanie od innych uszanowania dla własnego kraju, i nieustąpienie ani na krok od tego, do czego traktaty przeciwnika politycznego zobowiązywały, a obok tego jakaż prawdziwie Polska przyzwoitość i kawalerskość wobec zwyciężonego wroga!

Cała działalność Zamojskiego nie jest dostatecznie wyjaśnioną, na to jednakże historycy nasi się zgadzają, że wielkie jego przymioty i warunki na męża stanu zmarnowały się na

nieszczęśliwym gruncie naszej organizacyi, a raczej braku organizacyi w narodzie. Nie wyrósł on więc na męża skończonego, ale zdolności jego umysłowe tak były nadzwyczajne, uposażenie tak dziwnie i wszechstronnie bogate, że możnaby prawie powiedzieć, iż równie genialnego człowieka w Europie za jego czasów nie było.

Nie mówiąc już o wielkich jego zasługach jako wojskowego, dyplomaty i administratora, to sama jego praca koło własnego majątku na zapełnienie czynnego żywota by wystarczała. Jakim sposobem ten sam człowiek, staczający ciągle bitwy i dowodzący wyprawami wojennemi, które nieśmiertelną dla oręża Polskiego pozostały chwałą, kierujący na sejmach i sejmikach najważniejszymi sprawami, mógł równocześnie zakładać akademią w Zamościu, utrzymywać stosunki ze światem naukowym zachodu i ogromnym zawiadywać majątkiem, trudnem jest do pojęcia i daje dowód miary człowieka.

Postać Zamoyskiego przedstawić wiernie i dokładnie, i całą jego działalność historyczną ocenić, byłoby świetnem dla historyka zadaniem. Nikt aż dotąd takowego się nie podjął a dotychczasowe Zamoyskiego życiorysy zupełnie warunkom tym nieodpowiadają.

Heidenstein aczkolwiek bardzo dokładny i sumienny i jako źródło dla przyszłego biografa niezbędny, dostatecznego obrazu kanclerza nie przedstawia. Raz dlatego że styl i sposób jego pisanja zbliża się już do nieznośnych siedemnastego wieku panegiryków, powtóre bo był jeszcze współczesnym, i niemógł mieć tej koniecznej dla historyka perspektywy, dłuższego wymagającej przebiegu czasu, aby się mózdz z pewnego oddalenia na przedmiot swój zapatrywać, i na tle ukończonych wypadków daną postać plastycznie przedstawić; bo sam będąc świadkiem wypadków, które opisuje niemógł mieć tej jasności i bezstronności w sądzie potrzebnej do ocenienia męża będącego osią całego politycznego i społecznego życia narodu. Książka zaś Bohomolca tak jest sucha, tak jej brak wyższego polotu traktująca na równi najważniejsze wypadki historyczne z drobnemi anegdotycznemi zdarzeniami, że pojąć trudno, jak życie jednej z najlepszych narodu naszego postaci biografa większym nie natchnęło zapałem i do sumienniejszej nie pobudziło pracy.

Uwagi następujące mają tylko na celu przedstawienie krótkiego z życia Zamoyskiego epizodu, a mianowicie, pobytu jego we Włoszech, na uniwersytecie Padewskim i w Wenecyi. Te kilka lat jego młodości, do których na nieszczęście materiały bardzo są skąpe, niezmiernie jednakże są ciekawe, bo wykazują jak świetne, zagranicą, w tak wysokiej umysłowej i naukowej sferze potrafił zająć stanowisko, bo wszystkie wydatne jego charakteru strony już wtedy się w nim odezwały, wreszcie bo zasady i nauki w Padwie zaczerpnięte, bo okoliczności pobytowi jego towarzyszące, niepospolicie na przyszłe jego ukształcenie polityczne wpłynęły. Jeżeli się uda dowieść, że rektorat Zamoyskiego w Padwie należy do najciekawszych w dziejach uniwersytetu, to ten komu znane dzieje ówczesnej we Włoszech oświaty i ogromny, nie tylko naukowy ale i polityczny wpływ uniwersytetów, a wreszcie że Padwa w rządzie najslawniejszych szkół trzecie miejsce zajmuje, niechaj obecne uwagi zechce przyjąć jako przyczynek do znajomości życia wielkiego naszego ziomka. Niestety jak już wspomniano szczegóły o życiu uniwersyteckiem Zamoyskiego bardzo są szczupłe. Heidenstein zbywa wszystko w krótkości, nie wymieniając nawet roku, w którym Zamoyski do Padwy przybył i podając fałszywe, oczywiście z nieznanomości stosunków uniwersyteckich pochodzące wiadomości. Bohomolec tylko Heidensteina wypisuje nic nowego nie dodając. Jeżeli zatem więcej tutaj będzie mowy o uniwersytetach Włoskich, aniżeli o samym Zamoyskiego rektoracie, to brak stosownych a prawdziwych materiałów niechaj służy za wytłomaczenie. Mimo to kilka nieznanych dotąd szczegółów, w związku z innemi znanemi wprowadzie ale nie ocenionemi dość okolicznościami, może nam posłużyć do wytworzenia sobie, jeżeli nie zupełnego, to przynajmniej do prawdy zbliżającego się obrazu. Stanowiska zaś i pobytu Zamoyskiego w Padwie niemożna ani ocenić, ani zrozumieć, bez znajomości życia uniwersyteckiego w wiekach średnich. Jestto świat tak odrębny i do naszego niepodobny, owe republiki naukowe tak wyłącznie swoją mają cechę, że tylko na tle tego obrazu świetna postać dzielnego i znakomitego młodzieńca wystąpić prawdziwie może, i z tego powodu zmuszeni jesteśmy dać tutaj dość obszerny pogląd na uniwersytety Włoskie. Historia ich zresztą sama przez się bardzo jest

ciekawa i niejedno znakomite pióro długoletnią pracę na zbieranie i ocenienie ich wpływu poświęciło.

I.

Dla poznania dokładnie uniwersytetów Włoskich i zrozumienia zupełnej różnicy, jaka pomiędzy nimi a dzisiejszemi zakładami naukowemi zachodzi, trzeba się przedewszystkiem zastanowić nad ich początkiem. ¹⁾ Według naszych dzisiejszych wyobrażeń myśl założenia wyższego zakładu naukowego powstaje z potrzeby kraju i narodu, poczem władza tego kraju

¹⁾ Niechcąc czytelnika zbyt gęstemi nużyć cytatami, podaję tutaj dzieła któremi się głównie posługiwałem, tylko w razie ważnego i mało znanego faktu wymieniając potrzebne do stwierdzenia takowego źródła.

Jac. Phil. Tomasini Gymnasium Patavinum Utini 1654.

Nic. Comneni Papadopoli historia gymnasii Patavini. Venet. 1726.

Facciolati: Fasti Gymnasii Patavini 2 tomy. Patavii 1757. Tegoż: *De Gymnasio Patavino Syntagmata XII*, jeden tom w 8ce Patavii 1752.

Z wymienionych tutaj dzieł o wiele najlepszą jest książka Facciolatego; zwłaszcza syntagmata, bardzo przyjemnie i łatwo się czytają, a chociaż autor nie występuje z tak ciężkim arsenałem naukowym jak *Tomasini* i *Papadopoli*, mimo to jego praca według Sawiniego jest najpewniejsza i najgruntowniejsza. Zwłaszcza *Papadopoli* bardzo wiele wprost fałszywych zawiera wiadomości co mu i Savigny (III st. 275) i Facciolati: *Fasti* I st. XXX XXXI zarzucają. Podaje on najwięcej szczegółów o Zamoyskim (tom II st. 326), ale tak dziwacznych że już to samo czytelnika Polskiego odstraszyć musi; przypisuje Zamoyskiemu dzieła, o których nigdzie nie słychać, a wreszcie I. str. 97, uważa go jako rektora artystów, kiedy najmniejszej niema wątpliwości, że Zam był rektorem jurystów, czyli prawników. Prócz tego posługiwałem się wiele znakomitem dziełem Sawiniego (*Geschichte des roemischen Rechts im Mittelalter*) tom III szczególnie str. 152—375.

Inne ze szczegółów tutaj podanych oparte są na starych i bardzo rzadkich książkach, lub oryginalnych dokumentach, które w stosownem miejscu będą przytoczone.

obmyśla miejsce i środki, tworzy plan naukowy, mianuje profesorów; w formie aktu uroczystego następuje otwarcie zakładu i szkoła działać poczyną.

Wielce by się pomylił ktoby sądził, że i sławne owe uniwersytety włoskie w podobny powstały sposób.

Jakim był pierwszy owych szkół zawiązek i w jakim on czasie nastąpił, o tem żadnych pewnych nie posiadamy wiadomości i wszystko co o tem powiedziano, jak słusznie uważa Fr. Savigny na samych domysłach jest oparte. W czasie albowiem kiedy pierwsza pewna o tych szkołach i mężach na nich wykładających się dzieje wzmianka, (mniej więcej z początkiem 11go wieku) szkoły te już dość dawne miały istnienie. Domysły jednakże badaczy na dość wielkiem są oparte prawdopodobieństwie.

Narody i miasta w wiekach średnich ze swym autonomicznym ustrojem społeczeństwa, a częstokroć słabo określoną władzą państwową nie miały zwyczaju w celu zaradzenia naglącej potrzebie uciekać się o pomoc do naczelnej władzy. I owszem ludzie i obywatele pewnego miejsca w danym razie najczęściej sami sobie radzili, w skutek czego większa część instytucji wieków średnich, osobistej inicjatywie czynniejszych ludzi istnienie swoje i wprowadzenie w życie zawdzięcza. Tak się też musiało dziać i z uniwersytetami.

Jeżeli się gdzie okazała potrzeba wyższego nauczania, a znalazł się usposobiony do tego człowiek, któren przejęty ważnością działania zechciał swój czas i siły na to poświęcić, by nabytych wiadomości innym udzielać, mógł łatwo koło siebie gronko słuchaczy zgromadzić. Jeżeli miał po temu zdolność by pewną na mównicy szkolnej sławę pozyskać, wtedy bardzo łatwo można przypuścić, że się koło jego słuchaczy zwiększało i że raz uznana potrzeba sama z siebie do obmyślenia liczniejszych sił naukowych prowadziła, z czego z biegiem czasu rzeczywisty zawiązek szkoły łatwo mógł powstać.

Przy tendencji wieków średnich do szybkiego organizowania się w korporacje, czego w licznych cechach rzemieślniczych, stowarzyszeniach handlowych i t. p. tak wyraźne mamy przykłady, bardzo jest prawdopodobnem że i owe pierwsze wyższych szkół zawiązki niebawem w korporacyjny sposób się zorganizowały. Że zaś wieki średnie do spisywania praw i

ustaw wcale pochopnemi nie były, ale owszem większa część stosunków społecznych na prawie zwyczajowem się opierała, łatwo można zrozumieć dlaczego takie szkoły od dawna istnieć mogły zanim szerszego nabrały rozgłosu i do wiadomości władz rządowych dochodziły. Z tego powodu wyrobiły sobie samorodną, niezależną zupełnie i bardzo dzielną organizacją i słuszenie na miano rzeczypospolitych naukowych zasługiwały.

Później kiedy municypalne urządzenia miast włoskich upadły i zaczęły się w tym kraju tworzyć nowe, na większe rozmiary organizmy polityczne, władza takiego państwa zastawała co do owych szkół rzecz gotową, wiekiem, tradycją, zasługami i sławą utwierdzoną, której tykać i zmieniać nie było ostrożnie a po większej części i niepotrzebnie, bo naruszenie praw i zwyczajów niejako samo z siebie i z natury rzeczy wyrosłych skrzywienie całej instytucji za sobą pociągnąć mogło; nieważając już na to, że samo istnienie sławnej szkoły w jakim mieście, niepospolicie do dobrobytu mieszkańców i do zwiększania dochodów panującego się przyczyniało. To wszystko nam tłumaczy dlaczego owe szkoły nabrawszy już ogromnego rozgłosu i na cały świat sławy, tak długo w zupełnej od władzy krajowej niezależności utrzymać się mogły.

Że zaś początkowo szkoły te były wyłącznie poświęcone nauce prawa, że tylko prawnicy tworzyli tak zwany uniwersytet czyli korporację, a inne nauki tylko powoli i z wielkimi wysileniami o prawo obywatelstwa na uniwersytecie dobijać się musiały, to łatwo zrozumieć można.

W czasach o których mówimy wszystkie inne nauki leżały odłogiem; jedno prawo, już to z powodu swej konieczności do istnienia stosunków społecznych, już to że tradycja prawnictwa rzymskiego najłatwiej na gruncie włoskim przetrwać mogła, jakiegokolwiek zachowało znaczenie, i pewnie najnsadniejszą do uprawiania naukowego podawało sposobność. Uniwersytety więc w swoich początkach i przez długi jeszcze czas były wyłącznie szkołami prawnymi. Okoliczność ta bardzo jest ważna bo nam tłumaczy rodzaj wpływu jaki uniwersytety na swój czas i społeczeństwa wywarły.

II.

Słusznie Fr. Schlegel powiada „że śmieszna jest lekceważyć systemata filozoficzne które w tej lub owej epoce, w tej lub owej społeczności panowały, bo czy to uczeni i ludzie stanu chcą uznać albo nie, filozofia panująca ogromny, a nawet spieszny wpływ wywiera na praktyczne losy ludzkości.“

Co tutaj przez znakomitego historyka powiedziano o filozofii da się wprost do prawa zastosować; ustawodawstwo albowiem, bardzo skoro za systematami filozoficznymi podąża, a samo bezpośrednio na stosunki ludzkie wpływa.

W wiekach średnich zawrzała na nowo stara jak świat walka pomiędzy absolutyzmem, a wolnością, ideą państwa dążącą do pochłonięcia indywidualności, a zasadą która właśnie staje w obronie bytu indywidualności tak osobistej jak narodowej. Pierwszą reprezentuje cesarstwo rzymsko-Niemieckie, drugą kościół katolicki. Podstawy są zawsze te same, tylko formy jakie ta walka przybiera są odmienne stósownie do czasów i okoliczności. Ale może nigdy te dwa prądy tak wyraźnie się nie narysowały jak ówczesznie we Włoszech pod nazwą stronnictw Gwelfów i Gibellinów. Że się one właśnie wtedy i w owych krajach tak plastycznie uwydatniły, to głównie wpływowi uniwersytetów przypisać należy. Profesorowie uniwersytetu Bonońskiego przejęci ważnością ksiąg prawnych rzymskich, w nich jedynie i namiętnie zatopieni i z nich wszystkie swe czerpiący zasady, wykładali z katedry teorye zupełnego absolutyzmu, zaczerpnięte wprost z ustaw cesarstwa Rzymskiego. A nie widząc przed sobą żadnego innego pola do praktycznego takowych stosowania przenosili je wprost na Rzymsko-Niemieckie imperium. A że to nie były tylko teorye ale że je w razie danym umiano praktycznie stósować, na to mamy dowód historyczny.

Kiedy Fryderyk Rudobrody po zgnieceniu Medyolanu zgromadził sejm w Roncalii r. 1158, czterej najślawniejsi profesorowie bonońscy, Bulgarus, Martinus, Jacobus i Hugo znani pod nazwą czterech doktorów, na zasadzie ksiąg Rzymskich dowodzili prawa cesarza do supremacyi nad Włochami, za co

też zapewne uniwersytet pierwszy historycznie znany przywilej od cesarza otrzymał.

Z drugiej strony ciż sami profesorowie wykładali w zakładach na zupełnej autonomii opartych, całkiem od władzy państwowej niezależnych, w pośród społeczeństwa tchnącego samorządem, i oni sami by pierwsi w obronie praw uniwersyteckich byli stanęli. Takie teorye absolutyzmu; wykładane na najliberalniejszych w prawdziwym tego słowa znaczeniu zakładach, zapewne się musiały znakomicie do tak wyraźnego i stanowczego określenia stronnictw przyczynić. Inaczej trudno by zrozumieć dlaczego właśnie w owych czasach, i głównie we Włoszech tak wyraźnie naprzeciw siebie stanęły. Z tego wszystkiego widzimy jak ważny nietylko naukowy ale i polityczny wpływ szkoły owe wywierały, i że mężowie na nich wykładający nie należą do obojętnych w historii osobistości.

Jak tylko uniwersytety szerszego nabrały rozgłosu, zaczęło do nich napływać ze wszystkich stron Europy mnóstwo wiedzy chciwej młodzieży, a jeżeli mówimy tu o młodzieży to nienależy tego słowa brać w dzisiejszem znaczeniu młodzieży uniwersyteckiej, bo wiadomo dobrze że większa część uczących się była wieku dojrzałego ¹⁾, co nam pomiędzy innemi tłumaczy szczególniejsze i odrębne tych zakładów urządzenia. Nasunęło się tedy bardzo wkrótce pytanie w czyich rękach władza i kierownictwo uniwersytetu spoczywa.

W każdej korporacji żywio! liczbą silniejszy zazwyczaj skupia władzę w swych rękach; tożsamo i tutaj miało miejsce. Korporacją zatem czyli uniwersytet stanowili nie profesorowie, ale słuchacze (scholarii); pierwsi zupełnie po za nią stali i wszystkie swoje prawa i stanowisko od korporacji wywodzili. Aczkolwiek się to dziwnem i z dzisiejszemi wyobrażeniami niezgodnem wydawać może, to przecież jest faktem niewątpliwym, że słuchacze profesorów mianowali, że oni statuta uniwersytetu układali, że profesorowie tak samo jak każdy student władzy rektora podlegali. Rektorem zaś mógł być tylko student (scholarius) nigdy profesor (dominus, albo doctor). Prócz

¹⁾ Tak w Bononii jak w Padwie nie dopuszczano początkowo do immatrykulacyi przed ukończonym 25 rokiem. (Facciolati, Syntagma str. 89.)

wyraźnych świadectw, cała organizacja uniwersytetów niezbitym jest tego dowodem.

Kiedy liczba cudzoziemców tak dalece się wzmogła, że stanowili oni często większą połowę korporacji, wtedy zaczęli się w osobne wiązać koła. Tłumaczy się to bardzo łatwo tem, że ludzie tego samego szczepu na obcej ziemi, naturalnie do siebie się zbliżali dla wzajemnej obrony i strzeżenia swych praw. Wtedy cały uniwersytet na dwie główne podzielił się części. Z tej strony gór, to jest we Włoszech zamieszkali nazywali się *Citramontani*, przybywający zaś z po za gór tj. cudzoziemcy przybrali nazwę *Ultramontanów*. Tak było w Bononii, w Padwie zaś utarły się wyrażenia *Cisalpini* i *Transalpini*. W obrębie tych dwóch głównych oddziałów mieściły się pojedyncze narodowości, z których znów każda osobną tworzyła korporacją pod kierownictwem swego naczelnika, *consiliarius nationis*. Nad wszystkimi stał rektor wybierany z łona całego zgromadzenia każdego głównego oddziału, tak że Cisalpini i Transalpini, każdy swojego rektora wybierali; dopiero w ciągu XIV wieku cały uniwersytet jednego rektora począł obierać ¹⁾.

Rektor tedy i naczelnicy każdej narodowości stanowili całą władzę uniwersytetu, a władza ta bardzo była wielka, bo nie tylko ściśle do spraw zakładu się ograniczała, ale podlegał jej tak samo każdy żywioł zewnętrzny wchodzący z uniwersytetem w stosunek. I tak cała jurydykcyja cywilna, a kryminalna tylko z wyjątkiem ciężkich zbrodni, spoczywała wyłącznie w rękach rektora; a to nie tylko w razie gdy obie ale tak samo jeżeli choć jedna z prawujących się stron do korporacji należała. Rektor czuwa nad spokojnem zachowywaniem się młodzieży, a łatwo sobie wyobrazić jakiej potrzeba było władzy, aby czasami dziesięć tysięcy z górą ze wszystkich stron świata przybyłych ludzi w korbach utrzymać. On mianuje profesorów, kontrakta z nimi zawiera, przestrzega aby obowiązku swego pilnowali, a przepisy pod tym względem

¹⁾ Prawo obierania rektora przez studentów trwało aż do roku 1738 (Facciolati Syntag. str. 21). Na tem samem miejscu bardzo piękne się znajdują uwagi o prawach, korzyściach i swobodzie życia uniwersyteckiego.

bardzo były ściśle i surowe. Rektor udziela stopni akademickich, on jeden z samego swego urzędu ma prawo wykładania, i tylko za jego zezwoleniem jakikolwiek wykład odbywać się może; wreszcie wysyła ze swego ramienia deputacye do Papieża i dworów zagranicznych. Rektor jednym słowem jest duszą uniwersytetu na wewnątrz, a reprezentacją jego na zewnątrz.

Dopiero co wymienione prawa odnoszą się wyłącznie do wydziału prawników. Inne wydziały objęte pod nazwą *artistae* dopiero w 14ym wieku zdobyli prawo mianowania swego rektora (w Padwie od r. 1360), ale i tenże w ręce rektora jurystów musiał przysięgę składać, a w kwestyach spornych artyści do statutów jurystów stósować się byli zobowiązani. Zresztą wydział prawny i wpływem i sławą profesorów, wreszcie liczbą słuchaczy ogromną miał przewagę, a w razie głosowania i wydania jakiej uchwały niemal samodzielnie rządził, mieścił bowiem u siebie dwudziestu czterech *consiliariów*, kiedy artyści tylko siedmiu takichże reprezentantów mieli ¹⁾

Zdawałoby się że tak wysoko autonomiczna od żadnej wyższej władzy niezależna organizacya powinna była prowadzić do wielu nadużyć i stać się powodem do szybkiego upadku. Mimo to stało się wręcz przeciwnie, i stan uniwersytetów w całym swoim rozkwicie przetrwał przynajmniej dwa wieki. Aczkolwiek bywały rozruchy które (mianowicie w Bononii) onieśmiały do rozwiązania i upadku całej korporacyi doprowadzały, duch naukowy ostatecznie zwyciężał, a wszystko co się odnosiło do samej nauki i korzystania z takowej wzorowem odbywało się porządkiem. Już sama ta okoliczność że cudzoziemcy ogromną mieli przewagę, że długie i uciążliwe musieli odbywać podróże by na miejsce uniwersytetu się dostać, była powodem że sami słuchacze najwięcej o to dbali, aby wykłady ściśle i bez przerwy się odbywały. To też dziwna rzecz jak surowo profesorów pod wszelkim względem pilnowano. Wykłady odbywały się od świtu do nocy, a najlepsza metoda nauczania, żywe słowo, tak dalece było w użyciu, że profesorom prócz krótkich notatek i źródeł nie wolno było jakichkolwiek papierów ze sobą przynosić, a to w celu uniknienia

1) Facciolati: Syntag. str. 14.

nużącego i suchego odczytywania ciągle tych samych kursów. Obok tego każdy profesor był obowiązany przynajmniej raz w tydzień publiczne odbywać dysputy, w których każdemu profesorowi lub słuchaczowi wolno było brać udział. Obowiązek ten dysputowania stanowi zupełnie odrębną owych uniwersytetów cechę, i nadawał wykładom interes i ożywienie jakiego późniejsze czasy przykładu nie mają. Najlepszym dowodem tego zapału i ożywienia, tej chciwości i ambicji wiedzy jest, że uniwersytety tak liberalne, niemal samowolne urządzenia wytrzymać mogły, że mimo największych wstrząśnień politycznych, mimo krwawych wojen, których Włochy ustawiczną były widownią dzieło swoje bez przerwy prowadziły, wydając znakomitych ludzi i na wszystkie strony rozsiewając oświatę. W ogóle Włochy średniowieczne pod względem sztuki, nauki, literatury i całego ruchu umysłowego przedstawiają nam widok, jakiego późniejsze wieki już nigdy nie widziały i zapewne widzieć nie będą.

W ostatnich dziesiątkach XIV wieku, w chwili największej sławy i ogromnej frekwencji uniwersytetu Padewskiego, wrzała tuż obok straszna walka. Wenecyanie z Genuańczykami od kilkunastu miesięcy zajadłą prowadzili wojnę, w której obie strony zarówno się odznaczały bohaterstwem, a tak wojsko jak wodzowie cudów waleczności dokazywali. W chwili kiedy szlachetny Wiktor Pisani, jęczący od roku w okowach a na żądanie ludu wyzwolony, zapominając wszelkiej do rządu Weneckiego urazy na nowo objął dowództwo floty, by swą pierśią ojczyznę od zagłady ratować, kiedy Carlo Zeno, mimo śmiertelnej rany nie chciał przed stanowczą wygraną porzucić galaru admirałskiego, zapewne o kilka mil drogi jaki znakomity profesor Padewski wykladał spokojnie z katedry instytucje lub kodeks Jutyniana i pewno na brak słuchaczy uskarżać się nie miał powodu; a równocześnie książę Padwy Franciszek Carrara godził niesnaski między artystami a jurystami, oddając tym ostatnim na własność swój pałac, który aż do dziś dnia jest gmachem uniwersytetu. A kiedy tenże sam Franciszek Carrara po zaciętej obronie swego miasta, nakońcu opuszczony od wszystkich przeważnym siłom weneckim uległ, wtedy jako pierwszy warunek kapitulacji podał utrzy-

manie nadal uniwersytetu. Wszystko to odbywało się między Wenecją, Chiozzą i Padwą na pędzi ziemi, którą się dzisiaj koleją żelazną w przeciągu jednej godziny przebiega. Tak to nie wielkość sceny, ale wielkość ludzi, odwaga, zapał i poświęcenie stanowią najpiękniejsze w historii chwile.

Ta nadzwyczajna świetność uniwersytetów oczywiście ustawicznie trwać nie mogła. Póki duch naukowy bardzo był żywy i silny, póki taki Odofredus, Bartolus lub Acursius wykładał, póki osiąganie stopni akademickich połączone było z wielkimi trudnościami, a często i znacznymi kosztami, póty i ogromne stanowisko rektora, i nadzwyczajne do stanu doktorskiego przywiązane przywileje naturalną miały podstawę. Z upadkiem ducha naukowego, i przez ułatwienia w udzielaniu stopni akademickich niejedno musiało się zepsuć i skrzywić i właśnie w ciągu czternastego wieku spostrzegamy ślady poniżenia nauki i godności uniwersyteckich. Już Petrarca w dialogu „o prawdziwej mądrości“ na to się skarża, niemiłosierną, a jędrną satyrą chłoszcząc nadużycia i śmieszności, które przy udzielaniu stopni akademickich się praktykowały. W czasach odrodzenia i w ciągu niesłychanego obudzenia życia naukowego i umysłowego, tak we Włoszech jak w całej Europie, uniwersytety w tyle nie pozostały, miały jeszcze bardzo świetne karty i dzieje, jednakże do dawnego wyjątkowego stanowiska nie powróciły. Wogóle największa sława uniwersytetu Bonońskiego przypada na czas od początku XII do początku XIV wieku. Uniwersytet Padewski, aczkolwiek z Bonońskiego powstał, i chociaż kronikarze zowią Bononię matką wszystkich innych uniwersytetów ¹⁾, mimo to o wiele dłużej swą świetność zachował, a w każdym razie za czasów Zamoyckiego i sławą naukową i liczbą studentów o wiele Bononią przewyższał.

III.

Uniwersytet Padewski któren głównie nas obchodzi, bo się tam bardzo wiele znakomitych Polaków kształciło, powtóre,

¹⁾ „Nostrae hujus et Italiarum omnium quasi parens universitas Bononiensis“ (Facciolat. synt. str. 88).

bo chodzi tu o przedstawienie rektoratu i stanowiska Jana Zamoyskiego w ciągu jego kilkoletniego w Padwie pobytu, powstał w r. 1222 w skutek opuszczenia Bononii przez część uczniów i profesorów i osiedlenie się ich w Padwie. Szkoła ta początkowo była tak samo poświęconą wyłącznie nauce prawa i jako z Bonońskiej powstała, mniej więcej temi samemi rządziła się statutami, i też samą organizacją i podział na rozmaite narodowości przedstawia. Jednakże pomiędzy nią, a innemi uniwersytetami (w Pizie, Ferrarze, Arezzo, Vercelli i Neapolu) pewne zachodzą dość ważne różnice, polegające na tem, że w ogóle autonomia uniwersytetu nieco była mniej wyraźna, że uczniowie wcześniej niż gdzieindziej utracili prawo mianowania profesorów, wreszcie że uniwersytet podlegał pewnej władzy naczelnej z ramienia rządu ustanowionej. Wszystko to nastąpiło z rokiem 1405, kiedy Padwa utraciwszy samodzielne istnienie przeszła pod władzę rzeczypospolitej Weneckiej. Senat Wenecki wprawdzie uszanował autonomiczne uniwersytetu rządy, jednakże od samego początku baczne nań zwracał oko. To też wnet po objęciu w posiadanie księstwa Padewskiego mianował on kollegium z obywateli Padewskich złożone, któremu powierzono pieczę nad uniwersytetem. W r. 1516 ustanowiono inne kollegium wybierane z łona patrycyatu Weneckiego. Członkowie tej władzy naczelnej zwali się reformatarami uniwersytetu i w rządzie takowych spotykamy same nazwiska najwyższej szlachty Weneckiej, (Contarini, Grimani, Mocenigo, Morosini i t. p.), co dowodzi jak dalece urząd reformatora za zaszczytny uważano. Dodać jednakże należy, że rząd Wenecki swą władzę bardzo łagodnie i oględnie wykonywał, że urząd reformatorów więcej był honorowym aniżeli rzeczywistym i że wogóle uniwersytet na protektoracie rzeczypospolitej więcej zyskał aniżeli tracił.

Stanowisko rektora obdarzonego nader szeroką władzą było bardzo świetne, i z pewnością najpierwsze w mieście, to też przy każdej uroczystości miał on zawsze pierwsze miejsce przed wszystkimi urzędnikami miejskimi, a opisy uroczystości obiorowi jego towarzyszące dowodzą jak dalece zakładał o to dbał, aby swego reprezentanta jak największym otaczać przepychem. To też jak mówi Facciolati niewielką była liczba tych, którzy się o tę godność ubiegać mogli. Ponieważ jak

wyżej wspomniano tylko jeden rektor miał prawo wykładu, zatem można było wybierać tylko takiego, którego już był naukową sławę pozyskał, koszta zaś reprezentacyi tak były znaczne, że tylko zamożniejszym ludziom urząd ten powierzano, tem bardziej, że częsta była sposobność i potrzeba wysyłania deputacyi, na których należało jak najokazalej wystąpić.

Deputacye takie regularnie miały miejsce, by nowo obranemu doży przy objęciu urzędu złożyć uszanowanie. Przechował się bardzo ciekawy opis ostatniej takiej deputacyi odbytej w r. 1676 z powodu obioru doży Mikołaja Sagredo. Wtedy rektor ze wszystkimi consiliariami narodowości wybrał się w kilkanaście łodzi do Wenecyi. Na ich przyjęcie przygotowano im mieszkanie w pałacu Foscari, i te same jak zagranicznym posłom oddawano honory, bo cały pałac przystrojony był w herby rektora i uniwersytetu. Przez trzy dni ich ugaszczano, a wreszcie z wielkimi uroczystościami odprowadzono do Padwy.

Wobec tak wyniosłego stanowiska, nie dziw że się usilnie o zaszczyt rektorstwa ubiegano, to też czasami aż Senat Wenecki pomiędzy kilku kandydatami rozstrzygać musiał, których ta lub owa narodowość starała się przeprowadzić,

Bez współzawodnictwa pomiędzy rozmaitymi narodami oczywiście odbyć się nie mogło, tem bardziej że nie był ustalony ten sam jak w Bononii porządek, że każda nacya miała prawo kolejno z pomiędzy siebie rektora wybierać. Owszem widzimy z bardzo dokładnego katalogu tak jurystów jak artystów, że w Padwie bez względu na pochodzenie, najgodniejszego z całego uniwersytetu na rektora wybierano.

Stanowisko każdej nacyi na uniwersytecie zależało głównie od liczby jej reprezentantów. Na pierwszym rzędzie stali Niemcy, których zawsze było najwięcej, mianowicie od czasu jak bardzo rozgałęzione stosunki Wenecyi ze wschodem, mnóstwo tego narodu ściągało, czego dowodzi istniejący do dziś dnia gmach zwany Fondato dei Tedeschi, gdzie Niemcy mieli zwyczaj stawania gospodą. Niemcy mieli prócz tego wyłączny przywilej, że w razie głosowania dwoma rozporządzali głosami. Pomiedzy nacyami Polacy tak liczbą jak dobozem bardzo ważne i wcale niepospolite zajmowali stanowisko, aczkolwiek może zanadto ogólnie twierdzi Przeździecki, że Polacy urzędownie

drugie zajmowali miejsce. W Bononii albowiem, kolej inaczej była ustalona, a w Padwie dopiero od czasu rektoratu Zamoyskiego porządek powyższy zaprowadzono. Dziwna tylko rzecz, iż Polaków uważano jako odnogę szczepu Francuskiego i niewiedzieć z jakiego powodu do niego zaliczano, wskutek czego obie te nacye zawsze razem głosowały.

Ponieważ na rektorze i naczelnikach narodowości rządu uniwersytetu niemal wyłącznie się opierały, zatem cały byt zakładu zależał od dzielności rektora i jego rady przybocznej. W skutek tego w miarę corocznej zmiany w tych urządach, stanowisko i sława samej instytucji najrozmaitszym ulegała losom, i pod tym względem widzimy ustawiczne zmiany i skoki. Ogromna sława i pociąg zakładu dla słuchaczy nagle ustaje, liczba scholarów z kilku tysięcy schodzi na kilka set, by znów w przeciągu niewielu lat nadzwyczajnie się wzmagać. Prócz wzwyż wspomnianego powodu był jeszcze inny któren tak wielkie, w dzisiejszych czasach nieznane zupełnie zmiany sprawadzał.

Aczkolwiek mianowanie, dymissya i uposażenie profesorów zależały prawie wyłącznie od słuchaczy, to z drugiej strony powodzenie, sława i frekwencya uniwersytetu zależały dużo więcej niż dzisiaj od osobistych przymiotów profesorów, i w ten sposób te dwa czynniki nawzajem się równoważyły.

Młodzież, zwłaszcza zagraniczna, oczywiście tam najliczniej napływała, gdzie najwięcej korzyści naukowej spodziewać się była w prawie, i często się zdarzało, że do tego lub owego uniwersytetu jeżdżono, li tylko by jednego słuchać profesora. Skutkiem tego bytność choćby jednego tylko wielkiej sławy profesora mogła sama przez się stanowić o losie zakładu, dlatego wszelkimi sposobami ubiegano się o tak zwanych *professores famosi*, a kiedy jeden z nich ustąpił, wtedy rektor twarde miewał stanowisko, bo jego obowiązkiem było koniecznie o innego się postarać. W takimże położeniu znajdował się i Zamoyski w czasie swego rektoratu jak niżej obaczymy.

Wiadomo jak ogromnem było współzawodnictwo miast Włoskich pod względem znaczenia bogactwa i wpływu, jak nadzwyczajnie wskutek tego życie umysłowe było ożywione i że nie jedno wiekopomne arcydzieło sztuki, właśnie tej chęci

sadzenia się jednych na drugich zawdzięczamy; taż sama chęć ubiegania się o wyższość oczywiście i na polu naukowem się objawiła. To też miasta uniwersyteckie ogromnie sobie nawzajem zazdrościły sławy naukowej, a do tego dodać należy, że i materyalna strona niemałe tutaj miała znaczenie, bo łatwo zrozumieć, że w mniejszych zwłaszcza miastach liczny wpływ młodzieży stanowił o bogactwie i dobrobycie mieszkańców. Pozyskanie tedy dla zakładu profesora wielkiej i ustalonej reputacyi naukowej, było ze strony uniwersytetu celem najrozmaitszych zabiegów, i nie było korzyści, nie było zaszczytów, którychby hojną nie szafowano ręką na to, by znakomitą siłę naukową pozyskać, lub na uniwersytecie zatrzymać. Profesorowie naturalnie o znaczeniu i wpływie swoim dobrze wiedzieli, to też używali i nadużywali takowego w celu podnoszenia swych żądań pod względem uposażenia i stanowiska, grożąc ustąpieniem z katedry na przypadek niezaspokojenia takowych. W razie tedy, że któren z nich bądź zwabiony korzystniejszymi warunkami, bądź wskutek poróżnienia się z władzami uniwersyteckimi opuszczał zakład, wtedy setki, ba tysiące słuchaczy za sobą pociągał, i to nam tłumaczy nadzwyczajne zmiany i skoki w liczbie scholarów. Jeżeli uniwersytet w ten lub inny sposób potrafił ściągnąć znakomitego człowieka, wysyłał deputacyę z kilkuset studentów, by go w tryumfie na miejsce nowego działania naukowego przeprowadzać, i można sobie wystawić co się działo w pośród tej burzliwej zapalanej do nauki młodzieży.

Profesorom chodziło bardzo o zachowanie i utrzymanie swojego wpływu, i z powodu tego na krótkie terminy, najczęściej roczne, zawierali kontrakta z uniwersytetami, na to, ażeby o ile możności mieć ręce rozwiązane na przypadek chęci opuszczenia zakładu. Te kontrakta naturalnie po większej części były przedłużane, i niejeden aż do śmierci na tej samej wykładał katedrze, zwłaszcza jeżeli uniwersytet go potrafił przywiązać, ale bywali i tacy, których ani wysokie uposażenie, ani zaszczytne stanowisko na miejscu utrzymać nie były w stanie, ale którzy w tem swą zakładali sławę, aby w jak największej liczbie miast wykładać; i z jednego do drugiego ciągle pochody tryumfalne odbywać.

Całe to życie naukowe miało swoją piękną, ożywioną, a nawet poetyczną stronę, ale musiało być powodem do rozmaitych i wielkich nadużyć, i działy się też okropne, ¹⁾ z drugiej atoli strony musiało ono być niepospolitym bodźcem do największych naukowych wysiłów. Sława i frekwencya uniwersytetu mogła chwilowo na tem tracić, często przenoszenie się słuchaczy z miejsca na miejsce tożsamo wiele miało niekorzystnych skutków, ale nauka wogóle bardzo na tem zyskiwała, a równie wielkiej sławy w uczonych, równego zapалу dla wykładających, nie mówię już pomiędzy słuchaczami, ale w całym kraju, chyba późniejsze czasy już nie widziały. Wszakci wykładali od tego czasu Kujacyusz i Pothier, pamięta nasz wiek Sawiniego i Schellinga, Ozanama i Gołuchowskiego; ale kiedy umarł Baldus a Ulbaldis i Bartolus a Sassoferato, wtedy całe Włochy przez jakiś czas uspokoić się niemogły, a Facciolati niemoże dostatecznych znaleźć wyrazów, ażeby sławę Fallopiusa dostatecznie podnosić.

Tempora mutantur... Wszystko co tutaj opisano w naszych czasach byłoby zupełnie niepodobnem. Prócz wielu innych okoliczności wpływających z całego ustroju społeczności średniowiecznej, a które do wytworzenia tak odrębnych stosunków się przyczyniły, zachodzi jeden jeszcze bardzo ważny wzgląd, na którym wielce uwagę zwrócić należy, a nim jest, że nieznaną była jeszcze sztuka drukarska. Czego się dzisiaj na wykładach nie nauczymy lub niedouczymy, tego możemy za pomocą książek do pewnego stopnia dopełnić, a chociaż żywego słowa nic zastąpić w zupełności niemoże, to jednak mnogość książek i łatwość dostania takowych, nadzwyczajną jest w nauce pomocą. Inaczej wtedy: książek nie było wcale, rękopisy źródeł niezmiernie rzadkie,

¹⁾ W razie np. że nie było stałego funduszu na jaką katedrę, słuchacze chcąc utrzymać profesora, musieli pomiędzy siebie rozdzielać jego pensję i bardzo wysokie opłacać czesne. Niejednemu nie będącemu w stanie zaraz zapłacić, profesor kredytował, uważając to jako poręczone pieniądze, i od razu wysoki bardzo procent od sumy w ten sposób pożyczonej sobie rachował, z czego się pomiędzy uczniami, a profesorami prawdziwa tworzyła lichwa. Savigny III str. 259.

na wagę złota cenione, i wykład profesora; na tem się ograniczały wszelkie środki naukowe. Można sobie zatem wystawić z jaką chciwością i z jakim skupieniem z dalekich stron np. z Anglii lub Polski przybyły scholarius, chwytając każde słowo profesora, wiedząc dobrze, że czego się na miejscu nie nauczy, tego później niezem nie zastąpi, i że tylko bogaty zapas zebranych na wykładach zapisków może mu późniejsze pole do działania otworzyć i poniesione koszta trudy, i długi czas w uniwersytecie spędzony wynagrodzić. Nauka była wtedy o wiele trudniejszą, mniej dla ogółu przystępną, ale o wiele gruntowniejszą i ściślejszą, bo wyłącznie na źródłach się opierając nie była zagmatwaną tak wielką różnością zdań i opinii, które w nieskończonej dzisiaj liczbie rozpowszechnione podręczniki naukowe, w młodzieży uczącej się zaszczepiają.

Wszystko co dotąd powiedziano tłómaczy nam niesłychane, wyjątkowe stanowisko profesorów, i zaiste piękny nam przedstawia widok ta niezawisłość korporacyjna studentów, obdarzonych przesadzonemi niemal swobodami, w obec tak szczytnego ze swojej znów strony potężnego stanowiska profesorów. Nie myślimy tu bynajmniej wychwalać bezwzględnie owych czasów, musiały one mieć i miały z pewnością swoje usterki, zdrożności i nadużycia; wreszcie „każdy wiek ma swoje przywary.“ Chcieliśmy tylko dać obraz tych mrowisk życia naukowego, jak nam się ze źródeł przedstawia, a że to się czyni z pewnem ciepłem i uwielbieniem, tego piszącemu jako należącemu do tego samego cechu za złe brać nie można. Prócz tego tak samo jak dzisiaj bywało i wówczas; obok uczącej się i pracowitej młodzieży było mnóstwo próżniaków i nieuków wyprawiających bijatyki i burdy uliczne i wprowadzających często rektora w okropny kłopot, czego mianowicie doświadczył następca Zamoyskiego w rektoracie, Neapolitańczyk Pinto, któren niezdolał trzech scholarów od więzienia i tortur uwolnić. Częstokroć nie dla prawa Rzymskiego lub medycyny, ale dla ćwiczenia się w szlachetnej nauce fechtunku i jazdy konnej do Padwy jeżdżono, jak o tem świadczy Piotr Bucius w opisie podróży do Włoch przez Henryka III Francu-

skiego odbytej ¹⁾ Te bowiem rycerskie rzemiosła zarówno na uniwersytecie Padewskim kwitnęły, zapewne od czasu jak po upadku sławnej Neapolitańskiej szkoły fechtunku; tradycje takowej w Padwie się utrzymały.

Wyżej opisane stosunki między słuchaczami, a profesorami i wpływające ztąd wielkie zmiany frekwencyi na uniwersytetach, po wynalazku druku musiały się wielce zmodyfikować, bo jak słusznie mówi stary kronikarz, wynalazek druku taki sam przewrót zaprowadził w sposobie i środkach nauczania, jak wynalazek prochu *ognistego* w ówczesnej sztuce wojkowej. Jednakże blisko przez cały wiek zanim druki dostatecznie się rozpowszechniły, położenie było to samo, a to pewnę, że za czasów Zamoyskiego jeszcze z tą samą zapalczywością ubiegano się o *professores famosi*, i frekwencya tym samym ulegała zmianom. ¹⁾

Tak wielkiej liczby słuchaczy jak w Bononii w Padwie nigdy nie było, jednakże dochodziła ona do 5000, co w stosunku do ludności miasta zawsze bardzo poważną stanowi cyfrę. Największą była frekwencya na początku 14go wieku. W końcu takowego z powodu wielkich przewrotów politycznych, a mianowicie przejścia Padwy pod władzę rplł. Weneckiej poczyną słabnąć. Na początku XVgo wieku znów napływ ogromny, w r. 1420 się zmniejsza. Pomiędzy r. 1444 a 1450 liczba studentów schodzi do 300, by się we cztery lata później znowu ogromnie zwiększyć. W r. 1525 pisze Piotr Bembo do Rhamnusiusa, że uniwersytet Padewski zupełnie upada, tożsamo Jakób Bonfadius do Martinenga; w parę lat później znów napływ ogromny. Dziwnym i bardzo szczęśliwym trafem zachował nam się tu dokładny spis słuchaczy wydziału prawnego w r. 1564 tj. za rektoratu Zamoyskiego, z wymienieniem ilu słuchaczy w każdej narodowości się znajdowało.

Dla dopełnienia tego obrazu musimy tutaj nadmienić o jednej jeszcze okoliczności; która nadawała owym zakładom odrębną zupełnie cechę i doprowadzała do faktów prawdziwie niesłychanych. Uniwersytety mianowicie, tylko własnymi żyły

¹⁾ Petri Buccii: de Henrici III Galliae regis per Italiam itinere, str. 137.

¹⁾ List Rektora Ferdynanda do Abdua 3go Paździer. 1545.

funduszami, nie pobierając żadnej, albo tylko niezmiernie małą od władzy rządowej subwencyę. Było wprowadzić wiele kolegiów i zakładów dla bezpłatnej nauki i pomieszczenia młodzieży; Facciolati wylicza nawet 27 takich kolegiów, przez rozmaite osoby, głównie jednak przez arcybiskupów fundowanych.¹⁾ Jednakże kolegia te nie miały nigdy tego znaczenia, ani tak wielkich funduszy, jak tego rodzaju zakłady na uniwersytetach Francuzkich, a mianowicie Angielskich; powtórce były one wyłącznie przeznaczone na korzyść słuchaczy a nigdy profesorów. Utrzymanie zatem tych ostatnich ciążyło wyłącznie na słuchaczach, tak że nawet niewiadomo z jakiego funduszu początkowo płacono profesorów. Później jak pensye i wymagania takowych coraz się zwiększały, uniwersytet często był zmuszony udawać się o pomoc do rządu Weneckiego, a nawet do Papieża, jak np. w r. 1560. kiedy w tym celu wysłano deputacyę do Piusa V. — Senat Wenecki bardzo był skąpy i nie lubił dawać gotowych pieniędzy, mimo to jednakże uniwersytetu nie opuszczał, przeznaczając na jego korzyść pewne dochody i podatki miejskie, i w ogóle w ten lub inny sposób mu dopomagał. I w tym względzie zdarzyły się fakta malujące lepiej jak cokolwiek całą naiwność i dziwaczność obyczajów średniowiecznych, a możnaby tak samo powiedzieć, brak wszelkiej obyczajności.

Jednego razu Rektor i rada uniwersytecka w wielkim byli kłopotcie. Profesorowie domagali się większego uposażenia, grożąc ustąpieniem z katedry, fundusze wszystkie były wyczerpane, niewiedzieli zupełnie jak sobie radzić. Wreszcie wpadli na myśl, i zaproponowali rządowi Weneickiemu, ażeby podatek opłacany przez kobiety i domy publiczne wyszrubować jak najwyżej i obrócić na rzecz uniwersytetu i z tego funduszu powiększyć płacę profesorom. Zaiste nawet czytając akta trudno oczom swoim uwierzyć, jednakże Facciolati cytuje takowe *in exteso*. Miało to miejsce dwa razy, w r. 1384, a drugi raz 20 Lipca 1493; senat Wenecki na to się zgodził, i nie tylko że tak dziwny projekt przyjęto, ale nawet wykonano, a kroniki podają bardzo dokładnie sumy, jakie ten fundusz przynosił, oraz że musiano tego wkrótce zaniechać, bo kobiety tego

¹⁾ Syntagm. str. 119—152.

rzemiosła rozmaitemi sposobami od tego podwyższonego haraczu umiały się wyswobadzać.¹⁾

Niemozna dokładnie ze źródeł wymiarkować, jak długo trwały te niezależne rządy uniwersytetu pod względem finansowym, zdaje się jednak że w środku 17go wieku już musiały być stałe rządowe fundusze na utrzymanie uniwersytetu przeznaczone, wogóle zaś Padwa dużo wcześniej niż inne szkoły miała pewną liczbę posad profesorskich ze strony rządu Weneckiego uposażonych, co naturalnie na pewne ograniczenie (acz bardzo łagodne) autonomicznych rządów szkoły wpłynęło.

Oto jest pobieżny obraz uniwersytetów Włoskich, ich historii znaczenia i wpływu na społeczeństwo i naukę ówczesną. Ma się rozumieć że pominięto tutaj mnóstwo ciekawych i zajmujących szczegółów, które zresztą, każdy łatwo może wyszukać w podanych i przytoczonych dziełach. Chodziło tylko o wykazanie najważniejszych stron, i zupełnej różnicy tych instytucyj od nowoczesnych zakładów naukowych, aby na tem tle stanowisko i postać dwudziestokilkuletniego Jana Zamoyckiego, oraz znaczenie jego rektoratu przedstawić.

IV.

Kto podróżował po Włoszech, temu zapewne obok najrozmaitszych uroczych wspomnień, i to zostało wrażenie, że w każdym ważniejszym mieście znajdują się pewne wybitne miejsca, bądź to budowy i gmachy publiczne, bądź pomniki i arcydzieła sztuki, w których jakby promienie w szkłe słonecznem zbiegają się wszystkie dzieje, pamiątki i zdarzenia, które miastu temu zyskały sławę i odrębne, indywidualne nadały znaczenie; a urok krajowi temu właściwy na tem polega, że gdziekolwiek się obrócimy, spotykamy się z tętnem prawdziwego, gorącego a zawsze niepospolitego życia, które nas odrazu porywa i z teraźniejszości w odległą przenosi przeszłość.

Jak w Rzymie Watykan i Koliseum, w Wenecyi Plac Śgo Marka, w Florencyi Palazzo Pitti i Laurentiana, tak znowu

¹⁾ Facciolati syntagm. str. 95.

w Padwie kościół Śgo Antoniego i uniwersytet są owemi punktami zbornymi, które nas głównie pociągają i na wspomnienie któregośkolwiek z tych miejsc odrazu na myśli stają.

Kogo rozkoszne wędrówki po Włoszech zawiodły do Padwy, ten zapewne nie omieszkiał, oddawszy poprzednio pokłon Ś. Antoniemu, udać się do starożytnego gmachu uniwersyteckiego. Gdy się wchodzi do obszernego dziedzińca, otoczonego do koła pięknymi o trzech piętrach wznoszącymi się arkadami, pierwsza rzecz, która zwiedzającego uderza, jest mnóstwo znaków herbowych, bądź rzeźbionych bądź malowanych, umieszczonych na wszystkie strony, gdziekolwiek się stósowne do tego znalazło miejsce. Na krużgankach, filarach, wnękach, to osobno, to rzędem, wszędzie świecą godła herbowe. U każdego z nich wyczytać można nad tarczą imię i nazwisko herbowego, a znajdziesz tam znakomite i szlachetne nazwiska ze wszystkich niemal krajów, pod tarczą zaś wypisane, z jakiego narodu herbowy pochodził. Znajdują się tam wprawdzie nazwiska narodów, którychbyśmy w książkach geograficznych napróżno szukali, ale obok tego spotykamy się ze znanymi powszechnie narodowościami.

Wprost naprzeciw wejścia głównego, na pierwszym piętrze krużganków, na prawo od wielkich podwojów, wiodących do auli uniwersyteckiej, spostrzegamy herb rzeźbiony, znacznie od innych większy. Tarcza herbowa pokazuje nam trzy, włócznie w polu czerwonym; nad tarczą napis: *Joannes Sarius Zamoscius*, a pod nią *ex natione Polona*. Obok stoi napis:

Saryuszowi Zamoyskiemu, Stanisława Starosty Bełskiego i Hetmana nadwornego synowi ¹⁾, obojga praw Doktorowi, Polakowi, Rektorowi dobrze zasłużonemu, Szkoła jurystów poświęciła 1 Września 1564.

¹⁾ W oryginale stoi: „Regii equitum ductoris.“ Tłumaczenie podałem według Przeździeckiego: *O Polakach w Bononii i Padwie* — Warszawa 1853. — W książeczce tej, zawierającej wiele ciekawych historycznych i biograficznych szczegółów, zebrał autor większą część przytoczonych i tutaj nazwisk, z pominięciem wszakże dość ważnych. Część tych nazwisk przedrukował tożsamo *Wiszniewski*: *Podróż do Włoch* str. 215, ale wiele fałszywych podaje wiadomości.

Sotsunki Polski z Włochami od dawnych czasów bardzo były częste. W rachunkach dworu i skarbu królewskiego z czasów Jagiellonów przechowanych, znajdujemy tego każdodziennę niemal ślady. Naukowa atoli styczność Polski z Włochami jeszcze dużo dawniejszych sięga czasów, i z pewnością Polacy byli w rządzie pierwszych cudzoziemców, którzy do Włoch po naukę jeździli, a śmiało można twierdzić, że w ogólnym ruchu umysłowym wieków średnich, który z Włoch po całej Europie się rozchodził, bynajmniej w tyle nie zostawali. Ponieważ zaś uniwersytety były ogniskiem tego ruchu, zatem styczność z temi szkołami jest dowodem udziału, jaki Polska w owym ruchu brała, w czasach o wiele odrodzenia nauk poprzedzających ¹⁾.

To też już bardzo wczesnie, bo niespełna w 50 lat po założeniu uniwersytetu padewskiego, w roku 1270 znajdujemy Polaka na stanowisku rektora. Był nim Mikołaj Polak archidyakon krakowski, rektor *Transalpinów*, o którym jednakże prócz wyraźnej w katalogu rektorów wzmianki, innego śladu nie znajdujemy ²⁾.

Pod rokiem 1307 wspominają źródła o Polaku Ajmeryku czyli Emeryku, który w Padwie t. r. stopień doktora medycyny uzyskał. Ponieważ zaś dwukrotnie i bardzo wyraźnie wspomina o nim *Facciolati*, nazywając go raz *Ajmericus de Polonia*, drugi raz *Ajmericus Polonus*, i wymienia nazwiska

Tomasini w kilku miejscach podaje napisy dotyczące się Zamoyskiego, bo o ile z niego można wyrozumieć, było ich trzy na rozmaitych miejscach. str. 412, 477, 487. Przeździecki podaje ich dwa i dzisiaj przynajmniej więcej ich nie ma. W tekście przytoczony napis znajduje się tak samo w dziele: *Iscriptiones Patavinae a Jacobo Salomonio editae. Patavii 1708. 4to.*

¹⁾ *Tomasini* mówi o Polakach str. 53: „Dostarczali oni po wszystkie czasy znakomitych uniwersytetowi mężów, którym powierzano częstokroć najwyższe godności uniwersyteckie.”

²⁾ Jest to drugie nazwisko rektora, o którym w ogóle źródła wspominają; pierwszym bowiem rektorem, którego się pamiętać przechowała, jest *Amaldus* czyli *Gosaldus* Hiszpan, r. 1260 zatem drugim z rządu rektorem był ów *Nicolaus Polonus*.

profesorów, którzy jako promotorowie na dyplomacie doktorskim byli podpisani, trzeba przypuścić, że Facciolati, znany ze swej sumienności kronikarz, powyższy dokument musiał mieć w rękach ¹⁾. Otóż najdawniejsze dyplomata doktorskie są: D. Kiginkolia z r. 1276, D. Bartłomieja z Kapuy r. 1278, D. Franciszka z Thelezyi r. 1300 ²⁾. W rzędzie zatem najstarszych dyplomów doktorskich byłby dyplom polski owego Emeryka, a co jeszcze ciekawsze, że to jest dyplom doktora medycyny, zapewne najdawniejszy nauki tej dyplom, jaki w ogóle istnieje na świecie.

W roku 1351 znajdujemy jako rektora Fryderyka Polaka, bez żadnej innej wzmianki.

W roku 1419 Mikołaj Polak, archidyakon krakowski, który nawet przez lat trzy godność swoją piastował, czego drugiego przykładu w dziejach uniwersytetu nie mamy ³⁾.

W roku 1400. Wawrzyniec Polak, syn barona Mikołaja; był on sam jeden rektorem *Cisalpinów i Transalpinów*, chociaż postanowienie, by oba oddziały jednego tylko rektora obierały, zapadło dopiero w r. 1473.

W roku 1525. Mikołaj Prebonianus.

Wiadomo zresztą, że Mikołaj Kopernik w r. 1495 do Padwy przybył i przez cztery lata tamże nauki odbywał, że najznakomitsi nasi pisarze i mężowie stanu 16go wieku w Padwie się kształcili, jakoto: *Piotr Myszkowski* biskup krakowski, *Wawrzyniec Goślicki* biskup kamieniecki, *Jan Kochanowski*, *Łukasz Górnicki* ⁴⁾. Mamy więc od najdawniejszych czasów aż do roku rektoratu Zamoyskiego nieprzerwane ślady bytności Polaków w Padwie, i widzimy, jak zaszczytne i niepospolite na uniwersytecie stanowiska zajmowali, którego pamiętać jednakże dopiero Jan Zamoyski utrwalił i nową okrył chwałą.

¹⁾ *Facciolati: Fasti* I. str. XIV i XLV.

²⁾ *Savigny* III str. 712—720.

³⁾ *Ciampi: Bibliogr. critica* t. II . 2. nie wątpi, że to był Mikołaj z Błonia i według Janockiego podaje tytuł jego dzieła, które w bibliotece Kanoników regularnych w Miechowie się miało znajdować.

⁴⁾ *Przeździecki* I. c. str. 9.

Nie wiadomo dokładnie, którego roku Zamoyski do Padwy przybył, jednakże rok jego przybycia daje się prawie z pewnością oznaczyć. Heidenstein albowiem opowiada, że Zamoyski wysłany w młodym wieku na dwór Delfina francuzkiego, ztamtąd na uniwersytet paryzki, a następnie do Strasburga się udał, i dopiero po czteroletnim we Francyi i Niemczech pobycie, celem dokończenia nauk pojechał do Padwy. Musiał zatem wtedy mieć co najmniej lat 19, bo trudno przypuścić, aby go w dzieciennym zupełnie wieku za granicę wysłano. Rachując od roku jego urodzenia (1541), wypadłoby to na r. 1560. Z drziej strony zachowała się mowa Zamoyskiego, powiedziana na pogrzebie Gabryela Fallopiusa, wielkiej sławy uczonego i profesora uniwersytetu padewskiego, zmarłego 14 Października 1562 r. Otóż trudno przypuścić, aby nowo przybyłemu scholarowi powierzono tak wielki zaszczyt, za jaki, jak niżej zobaczymy, uważano pożegnanie zwłok zmarłego profesora. Można zatem z wielkiem twierdzić prawdopodobieństwem, iż kiedy Zamoyski tę mowę powiedział, przynajmniej już od roku musiał gościć na uniwersytecie. Wnoszę z tego, że musiał on przybyć do Padwy r. 1560 lub co najpóźniej 1561.

O pierwszych czasach pobytu jego w Padwie bardzo mało mamy wiadomości. W archiwum ordynacyi Zamoyskiej, pomiędzy mnóstwem listów Zamoyskiego, nie ma ani jednego datowanego z Padwy; najdawniejszy, jaki się znajduje, jest z r. 1563, datowany z Wielunia, co dowodzi, że w ciągu wakacyj zapewne musiał on odbyć podróż do Polski; ale w liście tym o pobycie na uniwersytecie żadnej nie ma wzmianki. — Heidenstein opowiada, że wykladało ówczesnie dwóch słynnych profesorów Sigonius i Robortellus, a ponieważ tych samych przedmiotów t. j. literatury greckiej i łacińskiej uczyli, rozwinęła się wskutek tego między nimi okrutna zawiść i współzawodnictwo ¹⁾. Facciolati opisuje nam to wszystko bardzo szczegółowo, a rzecz się miała jak następuje:

¹⁾ Heidenstein Vita Joan. Zamoscii ed. Działyński str. 8. — Duncewski, *Herbarz polski* część I str. 195 i 196 wspomina również dość obszernie o bytności Zamoyskiego w Padwie, ale prawdziwe duby smalone o rektoracie i urządzeniach uniwersytetu prawi.

W r. 1552 mianowano Robortella profesorem, a ponieważ tenże, jak się to często wówczas działo, po sześcioletnich wykładach do Bononii się przeniósł, powołano na jego miejsce Karol Sigoniusza, sławnego owych czasów humanistę. Tymczasem Robortellus we dwa lata później do Padwy powrócił. Uniwersytet nie mogąc się na wybór pomiędzy nimi zdecydować, a nie chcąc się tak znakomitej siły naukowej jak Robortellus pozbywać, jednemu i drugiemu tę samą powierzył katedrę. Ztąd pomiędzy nimi taka się wywiązała zazdrość i nienawiść, że obok wykładów największymi obelgami na siebie rzucali; a trzeba wiedzieć, w jaki sposób uczeni owych czasów się z sobą obchodzili. Kiedy na początku odrodzenia Poggio Bracciolini i Franciszek Filelfo, największe powagi naukowe owego czasu, zazdroszcząc sobie wynalezionych rękopisów i sławy naukowej, zapłonęli największą do siebie nienawiścią; wtedy zaczęli wydawać pamflety, które w sposób bardzo naiwny nazywali *in-vectivae* (napaści). W tych pisemkach najobrzydliwszymi na siebie miotali obelgami, i nie było zbrodni i nieuczciwości, którejby sobie nawzajem nie wyrzucali. Tak samo względem siebie postępowali Sigoniusz i Robortellus. Ponieważ obaj równego używali wzięcia, cała akademія pod ich dowództwem na dwa się podzieliła obozy, a młodzież, korzystając z dobrego przykładu w sposobie polemizowania przez profesorów danego, okrutne bójki pomiędzy sobą staczała. W skutek tego takie na uniwersytecie powstały zamieszki, że przez kilka tygodni ani jeden ani drugi wykładać nie mogli. Aczkolwiek w roku 1559 cała rzecz w skutek wdania się senatu weneckiego została załagodzoną, jednakże zawziętość profesorów i ich partyzantów pozostała, i w czasie przybycia Zamoyskiego do Padwy kwitła w najlepsze. Niemcy i ich stronnicy brali stronę Robortella, Francuzi z Polakami Sigoniusza się trzymali. Który z nich większym był gburem, tego nam już kronikarz nie opowiada, ale wolno przypuścić, że Francuzi i Polacy oświadczyli się za grzeczniejszym. Potwierdza to i Heidenstein, opowiada bowiem, że Zamoyski zaraz z początku chodził na wykłady Sigoniusza, a kiedy w celu odwiedzin i poradenia się w kwestyi naukowej udał się do Robortella, tenże widząc, że Zamoyski Sigoniusza słuchał, tak go niegrzecznie i po grubiańsku przyjął, że od tej chwili Zamoyski zupełnie kierunkowi Sigoniusza się oddał. Takie wrażenie w młodocianym

umyśle niezatarte zwykły pozostawiać ślady, i bardzo być może że to drobne na pozór zdarzenie na cały późniejszy kierunek Zamoyskiego wpłynęło. Wiadomo bowiem, że w czasie elekcji był on jednym z głównych partyzantów Henryka Walezyusza, a później przez całe życie zaciętym wrogiem dworu Raku-skiego.

Wszystko inne, co Heidenstein na tem miejscu opowiada, jakoto: o deputacyi Zamoyskiego do Wenecyi, wysłanego przez stronnictwo Sigoniusza celem pilnowania sprawy tegoż wobec senatu weneckiego, i dalsze jego w tej sprawie postępowanie jest wtedy szczerym wymysłem. Zamoyski wtedy do Wenecyi nie jeździł, bo jeszcze nie byłurzędnikiem uniwersytetu, cała ta rzecz działa się w r. 1559, kiedy jeszcze Zamoyskiego w Padwie nie było; wreszcie Sigoniusz w r. 1564 udał się do Bononii, Robortellus zaś aż do śmierci w Padwie wykładał. Nawet i co do tak bliskich Zamoyskiego z Sigoniuszem stosunków, musimy Heidensteinowi na słowo wierzyć. Zamoyski od samego początku zapisał się na wydział prawny i później był rektorem jurystów, i na tem całe jego polega stanowisko; zresztą sam Zamoyski na wskrós był prawnikiem i aczkolwiek niewątpliwie bardzo grunto-wnie w językach starożytnych się kształcił, nie ma powodu, dlaczegoby był się szczególnie z profesorem innego wydziału związał. Sigoniusz wprawdzie bardzo wielkiej używał reputacyi, ale i prawnicy liczyli dwóch nie mniejszej w swoim zawodzie sławy profesorów: Juliusza Salerna i Guida Pancirola, którzy wtenczas wykładali i których Zamoyski z pewnością słuchać musiał.

Pierwsze publiczne Zamoyskiego wystąpienie w Padwie miało miejsce przy sposobności pogrzebu Gabryela Fallopiusa. Był to mąż wielkiego znaczenia, tak z przodków w rzemiośle wojennym sławnych, jak i z siebie samego, toteż źródła kil-kakrotnie z największym uznaniem o nim wspominają. Najprzód był profesorem w Modenie, później w Pizie, nakoniec go senat wenecki r. 1551 powołał do Padwy, gdzie jako profesor i le-karz praktykujący ogromnej nabył sławy. Umarł w 40 roku życia, 14 Października 1562 r. Na jego tedy pogrzebie Za-moyski miał mowę. Że nielada komu tego rodzaju zaszczyt powierzano, dowodzą najlepiej źródła, bo zawsze wymieniają, komu było poruczono mówić na pogrzebie sławnego profesora

dodając, że mówca powinien sobie to za wielki zaszczyt uważać. Fallopius według kronik liczył się do największych ozdób uniwersytetu padewskiego, nadto będąc lekarzem, należał do uniwersytetu artystów, a zatem właściwie słuchacz z jego wydziału byłby powinien przy tej sposobności przemawiać. Jeżeli zatem wybór padł na Zamoyskiego, to mamy w tem dowód, jakie imię i stanowisko już wtedy na uniwersytecie pozyskać sobie musiał. Mowa ta dość długa, napisana piękną łaciną acz trochę napuszystym stylem, wyszła niebawem drukiem w Padwie w drukarni Innocentego Ulma 1562 r. O ile mi wiadomo, tylko w jednym egzemplarzu się w Polsce znajduje. Tytuł: „J. S. Zamoyskiego mowa, miana na pogrzebie znakomitego męża G. Fallopiusa.“

Możeby dla innego zaszczyt w tak młodym osiągnięty wieku był wystarczał, Zamoyski oczywiście na tem poprzestać nie myślał. Chodziło mu o osiągnięcie najwyższego zaszczytu naukowego, którego już wielokrotnie inni jego rodacy na tem samem miejscu dostąpili; chodziło o zdobycie stanowiska rektora uniwersytetu. Jak już wyżej powiedziano, jeden rektor miał prawo wykładania, o ile się tem chciał zajmować; z tego powodu pomiędzy innemi warunkami był i ten, że kandydat na rektora musiał już mieć jakąś naukową reputację. Wziął się więc Zamoyski do pracy i w roku 1563 wydał sławną swoją książkę o senacie rzymskim. Dzieło to aż do dziś dnia zachowało swoje naukowe znaczenie; nie tutaj miejsce takowe krytycznie i naukowo rozbierać, wspomnieć jednakże należy tak o stylu jak o autorze. Dzieło dedykowane jest Piotrowi Myszkowskiemu, biskupowi krakowskiemu, i piękną do tegoż wystosowaną przedmową poprzedzone. Styl nadzwyczaj jędrny i ścisły, łacina doskonała, znajomość autorów ogromna; tak zaś jest napisane treściwie i zwięźle, taki brak zupełny nie odnoszących się do przedmiotu dygressyi, że nadzwyczajnie trudno zdać z niego sprawę. W każdej kwestyi przechodzi Zamoyski odrazu *in medias res*, a nie omija żadnej, nawet najtrudniejszej, i żadnego nie stawia zdania bez poparcia takowego przytoczeniem autorów, a gdzie się do tego zdarza sposobność, głębokie polityczne dodaje poglądy, jak np. str. 16 — 19, gdzie opisuje starania Augusta cesarza celem podniesienia upadającej godności senatorskiej czynione. W każdym razie książkę

tę mimo tak niezliczonych od tego czasu poszukiwań na polu historii rzymskiej czynionych, jeszcze dzisiaj z pożytkiem i przyjemnością czytać można ¹⁾).

Dzieło to jak tylko wyszło, ogromne zrobiło wrażenie i dlatego nawet twierdzono, że nie Zamoyski ale Sigoniusz jest jego autorem; dowody jednakże przeciwne tak są liczne, że niepodobna ich tutaj pominąć. Styl najprzód sam z siebie jest zupełnie odrębny, do innych dzieł owej epoki wcale niepodobny. Sama osobistość Zamoyskiego i stanowisko jego na uniwersytecie nie pozwala przypuszczać rozmyślnego z jego strony plagiatu. Nakoniec wszyscy autorowie, którzy o dziele tem wzmiankę czynią, z wyjątkiem jednego, autorstwa Zamoyskiego nie podają w wątpliwość. Tylko Teisserius w życiu Karola Sygoniusza, wydanem przez Muratorego, wspomina, że jemu przypisują dzieła Zamoyskiego o senacie, ale dodaje, że według jego mniemania niesłusznie. Nakoniec biblioteka ordynacyi Zamoyskiej posiada rękopis Zamoyskiego, uważany powszechnie za oryginalny, który wprawdzie nie zawiera dzieła samego, ale liczne do takowego notatki i przygotowania; widzimy więc, że wiele bardzo ważnych dowodów przemawia za autorstwem Zamoyskiego, a tylko jeden i to wątpliwy i niepewny przypuszcza, że Sigoniusz pisał dzieło o senacie. Wreszcie w późniejszych czasach, kiedy Zamoyski był na szczycie potęgi i sławy, kilkakrotnie pisarze polscy i zagraniczni o dziele tem wspominali, nie przypuszczając nawet, żeby kto inny mógł być takowego autorem, a wspominali z najwyższem uznaniem ¹⁾. Śmiało więc można przypuścić, że Zamoyski, który już wtedy i tak miał podostatkiem sławy, byłby autorstwu swemu zaprzeczył. Ponieważ tego nigdy nie uczynił, ponieważ przytoczone tu powyższe względy zdają nam się mieć niezaprzeczoną wagę, zatem stanowczo nie mamy prawa wątpić, iż on jest

¹⁾ Hallam w swoim dziele: *Introduction to the literature of Europe* T. II str. 45. Wspomina o tej książce i o wielkim rozgłosie, jaki ona w swoim czasie miała.

¹⁾ Mowa *Jędrzeja Bajana Portugalczyka*, na cześć Zamoyskiego odczytana w Rzymie 1617. Rękop. bibliot. ord. Zamoyskich. *Adam Burski* w przedmowie do dzieła: *Recensio judicii Dionysii Halicarnassei*. Rękopis bibl. ord. Zamoyskich.

autorem dzieła o senacie rzymskim. Wreszcie jest jeden ogólny powód, który bardzo za autorem Zamoyskim przemawia. Wiadomo, jak uczeni włoscy byli zazdrośni swojej sławy i że bynajmniej do dzielenia się takową z innymi nie byli skłonni. Trudno więc przypuścić, aby Sigoniusz, zwłaszcza że książka o senacie rzymskim tak wysoko była ceniona, był spokojnie na to patrzył, że kto inny z jego pracy naukowej wawrzyny zbiera.

Pozyskawszy tem dziełem reputację naukową, mając zapewne już potężne w uniwersytecie stronnictwo, mógł Zamoyski pomyśleć o rektorstwie. Stanowisko rektora w owym czasie zapewne już nie było tak świetnem, jak w XIII i XIV wieku, co więcej właśnie przedtem, tj. r. 1560 odjęto scholarom raz na zawsze prawo mianowania profesorów, prawo, które *de facto* już zapewne dość dawno było wyszło z użycia, mimo to i wtedy jeszcze rektor ogromną miał w uniwersytecie władzę, zwłaszcza że Facciolati wyraźnie wspomina, iż właśnie pod środek XVI wieku tak stanowisko organów uniwersyteckich, jak godność stopni akademickich na nowo odżywać poczęła. Dodaje wreszcie, że mimo zniesienia prawa mianowania profesorów, scholary rozmaitemi sposobami jeszcze bardzo znaczny na mianowanie i usuwanie profesorów wpływ wywierali.

Szczegółów obioru Zamoyskiego zupełnie nie znamy; obiór odbywał się przez głosowanie; gdy więc większa część narodości na niego się zgodziła, wybór jego był zapewnionym. Co Heidenstein o tem opowiada, mogłoby na zupełnie fałszywe naprowadzić mniemanie. Według Heidensteina zdawałoby się, że partya niemiecka, mając jakoby tradycyjnie zachowany rektorat i teraz jednego ze swoich przeprowadzić chciała; partya zaś francuzka na swoją ciągnęła stronę i Zamoyskiego jako wpływem i stanowiskiem najznakomitszego, jako kandydata postawiła. Wszystko to jest szczerym domysłem. Nacya germańska rzeczywiście od samego początku jak i nadal ogromną miała przewagę i największą liczbą rektorów szczyścić się mogła, ale tak dalece tradycyjnie urzędu rektorskiego nie piastowała, że przed rektoratem Zamoyskiego przez 7 lat żaden Niemiec rektorem nie był, a po upływie jego urzędowania znów z kolei dwóch Włochów na rektorów obrano. Że stronnictwa na uniwersytecie były i że często pomiędzy niemi zachodziły

starcia, to rzecz bardzo prosta, inaczej nawet być nie mogło; ale Heidenstein rzecz całą w zupełnie fałszywym przedstawia świetle, i owszem właśnie w ciągu rektoratu Zamoyskiego dość przyjazne pomiędzy Niemcami a Polakami zachodziły stosunki tak dalece, że Niemcy Polaka na swego naczelnika obrali, a stanowisko Polaków na uniwersytecie tak wtedy było silne, że aż trzech na urzędzie consiliarów czyli naczelników narodowości znajdujemy, a mianowicie: Piotra Clocera Polaka, jako naczelnika Niemców, Wacława Urowieckiego Polaków, Stanisława Penańskiego jako naczelnika Czechów. Obiór Zamoyskiego zupełnie naturalnie w ten musiał się odbyć sposób, że na niego jako najgodniejszego padła większa część głosów.

Niewiele wiemy o jego działaniu jako rektora. Facciolati tylko wspomina, że po śmierci Juliusza Salerno, sławnego prawnika, bardzo energicznie o zastąpienie jego się starał, i wymienienia najslawniejszych owego czasu profesorów włoskich, z którymi kolejno Zamoyski wchodził w stosunki w celu ściągnięcia ich do uniwersytetu; dodaje jednakże, iż z żadnym układem do pożądanego nie doprowadziły skutku. Ponieważ jednakże wiadomo, że w ciągu jego rektoratu liczba studentów ogromnie urosła, musiał w końcu trafić na takiego, który był zdolnym liczną przyciągnąć młodzież, ale nazwiska jego nie wymienia. Bardzo szczęśliwym trafem zachował nam się kompletny spis młodzieży z roku jego rektoratu z wymienieniem, jaka liczba w każdej narodowości się znajdowała.

I tak w Germańskiej	200
Polskiej	60
Burgundzkiej	36
Angielskiej	10
Prowensalskiej	12
Transmarina (grecka)	20
Medyolańskiej	60
Genueńskiej	20
Etruskiej	50
Illiryjskiej	6
Czeskiej	12
Rzymskiej	95
Sycylijskiej	50

Aukonitańskiej . . .	80
Longobardzkiej . . .	151
Vicentina	100
Trevisina	100
Weneta	100
Razem . . .	1162

Spis ten obejmuje tylko słuchaczy prawa. Dodajmy do tego z jakie 800 lub 900 artystów, bo w owym czasie inne wydziały tożsamo licznie były reprezentowane, z czego wypadnie dość poważna liczba blisko dwóch tysięcy scholarów.

Jedno najważniejsze w dziejach uniwersytetu dzieło po Zamoyskim pozostało, i dlatego jego rektorat rzeczywiście do najciekawszych policzyć należy, a dziełem tem jest spisanie poprawienie i ogłoszenie na nowo drukiem starodawnych statutów uniwersytetu. Statuta uniwersytetu były podstawą jego bytu, jądrem jego istnienia i historią jego rozwoju; początkowo, jak wspomniano na wstępie, w formie zwyczajowej istniejące, później zaczęto je spisywać. W nich opisane były dokładnie często z historycznymi wskazówkami i przytoczeniem odnośnych do tego dokumentów prawa, organizacya, rozwój samej instytucyi i zakładów z nią związanych, urzędy, majątek i wszystko, co się istnienia prawnego i naukowego szkoły tyczyć mogło. W nich mianowicie zachowane były i opisane dokładnie liczne przywileje i zagwarantowana autonomia i niezależność od władzy państwowej. Toteż statutów tych strzeżono jak oka w głowie, do nich się wciąż odwoływano a profesorowie z katedry je komentowali, i do wyjaśnienia ich często nawet do prawa rzymskiego się odwoływali. Każda zatem rewizya lub zmiana w statutach była w dziejach uniwersyteru faktem wielkiej wagi. Otóż taka rewizya nawet bardzo stanowcza, i jak dowodzi Savigny, ostateczna, bo późniejsze wydanie statutów bardzo małe od tej edycyi przedstawiają różnice, za inicjatywą i staraniem Zamoyskiego przyszła do skutku. Pierwszy wiadomy spis statutów padewskich miał miejsce r. 1260 za rektora Ansalda czy Gosalda Hiszpana, a r. 1466 na nowo je spisano. Nie ma wątpliwości, że statuta Bonońskie tutaj za wzór służyły, jednakże już w drugiej redakcyi bardzo znaczne od nich zachodzą zmiany, polegające na tem, że w ogóle autonomia Padwy nieco

była mniejsza, że profesorowie dość wcześniej zaczęli od rządu wynagrodzenie pobierać i że w skutek tego młodzież wcześniej niż gdzieindziej utraciła prawo nominacyi profesorów. Statuta ogłoszono pierwszy raz drukiem w r. 1551, z małemi jednakże w pierwotnej redakcyi zmianami. Od tego czasu atoli rozmaite nastąpiły okoliczności, które nakazywały konieczną potrzebę zmiany w statutach, już to że właśnie w tym czasie ruch naukowy na nowo się rozbudził, że w skutek trudności, robionych w udzielaniu stopni akademickich, godność i znaczenie takowych się podniosły, że młodzieży w roku 1560 odebrano ostatecznie prawo mianowania profesorów, wreszcie wielce już upowszechniona sztuka drukarska ważne modyfikacye w metodzie nauczania sprowadziła. Już kilka lat pierwej nad tem radzono i rozprawiano, dlatego nie należy sądzić, ażeby ta nowa redakcyja była tylko osobistem dziełem Zamoyskiego; wreszcie nikt sam przez się coś podobnego nie robi, ale działa przez wyznaczony do tego komitet itp. To pewna, że tylko jego nazwisko wymieniają kroniki w związku z tem nowem wydaniem. W krótkim tedy czasie rewizyę statutów przeprowadził Zamoyski, potwierdzenie takowych od władzy weneckiej uzyskał, redakcyę powierzył Anglikowi Fortescue, jako najbieglejszemu w łacinie prawniczej, i ustawy uniwersyteckie w nowym kształcie na jaw wyszły. Ogłoszono je drukiem w zakładzie Gratiusa Percacina w Padwie pod tytułem:

O prawach i przywilejach dostojnej szkoły Jurystów w Gimnazyum padewskiem, ksiąg czworo. Za pozwoleniem Najjaśniejszego Senatu weneckiego na nowo poprawione i ułożone ¹⁾.

Książka ta i zagranicą niezmiernie rzadka, w Polsce o ile bibliograficzne sięgają wiadomości, tylko w jednym znajduje się egzemplarzu. Oto jest przedmowa przez rektora do młodzieży uniwersyteckiej wystowana:

Jan, Saryusz Zamoyski, Polak rektor, słuchaczom prawa pozdrowienie.

¹⁾ De constitutionibus et immunitatibus almae universitatis Juristarum Gymnasii Patavini. Libri IV. Ex illustrissimi Senatus Veneti auctoritate denuo correcti et emendati. Patavii apud Gratiolum Percacinum 1564.

„Od chwili jak mnie postawiono na czele najzacniejszego tego uniwersytetu, za najmiłszy sobie uważałem obowiązek, ażeby tę oto jakoby spartańską republikę, z waszej woli i za prześwietnego senatu przyzwoleniem, mojej powierzoną pieczy, o ile możliwości uświetnić. Widząc tedy że cała dostojność waszej w tem mieście korporacyi, zawartą jest w prawach i przywilejach przez senat Wenecki dla was potwierdzonych, zważywszy że takowe i błędnie i częstokroć niedokładnie były spisane, i że już w roku zeszłym na mocy uchwały senatu nietylko je poprawiono i lepszym ułożono porządkiem, ale zarazem wielu nowemi niemałej wagi przywilejami i godnościami zbogacono, jak najchętniej podjąłem się zadania, ażeby temu znakomitemu dziełu ostateczne nadać wykończenie. Te więc wasze prawa w czterech zawarte księgach, dla powszechnego waszego pożytku na świat wydajemy, z gorącem dla Was przywiązaniem najusilniej was napominając, ażebyście takowych ściśle przestrzegali. Nie godziło by się albowiem, żeby ci, którzy się zupełnie nauce prawa oddali, i w miastach potężnych i obszernych krainach wkrótce dla innych wymierzać mają sprawiedliwość, nie stosowali się ściśle do praw, które sami dla siebie postanowili. Należy wam zaś wszystkim mieć to silnie wyryte w pamięci, że jak długo te oto ustawy pomiędzy wami nienaruszone pozostaną, tak długo prawo, wolność i godność wasza przed każdą władzą świętą i nietykalną pozostanie. Bywajcie zdrowi.

Dan z Pałacu naszego d. 1 Czerwca 1864 r.

Na drugiej stronie umieszczone są nazwiska tych, którzy w tym i poprzednim roku godności uniwersyteckie piastowali. Szczegółów tej ustawy rozbiierać nie jest tutaj miejsce, to pewna że się w niej w porównaniu z redakcją r. 1551 ważne znajdują zmiany, np. przywrócono obowiązek szlachectwa dla rektora i prorektora, ustalono porządek nacyj i rzeczywiście według art. 1go księgi drugiej, narodowość Polska urzędownie drugie otrzymała miejsce, obostrzono przepisy co do wykładów (niewolno prof. czytać, tylko notatki przynosić; słuchaczom za-

kazano przysyłać famulusów do spisywania kursów i t. d.) Nad jednym tylko artykułem należy się po krótko zastanowić; opiewa on (księga IV. art. 1szy) że cokolwiek się w uniwersytecie odbywa, musi zawsze przejść przez głosowanie, ale to ostatnie nie odbywa się osobiście, ale przez reprezentantów czyli konsyliariorów narodowości; każda z nich ma jeden głos, tylko Germańska ma dwa. Artykuł ten dość dziwne rzuca światło na późniejsze Zamoyskiego postępowanie. Wiadomo, że największym i najzgubniejszym jego krokiem politycznym było przeprowadzenie zasady, iż szlachta przy elekcyach osobiście, *viriliter*, głosować winna. Wiedział dobrze Zamoyski jakie w głosowaniu licznego ciała zachodzą trudności i niebezpieczeństwa, i że takowe tylko przez ujęcie głosowania w ścisłe raz na zawsze ustalone karby uniknąć się dadzą; z powodu tego utrzymał w swym statucie zasadę, że każda narodowość tylko jednym rozporządza głosem. Mimo to w zawodzie swym publicznym na samym wstępie wprost przeciwnie działał. Na sejmie konwokacyjnym Warszawskim (15 Stycznia 1573) obstawał za prawem szlachty głosowania osobistego, czem ostatnią przed samowolą szlachecką usunął tamę i pierwszy uczynił krok do nieszczęsnego *liberum veto*. Uczynił to zaledwie w 9 lat po opuszczeniu Padwy, a zatem kiedy wspomnienia czasów uniwersyteckich mogły u niego być jeszcze bardzo świeże. Nie dość na tem; we dwa lata później na sejmie 4go Listopada 1575 r. za tą samą gardłował zasadą w prawdziwie niebezpieczny i złowrogi sposób, wynosząc wyuzdane szlachectwa przywileje. Argument przez niego przytoczony, że każdy szlachcic osobiście stawając w obronie ojczyzny, osobiście też króla wybierać winien, na wskrós jest fałszywym, i trudno przypuścić, ażeby on sam był przekonany o prawdzie swego dowodzenia, to też słusznie nasz historyk jego postać w tym czasie zowie demoniczną. Wprawdzie nie on postanowił zasadę o głosowaniu przez reprezentantów, bo był to zwyczaj od dawnych czasów tak w Bononii jak w Padwie ustalony, ale znał go doskonale, w statucie go utrzymał, i sam takowego podczas obioru na rektora doświadczył, a zapewne i wielokrotnie na tę samą praktykę w ciągu bytności na uniwersytecie patrzył.

W postępowaniu jego należy położyć bardzo wiele na karb wpływów jakim pośród swego otoczenia ulegać musiał.

Zamoyski był przede wszystkim szlachcicem, pośród szlachty ogromnego używał wzięcia, i jako człowiek ambitny i daleko widzący, niemógł w chwili tak ważnej narażać swego wpływu i stanowiska. Wreszcie w ciągu kilkuletniego już sejmikowania mógł się łatwo zarazić niesfornym duchem szlacheckim. Mimo to trudno go uwolnić od zarzutu, że działał nie z przekonania. W czasie pierwszego sejmu miał lat 32, a kiedy drugi raz występował za tą samą zasadą lat 34, zatem musiał już być człowiekiem politycznie wytrawnym. Należy prócz tego pamiętać że natychmiast po opuszczeniu Włoch pracował przez kilka lat w kancelaryi królewskiej pod dozorem biskupa Piotra Myszkowskiego, a zatem miał czas do wyrobienia w sobie zdrowych i chłodnych poglądów. Jeżeli mimo to wszystko do tak zgubnego i niebezpiecznego kroku politycznego się posunął, to po ludzku sądząc, trudno przypuścić, ażeby w tej chwili jedynie dobro ojczyzny był miał na widoku. W każdym razie jeżeli wtenczas nie działał zupełnie w dobrej wierze, to okupił to w życiu późniejszym takim pasmem pracy, chwały i poświęcenia, że naród powinien mu darować to nieszczerne, w skutkach swoich niestety tak zgubne postępowanie.

Na tem kończymy obraz działania Zamoyskiego jako rektora i całego jego życia uniwersyteckiego. Ma się rozumieć, że wszystko co tu powiedziano błędnie, w obec późniejszej jego w dziejach Rpltej sławy, ale dowodzi dostatecznie, jak w młodym już wieku, jego ambicya, zdolność, energia i dar pociągania ludzi na jaw wystąpiły, i w położeniu w którym się znajdował, najzaszczytniejsze mu zyskały stanowisko.

V.

W dzień Śgo Wawrzyńca 10 Sierpnia kończyło się urzędowanie Zamoyskiego. Tego samego dnia rok przedtem, według starodawnego zwyczaju był obrany rektorem, i tegoż dnia kto inny go musiał zastąpić. Niewiadomo jak długo jeszcze w Padwie bawił, to tylko pewne że dopiero w następnym roku Włochy opuścił, i że w owym czasie głównie w Wenecyi przebywał. Jako rektor Zamoyski oczywiście w bardzo częstych musiał pozostawać z Dożą i senatem Weneckim stosunkach. Prezentacya

profesorów, uzyskanie potwierdzenia dla statutów, wreszcie cała jego pozycja w Padwie stosunki te czyniły częstemi i koniecznemi. Czy kiedy w uroczystej deputacyi jeździł do Wenecyi niewiadomo, w każdym razie nowy obiór Doży sposobności do tegonie dał, bo w ciągu jego bytności, takowy nie miał miejsca. Doża bowiem Wawrzyniec Priuli obrany r. 1559 rządził aż do r. 1567, kiedy na jego miejsce nastąpił Piotr Loredano. Musiał jednakże Zamoyski i w Wenecyi wysoką zająć pozycyę, bo mamy z tego czasu bardzo ciekawy i jedyny w swoim rodzaju dokument. Jestto rodzaj listu pochwalnego, który na ręce Zamoyskiego wystósowany do króla. W nim senat Wenecki winszuje królowi że takiego obywatela w swym kraju posiada, i najwyższe dla Zamoyskiego wyraża uznanie. W archiwum Weneckiem znajduje się tylko minuta tego aktu, sam zaś dokument zapewne Zamoyski zawiózł do króla, ale napróżno śladu takowego szukałem. Ta minuta atoli tem jest ciekawsza, że widać z niej, iż w celu napisania tego listu była zwołana umyślnie sesya Senatu i że pod spodem zanotowany jest rezultat głosowania. Oto jest brzmienie tego dokumentu w dosłownem tłumaczeniu.

Działo się 7 Kwietnia r. 1565 na sesyi Senatu.

Do Najjaśn. Króla Polskiego.

Jan Zamoyski syn zacnego i szlachetnego męża starosty Bełzkiego, w naszym uniwersytecie Padewskim, przez kilka lat z wielką chwałą i zaszczytem przebywał; najzacniejszy ten mąż w rokuubiegłym był gymnasiarchą (czyli rektorem), która to godność pomiędzy temi, którzy się pracom umysłowym i naukowym oddają uważana jest za najzaszczytniejszą. W urzędzie tym tak doskonale i świetnie się sprawował, że nietylko serca całej młodzieży dla kształcenia umysłu nauką do Padwy przybyłej, ale i wszystkich obywateli, a szczególnież urzędników naszych życzliwość w szczególniejszy sposób pozyskać potrafił. Z tego powodu przyjmowaliśmy go u siebie zawsze z najlepszą wolą, a kiedy tylko zdarzała się do tego sposobność, staraliśmy się go otaczać względami i uszanowaniem. Rozmaite nas powody do takiego postępowania skłaniały; przedewszystkiem ażeby Waszej Król. Mość którą wielce kochamy i której zupeł-

nie jesteśmy oddani, w jak najlepszy sposób dogodzić, powtóre, bo do najzaciejszego narodu Polskiego głęboko jesteśmy przywiązani, nakoniec w przekonaniu że Zamoyskiego zasługi i cnoty tego po nas wymagały. Dzisiaj atoli kiedy odebrawszy za swą naukę należną mu nagrodę i sławę, zabiera się z powrotem do Waszej Król. Mości, nie możemy dozwolić, aby bez naszego pisma do Was powracał, którymto pismem pragniemy tak Waszej Król. Mości Zamoyskiego zalecić, jak na to zasługuje przez swą cnotę, naukę, i najlepsze postępowanie. Co do reszty upraszamy Waszą Król. Mość aby była przekonaną, że zawsze na wszelkie dla Niej usługi jesteśmy gotowi, że to sobie zawsze za wielkie poczytujemy szczęście, i że się Jej szczęściem i pomyślnością tak samo, jak naszym własnem powodzeniem cieszymy.

Odczytano na sesyi d. 5 Kwietnia
1565. ¹⁾

Dokument dopiero co przytoczony, chociażbyśmy niektóre jego wyrażenia położyli na karb przesady, jaka w urzędowym owego czasu stylu panowała (aczkolwiek łacińska redakcyja wrażenia tego nie robi), dowodzi lepiej niż wszystko co dotąd powiedziano, jak szczególnie świetne stanowisko Zamoyski w tak młodym wieku zajmował. Dodać tutaj muszę, że dyrektor archiwum uważał ten dokument za nader ciekawy i że między aktami dotyczącemi się uniwersytetu niema drugiego przykładu takiego dla innego rektora uniwersytetu uznania. Jeżeli zważymy jak potężną była wówczas Rplta Wenecka, że dopiero co długie i wielkich rozmiarów walki z Portą Ottomańską staczała, że to Franciszek I to Karol V o przymierze z Wenecją się starali, że weszła jako bardzo ważny żywioł do ligi między Papieżem i cesarstwem przeciw Turkom zawartej, to zaiste dziwić się wypada jakim sposobem prosty szlachcic Polski na tak nadzwyczajne uznanie zasłużyć sobie potrafił. Ponieważ w owym czasie nie było żadnego powodu, dla którego by Rplta rządowi Polskiemu przychlebiać się miała, musimy go więc

¹⁾ Dokument powyższy znalazłem w archiwum Weneckiem pod znakiem: *Senato I Filza, 43. Terra 1565 da Marzo, a tutto Giugno.*

brać za to czem się wydaje, tj. za chętne i życzliwe uznanie, rzeczywistych zasług i pełnego chwały stanowiska, i jako taki zapisać go w poczet jeżeli nie wielkich to przecież zaszczytnych kart naszych dziejów.

Zapewne wkrótce potem opuścił Zamoyski z takimi wawrzynami w ręku piękną Wenecję, *Venezia la bella*, ażeby w własnym kraju rozpocząć zawód pełen chwały i pożytku dla ojczyzny. Miał on wiele nieprzyjaciół i zazdrośnych i historia może mu ciężkie czynić zarzuty, ale to pewna, że te kilka lat zagranicą spędzone stanowią piękny niczem niezamącony epizod, godny jego nazwiska i szlachetnej a klasycznej ziemi Włoskiej. Nie zapomniał Zamoyski nigdy o szczęśliwych latach młodości w Padwie i Wenecyi spędzonych; ²⁾ w listach swoich do doży Weneckiego, do których zwłaszcza w trakcie założenia akademii Zamoyskiej częstą miewał sposobność, zawsze do tego powraca, jak wiele zawdzięcza akademii Padewskiej, naukom tamże pobieranym, i życzliwości i przyjaźni której od doży i senatu Weneckiego doświadczał. ³⁾

²⁾ W ciągu traktowania z Monsignorem Bonifazio Vanozzi, któren r. 1596 jako legat kardynała Henryka Gaetani jeździł do Polski, i całą swą rozmowę z kanclerzem opisał, tenże ostatni kilkakrotnie mówił: „Patavium virum me fecit.“ Ciampi bibl. critica tom III str. 120, 132.

³⁾ Dwa z nich szczególnie z 17go Grudnia 1592 r. i 1go Sierpnia 1598 r. dziwnie piękne i dobrze szlachetną jego duszę malujące, niemówiąc już o wybornym i jedynym stylu łacińskim. Pomiedzy innemi dokumentami znajduje się tam również zawiadomienie doży i Rpltej o założeniu akademii Zamoyskiej datowane z Zamościa d. 9 Kwietnia 1594. Dokument ten bardzo pięknym drukiem na wielkim arkuszu pergaminowym przesłany został do Wenecyi z listem Sebastiana i Walerego Montelupich, profesorów akad. Zamoyskiej datowanym z Krakowa d. 15go Maja 1594.

ROZBIÓR TURCYI ¹⁾.

Zanosi się więc na nowy *rozbiór* w Europie, na rozbiór państwa Ottomańskiego. Rzec godna uwagi, że reszta świata, a nawet tureccy potentaci zapatrują się na grożącą kwestyę rozbioru tureckiego cesarstwa mniej więcej tak samo, jak przed stu laty reszta świata i niektórzy wielcy panowie polscy zapatrywali się na katastrofę rozbioru polskiej Rzeczypospolitej. Czy taki jest wyrok Opatrzności? Nie! to naturalny skutek spisku prowadzonego z wytrwałością, silną wolą i głęboką znajomością słabości rodzaju ludzkiego.

Potrzeba było demoralizujących wpływów filozofii XVIIIgo wieku i rozdarcia stosunków politycznych, które było naturalnem następstwem siedmioletniej wojny, aby przyszło do militarnego i moralnego rozbrojenia Polski. Europa zaniepokojona, zdemoralizowana nowemi teoryami, przygotowywała w salonach i budoarach krwawe sceny Opactwa karmelitańskiego i *Con-*

¹⁾ Redakcyja ogłaszając niniejsze uwagi Europejczyka w służbie wojskowej tureckiej, i sądząc że głos taki, podniesiony ze stanowiska tureckiego, będzie w każdym razie zajmującym, a może i rzuci cokolwiek światła na zawikłania wschodnie, musi przecież zostawić autorowi wszelką odpowiedzialność za jego twierdzenia, z których nie jedno zdaniem jej nasuwa wprost przeciwnie uwagi i konkluzye. Zważywszy jednak, że w tym sporze o Turcyę słyszymy głosy i zdania wszystkich, z wyjątkiem tylko Turków, pospieszamy z wdzięcznością przyjąć i ogłosić nadesłany nam w języku francuzkim i z niego przełożony artykuł.

sciergerie. Ponieważ na zachodzie wszystko było zakwestyonowane, wszystkie zdrowe zasady zastąpione nowemi teoryami na tak pewnym gruncie, jak ten, na którym spoczywał system Lawa, łatwo więc było obalamuwać umysły i wmówić w nie, że Rzeczpospolita polska jest politycznym nonsensem i nieszczęściem dla oświeconego społeczeństwa ludzkiego, że jest to w interesie cywilizowanego świata zniszczyć tę potęgę katolicką i szlachecką, zdmuchnąć ją z powierzchni nowego świata, który uwierzył w Woltera i przyjął Ewangelią Roussa. *Niepodzielna Rzeczpospolita*, wyrósłszy z zakrwawionego błota ulic Paryża, ułatwiła operacyę ostatniego rozbioru Polski. Rozbiory rozpoczęte w imię nowych idei, zostały dokonane w imię zagrożonego porządku, a i w Polsce nowe teorye przyjęły się bardzo.

Podobny dramat odgrywa się i w tej chwili, podobny pod względem moralnym, politycznym, finansowym, wojskowym, tylko że dziś już nie o Polskę chodzi, lecz o Turcyę.

W r. 1854 Rosya chciała Turcyę zająć sama dla siebie. Armia jej została haniebnie pobita przez garstki tureckich żołnierzy, na całej linii, zanim wojska związkowe z Francyi i Anglii popadły w śmieszność przez nieudolne oblężenie Sebastopola, i dozwoliły Rosyi wyjść z całej sprawy na pozór z honorem. Okupacya ziem naddunajskich wstrzymała pogoń zbiegów przez tureckie wojska, i tak Rosya przez zachód została ocalona. Widząc swoją słabość, Rosya inaczej i zręczniejsz wzięła się do dzieła. Zostawiono zachód w dobrej wierze, iż ocalił Turcyę. Z pomocą samochwalcznych książek, przytem ze współudziałem wojskowej i narodowej próżności, Europa, uwierzyła nawet w to, że jej armie dokazały cudów w krymskiej wojnie, i doszła do tej bezrozumnej konkluzyi, że oblężenie Sebastopola zniszczyło wojska rosyjskie nad Dunajem, co się już było dawno stało, jeszcze przed przyjściem związkowych armij do Warny. Ale wobec zachodniej miłości własnej wszystko jest możliwe i anachronizm oczywisty przestaje razić we formie dźwięcznych frazesów. Ci co uwierzyli, że zdziałali cuda w krymskiej wojnie, łatwo przyszedli do przekonania, iż ocaliwszy Turcyę od inwazyi rosyjskiej, potrzeba ją teraz zbawić i wewnątrz, przypuszczając Portę ottomańską do rodziny państw europejskich, i uposażając ją wszystkiemi przymiotami cywilizowanego narodu. Odtąd ambasady państw zachodnich w Konstantynopolu stały

się prawdziwemi puszkami Pandory, z których wszystko złe płynęło. Zaczęło się od tego, iż zmuszono Turcyę naśladować Europę przez wprowadzenie systemu pożyczek państwowych, systemu sprzeciwiającego się koranowi i konstytucyi tureckiej. Jedna pożyczka za sobą pociągała drugą, a każda następna była coraz bardziej rujnującą i lichwiarską, gdyż umiano zręcznie poprzedać pożyczki wywołanemi insurekcjami lub ich groźbą, która miała już kredyt w europejskiej opinii publicznej, sfałszowanej przekonaniem militarnej niemocy tureckiej. Emisye listów zastawnych w chwilach paniki, wywołanej prasą, spowodowały ruinę finansów ottomańskich.

Nowe wypadki polityczne inaugurowano we Włoszech (w r. 1859), nowa *zasada narodowości*, która zastąpić miała prawa międzynarodowe, traktaty, pakt, konwencje zaprzysiężone, znalazła odgłos i zastosowanie w środkowej i zachodniej Europie, a nie znalazła go nad Wisłą i na wschodzie. Ta nowa zasada wzbudziła na zachodzie sympatyje wcale niezasłużone dla Chrześcian w Oryencie, i obudziła aspiracye panhellenistyczne i panslawistyczne w krajach sąsiednich i podległych Turcyi. Usiłowania poselstw zagranicznych w Konstantynopolu, zmierzające do polepszenia losu Chrześcian w Turcyi, wnet utwierdziły wiarę w tych krajach, że Europa chce, aby Turcyja rozpadła się na konfederacyę małych państwewek chrześciańskich. Porta ottomańska dochodziła do coraz większych zamieszek wskutek tychże usiłowań cywilizacyjnych, mianowicie ze strony francuzkiej ambasady. Podniecane insurekcye rujnowały finanse wraz ze systemem pożyczkowym i wszystko usprawiedliwiał powszechne przekonanie o słabości tureckiego państwa.

Czy w Petersburgu przewidywano już Sadowę i Sedan? Jest to bardzo prawdopodobne, gdyż pozwalano Austrii i Francyi gospodarować w Konstantynopolu, samemu na pozór do niczego się nie mieszając. Francuzki poseł tamże stawiał się jako mentor Sułtana. „Przyszedłem dawać mądre rady Jego Ces. Mości,” powiedział raz p. Bourré do Sułtana, i grał w Konstantynopolu rolę Prokonzula rzymskiego. Wszystko szło tym torem, aż Cesarstwo francuzkie upadło. Gdyby był żył Ali Pasza, Turcyja mogłaby być zrzucić niezdrowe jarzmo europejskie; ale ten wielki mąż stanu umarł i pozostawił po sobie w Turcyi tylko drugorzędne mierności. Historia rządów

w Turcyi od śmierci Alego Paszy aż do dzisiejszej dyktatury generała Ignatiewa, była tylko ciągiem nieprzerwanym intryg haremu, nominacyj i destytucyj i wszelkiego rodzaju szachrajstwa i nieporządków. Od czasu, jak nowy Repnin zapanował w Stambule, jak niegdyś w Warszawie, mniej już wstrząśnień w maszynie rządowej. Turcyja teraz spokojnie zdąża do swej zguby. Ale czy ta zguba jest pewna, nieunikniona, czy jest konieczna? oto nad czem się nam zastanowić wypada.

Pałac Wysokiej Porty i Ambasady.

W tym oto pałacu filigranowym z białego marmuru, za złotą kratą, nad Bosforem, kuja się wszystkie intrygi, które gubią państwo. Bo w tym pałacu mieszka wcielona wola wszechmocna, która rozkazuje 30tu milionom poddanych, a jest głową 150 milionów wyznawców Islamu. Jakaż straszna potęga Hunkhiara¹⁾ Kalifa! wystawić sobie tylko Sułtana geniusza w tym wieku Pygmejczyków!.... lecz Sułtan nie może być geniuszem, gdyż ma otoczenie, któreby zgniotło w nim geniusz albo człowieka, albo jedno i drugie zarazem, bo ten pan samowładny jest niewolnikiem, niewolnikiem swoich niewolników.

Osobiście Sułtan dzisiejszy jest patryotą i dobrym mużmaninem, ale pomimo swego charakteru ambitnego, a raczej właśnie dla niego, daje sobą władać i ulega wpływom tych, którzy się aż do stóp jego czołgają i korzystają ze słabych chwil swego pana. Kobiety mało nim rządzą, tylko matka ma wielki wpływ na niego, zresztą otoczeniem jego są sami dworacy, którzy gotowi upaść do nóg nawet przed sułtańskim Eunuchem. Pałac jest przepełniony oficerami różnego rodzaju i stopnia bez zdolności i charakteru. Dopuszczać do pałacu człowieka z talentem lub trochę uczciwszego byłoby dla tej zgrai rzeczą bardzo niebezpieczną, bo Sułtan mógłby czasem usłużyć jakiej dobrej rady. Odosobnienie musi być dla Sułtana wielką męką, zwłaszcza dla takiego, który kocha swój kraj jak Abdul Azis Khan; musi to być strasznem nie móżdżem spość wzrokiem na czem inszem prócz niewolników, którymi

¹⁾ Hunkhiar: samodzierzca głów, kat zabójca, jeden z tytułów Sułtana.

się gardzi. I tak temu człowiekowi, któremu dozwolone są wszelkie rozkosze świata, jednej rzeczy nie wolno: porwać się do wielkiego czynu. Gdzież się podziały czasy, kiedy Kalifowie przechadzali się pośród swego ludu jak prości muzułmanie, za pałac mieli namiot a otoczeniem ich byli weterani!

Nie potrzebuję mówić, że w pałacu wszystko można zrobić za pieniądze, że panuje tam zepsucie straszne, głupstwo bezdenne i brak zdolności do wszystkiego prócz intrygi, jest to mały świat dla siebie, gdzie każdy intryguje i ciągnie zyski ile może. Za pośrednictwem takiego to otoczenia Wielki Wezyr negocjuje o przyrzeczenie sankcyi cesarskiej dla jego czynów politycznych, które nie Sułtan dyktuje, lecz konieczność lub własne polityczne widzimisię Wezyra. Tam to ambasadorowie składają hołdy Jego Ces. Mości przesadzając się w grzecznych frazesach, podczas gdy Sułtan zajmuje się jaką faworytąną drobnostką. Czy więc Sułtan jest tak lekkomyślny? Nie, ale zamknięcie robi go ignorantem w sprawach świata zewnętrznego. Gdyby się czasem przeszedł przebrany przez ulice Stambułu, jak to robił jego ojciec, dowiedziałby się w kawiarni, słuchając rozmów tragarzy i rybaków w godzinie więcej, niż od swoich ministrów i ambasadorów, bo tam mówi się otwarcie i szczerze.

Po Sułtanie idzie Wielki Wezyr, bo teraz już Szejik ul Islam nic nie znaczy od czasu, jak egzekucya prawa nie jest w rękach Aghi Jańczarów — dziś Wielki Wezyr jest wszystkim, inni ministrowie to tylko sekretarze wydziałów. Nie ma on jednak innego dla siebie oparcia, jak w płatnych protektorach pałacowych; prosty Eunuch, co mówię, prosty balwierz ma w ręku życie Wezyra, który w tej samej chwili może być panem Turcyi albo zdegradowanym, wygnanym, zrujnowanym bez żadnego powodu. Mahmud pasza doświadczył sam na sobie niebezpieczeństwa tego samego stanowiska, gdy raz dostał dymisyę za to, że śmiał dokonać jednego z najzręczniejszych swoich czynów politycznych ¹⁾; czując przytem słabość i nieudolność wszystkich poselstw w Stambule prócz rosyjskiego, związał się, nie wiadomo czy tylko pozornie czy szczerze, ale de facto, z generałem Ignatiewem. Zręczność, z jaką sparaliżował skutek noty Andrassego, daje do myślenia, że ten prze-

¹⁾ Usamowolnienie religijne Bułgaryi.

biegły mąż stanu czuje się w możności grania o lepsze z gwałtownym jenerałem; najbliższe wypadki okażą nam to wkrótce.

Nie zapuszczając się dalej do wnętrza Wysokiej Porty, którą jeden z przyjaciół naszych dowcipnie nazwał „biórem poselskiem“, potrzeba nam jeszcze powiedzieć słówko o matce Sułtana, Walidzie. Różne chodzą o niej pogłoski, my wiemy z pewnością, iż to jest kobieta gotowa do największych ofiar dla swego kraju, lecz brakuje jej konsekwencji w jej politycznych pomysłach, chociaż ma jej dosyć w swoich nienawściach. Otóż cesarzowa matka nie lubi Rosyi i to jej jedna sympatyę narodu, a bardziej jeszcze Czerkiesów.

Poznaliśmy dotąd Wysoką Portę jako przybytek intryg i wszelkich zdrożności, jako Pandaimonium, i pojmujemy to, że Europejczyk wyrokuje o Turcyi podług Konstantynopola, sądząc państwo według stolicy, i że dlatego nie wątpi o bliskim jego upadku. Lecz gdy się zna głębiej Turcyę i Turków, wie się, iż pomimo desorganizacyi centralnego rządu kraj utrzymuje się i utrzyma się, jak się już utrzymał przez cztery wieki.... zwłaszcza jeśli Bóg da nam uczciwą wojnę.... Turcyja ma w sobie naturalną żywotność tak potężną, że nabiera sił z każdym rokiem pomimo Wysokiej Porty.... gdyby tylko prócz Pałacu Wysokiej Porty nie było jeszcze i *poselstw zagranicznych*, które są żywiołem bardziej jeszcze destruktywnym.

Można sobie wystawić, że przy takich rządach jak w Turcyi, człowiek śmiały, rozumny, rzucający pieniędzmi na wszystkie strony, a znający kraj i wszystkie tajne ścieżki w Stambule jest samowładnym panem; taką rolę przyjął na się jenerał Ignatiew, a potęgą jego polega głównie na tem, że inne ambasady nie działają przeciw niemu. Inni ambasadorowie dają się powodować przez swoich Dragomanów, którzy oddychają tylko atmosferą podłej intrygi i głupstwa, a nie ma większej próżności nad próżność Dragomana. Przysługują się oni swoim szefom nieraz w najgorszy sposób, wprowadzając ich w kolizye względem władz tureckich, toteż większa część ambasadorów w Stambule nie ma żadnego znaczenia. Festyny, obiady, czasem krótka wizyta u Wielkiego Wezyra lub innego ministra, z którym się mówi o pogodzie, od czasu do czasu nie najwierniejsza relacya lub depesza do swego rządu.... oto na czem schodzi życie tych panów i jak spełniają swoje obowiązki. Gdy w którym

z dzienników płatnych przez ambasady ukaże się artykuł o wizycie Jego Excelencyi p. ambasadora NN. lub u Jego Ces. Mości... wtedy zdaje mu się, że on naprawdę gra jaką rolę polityczną.

Oprócz rządowych figur i ambasadorów jest jeszcze w Stambule Towarzystwo Tureckie i Towarzystwo Lewantyńskie greckie. Wielki świat turecki składa się z Baszów i Beyów, aspirujących na wysokie pozycye, i wreszcie z małej liczby prawdziwych patriotów, którzy widzą grożące niebezpieczeństwo, lecz niestety nie mają ani odwagi ani dostatecznych zdolności, by zaradzić złemu. Wielu znowu, naczytawszy się mnóstwo tak zwanych dzieł seryo, pochodzenia europejskiego, i napodróżowawszy się wiele po zachodzie, uwierzyli w dobroczynność nowej cywilizacji i uważają europejski konstytucjonalizm za paładyum potęgi państwowej. Ci już nie są Turkami tylko z imienia, i żadnego wpływu na masy nie mają. Są to utopiści, którzy wolą gubić się w mglistych spekulacjach, zamiast zaufać niezmiernej sile tureckiego poszanowania prawa i konserwatywnym instynktom masy narodu. Ci panowie przyjęli nazwę „Młodej Turcyi.“ Młodzi ludzie, trawiący życie za kulisami teatrów i w *Caffés Chantants*, którzy przejęli wszystkie szaleństwa i zepsucie Europejczyków, strzegąc się ich zalet.

Partya staro-turecka jest najzdrowsza ze wszystkich, jest w niej wielu weteranów wysokiego stopnia, na czele stoi Mehmed Rudjy eh Namyk — a za nim masa duchownych, urzędników i narodu muzułmańskiego. Ta partya jest dumną ze swej narodowości, szanuje religię i dawne obyczaje, nie chce bezpodstawnych reform i uważa za swój obowiązek służyć krajowi nawet pod złym rządem, a służy mu lojalnie nie dla zysków i ma odwagę stawiać w opozycji z tem, co uważa za złe lub niebezpieczne, nie bojąc się przytem nawet i Sułtana. O jednym baszy weteranie opowiadają, iż gdy Sułtan zarzucał mu brak uszanowania dla woli panującego Khalifa, odmawiając posłuszeństwa jego rozkazowi (n. b. sprzecznemu z interesem państwa), odpowiedział mu: „Odkąd Jego Ces. Mość przestałeś być sprawiedliwym, powinnością moją jest być nieposłusznym.“ Powiedzieć to „Samodzierzcy głów,“ świadczy o nie małej odwadze.

Europejczycy oskarżają tę partyę o fanatyzm, sprzeciwiający się postępowi, i mają rację, bo gdyby ta partya

zawsze była u steru, Turcyja nie znalazły, coto długi państwo-
we, reformy.... i dyktatura pana Ignatiewa.

Na Prowincyi.

Jeśliby reszta Turcyi podobna była do Konstantynopola, możnaby powiedzieć, że panowanie Porty już skończone w Europie. W przeciwieństwie jednak do zepsutej stolicy widzimy na przestrzeni kraju naród pełen życia, młodości i siły. Można było sfalszować opinię Europy, dając jej nieprawdziwe pojęcia o Turcyi, można było popchnąć Turcyę na drogę reform nieodpowiednich i zgubnych dla kraju, można było wydać kraj w ręce jednej klasy parazytów bezwstydných, przeważnie inoplemieńców, których niegodne czyny są niejako ulegalizowane, albo przynajmniej są po za granicami tureckiej sprawiedliwości za pomocą pewnego gatunku kontroli, uzurpowanej przez tę klikę patryotów nad baszami z prowincyj — pomimo tego wszystkiego naród w głębi kraju się nie zachwiał w swych zasadach.

Pewien Turek cywilizowany odezwał się raz do nas w ten sposób: „Co mnie do desperacyi przywodzi, to że u nas rewolucya jest niemożliwą.“ Biedny człowiek, obalamucony studjami europejskimi, nie czuł tego, iż wypowiedział tu sekret potęgi ottomańskiej, a wypowiedział go na odwrót! — Tak jest, rewolucya w Turcyi niepodobna, toteż wszystko, co narobi złego Wysoka Porta, Europa i Rosya razem, może zwiększyć cierpienia tureckiego ludu, ale go nie zdemoralizuje do tego stopnia, żeby aż wpoić w niego aspiracye i zasady socyalistyczne.

Czy może ten naród jest skretynizowany, nieczuły na nic, indyferentny na wszystko? — Nie — ten naród jest wielkim narodem, wielkim w abnegacyi, w stałości i poświęceniu.

Pewnego razu na parowcu, który wioził wielu rekrutów z Konstantynopola do Hercegowiny, spostrzegłem jednego z nich, jak gorzko płakał; Francuz jeden, który także był na pokładzie, widząc to, rzekł do mnie wstrząsając ramionami:

— Nasi żołnierze śmieją się i śpiewają idąc na wojnę, a ci barbarzyńcy płaczą.

Nie odpowiadając nic Francuzowi, dotknąłem ramienia żołnierza i mówię mu:

— Czemu płaczesz bracie, nie widzisz, że wszyscy patrzą na ciebie?

— Paniel odpowiedział, żegnając się z żoną i z małemi dziećmi, nie płakałem, boby im moje łzy były odjęły odwagę rozstania się.

— A więc boisz się bracie?

— Boję się? czego? odpowiedział śmiało przez łzy spoglądając, czyż nie idę na pewną śmierć? nie spełniam mego obowiązku; da Bóg, nie będą się mnie czego mieli wstydzić w domu.

Oto jak myślą Turcy; nie przetłumaczyłem tej rozmowy francuzkiemu komiwojażerowi, boby jej był i tak nie zrozumiął.

Naród turecki doskonale zna swoje wewnętrzne i zewnętrzne polityczne sprawy, jego pojęcia są zdrowe, sprawiedliwe, spokojne i głębokie. Rozmowy między przyjaciółmi toczą się głównie o polityce, ale to nie są faufarońskie gadaniny, jakie się najczęściej zdarzają między Europejczykami, świadczące o ich ignorancyi lub przewróconej głowie. Turcy nie dyskutują dla dyskutowania, oni badają kwestye, to też nie egzystuje między nimi *dementi*, i najłżejsze sprostowanie byłoby niegrzecznością, a i najprostszy chłop turecki sady się na grzeczność i dobre maniere. Nie ma u nas *dementi*, bo też niema także i tak zwanych opinii z góry powziętych, które nie są niczem innem, jak pełnym próżności poczuciem swojej wyższości umysłowej. Przekonać, o czem Europejczyka niepodobna nietylko dlatego, że nie chce się zastanawiać na seryo, ale że miałby się za upadłego gdyby opuścił coś ze swoich przekonań, choćby były najfałszywsze, abdykowałby ze swojej umysłowej potęgi, to też choć przyparty do muru nie przyzna, że jest pobity, że nie miał słuszności, widząc się nagle wypartym z obrębu logiki, gotów tamże pociągnąć za sobą całą Europę, mówiąc:

— Ależ taka jest u nas opinia publiczna, a opinia publiczna jest nieomylna.

Turek nie ma opinii z góry powziętych i nie wstydzi się nigdy przyznać, jeśli nie miał racyi. Ale też nigdy nie wypowiada zdania, nie zastanowiwszy się nad niem dobrze naprzód,

bo jest skromny w słowie jak i w życiu. Bojąc się skompromitować zbyt śmiałem twierdzeniem, powstrzymywany przytem uczuciem grzeczności, Turek umie uczyć się rozmową, i tak rozmowa, która w Europie służy zwykle do zamącenia głowy, w Oryencie uspakaja umysły.

Oprócz dobrych manier, tradycyji i wyrezonowanego patryotyzmu u narodu ottomańskiego, jest jeszcze religia, religia, o której dogmata nie będziemy się spierać, ale która ma tę zaletę, iż jest skrupulatnie obserwowana, i że robi tego co ją wyznaje uczciwym, lojalnym i prawdomownym. Chociaż więc po wielkich miastach jest zepsucie obyczajów i serca, po wsiach zepsutego człowieka wyganiają i musi szukać przytułku w mieście. Naród turecki wie, że jest uciśniony bezpośrednio przez rząd dzisiejszy, pośrednio przez sąsiadów niemuzułmanów, zna i rozumie intrygi Europy i Rosyi, równie jak i zepsucie swego rządu, z pogardą patrzy na urzędnika, ubolewa nad tym stanem rzeczy, ale osądza zdrowo sytuację i wie, że gdyby użył gwałtu, miałby świat cały na karku. Każdy Turek będąc w styczności ze wszystkimi warstwami społeczeństwa, a przytem słuchając wędrujących kaznodziei (Hodjasów), nie potrzebuje czytać gazet, a jeśli je czyta, śmieje się z nich.

Zwołani pod broń, aby iść na śmierć z głodu i zimna do Hercegowiny, nawet bez nadziei wstawienia się i sukcesu, idą bez szemrania zostawiając swoje rodziny z majątkami albo co gorzej bez kawałka chleba lub na pastwę chrześcijańskich lichwiarzy.

Naród turecki to naród patrycyuszów, najpodobniejszy chyba do dawnych patrycyuszów weneckich.

Można sobie wystawić, że Turek przez to wszystko wywiera imponujący wpływ na otoczenie innowierców, zwykle nieoświeconych, lekkich i zdemoralizowanych. W rzeczy samej chłop Grek lub Bułgar patrzy na sąsiada Turka jako na swego prawdziwego pana i protektora, boi się urzędnika, nie cierpi współplemiennika, negocyanta (w Turcyi arystokracji nie-tureckiej nie ma wcale), nie szanuje swego duchowieństwa — a jeśli potrzebuje dobrej rady, idzie do *Aghi*, który jest wszystkim; szanują go, słuchają wszyscy, mają w nim przyjaciela w potrzebie, czasem nawet protektora. Co więcej ta uczciwa i

lojalna stałość charakteru muzułmanów oddziaływa często i na zepsute władze rządowe, i tak w Turcyi często¹ naród umoralnia urzędników.

Znając i obcując z Turkami na prowincyi, niknie obawa niebezpieczeństw finansowych, politycznych, militarych, któremi się jest przejętym w Konstantynopolu. Nie — naród, który nie daje się zepsuć, który pozostaje szlachetnym i spokojnym pomimo rządowych infamij, naród taki nie może zginąć. Zastanówmy się nad tem, czy to państwo jest w istocie przeznaczone na tak prędką zatrutę, jakto utrzymują pisarze, czerpiący w Konstantynopolu swoje wiadomości; wprzód jednak postawimy jeszcze kwestyę: Jakaby mogła być potęga Sułtana, gdyby oparł się na narodzie tureckim, zamiast budować na ruchomym piasku europejskich interesów względem Turcyi?

Ottomańska potęga militarna.

W roku 1828—29 Turcyja już była na schyłku swego panowania, groziła upadkiem, Reformy Selima III i Mahmuda II zrobiły przewrót zupełny w cesarstwie, a powstanie w Grecyi było dla świata oczywistym dowodem słabości rządów Sułtana, morską potęgą ottomańską była zniszczona pod Nawarynem. Derebeyowie byli niezawisłymi i tajemnymi lub otwartymi nieprzyjaciołmi Sułtana. Egipt urządzał się niezawisłe i zbroił się przeciw Porcie. Jańczarowie nie chcieli się bić, wierni muzułmanie uważali Sułtana za nieprzyjaciela wiary lub prawie za waryata i trzymali się zdaleka. Ludy chrześcijańskie zato oczekiwały z niecierpliwą pewnością upadku cesarstwa Osmanów i przybycia oswobodzicieli chrześcijańskich z północy. Skarb był próżny, armia na pół z najemników złożona, źle uzbrojona, źle płacona i niewyćwiczona, prawie nieregularna, bez karności i nie bardzo przychylna Sułtanowi; oto czem wówczas rozporządzała Porta.

Rosya miała wolne ręce, skoncentrowała wyborowe siły, miała morze Czarne i przez pół za sobą wotum Europy. Wkroczyła do Turcyi pewna wygranej — i cóż się stało? Po dwuletniej walce przeciw słabym siłom Sułtana, nie zaczepiając nawet prawdziwych korpusów tureckich, które były wtedy w rękach

Dere Beyów, po niezmiernych usiłowaniach zaledwie garstka ludzi zadżumionych doszła do Adryanopola. Rosya była w Turcyi zgubiona, już Albańczycy zbierali się pod dzielnym baszą ze Skodry i maszerowali na Dunaj; cała Turcyja zbroiła się do świętej wojny, a i w Pałacu mówiono już o powrocie do dawnego systemu rządu, skoro tylko wielka wojna zostanie zakończona. Gdy wtem dobrzy przyjaciele Turcyi Francya i Anglia, zmusiły ją do zawarcia nieszczęsnego traktatu w Adrianopolu.

W roku 1854 garstka rekrutów tureckich pod miernym jenerałem pobiła rosyjskie wojska we wszystkich potyczkach nad Dunajem; kampania już była skończona, zanim przybyli alianci.

Czyż Turcyja w r. 1876 jest słabszą militarnie od Turcyi z 1829 i 1854 roku?

Wszakże dziś już nie ma Derebeyów, Egipt gotów ofiarować posiłki, każdy prawowierny muzułmanin pała żądzą, by skończyć raz z Rosyą, której nienawidzi. Dzisiaj sami Czerkiesi daliby 150 tysięcy ochotnika, bez żołdu, własnym kosztem uzbrojonych. Na morze Czarne jest w stanie Porta rzucić flotę pancerną, nie ustępującą francuzkiej. A w Rumelii nie ma jednego Muzułmanina, któryby nie poszedł w ogień, jeśli jest młody, a nie zaciągnął się do rezerwy chociaż już w podeszłym wieku, co mówię, nawet Grecy i Bułgarzy ofiarowują ochotników przeciw Rosyi, która powszechnie nie jest lubiana na Wschodzie. Dzisiaj i w Anatolii i w Arabii Sułtan panuje, tam gdzie Mahmud ani pozornego nie miał zwierzchnictwa. Z pewnością można liczyć takich 3 miliony muzułmanów, którzy zdolni broń nosić i raz zfanatyzowani gotowiby się rzucić na Ghiaurów północy. I w broni i w amunicyi posiada Turcyja wielkie zapasy, ma fabryki nabojów, gisernie armat polowych z wyborowego spiżu, słowem materyał wojenny w komplecie, a jej fortece zaopatrują się w działa Kruppa wielkiego kalibru. Regularnej armii mogłaby Turcyja postawić 500,000, a materyału na nieregularnego żołnierza zostałoby jej prócz tego przeszło 2.000,000, nie potrzebuje więc obawiać się wojny, owszem ona jej pragnie. A czy wątpi kto może o odwadze tureckiej? Patrząc na rzeczy powierzchownie i zdaleka możnaby uwierzyć, że armia turecka nic nie warta w obec europejskich, bo cóż

się dzieje w Hercegowinie; powiemy więc słów parę o tej nie-szczęsnej kampanii. Tylko chyba w XIX wieku można widzieć infamie tego rodzaju, jak owo tak zwane powstanie. Prowincya państwa sprzymierzonego jest zrewoltowana za pomocą politycznych intryg, które za cel mają rozbiór tegoż państwa. Bandy podpalaczy wypychają spokojną ludność do obozu, zmuszając resztę mieszkańców do represalii czasem okrutnych. A obok dwa kraje lennicze zamiast stanąć przy swoim panu, by zgnieść i uspokoić te bunt, zbroją się i już otwarcie wspomagają insurgentów w ich destruktywnem dziele. Serbia i Montenegro otwarcie gwałcą swoje obowiązki wassali i międzynarodowe prawa, a Turcyja nie może ich nawet ukarać. Serbowie i Montenegrzy mogą bezkarnie przechodzić granicę i łączyć się z buntownikami; ale armia turecka uzbrojona ma uderzyć energicznie na tych, co gwałcąc prawa narodów, są już chyba tylko opryszkami, bo terroryzm insurekcyjny jest protegowany przez Europę. Turcyja zmuszona jest żyć w pokoju z wasalami, podczas gdy wasale są z nią w otwartej walce; oto sytuacya.

Co się zaś tyczy czysto wojskowej strony tej wojny, oto jak się rzeczyna:

Nietylko że słaba armia turecka ma do czynienia z siłami powstańców Serbów, Montenegrów i różnych awanturników z całej Europy, ale jest zmuszoną prócz tego ochraniać od nich spokojnych mieszkańców zrewoltowanego kraju, ztąd wynika konieczność obsadzania bardzo wielu miejscowości. zajmowania pozycij niekorzystnych pod militarnym względem, przez co siły są rozprószone. Do tego trudność wielka w zaopatrzaniu się w żywność, gdy tymczasem powstańcy wszyskiego mają podostatkiem z niewyczerpanych spichrzów Serbii i Montenegro. Otoż pomimo tego stanu rzeczy słaba armia turecka pozbawiona wszystkiego, będąca zmuszoną walczyć często na bagnety z braku ładunków, do chwili jak to piszemy, nigdy się nie dała przemódz w Hercegowinie, poniosła nieraz wielkie straty, ale nigdy nie kapitulowała. Że biją się odważnie najlepszym dowodem tego to porównanie: w jedynej spółczesnej wojnie Don Karlosa z „Ollą Podridą“ madryckiego rządu liczba rannych przy ataku na bagnety w przecięciu była 10%, w Hercegowinie dochodzi ona do 50%.

Przyczyny [więc trwałości tego powstania nie są militarne ale czysto polityczne.

Gdyby Turcyi zostawiono wolne ręce, 150 tysięcy Czerkiesów i Turków wkroczyłoby do Serbii. Albańczycy, którzy już od dawna ostrzą swoje Yathagany, zajęliby Montenegro i najdalej w sześciu tygodniach jużby nie było słyhu o powstaniu hercogowińskiem. Gdyby tylko pozwolono odjechać siejącym burzę pełnomocnikom mocarstw z Hercegowiny i pozwolono traktować powstańców według praw wojennych, wszystkoby się wnet skończyło. W dzisiejszym zaś składzie rzeczy nie to dziwnem jest, że powstanie trwa, lecz że jeszcze jakakolwiek armia turecka tam egzystuje.

Finanse i administracya.

Budżet z r. 1291 (1875—76) wykazuje następujące cyfry:

Dochody 540,000,000 franków

Wydatki państwowe 323,000,000 „

Procenta od długu państwowego 342.000,000 „

Deficyt 116.000.000 franków.

Koszta roczne długu państwowego przenoszą więc koszta utrzymania państwa.

Cyfra 549 milionów fr. jako dochód państwa wskazuje na 25-milionową ludność 23 fr. 96 c. jako przeciętny podatek przypadający na każdą głowę, spytałby można, czyby się nie dało podnieść tego podatku np. do 30 fr. na głowę. A my odpowiadamy na to, że podatek ten w rzeczywistości wynosi przeszło 40 fr. na głowę: że więc reprezentuje sumę przeszło miliona, dzięki jednak niesumienności w poborze podatkowym, dzięki wadliwości administracyi, blisko 50% tej sumy rozdzielonej na opodatkowanych nie wpływa do skarbu państwa.

Zorganizowanie tej administracyi, wynalezienie sposobu pobierania podatków wprost, zrównoważyłoby budżet w krótkim czasie. Ale przypomnijmy sobie, że i przed stu laty upadek finansowy Rzeczypospolitej polskiej stawiał perspektywę dla stron interesowanych szybkiego rozwiązania kwestyi polskiej, tak samo i teraz interesowani spodziewają się najła-

twiejszego rozwiązania kwestyi wschodniej, budując na turecki rozstrój finansowy. Wszystkie środki więc dobre, aby tylko zagmatwać jeszcze bardziej administracyę i stosunki finansowe w Turcyi. Nieświadomość zaś europejska popiera to „*con amore*.” Przypuszczenie obcych żywiołów do administracyi jak w ogóle zawikłanie panującego systemu rządzenia, rozszerzyło tylko pole do nadużyć i uniemożliwiło sprawiedliwą i lojalną służbę państwową. Ztąd dochody zmniejszone o połowę, a naturalnem następstwem bankructwo. Opiekuńcza Europa nigdy nie wpływała na ulepszenie wewnętrznych stosunków tureckich, usunięcie nadużyć, zreformowanie w racjonalny sposób administracyi, lecz dążyła tylko do wywalczenia coraz większego znaczenia politycznego dla Chrześcian. Oprócz tego, że wzniecano insurrekcyę, rozpuszczano alarmujące pogłoski o finansach tureckich, mówiono tylko o niezmiernych wydatkach Sułtana do tego stopnia, iż posądzano, że cała różnica między 550 milionami rzeczywistych a miliardem nominalnych dochodów podatkowych utonęła w prywatnej kasie Sułtana. Nie przeczemy, że Sułtan bardzo wiele kraj swój kosztuje, ale powyższe przypuszczenie prócz tego że nie ma sensu, jest prostą kalumnią.

Zastanówmy się tylko nad tą prostą kwestyą. Czyż państwo, wcale jeszcze nie wycieńczone przez zwykłe ostatnie wysiłki społeczeństwa, które swoim potrzebom nastarczyć nie może: przez hyperindustryę i hyperspekulacyę, co więcej, państwo, które w ziemi, lasach i pastwiskach (nie licząc już nawet kopalni), wartość przeszło 33 miliardów posiada — czy takie państwo można dziś uważać za zbankrutowane dlatego, że winno 4 miliardy? ależ to graniczy z absurdum! Pomimo tego jednak ci właśnie, co dobrze wiedzą o tym fakcie, milczą o nim najzawzięciej, a jeśli kto niedyskretnie zdradzi sekret, wołają zaraz chórem, by go zakrzyczeć:

„Ba! ziemie w Turcyi! to mi wielka rzecz! któżby je kupił, ziemie położone w miejscach niezdrowych, zamieszkałe przez barbarzyńców, przepełnione rozbójnikami, jak najgorzej administrowane!” Znamy tę litanię, wystarcza nam dodać do niej, że ci co ją powtarzają, mają w tem bardzo wielką racyę. Gdyż to bardzo dobrze być finansistą w zbankrutowanej Turcyi, rząd ten daje się rabować w tak przyjemny sposób, ile tylko komu trzeba; gdyby więc raz ten rząd wyszedł z kłopotów, cóżby

się stało z lichwiarzami Galaty i finansistami z zachodu? za- nadto im się dobrze dzieje z tem, że Państwo ottomańskie w nędzy, przynosi mu to miliony. Tak więc w Turcyi musi być wolne pole dla wszelkiego rodzaju oszustów, a finanse przeto w coraz gorszym są stanie.

Wyjść z tego położenia możnaby tylko przez zupełną zmianę systemu finansowego, uproszczenie go i ułatwienie tak, żeby państwo nabrało aktualniejszej i szybszej rozporządzalności swemi dochodami, które przez połowę są tylko na papierze. Bo gdy pomyśleć, że wszelkie daniny przechodzą przez dwadzieścia różnych rąk, nim dojdą do skarbu państwa, że kontrola jest tylko pozorna, a że kasyerowie są po większej części Grecy lub Ormianie, nie można się temu dziwić. A na zakończenie tego bardzo pobieżnego szkicu o finansach tureckich, którego nie mogłem hardziej rozwinąć w tak dorywczem piśmie, niech nam wolno będzie powiedzieć jeszcze jedno słówko:

„Czyby Europa, która tyle pożyczyła państwu, nie zechciała zaufać cokolwiek narodowi?“ Bo doprawdy, gdyby te 4 miliardy, na które państwo miało kredyt dotychczas, były zostały rzeczywiście pożyczone narodowi choćby na podwójny procent, Turcyja byłaby dzisiaj najbogatszym krajem w Europie. Gdyby uczciwi finansiści europejscy (*rara avis*) zechcieli przekonać, że Turcyja niekoniecznie musi być podzielona, że aby uniknąć bankructwa, potrzebuje tylko czasu i środków zapobieżenia wadliwości administracyi, a szczególnie uporządkowania poboru podatków, z łatwością mogliby w tem dopomóc, gdyby tylko szczerze chcieli. Gdyby chciano na prawdę mieć otwarte oczy, przyznać, że stan dzisiejszy finansów ottomańskich jest w wielkiej części owocem nieuczciwej polityki zachodu, przekonano by się, że lokacya na Turcyę nie gorsza od innych. Są państwa bardziej chwiejące się od Turcyi, państwa, w których wszystkie środki są już wyczerpane, a pomimo tego ich papiery stoją trzy lub cztery razy lepiej o tureckich. Bo to przecie rzecz jasna, że ostatnie przejście finansowe w Turcyi (z listopada) było manewrem z góry, a nie koniecznością spowodowaną ubóstwem kraju. Dlategoż panowie akcyonaryusze! (*bond-holders*) nie żądają od rządu w zamian za deprecjonowane obligacye, listów zastawnych na własność gruntu- wą, na ziemię, lasy etc.... dlaczego? oto poprostu przez nie-

znajomość tureckich resursów niewyexploatowanych, a ta nieznajomość potrzebną jest Rosyi i dlatego jest powszechną. Turcyja spokojna i kwitnąca zrujnowałaby Rosyę, bo producenci rosyjscy nie mogliby nigdy wytrzymać konkurencji z produkcją turecką. Gdyby Rosya pozwoliła Turcyi się zorganizować, sama byłaby zagrożoną, nieprzyjaciele Rosyi dobrzeby o tem wiedzieć powinni. Ta reorganizacya Turcyi nie może nigdy być dziełem tureckich Chrześcian panujących w Konstantynopolu, jest to utopia, chyba że to panowanie słowiańskie ma być z Carem na czele,... a wtedy także będzie koniec wszystkiemu.

Rzeczywiste położenie rzeczy na wschodzie.

Dla tych, którzy nie studyowali Rosyi i jej polityki europejskiej, której pierwszym aktem był podział Polski, a której ostatnim aktem będzie ujarzmienie całej Europy, przypatrzenie się bliższe postępowaniu Rosyi na wschodzie powinno wystarczyć i otworzyć oczy choć byliby nawet najbardziej ślepy. Postępowanie to jest tak otwarte, że możnaby posądzać reprezentów innych mocarstw w Konstantynopolu o zupełny brak zdolności, jeśli są w zgodzie z tem co robi Rosya.

Gdy powstanie na Krecie się nie udało i stało się nawet śmiesznem jak i powstanie bułgarskie, Rosya skorzystała z lekcyi. Mahmud pasza wprowadzając w życie firman cesarski, który upoważniał do usamowolnienia Kościoła bułgarskiego, rozdzielił tem samem Chrześcian tureckich na dwie partye, od tego czasu Grecy i Bułgarowie nienawidzą się nawzajem.

Grecy i do Rosyi mają nienawiść nieprzeciętną, tem silniejszą, że Grecy mają dobrą pamięć i zadają sobie pracę, by się uczyć; zrozumieli też, że Rosya tylko użyła ich do roli kota w bajce, i nietylko że nie wierzą, teraz już w rosyjskie tendencye filhelleńskie, lecz ani nawet w prawdziwość sympatyj dla Chrześcian tureckich.

Bułgarowie wówczas (po r. 1829) w wielkich masach emigrowali do Rosyi, a ci co po roku 1854 popowracali, przynieśli ztamtąd takie miłe wspomnienia, że woleliby raczej wy-

wędrować do Azji, niż dostać się znowu pod ojcowskie rządy białego Cara.

Rosya więc nie mogąc już liczyć ani na Greków ani na Bułgarów, straciła pole do wzniecenia insurekcyi wewnątrz półwyspu tureckiego, pozostała tylko jeszcze Hercogowina, która przez konfiguracyę swoich granic i sąsiedztwa mogła się stać odpowiednim gruntem, na którem powstanie mogło wzrosć i dojrzeć. Wybór tej prowincyi otoczonej zewsząd krajami, które chcą dawać przytułek i pomoc wszelkiego rodzaju powstańcom, wybór Hercogowiny do tego rodzaju experimentu świadczy o zręczności rosyjskiego sztabu i dyplomacyi, ale insurekcyja sama przez się jeszcze nic nie znaczy.

Byłoby to wielkim błędem i ryzykowną rzeczą zaatakować Turcyę odrazu z bronią w rękę; pierwsza bitwa przegrana lub wygrana mogłaby sprowadzić Rosyi na kark Niemcy i Austryę, insurekcyja zaś wewnętrzna ma za cel powoli siły tureckie minować i wyczerpywać środki pieniężne. Drugi jeszcze zręczniejszy manewr przygotowywał się w pałacu Sułtana. Nie było trudno wyperswadować mu, że jest w niebezpieczeństwie, gdyż jest w niem w istocie. Ambasador rosyjski łatwo wytłumaczył Sułtanowi, że Europa tylko czyha na rozbiór Turcyi, zaszczipiając w niej zachodnie prencypia. Sułtan codziennie mógł to konstatować, iż nowożytnie zasady wkradły się już do Turcyi, a nawet w najbliższem otoczeniu musiał często słyszeć nienawistne dla autokraty słowa: „reforma i konstytucya.“

Przez różne wpływy Sułtan przyszedł do przekonania, że mniejszem niebezpieczeństwem dla niego jest alians z Rosyą, albo przynajmniej powodowanie się rosyjskimi radami, na pozór tak bezinteresownemi, jak zaufać zachodowi, któremu zawdzięcza nieszcześnie i tak szkodliwe dla swego kraju reformy. Powstanie w Hercogowinie, korzystne usposobienie opinii europejskiej dla buntowników, listy lorda Russel, nieufność w sprawach finansowych, krzyki najemnej prasy, wszystkie te okoliczności ułatwiły Rosyi jej zadanie, dość że Sułtan wpadł w łapkę zastawioną i sądził, że robi czyn heroiczny, ratujący państwo, przystając na doradzoną mu przez Rosyę operacyę finansową z przeszłego listopada. Rosya już się miała za panią Turcyi, gdyż Sułtan zamknął sobie ostatnią drogę

wyjścia na wypadek wojny, stracił kredyt, a bez kredytu nie można ani energicznie wziąć się do uśmierzenia powstania w Hercegowinie, ani stworzyć armii, jednym słowem zamknąwszy kredyt Turcyi, rozbroił ją tem samem. Teraz można było się spodziewać, że Anglia, Francya i Włochy, które jeszcze przed tem ogłoszeniem bankructwa intonowały hymny pochwalne dla powstańców w Hercegowinie i mówiły głośno o rozbiore Turcyi, jeszcze energiczniej wystąpią, widząc się narażonemi na stratę kilku miliardów. Ale w tem Rosya się pomyliła.

Miała ona w rękach ambasadorów i główne figury polityczne w Konstantynopolu, nie zważała więc na usiłowania ludzi prywatnych. Otóż najprzód ze strony Anglii utworzył się komitet z ludzi, którzy zajęli się głębszem zbadaniem politycznej sytuacji, a mianowicie zbadaniem intryg rosyjskich, i wnet zamiast nieprzyjaznych wystąpień przeciw Turcyi, poczęły się odbywać z meetingów angielskich głosy ze sympatją dla państwa Sułtana, podczas gdy niektóre osoby rozwinęły swoją czynność w Konstantynopolu. I tak zręcznie przygotowany przez Rosyę cios przeciw Turcyi nie udał się dzięki usiłowaniom kilku osobistości, które nie miały ani urzędowego stanowiska ani żadnej władzy uznanej, jedynie przez to, że *znali kwestyą*.

R o s y a.

Rosya jest nieznanym dla Europy krajem, może jeszcze mniej znanym niż Turcyja, i w tem nie ma nic bardzo dziwnego, ale że Polacy także nie mają dokładnego pojęcia o Rosyi, to już nie do uwierzenia. Czyż nie znają swojej własnej historii, czy ta im nie wyświeca jaki jest zwykły rosyjski „modus operandi,” czyż nie walczyli tylokrotnie z owym Kolosem, czyż nie wstrząsali nawet czasem jego potęgą?

Historya „Rozbiorów“ powinna była nauczyć Polaków sekretu rosyjskiej polityki, a walki z Rosyą powinny były ich przekonać o względnej słabości militarnej tego Kolosu. Oni jednak tylko z zagranicy z drugiej ręki czerpią wiadomości o swoim odwiecznym wrogu, to też ztąd fałszywe mają o niej wyobrażenie i ztąd pochodzi ich niemoc.

Jeden z wielkich angielskich pisarzy politycznych powiedział: „Rosya robi zdobycze za pomocą klęsk wojennych,“ a dlaczego? bo posiada coś bardziej niezwycięzonego jak armię, ma swój system polityczny.

Podczas gdy inne gabinety europejskie prowadzą politykę okolicznościową, Rosya postępuje według z góry założonego planu, wystudyonowanego do najdrobniejszych szczegółów, w którym wszystko jest przewidziane, nawet niepowodzenie; to też Rosyę nigdy nie spotykają niespodzianki, bo na każdą ewentualność ma odpowiedni środek zaradczy w swoim mechanizmie dyplomatycznym; gra więc gabinetami europejskimi jak pionkami. Francya jest na to, by trzymała w szachu Niemcy, Niemcy na to, by paraliżowały działanie Austrii, Austria zaś służy do tego, by była postrachem dla Turcyi. Nienawiści, zazdrości, nieufności, niepewności i brak decyzji u tych mocarstw, wszystko jest wyzyskane na to, aby służyło interesom Rosyi, zamiast żeby przeciwnie te państwa wszystkie miały się raz skoalizować przeciw głównej wicherzycielce europejskiego pokoju. Na tej to powszechnie panującej nieznajomości Rosyi, na tej nieświadomości, że Kolos ten pod materyalnym względem stosunkowo jest słaby i ubogi, polega głównie jego zewnętrzna potęga i powaga. A czy to Polak odsłonił niedawno tę tajemnicę Rosyi? nie, Anglik, *David Urquhart* i jego przyjaciele; ale jakże mają znaleźć wiarę w swoje twierdzenia, jeśli Polacy, najbliżsi Rosyi, którzy z natury rzeczy lepiej znać ją powinni, są całkiem innego zdania. Zresztą któż zna znakomite prace Urquharta, któż czytał to co powinien czytać, a nie czytał tego co nie powinien czytać nawet jego lokaj. Ale słowo „powinność“ jest teraz wymazane z nowożytnego słownika, zastąpiono je innem bardziej dzisiaj zrozumiałem: dziś zamiast „moja powinność“ — mówi się „mój interes“ rozkazuje mi robić to a tego nie robić.

Każdy Polak powinien przecie znać swoją historję, a znając ją powinien powtarzać wszystkim, którzy jeszcze są w tem szczęśliwym położeniu, że mają ojczyznę: „Patrzcie na nas Pariasów bez ojczyzny, będziecie nimi także, jeśli nie skorzystacie ze straszego przykładu, jaki się spełnił na naszym szlachetnym nigdyś, silnym i życia pełnym narodzie!“

Lecz i Polacy patrzą na Rosyę przez powiększające szkła zwykłych zachodnich publicystów i gotowi zawsze uwierzyć, co im drudzy powiedzą. Idą za zdaniem pierwszego lepszego frazesowicza, który w Europie zyskał sobie reputacyą powagi.

Iluż Polaków można słyszeć z podobnem zdaniem: „Wolę przecie już Moskala niż Turka“ i mówią to w obec samychże Turków. Gdy przeciwnie Ali Pasza powiedział raz w mojej obecności: „Gdyby było prawdziwe porozumienie między Polakami mieszkającymi w Turcyi, Rosya byłaby już w Azyi, ale niestety, dodał ów wielki mąż stanu: Polacy samochcąc coraz bardziej się gubią, jak gdyby nie mieli świadomości swojego nieszczęścia.“

Kwestya wschodnia co znaczy?

Wszystko cośmy dotąd powiedzieli o Turcyi, może się wydawać dziwnem, bo jest zupełnie czem innem jak to co się zwykle słyszy, a to dlatego, *bo powiedzieliśmy prawdę.*

Zagadką północnego Sfinksa jest kwestya wschodnia, mówić prawdę o Turcyi znaczy odsłaniać sekret rosyjskiej polityki, to też jest to całem jej usiłowaniem ukrywać prawdę, a krzyczeć z dachów o tem co jest fałszywem. Powiedzieć, że Turcyja ma żywotne siły, że mogłaby się stać szpichlerzem dla Europy, że aby do tego dojść, nie potrzeba reform sprzeciwiających się ottomańskim prawom i godności Sułtana, ale poprostu szczerą i lojalną akcyą ze strony zachodu możnaby Turcyę postawić na nogi jako jedno z najbardziej kwitnących państw na świecie, — powiedzieć to wszystko znaczy grozić Rosyi, i wchodzić w drogę temu, co ona zamierza na wschodzie.

Mocarstwa europejskie nie mają przytem nic do zyskania, a wszystkiego się mogą obawiać, jeśli rozbiór Turcyi przyjdzie do skutku. Płatni insurgenci mogą sobie krzyczeć: „niech żyje Austria!“ ona sobie weale takich poddanych nie życzy. Turcyja sama dla Europy nie jest niebezpieczna, ale rozbiór tego cesarstwa jest dla Europy groźbą i dla całego świata.

Że koalicya przeciw Rosyi jest niepodobna, przyczyną tego przecie nie jest ani względna słabość Europy, ani miłość do

Rosyi, lecz przedewszystkiem niezajomość rzeczy. Rosyi udało się rozpowszechnić wiarę w całym świecie, że jej potęga jest bez granic, i że jest panią przeznaczenia narodów i dlatego wszyscy jej się kłaniają, wszyscy się jej boją. Ma ona zawsze na podłożu jakiegoś stracha, teraz tym strachem jest kwestya wschodnia, i Europa spekuluje już nad ewentualnościami rozbioru Turcyi, zamiast żeby zastanowić się nad tem, że wogóle „rozbiór“ byłby niepodobny bez jej współdziału.

Dziś wywołana kwestya wschodnia jest to zasadzka na Austryę, aby z niej zrobić nieprzyjaciółkę Turcyi, podczas gdy ona jest jej naturalnym sprzymierzeńcem; aby ją popchnąć do nieszczęsnego czynu (Metternich już nie żyje!), do aneksyj lub przynajmniej okupacyi na wschodzie, wpłatać ją we fatalną wojnę, przeciwną jej własnej interesom. Jeśli Austria wkroczy do Turcyi, Rosya może wtedy zechce spełnić dane Turcyi tajne przyrzeczenie, że będzie jej aliantką przeciw temu państwu. Galicya wtedy nietylko w pozornem ale w rzeczywistem może się znaleźć niebezpieczeństwie, może się stać zapalnym materiałem europejskiej wojny.

Niemcy czują ważność chwili, lecz położone między Francją i Rosją, zaniepokojone kwestyami wewnętrznymi, nie mogą całkiem liczyć ani na Rosję ani na Austryę, mają przez kwestyę wschodnią zmylone szyki swojej dotychczasowej polityki. Francya także zajęta wewnętrznymi sprawami, nie wie sama, czy chceć wojny czy jej sobie nie życzyć, boi się kwestyi wschodniej nie wiedząc, na którą przychyli się stronę. Włochy chorujące wewnątrz na kwestye finansowe, religijne i narodowe, prawdopodobnie jak dawny Condottiere ofiaruje swą szpadę temu, kto da więcej. Hiszpania nie ma głosu w tej kwestyi jak i w wielu innych, tylko jedna Anglia mogłaby mieć wolne ręce, gdyby ich ciągle nie trzymała w kieszeni namysławiając się czy ma czy nie ma się zekspensować, nie wiedząc jeszcze na pewno, w którą stronę ma rzucić swoje funty szterlingi.

Choć nie z reputacyi, ale *de facto* Anglia ze wszystkimi swemi posiadłościami jest z pewnością największą potęgą na świecie. Anglia tak długo oszczędzała nietylko pieniądze i ludzi, podczas gdy cała Europa rujnowała się „pour le roi de Prusse“ — Anglia jest politycznie od Europy, handlowo od Ameryki niezależną, tylko o Indye musi

się obawiać, lecz i tam obawa jest raczej pozorną niż rzeczywistą, to też zdziwiła nas mocno dziecinna mowa Disraelego o centralnej Azji, przy sposobności dyskusyi nad nowym tytułem królowy Wiktoryi. Czyż Rosya może posłać 300 tysięcy ludzi w dolinę Pendżapu — nigdy, czy może zdołałaby tam popchnąć hordy azyatyckie? chyba... w jednym wypadku, chyba: gdyby Kalif naprawdę do reszty stał się jej wasalem, jej ślepem narzędziem.

I wtem jest właśnie sekret kwestyi wschodniej w jej teraźniejszej fazie. Sekret ważny dla Anglii, równie jak i dla całego świata. Tak jest, — gdy Wysoka Porta zejdzie na zupełnego wasala Rosyi, dzięki finansowemu upadkowi cesarstwa, dzięki europejskim groźbom i wpływom, wtedy nie pozostanie jej nic innego, jak za wskazówką Rosyi zwrócić się z chorągwią Mahometa na wschód, ku angielskim posiadłościom, a jeśli znajdzie opatrnościowego człowieka na wodza, jacy na wschodzie często się trafiają, (jeśli nie Yakub Bey, to może nim być jego następca), wtedy może być koniec angielskiemu panowaniu w Azji. I cóż wtedy będzie można przeciwstawić potęgze Wszechrosyi wraz z całym Islamem?

Mehmed Agha.

LIST Z WIELKOPOLSKI.

II.

Uczucia i myśli wszystkich zwrócone są u nas ku Kardynałowi-Prymasowi hr. Ledóchowskiemu. Od czasu, kiedy opuścił więzienie ostrowskie, podróż jego to nic innego, jedno ciągły tryumf, tem większy, że w okazywaniu Mu hołdów czci i uwielbienia nie było przymusu żadnego. Uczcił Go Berlin przez usta członków Centrum sejmowego stojącego na straży interesów katolickich; Praga z entuzjazmem wita wielkiego Wyznawcę Atanazego XIX w. Wasz Kraków, Polska Roma, odpowiednio do tradycji piastowych zatwierdził swe przekonania katolickie i polskie. Kiedy zaś Ks. Prymas przybył do Rzymu, kiedy więzień ostrowski przybył w gościnę do więźnia Watykańskiego, codziennie dowiadujemy się o nowych względach okazywanych Mu i przez Ojca św. i owacyach Kollegium kardynalskiego, młodzieży i różnych Stowarzyszeń katolickich. Nie uwierzycie, jak nas to wszystko podnosi na duchu, jak nam sił dodaje do dalszych bojów, do „walczenia walk Pańskich.“ Tryumf bowiem naszego Arcypasterza, to nasz tryumf, to tryumf zasad, jakich tutaj na kresach bronimy od lat kilku. Pięknie też wypowiedział tę myśl Ks. Kardynał na dniu 10 Marca do Stowarzyszenia damskiego, kończąc mowę:

„Przyjmijcie raz jeszcze najserdeczniejsze dzięki i pozwólcie że wezmę te dowody Waszego szacunku i Waszej uprzejmości nie dla siebie tylko, lecz i dla *mojego duchowieństwa dyecezyalnego, tak wytrwałego i odważnego i dla mojego ludu, tak pełnego żywej wiary i*

budującej pobożności. Z Boskiego dopuszczenia należymy do Prus, ale i ja jestem Polakiem i ogromna większość wiernych zleconych mojej pieczy, do narodowości polskiej należy. Do nich wszystkich odnoszę zaszczyt, jakiście mi uczynili i w ich i w mojem imieniu dziękuję Wam raz jeszcze.“

Wielkiej doniosłości jest mowa, jaką ks. Arcybiskup wypowiedział na dniu 4 Kwietnia wobec Ojca św. z powodu ceremonii zamknięcia i otwarcia ust. Ks. Kardynał przemówił w imieniu swem i dwóch świeżo mianowanych Kardynałów d'Avanzo i Franzellina, śmiało, odważnie. Jest czas milczenia i czas mówienia: Ks. Kardynał przemówił przy sposobności tak głośno, że echo słów jego odbiło się aż w Berlinie i zwróciło na siebie uwagę niemieckiej półurzędowej, i liberalnej prasy. I cóż tak oburza dziennikarstwo berlińskie karmione strawą funduszu gadzinowego? Oto zdanie, że w Wielkopolsce gwałtowniejsze było prześladowanie dla tego, że tam najbardziej uwydatniają się stare katolickie podania i gorąca wiara; gniewa je dalej nadzieja lepszej dla Ojczyzny naszej przyszłości, o czem z przyciskiem wspominał mówca. Mianowicie *Nordd. Allg. Ztg* pismo przyboczne księcia Bismarcka i *National Ztg* główny dziennik partii liberalnej piszą komentarze do tej mowy, a z całego ich tonu widać, że Polska, o której śmierci i niemocy tak często z zadowoleniem wspominały, jest widmem męczącym im spokój. Nie mogą także przebaczyć uwagom *Kuryera Pozn.* poczynionym z powodu owej mowy, a mianowicie słowom jego:

„Dzięki Jemu (Ks. Kardynałowi) Polska dostąpiła znaczenia wśród katolickich ludów, jakiego nie miała w dwóch ostatnich wiekach politycznej samodzielności swojej i zupełnego doczekała się równouprawnienia z innemi ludami, odkąd jej najwyższy dygnitarz kościelny zasiada wśród senatorów Kościoła. Upadliśmy sto lat temu przy zupełnej kościelnej i politycznej niemocy; pierwsza widocznie ustępuje, a ten radosny objaw jest jakoby zapowiedzią, że i drugiej koniec się zbliża.“

Również ustępowi z korespondencji rzymskiej w Numerze 85.

„Zwycięztwo Kościoła dla ludów Europy nową rozpocznie epokę, a w tej epoce Polska wielką odegra rolę, bo ma potężne jeszcze zasoby życia szczerzo katolickiego.“

Patrząc na to, co się dzieje, na tę chwałę imienia polskiego w stolicy świata katolickiego, jakżeż nie przypomnieć sobie słów Krasińskiego:

„O wiem, że Polska bój zwycięzki stoczy,
Ze nie zginęła i nigdy nie zginie!
Lecz my czy ujrzym ją w chwały godzinie?“

Nie dane było niestety wieszczowi ujrzeć jej w „chwały godzinie,“ ale my widzieliśmy i „bój zwycięzki“ i widzimy początek naszego zwycięstwa moralnego.

Czemuż jednak listowi całemu nie wolno mi nadać kolorytu wesołego? Wielkopolska nasza, której duchowieństwo prawie całe w czasie niniejszego prześladowania stanęło w zwartym szyku pod znakami iście katolickimi i kościelnymi, do małej garstki schizmatyków jak Kubeczak, Drażkowski, Kick i Szuszczyński w ostatnich czasach doliczyć musi ks. Kolanego. Kapłan ten znany dawniej z patriotyzmu, już w początkach konfliktu bardzo wątpliwe wobec Kościoła zajął stanowisko, uznał prawa majowe, wskutek czego Regencya z kasy rządowej płaciła mu dodatek do pensyi. Nie wielkie miał on wprawdzie dochody z probostwa w Kleszczewie, które dotychczas dzierżył, ale nic nie zdoła go uniewinnić, że przyjął jedynie z poręki rządu probostwo w Murzynninie pod Gniewkowem. Boć, jeśli tylu młodych księży, którzy w pierwszym szeregu padli ofiarą praw majowych postradało swe posady, a mimo to z głodu nie pomarli, pracując w różny sposób na utrzymanie życia, to i ks. Kolany nie powinien był dezertować z obozu katolickiego, lecz wytrwać na swem dawnem stanowisku *usque ad finem*. Tak tylko czynią ci, których trapi *auri fames*, u których rdzeniem zasad. brzęcząca moneta. Usiłuje wprawdzie ks. Kolany w pismach uniewinnić krok ten, lecz opinia publiczna widzi w nim w całym znaczeniu tego wyrazu odstępcę.

Obecnie dwie parafie w Kleszczewie i w Murzynninie pozbawione są pomocy duchownej, gdyż parafianie w Murzynninie zaproteutowali w zażaleniu do naczelnego prezesa przeciw p. Kolanemu, którego uznać swym proboszczem nie chcą. Jako powód główny przytaczają tę okoliczność, że p. K. nie ma posłannictwa kanonicznego, a tem samem wszystkie jego funkcje duchowne są świętokradzkie i nieważne. Prezes naczelny nie uzna zapewne protestu tego za usaduniony, ale nikt na świecie nie zdolen zmusić parafian u narzuconego sobie prze-mocą plebana szukać pociech religijnych. O tem wiedział p. Kolany, a jednak nie cofnął się przed tak okropnymi następstwami, bo chciał tylko kaletę groszem napełnić....

Wspomniałem wyżej o bracie po duchu nowego schisma-tyka o ks. Kubeczaku. Smutnej bardzo sławy dorobił się u

nas Kubeczak, bo on to pierwszy w Wielkopolsce schronił się pod egidę rządu i odeń w r. 1874 przyjął probostwo w Książu. Znane wam są smutke zajścia z tego powodu, znany wam opór pocziwych i zacnych parafian, którzy w pierwszej chwili wilka nie chcieli wpuścić do owczarni, za co sądy pruskie skazały gorętsze dusze na kilkanaście miesięcy więzienia. Na pochwałę parafian proboszcza państwowego dodaje tutaj, że prawie nikt nie uczęszcza na jego nabożeństwa, i — (risum teneatis) że sam Kubeczak dzwonił przez pewien czas rano, w południe i na wieczór, bo nikt nie chciał u niego przyjąć funkcyi kościelnego czy organisty. Wspominam tutaj o tem, bo to dzwonenie na „Anioł Pański“ dało sposobność Kubeczakowi odezwać się niedawno znowu w liberalnej niemieckiej gazecie w *Posener Ztg* i udowodnić, że mimo ciągłego przedstawiania z Niemcami nie wielkie poczynił zdobycze na polu językoznawstwa niemieckiego. Rzecz tak się miała: *Gwiazda*, pismo illustrowane ludowe wychodzące w Poznaniu pod redakcją ks. Tłoczyńskiego umieściło artykułik pod tyt: „*Sam pleban zadzwonił.*“ Razu pewnego jakiś urwisz upatrzył chwilę, kiedy ów pleban poszedł do dzwownicy, i zakradłszy się po cichu, „gorliwego“ kapłana zamknął na klucz. Przez noc całą mimo błagania o pomoc przesiedział dzwonnik w tem oryginalnem więzieniu, aż ktoś dopiero nazajutrz ulitował się nad nim, i uदारował go wolnością. Kubeczak w Nrze 262 *Posener Ztg* prostuje to opowiadanie o tyle, że owym plebanem nie kto inny, jedno on sam; że wprawdzie przez cały miesiąc październik r. z. dzwonił, lecz że nikt nie śmiał się zbliżyć do dzwownicy, chociaż zdaleka parafianie szydzili i naigrawali się z niego. Obecnie już nie dzwoni p. Kubeczak, bo ma organistę Polaka, ale gdyby go miał postradać, to oświadcza, że i nadal będzie dzwonił. „Viel Glück Herr Kubeczak!“ Co najbardziej dziwi nas w odpowiedzi Kubeczaka, to czelność, z jaką rzuca gromy na redaktora *Gwiazdy* i na kapłanów stojących silnie przy Kościele rzymsko-katolickim. Nazywa ich „wilkami w owczej skórze“, „Faryzeuszami bezwstydnymi czarnymi czynami wyzywającymi na siebie straszny Sąd Boga;“ a dalej oświadcza, iż są „moralnie upadli“, iż „nie mają ani wiary, ani miłości względem Boga i ludzi!“

Do charakterystyki dokładniejszej p. Kubeczaka dodaje to jeszcze, że się wyparł całkiem narodowości polskiej, że nie przyjmuje listów polskich, lecz każe do siebie pisywać w swym ojczystym tj. niemieckim języku, którym bardzo niedokładnie włada, jak się to pokazuje z ostatniego listu jego do *Posener Ztg*. Jakże prawdziwe są owe słowa: *abyssus abyssum invocat!*

Z ważniejszych wiadomości zapisujemy tutaj fakt, o którym nasze gazety wspomniały. Oto od 1 Kwietnia usunął się p. Nollau, zarządzający dyecezyą gnieźnieńską a miejsce

jego zajął p. Perkuhn prokurator przy sądzie gnieźnieńskim, a znany z gorliwości, jaką niedawno rozwijał, aby odszukać delegata dyecezyi gnieźnieńskiej. Prócz tego faktem jest, że biuro konsystorskie gnieźnieńskie przeniosą wkrótce do Poznania. Arcybiskupem niejako będzie p. Massenbach, jego oficyalami będą p. Perkuhn i jakiś radzca rejencyjny z Poznania. Dla czego krok ten przedsięwzięto? trudno odgadnąć. Zapewne chce rząd większą zaprowadzić centralizacyę w kierowaniu sprawami kościelnymi, a może na dnie tego rozporządzenia spoczywa myśl, aby w przyszłości w razie jakiegoś *modus vivendi* z Kościołem znieść całkiem kapitułę gnieźnieńską, a majątek jej sobie przywłaszczyć.

P. Nollau, landrat gnieźnieński, uchodził jako zarządca dyecezyi za człowieka dosyć wyrozumiałego. W razie oporu duchowieństwa nie chcącego z nim korespondować, używał środków przymusowych bardzo łagodnych; nie wiemy, czy na pojedynczego księdza w jakim wypadku nałożył więcej jak 50 tal. grzywien. Jego natomiast kolega poznański Massenbach nie zadowolnia się tak małą sumą, lecz opornym księżom każe płacić po 100, 500, 1000 a nawet kilku skazał na 1200 tal. P. Nollau umiarkowaniem więcej osiągnął dla Kulturkampf, jak p. Massenbach. Surowość ostatniego, grzywny bajeczne wywołały reakcyą i duchowieństwo dyecezyi Poznańskiej z małemi wyjątkami złączyło się w zwarty zastęp, aby stawić opór urozczeniom państwa. W dyecezyi Gnieźnieńskiej zaś nie wszyscy księża tak wybitnie uwydatniali swe stanowisko kościelne, gdyż p. Nollau niekoniecznie wymagał własnoręcznej korespondencyi, lecz zadowolniał się listami adwokatów piszących w księży imieniu. Zresztą, system łagodności pana Nollau miał aprobatę w Berlinie, jak również surowości p. Massenbacha bynajmniej nie ganił i nie gani minister oświecenia Falk....

Pociąganie księży przed forum sądowe za bywanie na odpustach, postępuje dawnym trybem. Sąd Kościański przed kwartałem sądził sprawę 60 księży, oskarżonych o odpust w Duchownej Górcie. Niedawno odegrał się znowu tamże epilog tejże sprawy, lecz jak dawaiej, tak i teraz sąd nie przychylił się do wywodów prokuratora i oskarżonych *uwolnił* od kary i kosztów. W motywach wyroku wypowiedział sąd zasadę, że nawet prawa majowe pierwszej i drugiej edycyi nie sięgają tak daleko, jak to sądzi prokuratora. Księża bowiem, którzy otrzymali posady przed ogłoszeniem tych praw, mogą odprawiać bezkarnie funkcyę duchowne nie tylko w swej parafii, ale w całej dyecezyi. Lecz w chaosie, jaki się wywiązał z nowego prawodawstwa, nie wielką mamy nadzieję, aby opinia sądu Kościańskiego zyskała uznanie u innych sądów, które dawniej już w tej samej sprawie inaczej interpretowały prawa majowe i księży skazywały na karę. Poseł nasz na sejmie w Berli-

nie ks. dr. Jażdżewski interpelował ministra Falka o tę różność Wyroków Sądów pruskich w jednej i tej samej sprawie; minister odpowiedział mu, że wprowadzie bywanie na odpustach księży przedmajowych nie jest karygodne, lecz sądy uwzględniając różne okoliczności obciążające, mogą w danym razie funkcyę takich duchownych uważać za karygodne, — i że zresztą jako minister oświecenia nie może wpłynąć na sądy, które należą do wydziału ministra sprawiedliwości p. Leonhardta. Jak widzicie ze słów p. Falka, księża nasi wydani są na pastwę sądów pruskich.

Wspomniałem w przeszłym liście o zamiarze zakładania po parafiach stowarzyszeń polsko-katolickich mających na celu szerzenie oświaty między niższą warstwą naszej ludności. Pierwsze w tym kierunku towarzystwo związało się 25 Marca w Czarniejewie. Ustawy jego proste i jasne mają wyraźną barwę katolicką i polską. Członkowie miesięcznie płacą małą składkę, z której się zakupują pisma i dziełka ludowe; zgromadzają się co kwartał na wiece, aby się pouczyć o kwestyach bieżących; starają się o to, aby niedostatki, na jakie wskutek obecnego systemu szkolnego jest narażone wychowanie dzieci, naprawić w domu, uzupełniając wiadomości dzieci w języku ojczystym i religii; majstrowie zaś i gospodarze winni uważać na prowadzenie się moralne czeladników i sług. Cóż powiecie, że o założeniu owego Towarzystwa, któremu *Kurier Pzkański* poświęcił artykuł wstępny zalecając do zakładania i w innych parafiach stowarzyszeń z tą barwą, że *Dziennik Poznański* nie raczył nawet wspomnieć ani słówkiem jednym? To się nazywa znać „obowiązki dziennikarskie,“ o czym ciągle Dziennik z emfazą prawi!! Domyślamy się wprowadzie intencji Dziennika; oto milczeniem chciałby w zarodku zadławić młode towarzystwo, lecz sądzimy, że to są tylko *pia desideria*. Dziennik bowiem propaguje tylko „oświatę narodową,“ której uosobieniem jest *Towarzystwo Oświaty Ludowej w Poznaniu*. Stowarzyszenie to, o czym już pisałem, przez kilka lat egzystencji nie wielkie osiągnęło rezultaty, raz dla zbyt wielkiej centralizacyi, jaką mu nadano, drugi raz dla tego, że do pracy nad ludem nie wezwano duchowieństwa, tego niejako urodzonego nauczyciela ludu. Duchowni w ostatnich czasach chętnie byłiby na tem polu pracowali, lecz walne zebranie nie chciało się zgodzić na dodatek w ustawach, aby oświata ludowa krzewiła się na podstawie narodowej i *katolickiej*. Wskutek tego powstała myśl u prawdziwych przyjaciół oświaty ludu, aby nie zważając na poznańską oświatę po parafiach zakładać kółka, mające na celu oświatę polską i katolicką.... Niech was nie dziwi ten upór konserwatywnych żywiołów, żądających koniecznie dodatku, aby oświata szerzyła się także i *na podstawie katolickiej*. Są ludzie, należący do dyrekcji oświaty, którzy już

nieraz pokazali, jak mało mają pojęcia o tem, co stanowi istotę katolicyzmu; była więc słuszna obawa, aby nie rozszerzali między ludem dzieł, jak niedawno wydana książka dr. Jarnatowskiego pod tyt: *Hygiena czyli nauka o zdrowiu*. Czytamy tam między innemi.

„W szkołach *nie powinno się uczyć religii*, szkoła winna być niezawisłą od wyznania religijnego.... Szkoły winny być *bezwyznaniowe*... Nie wystarcza żadne z istniejących wyznań religijnych człowiekowi myślącemu. Nie ucz dziecka tego, czego sam nie pojmujesz, gdyż sprawdzi się przysłowie: czem skorupa za młodu nasiąknie, tem na starość trąci. Gdy wpoisz w dziecko pogardę światową, wzdychanie za mniemanem szczęściem niebieskiem, wychowasz *głupców albo obłąkanych*. Czyż rządy świeckie mają obojętnie patrzeć na podobną korupcyą społeczeństwa? *Nam się zdaje, że walka państwa z hierarchią kościelną była konieczną i błogie na przyszłość wyda owoce.*“

W innym całkiem duchu wydawał dla ludu dzieła i ogólne zjednał sobie uznanie zmarły dnia 13 marca śp. ks. Bażyński z Poznania. Więzień w Hausvogtei w r. 1836 wskutek rzezkomych stosunków z Towarzystwem Demokratycznym paryskim, poseł na sejm berliński w r. 1848, a w końcu proboszcz przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu, powziął po upadku powstania r. 1863 myśl wydawania „dobrych i tanich książek.“ W krótkim czasie wydał 40 książeczek dla ludu, a wpływ ich, jaki wywarły, jest ogromny. Nie ma wioski, w którejby się jego dzieła nie znajdowały. A były te dzieła pisane w duchu katolickim i narodowym!!

Epsilon.

Przegląd Literacki.

I. Voyage au pays des milliards. II. Les Prusiens en Allemagne, suite du voyage au pays de milliards par Victor Tissot. Paris. E. Dentu Éditeur 1876.

„Lepiej późno jak nigdy.“ Czy to była lekkomyślność czy lekceważenie, czy jedno i drugie razem, nie będziemy w to wchodzić, dosyć że Francuzi dni naszych bardzo mało zajmowali się sprawami sąsiedzkimi, jeszcze jako tako znali bezpośrednio ich stosunki do Francyi, o wewnętrznych urządzeniach sąsiadów, o stanie umysłowym i materyalnym ich nie wiedzieli nic wcale. Bezwątpienia dużo tu winien ówczesny rząd cesarski, nieudolność jego dyplomacyi, trudniącej się więcej plotkami salonowymi i giełdowymi niż badaniem stanu tego kraju przy którego rządzie byli uwierzytelnieni, dużo jednak winna także znana lekkomyślność Francuzów i ten szowinizm wypływający z przekonania: „nous sommes la première nation du monde“, zaufanie w swoje siły i wiara w rzutność żołnierza francuskiego „la furie française“, której nic oprzeć się nie zdoła. Długa pomyślność polityczna, wojenna i materyalna niejako do tego zaufania upoważniały, nie ma narodu, któryby doszedłszy do tego stopnia potęgi i znaczenia dostał zawrotu głowy, Prusacy cieszą się nie zwykłą pomyślnością od lat dopiero 10 a już szowinizmem jeżeli nie przeszli to zrównali Francuzom. Potrzeba było dopiero wielkiej, niesłychanej klęski aby Francya mogła się skupić, zastanowić czem grzeszyła i w czem się jej poprawić należy. Owocem tego skupienia, tego zastanowienia nad sobą jeżeli nie w całym narodzie to przynajmniej w pojedynczych jego członkach są dwa wyżej wzmiankowane dzieła Victora Tissot, dające bardzo dokładne wyo-

brażenie o wojskowej i politycznej administracyi Niemiec, o duchu panującym tak w rządzie jak w narodzie, o stanie ich umysłowym i materyalnym, o zasobach któremi rozporządzają i ludźmi kierującymi temi zasobami. Znać wszystkie środki, któremi nieprzyjaciół rozporządzać może, zbadać maszynę i jej kierowników, mających te środki przerebić odpowiednio celowi, który sobie wytknięto, jest to dopóły zabezpieczyć się przeciw wszelkiemu wrogiemu działaniu z jego strony.

Rzecz jednak do połowy tylko doprowadzona nie daje jeszcze zupełnej gwarancyi bezpieczeństwa i nie zapewnia pomyselnego skutku w razie starcia się, potrzeba jeszcze u siebie nagromadzić środki mogące równoważyć środki nieprzyjaciela, urządzić maszynę, która te środki ma zużytkować, tak aby ona przynajmniej wyrównała maszynie nieprzyjaciela a jej kierownicy sprostali kierownikom przeciwników. Otóż ta druga połowa, koniecznie potrzebna aby się pierwsza na co przydać mogła, dużo do życzenia pozostawia. Tylko rząd stały silny, imponujący zarówno wszystkiemu stronnictwom może Francję zbawić, a takiego rządu Francya nie ma, w stronnictwach więcej widać nienawiści wzajemnej do siebie niż miłości ku ojczyźnie, stronnictwa spychają się ustawicznie, a które chwilowo na pierwszy plan się dostanie, improwizuje całą maszynę rządową, która jeszcze w ruch puszczoną nie została, a już zastąpiona bywa drugą, bo stronnictwo, które ją wprowadziło, pobite zostało w parlamencie lub na ulicy. W takim stanie rzeczy polityka o wytkniętym celu, którego dopięcia dużo wymaga czasu, przygotowań i ostrożności, staje się niemożliwą, co jedni nagromadzają, drudzy zniszczą, żadna tajemnica się nie utrzyma, przeciwnie stronnictwo zchodzące z pola już to dla zabezpieczenia popularności na przyszłość, publicznie będzie głosiła co w danym kierunku zrobiła i czego na przyszłość gdyby do władzy wróciła, po niem spodziewać się można, już to aby utrudnić stanowisko przeciwnemu stronnictwu i z dyskredytować go nim jeszcze rządzić zaczęło. W Prusiech przez 30 lat pracowano w tajemnicy i cichości aby sobie pomyslny skutek zapewnić. Jeden rząd był spadkobiercą drugiego nie tylko władzy ale i ducha ożywiającego tę władzę. W dzisiejszej Francyi jestże to możliwem? Całe dziennikarstwo pruskie, nie wyjmując i austriackiego służącego interesom pruskim powitało dzisiejszy gabinet francuski z niekłamana radością, a jeszcze ten gabinet nie jest wyrazem całkowitem składu izby, która się cieszy szczególniejszą sympatyą Prusaków. Naród który wybiera sobie takich reprezentantów, że nieprzyjaciela jego uważają ostatnie jego wyory jako ustalenie tryumfu sędańskiego, podpisał sam wyrok na siebie. Książka p. Tissot jeszcze i w tym stanie może mu być użyteczną: pokorą, uniżonością, służbistością w wykonaniu rozkazów z Berlina może

przedłużyć swój byt, może wegetować w zapomnieniu i pogardzie. Stronnictwo które tańczyło z radości na wieść o klęsce sedańskiej stanowi dzisiaj większość w izbie, jakże się Prusacy nad nim rozczulać nie mają? jakże od niego spodziewać się regeneracyi? Czy rzeczywiście książka p. Tissot maluje stan rzeczy w Niemczech a raczej stanowisko Prusaków w Niemczech w tak świetnych kolorach że dla Francyi nie ma ratunku? Bynajmniej. Autor wykrywa w organizmie pruskim nie jedną piętę Achillesową, wątpimy tylko aby obecny skład rządu i izb francuskich z tych odkryć korzystać dla Francyi potrafił.

I.

Le voyage au pays des milliards znane już zapewne naszym czytelnikom z treściwego sprawozdania umieszczonego w „Czasie“ nie będzie nas z tego powodu długo zatrudniać, podamy tu tylko głównejsze ustępy, przepraszając z góry publiczność jeżelibyśmy się w czemkolwiek z „Czasem“ powtórzyć mieli, głównie nasze uwagi poświęcimy książce: *Les Prussien en Allmagne*.

Nie trzymając się porządku zachowanego w książce pośpieszamy naprzód zaspokoić ciekawość czytelników naszych co do skutków moralnych i materyalnych jakie wywarły miliardy zapłacone przez Francję Prusom.

Skutki są jak najgorsze: Niemcy moralnie i materyalnie ucierpiały strasznie. Kryzys ekonomiczny, przemysłowy i finansowy była bez pośrednim następstwem wyduszonych miliardów i zagarnięcia dwóch prowincyj. Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe czytamy na reklamach niemieckich zachwalających narodowe ich produkty, nigdzie bardziej na miejscu dewiza ta nie da się zastosować jak do następstw ostatniej wojny. Kraj zamiast z bogacić się z ubożał, wszystkie artykuły pierwszych potrzeb do życia o drugie tyle podrożały, podatki w dwójnasób zostały powiększone. Większa część nowych przedsięwzięć upadła, akcyonaryusze potracili mienie, a patronowie tych przedsięwzięć dobre imię. Jakim to sposobem stać się mogło? nie jeden zapyta. Najnaturalniejszym w świecie brzmi na to odpowiedź. Nadzwyczajny napływ pieniędzy rozbudził chciwość, zrodził nadzieje bezgranic. Sądzono że potrzeba tylko zapragnąć, a talary posypią się na zawołanie. Powstały przedsiębiorstwa nie dla zaradzenia rzeczywistym miejscowym i krajowym potrzebom, lecz w przypuszczeniu, że taki ogrom kapitału w ruch puszczony i na pokrycie ruchu przemysłowego użyty, wszelką konkurencyę zabija, zrobi Niemcy panami targów całego świata, tymczasem inaczej się stało, wycofanie 5 miliardów z obiegu Francyi nie zubożyło, prze-

mysłowego jej ruchu nie nadwęgżyło, miliardy zamiast produkcyjnego zużytkowania musiały z obawy możliwego odwetu pójść na cele wojskowe i na budowę nowych twierdz, na powiększenie armii lądowej i morskiej. Traktat handlowy z Francją, który miał zalać Galie pruskiemi towarami obrócił się na niekorzyść Prus. Francya doskonalszy i tańszy towar produkuje, niż „ziemia bojaźni bożej i dobrych obyczajów,” konkurencya francuska zadała nieobliczone ciosy przemysłowi pruskiemu. Anektowane świeżo prowincye wyżej przemysłowo stojące od zdobywców, dawny, miejscowy przemysł zupełnie zdławiły. Milion ludzi pod bronią oderwanych od produkcyjnej pracy, nie zarabiających nic, przeciwnie żyjących kosztem innych produkcyjnych rąk, tyle milionów talarów kosztują cesarstwo, ile dni w roku pod bronią stoją; dorachowawszy do tego straty indywidualne na jakie każdy powołany do szeregu ponosi przez zaniedbanie własnego interesu, a można z całą pewnością przypuścić, że przynajmniej 1 miliardem franków rocznie w przecięciu. Prusy swoją wielkość i tryumfy okupują. Wykazy statystyczne okazują, że przywóz towarów zagranicznych przechodzi wartością swoją cenę towarów wywiezionych o 700 milionów franków rocznie. Taki jest bilans przemysłowy i handlowy Niemiec stworzony wojną francuską. Przez długie lata taki stan rzeczy trwać nie może, musiałyby on Prusy zupełnie zrujnować, nie dziwić się więc, że pan Bismark żałować musi, iż tylko na pięciu miliardach poprzestał i szuka sposobności anektowania tych miliardów, które jeszcze we Francyi pozostały. Napaść na Francję zdezorganiwaną musi być jego ulubioną myślą i bezwątpienia uczyniłby to już dawno, gdyby nie obawiał się koalicji całej Europy, zastraszonej nagłym wzrostem Prus, koalicji nie w obronie Francyi ale w interesie własnym, aby nie zostać na łasce humoru i widzimisię żelaznego kanclerza. Ta obawa Europy przed Prusami jest niesłychanie korzystną dla Francyi, pozwala jej powolnie i bez widocznego wysilenia środki odwetu gromadzić, kiedy Prusy w obawie tego odwetu ustawicznie od stóp do głowy uzbrojone być muszą. Niestety anarchia, na którą się we Francyi zanosi, prędzej doprowadzić może do wojny domowej niż do podźwignięcia jej z upadku politycznego i militarne.

Jeżeli polityczne i ekonomiczne położenie Prus nie jest do pozazdroszczenia, natomiast wojskowa i cywilna administracya może służyć za wzór wszystkim narodom i państwom.

„Trzy wydziały wielkiego wojennego sztabu, pisze p. Tissot w tym przedmiocie, wyłącznie są zajęte studiami jak najdokładniejszymi nad armiami obcemi: wydziały te skrupulatnie notują każdą zmianę, każdy nabytek lub ubytek armii cudzoziemskiej, wiedzą doskonale ile czasu potrzeba będzie aby się skoncentrować w jakimkolwiek punkcie granicznym, ani jedna

armata, ani jeden kartacz nie dostaną się do arsenału, aby odrazu nie były wpisane w księgę sztabu pruskiego. Oficer oprowadzający autora powiedział mu: moglibyśmy wykazać co do jednego żołnierza prawie stan obecny armii francuskiej; jeżeliby nam jutro, pojutrze przyszło prowadzić wojnę w Hiszpanii, Szwajcaryi lub Belgii, postępowałibyśmy z tą samą matematyczną ścisłością i pewnością jak w r. 1870. Wiemy jak najdokładniej ilość wsi na Półwyspie, w Szwajcaryi, lub Belgii, ile wojska można w każdej wsi zakwaterować ile kontybutcyi w żywności i pieniądzach z nich ściągnąć “

Każdy turysta, każdy robotnik pruski udający się do cudzych krajów poczuwa się do obowiązku przysłużenia się datami sztabowi pruskiemu. Na tem jednak sztab nie poprzestaje, wysyła on żołnierzy z podoficerem na czele, przebranych po cywilnemu i ci pod pozorem szukania roboty idą do cudzych krajów, tam w pogadance z miejscowym ludem wypytują go o każdy szczegół: ile we wsi jest bydła pociągowego, ile krów, owiec i wieprzów, ile chat, kto najbogatszy etc. etc. notują przytem każdy strumyk, każdy mostek, każdy wzgórek, każdą dolinkę, każdy lasek, w razie inwazyi, wszystkie daty ma sztab pod ręką, nie potrzebuje się spuszczać na zeznania mieszkańców podczas zajęcia ich terytorium, jest on już jak u siebie w domu.

Od trzydziestu lat badali Prusacy w ten sposób Francję, znali ją też lepiej niż Francuzi sami, było to szpiegostwem powiada p. Tissot, w każdym razie miało wiele podobieństwa do eksploracyi naukowej. Tak przygotowują się Prusacy do wojny, jak ją prowadzą, ostatnia wojna najlepiej ich system ilustruje, nie znają ani litości, ani wspaniałomyślności, ani rycerskości, gruchocą wszystko, co im staje na zawadzie, ani sztuki, ani nauki, ani ludzkości, ani narodowości, ani układów i zobowiązań nie uwzględniają, jeżeli idzie o dopięcie celu. W środkach nie przebierają, oto co świat o nich powie, nie kłopotą się wcale, płatni historycy w razie zwycięstwa wszystko wytłomaczają, wszystko uniewinniają, zwyciężonych robiąc odpowiedzialnymi za nieszczęścia jakie na nich spadły. W francuskiej wojnie nie uszanowali krzyżów genewskich nad szpitalami polowymi nieprzyjaciół, swoje natomiast zapasy amunicyjne temi krzyżami zdobyli i w niebogłosy krzyczeli, jeżeli francuska kula tam się zabłąkała. Własność prywatna i publiczna wystawiona była na łup, zegarki francuskie wieleby o dzisiejszych ich właścicielach powiedzieć mogły, słowem postępowali jak zkantyzowani i zheglizowani Wandale ale Wandale zawsze, filozofia natury człowieka nie zmienia, a o religię nietroszczono się w Prusiech nigdy wiele. Już Fryderyk II, który nie puszczał jeszcze wprawdzie, aby społeczność mogła istnieć bez religii, dla rządzących uważał ją za zbytęcną a nawet niepo-

trzebną: religia powinna być dla panującego środkiem a nigdy celem mawiał zwykle, a co do moralności, przenosił moralność Mojżesza, oko za oko, ząb za ząb, nad moralność chrześcijańską nakazującą przebaczenie i pokorę. Maksymy wielkiego króla stały się dziś narodową własnością, z tym dodatkiem że za oko oba oczy, za ząb wszystkie zęby wybić należy.

Wspomnieliśmy że Prusacy w praktyce swojej wojennej nie uwzględniają narodowości chociażby ta była nawet niemiecką. Pan Tissot ciekawe podaje szczegóły ich postępowania w Frankfurcie podczas wojny austriackiej.

„6go Lipca ogłosił senat ludowi, że tegoż dnia wejdą Prusacy do miasta, wzorowa karność wojska jest dostateczną rekompensacją, że nikt niepokojonym nie będzie, mówiła odczyta. Wbrew tym zapewnieniom wszystkie banki i instytucje finansowe udały się pod opiekę obcych mocarstw i wywiesiły chorągwie angielskie, francuskie, amerykańskie a nawet szwajcarskie. Około godziny 9tej nastąpiło wejście, w mieście było pusto i głucho jak na cmentarzu. Na czele wojska postępował generał Vogel von Falkenstein, z dobytym pałaszem. Bilety kwaterek były już przygotowane i doręczone, żołnierze jednak na własną rękę wyszukiwali sobie umieszczenia, wybierając okazalsze domy. Oficerowie, którzy w swoich pomieszczeniach zastali świece łojowe, grozili śmiercią, przykładając gospodarzom pistolet do skroni, jeżeli im natychmiast niepodadzą światła woskowego. Potem zażądano w równie przekonujący sposób kluczy od piwnicy i raczono się najdelikatniejszymi winami, szczególnie godzili na szampańskie. Nazajutrz generał Vogel von Falkenstein przezwany tutaj Vogel von Raubenstein ogłosił stan oblężenia, zawiesił wszystkie dzienniki, zakazał wszelkich prywatnych zgromadzeń. W kilka dni później polecił mieszkańcom aby kilkanaście tysięcy cygar zakupili od liwerantów wojskowych, zażądał 60 tysięcy par trzewików, 300 sodeł, i wypłacenia całorocznego żołdu dla załogi zajmującej Frankfurt. W zamian przyobiecywał, że mieszkańcy żadnych innych ciężarów nie poniosą. 19 lipca mieszkańcy wszystkim tym wymaganiom zadosyć uczynili; roczny żołd wynosił 6 milionów reńskich. Tego samego dnia został Vogel odwołany, jego miejsce zajął generał Manteuffel. Zaraz po swoim przybyciu przesłał senatowi następujące pismo: Uwiadamia się Panów senatorów miasta Frankfurtu, że na miasto ich została nałożona kontrybucya w sumie 25 milionów reńskich, które w 24 godzinach zapłacone być mają.

„Trzech najznakomitszych bankierów wydelegowanych zostało do nowego głównie dowodzącego, aby mu przypomnieć przyrzeczenia jego poprzednika. Wszystko napróżno, zaledwie pozwolono na zwłokę trzechdniową.

— „Wiem mówił Manteuffel że mię porównają do księcia Alby, lecz ja nie jestem jak tylko wykonawcą wyższych rozkazów.

— A cóż Excellencya zrobisz, jeżeli na termin wymaganej sumy mieć nie będziemy, zapytał jeden z deputowanych.

— Odpowiedź na to zapytanie wyczytuję już na ustach panów — odpowiedział Jenerał, tak jest, wydam miasto na rabunek.

— W takim wypadku dla czego Ekscellencya nie każesz natychmiast zapalić miasta na cztery rogi.

— Rzym, odpowiedział komendant, powstał z popiołów jeszcze wspanialszy.

W zwykłej prozie znaczyły te słowa: pieniądze moglibyście ukryć lub z niemi uciec, nam idzie o zniszczenie was kompletne.

Przy pożegnaniu jeszcze jeden z deputowanych zapytał: czy to już ostatnia kontrybucya?

Co do mnie, zaręczał Manteuffel to już ostatnia, czy mój następca jeszcze czegoś żądać nie będzie, za to zaręczyć nie mogę.

Groźba rabunku rozeszła się lotem błyskawicy po mieście, nie upłynął jeszcze termin, a już kontrybucya zapłaconą została.

W pięć dni później jenerał Roeder kazał przyzywać prezesa Izby handlowej i dał mu następujący telegram Bismarka do przeczytania: „Ponieważ środki dotychczas użyte nie osiągnęły zamierzonego celu, masz Pan z dniem dzisiejszym zamknąć biuro pocztowe i telegraficzne, wszystkie piwiarnie i oberże i inne zakłady publiczne, nie dopuszczać do miasta ani podróżnych ani towarów.“ Pokój w Mikołajowie uwolnił miasto od dalszych szykan i zdzierstw, natomiast trzeba było przyjąć liberyę pruską. — Z postępowania Prusaków w Frankfurcie można się domyślać, jakie było ich postępowanie we Francyi. Prusy nie są też w Niemczech lubiani, słusznie jednak p. Tissot w swoim dziele przestrzega swoich rodaków, aby na tej niechęci Niemiec do Prus nie opierali swoich nadziei. Przeciwnie „dziedzicznemu nieprzyjacielowi Niemiec,“ jak nazywają tu Francję, panuje ogólna nienawiść, jest to jedyny kit, jaki spaja nie bardzo z sobą sympatyzujące członki Germanii, wojnę z dziedzicznym nieprzyjacielem uważa autor Podróży po krainie miliardów jako jedyne możliwe wyjście dla kanclerza z walki z Kościołem, pod tem hasłem wszystkie stronnictwa się zjednoczą, namiętności się uspokoją, walka ustanie. To zdanie p. Tissot poparcia nie potrzebuje, i Francya dobrze o nim pamiętać powinna. Tymczasem walka z Kościołem nie przyczynia się do utrwalenia powagi Prus w Niemczech, katolicy są w otwartej z rządem cesarskim wojnie, a co gorzej,

kanclerz potrzebuje sojuszników do walki z Kościołem, musiał liberałom takie poczynić koncesye, które pozwalają rządy ks. Bismarka uważać jako przejściowe do rządów republikańskich. Z obaleniem religii idey socjalistyczne rozwijają się w zastraszający sposób, nędza i zbrodnia doszły do kolosalnych rozmiarów, to też pierwsza rzecz, która podróżnego na dworcu kolei żelaznej w Berlinie uderza, są poprzybijane gęsto ostrzeżenia: *Strzeżcie się złodziejów*. W państwie „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“ takie urzędowe świadectwo, wydane w stolicy, ma swoją nieocenioną wartość. Zjadliwe paszkwilowanie Kościoła w parlamencie, na zebraniach ludowych, w prasie subwencyonowanej, żyjącej z godzinnego funduszu, a obejmujący cały świat, gdziekolwiek Niemcy się znajdują, innych rezultatów mieć nie może. P. Tissot, pragnący poznać Niemcy wszechstronnie, nie mógł omijać i knajp, w których większe towarzystwo się zbierało; w jednej z nich podsłuchiwał następującą rozmowę między dwoma robotnikami: Moja Gritta, od czasu jak była na posiedzeniu reichstagu i wysłuchiwała mowy wielkiego Michalka (Bismarka), o niczem nie mówi jak tylko o papieżu i nieomyślności. Polityczne wykształcenie jej już biore na siebie i ręczę ci, że pójdzie wysoko i da się wykraść jakiemu radcy tajnemu. Oto moralność u dołu i u góry!

Po ulicach słychać piosnki tej treści:

Przeciw rzymskim pasibrzuchom
Słuszny w całych Niemczech krzyk,
Wnet powiedzą naszym zuchom
Hura na Rzym! zawsze szyk!
Wszystko pójdzie pięknie, ładnie,
Zginie papież, zginie Gał,
A światem w końcu zawładnie
Pocziwa niemiecka stal!

(Tłumaczenie wolne, lecz zupełnie oddające myśl i dążenie).

Nietylko w knajpach i na ulicy, ale i po uniwersytetach a nawet i ogródkach froeblovskich propagują Prusacy w ten sposób moralność i patriotyzm!

Takie dodatnie i ujemne strony cesarstwa kreśli autor w swojej Podróży po kraju miliardów, zobaczymy teraz, jak ocenia stanowisko Prus w Niemczech w drugim swoim dziele: *Les Prusiens en Allmagne*.

II.

Prusy w Niemczech, książka o 510 stronicach w 16ce, dałaby się streścić co do głównego zarysu w kilku słowach: Niemcy są entuzjazmowani dla swojej narodowej i politycznej

jedności, a nienawidzą Prusaków. W dziennikarstwie tej nienawiści nie znać. Żelazny kanclerz każdy objaw podobny każe ścigać sądom nietylko w Prusiech ale i w państwach należących do cesarstwa, nie zadowolnić życzeń kanclerza w Prusiech jest czystą niemożebnością, w krajach pośrednich groźnem niebezpieczeństwem, natychmiast bowiem partya narodowo-liberalna najmniejszy opór wystawia jako bunt przeciwko jedności i grożą medyatyzacją opornym, wystawia ich jako skrytych sprzymierzeńców papieża i Francyi, tych odwiecznych wrogów Germanii. Bojaźń przed sądami i obawa narażenia połowiczey niepodległości ojczyzny na proste wcielenie do Prus już jest hamulcem dla prasy do zamanifestowania jawnego swoich przekonań i uczuć, mimo to jednak te przekonania i uczucia znalazłyby szerszy odgłos, gdyby je nie zagłuszała gadzinowa prasa, utrzymywana z tajnego funduszu pruskiego. Mało który dziennik w cesarstwie jest niepodległy, ogromna większość jest subwencyonowana przez Prusy, za co umieszczać musi artykuły przesłane mu z biura prasowego berlińskiego, inspirowanego przez księcia Bismarka. Ztąd większość dzienników przedstawia interesa i aspiracye Niemiec odpowiednio polityce pruskiej. Subwencya nie ogranicza się tylko do dzienników cesarstwa, ale obejmuje cały świat znany w Petersburgu, w Wiedniu, w Peszcie, w Warszawie, w Paryżu, na przykładu Dobrej Nadziei, w Indjach, w Ameryce, w Australii, wychodzą dzienniki za pieniądze pruskie i w interesie pruskim. Kosztuje to wiele, lecz rentuje się obficie. Czytając mnóstwo dzienników w różnych dziennikach i w różnych krajach wychodzących, a obrabiających sprawę w jednym kierunku i z jednego stanowiska, nawet wykształcony politycznie czytelnik, traci wiarę w własne przekonanie i przejmuje się zapatrywaniem ze wszelkich stron jednobrzmiących, cóż dopiero mówić o tój bezmyślniej masie czytających, biorących na seryo wszystko, co widzą czarne na białem, chociażby to ze zdrowym rozumem i konsekwencyą w najwidoczniejszej było sprzeczności. Głupota, namiętność i zła wiara kolportują najniepodobniejsze do prawdy rzeczy, i wierzących zawsze znajdują podostatkiem, ludzie ci stanowią opinię publiczną, a ktoby śmiał się jej sprzeciwić, dostaje kamieniem albo błotem. Wprawdzie na kamień możnaby odpowiedzieć kamieniem, na błoto błotem i do tego w końcu zapewne przyjdzie, ucierpi na tem dobre wychowanie, ale zyskać może prawda, przynajmniej u nas w Galicyi, gdzie zdrowe zasady występują tak nieśmiało, jak żeby się same siebie wstydyły; z przeciwnikiem nie mającym poczucia rycerskości, nie można się obchodzić po rycersku. Odparcie delikatne oszczerstw przeciwnika do nowych napadów ośmiela, a w głupcach wyrabia przekonanie, że napastnik miał słuszość. Z dwóch złych trzeba wybierać mniejsze; lepiej zaś utracić na formie a zy-

skać na treści; biedne to zaiste czasy, gdzie do podobnych środków uciekać się potrzeba; jednak kto chce mieć wpływ na społeczność, musi jej językiem przemawiać, inaczej nie będzie ani pojętym ani czytany. Umiarkowanie, powaga nudzą; ileż to razy słyszałem: ten a ten dziennik bardzo pocziwy ale djabelnie nudny; nie masz w nim kropelki krwi, nie ma życia, muszę zaprenumerować inny dziennik. chociażby najsprzecznieszy z mojami zasadami, ale przynajmniej będę miał emocję czytając go. Rozumie się z początku ten dziennik go gniewa, pomału oswaja się z nim, w końcu z nim sympatyzuje i wewnątrz wierzy. Prusacy korzystając z tej słabości ludzkiej wyśrubowali się na pierwsze mocarstwo w Europie, dziennikarstwo od nich zależne, przez nich płatne, zastosowali zupełnie do usposobienia publiczności, o formę i prawdę nie troszcząc się zbytecznie.

Oto próbka ich stylu w czasie ostatnich wyborów bawarskich. Obywatele Niemiec! Głosujcie wszyscy w ściśnionych szeregach. Walną bitwę przychodzi nam stoczyć. Cała zgraja popów staje w szeregu przeciwko wam, nieczne swe zamiary ukrywa płaszczykiem Bóg i ojczyzna, obiecuje wam złote góry; lecz za jaką cenę? za cenę wolności i niepodległości naszego sumienia.

Papież nieomylny nakazał, aby wybory bawarskie wypadły w duchu rzymskim. Dla tego to biskupi rozrzucili odezwy i podnieśli krzyki; wiara jest w niebezpieczeństwie.

Cała Francya z natężoną uwagą śledzi wyniku naszych wyborów; cała Francya wszystkie swoje nadzieje pokłada w rzymskim papieństwie, które poprzysięgło zgubę cesarstwu niemieckiemu niosąc już w rękach pożarne pochodnie.

Do urny więc, niechaj ani jeden z was nie zabraknie.

Jeden z berlińskich dzienników nie wahał się użyć tych słów: Król Ludwik II wydałby o sobie świadectwo niedołęztwa i podłoty, gdyby powierzył interesa swego państwa katolickiej większości frakcyi, spiskującej jawnie i skrycie przeciwko wielkiej ojczyźnie.

Jakże tu nie wierzyć że tak jest, kiedy dziennik popierany jest przez broszurę, broszura przez książkę okolicznościową, książka okolicznościowa przez dzieło pomnikowe, a dzienników takich, broszur i książek wychodzi tysiące. O prawdziwym usposobieniu mieszkańców w danej chwili trudno coś wiedzieć wśród takich okoliczności.

Jeżeli jednak zależy komu na prawdzie, trzeba zrobić jak p. Tissot, udać się na miejsce, badać samemu stosunki, podsłuchać lud w rodzinnych i przyjacielskich kółkach, gdzie z całą otwartością wynurza swoje zdanie, zastanowić się czy te zdania nie są odosobnione, porównać je, i wyciągnąć ogólne wnioski. Tą metodą postępując, nie jedną rzecz musi się po-

wtórzyć, nie jedną drobną okoliczność w innych warunkach podrzędną przytoczyć dla uwydatnienia stanu rzeczy, wszystko to powiększa objętość książki, co jest wielką niedogodnością, ostatecznie jednak te powtarzania wychodzą na korzyść traktowanej sprawy.

„Tałatajstwo pruskie“, to zwykła nazwa jaką Prusaków traktują w południowych Niemczech, któż ich lubić może? Katolik nie, autonomista nie, demokrata nie, przemysłowiec nie, konsument nie, kapitalista nie. Przemysł pruski upada, robotnik podróżał, płody niemieckie są gorsze i droższe niż zagraniczne, do tego brak im smaku, tak że po większych warsztatach robotnik francuzki jest pożądany, książę Raciborski, który teraz pałac buduje w Berlinie, prawie wyłącznie używa Francuzów a nawet materiał sprowadza z Francji, książę Putbus stawiający pałac na wyspie Rugii czyni tak samo. Żywność podróżowała niesłychanie, wszystko kosztuje prawie dwa razy tyle, co przed wojną francuzką: funt smalcu który kosztował przed wojną 18 krajcarów kosztuje teraz 33 kr., funt masła z 19 krajcarów podskoczył na 35½, mięso wołowe podniosło się w cenie o 126%, cielęcina o 115%, baranina o 129%, wieprzowina o 94%, ziemniaki kosztują dzisiaj trzy razy więcej niż przed wojną, piwo w dwójnasób podróżowało. Drzewo o 182% kosztuje teraz więcej niż przedtem. Kapitałści także zadowolenieni być nie mogą: Akceje kolei żelaznej spadły, i tak akceje kolei berlińsko-anchaltskiej, które stały przed wojną na 223 talarów, sprzedają się teraz po 111; berlińsko-garlickie z 60 spadły na 20, berlińsko-poczdamska z 218 na 69; magdebursko-halberstadzka z 200 na 40. Tak samo się rzecz ma z walorami przemysłowemi i finansowemi.

Kurs 31 Grud. r. 1872 i 31 Grud. 1875

Spółka tow. połączonych berlińskich	310	—	190
Stowarzyszenie banków berlińskich	161	—	73
Towarzystwo eskontowe . .	335	—	135
Kredyt ziemski	201	—	96
Bank centralny dla bu- downictwa	239	—	24
Fabryka stali w Bohum . .	230	—	44

Bankructwa się mnożą, wiele fabryk zamknięto, w innych zredukowano robotników do połowy. Krupp który zatrudniał dawniej 16 tysięcy ludzi dzisiaj ich nie ma tylko 8 tysięcy, gdzie nigdzie zmniejszono płacę a tu żywność i mieszkanie podróżowały. Robotnik który dawniej mógł wyżyć jako tako, dziś jest w najokropniejszej nędzy. Cóż więc dziwnego że fał-

szerstwo, przemieszanie, kradzieże i rozboje są na porządku dziennym! Jedność narodowa i polityczna ów upragniony cel każdego patrioty w takim składzie rzeczy musi się wydawać mniej pożądaną w rzeczywistości niż kiedy była dopiero marzeniem.“ Trzymacie z Francuzami „zarzucił zgromadzeniu katolickiemu narodowy liberał — odpowiedź brzmiała: „Z Francuzami możebyśmy mieli chociaż co jeść, z Prusakami przyjdzie nam umrzeć z głodu.“ Emigracya za Atlantyk nigdy nie była tak liczna jak po wojnie francuskiej, do 60 tysięcy Niemców z kapitałem około 11 milionów dolarów opuszcza w przecięciu rocznie ojczyznę, po części chroniąc się przed nędzą, po części przed ogólną służbą wojskową. Prusacy umieli w krótkim czasie obmierzyć Ojczyznę Niemcom. Charakterystyczną w tej mierze opowiada autor anegdotę. Do pewnej gminy zjechał landrat; przełożony miejscowy czynił mu honory, oprowadzał go po wszystkich instytucjach i zakładach, nareszcie zwiedzili kościół. Między wotami był zawieszony szczur srebrny naturalnej wielkości. A to co ma znaczyć? zapytał landrat, To wotum pochodzi z dawniejszych czasów, gminę naszą naszała ogromna ilość szczurów, rady sobie z nimi dać nie można było, wtedy zamożniejsi zrobili między sobą składkę, kazali ulać ze srebra tego szczura i zawiesili go przed obrazem Najświętszej Panny z błaganem, aby nas od tej plagi ratowała, co się istotnie stać miało. „I wy w takie banialuki wierzycie jeszcze teraz?“ „Niestety teraz już takiej wiary nie ma, odpowiedział przełożony, o gdyby tak było jak przedtem, dawnobyśmy już na tem miejscu powiesili Prusaka ulanego ze srebra.“ Biedaczysko opowiadaniem rozogniony, śnać zapomniał do kogo mówić.

Ciężko także czują się południowi Niemcy obrażeni arogancją pruską z jaką ich traktują. I tak np. Bismark przy pewnej okoliczności taką dał definicję Bawarczyka: „Jestto istota pośrednia między Austryakiem a człowiekiem.“ Naprawdę, takie koncepta chociażby były bardzo dowcipne, nie mogą Prusaków popularnymi uczynić w Niemczech.

Liberalizm bismarkowski traci także grunt pod nogami, liberały się spostrzegły, że Bismark kanclerz o tyle tylko wyzyskiwał ich namiętności i popuszczał im wodze, o ile się to zgadzało z jego widokami i namiętnościami osobistymi i politycznymi, że nawet chciał ich podejść, aby pod pozorem skutecznej walki z katolikami i socyalistami podali mu broń przeciwko sobie samym, gdy ich już więcej potrzebować nie będzie, a podobno nie będzie potrzeba czekać długo aby usłyszeli: „Murzyn uczynił swoją powinność, murzyn może sobie już odejść.“ Oszukani sprzymierzeńcy stają się zwykle najzacieśniejszymi nieprzyjaciółmi.

Walka z Kościołem przybrała również rozmiary, które mogą całym systemem pruskim zachwiać. Bismark spodziewał się po czterech latach być panem położenia, Kościół zamienić na posłusznego służkę państwa. Jakże mu daleko do tego! Piękną, trafną i pouczającą historyjkę opowiada w tej materii Germania, którą autor przytacza: Pewnego razu spotkał kanclerz jakiegoś pana dyskutującego wymownie i bystro o wszystkich rzeczach możliwych, o polityce, administracyi, o nauce i sztuce. Kanclerz wszedł z nim w rozmowę, nareszcie rozpoczęto mówić o sprawach kościelnych. „Kiedyż sądzisz Wasza Ekscelencya ukończyć tę sprawę“ zapytał nieznajomy. „We cztery lata najdalej“ odpowiedział z pewnością siebie pustelnik Warzyński. „Pozazdrościć i powinszować Waszej Ekscelencyi takiego skutku, ja się czemś podobnem poszczycić nie mogę, mimo że przez 18 wieków nad tem pracuję. Jestem djabeł do usług Waszej Książęcej Mości.“ To powiedziawszy, skłonił się i wyszedł.

Polityka kanclerska nie budzi już tego zapału co dawniej, trzeba by nowym jakimś czynem wojennym rozbudzić zapał, środki są po temu, w fortcey w Spandau leżą nagromadzone skarby do rozpoczęcia w każdej chwili wojny bez odwołania się do parlamentu i żądania od niego pieniędzy. Gdziekolwiek by Prusy obróciły swoją broń, wszędzie by miały przewagę. Inne państwa zależne od zezwolenia swego parlamentu na kosztą wojny ledwie by się mogły poczynąć uzbrajać, kiedy by Prusy uzbrojone od stóp do głowy, stały już na ich granicach i rozpoczęły działanie. Cóż? Europa a nawet Rosya ów najdawniejszy i najwytrwalszy sprzymierzeniec, z nieufnością patrzą na każdy krok polityki pruskiej, pojedynczo żadne mocarstwo europejskie nie sprostą dziś Prusom, to prawda, ale koalicya to rzecz groźna, jeden fałszywy krok a cała budowa runie, z prochu powstałeś i w proch się obrócisz, trzeba by sobie wtenczas powiedzieć!

Ajent giełdowy w Bremie taki skreślił naszemu autorowi obraz polityki Bismarka: „Wszędzie czuć się dają oznaki znużenia i niezadowolenia. Rozczarowanie jest powszechne, zachwyt ze zwycięstw r. 1870 i 1871 niknie widocznie.

„Lud przechodzi przez przesilenie ekonomiczne, przemysłowe i handlowe, gniecie go zwiększenie podatków i powszechna służba wojskowa; katolicy w swojej opozycyi są nieubлагani, a narodowo-liberalni głoszą już jawnie, że rząd bismarkowski jest czysto absolutnym, przeciwnym wszelkiej wolności. Maszyna rządowa idzie jeszcze dalej ale już widocznie pojedyncze kółka zwolniały i rozstroili się.

„Na zewnątrz polityka kanclerska nie była szczęśliwszą, a fakta oddają słuszość tym, którzy wołają baczność, lecimy w przepaść, trzeba zmienić system!

„Od czterech lat tylko same zawody i porażki były udziałem Bismarka. Po kapitulacyi Paryża sądził, że Berlin stanie się sercem i głową Europy, nie miano myśleć ani działać póki sygnału nie dadzą z Berlina ale Rosya przeprowadziła kontrminę i zaraz po zawarciu pokoju P. Joerg mógł powiedzieć w parlamencie: punktem ciężkości Europy jest dzisiaj Petersburg. Była to pierwsza porażka. „Sprawy hiszpańskie stanęły na porządku dziennym. Pan Bismark bierze inicjatywę i uznaje Rzeczpospolitą Serrana, Rosya pozwala mu leżeć w błoto i swoją postawą uniemożliwia interwencyę pruską. To druga porażka.

„Na wiosnę zeszłego roku p. Bismark postanowił wojnę z Francją *aby już raz z nią skończyć*, gdyż każdy dzień zostawiony jej w spokoju jest stratą i niebezpieczeństwem dla Niemiec, jak się wyraził feldmarszałek Moltke. Armia wyglądała już rozkazu do mobilizacyi, na niektórych dworcach kolei przygotowano już wagony do przewozu wojska, w tem zjeżdża Car do Berlina, widzi się z Cesarzem i postać rzeczy nagle się zmienia. Zapewnie nie stało się to bez woli cesarza ale Rosyi należy się cześć i zasługa, że kanclerz musiał miecz schować do pochwy. To trzecia porażka.

„We Włoszech polityka kanclerska także się nie powiodła. Mimo wszystkich usiłowań Kulturkampf u mdło idzie. „Z zabobonnymi i głupimi Włochami trudno iść ręką w rękę.“

„Stosunki Austrii i Prus są wyborne jak głoszą, jednakże Austria odmówiła stanowczo wszelkiego poparcia Prusom w sprawie przyszłego wyboru papieża, a dzisiaj już jest pewnem, że Rosya, Anglia, Włochy zupełnie podzielają zapatrywania się Austrii.

„Król Szwedzki taki entuzjazmowany dla polityki kanclerskiej w czasie pobytu w Berlinie, ochłodził zupełnie po powrocie do siebie “ Tak na każdym kroku zawody, młode cesarstwo w nielada znajduje się trudnościach wewnętrznych i zewnętrznych. Wojna zagraniczna, lub ustąpienie Bismarka od rządów są jedynemi punktami wyjścia dla Prus. Europa wojny nie chce a Prusy bez jej zezwolenia prowadzić jej nie mogą, tak prawdopodobnie skończy się na odesłaniu Bismarka do domu. Ewentualność on tę przeczuwa, stąd głosi o swej chorobie i znużeniu, aby w razie danym uratować przynajmniej pozory, może zresztą i rzeczywiście dymisji sobie życzy w obawie, aby nieodegrać całkowicie i zupełnie roli Arminiusza, w której w dwóch pierwszych aktach jako ulubieniec Rzymian i zwycięzca w teutoburskim lesie z takim powodzeniem występował, a której trzeci akt naznaczony jest klęskami i gwałtowną śmiercią z ręki własnych rodaków.

Podaliśmy wyżej próbkę stylu dziennikarstwa pruskiego, dla skompletowania obrazu przytoczmy teraz próbkę wymowy

narodowych liberałów. Rzecznik dzieje się w Würzburgu na zgromadzeniu przedwyborczem do ostatniego sejmiku. Jeden z zgromadzenia występuje na trybunę i mówi: „Panowie! znajdujemy się w przededniu wielkiej bitwy, zaklinam was po raz ostatni, abyście postępowali zgodnie, jeżeli nam się uda pobić nieprzyjaciół, zgotujemy tem samem Sedan dla Rzymu. Idźmy w ściśniętych szeregach, aby uniemożliwić ultramontanom dopięcie celu jakim jest wydanie państwa na pastwę Rzymowi i jezuitom. Nienawisć, jaką mieli do dawnego cesarstwa, przenieśli oni na nowe, zasiewają niezgodę, wzywają do buntu przeciwko ustanowionym prawom. Przecież to naczelnik tych czarnych kruków, nuncyusz papieski powiedział niedawno: „nie pozostaje nam inny sposób raunku tylko rewolucya.“ Nie zapominajmy, że piętnaście milionów ultramontanów zamieszkuje cesarstwo, którzy kokietują z Francją. Nawet w Niemczech mają sprzymierzeńców, tak nazwani narodowi konserwatyści spiskują razem z ultramontanami. Co więcej, stronnictwo ludowe chyli się także ku nim, czyżto nie ono zarówno z ultramontanami walczy przeciwko jedności i wielkości Niemiec?”

Mowę tę przyjęto z zapalem, mimo że tyle w niej kłamstw ile słów. Katolicy tak dobrze bili się za tę jedność jak inni Niemcy i dziś wojna z Francją wszystkie stronnictwa gotowa pojednać i połączyć, a nuncyusz papieski nigdy słów nie używał, jakie mu w usta włożono. Odsądza nie od patriotyzmu, oskarżanie o przekupstwo i zdradę ludzi przeciwnego stronnictwa to zwykła taktyka liberałów wszystkich narodów. U nas w Galicyi praktykują tę taktykę na wielką skalę i nie można powiedzieć, żeby ich usiłowania były bez powodzenia. Dziwna rzecz, jak mało sąd jest rozwinięty nawet u ludzi wykształceńszych, kłamstwa bijące w oczy, widoczne nonsensa znajdują posłuch i powtarzane są w dobrej wierze przez osoby, którym niepodobna imputować propagandy tych idei, dla których te kłamstwa zostały w kurs puszczane. Nie dawno słyszeliśmy człowieka poważnego, umiarkowanego, należącego do tak nazwanej inteligencji, ubolewającego nad niefortunnem występowaniem ks. Goliana w Warszawie, gdzie z kazalnicy zabraniał ludowi modlić się do Matki Boskiej Częstochowskiej, a nakazywał cześć boską oddawać carowej. Dał się przekonać, że to niemożliwe, że takiego księdza kościółby nie tolerował; że to byłoby coś obrzydliwszego nad wszystkie dotychczasowe szczyty... a jednak dodał: ja sobie tego z palca nie wysłałem, czytałem to, jeżeli się nie mylę, w *Dzienniku Polskim*. Człowiek ten rodem, wychowaniem należał do lepszego stanu, coś dopiero mówić o tej licznej klasie rzemieślników i drobnego kupiectwa, którzy zaledwie ukończywszy szkoły ludowe, pracą oszczędnością, zabiegliwością zdobyli sobie stanowisko, czynny

biorą teraz udział w sprawach społecznych i stanowią rdzeń opinii. Chęci ich są najlepsze, poświęcenie dla ojczyzny wielkie, ale sądu samoistnego nie mają i mieć nie mogą, do tego trzeba nauki, której nie otrzymali, i głębokiego zastanowienia się, na co czasu nie mają. Liberały to wiedzą, kłamią im niestworzone rzeczy, a byle tylko podlali to patryotycznym sosikiem, wiarę znajdują zawsze.

Drugi mówca, który po nim głos zabrał, był jeszcze lepszy, „Panowie! zawołał głosem piorunującym, „katolicy są zdrajcami ojczyzny, to kłamcy i oszusty, oni to zagranicą błotem obrzucają cesarstwo, jego naczelników i jego instytucje, nie ma oszczerstwa, przed któremby się cofnęli. W korespondencji przesłanej do gazety niemieckiej, wychodzącej w Baltimore donoszą, że u dworu bywają bale, na których damy innego stroju nie mają, jak tylko trzewiczki z różowego atłasu. Nie sądźcie, że to mój wymysł, honor ten należy się katolikom, obrzydliwy ten artykuł mam tutaj przy sobie.“

— Prosimy go przeczytać, zawołano ze wszystkich stron.

— Nie panowie, nie odważyłbym się obrażać uszów waszych podobnemi obrzydliwościami, możecie go sobie przeczytać w Powszechnej Północnej Niemieckiej Gazecie, która przedrukowała w całości dla zbudowania niemieckiego ludu nad postępowaniem ultramontanów.“

A co nie wyborne? Autor powiada, że po tych słowach jeden tylko szept rozszedł się po sali: co to za kłamcy ci ultramontanie!

Trzeci z kolei mówca zdobył się tylko na ten frazes: „katolicy to osły, które piją wodę z Lourdes“ frazes ten znalazł ogromne powodzenie.

Katolicyzm w cesarstwie jest dziś przeważnie celem pocisków, oszczerstw i kłamstw najróżnorodniejszych. Najsilniej na umysł drobniejszego mieszczaństwa działa insynuacja przymierza katolików z Francuzami, insynuacja podła i kłamliwa, ale skuteczna, nienawiść do dziedzicznego wroga spada i na jego sprzymierzeńców; tak się podkopuje kościół i religię u dołu, u góry spełniaje to zadanie profesorowie uniwersyteccy, Dr. prof. monachijski Prantl rozpoczyna swój kurs filozofii zwykle od tych słów: „jeżeli między panami znajduje się jeszcze który, coby wierzył w takie bzdurstwa jak istność Boga, ten może sobie oszczędzić trudu ucześnieć moją odczyty.“

Teatr jest także środkiem podkopania zasad religijnych. Z wielkiem powodzeniem grają sztukę, która treścią swoją zbliża się do Ojca Makarego p. Okońskiego: „Pewien proboszcz przyjmuje do siebie biedną sierotkę, a nie grzeszy zupełnie wstrzemięźliwością św. Antoniego. Tu długie tyrady przeciw beżenństwu kapłanów. Proboszcz stosunek swój odsłania biskupowi, zawiązuje z nim polemikę pismienią, w której dowodzi

konieczności reorganizacyi kościoła: na zasadzie małżeństwa księży. Proboszcz opuszcza parafę, żeni się z sierotą, minister Falk wynagradza go sowicie, biskup idzie do więzienia.“ Jest więc sens i morał, intryga zostaje ukaraną, cnota wynagrodzoną.

Nawet sztuki piękne, którym z wyjątkiem dzieł Kaulbacha autor nie przyznaje wielkiej wartości estetycznej, mieniając je wyrobami dekoracyjnymi, i także mają zadanie potępiać kościół a potezować Prusy w Niemczech.

Trudno jest w krótkich ramach przytoczyć wszystkie spostrzeżenia, jakie p. Tisset w swojej książce zamieścił, możemy jednak zapewnić czytelnika, że wszystkie mają przedmiotową wartość, nawet tam, gdzie w formie czuć, że to pisał *der Erbfeind Deutschlands* w treści nie dopuścił się extrawagancyi.

Mniej nas zbudował znajomością swoją historyi. Pisząc o synagodze w Würzburgu i o uniwersytecie żydowskim, który tam istniał w XII wieku, powiada, że kolonia żydowska w tych stronach datuje się od V wieku przed narodzeniem Chrystusa, jak o tem świadczą odkryte niedawno nagrobki żydowskie w Babenbergu. Nie chcemy się wdawać w polemikę o ile te pomniki są prawdziwe i o ile rzetelnie wyczytano napisy, stanowczo jednak musimy wystąpić przeciw jego *on dit*, że żydów tych osadzili Rzymianie w tych stronach. Rzymianie na 5 wieków przed Chrystusem t. j. za panowania Tarkwiniusza Pysznego nie mieli relacyi ani z Germanią ani z Judeą; wątpić bardzo należy, czy nawet ze słuchu coś o tych krajach i ludach je zamieszkujących wiedzieli. Na takie grube usterki pisarzowi poważnemu nawet milcząco zgadzać się nie wolno.

Ostatnie chwile księcia wojewody (Panie Kochanku), napisał J. I. Kraszewski według papierów Glinki. Warszawa, r. 1876.

Instytucye polityczne i społeczne Rzeczypospolitej polskiej sprzyjały ogromnie wyrabianiu się charakterów niesfornych, dzikich, nie zważających ani na prawa boskie ani na prawa ludzkie. Magnat psuty od dzieciństwa pochlebstwami i służalstwem licznych dworzan i sług, nie raz rodem i bogactwem przewyższający króla, silniejszy od prawa, nie umiał, nie chciał i nie potrzebował kłaść tamy swojej fantazyi. Działy się też u nas rzeczy wołające o pomstę do Boga. Z tem wszystkiem nie działo się w Polsce tyle złego ile dziać się mogło, ile logicznie wziąwszy, dziać się nawet było powinno, gdyż bezkarność była prawie zapewniona, a wielka fortuna rozporządzała zawsze liczną klientelą oddaną patronowi zupełnie, gotową nad-

stawić workiem gdzie potrzeba, zmuszającą opinię do milczenia lub przerabiającą ją na korzyść pryncypała. Szlachcic nie znał innej moralności jak służyć wiernie temu, którego chleb jadł, wobec takich zasad na cóż bo magnat kusić się nie mógł. Jednakowoż wielkie nadużycia dadzą się na palcach wyrachować, nie były one liczniejsze niż w innych krajach lepiej uorganizowanych. Łagodna natura polska, karność familijna, wielka religijność zastępywały braki sądowe i administracyjne. Ksiązę Karol Radziwiłł miecznik, był już wysokim urzędnikiem państwa, a drżał od strachu na widok zagniewanego ojca. Uczucia religijne zniewalały winnego zwykle, że żaden trybunał na takie odszkodowanie skazaćby nie mógł. Prawie zawsze wielkie zgorszenia wynagrodzone bywały wielką pokutą, ukorzeniem się całkowitem przed Bogiem i ludźmi, tak że my nawet dzisiaj, ludzie innych pojęć i nawyknień, których te nadużycia oburzają, rozpatrzywszy się w całym życiu niejednego takiego warchoła, powiedzieć sobie możemy: my z naszą cywilizacją, wśród takich okoliczności, w jakich żyli nasi ojcowie, bylibyśmy gorsi i nieznamiętniejsi. Oni się przynajmniej umieli ukorzyć przed Bogiem i własnem sumieniem, dzisiejsza społeczność boi się tylko żandarma, Bóg i sumienie, przestały dla niej być pytaniem bieżącym, uważa ona je za sprawę już zwyciężoną i pogrzebaną. Biada po trzy kroć biada byłoby społeczności terazniejszej, gdyby tylko Bóg i sumienie mieli kierować jej czynnościami. To też dziwne nas ogarnia społeczenie dla ludzi, którzy własną siłą moralną zdołali uczuć i usiłowali naprawić wyrządzoną krzywdę, starali się o przebaczenie, umrzeć spokojnie nie mogli dokąd sumienie ich nie zostało zaspokojone. Z takimi ludźmi, wobec lepszych ustaw, chciałoby się żyć i umierać, tęskno nam za nimi, przebaczymy im krewkość, sympatyzujemy z żałującymi. Nie należymy do wielbicieli bezwzględnych przeszłości, zdaje nam się jednak, że buta i swawola, jaką grzeszyli królowie i ówczesni, mniej demoralizująco działały na ludzkość jak szachrajstwa giełdowe potentatów obecnej chwili; jeżeli już konieczne każdorazową społeczność rak toczyć musi, to wybór trzeba zostawić gustowi.

Radziwiłł Panie Kochanku ostatni wojewoda wileński, to najpopularniejsza postać z ostatnich lat Rzeczypospolitej, znany go dostatecznie chociażby tylko z pamiętników Imci pana Soplicy, była to głowa ciasna, serce złote, w teorii dumny, a w praktyce liberalny, chętnie przypuszczał do poufałości nawet najbiedniejszych, byle tylko pamiętali, że mają do czynienia z Radziwiłłem, o Radziwiłłach ich znaczeniu i potęgze przesadne miał wyobrażenia, tych jednak nikomu nie narzucał. W młodości będąc jeszcze miecznikiem, burd i figlów napłatał bez miary i liczby, oczajdusze jednego z nim wieku podniecał w nim krewkość przyrodzoną, pchali na bezdroża wszelkiego

rodzaju. Wiadomo, że z powodu sprawy Wołodkowicza gotował się nawet do zbrojnego uderzenia na trybunał, zawsze jednak psocił tylko z popędliwości, nigdy z zemsty, nienawiści, z chęci zysku, wysapawszy się pierwszy biegł obrażonego przeprosić, krzywdę wynagrodzić, a choć jak powiedzieliśmy rozumem nie grzeszył, powagę rodu utrzymać umiał, a nawet o zachowanie jej był bardzo dbały. Za życia cieszył się ogólną wziętością i ta mu po śmierci pozostała. Pół Litwy żyło Radziwiłowskiem chlebem. Ostatnia najnowsza praca Kraszewskiego o nim, niczego nie zmienia w fizynomii jego ogólnej, a przecież robi go nam jeszcze sympatyczniejszym niż był dotąd, mimo że brzydką sprawkę z jego młodości opisuje.

Radziwiłł leżał chory, było to w ostatnim roku jego życia, oślepl, ociążał, niepokój go dręczył, na jednym miejscu długo wytrzymać nie mógł, marudził ustawicznie, często bredził jakby w malignie. Przeczynał on, że koniec jego się zbliża, o śmierci chętnie mówił, a gdy mu to przypuszczenie starano się z głowy wybić, mawiał: wiem że nie umrę, dopóki jej jeszcze nie zobaczę, dopóki mi nie przebaczy. We śnie i w gorączce często miał imię Felisi na ustach. Miłosne stosunki księcia znali dworzanie doskonale, o Felisi jednak nikt nie nie wiedział. Glinka najczęściej go pielęgnujący w chorobie rady sobie dać nie mógł z ciekawości o jakiej to Felisi księżę ustawicznie wspomina. Udało mu się przecie wybadać dawnego towarzysza księcia, dowiedzieć się o wszystkim. O kilka mil od Nieświeża mieszkał wojski Wojzbun, dawniej Wojzbunowie mieli znaczny majątek, dzisiaj podupadli, karku jednak nie zginali przed nikim, godności swojej przestrzegali, a nawet pomawiano ich o hardość. Wojski miał córkę ładną jak dzień, w całej Litwie piękniejszej dziewczicy nad nią nie było, była ona już zaręczona z Dulembą, człowiekiem nie bogatym także ale dorodnym i zycznym młodzieńcem. Księżu wspomniano raz o niej, a to z takimi dodatkami, że one fantazją pańską podrażnić musiały. „Wojzbonównę na lep nie złapie, tam nawet Radziwiłł nic nie poradzi, tylko przez kościół do niej droga“, Miecznika strasznie te słowa ubodły, jakaś Wojzbonówna miałyby się Radziwiłłowi oprzeć, jeżeli nie osoba to świetne imię, jeżeliby i to nie, majątek ją olśnić musi. W dotychczasowych wyprawach miłosnych swoich mógł on bez skrupułu użyć słów cesarowskich: veni, vidi, vici. Chodziło tylko jakby się z Wojzbonówną zapoznać, aby nie ściągnąć podejrzenia, że się jakieś zamiary ma na nią. Usłużny Włoch w służbie księcia i temu zaradził. Pan starosta Zabiełło wyprawiał wielki bal, chodziło mu o to, żeby miecznik swoją osobą zaszczycił zabawę, insynuowano mu, że Radziwiłł zaproszenie przyjmie jeżeli Wojszczanka na festynie znajdować się będzie. Zabiełło postąpił odpowiednio, Radziwiłł zjechał także. Księżę olśniony został

urodą Wojzbunówny, przy stole oka z niej nie spuszczał. Po kolacyi zaraz przystąpił do niej i zagadnął ją banalnemi frazesami ówczesnej galanteryi nie wykraczającemi jednak nigdzie przeciw grzeczności i delikatności, odpowiedzi panny były ostre jak brzytwy, obrażające lub ośmieszające miecznika. Prostota, dobroć, nieśmiałość zwykle największych rozpustników rozbraja ją i zawstydzają, przymioty te były obce wojszczance, odpowiada księciu tak hardo, tak dumnie, tak szorstko, że jak na dłoni przewidzieć można bliską katastrofę. Jeżeli autor chciał uwydatnić temi odpowiedziami godność kobiecą i godność szlachcianki wobec magnata, to chybił celu, wojszczanka w tych odpowiedziach nie tak wygląda na surową cnotę, ile na źle wychowaną i znarowioną virgo, która chce imponować Radziwiłłowi, albo jak kuta, bita zalotnica, drażniąca miłość własną księcia, żeby tem bardziej za nią szalał, jeżeli zaś tu autorowi chodziło o zmniejszenie winy Radziwiłła, o uratowanie mu sympatyj wobec czytelnika, to celu dopiął. Jeszczeby się odpowiedzi Wojzbunówny rozumiało, gdyby ją był ktoś uprzedził o zamiarach księcia, szorstkość i ostrość jako wpływ oburzenia byłyby wtedy na miejscu. To pierwsze spotkanie skończyło się tem, że wojszczanka w tłum się rzuciła i księciu z oka znikła, nie pożegnawszy go nawet.

W kilka miesięcy dopiero miecznik w sześćdziesiąt koni odwiedził wojskiego w jego własnym domu. I przy tej drugiej wizycie nie on lecz wojski był wyzywającym. Bramy nikt mu nie przyszedł otworzyć, na ganku nikt go nie przyjął, dla Radziwiłła był to despekt nie lada, despekt wyrządzony mu wobec liczego dworu, nie dosyć na tem, na wstępie zaraz mu powiada, że Radziwiłła nie ma czem przyjmować, zirytowany książę był w dalszej rozmowie niedelikatnym, wojski zuchwałym, jakżeby mu chodziło o to, aby księcia doprowadzić do ostateczności, znał go przecie z reputacyi, wiedział, że rozirytowany popełniał bezprawia, środki miał po temu, kilkudziesięciu ludzi czekało tylko skinienia, aby rozkazy jego wypełnić; żeby się przynajmniej był przygotował na odporcie siły siłą, ale nic w tym celu nie zrobił.

Tym razem skończyło się jeszcze bez awantury, lecz była ona już nieunikniona, słowa księcia: „dobranoc Waszeci, panie kochanku, dobranoc, a może do zobaczenia! do zobaczenia!“ były przestrogą i groźbą zarazem.

Książę powrócił w strasznym gniewie, część dworzan jeszcze go jątrzyła doniesieniami, niby to z gorliwości o honor pański, tak n. p. doniesiono mu: „że wojski grozi oblawę urządzić na Odyńca co w obcem polu robi szkodę.“

Wojski spokojnie dosiadywał w Rabce Czerwonej swojej majętności, w co dufał, powiedzieć trudno. Niebawem trzecia

nastąpiła wizyta. Wojski siedział w ganku kiedy ksiązę z swoim orszakem zajechał przed bramę.

— A kto tam? zawołał Wojźbun z ganku.

— Jacek Haraburda, stolnikowiec smoleński, odpowiedział ksiązę.

— Haraburdów dużo po świecie znam; z których to Waszmość jesteś, z tych co robią burdy, czy z tych co szukają guza?

— Ja panie kochanku, odparł ksiązę, guza nie szukam, ale chętnie je rozdaje, jeżeli mi się zrzeczność nawinie.

— Mój Stolnikiewiczu, rzekł wojski — kto guzy rozdaje ten i oberwać może. Znać, żeście byli w dobrej szkole u księcia miecznika litewskiego, boście nawet jego przyjęli przysłowie. Wielki to pan, ale mu jeszcze ze dwu guwernerów daćby trzeba, ażeby go chodzić po świecie nauczyli.

Z takiego początku rozmowy można się domyślać końca, ksiązę jeszcze musiał wysłuchać jak wojski nazwał go niewystałem piwem i że on wojski takiego nie pija.

Ksiązę teraz wziął na kiel, gwałtem darł się do pokoju, wojski mu zastąpił, na krzyk wyszła Wojźbunówna niosąc ojcu szablę, miecznik jej całusa ręką przesłał. Już wtedy przyszedłoby do gwałtu, szlachta jednak skoczyła i pochamowała księcia.

Siadając na koń zawołał: „Córke Waszeci będę miał, choćby mi to lichu wie co kosztowała. Musi być moją dziś, jutro, nie wiem. Co Radziwiłł powie, tego dotrzyma.“

— Jeżeli się nogą ośmielisz stąpać na mój próg, tak mi Boże dopomóż i Najświętsza męko Jego, jak psu ci w łeb strzelę, zawołał za odjeżdżającym wojski.

Jeszcze tego samego dnia w nocy ksiązę w pięćdziesiąt szlachty napadł na dwór wojskiego, który nawet po tem ostatniem zajściu żadnych przygotowań do obrony nie zrobił.

Ksiązę rozszalały zniewagą i winem, które dobrze wszystkim najeźdźnikom szumiało w głowie, natarł na wojskiego koniem dotykając się prawie lufy jego jednorurki wymierzonej na siebie. Strzał padł, miecznik uszkodzony nie został, drugi strzał z pistoletu wojszczanki także pozostał bez skutku. Wojskiego okrutnie skłuto, wojszczankę Radziwiłł porwał i uwiózł.

Siedm dni trzymał ją u siebie; przy pomocy Dulembi a zapewne dworzan księcia, których ten rozbój oburzał, udało jej się uciec.

Wojski z córką schronili się do Wilna, gdzie Wojźbun z ran się wylizał. Jak przed napadem wojski był wyzywający, tak teraz siedział cicho, namawiając go do procesu odpowiadając: Radziwiłłowi sądy ziemskie nic nie robią, wolę go zapoznać przed sąd Boży, tam zasłużoną karę odbierze. Więcej umiarkowania przed wypadkiem, a i sądu Bożego nie byłoby potrzeba. Proces byłby Radziwiłła jątrzył, byłby jeździł, pła-

cił, proces wygrał i zaspokojony dekretem o wszystkim zapomniał. Spokojne zachowanie się szlachcica wywołało w jego sumieniu niepokój, pięć tysięcy dukatów posłał Wojźbunowi, aby go przebłagać, gdy je wojski odrzucił, sumę potroił, gdy i to się na nic nie przydało, do szlachcica się udał z prośbą o rękę panny. Ojciec i córka ofiarę odrzucili, scena ta odbyła się z wielką godnością między obu stronami. Radziwiłł zawstydzony i upokorzony wyjechać musiał z kwitkiem. Panna i Dulembie ręki nie oddała. Chociaż książę żadnego gwałtu względem niej się nie dopuścił, mawiała: ludzie nie uwierzą, siedmiodniowy mój pobyt na dworze wojewody zawszeby był powodem do przypuszczeń i podejrzeń, a te szczęścia w małżeństwie nie dają. Książę jeszcze kilkakrotnie usiłował sprawę załagodzić, gdzie jakiego Wojźbuna spotkał, czy on był z wojskiem spokrewniony, czy nie, brał do siebie, promowował i przyszłość mu zabezpieczał. Aby się od dalszych nastroczkań Radziwiła z dobrodziejstwami zabezpieczyć, wojski z córką okolicę opuścili i przepadli jak kamień w wodzie, dopiero w kilkanaście lat później dowiedziano się, że wojski umarł, wojszczanka wstąpiła do klasztoru Sióstr Miłosierdzia.

Ten to grzech młodości niepokoił umierającego wojewodę, bez jej przebaczenia nie umrę, mówił, i mam przecucie, że ją przed śmiercią zobaczę. Niespokojny ciągle kazał się wieść do Białej na Podlasiu. Droga była utrudniająca, lekarz jednak nie mając nadziei uratowania mu życia, zezwolił na żądanie, aby mu się tylko nie sprzeciwiać, bo to stan jego pogorszało.

W Białej było mu gorzej, dla troskliwszego pielęgnowania go przywołano z tamtejszego klasztoru dwie szarytki.

Opatrzność zrządziła że jedną z sióstr była Wojźbunówna. Książę przybyłe zaraz zapytał o imię i nazwisko jakie nosiły na świecie, na słowa: Wojźbunówna, podniósł się z łoża i krzyknął: Na miłość Boga Felicya Wojźbunowna, a pochwyciwszy jej rękę i przycisnąwszy do ust mówił spokojnie: „Bóg tak zrządził, abym bez twojego przebaczenia na świat lepszy nie odszedł. Bogu miłosiernemu chwała na wysokościach.“

Niech ci Bóg przebaczy, jak ja ci przebaczam, odpowiedziała po chwili.

Książę odetchnął swobodnie, jeszcze raz rękę przebaczącej ucałował.

Nie opuszczała go już aż do ostatniej chwili, ostatnią kroplę wody, którą usta zwilżył, ona mu podała. Taki jest szkielek powieści. Co ją robi bardzo zajmującą? to dużo ciepła i swobody w opowiadaniu przypominającym formą styl Rzewuskiego Soplicy. Obrazowość wielka, Radziwiłł czy to żałujący, czy marzący o przeszłości a obawiający się o przyszłość przenosi nas zupełnie w średnie wieki, jakaś rycerskość nawet wśród największych aberacyj się przebija, zbrodnia nie jest mu

obcą, prawda, nikczemności w nim nie ma, to despota, szalał, gwałtownik, ale nie łotr, nie rzezimieszek! nie szwindler, nie gründer! Podstępu, zdrady w nim nie ma, zbrodnie popełnia w szale, *ab irato*, z namysłem, z uśmiechem słodziuteńkim nikomu nie szkodzi. Na grzechy przeszłości możemy się oburzyć, mamy do tego niezaprzeczone prawo, dla grzechów naszego czasu potomność może czuć tylko obrzydzenie i pogardę. Nasi potomkowie dopiero zawyrokują. kto lepszy, my czy nasi ojcowie, a obawiać się uależy, że porównanie nie wyjdzie na naszą korzyść.

L. Powidaj.

Przegląd polityczny.

Kraków dnia 30 Kwietnia 1876.

Wiosna nie usprawiedliwiła dotąd tych obaw i horoskopów wojennych, jakieśmy wszyscy z początkiem bieżącego roku stawiali; przewidywane straszne wypadki w maju odsunęły się jakby złudne obrazy fata-morgana na dalszy plan, gdyśmy się do pozornego kresu ich widnokregu zbliżyli, odsunęły się — ale nie znikły, a kto wie czy się i tak bardzo odsunęły. Wprawdzie wzięwszy całą sytuację dzisiejszą pod ścisłą rozwagę, w logicznej konsekwencji chwilowo nie wypływa wojna, ale *status quo* do pewnego czasu; nie dla tego może, żeby sobie nikt wojny nie życzył, ale że nikt jej zacząć nie chce i nie może bez narażenia się na największe niebezpieczeństwo przez to, że teraz już nikt na nikogo naprzód na pewne liczyć nie może, i że każde z wielkich mocarstw rzucając pierwszy strzał nie może wiedzieć, czy nie będzie miało zaraz wszystkich przeciw sobie, a do rozprawienia się z wszystkimi nikt jeszcze, dotąd przynajmniej, nie jest dostatecznie przygotowany. Jednakże to ścisłe rozumowanie nie wyklucza przewidywania niespodzianek, nie chroni od obawy jakichś nadzwyczajnych wypadków, która to obawa jest teraz jakby hasłem wszystkich publicystów i korespondentów z różnych europejskich stolic, a szczególnie dyplomatów uwierzytelnionych przy berlińskim dworze. Pomimo więc wszystkich pokojowych zapewnień ze strony dworów, do których chóru niedawno sama nawet królowa czy cesarzowa Wiktorya po swojej wycieczce do Niemiec głośno przyłączyć się uznała za stosowne, my jako dewizę obecnej chwili możemy chyba zapisać słowo niemieckiego filozofa: Nichts ist gewisser als Ungewissheit.

Jedna rzecz tylko coraz wyraźniej się zarysowuje: antagonizm między Prusami i Rosyą, który właśnie rok temu po pierwszy raz wyszedł na jaw; rana zadana wówczas ks. Bismarkowi nie zagoiła się, ale owszem jątrzy się coraz bardziej. Jednakże i co do tego zapowiedziana w przyszłym tygodniu wizyta cara z Górczakowem w Berlinie (na którą to uroczystość i hr. Andrassy jest zaproszony) wszystko zmienić może, i co przeszły maj zepsuł, tegoroczny maj gotów naprawić.

Pomimo wszystkiego z zadowoleniem zapisać możemy, że stanowisko Austrii na zewnątrz, mianowicie w tak zwanym aliansie trzech cesarzy, nie jest teraz wcale niekorzystne. Z Rosyą Austria zdaje się mieć teraz dobry stosunek, a przez to samo Berlin chciałby być z Wiedniem jeszcze lepiej; jeżeli więc tylko zewnętrzna polityka austriacka potrafi utrzymać się na tem biernem a jednak przez przemożnych sąsiadów z konieczności rzeczy szanowanem stanowisku, jeżeli, jak dotąd, nie da się popchnąć pierwsza do jakich czynnych wystąpień na wschodzie, może na mocy fizycznych praw równowagi ciał utrzymywać się bez szwanku na wysokości sytuacji, a nawet mieć w rękach punkt ciężkości w zawikłanej kwestyi wschodniej.

Za to wewnętrzne stosunki monarchii austriackiej smutny przedstawiają widok. Od kilku miesięcy już ciągnąca się kwestya ugody z Węgrami odsłania nam całą bezdeń madiarskiego egoizmu i braku patryotyzmu austriackiego w tak niebezpiecznej chwili. Ugoda do skutku przyjść musi, bo jeśli Węgry mogą mówić: „Austria bez nas istnieć nie może“, to cóż tem bardziej jeszcze Węgry znaczą bez Austrii? Ugoda być musi, rozstrzygnie sprawę w ostatniej, a zapewne w bliskiej już chwili wola monarchy, i zdaje się, że uparte postępowanie ministrów węgierskich w ciągu tak długich rokowań nie wpłynie na rozszerzenie ustępstw na rzecz Transilwanii. Pieniężne stosunki austriackie także się nie poprawiają; właśnie w ubiegłym miesiącu giełda wiedeńska była znowu widownią takiej deprecjacji nawet najpoważniejszych wartości, jakiej nie było jeszcze od pamiętnego maja 1873 r. Renta austriacka była przedmiotem ohydnej contreminy, pochodzącej, jak utrzymują Wiedeńczycy, ze strony pruskiej. *Norddeutsche Allgemeine* jednak przypisuje ten manewr austriackim finansistom; byłby to w istocie szczyt patryotyzmu! prawdopodobniejszem jednak jest przypuszczenie, że to było pruskie dzieło, godne wielu innych; zresztą kto może dojść prawdy w tajnikach giełdowej miny i contreminy?

Powiedzieliśmy na wstępie tej kroniki, iż prędzej wierzyć można w utrzymanie się pokojowego *status-quo* w Europie, aniżeli w prędką wybuch wojny; *status-quo* jednak w dzisiejszych czasach ma inne zupełnie znaczenie niż dawniej, stosuje się

ono tylko do zewnętrznej akcyi, we wnętrzu wszelkich prawie państw europejskich niema *status-quo*, tylko jest stan ulegalizowanej rewolucyi, która czy powolna jest czy gwałtowna z natury swojej na miejscu stać nie może. To też i we Francyi i w Niemczech i we Włoszech i gdzie tylko rządy raz weszły na drogę przewrotu politycznego i otwartej apostazy od chrześcijańskich zasad, już w tej robocie zatrzymać się niemogą.

We Francyi rozpoczęty przez Izbę Wersalską Kulturkampf, obudził katolicki obóz do czynniejszego działania, doroczny kongres katolicki, który się właśnie odbył w ubiegłym miesiącu, dał sposobność katolikom policzenia sił swoich i poczucia silnej wspólności wiernych z Biskupami, którzy tak jak i w Prusiech naturalnemi będą przewodzcami w gotującej się walce.

W Niemczech dzieło pruskiej centralizacyi wkrótce święcić będzie nowy tryumf, gdy ostatecznie uchwalony zostanie w Izbie pruskiej projekt zakupna wszystkich kolei nawet w niepodległych dotąd krajach niemieckich na rzecz państwa. Gotowała się wielka opozycja przeciw temu nowemu zamachowi na autonomię resztek historycznych terytoryów niemieckich, ale gdy Wielki Kanclerz sam w Izbie przemówił, gdy zapewnił: że wolność z Niemiec z pierwszą państwową lokomotywą nie uleci (*dass die Freiheit mit der ersten Reichslocomotive nicht davonfliegen wird*) opozycja zmiękła i w tej sprawie była można powiedzieć nawet słabszą niż we wielu innych dużo mniej-szej wagi, niż np. w dyskusyi nad obostrzeniami prawa prasowego, i takiej doniosłości fakt w wewnętrznej historii Niemiec stosunkowo niewiele narobił rumoru. Zdaje się że wskutek nieporozumień z kanclerzem w tej sprawie, Delbrück, jeden z głównych kooperatorów przy urodzeniu się nowego Cesarstwa niemieckiego w Wersalu, porzucił służbę rządową, — coraz większa puszcza robi się koło Wgo kanclerza.

Bardzo zagadkowy jest pobyt w Rzymie Jen. Moltkego wraz z panem Mommsenem. Profesor Mommsen dawno już zdobył sekret Rzymskiego imperyum dla niemieckiej umiejętności. Sam słyszałem go jak mówił z katedry berlińskiego uniwersytetu, „iż to równa się królewskiej potędze, panować nad obszarem wiedzy historycznej o Rzymskim Imperyum.“ Czyżby p. Moltke zamyślał w przyszłości kiedy zdobyć w praktyce dla Niemieckiego Imperyum to co p. Mommsen zdobył w teorii dla siebie i dla narodu? Wszak p. Moltke robi już studia nad tem, jakby ufortyfikować Rzym tak, żeby był nie do zdobycia. Zapomina jednak p. Moltke wraz z p. Mommsenem, że inny jest teraz sekret Rzymskiego imperyum jak za pogańskich czasów, że twierdza jego nie do zbycia nie jest Palatium ani Kapitol tylko Watykan, a choćby i nie Watykan, to Piotrowa Skała.

Kończymy na tem krótszą niż zwykle kronikę, gdyż dopełniają ją powyższe artykuły o kwestyi wschodniej i list z Wielkopolski. O drugiej połowie obrad sejmowych, które zakończyły sześćciolecie obecnego składu Izby zamieszczamy poniżej korespondencyą ze Lwowa.

Ign. Skrochowski.

Lwów 29 Kwietnia 1876 roku.

Co się stanie z wnioskiem posła Dunajewskiego, tak brzmiało pytanie, dominujące poświęcane kilka dni sejmu galicyjskiego? Czy komisya wystąpi z sprawozdaniem, czy nie wystąpi wcale — oto, o co pytano się równie pilnie we Lwowie, jak w Krakowie. Odpowiedź dał przedostatni dzień sejmowy. Wieczorem, późną już godziną rozdano sprawozdanie większości komisji podpisane przez p. Grocholskiego i hr. Kozłobrodzkiego i sprawozdanie mniejszości podpisane przez pp. Dunajewskiego jako referenta, Popiela i Paszkowskiego. Podole contra Kraków na dwóch półarkuszach! Gdy sejm miał być zamkniętym nazajutrz, a druk każdy potrzebuje wedle regulaminu 24 godzin czasu, zanim wziętym będzie na porządek dzienny, sprawa poruszona wnioskiem p. Dunajewskiego poszła do kosza a marszałek nie umieścił jej z zupełną słusznością na porządku dziennym ostatniego posiedzenia.

Większość wystąpiła z wnioskiem, odesłania projektów do Wydziału, zapytania Rad powiatowych i miejskich i zdania sprawy na najbliższej kadencji. Mniejszość żądała, aby Sejm, który od tylu lat wraz z krajem zastanawiał się nad tą sprawą, przyjął zasady w wniosku zawarte, a krótko przez referenta streszczone a mianowicie:

1. Z gmin wiejskich, obszarów dworskich i miast niewyjętych z związku okręgowego, utworzone być mają okręgi gminne (gminy zbiorowe).
2. Obecny podział na powiaty, ma być zniesionym — a kraj podzielonym na obwody mniej więcej dawniejszym cyrkułom odpowiadające.

Zwierzchnością obwodu ma być:

- a) Rada obwodowa pod przewodnictwem wybranego przez Radę Prezesa;
- b) Wydział przez Radę z grona własnego wybrany, pod przewodnictwem Starosty, mianowanego przez Najjasniejszego Pana.

3. C. k. Rząd krajowy (Namiestnictwo) ma być połączony

z Wydziałem krajowym, pod przewodnictwem Namiestnika, mianowanego przez Najj. Pana.

4. Namiestnik ma być odpowiedzialnym Sejmowi za wykonywanie ustaw krajowych i ściśle przestrzeganie budżetu krajowego.

Uwaga, która się tutaj natrętnie nasuwa, jest następująca. Jeżeli mniejszość komisji mogła do tak lakonicznych punktów sprowadzić ostateczny swój wniosek a większość tak dalece projekt p. Dunajewskiego za problematyczny uważać, że go tylko Wydziałowi do zasiągnięcia zdań ciał autonomicznych przesłać radziła — jeżeli mówię mniejszość mogła być tak stanowczą w doradzaniu, a większość tak wymowną w odradzaniu myśli zarysu: dla czego nie postawiono wcześniej, może nawet przed świętami, na porządku dziennym sprawy, potrzebującej tem bardziej rozsądnego Izby, że w komisji tak zdecydowane, tak wprost przeciwne panowały zdania?

Wszakże można się było spodziewać, że zdanie większości przechodzić nie będzie przeobrażeń tak niespodziewanych, aby rzecz zrazu zdawała się jej możebną, praktyczną, a potem dopiero potrzebowała *suffrage universel* powiatów, że większość przeciwna, jak i mniejszość przychylna znajdują się od razu z zasobem argumentów, długiem nad sprawą myśleniem zdobytych. Nasuwa się też w nieuniknionej kolei rozumowania, że większość nie chciała mieć dyskusji w Izbie nad rzeczą, która miałaby być niezawodnie przynajmniej tę zaletę, żeby była podniosła poziom umysłowego zajęcia Sejmu i pozwoliła krajowi posłuchać głębszych wywodów o dzisiejszym jego stanie.

Nie jesteśmy przyjaciółmi takiego unikania dyskusji, chociaż jako przyjaciele wniosku posła Dunajewskiego moglibyśmy pocieszać się niezawodnym faktem, że unikanie nie było po stronie mniejszości. Owszem, mniejszość ta niełudzając się co do praktycznych skutków wniosku na teraz, ani wobec Sejmu, ani wobec dzisiejszego rządu, pragnęła rozwinięcia argumentów swoich w silnem przekonaniu, że myśli zbawiennej nie trzeba stawiać pod korzec, że apellować trzeba do przyszłości i Sejmu i rządu, ad Papam melius informandum. Nie tała ona sobie wcale, że przy dyskusji wystąpią liczne reminiscencye drogi, na której kończąca się właśnie kadencya swój zawód zaczynała, że w Izbie jak w gazetach podniesionaby była zapewne umyślna lub nieumyślna naiwność wniosku wobec panującego w Austrii systemu, niebezpieczeństwo tego wniosku dla naszych urzędów autonomicznych — i chętnie zapewne byłyby wystąpiły w Izbie głosy, nietające wcale, że wniosek reformy jest przejściem z walki o kompetencję pomiędzy krajem i rządem, Sejmem i Radą Państwa, w walkę bogatszą w przekonujący argumenta o lepszą i skuteczniejszą admi-

nistracyę kraju, w walkę z systemem łatanym z starej biurokracji, szychu autonomicznego i liberalnych ogólników, który nie tylko na kraj nasz ale i na państwo szkodliwie wpływa a w ruinie ekonomicznej do absurdu prowadzi. Chętnie przyznaby, że wniosek krakowski wątpliwy samorząd na udział skuteczny w rządzie zamienia, że jako taki wyrachowanym on jest jako środek na naszą bezwładność i anarchiczność, jako konieczne: *compelle intrare* w bezpośrednie z gminą wiejską zetknięcie. A chociażby niepraktyczność jego dla pewnych części kraju tłumaczono względami na waśń narodową, to wniesiony przez głównych reprezentantów tej waśni porządek dzienny (którego w komisji domagał się ksiądz Zakliński bardzo otwarcie) posłużyłby za argument, że jeżeli w zachodnich stronach reforma gminy jest potrzebnym i pożądanym postępem, to w wschodnich jest ratującą koniecznością. W obec oczekiwania dyskusji nad wnioskiem, o którym mowa, błędny inne sprawy ostatniego tygodnia. Załatwiono ich przecie wiele i ważnych. Największa część wniosków wprowadziła wzywała Rząd lub Wydział do załatwienia i pracy ale i ten objaw pamięci o sprawach licznych obojętnym nie był i świadczył o pewnej sejmowej zuchwałości. Nieszczęśliwa tylko Ustawa budownicza dla miasta Lwowa zabrała zbyt wiele drogiego czasu innym przedmiotom. Złe stylizowana i najgorzej po polsku napisana, tu i owdzie może zbyt przesadna w żądaniach, stała się ona przedmiotem wytrwałej posła Krzeczunowicza krytyki, dla którego ustawy o licznych paragrafach mają nieprzeciętny urok. Było w tych poprawkach bez liku, z których mała się tylko utrzymała liczba, trochę za wiele nieoglądania się na drogi czas izby, trochę za mało uwzględnienia bardzo pożytecznej prawdy parlamentarnej, że poprawki, do ustaw przez fachowych i w fachowych przedmiotach układanych narażają ustawę na chybiecie i rzucają na stawiającego posła niekorzystne światło wątpliwego wszystkowiedztwa.

Ale przebacmy panu Krzeczunowiczowi, który potrzebuje pracy i oddajmy mu słusność, że i przy tej ustawie okazał swoją wytrwałność. Można też ręczyć, że byłby przeniósł ustawę inną, gdyby była na stole. Ale nie było. Zmachawszy Izbę, odjął jej p. Krzeczunowicz chęć do dalszej dyskusji, nawet budżet minął spokojnie, ostrzelany tylko w kilku punktach przez p. Antoniewicza. Okazał on się hojnym dla niejednego pięknego celu, odsuwał bardzo stanowczo praktykowane dawniej drobne wydatki dla prywatnych, nie zawsze dość usprawiedliwionych petentów.

Wybór nowego członka Wydziału i wybór komitetu wyborczego na wschodnią Galicyę zajmowały żywo ostatnie dni Sejmu. Drugi przeszedł pomyślnie o tyle, że uwzględniono konieczne warunki komitetowych, ich możność energicznego za-

jęcia się sprawą. Pierwszy był tem charakterystycznym, że głosy ruskie na rzecz p. Waleryana Podlewskiego zdecydowały. Rozbicie się większości polskiej na trzy obozy, zawsze to rzecz smutna, zwłaszcza gdy czwarty sprzyjającym zwać się nie może.

Z pomiędzy wniosków komisji edukacyjnej, żał nam bardzo wniosku p. Pawła Popiela o internatach dla kandydatów nauczycieli ludowych. Kraj płaci 30 000 złr. na stypendya dla tych kandydatów: niewiele dołożywszy dałby im obok utrzymania konieczną moralną opiekę. Zdązał ku temu wniosek p. Popiela, zwracający trafnie uwagę na niezmierną ważność wychowania ludzi, którzy lud nasz wychowywać mają.

Sprawy Wydziału doznały tego roku wiele uznania ale i wiele krytyki. Dotknęła ona jednego z najpracowitszych jego członków, najkłopotliwszym wyposażonego referatem, p. Serwatowskiego. Zwróconą ona też była ostatecznie nie tyle przeciw dobrej woli i pracy członka, ile przeciwko tym ułomnościom prawie koniecznym, które pociąga za sobą praca w zawodzie, z tysiąca drobnych zdań złożonym.

Rozejście się Sejmu było serdeczne. Marszałek hr. Dzieduszycki trochę zbyt łaskawy przewodnik obrad, umiał utrzymać tę powszechną sympatyę, którą budził zawsze jako człowiek wylanego dla kraju serca, najszlachetniejszych dążeń i zamiłowań, jednakowoż, który przyjąwszy łaskę marszałkowską uczynił poświęcenie z zajęć innej, spokojniejszej a może i skuteczniejszej natury. Ostatnie jego przemówienie trafiło do serc, bo z serca też, z dojrzałej i głębokiej nad stosunkami kraju myśli było czerpane. Człowiek, który przyszłość opierał na podwalinach wiejskiego kościoła i szkoły ludowej był tem bardziej przekonywającym, że w ciągu całego życia okazał się gorącym przyjacielem i wyznawcą tradycyjnych cnót, kwitnących w bliskości owej szkółki i owego kościoła — cnót dworu staropolskiego.

PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

Ogólna sytuacja — traktat austr.-rumuński — austr.-niemiecki — komisya sejmowa głodowa — wystawa we Lwowie, wobec upadku rolnictwa.

Położenie ekonomiczno-finansowe w całej Europie zaostrza się w sposób taki już ostateczny; i ludzie i przyroda tak się już zdaje wysilać w tym kierunku; klęski i niebezpieczeństwa tego stanu rzeczy tak rosną i grożą jakąś ogólną katastrofą, że ekonomiści napróżno już szukają jakiegoś normalnego, pokojowego punktu wyjścia i rozwiązania trudności. Społeczeństwo ludzkie w całej Europie poprostu nie będzie mogło znieść i wytrzymać dłużej tego naprężenia wszelkich stosunków. Nie bawiąc się ani w przepowiednie, ani w konjektury polityczne, można twierdzić, że musi nastąpić ogólna przemiana stosunków i systemów rządzenia; gdyż inaczej musiałaby Europa popaść w nędzę, w zdziczenie, w chaos, któryby na długie czasy zniszczył zdobycze cywilizacji i w którym miliony ludzi by wyginęło.

Objawy dzisiejszego położenia są wiadome powszechnie, gdyż nie ma nikogo, kto by pośrednio lub bezpośrednio nie był dotknięty. Niszczące powodzie i burze, defraudacje na niesłychaną skalę, bilanse pierwszorzędných instytucyj wykazujące milionowe straty, ogólna stagacja przemysłowa zamykanie fabryk, rozpuszczanie robotników, a przez to zaostrzanie socyalnej kwestyi, deprecyacja pieniędzy, drożyzna potrzeb do życia, ogromne zmniejszenie się siły podatkowej, a coraz większe budżety państwowe, do tego niepewna i groźna sytuacja polityczna, która niemniej szkodliwie i na produkcją

i na giełdę oddziaływa; oto zaledwo powierzchowna diagnoza tej „*la vie brulée*“ naszych czasów.

Diagnoza ta stosuje się w całej pełni i do Austro-Węgier, które znajdują się w okresie mającym rozstrzygać o ich ekonomicznym losie na długą przyszłość.

Ze sfery rokowań wyłonił się już traktat austrorumuński. Ocenienie takowego jest niezmiernie trudne. Dawniejszy traktat austroturecki zawierał przepisy, które dla licznych gałęzi eksportu austriackiego były korzystniejsze; z drugiej strony niepodobna, jak skoro raz przyznano Rumunii prawo do zawierania traktatów, odmawiać jej prawa do obrony swoich interesów. Tym sposobem stało się, że w traktacie nowym, zatwierdzonym już przez rajchsrat, znajdujemy bardzo wiele pozycji, od których cło wchodowe do Rumunii zostało znacznie podwyższone: i tak płyny spirytusowe, piwo w beczkach, cukier, opłacać będą zamiast $7\frac{1}{2}\%$ jak dotąd 22 do 33% od wartości. Natomiast inne niemniej ważne gałęzie eksportu: stearyna, nafta, drzewo, żelazo, maszyny, skóry, węgle, tłuszcze, mąka i wyroby młynarskie... zostały albo zupełnie od cła uwolnione, albo doznały zniżenia cła; nadto transitoowy przewóz przez Rumunię wyrobów austriackich został zupełnie od opłaty uwolniony, a tem samem uwolniony od szyskan i bezładu administracji cłowej rumuńskiej. Tym sposobem uciążliwości nowego traktatu równoważą się z korzyściami; lecz zachodzi inna okoliczność. Anglia, Francja, Niemcy, opłacać będą w Rumunii cło około 7% wartości i nadal według dawnych traktatów, są więc w porównaniu do Austrii nie-równie korzystniej położone. Wywóz niektórych towarów austriackich do Rumunii sąsiedniej w skutek konkurencji cłowej, znacznie się umniejszy, albo i wcale ustanie. Otóż należy się zapytać: dlaczego Austria, dlaczego hr. Andrassy pozwolił sobie narzucić takie warunki, na jakim obliczeniu to polega, w czym i o ile wpływały tu widoki polityczne na niekorzyść postulatów ekonomicznych wobec innych państw, co zmusza Austrię do takiej opieki dla Rumunii, po części swoim kosztem? Odpowiedzi na te pytania nie dał ani rząd, ani dyskusja parlamentarna, pozostaje to tajemnicą i zagadką.

Z kolei toczą się obrady nad traktatem z Niemcami i z Francją; ministerstwo zażądało opinii od Izby handlowych i podobno ma Izba krakowska zwołać ankietę w tej sprawie z ludzi fachowych. Rzecz to niezmiernej wagi dla Galicji i całego państwa.

Niemcy przechodzą obecnie ciężkie przesilenie również na skutek traktatów z Anglią i Francją, w których zrobiły znaczny krok ku systemowi wolności handlowej. Idzie tu więc o to, *żeby nie chciały się odbić na Austrii*, za położenie niekorzystne, jakie wobec państw zachodnich przyjąć musiały.

W Galicyi wobec klęsk elementarnych, głodu i upadku targu zbożowego możemy stwierdzić znaczny postęp pod względem zapatrywań ekonomicznych. Wszelkie sprawozdania, skupione ostatecznie w sejmowym sprawozdaniu komisji głodowej domagały się *produkcyjnego* użycia zapomogi i pożyczki rządowej i krajowej, stwierdzały, że zapomogi w gotówce i pożyczki w gotówce dawane włościanom, posłużyłyby tylko na spłatę lichwiarskich, dawniejszych długów, utonęłyby w kieszeniach żydowskich, bez żadnej ulgi i pomocy przeciw nędzy i niemożności uprawy roli. Natomiast zażądała komisya głodowa: dawania zasiłków bezzwrotnych, *ale przeważnie na roboty publiczne* w zagrożonych powiatach; ażeby egzekucya podatków stałych wstrzymaną została, a zaległości rozłożone na raty, ażeby starać się w rajchsracie o ustawę, mocą której odpisywanoby podatki *także* w razie nieuródzaju, szkód w polu przez myszy, robactwo, szarańczę i t. p.; żeby udzielanie kredytu, *jeżeli zapewnione będzie produkcyjne tegoż użycie*, rozciągniętem zostało także na dotknięte obszary dworskie i wreszcie: żeby „wydział krajowy dla zbadania przyczyn zubożenia powszechnego w kraju i zwiększającego się upadku gospodarstw wiejskich, tudzież obmyślenia środków do podźwignięcia kraju z tego smutnego stanu zwołał ankietę i wynik jej czynności przedłożył przyszłemu sejmowi. Polecenie to (wniosek Dr. Żyblikiewicza) uważamy za nader ważne, idzie tu bowiem o *przezorność*, o zapobieżenie klęskom doraźnym na przyszłość, o obmyślenie zabezpieczenia przeciw gwałtowności skutków klęsk, o wytworzenie zasobów, jakoby *funduszu rezerwowego całego kraju*, na wypadek nagłych potrzeb, a dokonanie tego *tylko od nas samych zależy i do nas samych należy*.

Jednym krokiem na tej drodze jest już stabilizowanie przez sejm biura statystycznego przy wydziale krajowym, jako organu pomocniczego, jako zegaru, który ma wskazywać puls żywotności krajowej. Polecenie tworzenia i subwencyonowania kas zaliczkowych — jako kredytowej opieki dla własności mniejszych włościańskich — nie mało też może być w skutkach zbawienne.

Dalszym krokiem mogłoby być utworzenie, na wzór innych krajów *Rady kultury krajowej*, urzędu nie honorowego, ale urzędującego istotnie pod nadzorem i jakoby jedna sekcya wydziału krajowego. Na przedostatnim sejmie miała już być sprawa ta wniesioną, lecz cofnięto ją, oczekując rozwoju działalności towarzystw rolniczych. Oczekiwanie to atoli jak dotąd zawiodło tak i nadal zawiedzie, gdyż właśnie dopiero rada kultury krajowej może towarzystwa rolnicze ożywić, zatrudnić, tworzyć. W sprawie tej pomówimy innym razem obszerniej, tu dodamy tylko, że tow. gosp. rolu. lwowskie jeszcze poniekąd daje oznaki życia; na ostatniem zebraniu ro-

cznem poruszono ważną sprawę stowarzyszeń maszynowych, *które jedne mogą od ministerstwa otrzymywać subwencye odmówione już towarzystwom rolniczym*; wykazano, że kilka oddziałów powiatowych rozwija już pożyteczną czynność, wykazano *produkcyjne* użycie subwencji; udział też członków dosyć był znaczny.

Jednego atoli postanowienia tamtejszego towarzystwa nie możemy nazwać szczęśliwem, a mianowicie, ażeby w roku 1878 urządzić we Lwowie powszechną krajową wystawę. Jeżeli wystawa taka wymaga uprzednich przygotowań przez kilka lat, *których nie było*, jeżeli wystawy tego rodzaju są dla nas jeszcze zbyt kłopotliwą tylko i zbyt kosztowną paradą ¹⁾, to tem więcej w epoce przesileń, po latach klęsk elementarnych, wobec bardzo niepewnej politycznej sytuacji, uważamy zamiar ten za bardzo a bardzo przedwczesny, a że jest przytem kosztownym i czas zabierającym, więc i za bardzo szkodliwy. I pozwalamy sobie zapytać szanowny komitet: na co i po co ma być ta wystawa? jakie jest ekonomiczne usprawiedliwienie tego zamiaru? n. b. usprawiedliwienie ścisłe, dodatnie, oparte na pewnikach i liczbach? czy nie należałoby siłą i czasu nie roztrząsać, nie puszczać się na osobnika, na przedsięwzięcia tak wątpliwej natury, ale skupić rozum wszelki i pracę w tej wspomnianej wyżej *ankiecie*, którą wydział krajowy ma zwołać, a do której zakresu już rozważanie wszelkiej sprawy ekonomicznej i wszelka inicjatywa teoretyczna należeć powinna; czy za tem nie należałoby wstrzymać się z takim przedsięwzięciem, przeczekać aż na rezultata ankiety i oczekiwać czasu sposobnego, kiedy kraj trochę się dźwignie z dzisiejszych nieszczęść?! Pozwalamy sobie polecić szanownemu komitetowi te pytania i wyrazić nadzieję, że sprawa zapewne jeszcze nie jest stanowczo zadecydowaną, że powołanie do komitetu delegatów rad miejskich i Izb handlowych ma jeszcze na celu rozważenie rzeczy, wysłuchanie opinii z całego kraju: czy wystawa jest *potrzebną*? czy jest *możliwą*? czy może być *pożyteczną*, czy raczej *szkodliwą*? czy nie ma innych *nierównie ważniejszych, pilniejszych* i donioślejszych spraw, któreby na porządku dziennym postawić należało.

Nie tylko brak przemysłu, ale *upadek samegoż rolnictwa* w Galicyi jest obecnie tak groźny, że co do nas nie możemy pojąć potrzeby i korzyści wystawiania naszej nędzy, albo też zakrywania jej blichtrzem wystawowym. Nie sądzimy zaś, aby jeszcze kto mniemał, że taki sztuczny doraźny środek, jakim jest wystawa, może dać impuls rolnictwu, lub przemysłowi! Że zaś twierdzenie o upadku rolniczym nie jest tylko przerażeniem po ostatnich klęskach, ale pewnikiem, łatwo to wy-

¹⁾ O czem pisaliśmy obszerniej w zeszycie z lutego b. r. p. a.

kazać statystycznie, datami i liczbami. Jest przeto o czem radzić, jest do czego ręce zakasać, zamiast pozwalać sobie takiej uczty, jak wystawa.

Tak jak Austria cała zasadniczą wolność handlową, tak my u siebie wystawy odłożmy chyba na lepsze czasy, *na które wpierw zarobić trzeba*.

Wprawdzie komitet wystawy ogłosił już swój skład, termin wystawy na wrzesień 1878 i podział — jednakże o ile nam wiadomo, jeszcze komitet w całym komplecie nie odbył ani jednej narady i pozwalamy sobie przypuszczać, że w razie takiej narady, może zmienią się nieco zapatrywania samegoż komitetu. Może sobie Francya wobec krachu powszechnego w Europie chcieć pozwolić znowu wystawę powszechną, lubo nie jest prawdopodobnem, aby wypadki polityczne jej sprzyjały — dla nas zaś *jutro* zbyt jest niepewnem, jakżebyśmy mogli czas tracić na rzeczy co najmniej niekonieczne.

Oto najpilniejszą sprawą na razie jest praca ankiety wspomnianej. Spodziewamy się, że Wydział krajowy weźmie się bezzwłocznie do dzieła i że ankieta wykaże niewątpliwie mnóstwo naglących spraw, wymagających pracy, kapitału i ogólnego poparcia, a wobec których wystawa zejdzie poprostu z porządku dziennego.

Jeżeli już wreszcie komitet Tow. gosp. roln. koniecznie chce wystawami się zajmować, to niechajże w stosownych miejscowościach ułatwia *wystawy specyalne*: n. p. nabiału, pszczelnicze, sadownicze i jedwabnicze, wyrobów leśnych i t. p. bo z tego może być pożytek. Od małego do większego, to droga jedynie pewna; podnoszenie przemysłu miejscowego i tworzenie nowych jego gałęzi, to praca fundamentalna, od której zaczynać należy i od której wszędzie gdzieindziej zaczynano.

Oto panie niektóre należące do Tow. pszczelniczo-jedwabniczego w Krakowie, mają już suknie i chustki z *własnego* jedwabiu, a prawie wszyscy w Galicyi chodzimy w bieliźnie *wiedeńskiej*. Ten jeden szczegół lepiej może objaśnić, niż szerokie wywody, w co nam ręce wkładać należy.

Szczepański Alfred.

OBECNE PRZEŚLADOWANIE RELIGII KATOLICKIEJ W PRUSACH.

(Ciąg dalszy).

Wybuch zupełnego prześladowania religii katolickiej w Prusach.

Dotychczasowe wycieczki przeciw Kościołowi katolickiemu były jak gdyby próbą armii przeciw religii katolickiej uzbrojonej podobnie jak wojna Duńska wstępem do wojny Austriackiej i Francuskiej. Rząd chciał się w tych utarczkach przekonać, czy sprzymierzeńcy jego, na których w tej wyprawie liczył, dotrzymają placu. I w tem się nie omylił. Bo z zaparciem się własnych zasad, własnych przekonań szli na oślep za głosem rządu i życzenia jego jeszcze nawet wyprzedzali tak, iż rząd wobec skorumpowanej i obalamuconej przekupną prasą publiczności protestanckiej mógł odgrywać rolę umiarkowanego ustępowania natarczywej woli większości parlamentu. Nie było więc powodu dłuższego się ociągania w uderzeniu wstępnym bojem w samo serce Kościoła katolickiego. Owszem, dopóki jeszcze umysły nie ochłonęły i nie wytrzeźwiły się z wściekłego szału „wielkości i świetności narodowej“ Niemiec, należało kuć żelazo, dopóki gorące. To jest ostateczną przyczyną tego pośpiechu szalonego, tej lekkomyślności bezprzykładnej, z jakimi te barbarzyńskie prawa kuto.

Za tego rodzaju gwałtowne kroki prześladowcze uważamy z początkiem roku 1873 do sejmu pruskiego wniesione, a już w maju tegoż roku sankcyonowane prawa następujące:

1. *O kształceniu duchownych i obsadzaniu posad duchownych. Z dnia 11 Maja 1873.*
2. *O kościelnej władzy dyscyplinarnej i ustanowieniu królewskiego trybunału dla spraw kościelnych. Z 12 Maja 1873.*
3. *O granicach prawa używania kościelnych kar i środków dyscyplinarnych. Z dnia 13 Maja 1873.*
4. *O wystąpieniu z Kościoła. Z dnia 14 Maja 1873.*

Wszystkie te prawa zostały sankcyonowane i publikowane w maju, dla tego nazwano je w skróceniu „prawami majowemi.“ Prawo pod numerem 3 przytoczone wniesione zostało już w jesieni 1872 r. ale razem prawie z pierwszemi dwoma publikowane. Odnosi ono się do ograniczenia władzy karnej Kościoła przeważnie względem osób świeckich, a prawo pod numerem drugim „o kościelnej władzy dyscyplinarnej itd.“ do osób duchownych. Jakkolwiek prawo to (n. 3) w zastósowaniu dało się dotkliwie władzy biskupiej w znaki, na co w miejscu właściwem nieomieszkamy zwrócić uwagi, to jednak doniosłość jego pryncypalna nie może iść w porównanie z dwoma pierwszemi. Z tego powodu nie będziemy go tu specjalnie streszczać. Ostatnie zaś z tych czterech praw „o wystąpieniu z Kościoła“ uderza wprawdzie urzędowem ułatwianiem pozbycia się wszelkiej religii, ale mimo oczywistego godzenia w Kościół katolicki, mniej mu jednak dokuczyło, niż wyznaniom protestanckim, dla tego zaprzestajemy na jego wymienieniu. Rozwlekłość tych praw (składają się z 84 paragrafów) nie uchroniła ich od rozlicznych luk i niedostatków i noszą na sobie oczywiste ślady szalapectwa i lekkomyślności. Są to niewyrodne dzieci tajnych zamiarów politycznych rządu i rozburzonych w tym celu namiętności.

Pierwsze z nich „o kształceniu duchownych i obsadzaniu posad duchownych“ składa się z 5 rozdziałów i 30 paragrafów. Pierwszy rozdział stanowi od § 1—3, że ten tylko może w Prusach piastować urząd kościelny tak w kościele ewange-

lickim, jak katolickim, kto jest „*Niemcem*,” odebrał wykształcenie podług przepisów niniejszego prawa i protestu ze strony rządu na siebie nie ściągnął. Przepisy te zobowiązują nietylko osoby piastujące duchowne urzędy stałe „nieodwołalne,” ale bez wyjątku wszystkie, nawet chwilowe zastępstwo i niesienie pomocy i wyręczenia. W chwili gwałtownej potrzeby należy zastrzedz protest rządowy. Przepisy te stosują się i do tych wszystkich osób, które już piastują urząd duchowny i na inny się przenoszą lub dotychczasowa ich posada niestała na stałą zamieniona zostanie.

Drugi rozdział od § 4—14 obejmuje przepisy „o kształceniu się do stanu duchownego.” Do piastowania urzędu duchownego potrzebnem jest niezbędnie: „złożenie popisu dojrzałości w jednym z gimnazyów niemieckich i odbycie trzyletniego kursu teologicznego w jednym z uniwersytetów niemieckich; nadto *złożenie umiętnego popisu rządowego*.” Minister spraw duchownych może w pewnych szczególnych przypadkach od trzyletniego kursu uniwersyteckiego dyspensować. Studya teologiczne może kandydat odbyć także w seminariach duchownych, które w czasie ogłoszenia niniejszego prawa w Prusach istnieją, jeśli minister spraw duchownych uzna, że instytutu te mogą zastąpić studya uniwersyteckie. Lecz ta koncessya jest tylko dla tych dyecezyj, które nie mają uniwersytetów. W seminariach wolno tylko osobom należącym do dyecezyi teologii słuchać. Seminaria duchowne muszą się zastosować do przepisów niniejszego prawa, a minister spraw duchownych plan nauk potwierdza. W czasie odbywania studyów teologicznych uniwersyteckich nie wolno żadnemu uczniowi należeć do seminarium. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich dopiero składa kandydat „*popis rządowy*” publiczny, którym ma udowodnić, „czy nabył ogólnego naukowego wykształcenia, a w szczególności w przedmiocie filozofii, historii i literatury niemieckiej.” Wszelkie instytuta kościelne (seminaria dla chłopców, duchowne, konwikty i t. p.) zajmujące się kształceniem duchownych poddane są pod dozór rządu. Statuta, porządek domowy, regulamin, plan nauk wszystkich tego rodzaju instytutów powinien przełożony każdego takiego instytutu przedłożyć naczelnemu prezesowi, który te zakłady przez swoich komisarzy rewidować może. Nauczycielem czyli profesorem przy

wymienionych instytucjach nie może być nikt inny, jak tylko „Niemiec,” który podług przepisów tego prawa nauki ukończył i uzdatnienie swoje na profesora uniwersyteckiego udowodnił i protestu rządowego na siebie nie ściągnął. W razie niezachowania powyższych przepisów przez władzę duchowną, ma minister spraw duchownych upoważnienie do zatrzymania przeznaczonych na utrzymanie tych instytucyj wypłat lub je zupełnie zamknąć, uczniom zaś seminaryów mniejszych zabronić uczęszczania do szkół gimnazyalnych i składania popisu dojrzałości. Apellacyą wolno tylko założyć do królewskiego trybunału dla spraw kościelnych ustanowionego, która jednak wykonania rozporządzeń ministra niema mocy powstrzymać. Nowych seminaryów mniejszych (seminaria puerorum) zakładać ani do istniejących nowych uczniów przyjmować nie wolno pod karą zamknięcia instytucji, do czego ministra spraw duchownych prawo upoważnia.

Trzeci rozdział zajmuje się obsadzaniem posad duchownych od § 15—21. Przełożeni duchowni czyli biskupi i ich zastępcy są zobowiązani duchownego, któremu chcą jaką posadę duchowną udzielić, wymienić naczelnemu prezesowi oraz posadę, jaką mu dać zamierzają. Przepis ten stosuje się i do przenoszeń z jednej posady na drugą i do zmian niestałej posady na stałą. Naczelny prezes ma 30 dni czasu do założenia protestu przeciw kandydatowi. Protest ten może naczelny prezes założyć: 1) jeżeli kandydat nie ma przepisanych niniejszem prawem kwalifikacyj; 2) jeżeli prawomocnym wyrokiem za jaką zbrodnię lub wykroczenie został ukarany i praw obywatelskich pozbawiony; 3) jeżeli naczelny prezes z dotychczasowych faktów przypuszczać może, że kandydat prawom krajowym i rozporządzeniom władz świeckich nie będzie posłuszny lub publiczną spokojność zakłóci. Przeciw protestowi naczelnego prezesa można w przeciągu dni 30 zanieść apellacyą do królewskiego trybunału dla spraw kościelnych. Poruczenie urzędu duchownego wbrew powyższym przepisom nie ma żadnego znaczenia. Każda posada plebańska musi być od dnia jej opróżnienia licząc w ciągu jednego roku obsadzona. Naczelny prezes ma upoważnienie do dyspensowania i przedłużenia terminu. Jeżeli po upływie tego czasu plebania stale obsadzoną nie zostanie, może Naczelny prezes karami pieniężnymi

aż do 1000 talarów przełożonego duchownego zmusić. Kary te może ponawiać, dopóki przepisowi prawa nie stanie się zadość. Prócz tego wolno ministrowi na ten przypadek wypłatę kompetencji należących tak do posady, o którą chodzi, jak do przełożonego duchownego, który ma to miejsce obsadzić, powstrzymać. Zakładanie posad plebańskich, których plebani są odwoálni, nie wolno bez przyzwolenia rządu. Plebanie sukursalne na mocy prawa francuzkiego zaprowadzone, mają być w ciągu roku od dnia ogłoszenia niniejszego prawa stale obsadzone. Wyrok skazujący na karę domu poprawy i odejmujący prawa obywatelskie pozbawia zarazem urzędu duchownego.

Rozdział czwarty obejmuje „przepisy karne“ od § 22—24. Przełożony duchowny, który wbrew powyższym przepisom posadę duchowną obsadzi lub obsadzenie jej potwierdzi, ulega karze pieniężnej od 200—1000 talarów. Kto zaś urząd duchowny wbrew tym przepisom sobie poruczony przyjmuje i wykonywa, podpada karze pieniężnej aż do 100 talarów. Tę samą karę ściąga na siebie ten, który piastował urząd duchowny niestały, i pozostał w nim bez zezwolenia naczelnego prezesa, chociaż został zamieniony na stały. Kto sprawuje funkcje duchowne, a mocą wyroku karnego postradał zdolność do piastowania urzędu duchownego, ściąga na siebie karę pieniężną aż do 100 talarów.

Piąty rozdział obejmuje „przepisy przejściowe i końcowe“ od § 25—30. Cudzoziemcy, którzy przed publikacją tego prawa posiadali jakikolwiek urząd duchowny, powinni pod utratą posady, dochodów do niej przywiązanych i zdolności do wykonywania funkcji duchownych wyjednać sobie w ciągu sześciu miesięcy naturalizację. Minister spraw duchownych może w razie potrzeby dyspensować i termin ten przedłużyć. Przepisy tego prawa odnoszące się do złożenia dowodów naukowego wykształcenia i uzdatnienia do stanu duchownego nie mają być zastosowane do osób, które już przed publikacją tego prawa były w urzędzie lub uzdatnienie swoje udowodniły. Minister spraw duchownych jest upoważniony do zupełnego lub częściowego dyspensowania od złożenia dowodów naukowego wykształcenia tych kandydatów, którzy przed publikacją tego prawa w teologii znaczne już porobili studia. Examin rządowy może być połączony z teologicznym, jeżeli urządzenie osta

tniego examinu i skład komisji examinacyjnej tego będzie rodzaju, iż w niej zasiadać będą osoby albo wszystkie albo niektóre przez króla zamianowane. Przepisy odnoszące się do protestu rządowego nie mają zastosowania w tych przypadkach, w których obsadzenie wykonywane jest przez władze rządowe składające się z członków przez króla mianowanych. Dotychczasowy udział rządu w obsadzaniu posad duchownych wynikający z prawa patronatu i innych tytułów prawnych, pozostaje w swej mocy. Tak samo prawo rządu w obsadzaniu posad duchownych w armii i innych instytucjach pozostaje nieknięte. Minister spraw duchownych upoważniony jest do wykonania niniejszego prawa.

Drugie nie mniejszej doniosłości prawo przytaczamy także w głównej treści, gdyż jest niezbędne do zrozumienia dalszego przebiegu prześladowania. Jest to prawo z dnia 12 Maja 1873:

„O kościelnej władzy dyscyplinarnej i ustanowieniu królewskiego trybunału dla spraw kościelnych.“

Prawo to składa się z 38 paragrafów i 5 rozdziałów. Rozdział pierwszy od § 1—9 obejmuje przepisy ogólne. Kościelna władza dyscyplinarna może być tylko przez *niemieckie władze kościelne* wykonywana. Kościelne kary dyscyplinarne przeciw wolności lub majątkowi wymierzone nie mogą być wyrzeczone bez poprzedniego wysłuchania obżałowanego. Oddalenie z urzędu (dimissya, przewiezienie, suspensa, nie dobrowolne emerytowanie i t. d.) musi poprzedzać proces. Kary cielesnej nie wolno jako środka karnego lub poprawczego używać. Kary pieniężne nie mogą sumy 30 talarów, a jeśli miesięczny dochód jest wyższy, sumy miesięcznego dochodu przechodzić. Kara pozbawienia wolności może być tylko wykonana przez skazanie do domu Demerytów. Na dłużej niż trzy miesiące skazać nie wolno ani wbrew woli skazanego kary tej wykonać. Domy XX. Demerytów są pod dozorem rządu. Regulamin domowy przedłożony być powinien naczelnemu prezesowi do potwierdzenia, który ma prawo poddać te domy wizytacy i o ich urządzeniach się przekonać. O przyjęciu każdego Demeryta z nadmienieniem, przez którą władzę został wskazany, powinien przełożony w ciągu 24 godzin naczelnemu

prezesowi donieść. Przełożony domu obowiązany jest utrzymywać wykaz XX. Demerytów wymieniający nazwisko, czas przyjęcia i wypuszczenia z domu poprawy. Z końcem roku musi wykaz ten naczelnemu prezesowi przedłożyć. O każdym wyroku skazującym na karę przechodzącą sumę 20 talarów, do domu Demerytów na przeciąg czasu przechodzący dni 14, lub na utratę posady, musi być naczelny prezes równocześnie ze skazanym zawiadomiony i uzasadnienie wyroku podane. Naczelny prezes jest upoważniony celem przymusowego wykonania powyższych przepisów i swoich rozporządzeń użyć kar pieniężnych aż do wysokości 1000 talarów. Kary te może ponawiać, dopóki się prawu nie stanie zadość, a nadto może dom Demerytów zamknąć. Do wykonania kościelnych wyroków dyscyplinarnych w takim tylko razie rząd udzieli pomocy, jeśli naczelny prezes po zbadaniu sprawy za stosowne to uzna.

Drugi rozdział zawiera przepisy o „apelacyi od władzy duchownej do cywilnej“ od § 10—23.

Od wyroku zwierzchności duchownej, która wyrzekła karę dyscyplinarną, wolno każdemu apelować do cywilnej:

1) jeśli wyrok wydany został przez *władzę prawami krajowemi wykluczoną*, 2) jeśli przepisy niniejszego prawa nie zostały zachowane, 3) jeśli kara prawnie jest niedozwolona, 4) jeśli kara została wyrzeczona:

a) za uczynek lub jego opuszczenie, do którego prawa krajowe lub rozporządzenia zwierzchności cywilnej zobowiązują, b) za wykonywanie lub niewykonywanie prawa publicznych wyborów i głosowania, c) za użycie prawa apelacyi do władzy cywilnej na mocy niniejszego prawa. Oprócz tego ma apelacya miejsce, jeżeli 1) kara złożenia z urzędu lub jaka inna wbrew woli ukaranego wyrzeczona została, a wyrok oczywiście faktycznemu stanowi rzeczy się sprzeciwia, prawom krajowym lub ogólnym zasadom prawa uwłacza; 2) po tymczasowej suspensie dalsze postępowanie zbyt znacznie się przewłóczy. Każdemu, przeciw komu wyrok wydany został, służy prawo apelacyi. Jeżeli interes publiczny tego wymaga, może nietylko dotknięty karą, ale nawet *wbrew jego woli naczelny prezes apelacyą założyć*. Apelacya piśmiennie musi być założona do królewskiego trybunału dla spraw kościelnych. W pewnych przypadkach jest termin prekluzyjny do założenia apelacyi oznaczony

na cztery tygodnie, dla innych przypadków nie masz żadnego terminu prekluzyjnego. Naczelny prezes, jeśli mu ostateczny wyrok przedłożony zostanie, ma trzy miesiące czasu do założenia apelacji, w innych przypadkach żadnego nie ma ograniczenia. Założenie apelacji nie zawiesza wykonania wyroku. Trybunał jednakże może je zawiesić, a w razie potrzeby zawieszenie wykonania karą pieniężną aż do 1000 talarów wymusić. Po założeniu apelacji należy w ciągu dni 14 ją uzasadnić. Na wniosek może termin ten być przedłużony. Założenie i uzasadnienie apelacji prześle trybunał zwierzchności duchownej celem piśmiennego się oświadczenia i przesłania trybunałowi aktów w ciągu 4 tygodni. W razie potrzeby może trybunał nadesłanie aktów wymusić karami aż do 1000 talarów. Do spisania i przyjęcia dowodów potrzeba zaprzysiężonego protokulisty. Wyrok ma być wydany na mocy ustnego postępowania w sesji publicznej. Uchwałą trybunału może być publiczność oddalona lub na pewną liczbę osób ograniczona. Do rozpraw tych powinien apelant i zwierzchność duchowna być wezwani; jeden i druga mogą się kazać przez adwokata zastąpić. W razie ich nieobecności wyrokuje trybunał podług stanu rzeczy. Prócz tego ma być minister spraw duchownych zawiadomiony celem wyznaczenia swojego zastępcy. Jeżeli apelacją założył prezes naczelny, urzędnik przez ministra wyznaczony przejmuje także jego zastępstwo. W terminie samym zdaje referent przez przewodniczącego trybunału wyznaczony sprawę o rzeczy. Potem ma być wysłuchany apelant, zwierzchność duchowna, minister spraw duchownych lub ich zastępcy. W wyrokowaniu samem nie ma trybunał obowiązku trzymać się danych dowodów, ale może podług własnego przekonania, jakie sobie z dowodów przedłożonych i rozpraw utworzył, dowolnie decydować. W wyroku musi być albo odrzucenie apelacji albo unieważnienie wyroku, przeciw któremu apelacya zanesiona została, wyrzeczone. Wyrok uzasadniony powinien być w tej sesji, w której się rozprawy ustnie toczyły, po ich ukończeniu, albo w następującej, ogłoszony, a wygotowany piśmiennie apelantowi, zwierzchności duchownej i ministrowi doręczony. Jeżeli wyrok, przeciw któremu apelowano, zostanie unieważniony, obowiązana jest zwierzchność duchowna jego wykonanie, tudzież wszelkie jego skutki uchylić. Naczelny prezes

jest upoważniony, zastosowanie się zwierzchności duchownej do jego w tej mierze wydanych rozporządzeń karami pieniężnymi aż do wysokości 1000 talarów wymusić. Przeciw tym rozporządzeniom służy zwierzchności duchownej prawo zażalenia tylko do trybunału dla spraw kościelnych ustanowionego.

Trzeci rozdział obejmuje „*wkroczenie rzędu bez apelacji*“ §§ od 24—31.

Duchowni, którzy przepisy praw krajowych odnoszących się do ich urzędowania lub rozporządzenia tego rodzaju władz cywilnych tak ciężko obrażą, iż pozostanie ich dalsze w urzędzie niezgodnem jest z porządkiem publicznym, mogą być na wniosek władz rządowych wyrokiem sądowym z ich posad złożeni. Skutki złożenia z urzędu są: niezdolność wykonywania tego urzędu, utrata dochodów i wakowanie posady. Wniosek tego rodzaju poprzedzić powinno wezwanie ze strony władz rządowych zwierzchności duchownej, aby przeciw obwinionemu wytoczyła śledztwo w celu złożenia go z urzędu. Jeżeli obwiniony nie ma właściwej zwierzchności w cesarstwie niemieckiem, powinien być wezwany do złożenia urzędu. Jeżeli wezwaniu temu w przeciągu naznaczonego terminu nie stanie się zadość, albo jeżeli w ciągu oznaczonego czasu obwinionemu nie zostanie wytoczone śledztwo o złożenie go z urzędu, natenczas naczelný prezes stawia sam wniosek o wytoczenie śledztwa. Na wezwanie trybunału wyznaczy sąd wyższej instancyi tego obwodu, w którym obwiniony zamieszkuje, sędziego, który się zajmie prowadzeniem wstępnego śledztwa. Reszta postępowania odbywa się podług przepisów procesów karnych. Czynności prokuratora odbywa urzędnik wyznaczony przez ministra spraw duchownych. Trybunał może ze względu na wypadek śledztwa wstępnego od dalszego postępowania odstąpić i powinien o tem obwinionego zawiadomić. Jeżeli zaś sąd postanowi śledztwo dalej prowadzić, powinien obżałowanego, udzielając mu równocześnie wygotowane przez urzędnika zastępującego prokuratora oskarżenie, wezwać na termin do ustnych rozpraw wyznaczony. Minister spraw duchownych powinien także być zawiadomiony. Wyrok musi zawierać albo uwolnienie obżałowanego albo złożenie go z piastowanych przezeń urzędów. Duchowni, którzy po ich złożeniu z urzędu funkcyje urzędowe wykonywają, podpadają karze pieniężnej od 100 do 1000 talarów.

Rozdział czwarty obejmuje przepisy odnoszące się do ustanowienia „królewskiego trybunału dla spraw kościelnych“ od § 32—37.

Do wyrokowania o sprawach w powyższych paragrafach wymienionych, oraz o innych prawnie przekazanych, ustanawiamy władzę pod nazwą: „królewski trybunał dla spraw kościelnych“, który w Berlinie ma rezydować. Trybunał ten składa się z jedenastu członków. Przewodniczący i przynajmniej pięciu jego członków muszą być sędziami etatowymi. Do ustnych rozpraw i decyzji potrzeba siedmiu członków. Przewodniczący i przynajmniej trzech członków musi należeć do liczby sędziów. Prawdła postępowania, prawa przewodniczącego, oraz kolej, w jakiej członkowie obowiązani są do udziału w sesjach, ułoży trybunał sam i ministerstwu stanu do zatwierdzenia przedstawi. Uchwały plenarne tego trybunału mogą przepisy niniejszego prawa odnoszące się do postępowania uzupełnić i zastosowanie tego prawa na inne przekazane mu sprawy uregulować. Członkowie tego trybunału będą na wniosek ministerstwa stanu mianowani przez króla, ci, którzy już są w urzędzie, na tak długo, dopóki swój główny urząd piastować będą, reszta zaś dożywotnie. Trybunał ten wyrokuje ostatecznie z wykluczeniem wszelkiej dalszej apelacji. Władze sądowe i administracyjne są obowiązane rekwizycyom tego trybunału zadość czynić. Wyroki jego mogą być w drodze administracyjnej wykonane.

Piąty rozdział zawiera tylko ostatni paragraf końcowy.

Oto jest główna treść tych dwu praw, które sobie i następnym w roku 1874 wydany zjednały tę pamiętną i pełną grozy nazwę „praw majowych.“ Pobieżne ich przeczytanie wystarcza, aby się przekonać, że w tych kajdanach, które one Kościołowi ukuły, żadne stowarzyszenie, a tem mniej Kościół katolicki, żyć i posłannictwa swego spełnić nie może. Trzy lata upływają, jak już istnieją i pastwią się nad katolikami, a nie zdobyły sobie ani jednej piędzi w Kościele, bo nawet tych kilku Judaszów, których uwiedły, nie przyniosło prócz skompromitowania rządu żadnej innej Prusom korzyści. A jakie już przyniosły i przyniesą jeszcze szkody, niedaleka przyszłość wydatniej wykaże.

Nim przystąpimy do ocenienia doniosłości tych praw, ich celu, wykonywania, które dotąd trwa, i skutków, nie godzi

nam się pominąć ważnego dokumentu należącego do przebiegu tej sprawy. Skoro tylko rząd pruski z projektami do wymienionych wyżej praw przed Izby pruskie wystąpił, przedłożyli biskupi Prus tak rządowi jak Izbom memoriał wyjaśniający spokojnie, ale jasno i stanowczo stanowisko, jakie względem przedłożonych projektów, jeśli zostaną prawem, będą zmuszeni zająć. Biskupi oświadczają w tem piśmie wyraźnie, że z swej strony do wykonania tych praw ręki nie przyłożą i zwracają nietylko rządowi, ale i Izbom uwagę na opłakane skutki i następstwa, jakie z takich praw wyniknąć będą musiały. Rząd już był skasował wydział katolicki w ministerstwie spraw duchownych, nie miał i nie chciał mieć w łonie swoim nikogo, ktoby sprawy katolickie rozumiał. Odezwa ta biskupów była przeto dla rządu i dla Izb przestrogą pouczającą, rząd zatem niema na swoją obronę tej częściej nawet wymówki, że nie przewidział doniosłości zasad w tych prawach wypowiedzianych. Memoriał ten datowany dnia 30 Stycznia 1873 r. brzmi dosłownie:

„Przed kilku dniami przedłożyło królewskie ministerstwo sejmowi projekta do praw, które się aż do głębi wdzierają w wewnętrzne życie Kościoła katolickiego i w obręb praw jego i wezwało sejm do jak najspiesniejszego rzeczonych projektów przyjęcia.

Pominąwszy tę okoliczność, że podług prawa przyrodzonego i danego, oraz podług praktyki od niepamiętnych czasów w krajach niemieckich zachowywanej stosunki pomiędzy państwem a Kościołem jedynie za zobopólnem znoszeniem się prawnie i dla obu stron korzystnie układane być mogą, powinni byli biskupi Prus na tyle przynajmniej względu liczyć, że im zostanie podana zrzeczność do wypowiedzenia zdania swego o tak ważnych, Kościół katolicki dotyczących projektach do praw i utrzymania zasad katolickich.

W takim razie byliby może biskupi w stanie bez zadania gwałtu uczuciu powinności przyjąć pojedyncze przepisy rzeczonych projektów; co do niektórych innych mogłaby może być nastąpić ugoda ze Stolicą Apostolską. Lecz ponieważ królewski rząd powyższe propozycje, jakkolwiek ich doniosłość najgłębszych tajników życia wewnętrznego Kościoła dosięga, mocą przywłaszczonego sobie pełnomocnictwa jednostronnie bez

żadnych poprzednich porozumiewań się i rokowań z uprawnionymi do tego organami kościelnymi Izbow przedłożył, nie pozostaje nam nic innego, jak z góry przeciw wszelkim przyrodzone i słuszenie nabyte prawa Kościoła katolickiego, oraz wolność sumienia i religii katolików krzywdzącym przepisom tych projektów, tudzież ustawom, jakieby na ich podstawie wydane być miały, wyraźny i uroczysty protest założyć.

Pozwalamy sobie nad niektórymi tylko punktami następujące zrobić uwagi, które jednakże dla niezbędnego pośpiechu przedmiotu bynajmniej nie wyczerpują; zastrzegamy sobie przeto dalsze prawne wywody i uzasadnienia.

Podług nauki wiary katolickiej, którą my katolicy, jako na objawieniu boskiem spoczywającą, bezwarunkowo za prawdziwą przyjmujemy, a niezawodnie wierzyć w nią mamy prawo, gdyż wolność sumienia naszego naruszoną być nie powinna; —

podług prawa przyrodzonego, natury rzeczy i zasad rozumu; —

podług historycznych i słuszenie nabytych praw tych katolickich części monarchii, które nie pozbawione wszelkich praw, ale przeciwnie z prawami uroczystem przyrzeczeniem królewskim zaręczonemi, że ich religia i kościół w zupełnym i nietykalnym ma pozostać stanie, do królestwa Prus przyłączone zostały; —

podług ugód pomiędzy Stolicą Apostolską a koroną pruską i innemi częściami kraju zawartych i opierających na nich bul cirkumskrypcyjnych; —

nareszcie podług przepisów konstytucyi pruskiej, które prawa te kościołowi katolickiemu równie jak i innym wielkim wyznaniom chrześcijańskim zapewniają, —

ma Kościół katolicki w Prusach nietykalne i nieprzedawnione prawo egzystencji w całej zupełności swej nauki wiary i obyczajów, swej organizacyi i karności, tudzież prawo zarządzania i kierowania sprawami swojemi przez własne i prawne swoje organa.

Najpierwszem i najistotniejszym zaś prawem każdego katolickiego biskupstwa i każdego katolika jest właśnie prawo, tego jednego katolickiego kościoła, którego głową jest papież, i dla tego z papieżem, który podług nauki wiary katolickiej jest z ustanowienia Bożego fundamentem i najwyższym paste-

rzem kościoła katolickiego, w jedności wiary i żywym związku bez przeszkody pozostawać.

Drugiem, nie mniej istotnem prawem każdego katolickiego biskupstwa i każdego katolika z osobna jest, w rzeczach religii i kościoła od nikogo innego nie zależeć ani dyrekcyi sumienia przyjmować, jedno od własnego prawowitego przełożonego kościelnego, t. j. od biskupa zostającego w określonej zależności od papieża, biskupów bowiem podług nauki wiary katolickiej Bóg postanowił, aby powierzonymi sobie diecezjami, podług rozkazu Chrystusa Pana i ustaw kościoła katolickiego, zarządzili i zawiadywali.

Ztąd ma biskup względem swej diecezji trojaką powinność przez samego Boga nań zlaną, której odpowiadają pewne prawa od Boga mu dane do niezależnego wypełniania tej powinności bez żadnej przeszkody.

Najprzód, powinność i prawo ogłaszania i zachowania w czystości nauki wiary i obyczajów kościoła katolickiego, oraz zawiadowania skarbem łask Bożych.

Powtórę, powinność i prawo wyboru podług przepisów kanonicznych kapłanów i niższych sług kościoła, aby go w jego apostołskiem powołaniu jako pomocnicy i wyręczyciele wspierali, a nie tylko wyboru, lecz także ich wychowania, wysyłania i powierzania im urzędów kościelnych.

Po trzecie, powinność i prawo upominania i przypominania duchownych, aby obowiązki swego urzędu wypełniali, wiernych zas, aby powinnościom chrześcijańskim zadość czynili, i w razie gdyby uporczywie odmawiali posłuszeństwa nauce i ustawom kościoła, wykluczenie ich ze społeczności kościelnej; gdyby się zaś takiego oporu dopuścili kapłani, złożenia ich z urzędu duchownego i wzbronienia im sprawowania wszelkich czynności kapłańskich.

Te trzy powinności są tak nierozjemnym węzłem z sobą związane, iż jedna bez drugiej ostać się nie może.

Biskup nie jest w stanie katolickiej nauki wiary i obyczajów w jej czystości zachować ani ogłaszać, nie jest w stanie, jak powinien, godnie środkami łask Chrystusowych szafować ani ich wiernym udzielać, jeśli mu nie wolno duchownych, jedno i drugie z jego polecenia sprawujących, wychowywać, dozorować, wysyłać i w miarę ich zasługi i zdolności

na posady kościelne przeznaczać. Ani jednemu ani drugiemu nie zdoła zadość uczynić, a najmniej zdoła religię katolicką od sfalszowania uchronić, organizm zaś kościoła od rozprzężenia zachować, jeśli mu nie będzie wolno kapłanów, w herezyę lub schizmę popadłych lub zkądinąd niegodnych, składać z piastowanych przez nich w kościele urzędów, a wyrzekających się wiary kościoła, upornych gwałcicieli i przeciwników praw jego z społeczności kościelnej wykluczać.

Przedłożone zaś projekta gwałcą i niszczą pod wielu względami te najistotniejsze prawa kościoła i jego biskupów, prawa, bez których nie podobno im najważniejsze powinności swoje wypełnić.

Projekt do prawa o kształceniu duchownych i udzieleniu im posad przyznaje wprawdzie na pozór biskupom prawo obsadzania urzędów kościelnych, lecz wolność tego obsadzania ścieśnia przedewszystkiem tym przepisem, że państwu oddaje władzę nie tylko zaprotestowania przeciw każdej nominacji, ale nadto ostatecznego rozstrzygania, czy protestacya jest uzasadnioną lub nie. Ekluzywa ta jest wprawdzie ograniczona na powody wzięte z prawa cywilnego i publicznego. Ale niepodobna nam nie widzieć, że pod płaszczem tej ekluzywy najcięższe krzywdy mogą być wyrządzane niepodległości kościoła, godności duchownego stanu i pojedynczym najzacniejszym i najgorliwszym kapłanom, jeżeli jednostronnie i wyłącznie tylko urzędnicy państwa mają prawo roztrząsania i oceniania zarzutów zrobionych przeciw udzieleniu posady duchownemu, albo faktów, na których się te zarzuty opierają. W każdym zaś razie znajduje się ten przepis w sprzeczności z istniejącem prawodawstwem i z niepodległością zarządu kościoła, jaką zabezpiecza konstytucya pruska.

Jeżeli kościół niektórym rządóm po wzajemnem porozumieniu się z nimi przyznał prawo zakładania protestancyi przeciw powierzaniu duchownej posady temu lub owemu kapłanowi z czysto świeckich i politycznych powodów, to przecież państwu nie godzi się jednostronnie przywłaszczać sobie takiego prawa; oprócz tego zwracamy tu szczególnie na tę okoliczność uwagę, że przyznane niektórym rządóm prawo ekluzywy odnosi się tylko do stałych posad, a prawie zawsze tylko do plebanów, gdy tymczasem projekt obecny na wika-

ryuszowskie, i prowizoryczne posady je rozciąga, o co się nigdzie, o ile nam wiadomo, dotąd nie pokuszono. Co projekt sam wyraźnie daje do zrozumienia, znajdują się te przepisy w ścisłym związku z większem jeszcze pogwałceniem niepodległości i samodzielności kościoła t. j. z przepisami o wychowaniu duchownych.

Te przepisy wdzierają się najgłębiej w wewnętrzne życie kościoła, w najświętsze sprawy religii, w wolność wiary katolickiej, zaszczipiają w nich zaród najszkodliwszego zepsucia. W tej mierze wypowiemy nasze zdanie z całą otwartością, jakąśmy winni naszemu urzędowi i państwu.

Z pomiędzy wszystkich powinności i praw kościoła i biskupów, należy wychowanie kleru do najostatniejszych i najważniejszych.

Prawa tego nigdy jeszcze od ośmnastu wieków w żadnym kraju świata całego nie zaprzeczano kościołowi, a jeśli się to w przeszłym stuleciu w Austrii, a w naszym wieku poczęści w państwach niemieckich wydarzało, to nigdy w takiej rozciągłości, jak obecnie w Prusach przez przedłożony projekt do prawa. Wszędzie, gdziekolwiek kościół katolicki istnieje, przyznano mu prawo do istoty jego należące: kształcenia i wychowywania swych duchownych w kościelnych zakładach naukowych, jako to: w Anglii i Ameryce północnej, w Holandyi i Belgii. We Włoszech, Hiszpanii i Francyi, gdzie rewolucye pustoszyły kościół i czasami krwawem prześladowaniem go trapiły, skoro tylko wyznawanie religii katolickiej przywróconem zostało, nikomu na myśl nie przyszło, zaprzeczać i odmawiać biskupom prawa, niezależnego wychowania swego duchowieństwa.

Kościół katolicki wydał na powszechnym soborze Trydenckim ustawę, ażeby ci, którzy się stanowią duchownemu poświęcają, od młodości w seminariach byli wychowywani, oraz, ażeby każde biskupstwo takie seminaryum posiadało. Bulle cyrkumskrypcyjne odnoszące się do wszystkich biskupstw państwa pruskiego przepisują wyraźnie wykonanie tej ustawy.

Jeżeli biskupi państwa pruskiego pozwalali uczniom teologii zwiedzać uniwersytety w Bonn i Wrocławiu, akademią Monasterską i inne naukowe zakłady w Niemczech, to nigdy nie myśleli i nie mogli zrzec się przez to prawa i powinności

wychowywania i teologicznego kształcenia własnego kleru. Biskupi pozwalali na to w tem jedynie przypuszczeniu, że wydziały teologiczne przy owych zakładach rządowych, zawisłemi zostaną, jak powinny, od powagi kościelnej, że zatem ta zależność i kościelne usposobienie profesorów, tak co do prawowierności nauki, jak jej wykładu, w połączeniu z dobrze urządzonemi konwiktami, dostateczną dadzą im rękojmią czystości obyczajów i religijnego życia młodych teologów, tudzież że w ogóle ze strony uniwersytetu kościoł i kandydaci do stanu duchownego przynależnej doznawać będą względności.

Lecz, jeżeli, jak się to teraz w Bonn stało, większa część profesorów wydziału teologicznego od wiary kościoła odpadnie i przeciw powadze kościelnej rokosz podniesie; a mimo to rząd tych profesorów za nauczycieli teologii katolickiej uważa i wydział teologiczny w ręce im wydaje, jeżeli większość reszty profesorów uniwersyteckich za nimi się oświadcza, natenczas wyradza się stan rzeczy nieznośny, którego biskupi bez dopuszczenia się ciężkiej winy ścierpieć nie mogą.

Taki jest w krótkości powiedziawszy rzeczywisty stan rzeczy, który uważany w związku z motywami odsłania nam dopiero całość straszliwej doniosłości tego projektu.

Prawda, że projekt, o którym mowa, nie zaprzecza formalnie biskupom i kościołowi prawa kształcenia i wychowywania kleru, ale robi je zupełnie illuzorycznem.

Projekt bowiem ten przepisuje każdemu teologowi pod karą wykluczenia go od wszelkiego duchownego urzędu zwiędzanie przez trzy lata niemieckiego uniwersytetu, a biskupom zakazuje na przyszłość udzielać posad duchownych takim, którzyby temu wymaganiu nie uczynili zadość.

Tylko w seminariach obecnie jeszcze istniejących, a przez rząd za teologiczne zakłady naukowe uznanych, ma być własnym tylko dyciecyanom wolno odbywać studia teologiczne, w wszystkich zaś innych wzbroniono — przepis wyjątkowy pełen nienawiści i widocznie na niekorzyść tych zakładów naukowych obliczony, które tylko z potrzeby i to w najciaśniejszych granicach cierpiane być mają.

Zakazu, aby uczniowie uniwersytetu równocześnie do żadnego nie należeli seminarium, niepodobnaby było zrozumieć,

gdybyśmy go nie zastósowali do konwiktów w Bonn i do podobnego zakładu oddawna istniejącego w Monasterze.

Dalej pod zagrożeniem takiej samej kary powinni teologowie nie tylko jak uczniowie wszystkich innych wydziałów, składać egzamin dojrzałości, ale nadto po odbyciu trzechletniego studium teologii na uniwersytecie, jeszcze egzamin z nauk filozoficznych, historycznych i literatury niemieckiej. Tego po uczniach żadnego wydziału nie wymagają.

Tak ów wyjątkowy i nienawistny technący przepis, jak trzyletnie uczęszczanie na uniwersytet nie tyle ma na celu, podać młodym teologom zręczność do nabycia wiedzy w wyżej wymienionych gałęziach umiejętności, ile raczej wywierać wpływ na ich wewnętrzne usposobienie i zasady. „Wychowania narodowego“ wymaga rząd, utrzymując, że wychowanie kościelne zaszczerpia ducha antynarodowego i antypatryotycznego. To nieustannie powtarzane obwinienie ponownie odpieramy stanowczo. My biskupi, nasze szczerze przywiązane do kościoła duchowieństwo i katolicy wszystkich stanów nie ustępujemy pierwszeństwa nikomu pod względem wierności winnej królowi i państwu i miłości ojczyzny. Wychowanie naszych teologów, dając kościołowi dobrych kapłanów i sług wiernych, kształci ich zarazem na wiernych i sumiennych poddanych zwierzchności świeckiej.

Przeciwnie mamy słuszne powody do obawy, że pod tem „narodowem wychowaniem“ nie się nie rozumie innego, jak wychowanie niekatolickie, które jedynie ma na celu, w kandydatach stanu duchownego zaszczerpić, o ile podobna, zasady i wyobrażenia niekościelne.

Wśród wielkich pokus wywołanych odstępstwem pewnej liczby profesorów, okazali nie tylko kapłani, ale i uczniowie teologii w całych Niemczech rzetelną i niewzruszoną stałość w wierze na pociechę biskupów i całego katolickiego ludu.

Obawiamy się, że te przepisy przedłożonych projektów do praw mają na celu przygotować i dokonać zmiany tych dobrych usposobień i tej stateczności w wierze.

Wszakże już tyle mówiono o tak zwanym duchu ultramontańskim, przeciw któremu walczyć należy „wychowaniem narodowem“ z powodu, że już przeważnie duchowieństwo opowiadał. Lecz ten duch, który nasze duchowieństwo w wierze

i przywiązaniu do kościoła utrzymał, nie jest bynajmniej sztucznie wywołanym duchem jakiegoś stronnictwa, lecz czystym i prawdziwym duchem całego kościoła katolickiego, duchem ludu naszego katolickiego po przodkach naszych od niepamiętnych czasów odziedziczonym, duchem, który wynieśli z domu rodzicielskiego i nadal wynosić będą. Jeżeli tedy zadaniem tego „narodowego wychowania“ jest, ducha tego osłabić, zmienić, zatruc i stłumić, natenczas wolelibyśmy bez wątpienia znieść otwarte a nawet krwawe prześladowanie, aniżeli takie „narodowe wychowanie“ ścierpieć. Byłoby ono bowiem ciągłą pokusą dla młodzieży poświęcającej się stanowi duchownemu do odstępstwa od powołania kapłańskiego, a co gorsza, od wiary katolickiej.

Co się tyczy przepisów w tych projektach zawartych o naukach gimnazyalnych, konwiktach dla chłopców i małych seminariach, tośmy już wyżej nadmieli, że do ich zakładania i utrzymywania ma kościół dane i przyrodzone prawo. Na całym świecie istnieją takie lub do nich podobne zakłady stósownie do ustaw kościoła.

W Niemczech ograniczyli się biskupi po największej części na założeniu konwiktów, których uczniowie uczęszczają do gimnazyów rządowych; tam zaś gdzie pozakładali szkoły średnie, urządzili je za zezwoleniem rządu z zastosowaniem się do prawnych przepisów odnoszących się do wychowania publicznego. Uczniowie tak kościelnych zakładów jak konwiktów odznaczyli się, podług zgodnego świadectwa władz duchownych i świeckich, zawsze nauką i moralnem prowadzeniem, dobrze składali przez rząd przepisane egzamina i częstokroć najlepsze otrzymywali świadectwa.

Na raz mają te instytuta być wzbronione i na wygaśnięcie skazane; i w tym razie usposobienie tych dzieci i młodzieńców t. j. ich duch religijny, ich przywiązanie do kościoła jest jedynym przeciwko nim zarzutem. Te konwikta i zakłady naukowe są dla znacznej liczby dzieci rodzin chrześcijańskich jedynym środkiem, któremi mogą zaspokoić najgorętsze życzenia serca i powołanie do nauk i do stanu duchownego. Bez nich zostałyby te dzieci pozbawione wogóle nauk, lub co gorsza, naraziłyby oddalone od domu rodzicielskiego wśród

najniekorzystniejszych warunków wiarę i cnotę na szwank, a niekiedy siebie na zgubę moralną.

Dla kościoła zaś są te zakłady wybornym środkiem do przygotowania dostatecznej liczby godnych kapłanów. Znosić je znaczy tyle, co drogę do stanu duchownego zamykać, a kościół i lud katolicki w jego najświętszych interesach krzywdzić.

A oprócz tego, jakaż niesłuszność. Pod pozorem nieprawdziwym i obrażającym, że wychowanie po konwiktach psuje ducha, charakter i patryotyzm zakazują te przepisy kościołowi tego, co w wszystkich innych zawodach jest dozwolonym, a nadto za pożyteczne i celowi odpowiednio uznanem. Państwo wychowuje sobie swoich oficerów od najmłodszych lat w zakładach kadetów, dozwolone są pensjonaty najrozmaitsze dla wszystkich zawodów, tylko kościołowi i katolikom nie ma być wolno posiadać ani utrzymywać pensyonatów dla dzieł swoich i dla alumnów stanu duchownego, którzy właśnie tego rodzaju zakładów bardziej, niż wszystkie inne zawody potrzebują.

W przedmiocie projektu do prawa o wykonywanie kościelnej władzy karnej i dyscyplinarnej na następujące tylko ograniczamy się uwagi.

Każde społeczeństwo ma prawo przyrodzone, bez którego istnieć nie może, wykluczania z grona swego członków, którzy się do ustaw jego nie stósują i podkopują byt jego.

Kościół katolicki rządzący się duchem miłości i łagodności, używa tego środka w ostatecznych tylko razach i to nader rzadkich, i wtenczas jeszcze czyli to zawsze tylko w celu poprawy winnego i tam tylko gdzie go do tego kroku nieodzowna powinność względem całości zmusza. A w przypadku, w którym mu powinność nakazuje użyć tego środka, nie może tego zaniedbać bez oczywistego burzenia swej egzystencji. Jeżeli tedy kapłan i zarazem nauczyciel religii katolickiej, od wiary odpadnie, powadze kościelnej posłuszeństwo wypowie i walcząc przeciw wierze wzgardą obsypuje kościół, w takim razie musi takiego odstępcę usunąć od wszelkich urzędów kościelnych i nadto ze społeczności kościelnej zupełnie wykluczyć.

Uderzył nas przeto zawarty w tym projekcie zakaz wyrzeczenia ekskomuniki za wykonywanie prawa politycznych wyborów i inne tego rodzaju rzeczy, któremu podobnie jak

zakazowi używania kar cielesnych, jako środka dyscyplinarnego przeciw duchownym, na wszelkiej zbywa materji. Lecz zakaz taki umieszczony w prawie wymyślony jest na to, aby pomiędzy innowiercami i nieznającymi rzeczy obudzić wstręt do kościoła katolickiego i sług jego. Jedynie w takim razie, od czego niech nas Pan Bóg zachować raczy, gdyby wydano prawa wymagające i upoważniające członków kościoła katolickiego do podniesienia buntu przeciw kościołowi, mogłoby przyjść do starcia pomiędzy prawami krajowemi a wykonywaniem kościelnej władzy karnej i dyscyplinarnej. W takim zaś razie znajdowalibyśmy się katolicy w stanie prześladowania, a my biskupi musielibyśmy dopełnić naszej powinności, choćby nas nie tylko pieniądze, ale i surowsze kary spotkać za to miały.

Nie możemy tu przemileżeć także tej okoliczności, że nas te częste zagrożenia karami pieniężnemi widocznie w celu dotknięcia biskupów w tym projekcie umieszczone, dotkliwie uraziły. Zaprawdę niegodny byłby to biskup, któregoby względ na utratę grosza choćby na chwilę zdołał zachwiać w wypełnianiu swoich powinności.

Zakładamy przeto jak najuroczystszy protest przeciw wszelkiemu ograniczeniu i udaremnieniu kościelnej władzy dyscyplinarnej. Nic nas nie zdoła powstrzymać od używania środków przez prawo kościelne przepisanych do bronienia i zachowania czystości wiary, całości i organizmu kościoła.

Jak projekt ten może zezwalać na wykluczenie ze społeczności kościelnej, a mimo to zakazywać ogłoszenia wyroku, jest dla nas rzeczą niepojętą. Głównym przecież ekskomunikacji jest celem, bronić pospolitego dobra całego społeczeństwa kościelnego przeciw napaściom i wybrykom pojedynczych członków.

Pomijając wiele innych punktów, podnosimy niektóre tylko przepisy mające, jak się zdaje, na celu, brać duchownych przeciw biskupom w opiekę. Do tych należy przepis, aby żaden duchowny nie mógł być karany dyscyplinarnemi, bez poprzedniego go wysłuchania i zachowania zwyczajnych formalności; ażeby żaden nad trzy miesiące nie mógł być trzymany w domu demerytów i aby się to nie działo bez nadzoru i wiadomości władz świeckich. Szczególnie zaś należy do tego rodzaju przepisów dozwole nie apellacyi od wyroków kościelnych do władz rządowych, tudzież zniesienie tak zwanych plebanii

sukursalnych na lewym brzegu Renu i zakaz usuwania z posady.

Jesteśmy pewni, że całe duchowieństwo katolickie dla autorów tego projektu do prawa do wdzięczności poczuwać się nie będzie. Wie ono bowiem dobrze, że biskupi przy obsadzaniu urzędów kościelnych i przy przenoszeniu duchownych na inne posady zawsze się trzymają powinności swego urzędu i przepisów kanonicznych, które praw i interesów duchowieństwa jak najtroskliwiej strzegą, i że tak samo w kwestyi plebanów sukursalnych, przez prawodawstwo francuzkie zaprowadzonych, baczny wzgląd na przepisy kanoniczne zachowują.

W gronie naszego zacnego i godnego duchowieństwa nader rzadkie wydarzają się przypadki, w których władzy dyscyplinarnej użyć potrzebujemy. Gdyby się zaś duchowny dopuścił jakiego uchybienia, będzie niewątpliwie każde wmieszanie się w jego sprawę władzy świeckiej daleko dlań boleśniejszym, aniżeli sprawiedliwa i łagodna kara przez jego biskupów mu wymierzona.

Apelacya od sądu duchownego do świeckiego niweczy niepodległość kościoła, zupełnie znosi granice rozróżniające państwo od kościoła, a biskupi znajdują się w stanie niemożności uznać jej ważność i zmienić w najmniejszej odrobinie jej zakaz powszechnem prawem kościelnem wyrzeczony. Zresztą i w tym razie jesteśmy pewni, że żaden z duchownych, który jeszcze całkiem nie utracił wiary i nie zaparł się powołania swego, nigdy środka tego nie użyje ani z urzędowej apelacyi przez władzę świecką na rzecz jego założonej korzystać nie będzie.

Podczas, kiedy projekt ten najistotniejsze prawo kościoła zachowania swej czystości za pomocą ekskomuniki, suspensy i prywacyi, jednym słowem za pomocą wykonywania dyscypliny coraz bardziej udaremnić usiłuje, przyznaje państwu w szerokich rozmiarach prawo składania z urzędów kapłanów, nie wyjmując biskupów.

Lecz jak kościół nie sprzyja tym, którzy się na społecznym i politycznym porządku rzeczy zbrodni dopuszczają, tak i państwo nie ma i nie może nigdy mieć prawa wymierzania kar czysto kościelnych i składania z urzędów, które duchownym nie z ramienia państwa, ale kościoła powierzone zostały.

Podług tego projektu ma być dla spraw kościelnych królewski trybunał ustanowiony. Oświadczamy na to raz na zawsze, że kompetencyi jego nie uznamy nigdy, i że w tej instytucyi upatrujemy pierwszy krok do przeistoczenia kościoła katolickiego, w moc ustawy boskiej wolnego i niepodległego, na niekatolicki, rządowy. Gdyby nas samych z tego powodu chciano stawić przed ten lub inny trybunał świecki, natenczas, pokładamy tyle zaufania w łasce Bożej, nie zabraknie nam odwagi do dania statecznego świadectwa wierze naszej i do zniesienia najsroższych nawet cierpień dla niepodległości kościoła tak ochotnie, jak to czynili w przeszłości tylokrotnie poprzednicy i współbracia nasi w biskupim urzędzie.

W końcu protestujemy jak najusilniej przeciw temu przepisowi projektu, który opiewa, że władzę dyscyplinarną wykonywać może tylko kościelna zwierzchność krajowa, o ileby przez to najwyższa jurysdykcyja głowy kościoła naruszoną być miała.

Pomyślność państwa i kościoła, oraz całego społeczeństwa polega na zgodzie pomiędzy jednym a drugim. Biskupi, duchowieństwo i lud katolicki nie są nieprzyjaciołmi państwa ani cesarstwa, nie są nietolerantami, nie pałają uczuciem nienawiści do innych wyznań. Niczego goręcej nie pragną, jak żyć w zgodzie z wszystkimi, jednej tylko żądają rzeczy: aby im było wolno żyć podług ich wiary, której prawdą przez Boga objawioną na wskrós są przejęci, aby nie tykano całości ich religii i Kościoła, oraz wolności ich sumienia; zdecydowani są przeto wszelkiemi prawnymi środkami bronić bez trwogi i statecznie przynależnej im wolności i wszelkich choćby najdrobniejszych praw Kościoła.

Tych zaś, w których ręku ster rządów spoczywa i którzy na sprawy państwa wpływ wywierają, z głębi duszy błagamy i zaklinamy, aby zeszli z tej nieszczęsnej drogi, którą się puścili, przywrocili pokój Kościołowi katolickiemu i tylu milionom katolików tak królestwa pruskiego, jak cesarstwa niemieckiego, bezpieczeństwo prawa i powszechnej wolności, nie narzucali nam przemocą praw, które z naszej strony bez pogwałcenia zaprzysiężonych powinności urzędu biskupiego, a z strony duchowieństwa i wiernych bez zadania gwałtu ich sumieniu wykonane być nie mogą, użycie zaś środków prze-

mocy celem ich przeprowadzenia ściągnie na lud nasz wierny i kraj ukochany niewypowiedziane kłeski.“

Odezwa ta biskupów była głosem wołającego na puszczy. O prawdę, sprawiedliwość i słuszość nie chodziło bowiem rządowi ani stronnictwom pseudoliberalnym z nim połączonym, ale jedynie o dopięcie zamierzonego celu. Wybór środków był i jest do dziś dnia rzeczą obojętną, kiedy chodzi o dokuczenie Kościołowi katolickiemu.

W rozmaitych wiekach i czasach rozmaite namiętności i grzechy górowały po nad innemi. Naszym czasom dostało się w udziale *kłamstwo*. Na niem osnuty był cały plan wojny przeciw Austrii i Francyi, na niem cały spisek i plan prześladowania religii katolickiej. Od samego początku, od spisku „umiejętności niemieckiej“ zawiązanego w Monachium z dyplomacją pruską przeciw kościołowi katolickiemu znajdzie baczny czytelnik we wszystkich krokach rządu pruskiego i sprzymierzonych z nim stronnictw na tle ostatecznym kłamstwo poparte przemocą. W każdym pojedynczym razie trzeba było największych użyć wysileń, aby przytłumić prawdę, choćby tylko na chwilę, dopóki się zamierzony zamach nie uda. To systematyczne, uorganizowane i wielkimi pieniędzmi opłacone kłamstwo zaraziło wszystkie organa prasy i nie przepuściło promyka światła prawdy do wiadomości ludu. Język tym sposobem został sfalszowany. „Kultura,“ „oświata,“ „cywilizacya,“ „wolność,“ „umiejętność,“ „liberalizm,“ „ultramontanizm,“ „postęp“ i tym podobne umysł pospolity czarujące wyrazy nabrały w tym odmgocie znaczenia, jakiego zdrowy rozum i logiczne myślenie do nich nigdy nie przywiązywały. Czyż rozum ludzki mógł pojąć, aby podobną było rzeczą w imię oświaty zamykać ludziom usta, aby prawdy mówić nie mogli, w imię wolności krępować wolność sumienia, zamykać przytułki oświaty i nauki ubogim i t. p.? Trzeba przeto było sfalszować pierwiej język i zamieszać wyobrażenia mas, nim je w matnię wprowadzono. Nic przeto prawdziwszego i trafniejszego nad słowa Ojca św., które w allokucyi mianej dnia 18 marca 1861 mówiąc o fałszywej i zwodniczej cywilizacyi, na której czele stoją Mazzini i Garibaldi, wypowiada: „Możeż papież takiej cywilizacyi kiedykolwiek przyjazną podać rękę i serdeczne z nią zawrzeć przymierze? *Przywróćcie najpierw rzeczom ich wła-*

ściwe imiona, a pokaże się, że Stolica św. zawsze tą samą pozostała!“ Przywrócić rzeczom właściwe imiona, toby dziś w Prusaeh i w Niemczech znaczyło: zderzeć maskę kłamstwu, uwięzionej prawdzie oddać wolność, przemoc strącić i prześladowaniu koniec położyć. Dopóki ten system kłamstwa istnieje, prawda, gdziekolwiek się odezwie, prześladowana być musi.

W tym duchu systematycznego i wobec logiki zuchwałego nad miarę kłamstwa zostały do sejmu wniesione i uzasadnione projekta do praw o których mowa. Minister spraw duchownych Falk przedłożył je Izbie poselskiej dnia 9 stycznia 1873 r. a 8 stycznia został dopiero przez króla do tego upoważniony. Motywa do tych praw czyli ich uzasadnienie jeszcze nawet nie były wygotowane i dopiero 11 tegoż miesiąca zostały członkom Izby rozdane, a 16 już się miały w Izbie obrady nad nimi rozpocząć.

Te faktyczne okoliczności są najwymowniejszym dowodem szalałputnego pośpiechu, z jakim rząd pragnął te prawa ukuć. Postępowanie to przypomina zbyt widocznie podobną szalałputność okazaną przeszłego lata w parlamencie niemieckim w sprawie wypędzenia Jezuitów. Chciano koniecznie rzecz ubić pierwej, nim kraj ostygnie z gorączki i zdola się zastanowić nad doniosłością tych projektów. Posłowie sami, jak to Mallinckrodt i August Reichensperger słusznie wyrzucali rządowi i Izbie, ledwo projekta wraz z motywami zdążyli obok sessyi i innych zatrudnień parlamentarnych przeczytać — do gruntownego zaś zastanowienia się nad nimi, do poinformowania się w źródłach odpowiednich nie było już czasu. Przed tem nigdy sobie rząd pruski, a zwłaszcza w materyach ważnych tak nie postępował. Prace swoje przygotodawcze publikował celem podania zręczności wszystkim do krytyki i roztrząsania przedmiotu, który miał być ujęty w formy prawne i obywateli kraju zobowiązywać. Interesowane zaś korporacye lub stany wzywał z osobna do oświadczenia się i podania mu uwag. Tak minister Ladenberg, kiedy zamierzał wygotować projekt do prawa o edukacyi publicznej, wezwał nie tylko pedagogów z powołania, ale nawet wszystkich biskupów katolickich z prośbą, aby się ze stanowiska swego na przedłożony im zarys oświadczyli i na wady i niadostaski jego zwrócili mu uwagę. Tak

wszechstronnie i starannie roztrząśnięte projekta przedkładano dopiero Izbowi i nie wymagano od nich, aby nad nimi szturmem obradowano i bez dostatecznego rozpoznania przedmiotu na oślep go przyjmowano. Takie przeto wyjątkowe, niesłychanie szalauputne postępowanie z prawodawstwem odnoszącem się do najważniejszej sprawy człowieka, do religii, było nietylko lekceważeniem rzeczy samej, ale nadto najoczywistszym dowodem, że intelektualnym sprawcom tego dzieła nie chodziło o dobro rzeczywiste, o prawdę, ale przeciwnie o jej przytłumienie, o niepostrzeżone przeprowadzenie swoich złych zamiarów starannie ukrywanych. Prawo bowiem dotyczące religii, sumienia obchodzi bezpośrednio każdego bez wyjątku, obchodzi żywiej aniżeli prawo handlowe, a nawet karne, które bezpośrednio dotyczy tylko pewnych klas społeczeństwa. Tymczasem dla ostatnich dano sobie czas przyzwoity do obrad, pierwsze zaś, największej i najpowszechniejszej doniosłości miało być i było ukradkiem i z nienacka przeprowadzone. Tu wymagała pośpiechu obawa, aby tymczasem prawda nie wypłynęła na wierzch.

Tym charakterystycznym okolicznościom, wśród których te prawa do Izby poselskiej wniesione zostały, odpowiada zupełnie przemówienie ministra spraw duchownych. Trudnem także było jego zadanie. Powiedzieć bowiem niby coś, co ma być do rzeczy, a w istocie jest od rzeczy, co ma być z powołania i urzędu prawdą, a w istocie ją tylko maskuje, wymaga talentu bezczelności i gwałcenia logiki. Zaczął tedy od dosłownego przytoczenia artykułów 16 i 18 konstytucyi, z którymi wniesione projekta w oczywistej znajdowały się sprzeczności. Wytykał i ganił „nieściskość i dwuznaczność“ w ich sformułowaniu, ale na czem właśnie ta „nieściskość i dwuznaczność“ zależy, w czem ją upatruje, o tem ani słowa — zaprzestał na samem twierdzeniu. Wskazuje dalej, że Prusy wstąpiły na drogę rzeczywistych stosunków (*concreter geworden*), że się nie powinny oglądać więcej na obce wzory, ale raczej na własne stosunki bacznie zwrócić oko, ale czem się w rzeczy samej stosunki pruskie różnią od stosunków innych krajów, co jest ich właściwością, o tem ani słowa. Potem mówi minister o wykonaniu wymienionych wyżej artykułów konstytucyi i oświadcza, że rozwinięta od dwudziestu lat na fun-

damencie tych artykułów praktyka nie odpowiada im podług jego zdania. Trzeba tedy koniecznie przenieść myśl swoją w przeszłość aż do przepisów prawa krajowego (Landrecht) czyli do stanu przedkonstytucyjnego. Lecz, ponieważ przepisy prawa krajowego nie są dość jasne i wystarczające dla administracyi (co tak rząd dotkliwie w sprawie Braunsbergskiej skompromitowało), przeto trzeba koniecznie nowe ustanowić prawa, podług których wymienione artykuły konstytucyi mają być wykonywane. Do tego ma rząd ważniejszy jeszcze powód i tu powiada dosłownie:

„Nie myślę powtarzać tego, co tu już tylkrotnie wypowiedziano, ale dziś nam głównie chodzi o odparcie *potężnych napaści*, które stoją na przeszkodzie swobodnemu rozwojowi państwa dążącemu do celów narodowych, które narażają na niebezpieczeństwo jego utrzymanie i pomyślność, a w swoich konsekwencyach całą Cesarstwa niemieckiego, któreśmy zaciętym bojem rozmaitego rodzaju i najdroższymi ofiarami zdobyli.“

Oto mamy ów bezwstydnny argument „napaści“ niebezpiecznej dla kraju i całego Cesarstwa, o którym wyżej obszerniej była mowa. Powtarza on się ciągle w całym przebiegu przesładowania. Słusznie na to Mallinekrodt ministrowi odpowiedział: „Sąż to argumenta czy frazy? Zaiste nic innego, jak czcze frazy, które mogę mojemu przyjacielowi Reichenspergerowi polecić do zbioru przezeń wydanego „Frazy i szumne słowa.“ Co jeszcze większego podziwienia jest godnem i w historii parlamentów niesłychanem, to jest lekceważenie konstytucyi kraju, jakie przy tej okoliczności objawił. Czuł, że wniesione przez niego projekta do praw w oczywistej znajdują się sprzeczności z niektórymi artykułami konstytucyi, o których mówił obszernie, a mimo to wspomniał o tym ważnym przedmiocie jak gdyby nawiasem tylko: „Czy Panowie uznacie potrzebę poprzedniej zmiany konstytucyi do przyjęcia przedłożonych projektów, Wam to pozostawiam.“ Czemże są wobec takiego rządu prawa konstytucyą zabezpieczone?

Na ryzyko nawet, że mogę znużyć czytelnika, muszę jednak umotywowanie tych projektów choćby w krótkich słowach scharakteryzować. Prawo bowiem każde wstępując w świat,

musi z sobą przynieść usprawiedliwienie swej exystencji, bez którego nie ma warunku bytu. Samo bowiem prawo nie jest sobie celem, ale tylko środkiem do osiągnięcia pewnych celów społeczeństwa. Jeśli je tedy rząd wydaje i wszystkich lub znaczną bardzo część obywateli jego przepisami wiąże, ma obowiązek przedewszystkiem wykazania niezbędnej potrzeby prawa i takiego właśnie prawa, jakie przedkłada. Udowodnienie zatem potrzeby istotnej prawa jest najpierwszym warunkiem jego bytu.

Prawo to „reguluje“ niby stosunek Kościoła do państwa w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, gdyż dalsze w tym kierunku prawa wydane w roku 1874, 1875 i przedłożone jeszcze w roku bieżącym o nadzorze nad majątkiem biskupstw katolickich, są tylko niezbędnymi następstwami tego pierwszego kroku. Aby zatem wszechstronnie rzecz ocenić, wypadłoby nam przy tej okoliczności przedstawić normalny stosunek Kościoła do państwa. Lecz ponieważ przedmiot ten trudny i obszerny przerwałby związek przedstawienia prawodawstwa w tej mierze przez Prusy wydanego, przeto odkładamy ten przedmiot aż na sam ostatek. Zobaczmy tym sposobem jak ten stosunek „uregulowały“ Prusy, a jak z idei swej uregulowanym być powinien

Wracając do umotywowania całego szeregu praw tego rodzaju, nadmieniamy przedewszystkiem, że w ogóle minister, Falk wypowiedział je w swoim przemówieniu w treści z tą tylko różnicą, że są od jego mowy obszerniejsze, a następnie więcej także zawierają fałszów i nieznajomości rzeczy kościelnych. Najpierwszym i najpopularniejszym argumentem, który przemawiał tak do nihilistów wszelkiego rodzaju, jak do prawowiernych protestantów, był dogmat nieomyślności. „Przyznajemy, mówią w tej mierze motywa, że praktyki, jakiej się rząd przeszło dwadzieścia lat w wykonywaniu i zastosowaniu przepisów konstytucyi względem Kościoła katolickiego trzymał, nie można pogodzić z zasadami, jakie obecny projekt do prawa przyjął za podstawę, Lecz należy tu zwrócić uwagę na tę okoliczność, że praktyka ta nie narażała wtenczas interesów państwa na niebezpieczeństwo, dopóki Kościół katolicki w państwie miał episkopat samodzielny. To postępowanie rządu byłoby całkiem niepodobnem, gdyby wówczas było można prze-

widzieć, że konstytucya Kościoła katolickiego, jak się to stało przez dekreta soboru Watykańskiego, z gruntu zmienioną, i cała władza rządów i prawodawstwa na głowę Kościoła, za nieomylną ogłoszoną i w Rzymie rezydującą, przelaną zostanie. Ta zmiana konstytucyi Kościoła katolickiego uprawnia i zobowiązuje niewątpliwie władzę świecką do uregulowania na nowo swego stanowiska względem Kościoła katolickiego i porzucenia praktyki administracyjnej, która początek swój zawdzięcza przypuszczeniom, których już dziś nie masz. W ogóle przecież nie można odmówić słuszności z wielu stron już poruszonej i roztrząsanej kwestyi, czy rzymsko-katolicki Kościół w obecnym organizmie i rozwoju może być jeszcze w zasadzie uważany, za ów Kościół katolicki, którego stosunki do państwa, a w szczególności ze względu na jego dotacyą, uporządkowane zostały.“ Oto mamy w streszczeniu powtórzone zasady wypowiedziane w owej pamiętnej depeszy z dnia 14 Maja 1872. Nad tym argumentem rozwódzić się nie potrzebujemy, co bowiem było potrzeba, jużśmy wyżej powiedzieli.

To jest argument, który ma usprawiedliwić niezbędną potrzebę zaprowadzenia tych praw! A wyznania protestanckie, które są także temi prawami objęte, czyż także dogmatem nieomylności grzeszyły? Na to odpowiadają motywa jednym zdaniem, że „co do kościoła ewangelickiego, nie masz wprawdzie żadnej praktycznej potrzeby do wydania nowych praw,“ ale mimo to mają być i do niego zastosowane, jak gdyby dla symetrii. Lecz nie dość na tej sprzeczności. Żydzi i inne wyznania religijne nie są temi prawami objęte, bo, jak się motywa wyrażają „zbywa w tej mierze na wszelkiej praktycznej potrzebie;“ Ten sam zatem argument dosłownie nawet wypowiedziany, który ewangelików poddał pod to prawo, żydów i inne sekty z pod niego uwolnił.

Takie powody wystarczały większości pseudoliberalnej do zniesienia stanu prawnego, konstytucyą określonego, w jakim się znajdował Kościół, a poddania go pod dozór policyi przedkonstytucyjnej. Wszystko, co żyje w kraju, uwalniano z pod tej grozy policyjnej w imie zasad wolności, a Kościół w imie tego samego hasła pod jej pałkę poddają. Dla tego motywa tak często mówią o „najwyższych prawach państwa,“ o „najwyższym nadzorze“ państwa nad Kościołem i t. p.

Po tem ogólnem uzasadnieniu potrzeby nowego prawodawstwa w tym kierunku, zapuszczają się motywa w szczególności. Najpierw ubolewają nad tem, że od czasu konstytucyi „rząd żadnej nie wywiera kontroli nad przygotowawczem kształceniem duchownych i Biskupi decydują sami o przygotowawczem kształceniu duchownych i urządzają examina, a w seminariach i konwiktach przeznaczonych dla chłopców, tudzież w seminariach duchownych, dla których profesorów i przełożonych bez udziału rządu mianują, posiadają zakłady, zapomocą których nie tylko umiejętne i teologiczne studia, ale nadto całe wychowanie i ukształcenie charakteru wzrastającego duchowieństwa w swoim mają rękę, bez najmniejszego ze strony państwa dozoru nad temi kościelnymi zakładami wychowawczemi i naukowemi..... W ostatnim czasie przybrały kościelne zakłady wychowawcze i naukowe obszerne rozmiary tak, iż obejmują wszystkie stopnie przygotowawczego wykształcenia, poczynsz od gimnazjalnego aż do objęcia urzędu duchownego. Znacznej przeto części duchowieństwa zamknięty został wstęp do zakładów narodowego wychowania. Dwunastoletni bowiem chłopiec wstępuje do seminarium puerorum, po przebyciu zaś sześciu lub ośmioletniego kursu przechodzi do seminarium klerykalnego, i nareszcie celem zakończenia swego wykształcenia do seminarium duchownego. Jakie niebezpieczeństwa mieści w sobie taki przebieg wychowania tak dla pojedynczych indywiduów, jak dla ogółu, tego niepotrzeba dowodzić. Rząd zatem, któremu wykształcenie młodzieży narodu powierzono, nie może ścierpieć, aby naukowe zakłady kościelne kosztem publicznych się rozpościerały, ale musi wymagać, aby i ci młodzieńcy, którzy się zamyślają stanowi duchownemu poświęcić, wykształcenie swoje w narodowych zakładach pobierali, i w takim tylko razie może uznać, że instytutu naukowe czy to przez prywatne osoby czy przez Kościół założone zdolne są zastąpić rządowe, jeśli tych samych warunków, pod jakimi rządowe zakłady istnieją, dopełnią.“ Szczególne niebezpieczeństwo znajdują motywa w konwiktach i seminariach przeznaczonych dla chłopców. „Chłopców w wieku, w którym jeszcze nie są zdolni do zrobienia wyboru i zrozumienia przyszłości swojego zawodu, oddać na naukę do stanu duchownego i wziąć ich pod rygor zupełnie klasztorny, odłączyć ich całkiem od pożycia z mło-

dzieją narodu i wzniecić przynajmniej tę obawę, że tym sposobem wszelkie swobodne i samodzielne rozwijanie się chłopców w samym zarodzie stłumionem zostanie, te są zjawiska, na które rząd jak najstroskliwszą uwagę zwrócić był obowiązany.“ Tak się oświadczały motywa przy §. 14, a minister Falk podobnie się w swoim wyżej scharakteryzowanem przemówieniu o tym przedmiocie odezwał.

O prawie, jakie biskupi mają do wychowania swego duchowieństwa, będzie później mowa. Tu się tylko ograniczamy na wykazaniu najoczywistszego kłamstwa, jakiego się rząd w dokumencie urzędowym, sejmowi kraju przedłożonym śmie dopuścić, aby nieświadomych uwieść i za pomocą przytłumienia prawdy gwałt swój przeprowadzić. Niepodobna bowiem przypuścić, aby minister oświaty instytucyj naukowych swego kraju nie znał i w dokumencie publicznym tak je przewrotnie światu przedstawił, jak to czynią motywa przezeń podpisane i jego własne słowa.

Kto uwierzył słowom ministra, jakież sobie musiał zrobić obraz o wychowaniu religijnem tych instytucyj? Cóż to za nieszczęśliwe grono dzieci zamkniętych w klasztornych murach nakształt więzienia, męczonych i dręczonych umartwieńciami ciała rozmaitego rodzaju, których nawet zrozumieć i ocenić nie są w stanie! Wszelka swoboda i wesołość dzieciennego wieku stłumione, ich miejsce zajmuje pośępnosć celki klasztornej odgraniczającej je od wszelkich przyjemności świata i przyrodzenia. Zamiast zdrowej nauki karmią ich unysł czerzym i próżnym formalizmem, który samodzielność myśli i woli zabija. — Zaiste opis taki należy raczej do romansów grozą klasztorного życia przepełnionych, ale nie do pisma urzędowego przedłożonego Izbowi sejmowemu. Cel, który minister, a przez niego rząd, chciał osiągnąć, jest oczywisty. Umysły tych wszystkich, którym rzecz całkiem nieznaną, a których w Izbach, pałacach i chatach liczba największa, przeciw Kościołowi katolickiemu uprzedzić, instytucye jego podać w nienawiść i tym sposobem kroki rządu choćby najniesłuszniejsze usprawiedliwić. Cel ten po największej części osiągnięty został i to tem łatwiej, że słowa te wypowiedziane były do publiczności, która o Kościele katolickim i jego instytucjach wyobrażenia nie ma, a od dzieciństwa uprzedzeniami i fałszy-

wemi wyobrażeniami o katolicyzmie karmiona, chętnie wszystkiemu, co na niekorzyść jego powiedziano, wierzyła.

Pomijając wychowanie duchownych w ogóle, o czem może później będzie jeszcze mowa; zwróćmy tylko uwagę na seminaria i konwikta dla chłopców, tudzież na seminaria duchowne, które motywa nie wiedzieć, z jakiego powodu rozróżniają od klerykalnych, gdyż w rzeczy samej są one tą samą instytucją.

Seminaria puerorum w ścisłym znaczeniu tego wyrazu są w Prusach szkoły gimnazyalne z tą tylko różnicą, że uczniowie do nich przyjęci znajdują w konwikcie czyli pensyonacie za bardzo niską opłatę utrzymanie zupełne i dozór przez osoby duchowne wykonywany. Nauczyciele dający w nich naukę musieli tak samo, jak nauczyciele gimnazjalni, egzamina filologiczne i pedagogiczne poskładać, inaczej istniejące w tej mierze prawodawstwo pruskie wcaleby ich do udzielania nauk nie przepuściło. Plan nauk potwierdzony przez rząd, egzamina pod jego dozorem. nie masz przeto pod względem wymagań prawnych żadnej różnicy pomiędzy gimnazjami publicznymi funduszami utrzymywanymi, a temi zakładami, którym pobożność i dobroczynność osób prywatnych egzystencją nadała. Zresztą w całych Prusach egzystowały dwa tylko gimnazya, w Pelplinie, dyecezyi Chełmińskiej aż do Sekundy i w Gaesdonck, dyecezyi Monasterskiej.

Konwikta zaś, które są integralną częścią seminariów dla chłopców, są to po prostu pensyonaty przez pobożnych dobroczyńców dla ubogich dzieci założone, w których za niską bardzo opłatą mają utrzymanie, a nadewszystko troskliwy dozór przez duchownych prowadzony, i o ile podobna, bezpieczeństwo od powszechnego zepsucia obyczajów. O tych głównie tu mowa, gdyż tak nazwane seminaria dla chłopców czyli gimnazya połączone z pensyonatami, były, jakeśmy już nadmienili, tylko dwa. Alumni tych konwiktów uczęszczali razem z wszystkimi innymi uczniami do publicznych gimnazyów rządowych. Nie różnili się przeto niczem od tych uczniów, którzy mieszkają po prywatnych domach i pensjach. Że dom, w którym mieszka kilkunastu lub kilkudziesięciu chłopców w celu pobierania nauk, musi zostawać pod pewnem prawidłem, pewnym porządkiem, że w nim musi być czas przepi-

sany do nauki, odpoczynku, zabawy i t. d. któż z rozsądnych byłby w stanie tego zaprzeczyć? Ale godziż się wewnętrzny porządek takiego zakładu nazwać „karnością zakonną?“ Godziż się wbrew oczywistej prawdzie twierdzić, że „są wykluczeni od pożycia z młodzieżą reszty narodu“ kiedy na jednej ławie z niemi w klasie siedzą i cały dzień nieomal przestają? Kadeci, sieroty pozostałe po wojskowych, które rząd umieszcza w domach militarnych i od dziecka krzesze na żołnierza, ci są bez porównania w wyższym stopniu wykluczeni „od pożycia z młodzieżą narodu“ i resztą świata, aniżeli alumni konwiktów, a nawet uczniowie małych seminaryów, a jednak rząd zakłady te nie tylko cierpi, ale nadto publicznemi funduszami skarbu utrzymuje.

Również płonną i fałszywą jest obawa, jakoby dzieci „w wieku, w którym jeszcze nie zdołają rozpoznać i ocenić swego przyszłego zawodu,“ kształcono już „na duchownych.“ Czyż nauki, które pobierają dzieci od 12go roku w rachunkach, gramatyce, jeografii, a później w matematyce, historii i t. d. są umiejętnością fachową, która wykształca teologów, duchownych? Przecież to są nauki przygotowawcze do wszystkich zawodów, do wszystkich wydziałów. Niedorzecznem przeto jest oczywiście tendencyjne twierdzenie, jakoby dzieciom oddanym do mniejszych seminaryów lub konwiktów zadawał się jakikolwiek gwałt pod względem wolnego wyboru ich stanu. W tych instytucjach bowiem nie uczą się niczego innego, a nawet nie mogą się niczego innego uczyć, jak wszystkie inne dzieci w gimnazyach rządowych, bo plan nauk i egzamina zostają pod dozorem tego samego rządu. W tej mierze bez porównania ścieśniają wolność osobistą więcej wszystkie instytucja wychowawcze rządowe. Kto bowiem jako dziecko z ich dobrodziejstwa korzystał, musi się zobowiązać pewną liczbą lat służby odpłacić je rządowi. Inaczej w tym punkcie ma się rzecz z zakładami kościelnymi, o których właśnie mowa. Zostały one wprawdzie przeważnie w tej myśli założone, aby przygotować nie tylko pod względem naukowym, ale osobiwie moralnym młodzież odpowiadającą wymaganiom stanu duchownego. Ale nie byli do tego zobowiązani, a tem mniej przymuszeni. W W. X. Poznańskim był tylko jeden podobny instytut pod dyrekcją X. Prałata Koźmiana, w którym ducho-

wni nad młodzieżą prowadzili dozór. Czyż komu przez myśl przeszło mniemać, że alumni tego zakładu są zmuszani, a przynajmniej zobowiązywani do poświęcenia się stanowi duchownemu? Młodzież w tym zakładzie wychowywana i najrozmaitszym zawodom dziś oddana zdumieje na wiadomość w urzędowym dokumencie podaną, że była zmuszaną do wstąpienia do stanu duchownego. Trudno uwierzyć, aby władze najwyższe kraju zdolne były do tego stopnia przekreślać najoczywistszą prawdę.

Zakłady tego rodzaju wywołała gwałtowna potrzeba Kościoła. Od dawnego bowiem czasu opanował szkoły gimnazyalne duch niereligijny, a nawet antireligijny. W przeszłym roku np. jeden z nauczycieli gimnazyalnych w Friedeburgu Rohleder wzbraniał się podobnie, jak kilku świadków w owym sławnym procesie w Rzymie przeciw deputowanemu Sonzogna, złożyć przysięgę z powodu, że w Boga nie wierzy i w ogóle wiarę tę za zabobon uważa. Jakże tedy szkoły po znacznej części pod przewodnictwem takich zostające nauczycieli mogły przygotowywać pożądaných dla Kościoła kandydatów do stanu duchownego? W takich szkołach utracali uczniowie ten skarb wiary i religii, jaki z domu rodzicielskiego wynieśli z sobą. Prócz tego szkół wyższych dla ludności katolickiej zawsze było za mało. Tak przeto biskupi i duchowieństwo, jak niemniej rodzice, którzy religią za najpewniejszy zadatek przyszłego szczęścia dzieci swoich uważali, pragnęli młodzieży katolickiej dać sposobność kształcenia się i zachowania jej od tej coraz powszechniejszej zarazy niewiary. Zamożniejsi wysyłali z tego powodu dzieci swoje za granicę i oddawali je po największej części do zakładów OO. Jezuitów, chociaż czuli, że wychowanie zagraniczne ma także wielkie niedogodności dla tych, którzy mają obowiązek żyć potem w kraju. Te okoliczności, a mianowicie brak absolutny innych szkół gimnazyalnych, a następnie w razie potrzeby kształcenia dzieci swoich, przymus pośredni oddawania ich do szkół rządowych, wywołały tego rodzaju zakłady, aby dobrem wychowaniem, jakie dawały młodzieży, paraliżować poniekąd szkodliwy wpływ gimnazyalnego kształcenia. Zapisy biskupów, duchownych na ten cel przekazane i składki katolików zbudowały te konwikta w diecezji Chełmińskiej i Monasterskiej, Padebornskiej, Hildeshejmskiej

Wrocławskiej — rząd nie dał nic ani na ich założenie ani na ich utrzymanie. Potrzeba ta dla katolików tem była gwałtowniejszą, że gimnazyów katolickich w proporcji do ludności o wiele było za mało tak, że katolicy chcąc dzieci swoje do zawodów wymagających wyższego wykształcenia przysposobić, zmuszeni byli oddawać je do gimnazyów czysto protestanckich. Za dowód w tym względzie niech jeden tylko posłuży przykład. W W. X. Poznańskim było przez długi czas aż do założenia gimnazjum Trzemeszeńskiego dziś już zniesionego, a później Ostrowskiego, jedno tylko gimnazjum dla katolików, a po zniesieniu Trzemeszeńskiego dwa, dla miliona ludności, gdy tymczasem dla połowy tej liczby protestantów były cztery prócz szkół realnych, które lubo się nazywają wspólnymi, są jednak rzeczywiście protestanckimi. Dziś w ogóle więcej jest gimnazyów, ale zawsze z tym samym charakterem t. j. pozornie wspólnym, a w rzeczy samej protestanckim. W takim opuszczeniu ratowali się katolicy sami zakładaniem z własnych funduszków konwiktów. To jest ich zbrodnią tak drastycznie scharakteryzowaną przez ministra oświecenia,

Dziwna rzecz, że minister ani motywa nie wspominały o alumnatach duchownych przy gimnazjum Ś. M. Magdaleny w Poznaniu i w Trzemesznie. Te bowiem zostawały pod dozorem rządu i były resztkami zabranych funduszków kościelnych utrzymywane. Do nich przyjmował przez pośrednictwo grona nauczycielskiego rząd sam uczniów gimnazyalnych od czwartej dopiero klasy.

Seminarya duchowne czyli klerykalne są to instytuta teologiczne zastępujące w dyecezyach, które nie mają uniwersytetu, a następnie wydziału teologicznego katolickiego, tenże wydział i po części filozoficzny. Przed konstytucją mogli tylko ci być profesorami przy seminaryach, których rząd potwierdził. Od roku zaś 1850 nominował ich biskup sam. Młodzieniec zatem, który skończył szkoły gimnazyalne i złożył popis dojrzałości, i miał powołanie do stanu duchownego, mógł się zgłosić w dyecezyach, które nie miały uniwersytetu, o przyjęcie do seminarium, a gdzie był uniwersytet, do fakultetu teologicznego celem słuchania nauk teologicznych. Całe przeto wykształcenie przygotowawcze, jakie wspólnie z wszystkimi innymi uczniami odbierał w szkołach gimnazyalnych, czy był

w konwikcie lub domu prywatnym, było pod dozorem rządu. Stopień zatem wykształcenia ogólnego, jakiego rząd wymaga od wszystkich innych uczniów, którzy się do rozmaitych świeckich zawodów przysposabiają, musiał osiągnąć każdy kandydat teologii katolickiej. Całe przeto prawo o „przygotowawczem kształceniu duchownych“ (Vorbildung der Geistlichen) spoczywa na tym samym fałszu, co motywa, które wbrew rzeczywistej prawdzie utrzymują, że „rząd nad kształceniem duchownych katolickich żadnej nie wykonywa kontroli.“ Wtenczas dopiero, kiedy młodzieniec skończywszy kurs nauk gimnazjalnych, wstąpił do seminarium duchownego i zaczął słuchać nauk teologicznych, kończyła się nad jego wychowaniem kontrola rządu, a w jej miejsce wstępowała kontrola właściwego biskupa; i to tylko w tych dyecezyach, które nie mają uniwersytetu, albowiem w tych, w których uniwersytet jest, zostawał jeszcze pod kontrolą rządu. Lecz nauk teologicznych nie można nazwać przygotowawczemi, bo się zajmują specjalnym wydziałem nauk. Są wprawdzie przygotowawczemi ze względu na powołanie kapłańskie, bo niepodobna zostać kapłanem bez nabycia tych wiadomości, które do sprawowania urzędu kapłańskiego należą, ale nie są niemi ze względu na przedmiot, którym się zajmują. Znośnem jest, chociaż niepotrzebnem, że rząd chce się przekonać o stopniu ogólnego wykształcenia tych, którzy z wykładów uniwersyteckich chcą korzystać; słusznem i sprawiedliwem jest, że rząd domaga się kontroli nietylko nad ogólnem, ale nawet specjalnem wykształceniem tych, którym ma kiedyś urzędy swoje w sądownictwie, administracyi i t. d. powierzyć, ale cóż rządowi protestanckiemu do teologii katolickiej, do wychowania duchownych katolickich? Jakiż może mieć interes rzeczywisty rząd w sprawie, która jego zadania nie dotyczy wcale? Czemuż tak samo nie kontroluje wykształcenia i wychowania rabinów żydowskich i egzaminów od nich nie żąda? W tym jednym tylko punkcie powiedział minister prawdę, że nad seminarjami duchownemi nie wykonywał rząd od wyjścia konstytucyi t. j. od r. 1850 swej kontroli. Rozciągnięcie zaś tego twierdzenia na wymienione wyżej instytutu i na przygotowawcze kształcenie duchownych jest fałszem tendencyjnym.

Prócz instytutów kościelnych, o których już była mowa, są jeszcze w Bonn, Padebornie, Monasterze, Osnabriku i Wrocławiu tak nazwane konwiktorya, które minister z zakładami już wyżej wymienionemi pomieszał, do jednej kategorii wtrącił, aby wielką liczbą tego rodzaju instytutów ciemności wyobrażnią uprzedzonych protestantów tem bardziej przerazić. Są to po prosu pensjonaty po największej części funduszami biskupów założone dla studentów teologii. Głównym celem tych konwiktoryów jest, zachować młodzież gotującą się do stanu duchownego od zboczeń moralnych, którym ten właśnie wiek zwykł ulegać. Drugim celem jest dać uboższym uczniom teologii sposobność do ukończenia swych nauk jak najtańszym kosztem. Komu znane jest prowadzenie się studentów po uniwersytetach niemieckich w ogóle, a mianowicie prostactwo uczniów teologicznych wydziałów protestanckich, ten będzie umiał cenić troskliwość biskupów katolickich, którzy nie szczędzili swoich skromnych dochodów, aby przyszłych kapłanów od takich niebezpieczeństw zachować. Ci studenci teologii, którzy w tych konwiktoryach znajdują tanie nader utrzymanie, od wszelkich pokus bezpieczeństwo i pewną pomoc w nauce, słuchają przecież teologii pod dozorem rządu wykładanej na uniwersytecie, dla czegoż je mieszać z seminaryami duchownemi, które nie zostają pod dozorem rządu? Co więcej, jakież rozumny i słuszny powód do zakazywania a następnie zamykania tych zakładów, jak to już nastąpiło? Czyż rząd chce koniecznie tego, aby młodzież w najniebezpieczniejszym dla niej wieku samopas chodziła i puszczała wodze wszelkim swoim skłonnościom i namiętnościom? Czemuż nawet tych, którzy się dobrowolnie pod ten dozór poddają, gwałtem z pod niego wyłamuje? Czemuż uczniom innych wydziałów nie daje rząd przepisów, gdzie mają mieszkać, jak się stołować i t. p. a o jednych teologów katolickich się troszczy i nie dozwala im wspólnego prowadzić życia pod pewnym dozorem? Wstępu do podejrzanych i najgorszych domów nie zabrania prawo studentom, jednym tylko teologem katolickim nie wolno pod duchownym pozostawać dozorem. Jest to prawdziwie gwałt wymierzony nietylko przeciw wolności osobistej, ale nawet przeciw nietykalności mieszkania. Oczywistym celem tego zakazu jest zwichnięcie powołania, uchylanie od wszelkiego wpływu Ko-

ścioła tej właśnie młodzieży, która się na usługi Kościoła poświęca — duch jej kościelny, duch wiary i religii ma z niej w czasie pobytu na uniwersytecie wywietrzeć, aby się Kościół nie mógł w duchu swoim więcej odmładzać i albo został zatruty albo na wymarcie powolnie skazany. Ten istotny cel musiał być owym płaszczykiem fałszu i frazeologii „o karności klasztornej“ o „przytłumianiu wszelkiego ducha samodzielności“ o „wykluczaniu od pożycia z resztą młodzieży narodu“ przyodziany, aby prawdę przytłumić i najokropniejszą krzywdę Kościołowi, rodzicom i ubogiej młodzieży katolickiej wyrządzić. Dziś stoją te gmachy, w których kwitnęły nauka i moralność młodzieży, pustkami.

Niepodobna zapuszczać się tu w dalsze jeszcze tego przedmiotu szczegóły i przedstawić wewnętrzne urządzenia niektórych tego rodzaju zakładów. Niechaj tu dwa szczegóły zastąpią wszystko inne. Z pomiędzy uczniów gimnazjalnych, którzy żyli w konwiktach duchownych, jeden tylko na 100 w przecięciu padał w egzaminie dojrzałości, gdy tymczasem z pomiędzy wszystkich innych dziesięciu na 100. Zwyczajne roczne świadectwa gimnazjalne dzielą się na 4 klasy. Numer 1 jest najlepszy. Z pomiędzy konwiktorystów dostawał w przecięciu na 4 uczniów jeden świadectwo z numerem 1, gdy tymczasem z reszty gimnazjalistów z pomiędzy 10 jeden. Z numerem 2 odbierało świadectwo na 3 konwiktorystów 2, a z reszty gimnazjalistów tylko jeden. W ogóle wszyscy dyrektorowie gimnazjalni oddawali jawnie w swoich sprawozdaniach sprawiedliwość tym zakładom tak pod względem postępów w naukach jak prowadzenia się tych uczniów. Ani minister oświecenia ani motywa nie wspomniały ani słówkiem o pomyślnych wypadkach „tej klasztornej karności,“ i tego „przytłumienia ducha samodzielności,“ chociaż materyał, jaki rząd miał pod ręką, ciekawe powinien zawierać szczegóły. Lecz właśnie prawda najniebezpieczniejszym była dla nich wrogiem, dla tego trzeba ją było troskliwie omijać, gdzie jej nie można było przytłumić.

Podobnemi ogólnikami czczemi i pustemi uzasadniają motywa przedmiot odnoszący się do obsadzania urzędów kościelnych. Po krótkiej wzmiance, że w obecnem położeniu rząd w rozdzielaniu posad duchownych żadnego innego nie ma

udziału, jak tylko w przypadkach, w których ma tytuł prawny, powiadają: „Poteżny wpływ, jaki duchowni w charakterze nauczycieli i przewodników parafii wywierają, a który i wtenczas jeszcze nie zostanie zmniejszony, gdy im funkcje rządowe, jakie dotąd sprawują, odjęte zostaną, spoczywa w znacznej części na uprzywilejowanym stanowisku, jakie państwo duchownym urzędom w życiu publicznem przyznało, a które znacznie się przyczynia do wzmocnienia znaczenia powagi duchowieństwa. Ma przeto państwo nietylko prawo, ale i obowiązek domagania się pewnych gwarancyj, aby na te posady, które takimi przywilejami (!) otoczył, nie powoływano ludzi, którzy własne jego życie niebezpieczeństwem zagrażają. W tej mierze środki repressyjne nie wystarczają, gdyż działanie duchownych w pasterzowaniu i konfesyionale uchyla się od wszelkiej kontroli. Z tego powodu musi rząd prewencyjnych użyć środków, aby do stanu duchownego nie przypuszczać ludzi, po których mógłby się obawiać, że jego zadaniom i celom na przeszkodzie stać będą.“

„Sąż to argumenta czy frazy“ można tu znowu z posłem Mallinckrodtm zawołać? Przytoczył że minister aby jeden faktyczny dowód, któryby tego rodzaju podejrzania i obawy jakośkolwiek tłumaczył i tak okropne środki prewencyjne ze strony rządu usprawiedliwiał? Czyż rząd odkrył jakie niebezpieczne spiski pomiędzy duchownymi, któreby byt państwa zagrażały? Czyż duchowieństwo ogłaszało z ambon rokosz przeciw zwierzchności świeckiej i systematycznie do buntów zagrzewało poddanych? Czyż rząd wszedł na jaki trop popełnianych przez duchowieństwo zbrodni w ich urzędzie pasterskim i w konfesyionale? A jeśli tak jest, czemuż je tań przed reprezentacją kraju, czemuż tych groźnych i niebezpiecznych faktów nie wyjawił i swoich twierdzeń dowodami nie poparł? W braku dowodów musiał się uciec do kalumnii i na gołych twierdzeniach wobec wrogiej Kościołowi i w tym kierunku łatwowernej większości Izby zaprzestać.

Co zaś motywa mówią o urojonem „uprzywilejowaniem stanowisku duchowieństwa,“ któż jest w stanie zrozumieć, komu znane prawodawstwo pruskie pod tym względem? Biskupstwa, kapituły, probostwa w dobrach poklasztornych obdarte mimo zobowiązań traktatowych i przyrzeczeń królewskich z dóbr

i majątków, jakie z sobą pod panowanie pruskie wniosły, na rzecz skarbu pruskiego i okruchami tych dóbr niby z łaski najjaśniejszego pana wyposażone, a duchowni wraz z innymi poddanymi pod przepisy powszechnego prawa krajowego podciągnięci, jakich mieli używać przywilejów, tego prócz skrybenta tych motywów nikt z rozsądnych ludzi nie zrozumie. O protestanckich duchownych słuszniejby to można powiedzieć, bo ci używali i używają prerogatyw przysługujących urzędnikom państwa. Jeśli zaś duchowni utrzymywali bezpłatnie księgi urodzonych, zmarłych i zaślubionych, a rząd z nich korzystał, możnaż to nazwać przywilejem? Rząd posługiwał się pracą duchownych na korzyść skarbu, wyzyskiwał przeto pracę duchownych, ale im przez to przywileju żadnego nie przyznał. Znaczenia i powagi nie dał duchowieństwu rząd, ale ten, który powiedział: *Idąc tedy nauczajcie wszystkie narody.*“ Dziś nie tylko rząd odebrał duchowieństwu swoje mniemane „przywileje“ i urzędy, ale nadto wysilił się na wszelkie środki i sposoby, na jakie tylko fizyczna potęga połączona z nienawiścią i chytrością zdobyć się może, aby je fantowaniami, pozwami przed sądy, więzieniami i wygnaniami jednym słowem wobec ludu poniżyć, urok wszelkiej powagi z niego zedrzeć, a dokażać swego? Pozbawiłże je znaczenia i powagi, w jakie je uzbroidł Zbawiciel świata? Czego rząd sam nie ma, tem i innych obdarzyć nie jest w stanie. Ale przez deptanie powagi duchownej swoją własną podkopuje; ztąd słusznie poseł Windhorst powiedział, że Kościół chętnie rząd pruski skwituje z wszystkich jego mniemanych dobrodziejstw i przywilejów, byle go tylko zostawił w pokoju. Chociaż zupełny rozdział pomiędzy Kościołem a rządem, na kształt amerykańskiego, nie jest normalnym stanem narodów i państw chrześcijańskich, przenosi go jednak nad ucisk i gwałt, którego się rząd pod pozorem jakichś przywilejów dopuszcza.

To, cośmy powiedzieli, wystarczy do charakterystyki pobudek, z jakich, i ducha, w jakim rząd te projekta do praw Izbow przedłożył. Jak od samych zawiązków prześladowania, tak w wszystkich ważniejszych ustępach jego przebiegu przebija się duch kłamstwa i użycie najgorszych środków do przytłumienia prawdy, choćby tylko na chwilę.

Takim samym duchem tchną motywa uzasadniające prawo „o kościelnej władzy dyscyplinarnej i ustanowieniu królewskiego trybunału dla spraw kościelnych.“ Aby czytelnika nie nużyć przytaczaniem tych samych fałszów i czczych frazesów, którymi motywa te są zapełnione, nie myślimy ich szczegółowo roztrząsać; wyjmujemy z nich jeden tylko krótki, ale główny ustęp na stwierdzenie tego, cośmy dopiero powiedzieli. „Potrzebę tego prawa, mówią motywa, wywołały powody utrzymania bezpieczeństwa prawnego, a zwłaszcza na widok wypadków, jakie w ostatnich latach zaszły w Kościele katolickim. Przedewszystkiem potrzeba była przywrócenia stanu rzeczy, któryby obok zachowania prawa kościelnego postawił rząd w możności dopełnienia powinności najwyższego swego nadzoru... Ta limitacja trzyma się granic potrzeby. Krok ten usprawiedliwia ta jedna uwaga, że osobliwa opieka i uprzywilejowane stanowisko, jakiego te dwa stowarzyszenia religijne (Kościół katolicki i ewangelicki), jako korporacje uprzywilejowane przed wszystkimi innemi od państwa doznają, wymagają także podwojonego dozoru czyli zabezpieczenia przeciw nadużyciom.“ Oto mamy znowu w odmiennych zwrotach dosłownie te same argumenta, co w motywach do pierwszego prawa, te same czcze frazesy bez pokuszenia się nawet o uzasadnienie ich faktycznemi dowodami. Jeden tylko znajdujemy tu frazes więcej o „osobliwszej opiece“ rządu nad Kościołem. Lecz na czem „ta osobliwsza opieka“ zależy, w czym się okazuje, o tem ani słowa. Katolicy już mieli dowody tej „osobliwszej opieki“ rządu nad Kościołem w kasacyi wydziału katolickiego w ministerstwie spraw duchownych, w obronie apostaty Braunsbergskiego Wollmanna, w ograniczeniu wolności ambony, w wypędzeniu duchowieństwa ze szkółek elementarnych, w wydaleniu z kraju Jezuitów i spokrewnionych z nimi kongregacyj. Zaiste, to jest „osobliwsza opieka.“

Mimo oczywistej nieprawdy i fałszów, na których się całe uzasadnienie praw tych opierało, mimo niedołęstwa w ocenianiu spraw kościelnych, jakim się w rażący sposób odznaczają te motywa, dla pseudoliberalnej jednak większości Izby, która w swoich zasadach i dalszych zamiarach niczego tak nie pragnęła gorąco, jak osłabienia i powolnego prawnym pozorem osłoniętego zniszczenia Kościoła, było to uzasadnienie

wystarczającym, co więcej, pożądaną nader zręcznością do urzęczywstnienia ich ulubionych i wypieszczonych od młodości zasad i idei. Radość była tem żywsza i większa, że rząd temi projektami przewyższył nawet ich oczekiwania. Aby się przyczynić do zniszczenia, a przynajmniej gruntownego podkopania wiary w nadprzyrodzone objawienie boskie, wszelkie środki były dla nich godziwe; dla osiągnięcia tego celu wyrzekli i wyparli się głoszonych dotąd przez siebie zasad wolności i równości wobec prawa, które dla uwiedzenia mas ludu na swej chorągwi wywieszali. Temi projektami godzącemi w samo serce Kościoła kupił ich sobie rząd z duszą i ciałem. Dla dokuczenia Kościołowi zaprzędali się sami w niewolę i ohydźli system reprezentacyjny, zamieniając go na podłe narzędzie najokrutniejszej tyranii, jaka w niektórych epokach ludzkość trapiła. Aby im zdobycz ta nie uszła, aby kraj nie miał czasu zreflektować się nad złem, które mu gotują, korzystali skwapliwie z skazówki rządu i z szalapatną szybkością, o ile tylko ramy regulaminu dozwalały, do obrad nad temi prawami przystąpili. Rząd dwie pieczenie przy tym jednym ogniu namiętności upiekł. Za tę radość, jaką im sprawił przez rzucenie im na pastwę Kościoła katolickiego, żądał sowitej zapłaty w podwyższeniu budżetu militarnego. Zaciągnięty dług wdzięczności zmusił ich do wypłaty. Kraj zaś utracił wolność sumienia, za którą Chrześcijanie przez trzy przeszło wieki krew przelewali, i kajdany te złotem okupować musi.

W takim duchu przystąpiono do obrad nad prawami, które jednej trzeciej ludności serca zakrwawiły i rzuciły ją na pastwę prześladowania dotychczas jeszcze niekrwawego, ale w istocie niemniej okrutnego i dotkliwego, jak były prześladowania pogańskich cesarzów Rzymskich. Trafnie nader poseł Windhorst w tej mierze powiedział: „Jak w czasie prześladowań pierwszych wieków, kiedy lud przeciw niemiłym rozporządzeniom cesarskim zaczął szemrać, odnawiano co dopiero uciśnione prześladowanie i dla przejednania malkontentów rzucano niekiedy kilka ofiar chrześcijańskich dzikim bestyom na rozszarpanie, tak i dziś, ilekroć razy ma rząd na myśli wnieść przedmiot niemiły, jak podwyższenie wydatków na armię, tylekroć uśmierza szemranie pseudoliberalów ciosem zadany m katolikom.“

Pierwsze obrady nad trzema prawami wielkiej objętości i niezmierzonej doniosłości trwał tylko trzy dni t. j. 16, 17 i 21 Stycznia. W dyskusyi tej brali udział ze strony większości czyli za temi prawami: Bennigsen, Limburg-Stirum, Bethusy-Huc, minister Falk, Virchow, minister Roon, Wedell-Vehlingsdorf i Lasker. Windhorst (Dortmund) i Jung. Wszyscy ci mówcy powtarzali argumenta częścią te, któreśmy już wyżej jako oczywisty pozór do prześladowania przytoczyli, jako to: nieomylność Papieża, napaść ze strony hierarchii kościelnej, Syllabus, nieprzyjazne usposobienie katolików, a mianowicie papieża dla cesarstwa niemieckiego i t. p. częścią fałsze i potwarze, jakimi motywa obrzuciły naukowe zakłady katolickie. Limburg-Stirum, były sekretarz pruskiej ambasady przy Stolicy Apostolskiej, i minister Roon uzasadniają potrzebę tego prawodawstwa zachowaniem się biskupów pruskich na soborze Watykańskim, a mianowicie tą okolicznością, że poszli do Rzymu, jako Niemcy, a powrócili jako Rzymczyki, bo się poddali dogmatowi nieomylności. W takim przeto episkopacie nie ma rząd żadnego zadatku bezpieczeństwa, gdyż są przedewszystkiem rzymskimi, a potem dopiero w drugiej linii niemieckimi. Przemówienie Virchowa charakteryzuje wydatnie cyniczne usposobienie tego stronnictwa! Przyznaje wprawdzie, że prawa te dają ministrowi spraw duchownych niesłychaną władzę, której dowolność niczem prawie nie jest ograniczona, niebezpieczeństwo przeto dla wolności jest wielkie. Ale ponieważ obecnie nie masz obawy, aby ministerstwo spraw duchownych mogło się kiedy dostać w ręce ludzi, z jakich się składa frakcyja centra, a następnie dowolność ta tylko Kościół katolicki dotykać będzie, przeto oświadcza się za temi prawami. Gdy na obelgi i potwarze, jakie rzucał na konwikta, seminarya i inne instytuta kościelne, domagano się natarczywie dowodów, nie wstydził się oświadczyć, „że z pruskich seminaryów nie jest właśnie w stanie przytoczyć przykładów, gdyż nie przygotował się na to.“

Przeciw tym prawom powstałi członkowie frakcyi centra. Przemawiali w tych obradach: August Reichensperger, dwa razy, Duncker, jedyny z postępowców, Windhorst (Meppen), Holtz, Bruel, Mallinckrodt. Po mowie zaraz pierwszej Reichenspergera oświadczył minister, w zupełnej pewności chwilowego

zwycięstwa, że mowy te nie katolikom nie pomogą, żeby się daremnie nie wysilali. Podobne głosy poufne odzywały się z wszystkich frakcyj tak nazwanych liberalnych. Na to odpowiedział im Windhorst, że wprawdzie nie przypuszcza, aby Izba całkiem obojętną być miała na argumenta i dowody, jakie przeciw prawom tym przytoczone być mogą, ale, powiada dalej: „gdybym się w tej mierze miał mylić, pozostaniemy jednak na tym posterunku i z tego posterunku podnosić będziemy głos do kraju, aby wiedział, co się tu dzieje. Trybuna tej Izby jest jeszcze jedynym punktem, na którym mowa nasza nie jest ograniczona.“ Siła prawdy, potęga wiary i przekonania, że najlepszej pod słońcem służą sprawie, otaczały te co do liczby małą, co do męstwa, odwagi i zdolności potężną garstkę ludzi, dziwnym urokiem w tej ze wszech miar nierównej a olbrzymiej walce. Talenta podłące się w obronie kłamstwa malały i bladły wobec wymowy tryskającej promieniami najoczywistszej prawdy. Im widoczniejsza była przemoc, która ich przygniatała w każdej bitwie z tak przeważnemi siłami stoczonej, tem wydatniejsze było zwycięstwo moralne, z jakim plac boju opuszczali. Toczyć taki zacięty bój z kłamstwem popartem całą potęgą żelaza i złota, oraz całą siłą umiejętności i popularności, toczyć go przez kilka lat bez widoku zwycięstwa, gdyż wszelkie ludzkie rachuby nie ukazywały najmniejszego promyka nadziei, jest niewątpliwie dowodem silnej wiary i wielkiego zaufania w Boga i dobrej sprawie. Zasluga tych mężów jeszcze nie jest dostatecznie oceniona. Przez nich dowiedziała się dopiero publiczność katolicka o zamachach na najwyższe i najdroższe ich dobra godzonych, przez nich przebudzeni zostali katolicy szczególnie niemieckiego pochodzenia nie tyle z letargu, ile raczej z ślepego zaufania do sprawiedliwości rządu pruskiego, z szału narodowego i gorączkowego uniesienia dla odbudowanej jedności Niemiec. To daremne wołanie na puszczy, to nieustanne słuchanie bluźnierstw, obelg i oszczerstw na Kościół i najświętsze jego instytucye przywiodło niekiedy katolików do niecierpliwości tak, iż się odzywały głosy, aby członkowie tej frakcyi raczej opuścili Izbę, aniżeli daremnie piersi swoje zrywali. Nie usłuchali tej wprawdzie wygodnej, ale niewątpliwie mylnej rady. Nienawiść księcia Bismarcka do członków tej frakcyi była niedaremna, czuł, że ma w nich

przeciwników, iż tak powiem, godnych jego nienawiści. Bez ich potężnego głosu nie byłyby plany tajne rządu przeszły do wiadomości katolików w ogóle i przynajmniej na samym wstępie prześladowania nie zastałyby ich tak przygotowanych, jak się to teraz pokazało. Rząd byłby miał o wiele łatwiejszą sprawę.

Członkowie tej frakcyi walczyli od pierwszej chwili, kiedy się kroki nieprzyjacielskie przeciw Kościołowi rozpoczęły zniesieniem wydziału katolickiego, sprawą biskupa Warmińskiego, ograniczeniem wolności ambony i wypędzeniem Jezuitów, ale te wszystkie starcia były tylko potyczkami w porównaniu do boju, jaki od chwili przedłożenia tych czterech projektów do praw w walnych bitwach toczyli i dotąd toczą. Broń mieli wyborną, bo mieli za sobą prawdę, ale jej także w porę i wyśmienicie użyć umieli. Wytykali pseudoliberalnym stronnictwom oczywistą sprzeczność z zasadami na ich chorągwi wywieszonemi, a przyjmowaniem praw niezgodnych nawet z bizantyńskim ceszaropapismem. Po wykazaniu, że niesłusznie jawne prześladowanie obwijają w bawełnę i zowią je walką w imie oświaty powiada n. p. Reichensperger w mowie mianej 16 Stycznia pomiędzy innemi: „Czyż w Niemczech przyszło już do takiego zstąpienia uczucia, iż nieprawny gwałt na bezbronnej osobie popełniony przestał być uczynkiem bezecnym? Nie podniesieź się z pośród naszego ludu żadna wspaniałością myślą ręką na widok poniewierania bezbronnej niewiasty? (niespokojność na lewicy, żywe przyklaskiwanie w centrum). Tak, Panowie, Kościół jest nie tylko bezbronną niewiastą (wesołość. Oho, oho na lewicy); powtarzam, że jest bezbronnym; lecz nie dość na tem, Kościół jest nie tylko bezbronną niewiastą, ale jest nadto matką i do tego matką porządku społecznego w całym ucywilizowanym świecie. (Żywy udział w centrum). Jeśli wątpicie o tej prawdzie, wzywam Was, czytajcie historyczne dzieło Gibbona, angielskiego badacza historii, ateisty, a zatem niepodważanego o przesadzone sympatyje i pochwały Kościoła katolickiego, ale znającego prawdziwie i oceniającego rzetelnie historią. On wypowiedział: „„Jak pszczoła ul, tak Kościół obecną budowę społeczeństwa wystawił.““ To są jego słowa. I ten Kościół teraz poniewieracie, a niemożecie go ciężiej sponiewierać, jak ogłoszeniem go za społeczeństwo

pozbawione wolności, jak zstrąceniem go do rządu instytucji poddanej państwu i policji, jak zamienieniem go na organ woli państwa, na instytucję mandarynów rządowych (bardzo dobrze! w centrum). Tym sposobem znosicie na nowo najwyższą pryncypalną zasadę chrześcijańskiego prawa, chrześcijańskiej wolności, która sobie po długich krwawych bojach zdobyła uznanie, że państwo i Kościół są dwie samodzielne, obok siebie stojące społeczności, że samodzielność tych dwóch porządków koniecznie trzeba utrzymać, jeśli nie chcecie społeczeństwa albo w martwym bizantynizmie zamrozić albo w odmet rewolucji wtrącić.“ Mówiąc dalej o kłamanym przyczynach, które miały rząd do tych prześladowczych kroków zniewolić, dotyka złej wiary rządu i większości Izby i powiada: „Tak panowie, gdym słyszał tego rodzaju argumenta, nie czułem nawet potrzeby wpatrywania się pilnego w usta tych mówców, czy nie dostrzegę na nich uśmiechu augurów, dość mnie już słuch zapewniał, że słowa te są tylko urąganiem się zbyt przemożnego przeciwnika zdecydowanego naprzód, nie robić wspaniałomyślnego użytku z swej przemocy.“ Windhorst, roztrzásając z właściwym mu i trafnym humorem sprzeczność reakcyjnej tendencji tych praw z zasadami, do jakich się tak nazwane „liberalne stronnictwa“ przyznawały, a w szczególności do wolne wszechwładztwo ministra oświaty, jakie te prawa na niego zlewają, powiada im nareszcie: „Oto macie, panowie, *nieomyślnego* ministra spraw duchownych w Prusach.“ Nie przytaczam z mów tych znakomitych obrońców sprawy chrześcijaństwa więcej ustępów, aby zbyt nie przekroczyć granic zadania tego pisma. Nadmieniam tylko, że dwaj protestanci Bruel i Gerlach, którzy należą do frakcyi centra, z równą stanowczością jak katolicy, bronili zasad chrześcijańskich.

Wybrano nareszcie komisję, które to projekta do praw w niniejszem gronie miała roztrzásnąć i propozycje swoje Izbie przedłożyć. Komisya ta składała się z 18 członków, pomiędzy którymi było trzech członków z frakcyi centra: Mainckrodt, Piotr Reichensperger i Bruel, a jeden Polak ks. Roman Czartoryski. Reszta członków Komisyi liczyła najzaciętszych przeciwników Kościoła katolickiego, jak np. Gneist, który był sprawozdawcą, Wehrenpfennig itd. Komisya niemniej się pośpie-

szała z obradami, jak Izba, jak gdyby się nad głowami wszystkich już paliło.

Członkowie frakcyi centra, którzy najoczywistszemi argumentami udowodnili, że prawa te wręcz sprzeciwiają się ustawom konstytucyi, wymogli wprowadzić na Izbie uznanie tej faktycznej prawdy, ale na cóż się to uznanie przydało? Dla ludzi, dla których żadnej nie było granicy ani w sumieniu ani w zasadach, jakąż przeszkodę mogła stanowić karta papieru? W tej myśli śmiał także Virchow bez zarumienienia się powiedzieć, że sobie nie myślą głowy suszyć „ratowaniem zasad, kiedy się doczekali chwili. w której je rząd sam porzucił i czyni właśnie to, co im (postępowcom) na rękę.“ Takie było usposobienie większości Izby, kiedy chodziło o wyrzucenie z konstytucyi najdroższej dla człowieka wolności sumienia. Dla wyznawców teoryi „państwa absolutnego“ przestała konstytucya stanowić granicę nietykalną, tak dla władzy wykonawczej, jak niemniej i prawodawczej. Nie trudno tedy było przemocy fizycznej i liczebnej przez tę granicę przemknąć tę upragnioną kontrabandę. Jako tako wystawiony most wystarczał do jej przeprawienia. Zrobiono go z równą szybkością i szalapatnością jak prawa, o które chodziło. Komisya do obradowania nad zmianą konstytucyi wybrana, uwinęła się nadzwyczaj szybko i już 30 stycznia jej sprawozdanie przedłożone jest pod obrady Izby. A ponieważ regulamin Izby dozwalał, przeto pierwsze i drugie obrady jednym zamachem odrobiono. Komisya zaproponowała artykuły 15 i 18, które brzmią dosłownie:

Art. 15.

Kościół ewangelicki i rzymsko-katolicki, tudzież każde inne stowarzyszenie religijne zarządza i zawiaduje sprawami swojemi samodzielnie i pozostaje w posiadaniu i używaniu swoich legatów i funduszków, przeznaczonych na ich nabożeństwa, zakłady naukowe i dobroczynne.

Art. 18.

Prawo mianowania, przedstawiania, wyboru i potwierdzania przy obsadzaniu posad duchownych o ile przy-

sługuje państwu i spoczywa na patronacie lub innych tytułach prawnych, znosi się niniejszem.

Na obsadzenie posad duchownych w armii i publicznych zakładach nie ma być ten przepis zastosowany. W następujący sposób zmienić:

Art. 15.

Kościół ewangelicki i rzymsko-katolicki, tudzież każde inne stowarzyszenie religijne zarządza i zawiaduje sprawami swojemi samodzielnie, *pozostaje jednakże poddany prawom i prawnie uporządkowanemu dozorowi państwa.*

Z tem samem zastrzeżeniem pozostaje każde stowarzyszenie religijne w posiadaniu i używaniu swoich legatów i funduszków, przeznaczonych na ich nabożeństwa zakłady naukowe i dobroczynne.

Art. 18.

Artykuł ten pozostawiono wprawdzie w dosłownem brzmieniu dawniejszem, ale dodano doń następujące zastrzeżenie:

Zresztą ustawa reguluje prawa państwa co do wychowania, przeznaczania na posady i składania z nich duchownych i służ kościelnych, tudzież stanowi granice władzy dyscyplinarnej.

(Odmieniami czcionkami wydrukowane ustępy zawierają porobione zmiany czyli dodatki).

Obrady niezupełnych trzech sesyj, tj. 30, 31 Stycznia, i trzecie czytanie 4go Lutego, wystarczyły do zrujnowania dzieła, nad którem od roku 1848 trzy parlamenty pracowały: Zgromadzenie narodowe frankfurckie, berlińskie i sejm pruski do rewizji oktrojowanej konstytucji zwołany. Te właśnie artykuły zabezpieczające niepodległość Kościoła, były w owych co dopiero wymienionych ciałach prawodawczych przedmiotem najżywszych rozpraw i najtroskliwszych obrad tak w komisjach, jak w samych parlamentach. Więzy, jakimi był skrzępowany Kościół katolicki, dowolność szczególnie rządu pru-

skiego, z jaką się mieszał do spraw religijnych i innych wyznań, szczególnie przy zaprowadzeniu „unii“ obmierzyły ten rodzaj dozoru nad sumieniem ludzkim do tego stopnia wszystkim wyznaniom religijnym i stronnictwom politycznym, że w całych Niemczech jeden tylko był głos potępienia bezwzględniego tego rodzaju bizantynizmu. Rząd nawet pruski szczególnie przez usta ministra Ladenberga wyrzekł się stanowczo tego znienawidzonego i obmierzonego systemu i okupił sobie tem na długie lata pokój i niezrównaną pomyślność. Śmiało można powiedzieć, że w Niemczech wieki pracowały nad takim uregulowaniem stósunków kościelnych i religijnych, jakie zawierała konstytucya pruska. Ludność europejska ciężkie przechodziła w tej mierze próby, w systemie terytoryalnym — *cujus regio ejus religio* — w systemie Febroniańskim — *jus circa sacra* — Józefinizm; nim się przez te wszystkie błędy i fałsze wśród różnych wyznań do *względnie* normalnego stanu przebić zdołała, który z taką niesłychaną płochością jednym zamachem wywrócony został. W dzień dwudziesto trzecio-letniej rocznicy swych urodzin padła konstytucya pruska ofiarą pseudoliberalizmu. W dniu 31 Stycznia 1850 r. została zaprzysiężoną i w tym samym dniu 1873 wyrzucono z niej kamień węgielny. Dla katolików bowiem nie ma już dzisiaj wielkiej wartości.

Narzuca się tu mimowolnie pytanie, zkąd ta zmiana w tak nazwanych stronnictwach „liberalnych?“ O tym przedmiocie nadarzy się może zręczność mówienia później. Tu tylko trzy krótkie uwagi. Pierwsza, że w r. 1848 nie byli jeszcze u steru, do którego się darli. Gdy go się dobili, pokazali, czem w istocie są. Druga, że niedowiarstwo jeszcze wtenczas umysłów „wykształconych klas,“ a tem mniej mas ludu nie ogarnęło do tego stopnia, jak w latach ostatnich, musieli się tedy oglądać na tych, którym przewodniczyli, aby nie zostali opuszczeni. Musieli tedy cierpieć, czego zwalczyć nie mogli. Dziś jeszcze radzi Dore, jeśli się nie mylę, jeden z członków trybunału dla „spraw kościelnych, stronnictwom liberalnym, aby się nie wyrzekały imienia chrześcijańskiego jawnie, bo chociaż same dawno się już otrząsły z tych zabobonów i przesądów, powinny jednak mieć wzgląd na własny swój interes i nie zrażać zwolenników swoich, którzy do tych baśni

niedorzecznych przywiązują jeszcze jakąś wartość. Teraz walczą wprawdzie już otwarcie przeciw Chrystyanizmowi, ale zawsze pod pozorami i frazesami popularnemi, jako to: „hierarchicznych wybryków,“ „ciemnoty i obskurantyzmu średnio-wiecznego,“ „odwiecznego wroga narodowości niemieckiej,“ „zagwożdżenia umysłów i krępowania wolności myśli“ i t. p. Trzecia, że nadęta i napuszczona „umiejętność niemiecka“ spodziewała się na pewno i z butą pewną swej umysłowej przewagi przepowiadała, że „obskurantyzm katolicki“ wobec wolności prasy i wyswobodzonej z pod więzów cenzury myśli, nie będzie w stanie ani na chwilę się utrzymać i będzie musiał runąć. Dwadzieścia lat doświadczenia przekonały mędrców tego świata, że rachuby ich w obu kierunkach i ze względu na Kościół katolicki, w którym tylko zgniłego wietrzyli trupa i ze względu na potęgę umiejętności zupełnie były mylne. Pomyłkę tę, gdy przyszli do mocy, gwałtem chcą naprawić. Zbrodnią Kościoła było i jest, że się okazał żywym, że rozwinął życie, wobec którego „umiejętność niemiecka“ i inne wyznania protestanckie bezwładnemi się okazały.

Co te zaprowadzone w konstytucyi zmiany znaczą, nie potrzeba długiego tłumaczenia. Prawo bowiem, które Kościołowi pierwsze zdanie artykułu 15go przwznaje, następne całkiem znosi; wolność, którą artykuł 18ty Kościołowi zabezpiecza, zrobiony dodatek zupełnie odejmuje. Słusznie przeto członkowie centra zwracali Izby uwagę na tę oczywistą i rażącą sprzeczność, która obraża najprostsze zasady logiki, oświadczając, że zgodniej jest z rozumem i uczciwością poprostu te dwa artykuły wykreślić, aniżeli dla ukrycia wstydu jednemu i drugiej gwałt taki zadawać. Nic nie pomogło, niewzruszone nawet zasady logiki musiały się dekretem Izby poddać. Uchwalono, że białe musi być czarnem i czarne białem — dyalektyka Hegla przedzierzgnęła się z białego w czarne, a z czarnego znowu w białe i godząc sprzeczności, utworzyła z nich jedność wyższego rzędu. Mimo tej dyalektyki sofistycznej w dwa lata, kiedy już nie było obawy o wywołanie złego wrażenia w kraju, uczuł rząd sam, że taka oczywista sprzeczność w zasadniczej ustawie państwa jest nieznośną i postarał się u sejmu o wykreślenie tych artykułów z konstytucyi, które już

wszelkiej wartości pozbawione zostały. O tem później będzie mowa.

Drugie i trzecie obrady nad tym przedmiotem odbyły się w Izbie poselskiej dnia 27 Lutego i 1 Marca, wśród których z grona posłów polskich Stanisław Chłapowski ze stanowiska swego pięknie przemówił. Frakcyja centra broniła świątynie w tej walce nie tylko wolności Kościoła, ale wolności w ogóle. Wolność bowiem jest tylko jedna, nie można jej nigdy bezkarnie na pewnych niewygodnych punktach kaleczyć bez nadwężenia jej w ogóle. Tej pomsty za tak swawolne i lekkomyślne pokrzywdzenie wolności, na katolikach dokonane, doczekają się niewątpliwie pseudoliberalne stronnictwa. Pomoc dawana w roku 1848 i następnych, rządowi przez te same stronnictwa w krzywdach wyrządzanych Polakom, pomściła się na nich kilkonastoletnią reakcją za rządów Mannteuffla i Westfale. Dziś sądzę, że nawet tak długo czekać nie będą na karę za zbrodnię na wolności popełnioną. Bo naród, który nie umie szanować wolności w drugim, nie jest jej wart.

Tym sposobem mniemani reprezentanci i opiekuni wolności sami zrobili najpotężniejszy wyłom w jej przybytku. reszta bowiem pozostałych swobód nie ma już dla Chrześcian ani tej wartości ani doniosłości, jakie miała wolność spokojnego życia podług zasad swej religii. Zwykle zasadnicza ustawa państwa czyli konstytucya stanowi granicę nietykalną tak dla władzy wykonawczej, jak i dla stronnictw politycznych chwilową większość mających. Tu przeciwnie zasadnicza ustawa państwa musiała się ugiąć wobec zachcianek stronnictwa, które przyszło do władzy. Izba panów, której stronnictwo konserwatorskie już przy rozprawach nad prawem o dozorze nad szkołami elementarnymi rozbitem zostało, nie miała także już siły do oparcia się temu szturmowi pseudoliberalizmu i uległa. Hrabia Bruehl, katolik i kilku innych protestantów bronił odważnie wolności Kościoła, ale daremnie. Z Polaków przemawiali w obronie konstytucyi hr. Zygmunt Skórzewski i hr. Józef Mielżyński Prawa zatem zupełnie jej przeciwnie uzyskały już wstęp wolny.

Po mniemaniem uprzątnieniu tej przeszkody przystąpiono w dniach 7, 8, 10, 11, 13, 14, 15 Marca do drugich i trze-

cich obrad nad temi obszernemi prawami. Wprawdzie dyskusya nad tym przedmiotem była kilkakrotnie innemi materjami przerywana, ale toczyła się jednak w dniach wymienionych po kilka godzin i zakończyła się 15go Marca, jak nie trudno było przewidzieć, przyjęciem przedłożonych projektów rządu. Biskupi Prus, jakkolwiek im to z przykrością przychodziło uczynić, nie zaniedbali jednak w swoim czasie zanieść do Izby petycyę, aby te projekta odrzuciła, oświadczając, że z swęj strony nie przyczynią się nigdy do ich wykonania. Głos ich przebrzmiał bez najmniejszego skutku.

Członkowie centra, a w szczególności August i Piotr Reichenspergerowie, Mallnckrodt, Windhorst (Meppen), Kirch, bronili do upadłego z taką oczywistością i mocą argumentów praw Kościoła, iż, gdyby to było w ludzkiej mocy zaślepiiony rozum oświecić i złą wolę naprawić, musiałyby były te projekta zostać odrzucone. Prócz nich przemawiał hr. Schweinitz kilkakrotnie przeciw tym prawom wogóle i przeciw pojedynczym jego paragrafom. Mówcy ci zbijali nietylko fałszywe zasady i pozmyślane lub poprzekręcane fakta, na których się pojedyncze przepisy tych praw opierały, ale nadto wykazywali na każdym paragrafie niedołęztwo prawodawcze, niepoprawne i nie dość ściśle ich sformułowanie. Wszystko było daremnem. Większość Izby, czując się panią sytuacji i pragnąc tylko osiągnąć czempredziej środek do pogiębienia Kościoła katolickiego, na wszystko zamykała oczy, nawet o swej reputacyi prawodawczej zapomniała. Frakcyja centra doczekała się przy pierwszym zaraz zastosowaniu tego prawa smutnego w rzeczy, ale dla niej chlubnego tryumfu, że się wszystkie przez jej członków, a szczególnie Mallnckrodta wytknięte wady techniczne i uchybienia sprawdziły. Nieudolność prawodawcza, połączona z pośpiechem, pozostawiła na tem prawie niezatarte ślady.

Konstytucya przez wszystkich członków Izby była zaprzysiężona, nie godziło się przeto w rzeczy samej żadnemu posłowi głosować za prawem, które podług uznania samej Izby sprzeciwiało się jej przepisom, dopóki przyjęta jej zmiana nie uzyskała zezwolenia Izby panów, sankcyi królewskiej i prawnie ogłoszoną nie zostanie. Tego wymagała koniecznie przysięga na konstytucyę złożona. Lecz przebieg ten, który tak logika jak moralność nakazywały, był za powolny dla Izby i dla rządu.

du, który z fabryczną niecierpliwością pragnął jak najprędzej mieć to prawo gotowe. Kto z świadomością zamierza coś niegodziwego popełnić, spieszy się zawsze z wykonaniem, aby na gorącym uczynku zdybanym nie został. I tu chodziło o to, aby rzecz skończyć, nim kraj z szału ochłonie i na zdrowe zdanie się zdobędzie. Pogwałcono przeto zasady logiki, moralności i prawa, aby tylko swego dopiąć i głosowano za prawem, gwałcącem konstytucję w chwili, kiedy zmiana konstytucyi nie była jeszcze prawem. Tu się znowu przekonywamy, że jeden zły uczynek nie może się utrzymać osamotniony i ma swoją osobną logikę, która człowieka nieubłaganą koniecznością do całego pasma nieprawnych uczynków popycha, abyssus abyssum invocat.

Ten bowiem wyłom zrobiony w konstytucyi, aby przezeń zgotować prawną podstawę dla upragnionej budowy prawodawstwa, jest w rzeczy samej tylko okłamanie siebie i nie znającej przedmiotu publiczności. Zmiana bowiem konstytucyi przez Izbę przyjęta, chociażby rzeczywiście była już uzyskała sankcję królewską i stała się formalnem prawem zasadniczem kraju, mógłby logiczną tworzyć podstawę do przyjęcia praw, o których właśnie mowa? Przypatrzmy się treści tego artykułu zmienionego baczniej. Powiada on dosłownie: „Kościół ewangelicki i rzymsko-katolicki, tudzież każde inne stowarzyszenie religijne zarządza i zawiaduje sprawami swojemi samodzielnie, pozostaje jednakże poddany prawom i prawnie uporządkowanemu dozorowi państwa.“ Jakąż główną materjalną dyspozycję zawiera ten artykuł mimo swej zmiany? Niewątpliwie tę, że w Prusach wszystkie stowarzyszenia religijne *sprawami swojemi zarządzają i zawiadują samodzielnie*. To jest główną i pryncypalną treścią tego artykułu, zawartą w pierwszym i głównem jego zdaniu. Przypięty do niego dodatek w zdaniu podrzędnem: „pozostaje jednakże poddany prawom i prawnie uregulowanemu dozorowi państwa,“ nie może zatem logicznie innego mieć znaczenia, jak tylko takie, które się zgadza z treścią głównego zdania, bo niepodobną jest rzeczą, aby Izba mogła w drugim zdaniu nazwać tę rzecz czarną, którą w pierwszym i głównem zdaniu nazwała białą. Gdyby zaś dodatek ten nie miał mieć znaczenia zgodnego z treścią głównego zdania, w takim razie powinna była Izba

pierwsze zdanie skreślić całkiem, albo inne zgodne z dodatkiem umieścić. Lecz ponieważ Izba tego nie uczyniła, ponieważ dawną dyspozycję konstytucyi utrzymała, że Kościół *sprawa mi swojemi samodzielnie zarządza*, przeto nie może podług swej własnej uchwały przyjmować praw, któreby się tej fundamentalnej zasadzie sprzeciwiały. Wszelkie tedy prawo regulujące prawo itp., powinno uszanować tę zasadę samodzielnego zarządu i granic jej nie naruszać. Jakże tedy z tą zmianą konstytucyi pogodzić przedłożone prawa, które nietylko samodzielność, ale nawet egzystencję Kościoła w zasadzie znoszą? Tak się przebiegłość i chytrość „umiejętności niemieckiej,“ gdyż reprezentant jej, profesor Gneist, jest autorem tych dodatków, uwikłała w własne swoje sidła — *et mentita est iniquitas sibi*.

To, cośmy powiedzieli o zmianie artykułu 15go, stósuje się zupełnie i do dodatku zrobionego do artykułu 18go. Dlatego nie wytykamy już na nowo tej sprzeczności, gdyż rzecz jest zupełnie ta sama. Członkowie frakcyi centra nie omieszkali także zwrócić uwagi Izby na tę okoliczność, że mimo zrobionej zmiany nie wolno im jednak praw tych przyjmować. Lecz nie po raz pierwszy widzimy to zjawisko, że tam, gdzie chodzi o dokuczenie Kościołowi, nie masz prawideł logiki, sumienia ani prawa. Kościół, jako instytucya boska, nie ma wobec „absolutnego państwa,“ które jest „bogiem obecnym,“ żadnego prawa. Tu się przekonywamy naocznie, że teorye o państwie, o których poprzednio była mowa, są rzeczywistą podstawą tego całego prawodawstwa i każdego niemal paragrafu.

Prócz tej przeszkody do przyjęcia tych praw przez Izbę jest jeszcze w konstytucyi inna w artykule 14ym zawarta, o którejśmy przy okoliczności prawa, usuwającego duchownych od dozoru nad szkołami elementarnemi, mówili. Artykuł bowiem ten przepisuje, aby przy „wszystkich urządzeniach państwa, które mają związek z religią, brano za podstawę religię chrześcijańską.“ Potrzebaż jeszcze dowodu na to, że prawa te znajdują się w związku z religią, z jej praktyką? W tej mierze trafnie się odezwał August Reichensperger: „Gdzież, pytam się, znajduje się ślad w tych prawach i ich motywach, któryby dowodził, że autor motywów przynajmniej był sobie świadom związku ich z religią chrześcijańską i jej wymaganiami

które im za podstawę służyć powinny? Wspominająż motywą, które zresztą wcale nie są skąpo zakrojone, aby jednym słówkiem o tem, że wymagania i prawa religii chrześcijańskiej zgadzają się z ustawą orzekającą, że słowa Bożego nie wolno opowiadać, Sakramentów nie wolno sprawować, jak tylko za wysokiem pozwoleniem urzędowym naczelnego prezesa? Pytam was się, panowie, czy tu prawa i interes religii chrześcijańskiej podług przepisu artykułu 14go konstytucyi zostały uwzględnione? Nie powiedz nam każde dziecko do szkoły uczęszczające, że początek chrześcijaństwa był inny? że przyszło na świat nie za zezwoleniem państwa, ale wbrew jego zakonu? że ani boski założyciel jego, ani apostołowie, ani ich następcy nie żądali ani odbierali autoryzacyi od państwa, ale wbrew jego prawom naukę ogłaszali ci, którzy chrześcianom zalecali, aby wszelkim zwierzchnościom, które mają władzę nad nimi, we wszystkim byli posłuszni, krom w rzeczach religii, gdyż te nie podlegają przykazaniom państwa? Przypominam tu ponownie, że i protestantyzm nie udał się pierw z prośbą do zwierzchności cywilnej o pozwolenia, aby mu było wolno egzystować i ogłaszać słowo Boże, ale powstał i szerzył się wbrew prawu, wbrew ówczesnym instytucjom państwa. To jest właśnie wymaganiem religii chrześcijańskiej, wolności chrześcijańskiej. Kościół żyje tem przekonaniem, że swoje posłannictwo ma z góry, że zatem żadna władza nie ma prawa stawiać mu zapory lub posłannictwo jego ścieśniać.“ Aby uniknąć zbytecznej obszerności, zaprzestaję na przytoczeniu tego jednego wyjątku, ale nadmieniam raz jeszcze, że wszyscy członkowie centra, którzy przeciw tym prawom głos podnosili, przemawiali w podobnym duchu gorącego przeświadczenia religijnego, gruntownej znajomości praw kościelnych, mocy i mężstwa, w jakie tylko prawda człowieka uzbroić zdoła.

Zobaczemy teraz, jaki los prawa te spotkał w Izbie panów. Dnia 19 Lutego zostały w Izbie poselskiej do Izby panów wniesione i w tym dniu wybrano na propozycję marszałka komisję z 20 członków złożoną, która miała przygotować w tej mierze obrady wolne w Izbie. Jakoż komisya ta rozpoczęła swoje czynności i już kilkanaście paragrafów pierwszego prawa była zmieniała w ten sposób, iż zasada pryncypalna, na której te wszystkie prawa spoczywały, znacznie zo-

stała pokaleczoną. Słuszna ztąd powstała obawa, iż prawa tak niesystematycznego, którego jeden paragraf idzie w prawo, a drugi w lewo, rząd nie będzie mógł ostatecznie przyjąć i do sankcyi królowi przedłożyć. W komisyi bowiem tej zasiadało 10 członków z prawicy i tyluż z lewicy. Gdy tedy jeden z członków należący do lewicy zachorował, lub z innego powodu nie mógł przybyć na sesyę komisyi, przechodziły jednym głosem większości uchwały, przeciwne rządowi w kierunku konserwatorskim i odwrotnie. Jeden przeto paragraf został przyjęty w myśli rządu, a drugi znowu w duchu konstytucyi czyli niepodległości Kościoła. A ponieważ obrady i uchwały komisyią która w mniejszem gronie zebrana, każdy przedmiot ściśle

bacznie roztrząsa, znaczny, a często przeważny wywieraj wpływ na głosowanie całej Izby, przeto niem płonną była obawa, że projekta te albo całkiem upadną albo tak zostaną zmienione, że ich rząd do zamierzonego celu nie będzie mógł użyć. Prócz tego, gdyby Izba panów radykalna była porobiła zmiany, przewidywano, żeby ich w takim razie Izba poselska nie była przyjęła. Nimby tedy pomiędzy temi dwoma ciałami prawodawczemi porozumienie było nastąpiło, mógł czas sesyi upłynąć, rząd ciężkiego doznać zawodu, a przynajmniej rok czasu stracić, co dla niego było najniebezpieczniejszem. Jak zwykle, tak i w tym razie najpewniejszą i najskuteczniejszą ucieczką był gwałt.

Izba panów krótko przedtem doznała już radykalnej zmiany. Przy projekcie bowiem do prawa o ordynacyi powiatowej stawiała Izba panów stanowczy rządowi opór. Aby opór ten złamać, korzystał król z przysługującego mu prawa i tylu nowych członków Izby panów, ilu było potrzeba, aby stronnictwu ministeryalnemu dać przewagę zamianował. Tym sposobem dawny stan Izby panów i skład stronnictw politycznych znacznie został zalterowany. Po wysądowaniu frakcyi Izby i zapewniwszy sobie większość, mniemał rząd łatwiej dojść do zamierzonego celu susem raptownym, aniżeli powolnym i zwyczajnym trybem. W tym celu i niewątpliwie z wyższego natchnienia zrobił Bernuth, były minister sprawiedliwości, wnioszek, aby Izba panów znieśła swoją uchwałę z dnia 19 Lutego i obradowała nad temi prawami przy pierwszym i drugim czytaniu in pleno czyli w Izbie. Dnia 4 Kwietnia rozdano po-

które się w Prusach 1861 roku ukonstytuowało, a w jesieni 1866 roku na narodowo-liberalne i postępowe się rozpadło. Stronnictwo to powiada w programie swoim z roku 1861 dosłownie: „w prawie o wychowaniu, a szczególnie w prawodawstwie odnoszącem się do małżeństwa, będziemy się domagać zaprowadzenia cywilnego małżeństwa celem zupełnego rozłączenia Kościoła od państwa.“ Stronnictwo to przyjęło zatem za zasadę i zadanie swoje przeprowadzić zupełne rozłączenie Kościoła od Państwa. Pytam się tedy panów, jakiegokolwiek o tych projektach macie zdanie, czyż tyle przynajmniej nie jest rzeczą pewną, że te prawa w daleką znowu przyszłość urzeczywistnienie tej myśli usuwają? Niewątpliwie tym krokiem oddalamy się znowu do osiągnięcia tego celu. Jest to zaiste to samo, jak gdyby kto miał zamiar jechać do Paryża, a wybrał się w tę podróż na Petersburg.“ Roztrząsnąwszy potem pomyślność kraju, a w szczególności stosunków Kościoła do państwa, jaka na podstawie tej wolności przez przeszło dwadzieścia lat panowała, wykazuje, że nie było i nie masz do tej chwili najmniejszej potrzeby do wydawania praw tego rodzaju. Odwołuje się dalej do tego, co Kanclerz powiedział o frakcyi centra, o rozpoczętej przeciw niej, a w gruncie przeciw Kościołowi katolickiemu wojnie i powiada: „Jeśli sobie panowie przypomnicie, że przed dziesięciu laty ten sam rząd wystąpił przed reprezentacją kraju z stanowczym projektem reorganizacji armii, której reprezentacja do upadłego opór stawiała; jeśli sobie przypomnicie, że rząd jednak ją przeprowadził i za jej pomocą świetnych dokonał czynów, natenczas pojmiecie, że rządowi, który się blaskiem tak nadzwyczajnego powodzenia otoczył, wszelka silna i stanowcza opozycja jest niemiłą i nieznośną. To usposobienie rządu, okrytego sławą tak nadspodziewanego powodzenia, mogę sobie wytłomaczyć; ale moich dawnych przyjaciół politycznych nie powinno obrażać, jeśli im otwarcie powiem, że tego nie pojmuję, jak liberalne stronnictwo może w tym kierunku rząd wspierać i jego torem się puszczać.... Rząd wyraźnie mówił o opozycji sobie nieprzyjemnej. Tak, panowie, opozycji, któraby nie była nieprzyjemną rządowi, nie znam wcale, każda stanowcza, silna i na pewnem przekonaniu oparta opozycja musi być nieprzyjemna rządowi, t. j. przeciw jego systemowi być wymierzona;

opozycja przeciw osobom tylko skierowana jest niegodną, stroniczą, której wszelkiego prawa eksystencji odmawiam; lecz opozycja, która się na przekonaniu opiera, ma w państwie konstytucyjnem nie tylko prawo eksystencji, ale musi nawet eksystować. Dokądżebyśmy zaszli, gdyby każda opozycja miała być jak gdyby rodzajem zbrodni napiętnowana? Proszę moich dawnych przyjaciół politycznych, aby sięgnęli myślą swoją w przeszłość, i dodają, że jeżeli przyznają się dziś do zdania rządu, że żadna opozycja nie jest dozwoloną, jeżeli, znosząc dawne zasady wolności, wszelkiej opozycji podstawę z pod nóg usuwają, natenczas, Panowie, wystawcie świadectwo śmierci dla życia konstytucyjnego, natenczas przyjdziecie w ostatecznych konsekwencyach — mówię w ostatecznych — do osobistej dyktatury otoczonej formami parlamentarnemi.“

Tak wreszcie i Izba panów nie bez ciężkiego szwanku swej powagi, przyjęła te prawa, pod któremi ludność katolicka do dziś dnia jęczy.

Przypatrzyliśmy się krytym ścieżkom, jakeimi je wprowadzono, wypada nam jeszcze zastanowić się nad ich zasadniczym znaczeniem dla kościoła pod względem wychowania duchownych, powierzania posad i wykonywania dyscypliny kościelnej.

Prawa te są tylko urzeczywistnieniem programu pseudo-liberalizmu niemieckiego. W tym punkcie puścił się Kanclerz niemiecki, który dotychczas zwykł się był trzymać realnych warunków w polityce, torem „doktryn, umiejętności niemieckiej.“ Ojcem tego programu jest p. Friedeberg, profesor prawa przy uniwersytecie Lipskim, dziś radzca tajny w ministerstwie spraw duchownych w Berlinie. Wypowiedział go najpierw w piśmie: „cesarstwo niemieckie i kościół katolicki,“ a potem w innych jeszcze swoich odezwach. Aby się przekonać, w jakim duchu te prawa Izbie przedłożone zostały, musimy w kilku zdaniach na ten program zwrócić uwagę. Motywa bowiem, któremi rząd te projekta do praw opatrzył, są, jakeśmy się już przekonali, kłamane od początku do końca. Profesor zaś Friedeberg, który wraz z odstępcami od kościoła katolickiego pociągany był przez rząd pruski do rady, nie był jeszcze wówczas temi względami skrepowany, jakie rząd zachować musiał; z tego powodu wypowiedział więcej prawdy, niż rząd,

przez niego zatem wyrzeczone motywa są w istocie temi, któremi się rząd kierował.

W tej materji powiada Friedeberg:

„Doktrynerzy głoszą jeszcze ciągle, że rozłączenie zupełne kościoła od państwa jest wszechmocnym w tej mierze środkiem. Tymczasem ten właśnie środek byłby w obecnych okolicznościach nader szkodliwym, gdyż kościół zrosł się z nadto z ludem. Dzierży on swoje panowanie od lat tysiąca, a umiałby swej władzy wybornie użyć w celu rozpostarcia swego panowania nad państwem. Taki był przebieg i w północnej Ameryce, gdzie Kościół katolicki nieustannie wzrasta w liczbę i wpływ tak, że niektóre państwa zupełnie zostały przez ultramontanów opanowane. W stanach zjednoczonych założono w roku 1790 pierwsze biskupstwo, dziś jest ich tam 54, a prócz tego 6 wikaryatów apostolskich. Ludność powiększyła się 61.430 procentu, a liczba katolików o 2.300 procentu. Z 21 kapłanów wzrosła ich liczba do 5.000! A przy tem wszystkiem zbywa tam Kościołowi katolickiemu na historycznej podstawie, jaką ma w Niemczech. Cóżby się tedy u nas stać musiało, gdyby Kościół zwolniono od nadzoru rządu! Przeciwnie, ponieważ kwestya ta stała się kwestyą władzy, przeto jedynem zdaniem rządu być powinno, wydrzeć Kościołowi tę władzę nad ludem, a swoje w to miejsce postawić.“

Oto cała zbrodnia kościoła! Umiał sobie pozyskać zaufanie ludu, za to musi być w kajdany okuty. Jakież to sprzeczności! Profesor Goettingskiego uniwersytetu de la Garde twierdzi, że kościół katolicki jest trupem, a profesor Lipski, że za wiele na siły, ale jeden i drugi każe dlań kuć kajdany. W przeszłym i na początku obecnego stulecia prawie aż do roku 1848 było powszechnem liberałów zdaniem, że kościół katolicki jest już całkiem spróchniałym gmachem, który tylko bogactwem i uprzywilejowaniem stanowiskiem w państwie się podtrzymuje; skoro to utraci rozsypie się w gruzy. Przed kilku dziesiątkami lat utrzymywali niedowiarkowie, że te spróchniałki kościoła katolickiego nie wytrzymają powszechnej wolności i za jej pierwszym powiewem runą. Jak pierwsi przekonali się musieli, że nie tylko bogaty i uprzywilejowany, ale

nie mniej ubogi i z wszelkich przywilejów wyzuty kościół jest silnym i mocnym, skoro ma swobodę, tak i ostatni z zdumieniem wyznać muszą i wyznają, że się pomylili, że wolność powszechna z wszystkich wyznań chrześcijańskich jeden tylko kościół katolicki wzmocniła — trzeba go tedy tego warunku życia i wzrostu pozbawić. Jak wiek upłyniony i początek bieżącego pozbawił kościół majątku, mienia i znaczenia, tak czas terazniejszy wyzuć go usiłuje z wolności i odmówić mu warunku bytu. Dawniej grzechem i zbrodnią było kościoła, że miał swój majątek i mienie, z tego powodu trzeba go było obdrzeć, dziś zbrodnią jest, że ma siłę wiary, prawdy i miłości, które tylko pod opieką wolności rozwijać może — dla tego trzeba go pozbawić tego niezbędnego warunku życia. Tak nie rumieni się rozumować profesor prawa przy jednym z znaczniejszych uniwersytetów niemieckich. Nie pyta się o prawo, słuszność, sprawiedliwość, prawdę, ale jedynie o brutalną moc; a ponieważ tę moc ma tylko w ręku państwo, przeto może i powinna wszystko inne, co się obok niego rusza i żyje, zgnieść i zetrzeć. Tu znowu mamy konsekwencyę owej pogańskiej nauki „o absolutnem państwie.“ To jest pierwszy powód do odmówienia kościołowi katolickiemu wolności — jego ostateczną psychologiczną przyczyną bojaźń prawdy.

Drugim powodem dla którego nie godzi się dziś dobijać zupełnego rozłączenia kościoła od państwa, a następnie zniesienia wszelkiego ograniczenia kościoła katolickiego przez rząd, jest wzgląd na „kościół protestancki.“ On jest bowiem najpierw nader ważnym sprzymierzeńcem i narzędziem politycznem w ręku rządu przeciw katolicyzmowi. Powtóre kościół protestancki nie jest w stanie znieść samodzielności i niepodległości, obawa zatem słuszna, żeby się „po odłączeniu od państwa rozsypał. Albo czyż kto będzie śmiał twierdzić, żeby najwyższa kościelna rada Berlińska (Oberkirchenrath) rozdzielił kościół od państwa, aby jeden dzień przeżyła? Czyżby niesforne spory i kłótnie nie udaremniły wszelkiej organizacji i nierozbiły kościoła na sekty?“ A po trzecie, z tych rozbitków protestantyzmu korzystałby jedynie kościół katolicki. Oto zasady dzisiejszego pseudoliberalizmu, które rząd pruski przyjął za swoje! Nie siłą prawdy, używając wspólnej wszystkim wolności ma rozstrzygać sprawę pomiędzy rozmaitemi religiami,

ale przemoc rządu. Kościół protestancki ma być w ręku tego rządu „narzędziem politycznem“ do zwalczania kościoła katolickiego. Jakże tu zacne stanowisko zajmuje protestantyzm! Co więcej, nawet wolność sumienia ludu ma być zniweczona. Dla czego? aby czasem nie przeszli do kościoła katolickiego. Nowocześni reprezentanci „umiejętności niemieckiej“ prześcignęli w swych teoriach najokrutniejszych tyranów i despotów tak pogańskiego jak chrześcijańskiego świata, którzy używali religii za narzędzie do swoich politycznych celów, do ujarzmnienia wszelkiej wolności ducha i sumienia, do przytłumienia wszelkiej religii, krom bicia czołem przed bałwanem państwa i tymi, którzy w ręku swoim władzę jego „dzierżyli.

Trzeci powód, który p. Friedeberg przeciw odłączeniu kościoła od państwa, czyli przeciw usamowolnieniu Kościoła przytacza, jest jeszcze prawie haniebniejszym od dwóch pierwszych. Dotyczy się ta sprawa „starokatolików.“ Argumentacja jest taka. Ruch „starokatolicki“ nie rozwinął się jeszcze z powodu, że nie doznaje dostatecznego wsparcia od rządów niemieckich, które nad niewidzialną sympatyą nic jeszcze dla niego nie uczyniły, ale mogą jeszcze uczynić. Gdyby zaś rozdział zupełny kościoła od państwa nastąpił „zamknąłby sobie rząd sam drogę do bezpośredniego ich wspierania i wywierania przez nich wpływu na pożądaną mu reformę wewnętrzną kościoła katolickiego.“ Takie postępowanie rządu byłoby względem starokatolików „trudnem i niesprawiedliwem.“ Twardą przeto i niesprawiedliwą byłoby rzeczę obdarzyć starokatolików wolnością i pozostawić ich samym sobie: ale słuszną i sprawiedliwą groszem prawowiernych katolików ich wspierać aby ich użyć za narzędzie do ujarzmnienia kościoła katolickiego i przeistoczenia tej instytucji boskiej na jakiś kościół narodowy niemiecki.

Środkiem do tego celu ma być prawodawstwo w tym duchu ułożone, aby kościołowi zwolna wszelkie soki żywotne odbierać, a sokami państwa tylko go karmić tak, iż z czasem się przeistoczy, a mała reszтка, któraby się nie assimilowała całkiem, będzie mogła bez bólu i krwi rozlewu być odrzucona. Oto w krótkich słowach los zgotowany kościołowi katolickiemu w tym planie. Pan Friedeberg przedstawia w tym duchu projektu do praw następujące:

Zaprowadzenie przymusowych małżeństw cywilnych.

Zaprowadzenie cywilnych urzędników stanu.

Zniesienie przymusu chrztu.

Wydalenie Kościoła ze szkoły.

Sekularyzowanie instytucji dobroczynnych.

Prawo karne zabraniające nadużycia ambony.

Zapobieżenie, aby osoby nieprzychylnie duchowi państwa nie dostały się do ambony. W tym celu:

Dozór nad wychowaniem duchownych, którzy, chociaż im szkoła zostanie odjęta, zawsze jednak pozostaną nauczycielami ludu w wysokiem znaczeniu tego wyrazu.

Kontrolowanie egzaminów młodych kleryków.

Zakaz, aby żaden duchowny nie uzyskał posady, który rządowi pod względem obywatelskim lub politycznym dał powodów do nieukontentowania.

Nadzór rządowy nad zarządkiem majątku kościelnego.

Zapobiedz, aby nie wymierzano kar kościelnych z skutkami cywilnymi połączonych, a mianowicie, aby ich nie używano do wywierania nacisku na urzędników rządowych.

Rozkaz przedłożenia każdego rozporządzenia kościelnego rządowi do wiadomości.

Uchylenie zakonu Jezuitów.

Zakaz sprowadzania jakiegokolwiekbądź zakonów bez pozwolenia rządu.

Rekurs czyli apellacya do rządu przeciw nadużyciu władzy duchownej. — Przekroczenie zaś tych praw „dotkliwie grzywnami karać,” a w razie ponowienia „z urzędu złożyć.”

Prócz tego zaś w niczem kościołowi jak n. p. w ściąganiu należności i t. p. pomocy swej nie dawać.

Któż na pierwszy rzut oka nie pozna, że przytoczone wyżej prawa na planie pana Friedeberga zostały osnute? Że rząd do tego samego celu dąży i zmierza, jaki mu autor tego planu wytknął, tego wprawdzie minister Falk ani jego motywa niewypowiedziały, jakeśmy to już wykazali, ale użycie zaleconych i do tego celu koniecznych środków wymowniejszym jest nad jego słowa dowodem, że sobie wziął za zadanie wytepić Kościół katolicki w tych obszarach, których ramie jego potęgi dosięgnąć zdoła.

Cel ten osiągnie rząd za pomocą tych praw, które:

1) zatruwają wychowanie duchowieństwa, 2) organizują rokosz duchownych przeciw biskupom, a biskupów przeciw papieżowi i rozprzągają cały organizm kościelny od dołu aż do najwyższego szczytu.

1) Zatrucie wychowania duchownego.

W tej obszernej materii odwołujemy się na to, cośmy już w tej mierze o szkołach, wykształceniu wyższem i instytucjach kościelnych powiedzieli. Podług tych praw bierze rząd dziecko od najmłodszych lat w swoje ręce, kształci je w szkółce elementarnej, w szkołach gimnazjalnych i na uniwersytecie. O wychowaniu (education) nie masz w tym całym systemie nawet mowy, lecz li tylko o wykształceniu (instruction). Wszystkich nauczycieli od elementarnego aż do profesorów uniwersytetu rząd mianuje, wszystkim plan i kierunek nauk przepisuje, wszyscy zatem tak tylko nauczać mogą i muszą, jak im rząd nakaże, bo inaczej miecz prawa dyscyplinarnego nad każdym wisi. Tak się młodzież do wszystkich zawodów publicznych gotować musi, bo inaczej drogi do nich nie masz. Rząd przeto ma najobszerniejsze pole do przygotowania sobie sług swoich we wszystkich zawodach i gałęziach swego organizmu od woźnego aż do ministra, od prostego żołnierza aż do generała. Ale zkądże Kościół ma rekrutować sług swoich? Na to rząd odpowiada: masz moje szkoły, moje uniwersytety, innych instytutów naukowych ani nawet wychowawczych nie wolno ci zakładać. Minister tedy spraw duchownych i oświecenia, który nietylko jest akatolikiem, ale może być żydem lub poganinem, kształci wyłącznie kapłanów katolickich przez swoje narzędzie.

Przed temi prawami był wprawdzie stan także nie normalny, ale przynajmniej znośny. Młodzież zabierająca się do stanu duchownego mogła się także tylko w szkołach rządowych kształcić i po uniwersytetach od rządowych profesorów nauki teologiczne pobierać w tych dyecezyach, które miały uniwersytety z teologicznemi wydziałami katolickimi. Ale wtenczas trzy głównie okoliczności pozostawiały Kościołowi pewien jeszcze wpływ na wykształcenie i wychowanie sług jego.

Najpierw obok szkół rządowych miał Kościół konwikty, alumnaty, pensjonaty, w których czuwał nietylko nad zdrową nauką, ale nadto nad czystością obyczajów tej młodzieży, która miała zamiar jego służbie się poświęcić. Prawo to zaś wydiera mu ten środek zbawionego wpływu. Dziś zatem nie może już ani pielegnować tych elementów, z których nowe pokolenia kapłańskie wzrastać mają, ani czuwać nad zachowaniem łaski powołania w tych duszach, które nią udarowane zostaną. Szkoły zaś rządowe, chociażby nie były takim duchem antireligijnym owionione, jaki w nich panuje, nie mają ani środków ani sposobów do takiego prowadzenia młodzieży.

Powtórę, przy obsadzeniu katedr profesorskich teologicznych mieli biskupi prawo znoszenia się z rządem. Jakkolwiek postanowienie to nie zostało wyraźnie zniesionem, to jednak przy danej okoliczności minister Falk nadmieniał, że rząd nie czuje się obowiązany trzymać się „umów z poddanymi swymi zawartych.“ Dziś zaś, kiedy rząd uznał Neoprotestantów za prawowiernych katolików i nimi katedry teologiczne obsadza, jak n. p. w Bonn, gdzie w wydziale teologicznym katolickim jeden tylko jeszcze katolik pozostał, a wszyscy inni są Neoprotestantami czyli „Starokatolikami,“ jakież ta odrobina wpływu biskupów może mieć znaczenie, chociaż tu chodzi o kształcenie tych, którzy mają być wyręczyicielami biskupa w diecezji? Prócz tego mieli biskupi obok uniwersytetów swoje konwikty, które były dla nich rękojmnią, że młodzi teologowie a przyszli kapłani znajdujący w nich schronienie, nie prowadzą życia w swawoli studenckiej niezgodnego całkiem z ich powołaniem. To wszystko upadło. Biskup tym sposobem nie zna, nie wie nic o tych, którzy się mają w jego imieniu pasterstwem dusz zająć i ma święcić tych, których mu minister akatolik lub poganin do święceń przygotowuje.

Prócz tego mieli biskupi obok wydziałów teologicznych i seminaryów teoretycznych, jeszcze seminarya praktyczne, w którym młodzi teologowie po ukończeniu studyów teologicznych czy to na uniwersytecie czy w seminaryum teoretycznym i po złożeniu egzaminów z teologii całej, odbierali jeszcze praktyczne wykształcenie. Były to zakłady wprawdzie o tyle naukowe, o ile młody teolog uczy się w nich zastosować to, czego z nauk teologicznych nabył, ale głównem ich zadaniem

było, wychować młodego studenta teologii na kapłana. Wychowanie przeto duchowne było najważniejszym tych zakładów celem. Skoro minister i te instytuta wychowawcze raczej, niż naukowe pod swój dozór, a w istocie zarząd zagarnął, został sam absolutnie dyrygentem wykształcenia i wychowania duchownych. Biskupowi pozostała jedna tylko smutna prerogatywa, udzielać święcenia kapłańskie tym, których mu minister przygotował, a o których powołaniu i usposobieniu do stanu duchownego sam nic nie wiedział. Mógłże to biskup katolicki uczynić?

Te trzy właśnie środki, które dawniejszy stan rzeczy czyniły w tej mierze znośnym, zostały mu jednym zamachem odjęte, instytuta zniweczone. Duchowieństwo katolickie nie ma być przejęte i napawane duchem Chrystusa, który je wysyła by opowiadać ewangelią ś., ale duchem pogańskiego państwa, aby jego słowo opowiadało światu. Czyli mówiąc słowy pana Friedberga „członkom kościoła należy żyły podwiązać i napuścić krwi żywej państwa, aby się z niem zidentyfikowały, a coby jednak izolowanem pozostało, będzie można bez bólu i krwi rozlewu odciąć i odrzucić.“ Przez kształcenie tedy nowych generacyj duchowieństwa miał rząd zwolna przelewać w nich ducha swojego, czyli zatruć je tak, iżby bez spostrzeżenia się przestało być w rzeczy samej tem, czem z powołania i przeznaczenia swego być powinno.

Minister Falk w mowie swojej mianej przy wniesieniu tych projektów do Izby poselskiej okrył sromotę tego celu dość przeźroczystym płaszczykiem wolności i patriotyzmu, mówiąc: „Duchowieństwo stało się zawisłem *na wewnątrz* i *na zewnątrz* — zawisłem od potęg, które się znajdują po za granicami narodu i które poczucia narodowego posiadać nie mogą. Mówię *na wewnątrz*: przez jego wykształcenie; mówię *na zewnątrz*: przez jego stanowisko, a nie mam tu właśnie na oku najwyższego duchowieństwa. I takie duchowieństwo zajmuje posady, na których może w najdotkliwszy sposób szkodzić interesom państwa, które od dwudziestu przynajmniej lat nie miało, a przynajmniej nie użyło przeciw temu żadnego środka. Rząd przeto ma to głębokie przekonanie, że w tej mierze musi zaprowadzić zmianę — musi przeistoczyć te stósunki, musi je zmienić przez ich potarganie.“ Co profesor Friedeberg

nazwał „napuszczeniem krwi państwa“ w żyły sług Kościoła, to minister Falk zowie oswobodzeniem duchowieństwa z „zawisłości *na wewnątrz* i *na zewnątrz* od potęg, które nie mogą posiadać poczucia narodowego; ale pominął, że równocześnie z tem wyswobodzeniem ma nastąpić ujarzmienie go przez rząd.

Najpierw mówimy tu o tem wyswobodzeniu duchowieństwa „*na wewnątrz*“ czyli o wykształceniu. Nadmieniamy przede wszystkim, że jak w całym systemie pruskim nigdzie nie masz mowy o wychowaniu, ale li tylko o kształceniu, tak i w tych prawach majowych nie masz nawet wzmianki o tem. Jedyne instytuta wojskowe stanowią w Prusach wyjątek — tu jest mowa o wychowaniu.

Pomijając, iż tak powiem, przyrodzone, nabyte, uroczystymi traktatami i konstytucją zabezpieczone prawo Kościoła wychowywania sobie sług swoich, pomijając, mówię, tę krzywdę, jaką mu te prawa przez niszczenie i rujnowanie jego własnych instytutów wyrządzają, pytam się, cóż może biskup począć z takim młodym teologiem pod nadzorem ministra akatolickiego, a może już nawet niechrześcijańskiego wykształconym? z teologiem, w którego „żyły napuszczono“ od najpierwszej młodości aż do chwili święcenia „krew państwa“ czyli, którego się starano „*na wewnątrz* oswobodzić z zawisłości“ od powagi kościelnej? Znajdziesz się biskup katolicki, któryby był zdolny święcić takie indywidua?

Lecz na tem jeszcze nie dosyć. Aby się przekonać, czy się czasem przypadkowo nie zakradło do umysłu i serca młodego teologa coś ducha kościelnego czyli „ultramontanizmu“ ma być pierw jeszcze poddany eksaminowi rządowemu z filozofii, historii i literatury niemieckiej. Ani od prawników, ani od kameralistów, ani od filologów, ani budowniczych, lekarzy i t. d. jednym słowem od nikogo z tych właśnie zawodów, które bezpośrednio przeznaczone są do służby rządowej, nie wymaga rząd podobnego egzaminu. Cóż tedy ten eksamin może mieć za znaczenie? Pan de la Garde profesor przy uniwersytecie w Gettyndze, zacięty nieprzyjaciel Kościoła katolickiego powiada, drwiąc sobie z tego przepisu, że chociaż sam się już zestarzał na studyach, nie miałby jednak odwagi stać się na eksamin przed trzema profesorami biegłymi w swoich wydziałach. Cóż tedy ten przepis może mieć na celu?

Czyż utrudzenie stawiane młodzieży zabierającej się do stanu duchownego w przygotowaniu się do tego zawodu i zrażanie jej do wyboru tego stanu? Niewątpliwie. Ale prócz tego ma ten przepis jeszcze inkwizytorskie zadanie; jest on nadzwyczajnym środkiem do szczerłego zbadania młodzieńca, czy się zaszczipiona w nim trucizna dobrze zakorzeniła i czy się po nim będzie można spodziewać, że rząd będzie miał z niego księdza podług serca swojego á la Reinkens i t. p. Wtenczas dopiero, kiedy taki ogień próby przyjdzie, kiedy go z wszelkich „skaz ultramontanizmu“ oczyści, przedstawia go minister oświecenia biskupowi do święceń. Tak student teologii wyswobodzony „na wewnątrz“ z zawistości od powagi kościelnej, oczyszczony z wszelkich pleśni ultramontanizmu, napełniony żywotną „krwią państwa“ czyli duchem pogańskim świata, może tylko być przypuszczony do święceń kapłańskich i sprawować najświętsze tajemnice Boga żywego.

Kościół zawsze się starał o kapłanów uzbrojonych potrzebną do ich wzniesłego powołania nauką i w niezliczonych zakładach tego rodzaju dawał im pożądaną zręczność do jej nabycia. Tysiączne przepisy soborów powszechnych i partykularnych dowodzą okazywanej w tej mierze troskliwości Kościoła. Nie tu jest miejsce dowodzić, że Kościół właśnie nam przechował wszystkie skarby literatury starożytnej i wszystkie gałęzie nauk pielegnował. Nie znajdzie nikt na całym świecie katolickim instytutu teologicznego, w którymby nie nauczano filozofii i historii. Umysł bowiem surowy i wcale nie przekrzesany filozofią i innemi naukami nie byłby zdolny do zajęcia się naukami teologicznemi, które bez wiadomości filozoficznych, filologicznych i historycznych zrozumiane być nie mogą. Co więcej przez oświecanie umysłu o rzeczach najważniejszych dla człowieka, wpływa zarazem Kościół na całe wewnętrzne usposobienie jego. Bo nauka o Bogu, Odkupicielu, o łasce Sakramentów śś. i t. d. choćby i w suchy sposób wykładana, musi jednak oddziaływać na całego człowieka. Wszystko przecież na tem zależy, aby nauka ta była prawdziwie chrześcijańską i zdrową, gdyż inaczej zbowiennego wpływu wywierać nie może. Rozum bowiem ma oświecać wolę, powinien tedy sam mieć prawdziwe światło, bo inaczej fałszywy, a tem samem zły nada jej kierunek.

Lecz jakkolwiek Kościół wysoko zawsze cenił naukę w ogóle, a w szczególności w duchowieństwie i pragnął je widzieć na najwyższym, o ile możności, stopniu wykształcenia umysłowego, to przecież nie przeceniał, nie uważał go, jak system pruski, za jedyne i najwyższe zadanie człowieka — *qui fecerit et docuerit, hic magnus vocabitur in regno coelorum*. Nie samej przeto wiedzy wymaga Kościół po sługach swoich, ale nie mniej dobrej i skorej woli, aby to, co wiedzą, czynili także i ewangelią ś. opowiadali ludowi nie tylko słowem, ale i przykładem. Duchowny powinien, musi być teologiem, musi posiadać naukę, wiedzę, ale na tem nie koniec; nie mniej powinien być kapłanem napełnionym duchem Bożym. Sama wiedza, sama umiejętność bez Ducha bożego nadyma, nie buduje — *scientia inflat*. Patrzmy na Döellingerów, Rein-
kensów, Michäelisów i im podobnych; mamy w nich profesorów, teologów nadętych, ale znajdziemyż w nich, chociażbyśmy im się i przez mikroskop przypatrywali, aby żdźbło kapłana Chrystusowego? Sama przeto nauka, nawet teologiczna, nie umarza w człowieku całkiem źródła złego, pychy, ani nie zmienia złej woli na dobrą, nie wlewa w człowieka łaski boskiej. Wprawdzie nic nie daje człowiekowi przywileju niegrzeszenia absolutnie, ale są przecież w nauce Chrystusa Pana i Kościele Jego środki, których sumienne użycie stawia opór złemu i krzepi słabość woli ludzkiej. Z tego powodu Kościół nie przestawał nigdy na samem kształceniu umysłu, ale zalecał zawsze, krom nadprzyrodzonych środków, ćwiczenie woli człowieka, aby przywykła i nabrała wprawy w przewyciężaniu pokus do złego i w statecznem pełnieniu przykazań boskich. Czyli mówiąc innemi słowy, Kościół dawał i daje sługom swoim prócz nauki chrześcijańskiej jeszcze i wychowanie chrześcijańskie w seminariach duchownych. Łatwiej bowiem daleko wykształcić rozum przywiązany do niezmiennych praw konieczności, aniżeli wolę zdolną i pochoptą do przekroczenia każdego prawa, a trudną do zachowania statecznego kierunku w tem, co się skłonnościom naszym sprzeciwia. Seminarium duchowne było dla biskupów jedynym przybytkiem, w którym młodym teologom ze świata przybywającym mogli, o ile podobna, dać jeszcze wychowanie duchowne. Z ich upadkiem znikła i ta resztką wychowania duchownego. Co to znaczy

wykształcić umysłowo człowieka, a nie dać mu wychowania odpowiedniego temu wykształceniu i powołaniu, które sobie obiera, najlepiej zdołają to ocenić rodzice troskliwi o wychowanie swych dzieci. Biskup tedy ma udzielić święcenia kapłańskie młodemu człowiekowi, który lat kilka w najniebezpieczniejszym dla niego wieku samopas spędził na uniwersytecie wśród pokus z urzędu godzących na obalenie jego wiary; o którym nie wie, czy posiada naukę zdrową, czystą, katolicką, czy ma powołanie do tego trudnego i wielkiego zawodu, czy nabył cnót do sprawowania tego boskiego urzędu koniecznie potrzebnych, czy przynosi z sobą niezbędną czystość obyczajów i ducha prawdziwie kapłańskiego, aby go mógł wpuścić do winnicy Pańskiej ku jej zbudowaniu nie zaś pustoszeniu. Kto ma jakieśkolwiek wyobrażenie o powołaniu kapłańskim, pojmie bez trudności, że tak żaden biskup prawdziwie katolicki postępować nie może. A jeżeli sumienie nie pozwala biskupowi w ten sposób przez rząd *wyłącznie* wykształconych duchownych, a do tego przez rząd nie tylko akatolicki, ale nawet niechrześcijański, bez żadnego udziału Kościoła, do święceń kapłańskich i pasterstwa dusz przypuszczać, natenczas nie mogli biskupi takiemu prawu się poddać, choćby w niem innych, jeszcze większych nie było przeszkód. Biskupom nie godziło się przykładąć ręki do moralnego zatrucia duchowieństwa i narażenia kościoła na oczywiste wytępienie.

Słowa ministra Falka w przedmiocie owego nadzwyczajnego egzaminu rządowego w dniu 17 stycznia wypowiedziane: „Mniemacież, panowie, że duchowny, który ten wyższy stopień wykształcenia, jeżeli jest w rzeczy samej wyższym, osiągnąć musi, mniej będzie zdolnym do przejmującego i skutecznego ogłaszania nauki kościoła, do jej utwierdzenia i zagrzewania do bojaźni Bożej?” są tylko urąganiem się przeciwnika, który pewny swej chwilowej przemocy, naigrawa się jeszcze z ofiary swego okrucieństwa. Katolicy bowiem nie z tego powodu odrzucają z oburzeniem ten przepis, jakoby mniemali, że wyższe wykształcenie pracy duchownej uszczerbek przynosi, co im minister w tych słowach podsuwa, ale z tego, że nie potrzebują z jego łaski nabywać tego wykształcenia dla sług jego, a głównie z tego, że przepis ten nie ma w rzeczy samej na celu podnieść wykształcenia duchowieństwa po nad inne

wszystkie powołania, ale raczej zatruć je duchem kościołowi przeciwnym, a tem samem ciężką im krzywdę wyrządzić. Prawnikom, politykom, lekarzom i innym takżeby wyższy stopień wykształcenia nie zaszkodził. Czemuż tedy tych, którzy w rządową służbę mają wstąpić, nie poddaje pan minister takiemu eksaminowi? To jest ten system zatrucia duchowieństwa katolickiego przez wykształcenie, jak minister Falk mówi, wyswobodzenie go „*na wewnątrz*“ to znaczy: wygaszenie w niem wszelkiej iskry wiary.

2) Prawa te ograniczają otwarty rokosz duchowieństwa przeciwko biskupom i wszelkiej powadze Kościoła katolickiego. Czego jeszcze nie dokazało oswobodzenie duchowieństwa „*na wewnątrz*“ z węzłów wiary łączących je z biskupami i papieżem przez wykształcenie w tym kierunku uorganizowane, to ma uzupełnić uwolnienie go „*na zewnątrz*“ od potęg, które znajdując się po za granicami narodu, nie mogą posiadać poczucia narodowego.“ Z słów tych należałoby wnosić, że to tylko o papieżu pan minister mówi, gdy tymczasem słowa te odnoszą się przedewszystkiem do biskupów. Czego wpływem swoim nie zdołało przeprowadzić wykształcenie duchownych, tego ma dokazać ostatecznie gwałt piastujący w swoim ręku miecz obosieczny, który zarówno wymierzony przeciw położonym duchownym, jak podwładnym.

Ktoby mniemał, że przepisy tego rodzaju najzupełniejszą nieznaną istoty Kościoła katolickiego i jego organizmu, wydać mogło na świat, myliłby się bardzo. Niewątpliwie odznaczyły się te projekta do praw i ich motywa taką niewiedzą o rzeczy katolickich, jakiejby przypuszczać nie należało w ministerstwie, które ośmiu milionami katolików w samych Prusach rządzi. Niewiedomości mógł rząd łatwo być zaradzić, gdyby był chciał. Ale tu o to nie chodziło. Rząd miał i ma zamiar wytępić Kościół katolicki w Prusach i w Niemczech. Do tego celu użył radykalnych środków: zatrucia ducha kapłańskiego w duchowieństwie przez odpowiednie wychowanie, obsadzenia takimi kreaturami najważniejszych posad duchownych, złamanie tym sposobem całej hierarchii kościelnej i zaprowadzenia w Kościele katolickim tej części kraju najzupełniejszego zamieszania i przewrotu. Z tego zaś powszechnego chaosu myślał, — ale czy jeszcze myśli, wprowadzić

wszystkich, katolików i akatolików do wspólnej pogańskiej świątyni, nazwanej „Kościołem narodowym niemieckim.“ Było to i jest po dziś dzień ulubionem marzeniem tych wszystkich, których łódka wiary już się rozbiła całkiem.

Ta główna myśl góruje po nad temi prawami, a mianowicie w tej części, która zawiera przepisy odnoszące się do obsadzenia posad duchownych. W nich się przebija widocznie cel: a) potargania wszelkich węzłów zawisłości duchowieństwa od ich biskupów i wzniesienia przeciw nim rokoszu, b) w miarę zaś wyzwolenia go z pod powagi biskupiej, zaprzągania ich w jarzmo rządu, c) uchylenia zaś od rządów duchownych tych wszystkich osób, które się nie pozwolą zaprzedać rządowi.

a) Podług przepisów i ducha tego prawa jest biskup na to tylko w dyecezyi, aby wychowanych przez rząd kandydatów do stanu duchownego święcił. Do kształcenia i wychowania duchowieństwa nie wolno mu się wcale wtrącać, a po ukończeniu wychowania, po wyświęceniu kandydata na kapłana, jeszcze mniej ma prawa do jego losu się mieszać. O rządach biskupa dyecezyalnych nie może wcale w ramach tego prawa być mowy. Polecenie dane biskupom: *„Pilnujcie sami siebie i wszystkiej trzody, nad którą was Duch Św. postanowił biskupami, abyście rzadzili kościół Boży,“* (Dzieje Apostolskie 20. 28) przenieśli to prawo na ministra spraw duchownych i daje mu władzę Papieża na cały kraj — on tym sposobem przez swoich duchownych kieruje sumieniami wiernych katolików. Całe posłannictwo duchowne (missio canonica) wytrącono biskupowi z ręki. Bez pozwolenia bowiem prezesa naczelnego resp. ministra nie wolno mu żadnego kapłana święcić, a po wyświęceniu nie wolno mu kapłanowi najmniejszej dać posady duchownej, co więcej, nie wolno mu nawet ani na jeden dzień ani na jedną godzinę upoważnić go do sprawowania funkcji kapłańskiej, nawet gdyby chodziło o opatrzenie umierającego sakramentami śś., gdyby chodziło o odprawienie jednej mszy ś. Kardynał-arcybiskup Ledóchowski za to, że w czasie gwałtownie grasującej cholery w parafii Inowrocławskiej w sierpniu 1873, gdy miejscowi kapłani pod ciężarem pracy upadali i chorobą zostali złożeni, posłał nowo wyświęconego kapłana do pomocy, został ukarany 200 talarami grzywien. X. Kantecki za odprawienie mszy ś. w ka-

płicy pałacowej w Rokosowie pod Poniecem, skarany został więzieniem czterotygodniowym. Nareszcie dnia 9 marca r. b. najwyższy trybunał berliński wyrzekł zasadę, sprawowanie Sakramentów śś. umierającym podpada pod kary praw majowych, jeśli przepisy tychże praw zachowane nie zostaną. Teraz właśnie, kiedy to piszemy, wytaczają proces Xdzu biskupowi Janiszewskiemu za to, że po wywiezieniu go z więzienia Koźmińskiego do Berlina, tamże mszą św. w kościółku ś. Macieja odprowadził. Kilkunastu kapłanów ukarano za to, że na odpuszczenie w sąsiedztwie mieli kazania lub spowiedzi św. słuchali. Przytoczyłem umyślnie te kilka szczegółów, aby się nie wydawało, że to, com powiedział, jest przesadą. Biskup tedy nie ma władzy ani stałego ani nawet tymczasowego dać miejsca kapłanowi, co więcej nie ma prawa polecić mu wyręczenie chorego lub chwilowe zastępstwo. Do tego przedmiotu odnoszą się §§. od 15—17. Do wszystkiego tego potrzeba zezwolenia naczelnego prezesa. Biskup nie może kapłanowi ani dać posady duchownej ani wziąć, ani za dobre wynagrodzić, ani, jak zobaczymy później za złe ukarać; nie może stósownie do potrzeb parafii i okolicy dobierać odpowiednich duchownych i na te ich miejsca przeznaczać, które ich uzdatnieniu, usposobieniu i charakterowi za najstósowniejsze uważa — wszystko to złożone w ręce naczelnego prezesa, któremu w każdym pojedynczym przypadku służy prawo założenia swojego veto. Czemże tedy jest taki malowany biskup wobec swojego duchowieństwa? Jeśli nawet palcem ruszyć nie może bez pozwolenia rządu w rzeczach czysto natury duchownej — jestże to *regere ecclesias Dei*? To prawo rządzenia Kościołem Bożym zlał na biskupa sam Zbawiciel świata, jakimże sposobem może go się zrzec na rzecz naczelnego prezesa czyli rządu? Z jakim sumieniem mógłby biskup dyrekcyą dusz sobie powierzonych z rąk swoich wypuścić i dobrowolnie ją złożyć w ręce akatolika, żyda lub poganina? Państwo pruskie przestało już w zasadzie być chrześcijańskim, a tem samem i organa i urzędy, użycie przeto wyrazu „poganina“ nie jest żadną przesadą. Ministrem spraw duchownych może być nie tylko żyd, ale nawet poganin t. j. człowiek, który ani w Bóstwo Chrystusa Pana ani w Boga nie wierzy, ani jest ochrzczonym. Kto się przyznaje do zasad „absolutnego państwa“, zaprzecz^a

tem samem exystencyi Boga. Pan Gerlach przeto ma niewątpliwie racją, kiedy powiada w mowie mianej w tej materyi dnia 20 Stycznia 1873 r.: „Uznanie wszechmocności państwa jest zaprzeczeniem Boga a tem samem i przysięgi. Z tem upada przysięga składana przez świadków, przez wojskowych urzędników i koronacyjna.“ Przykłady tego rodzaju przerażające mieliśmy już nie tylko we Włoszech, ale i w Prusach. Zasady, które minister Falk tylokrotnie wypowiedział, zdradzają oczywiście hołdowanie idei „absolutnego państwa.“ A w takich okolicznościach któżby śmiał na sumienie zaręczyć, że pan Falk jest jeszcze dzisiaj rzeczywiście chrześciani-nem, co więcej, że wierzy jeszcze w Boga? Com przeto powiedział jest nie tylko w zasadzie, ale nawet faktycznie prawdziwem. W żadnym razie nie godzi się biskupowi praw przez Boga mu powierzonych się zrzekać, a cóż dopiero wśród takich okoliczności?

Krom wychowania duchowieństwa nie ma prawie dla biskupa ważniejszej powinności nad tę, aby w wyborze duchownych w powierzaniu im posad jak najsumiennie i najtroskliwiej na dobro dusz baczył. Z prawem rządzenia złana jest nań ta powinność. Sprawę tę tak ważną uregulował także Kościół nader mądrymi i roztroptnemi prawidłami, które, o ile to po ludzku podobno wszelką wykluczają dowolność i jedynie dobro dusz mają na celu. Prawa te wywracają zbawienne ustawy Kościoła, pozbawiają biskupa możności uczynienia zadosyć jednej z najostatniejszych powinności jego urzędu.

Nietylko Kościół, ale żadne społeczeństwo, żadne stowarzyszenie nie może istnieć, nie ma jednego z najistotniejszych warunków egzystencyi, jeśli mu nie wolno posługiwać się własnymi organami, do jego życia niezbędnymi. Stowarzyszenie jakiegokolwiekbądź, które nie ma prawa mianowania swoich urzędników, ale kto inny, przestaje być stowarzyszeniem niepodległem, staje się dzielnicą tego, który niem rządzi. Skoro tedy państwo przywłaszcza sobie prawo mianowania urzędników kościelnych, w jakiegokolwiek formie się to dzieje, czy przez veto czy przez placetum, zamienia Kościół tem samem na pewną odnogę swej administracyi i znosi jego egzystencyę. Jeżeli bowiem nie Kościół, nie władza duchowna, ale państwo, władza świecka zarządza sprawami kościelnymi,

duchownemi, natenczas przestają te sprawy z istoty swej być duchownemi, władza bowiem świecka sekularyzuje je tym sposobem i zamienia na świeckie. To bowiem, co państwo pochłonie, musi sobie assymliować i na swoje zamienić. W systemie państwa absolutnego, jakieśmy na wstępie nadmienili, nie masz miejsca dla Kościoła katolickiego, dla chrześcijaństwa w ogóle. A prawa te są osnute na tej teorii.

Tylko rząd kierujący się zasadami „państwa absolutnego,” zdolnym jest do wydania prawa obliczonego na korrupcyę i demoralizacyę bez granic. Duchowny największą przysięgą zobowiązany do posłuszeństwa biskupowi, do uszanowania winnego swemu przełożonemu, ma być wszelkimi środkami kuszony i przymuszany do łamania tej przysięgi, do wypowiedzenia posłuszeństwa i bezkarnego wyrządzania swemu biskupowi najdotkliwszych zniewag i obelg. Minister Falk przyodziewa ten system korporacyi dość przeźroczystą obłoną frazesu „wyzwolenia *na zewnątrz*“ duchowieństwa z pod „zawisłości od potęg, które nie znajdując się w granicach narodu, nie mogą posiadać poczucia narodowego.“ Co minister i jego motywa popularną i prawdziwie brukową frazeologią i obsłaniali przed światem, to prasa urzędowa wypowiedziała jawnie i wzywała, jak np. „Provinzial-Correspondenz“ na głos duchowieństwo do rokoszu przeciw swoim biskupom zaręczając, że rząd żadnego nie opuści. Prasa tą była szczególnie i jest w czasie prześladowania Kościoła wiernym tłumaczem myśli i intencji rządu. Wytężono wszystkie siły i sposoby, aby już dzisiejsze duchowieństwo zdeprawować. Prawa te przemawiały wyraźnie do duchownych: złamiesz przysięgę, wypowiesz biskupowi posłuszeństwo, znieważysz go, nie bój się, za tobą nasze bagnety, wszystko, co masz, zatrzymasz, i jeszcze więcej dostaniesz. Fakta wydatniej jeszcze niż te słowa illustrowały prawa i intencye rządu. Wollmann i Richthoven, Kubeczak i Gołębiowski starczą na dowód za wszystkich innych. Rząd pruski wprowadzić i dawniej, gdzie mu prawo służyło prezentacyi lub nominacyi, miał zwyczaj wybierania osób takich, przeciwko którym biskupi mieli słuszne powody podejrzenia. Nadmieniam tu np. tylko, że zaraz po przybyciu kardynała Ledóchowskiego do Poznania miał rząd zamiar zamianowania *Reinkensa* proboszczem katedralnym poznańskim. Nic dziwnego,

że rząd protestancki więcej zawsze okazywał przychylności tym, których uważał za spokrewnionych z sobą, aniżeli obcych — musiał zawsze w tajnych stósunkach pozostać z duchownymi tej faryny. Lecz to się działo potajemnie i w pojedynczych przypadkach, nie tak systematycznie ani w takich rozmiarach, jak w obecnych prawach. Dziś pokusa do wiarołomstwa jest jawna i usystematyzowana i godzi we wszystkie słabe strony człowieka, aby wierność jego złamać. Z wiarołomstwa ma być piętno wstydu starte, ła nawet przyodziane powagą prawa, państwa, ozdobione cnotą patryotyzmu. Do wiarołomstwa zagrzewa rząd: drażnieniem do żywego miłości własnej w duchownych, bo każde posłuszeństwo, każda wykonywana kontrola, choćby tak łagodna jak rodzicielska, rani ją; obudzaniem chciwości i łakomstwa przez otwieranie widoków do łatwego nabycia dobrych i tłustych posad; widokiem i pewnością spokojnego i gnuśnego życia bez wszelkiego dozoru i odpowiedzialności, bo któż nad wypełnianiem obowiązków duchownych wprowadzonego przez landrata i żandarmów kapłana będzie czuwał, kto się o obyczaje jego będzie troszczył? landrat? żandarm? — Wierność zaś kapłańska ragrożona: rabunkiem dotkliwszym, niż przez kradzież dokonany, bo połączonym z tysiącem utrapień, procesów i egzekucyj; więzieniem, które skazanego naraża na dokuczliwe upokorzenie co dzień, co godzinę, na tysiączne niewygody i przykrości, wygnaniem i tułactwem, troską i kłopotem o utrzymanie skołatanego żywota. Oto są środki czyli pokusy, jakimi rząd, licząc na słabość ludzką, uderzył na duchowieństwo, aby jego wierność i stałość przełamać. Z jednej strony głaskanie i schlebienie słabościom i namiętnościom ludzkim, a z drugiej strony barbarzyńskie pastwienie się nad stateczną cnotą. Brakuje mi wyrazu na uwielbienie duchowieństwa, które ten krzyżowy ogień pokus z taką dla siebie i Kościoła chwałą przebywa. Kilka bowiem przeniewierstw na tak znaczną liczbę duchowieństwa nie wchodzi prawie wcale w rachubę. Pogańskie cesarstwo starożytnego Rzymu nie było zdolnem ani nie miało tak wyrafinowanych środków do szerzenia tego rodzaju deprawacyi w Kościele chrześcijańskim. Było bowiem z urodzenia pogańskim i nie pojmowało, aby ród ludzki mógł jedną tylko religię wyznawać, dlatego jej nie chciało i prześladowało ją.

Nasi nowocześni poganie stali się dopiero sami tem, czem są, przez odpadnięcie od Boga czyli apostazyą. Złe ich przeto bez porównania większe, ztąd też nienawiść ku temu, którego porzucili, gwałtowniejsza. Barbarzyńskie środki, któremi się posługują, powleczone są pozłotą cywilizacyi — wstydzą się jawnie mordować, bo toby otworzyło oczy i najzaślepieńszym, dla tego trują potajemnie pod formami najpospolitszej frazeologii.

b) W miarę wyzwolenia duchowieństwa z zawisłości od prawej duchownej władzy, ma być zaprzężone w jarzmo władzy świeckiej. Wszystkie frazesy, któremi minister i jego motywa usiłują prawdę przytłumić, pękają wobec logiki samego prawa i faktów. Te kajdany, które rząd dla duchownych podług serca jego kuje, mogą być wprawdzie złote, ale zawsze kajdanami. Duchowny pod duchowną władzą czuje się w swoim własnym elemencie; dopóki przeto jest rzeczywiście duchownym, musi się czuć u siebie, swobodnym. Duchowny zaś pod świecką komendą, chociażby była najluźniejszą i na wszystko przez szpary patrzała, czuć się będzie pod różgą macochy, nie matki, dopóki się duchownego charakteru nie pozbył. Ci sami, którzy ulegli pokusie i tulili i tulą się pod skrzydła opieki swego nowego i potężnego pana, uczują wkrótce ciężar tej opieki, a w końcu zasłużoną wzgardę. Podłe bowiem narzędzie, gdy zostanie zużyte i jak cytryna wyciśnięte, rzuca się o ziemię.

Jakiż był powód do wydzierania biskupom najistotniejszego prawa ich urzędu? Czyż było słyhać o skargach i żalach duchowieństwa na dowolność i niesprawiedliwość biskupów w rozdzielaniu posad duchownych i to w takich rozmiarach, iż było potrzeba ograniczyć w tej mierze ich władzę? Krom o dwóch apostatach nie było o tem nic słyhać. Najoczywistszy dowód, że ta zawisłość „na zewnątrz“ nie cisnęła duchowieństwa, czuli się swobodnymi jak w domu rodzicielskim. A drugi jeszcze wybitniejszy dowód jest w tej okoliczności, że się wcale nie kwapią do tych przybytków nowej wolności i pod najsurowszemi karami nie mają chęci mniemanej niewoli opuścić. Duchowieństwo, dzięki Bogu, umiało od razu ocenić wolność, jaką je rząd chciał udarować, jest to wolność syna marnotrawnego. Prawa, które rząd odebrał biskupom, sam będzie wykonywał. Tam był ojciec duchowny,

nie mający prócz powagi duchownej żadnej władzy fizycznej, a teraz zajmuje jego miejsce pan potężny i groźny, za którym miliony bagnatów. Duchowieństwo nie zostało tedy bez rządów, tylko doznało zmiany: zamiast ojca, względem którego było dzieckiem, dostało pana, którego jest sługą. Zawisłość przeto pozostała ale z tą różnicą, że niewłaściwa, nie rodzinna, nie swoja, lecz obca.

Rząd zagarnięciem całej władzy biskupiej użył jej do swoich cywilnych i politycznych celów. Jak w takim systemie zwicznęte całe wielkie posłannictwo Kościoła, sięgające po za granice doczesności i zniżone do służenia za narzędzie do celów politycznych, egoistycznych, zakreślonych ciasnym interesem jednego państwa, tak konsekwentnie posłannictwo każdego kapłana spaczone i wykrzywione, bo mu przeznaczona praca nie w winnicy pańskiej, ale w winnicy doczesnego pana, a w obecnym przypadku nie dla zbawienia dusz mu powierzonych, ale dla posłannictwa „borussyanizmu“ bez względu na to, czy cele jego są godziwe lub nie. Jak Kościół cały ma być sekularyzowany i zidentyfikować się ma z państwem, jednym słowem zniknąć jako niepotrzebny, tak konsekwentnie i kapłani muszą być sekularyzowani, siły ich mogą być tylko użyte do celów doczesnych, w „państwie bowiem absolutnem“ celu wiecznego nie masz, bo ono samo jest Bogiem i wiecznością — cóż tu przeto po kapłanie marzącym o wieczności po za granicą państwa. Zawisłość przeto najzupełniejsza duchowieństwa od rządu niezbędnym tych praw postulatem.

c) Że rząd ma na celu tych duchownych, których ani wychowaniem swoim, ani widokiem posad lub groźbą kar nie zdoła przeistoczyć na służalców ślepych bałwana „państwa absolutnego,“ do urzędów duchownych wcale nie przypuścić, nie potrzeba na to dowodu. Jeden rzut oka na §. 15 tego prawa, który prezesowi naczelnemu absolutne przyznaje w tym względzie *veto*, przekonywa nas o tem dostatecznie. Mówię, absolutne, gdyż powody w §. 16 zawarte, które prezesa naczelnego upoważniają do założenia protestu czyli swojego *veto*, są tak luźne, iż wszystko, co tylko chce, może pod tę rubrykę podciągnąć i każdego kandydata sobie niemiłego bez wyjątku od posady duchownej, a nawet od sprawowania funkcji kapłańskich wykluczyć. Dla rządu resp. prezesa naczelnego sprawa

tem łatwiejsza, że się wobec tych, których ta rzecz najżywiej obchodzi, t. j. wobec zwierzchności duchownej ani tłumaczyć ani usprawiedliwiać nie potrzebuje. Albowiem motywa do tego paragrafu powiadają: „Samo przez się rozumie się, że prawo to nie ma zamiaru wkładać na rząd obowiązek wdawania się w tę mierze w rozprawy z zwierzchnością duchowną i *dowodzenia prawdziwości* swoich twierdzeń.“ Naczelnemu prezesowi przeto, któryby jeszcze miał sumienie i nie śmiał bez słusznego powodu wyrzec takiego wykluczenia, dodają motywa otuchy, zapewnieniem go, że się wstydzić nie potrzebuje, bo jest zwolniony od wszelkiego dowodu prawdziwości podanych przez siebie powodów. Że dotkniętemu takim wykluczeniem wolno rekurs czyli apelację założyć do trybunału dla spraw kościelnych ustanowionego, nie zmienia w niczem rzeczy, bo najpierw żaden duchowny, dopóki się charakteru swego kapłańskiego nie wyrzeczce, nie może tego środka prawnego użyć, a powtóre rzeczywiście go nie użyje, bo o bezskuteczności jego nikt nie wątpi. A gdyby się jeszcze w początku miał być łudzić jakimśkolwiek pozorem, to do dziś dnia wszelka łatwowierność już się powinna była wyleczyć. Pokazało się bowiem, że wszystkie wnioski naczelnych prezesów o złożenie z urzędów duchownych, jakie dotąd zrobione zostały, nie były w rzeczy samej wnioskami ale już wyrokami.

Tym sposobem wszystko, co tylko jeszcze biskup może mieć w dyecezyi prawdziwie duchowego, zacnego, co nie uległo zatruciu i przechowało się zdrowem, zostanie albo wyrzucone albo na bezczynność skazane.

Najważniejsze przeto prawa biskupie, wychowania duchownych, rządzenia nimi, zawiadywania posadami duchownemi, a tem samem kierowania sumieniami wiernych, wydarł rząd biskupom i sobie przywłaszczył. Nie jest to zatem czczym frazesem ani przesadą, jeśli powiemy, że podług tych praw nie biskup, ale naczelny prezes, a w ostatniej instancyi minister spraw duchownych ma być dyrektorem sumienia katolików.

Nim roztrząśniemy rzecz o karności kościelnej, musimy tu na jeden jeszcze ważny punkt zwrócić uwagę, któryśmy pominęli, aby nie przerywać związku. Jest to przepis zawarty w §. 18, stanowiący, aby biskup w ciągu roku pod karą 1000 tal. każdą wakującą posadę duchowną *stałe* obsadził

Naczelnemu prezesowi tylko służy prawo dyspensowania i przedłużenia tego terminu. Motywa ilustrują ten przepis w ten sposób, iż „rząd tym środkiem ma zamiar także i pod względem materyalnym wyzwolić duchownych z pod zawisłości od władzy duchownej i dać im opiekę prawa w tej mierze.“ Co taka przychylność warta, która krzywdzi i znieważa ojca w interesie dziecka, któż od razu nie pozna? Jest to bardzo niezręcznie frazeologią pozłożony środek rewoltowania duchowieństwa przeciw biskupom.

Ten przepis, który, jak się później przekonamy, kilku biskupów na dotkliwie naraził kary pieniężne i fantowania, wdzierą się w najgłębsze tajniki wewnętrzne Kościoła. Pozornie jest prawie bez znaczenia, gdyż prawo kościelne ma w tej mierze pewne i niezłomne prawa, których żaden biskup bez ważnych nader powodów przekraczać nie może. Rzadkim przeto będzie przypadek, w którym posada duchowna w ciągu roku nie zostanie stale obsadzona. Lecz, jeśli rzeczywiście zajdzie taki przypadek, czyż to może być w interesie biskupa nie obsadzić urzędu duchownego w ten sposób, w jaki tego Kościół wymaga? Pierwsza prałatura kapituły poznańskiej wakowała dłużej, niż dwadzieścia lat, a byłoż to winą arcybiskupów? Jeżeli rząd narzucał arcybiskupowi kandydatów, których nie mógł z dobrem sumieniem Stolicy Apostolskiej polecić, któż natenczas był temu winien, że ta posada tak długo wakowała? Nie zawsze przeto jest w mocy biskupa wcześniej zaradzić potrzebie stanowczo i musi o tymczasowem obsadzeniu pomyśleć. A jeśli to jest prawnie w jego mocy, musi mieć nader ważne powody, dla których temu obowiązкови zadość nie czyni. Powody te mogą się odnosić tylko do spraw pasterstwa dusz, nabożeństwa, karności kościelnej, do osób duchownych i t. p., w każdym jednak razie do spraw czysto wewnętrznych kościoła, które z interesem państwa żadnego związku nie mają. Co więcej, sprawy tego rodzaju są po największej części rzeczą sumienia i dyskrety. W te tedy sprawy najdotkliwszej natury ma wchodzić nie biskup ale naczelny prezes, akatolik lub niechrześcijanin, i w ostatniej instancyi decydować. Ten zatem do-datek, który naczelnego prezesa upoważnia do decyzji w sprawach czysto duchownych, odnoszących się wyłącznie do pasterstwa dusz, gorszym jest i niebezpieczniejszym od właści-

wego przepisu samego. Biskup ma tylko prawo przedstawienia interesu duchownego naczelnemu prezesowi i wytłumaczenia się z swego postępowania, a potem oczekiwania jego decyzji. Żaden biskup katolicki nie wątpi o tem, że ma obowiązek w sprawach świeckich stawienia się i tłumaczenia przed urzędem świeckim, ale w kościele jest on rządzcą, jemu oddał Zbawiciel świata rządy powierzonej mu trzódki, nie Piłatowi ani Herodowi, biskup, chociażby nawet chciał, nie ma prawa zwalniać się z tej powinności składać ją na inne barki. Znaczenia przeto innego w rzeczy samej nie ma ten przepis, jak w pierwszej linii rewoltowania duchownych przeciw biskupom przez wmawianie w nich, że im się krzywdą dzieje, a w drugiej zredukowanie powagi biskupów na zupełne zero. Decyzya w ogóle, które posady duchowne stale mają być obsadzone, a która nie należy do kościelnej, nie zaś świeckiej władzy. Są bowiem pewne rodzaje urzędów duchownych, które podług przepisów prawa kanonicznego nie mogą być stale obsadzone, jak np. parafia oddana pod zarząd zakonów.

Najbardziej dotknięte zostały tym przepisem te części dyecezyi Kolońskiej, Trewirskiej i Monasterskiej, które pozostały pod prawem francuzkiem. Są to tak nazwane parafie sekularne, których plebani nie byli stale instytuowani i mogli być każdej chwili przez biskupa przeniesieni (*ad nutum amovibiles*), co się jednak w rzeczy samej nader rzadko praktykowało. Takich parafij jest w wymienionych dyecezyach 1200. W ciągu roku od wyjścia tego prawa miały być te wszystkie parafie podług tego przepisu zmienione. Do takiego przeistoczenia tych plebanij nie byli biskupi nawet upoważnieni najpierw z powodu, że bulla „*de salute animarum*“ regulując stosunki Kościoła katolickiego w r. 1821, pozostawiła je w tym charakterze, a powtóre z tego, że Stolica Apostolska dekretem z dnia 1 Maja 1845 r. poleciła nie zmieniać w tej mierze nic, dopóki sama inaczej nie rozporządzi.

Biskupi zatem, którzy w swoich dyecezyach mają tego rodzaju parafie, mogli taki przepis uważać tylko za deklaracyę rządu, że z swej strony przeciw tej zmianie nie ma nic do nadmienienia. Lecz zmiana sama mogła tylko prawnie nastąpić z ramienia Stolicy Apostolskiej. W ogóle ani pani papież ani biskupi nie sprzeciwialiby się tej zmianie, gdyby

w właściwy i prawny sposób, ale nie gwałtem rządu świeckiego została przeprowadzona. Że się Kościół do ostatniej chwili z przeistoczeniem tych parafij ociagał, było niewątpliwie powodem do tego i ta okoliczność, że Sobór powszechny Watykański miał zamiar wydać w tej mierze potrzebne przepisy i prawidła. Nie miał przeto rząd najmniejszego interesu, najmniejszego rozsądnego powodu do mieszanja się w tę sprawę krom tego jednego, że tym środkiem na jeden raz uda mu się 1200 duchownych przeciw swoim biskupom zrewoltować. Jak w całej swej polityce realnej, tak i w tej sprawie nie liczył rząd na żadne wyższe siły moralne, ale jedynie na interes doczesny duchowieństwa, przypuszczając, że każdy z tych plebanów będzie wolał posiadać stały urząd duchowny, aniżeli być *ad nutum episcopi amovibilis*. Tymczasem duchowieństwo odpowiedziało na to niegodne posądzenie go jednomyślnie: *Ti-meo Danaos etiam dona ferentes* i wolało pozostać na łasce biskupa, aniżeli się uciekać pod opiekę prawa rządu. Chociaż sidła tę założone były chytrze i mądrze na bardzo znaczną liczbę duchownych, potargała je jednak wierność duchowieństwa, a rząd mimo, że już nie jeden, jak prawo przepisuje, ale trzeci upływa rok, nie śmie przecież z obawy wywołania gwałtownego oburzenia ludu prawa swego przeprowadzić.

(Ciąg dalszy i dok. nastąpi).

WALKA

KAZIMIERZA JAGIELLOŃCZYKA Z MACIEJEM KORWINEM

O KORONĘ CZESKĄ.

ROZDZIAŁ I.

Od czasu jak Stolica Apostolska odniosła zwycięstwo nad soborem bazylejskim, który chciał ograniczyć władzę papieżką, i obaliła zasadę wyższości soboru nad papieżem, musiała również skierować swoje usiłowania ku uchyleniu praktycznych tej zasady wyników — owych szerokich ustępstw, które sobór poczynił był kościołom krajowym ze szkodą powszechnego. Dopóki bowiem to trwało, dopóty Stolica Apostolska nie mogła się cieszyć stałym tryumfem, ani rachować na odzyskanie blasku, jakim jaśniała za Grzegorzów i Innocentych. Ze wszystkich zaś ustępstw bazylejskich najdalej szły tak zwane kompaktaty r. 1436, zapewniające husytyzmowi czeskiemu prawo obywatelstwa wśród społeczności katolickiej. Nie dosyć, że decentralizacya kościelna i w nich się odbiła, podobnie jak w Sankeyi pragmatycznej, udzielonej Francuzom, albo w dekretach soboru, dotyczących Niemiec, kompaktaty świadczyły niejako o słabości władzy kościelnej, skoro Czesi

sprzedali mu swoje posłuszeństwo za wolność przyjmowania Sakramentu Ołtarza pod dwiema postaciami; wreszcie co najważniejsza i co szczególnie zawadzało restauracyi papieztwa, kompaktaty uświęcały niepraktykowany jeszcze w Europie system polityczny, w którym duchowieństwo pozbawionem było wszelkiego wpływu na rządy państwa. Ponieważ jednak Czesi byli mocno do nich przywiązani, jako do zdobyczy, uzyskanej po krwawych zapasach prawie z całym światem katolickim, przeto w Rzymie nie myślano z początku o doraźnem zniesieniu kompaktatów, tylko wedle możności starano się je omijać, zwłaszcza że ówczesny stan królestwa czeskiego zdawał się sam przygotowywać papieżom grunt do przyszłej roboty. Już w bratobójczej bitwie husytów pod Lipanem skrajne sekcjarstwo czeskie poniosło walną klęskę materyalną, następnie nie przypuszczone do kompaktatów, które sobór przyznał tylko umiarkowanym utrakwistom, zaczęło i we własnym kraju uchodzić za herezyę, aż nareszcie całkiem zmarniało w burzliwym bezkrólewiu, które po śmierci cesarza Albrechta II, pierwszego króla Czech i Węgier z domu Habsburskiego, przez lat czternaście rozdzierało Czechy. Ale i utrakwiści nie mało sił zużyli, nim tę lewicę husytyzmu zdołali pokonać, a im wyraźniej starali się zaznaczyć swoją prawowierność wobec przeciwników, tem większy, ma się rozumieć kładli nacisk na łączność swego wyznania z katolicyzmem. Kiedy wreszcie bezrząd ustał przez koronacyę syna Albrechtowego, Władysława Pogrobowca, dla papieztwa otworzyły się w Czechach nowe widoki. Władysław był gorliwym katolikiem, dwór jego składał się prawie z samych katolików; przy tem można się było spodziewać, że rządy tego króla, który wstąpił na tron w czternastym roku życia, potrwać bardzo długo. Na nieszczęście Władysław umarł po czteroletniem panowaniu, w chwili gdy czynił przygotowania do ślubu swego z Magdaleną, córką Karola VII, króla francuzkiego, a Czesi, pominawszy katolickich książąt, zgłaszających się do tronu, obrali królem urodzonego husytę Jerzego Podiebradzkiego, byłego gubernatora kraju.

Husytyzm powstał, jak wiadomo, obok powszechnego w świecie katolickim pragnienia reformy kościelnej i wskutek tego pochodzenia nie tylko się rozszerzył w krótkim czasie po całych Czechach, ale wkroczył do sąsiedniej Polski, znalazł wyznaw-

ców w Niemczech, zajął nawet do Niderlandów i Hiszpanii. Lecz w długoletnich, jakkolwiek zwyciężkich bojach z katolicyzmem ta jego niby uniwersalność nie wytrzymała próby: husytyzm skurczył się, zlokalizował na małej przestrzeni swojej ojczyzny stał się wyznaniem narodowym, po którym reszta Europy poznawała Czechów, jako odszczepieńców. Co większa, nawet w tej skromnej formie husytyzm nie mógł sobie obiecywać ani trwałości, ani rozwoju; bo kościół narodowy nigdzie nie stoi na własnych nogach, tylko na kształt pogańskich systemów religijnych o tyle jest silnym, o ile się splata z całym ustrojem społecznym swoich wyznawców, jak np. kościół wschodni, gdzie zaś tej podpory nie ma, tam o kościele zaledwie można mówić, jak np. w krajach protestanckich. Czesi, lubo stali się husytami, nie wyrzekli się pobratymstwa ze światem katolickim pod względem oświaty i obyczajów; zresztą husytyzm nigdy nie dążył do zerwania tych potężnych węzłów, owszem nawet wojował jedynie dla tego, aby wywalczyć sobie miejsce w Kościele katolickim. Gdyby go zostawiono samemu sobie, gdyby zwłaszcza nowem prześladowaniem nie odświeżono jego siły odpornej, nie ma wątpliwości, że husytyzm za ciasny, aby mógł się mierzyć z katolicyzmem, za mało wyłączny, aby mógł stworzyć Kościół narodowy, byłby wcześniej czy później zniknął bez śladu. Ale papież nie dopatrzyli się jego wewnętrznej niemocy, czemu im naturalnie nie można się dziwić, bo tego nikt się wówczas nie dopatrzył. Przeciwnie wybór Jerzego Podiebradzkiego zdawał się zapowiadać husytyzmowi epokę szczęśliwego kwitnienia pod rządami nowego pana, który słynął, jako przebiegły dyplomata, dobry wódz i dzielny administrator; a wszystkie te zalety, miłe jego spółwyznawcom, musiały, jak się obawiano, wyjść na niekorzyść katolicyzmu. Ażeby temu zapobiedz, Stolica Apostolska położyła Jerzemu za warunek koronacji złożenie przysięgi, że wytrwa w posłuszeństwie Kościołowi rzymskiemu i będzie się opiekować wiarą katolicką, a naród swój odwiedzie od błędnych i kacerskich nauk i przyprowadzi do jedności z Kościołem rzymskim.¹⁾

¹⁾ Kaprinai Hungaria diplomatica temporibus Mathiae regis, t. II. str. 163—166.

Trudno iść za przypuszczeniem Palackiego, jakoby Jerzy nie rozumiał prawdziwego znaczenia ułożonej w ten sposób przysięgi, zwłaszcza że o kompaktatach nie było w niej ani słówka.²⁾ Jeżeli bowiem o tak ważnej rzeczy zamilczano nie przez pomyłkę, ale w skutek kompromisu, jak się domyśla znakomity historyk, tem słuszniej należy mniemać, że Jerzy, który bynajmniej nie grzeszył naiwnością, odgadł, czego Stolica Apostolska spodziewała się po nim w zamian za uznanie jego królewskiej godności. A chociaż te oczekiwania przechodziły jego możność i chęci, wykonał przysięgę po prostu dla tego, że nie mógł jej odmówić. Czechy, prawie całe husyckie, były mu oddane duszą i ciałem, lecz katolickim krajom korony, jako to znacznej części Moraw, Szląskowi i Łużycom król heretyk wcale nie smakował, i od papieża zależało, czy Jerzy miał się w nich spotkać z uległością, czy też z rokoszem. Szczególnie w bogatym Wrocławiu tak dalece nie cierpiano husytów, że kiedy nietylko krajowcy, ale po jakimś czasie i obce dwory uznały Jerzego królem, to miasto samo odmówiło mu hołdu.

W krytycznej dla Jerzego chwili, kiedy tron pod nim jeszcze się chwia, Stolica Apostolska wymogła na nim trudne dla niego zobowiązanie; w innej chwili podobnej, kiedy Jerzy był prawie całkiem ogołocony ze sprzymierzeńców, wytłómaczyła mu sens tego zobowiązania i zażądała wypełnienia. Było to w roku 1462. Cesarz Fryderyk nie mógł darować Jerzemu, że w poprzednich latach po kryjomu ubiegał się w Niemczech o tytuł króla rzymskiego, aby usunąć cesarza od rządów Rzeszy; Maciej Korwin, król węgierski, równie jak Jerzy, wyniesiony na tron z woli narodu, a od niedawna jego zięć miał do niego urazę z powodu, że Jerzy niedosyć szczerze popierał go w wojnie z cesarzem; układy z Kazimierzem Jagiellończykiem, rozpoczęte przed dwoma laty w Bytomiu celem zaprzyjaźnienia dworu polskiego z czeskim, jeszcze nie były doszły do końca; wprowadzie sprzyjali Jerzemu niektórzy książęta niemieccy, ale ich przychylność niewiele znaczyła wobec chronicznego zamieszania, w jakim Niemcy od wieków były pogrążone. Tak stały rzeczy w Pradze, gdy na początku tego

¹⁾ Palacky Geschichte von Böhmen, t. IV. cz. II. str. 41.

roku na usilne nalegania papieża Piusa II, Jerzy wyprawił dość uroczyste poselstwo z obedyencyą, lecz zarazem z prośbą o potwierdzenie kompaktatów. Pius II był stanowczym ich przeciwnikiem, najwplywowski jego doradcy, kardynałowie Carvajal, Bessarion, Cusa, mężowie wielce szanowani w świecie chrześcijańskim, również nie wiedzieć nie chcieli o kompaktatach. Przytem Stolica Apostolska ciągle rosła w siłę i powagę; właśnie podczas pobytu poselstwa czeskiego obchodzono w Rzymie trzydniowemi uroczystościami zniesienie sankcyi pragmatycznej we Francyi, wyjątkowe swobody Kościoła niemieckiego jeszcze dawniej zostały uchylone konkordatem wiedeńskim. Do zupełnego tryumfu papieztwa brakowało tylko odwołania kompaktatów, przeciw którym już za Władysława Pogrobowca powstawał w swoich kazaniach Św. Jan z Kapistranu. Papież i wymienieni wyżej kardynałowie starali się naprzód nakłonić posłów Jerzego do wyrzeczenia się kompaktatów; a gdy to, jak przewidzieć było można, nie pomogło, Pius II zwołał konsystorz i w obecności blisko 4.000 osób ogłosił kompaktaty za nieistniejące, zabronił ludowi komunikować pod dwiema postaciami i oświadczył, że obedyencyę Jerzego przyjmuje tylko pod warunkiem wytepienia w Czechach błędów heretyckich, do której od tej chwili obok taborytyzmu, pikardyizmu i innych nauk podobnych, zaliczonym został legalny aż do tego roku utrakwizm ¹⁾).

Spodziewany lub nie cios ten dotknął Jerzego. Husyta z ojca i matki, Husytom zawdzięczający koronę, król czeski nie chciał usłuchać rozkazu papieża, tak we własnym interesie, jakoteż ze względu na utrzymanie w kraju religijnego pokoju. Dowodził on, że w niczem nie naruszył przysięgi, wykonanej przed koronacyą, zawsze zostawał w jedności z Kościołem katolickim i ścigał sekciarzy, odstępujących od kompaktatów; lecz nie uważał i nie chce uważać za herezyę utrakwizmu, przez tenże Kościół uznanego, oraz nie sądzi, aby papież mógł dowolnie odwoływać postanowienia soboru ²⁾. Wiedząc jednak, że nie odwróci burzy teologiczną szermierką,

¹⁾ Palacky IV. II. 215 — 232; Rajnald *Annales ecclesiastici* tom X Lucae 1753, str. 328, 330—331.

²⁾ Rajnald 332.

uciekł się do innych środków. Stolica Apostolska oddawna upominała narody katolickie, aby połączonemi siłami wypędziły Turków z Europy, i sama nieraz na ten cel znaczne sumy łożyła; szczególnie zaś od czasu zdobycia Konstantynopola przez Mahometa II plan wyprawy krzyżowej na wschód bez ustanku zatrudniał papieży, a Pius II był jednym z najgorętszych jego inicjatorów. Otóż Jerzy postanowił wziąć tę sprawę na siebie i przy pomocy innych dworów przywieść ją do skutku niezależnie od Rzymu. Starał się też utworzyć coś nakszałt parlamentu międzynarodowego, w którymby królowie i książęta załatwiali swoje interesa, nie oglądając się na papieża ¹⁾. Ale nie udało mu się ani jedno ani drugie. Pomysł owego parlamentu, podniesiony, jak wiadomo, po raz drugi w wieku XVII przez Henryka IV, zanadto trącił ideologią w wieku XV, kiedy jeszcze nie znano wyrażen „Europa chce, Europa nie pozwala,“ a nawet i w dzisiejszych czasach, pomimo że te wyrażenia codziennie o nasze uszy się obijają, plan taki nie dałby się urzeczywistnić. W projektowanej wyprawie tureckiej papież z łatwością odgadł opozycyjne zamiary Jerzego i pobił go własną jego bronią, oświadczywszy całemu światu chrześcijańskiemu, że bez względu na wiek podeszły i styrane zdrowie sam pragnie stanąć na czele krucjaty. Wprawdzie świat obojętnie wysłuchał tego oświadczenia, tylko Węgry i Wenecja zawarły z sobą przymierze przeciw Turkom, do czego zresztą nie trzeba ich było napędzać, ponieważ niebezpieczeństwo tureckie zagrażało tym państwom przed wszystkiemi innemi. Kiedy zaś papież, lubo cierpiący, istotnie wybrał się na wyprawę w przekonaniu, że co żyje, pójdzie za jego przykładem, i przybył z Rzymu do Ankony, zastał tam zamiast porządnego wojska tylko trochę obdartego motłochu bez broni i pieniędzy. Gorycz rozczarowania pogorszyła jego chwilę, a nareszcie przypawiła go o śmierć 15 Sierpnia 1464 r. Ale Jerzy Podiebradzki nie uniknął kary za swoje plany, bo przed wyjazdem papieża z Rzymu wytoczony miał formalny proces o herezję²⁾. Jedynym owocem jego zabiegów był zjazd z Kazimierzem

¹⁾ Palacky IV. II. 238—239.

²⁾ Rajnald 374—365, 400—405.

Jagiellończykiem w Głogowie, gdzie obaj królowie przepędzili z sobą dwanaście dni od 18 do 30 maja 1462 r., potwierdzili dawne traktaty pokojowe swoich poprzedników, postanowili nie upominać się — Jerzy o Zator, Oświęcim, Żywiec, Siewierz i Berwald, będące w rękach Polaków, a Kazimierz o niewypłacone wiano swojej małżonki, i nareszcie rozjechali się w najlepszej i na zawsze utrwalonej zgodzie ¹⁾. Co się tyczy wielkiej ligi przeciw Rzymowi, nie wiadomo, o ile Kazimierz Jagiellończyk dał się do niej wciągnąć. Przymierze polsko-czeskie przeciw Turkom ukazało się wprawdzie w traktacie głogowskim, chociaż bez współudziału innych sprzymierzeńców, a osobiście króla węgierskiego, musiało naturalnie pójść wkrótce ad acta; zdaje się, że i parlamentowi międzynarodowemu król polski również nie był przeciwny. Lecz brakuje nam wskazówek, czy pod tym względem Jerzy postępował z Kazimierzem otwarciej, niż z innymi monarchami, czyli też i jemu, podobnie jak tamtym, nie wyjawiał istotnego celu swoich zamysłów.

Śmierć Piusa II oraz prośby, zanesione do jego następcy Pawła II przez cesarza Fryderyka sprawiły, że proces króla czeskiego został wstrzymany. Cesarz wstawiał się za Jerzym przez wdzięczność, że ten w końcu roku 1462 oswobodził go z rąk zbuntowanych Wiedeńczyków; Jerzy zaś uczynił to dla pozyskania w cesarzu oczywiście nie sprzymierzeńca przeciw papieżowi, o czem niepodobna było myśleć, ale przynajmniej orędownika. Jakoż w istocie cesarz Fryderyk, o ile się to zgadzało z jego zimną, wszelkiej energii pozbawioną naturą, starał się odwrócić od Jerzego gniew Stolicy Apostolskiej; wskutek jego przełożeń Pius II nie zaraz po zniesieniu kompaktów chwycił się surowych środków przeciw Jerzemu, i Paweł II zezwolił do czasu na ich zaniechanie. Lecz nadzieja porozumienia się z Rzymem, która z tego powodu wstąpiła była w króla, niezadługo obróciła się w niwecz. Lud wiejski, mieszczaństwo pochodzenia słowiańskiego i stan rycerski w Czechach były husyckie, ale wyższa szlachta prawie cała trzymała się katolicyzmu i dla samej różnicy wyznania nie bardzo sprzyjała Jerzemu; z biegiem czasu powstały wśród niej inne

¹⁾ Długosz ks. XIII str. 290—292; Dogiel Codex dipl. regni Pol. t. I. str. 14—19.

przyczyny niechęci, po większej części osobistej natury, tak iż nareszcie w r. 1465 utworzył się przeciw królowi związek panów pod przywództwem Zdenka Sternberga Konopnickiego, serdecznego niegdyś przyjaciela Jerzego. W kraju panowie nie nadawali swojej opozycji charakteru religijnego, ażeby nie narażać sobie reszty ludności, tylko uskarżali się na mniemane wykroczenia Jerzego przeciw swobodom publicznym, ale w Rzymie naturalnie występowali jako prawowierni synowie Kościoła, uciskani przez heretyckiego monarchę. Intrygi Sternberga spowodowały nadto rozchwianie się dobrych stosunków między Jerzym a Fryderykiem ¹⁾. Ma się rozumieć, że te wypadki tylko przyspieszyły powtórna burzę, która niebawem spadła z Rzymu na nieposłusznego króla czeskiego, lecz nie były jej przyczyną wyłączną, ani nawet główną. Precz z husytyzmem! mówiono w Rzymie i jedynie pod tym warunkiem ofiarowano Jerzemu łaskę Stolicy Apostolskiej. Na rozkaz Pawła II kardynałowie Carvajal, Bessarion i Berard Spoletański wydali 2go Sierpnia 1465 r. edykt, aby Jerzy Podiebradzki, mianujący się królem czeskim, stanął w ciągu 180 dni przed sądem papieżkim jako oskarżony o herezyę, krzywoprzysięstwo, świętokradztwo, bluźnierstwo i tym podobne zbrodnie. We cztery dni potem ukazał się nowy dekret, którym papież upoważnił Rudolfa Rüdesheima, biskupa lawanckiego, do rozwiązania wszelkich węzłów przyjaźni, pokrewieństwa i poddaństwa, kogokolwiekbądź z Jerzym łączących. Ostatni ten krok, wyglądający jak formalne odsądzenie Jerzego od tronu, a uczyniony nietylko przed zapadnięciem wyroku, lecz nawet przed dojściem sądu na pozwanego, nie był prawnym, czemu zresztą papież wcale nie przeczył, ale usprawiedliwiał swój postępek niebezpieczeństwem zwłoki i jawnością grzechów Jerzego. Dlatego więc i w późniejszej buli, wydanej 8 Grudnia, nie wahał się wyraźnie wspomnieć o potrzebie obsadzenia tronu czeskiego katolickim panem ²⁾. Ale zkąd było wziąć takiego

¹⁾ Palacky IV, II. 336—352.

²⁾ Palacky IV. II. 455—356; Kaprinai II. 589; Eschenloer Geschichten der Stadt Breslau t. I. str. 296—299. Dzieło Eschenloera, kończące się na r. 1479, jest częścią przeobrażeniem, częścią dalszym ciągiem łacińskiej pracy tegoż

pana, coby nietylko miał ochotę włożyć sobie na głowę koronę Śgo Wacława, lecz oraz potrafiłby ją odebrać ówczesnemu posiadaczowi? W Niemczech nikt o tem nawet nie zamarzył i pamiętano tam jeszcze klęski, doznane od Żyżki i Prokopów, a chociaż ci wódzowie już dawno poumierali, ich czyny zjednały Czechom sławę mężnych i wywiczonych w wojennem rzemiośle żołnierzy, z którymi mierzyć się nie uchodziło za rzecz bezpieczną. Ztąd i cesarz nie okazywał gotowości do wykonania na Jerzym wyroku papieżkiego. A że w każdym razie tylko najbliższy sąsiad króla czeskiego mógłby się zabrać do tak trudnego dzieła, pozostał więc papieżowi wybór między Maciejem Korwinem a Kazimierzem Jagiellończykiem.

Maciej Korwin, syn sławnego Jana Hunyada, dostał się po Władysławie Pogrobowcu na tron węgierski dzięki zasługom swojego ojca, a częścią także przy pomocy Jerzego Podiebradzkiego; później zaślubił jego córkę. Ale względy wdzięczności i pokrewieństwa nigdy nie kierowały tym genialnym, energicznym, lecz wszelkiemu tkliwszemu uczuciu obcym człowiekiem; żądza panowania i chwały wojennej była główną sprężyną jego działalności. Na jego stosunki z teściem młodzianka królowa nie miała żadnego wpływu, zresztą umarła po trzechletnim niespełna pożyciu wskutek nieszczęśliwego położu ¹⁾. W walce Stolicy Apostolskiej z Jerzym, Maciej wyraźnie się przechylał na stronę Rzymu tak z przekonania; jak z konieczności: papież widzieli w nim niejako naturalnego obrońcę chrześcijaństwa od tureckiej nawały, a chcąc mu to zadanie ułatwić, zasilali go pieniędzmi i wspierali swoim wpływem jego powagę w kraju, gdzie potężni magnaci zawsze byli gotowi przeciw niemu spiskować. Nie dziw, że Maciej ze swojej strony zawsze się wyznawał najposłuszniejszym synem Kościoła i był nim rzeczywiście, ilekroć nie cierpiała na tem jego wła-

autora, wydanej pod tytułem *Historia Wratislaviensis*, w VII t. *Scriptores rer. Siles.*, ogłaszanych przez Towarzystwo badaczy historyi i starożytności szląskich. Posługiwaliśmy się tak jedną jak drugą pracą, gdyż obie w ścisłym z sobą zostają związku, wzajemnie się uzupełniając. Szkoda jednak, że tekst łaciński sięga tylko początku r. 1472.

¹⁾ Długosz XIII. 323.

dza królewska. Skoro więc Paweł II zawiadomił go o pozwaniu Jerzego przed sąd i oświadczył, że w razie oporu ze strony oskarżonego Stolica Apostolska będzie potrzebowała skutecznej pomocy, której król węgierski, wiedziony chęcią dostąpienia niebieskiej i ziemskiej nagrody, zapewne nie odmówi, Maciej odpisał mu 2go Października 1465, że wszelkich trudów i niebezpieczeństw chętnie się podejmie na rozkaz namiestnika Chrystusowego, szczególnie gdzie chodzi o tryumf prawdziwej wiary i wytępienie bezbożnego kacerstwa, że nie odstraszy go moc nieprzyjaciela, jak również nie wstrzymają dawne związki pokrewieństwa, i że zawsze jest gotów do boju bądź z Turkami, bądź z Czechami ¹⁾. Tę odpowiedź, pełną zapału, widocznie podyktowała Maciejowi obietnica ziemskiej nagrody, czyli mówiąc po prostu, nadzieja opanowania tronu czeskiego. Jednakże papież nie bez racji uniknął wyraźnych w tym przedmiocie oświadczeń; łatwo było odsądzić Jerzego od korony, ale daleko trudniej ofiarować ją Maciejowi. Ówczesne stosunki króla węgierskiego z cesarzem Fryderykiem były tego rodzaju, że Fryderyk wcale sobie nie życzył spotężnienia ambitnego sąsiada i na uczynienie go królem czeskim za nicby nie zezwolił. Nie wypadało też narzucać Czechom nowego władcy bez dołożenia się katolickich panów czeskich; ci zaś w poselstwie do papieża, wyprawionem pod koniec tego roku, oświadczyli się za Kazimierzem Jagiellończykiem, pod którego opiekę już się udawali niegdyś Wrocławianie, kiedy Jerzy chciał ich zmusić do wykonania sobie hołdu ²⁾. Przytem oderwać Macieja od dotychczasowych jego zapasów z Turkami nad Dunajem znaczyło tyle, co samochcąc ułatwić barbarzyńcom ich zgubną dla chrześcijańskiej cywilizacji robotę na półwyspie bałkańskim. Porachowawszy się z temi względami, Paweł II postanowił zachować sobie usługi Macieja na później, odwołać się do nich w razie ostateczności, a tymczasem ze wszystkich sił kołatać do dworu polskiego.

¹⁾ Katona *Historia critica regum Hungariae* t. XV str. 32—34, 135—136.

²⁾ Kaprinai II. 591; Długosz XIII. 246.

Kazimierz Jagiellończyk, ożeniony z siostrą Władysława Pogrobowca Elżbietą, wystąpił po śmierci swojego szwagra z pretensjami prawie do całej po nim spuścizny, pragnął bowiem Czech i Węgier, a tylko nie upominał się o księstwo austriackie, o które zawzięcie się kłócili cesarz Fryderyk, brat jego Albert i Zygmunt, książę Tyrolu ¹⁾. Roszczenia Kazimierza, które on, ma się rozumieć, nazywał prawami swojej małżonki i zrodzonych z niej dzieci, w gruncie były bezzasadne. Tak w Węgrzech, jak w Czechach tron od wieków był obieralny, i każdy król czeski i węgierski o tyle tylko prawnie dzierżył rządy, o ile wyraźnym i domniemanym aktem obioru powołanym był do nich z wolnej woli narodu. Wprawdzie faktycznie następstwa tronu przechodzili zwykle z ojca na syna, a po wygaśnięciu męskiego potomstwa panującego rodu przysługiwało kobietom, które przez małżeństwa wносиły je w obce domy i tym sposobem dawały początek nowym dynastjom. Ale nawet według tego zwyczaju Kazimierz Jagiellończyk, jako mąż młodszej siostry Pogrobowca, musiałby ustąpić pierwszeństwa księciu Wilhelmu saskiemu, ożenionemu ze starszą siostrą Anną, bo ten także w imieniu żony ubiegał się o spadek po nieboszczyku. Zachody Kazimierza rozbiły się, jak zwykle w podobnych wypadkach, nie o bezpodstawność jego pretensyj, lecz z jednej strony o niemożebność poparcia ich siłą, gdyż Polska była podówczas ciężko zatrudniona wojną pruską, z drugiej strony o wolę narodu, która na obydwu wakujące trony wyniosła królów krajowców. Kazimierz Jagiellończyk zniósł niepowodzenie o tyle cierpliwie, że nie przedsięwziął żadnych kroków, jak to czynił np. Wilhelm saski, dla odzyskania tego, co się odzyskać nie dozwala, jednakże ilekroć nadarzyła się sposobność, wyraźnie dawał do zrozumienia, że pretensyj swoich bynajmniej się nie zrzeka. Przykra to była nowo obranym monarchom, szczególnie zaś Jerzemu Podiebradzkemu, który od pierwszej chwili swego panowania zawsze w takim zostawał położeniu, że przychylność dworu polskiego była mu wielce pożądaną. Czechy należały po części do związku Rzeszy niemieckiej, gdyż król czeski był zarazem elektorem niemieckim i nosił tytuł podczaszego ś. państwa rzymskiego. Otóż przy-

¹⁾ Długosz XIII. 220, 222.

znanie tej godności Jerzemu trafiło z początku na wielki opór ze strony cesarza i książąt, którzy nie chcieli przyjąć do swego grona Słowianina i kacerza. Oprócz tego zaszyły jakieś nieporozumienia z Maciejem Korwinem, trzeba było prowadzić wojnę z bratem cesarskim Albrechtem i gotować się do wojny z nieposłusznymi Wrocławianami. Usiłował więc Jerzy zbliżyć się do Kazimierza i w ostatnich miesiącach 1458 wyprawił doń poselstwo z ofiarowaniem trwałej przyjaźni i zbrojnej, a może tylko dyplomatycznej pomocy przeciw Krzyżakom. Kazimierz dał na to bardzo zimną odpowiedź zostawiając czasowi zawiązanie dobrych stosunków między obydwoma dworami, a przytem nie omieszkiał wspomnieć o swoich prawach do korony czeskiej. W następnym roku udało się Jerzemu pozawierać traktaty z najznakomitszymi książętami Rzeszy: bawarskimi, saskimi, brandeburskimi, a nawet spowinowacić się ze swoim przeciwnikiem Wilhelmem saskim wreszcie zjednał sobie cesarza Fryderyka obietnicą, że mu pomoże do zdobycia Węgier, gdzie właśnie niektórzy magnaci, zbuntowawszy się przeciw Maciejowi, Fryderyka ogłosili byli królem. Na prawdę Jerzy nie miał ochoty wdawać się w wojnę z Maciejem, ale łudził cesarza pozorną usłużnością, aby ten nie ociągał się dłużej z uznaniem jego królewsko-elektorskiego tytułu, i rzeczywiście dopiął swego. Wogóle Jerzy nie chciał się mieszać do walki cesarza z Maciejem i tylko zmuszony okolicznościami raz trzymał z jednym, to znowu z drugim, lecz żadnego nie popierał gorliwie, co trwało mniej więcej aż do r. 1463, w którym obaj zapaśnicy z sobą się pogodzili. Trzeba powiedzieć na pochwałę Jerzego, że nie był skłonnym do rozlewu krwi, jak inni parweniusze koronowani; przede wszystkim miłował pokój w domu i zgodę z sąsiadami; to drugie było mu tem potrzebniejsze, że utwierdziwszy się na królestwie czeskim, sięgał wyżej: chciał w zastępstwie niedołężnego cesarza prowadzić rządy Rzeszy bądź skromnym tytułem konserwatora pokoju, bądź wprost jako król rzymski. Na te więc czasy dążenia do wielkości przypadło ponowienie pojednawczych kroków Jerzego względem Kazimierza Jagiellończyka. Za pośrednictwem księcia Przemysława cieszyńskiego pełnomocnicy obu królów zjechali się 6 stycznia 1460 w Bytomiu; lecz do układów nie przyszło, gdyż Polacy wytoczyli spór o koronę; za-

padła tylko uchwała, aby pełnomocnicy zgromadzili się po wtórnie w tem samym miejscu 24 czerwca. Nieprzewidziany wypadek omal nie zniweczył nadziei stałego pokoju. Jacyś ludzie zaczęli na wielką skalę szerzyć w Czechach pożary; schwytani zeznali, że czynili to z namowy króla polskiego i jego żony, dla tego wielu Polaków wypędzono z Czech, a nawet zanosilo się na wojnę. Dowiedziawszy się o tem Kazimierz wyruszył do Pragi dwóch rycerzy, Dębieńskiego i Górskiego, aby się oczyścić z potwarczego zarzutu. Posłowie polscy oświadczyli, że gdyby ich król chciał być szkodzić Czechom, byłby to uczynił otwarcie przez zbrojne wystąpienie, i wyzwali każdego, ktoby się ośmielił szkalować sławę królewskiej pary. Długosz podejrywa, że podpalacze ci byli wyprawieni przez Krzyżaków, którzy chcieli pokłócić Polskę z Czechami, ażeby sami łatwiej mogli z nią wojnę prowadzić. Jerzy uznał Kazimierza za wytlomaczonego, a tak zdarzenie to pozostało bez następstw, tylko opóźniało zjazd Bytomski który się nie odbył 24 czerwca wedle umowy, lecz dopiero 25 listopada. Tu nareszcie zdołano ułożyć się o warunki pokoju, ponieważ pretensye Kazimierza Jagiellończyka do korony czeskiej, które dotychczas przeszkadzały układom, obie strony pominęły milczeniem. Z tem wszystkiem załatwienie niektórych punktów, oraz potwierdzenie całego traktatu odłożono do osobistego zjazdu królów w Głogowie ¹⁾. Okoliczności, w jakich się odbył zjazd głogowski, kazały Jerzemu zapomnieć o pretensyach swojego sprzymierzeńca a ten znowu nie czynił o nich wzmianki, bo im dłużej przeciągnęła się wojna pruska, tem bardziej musiał na nią wszystkie swoje siły wyteżać. Zawsze jednak mógł sobie powiedzieć, że prawa swoje do Czech zaalarmował w całości.

Po wytoczeniu Jerzemu procesu papież Paweł II natychmiast wyruszył dwóch legatów, Hieronima arcybiskupa kreteńskiego do Węgier i Rudolfa biskupa lumańskiego do Niemiec, ażeby poruszali te kraje przeciwko heretykowi. Gdy jednak w Niemczech wcale się nie rwano do wojny z Czechami, a sił

¹⁾ Palacky IV, II, 50, 51, 76, 79, 87, 94, 102, 104, 116, 161, 162. Długosz XIII. 233, 253, 254, 257, 258, 260, 261.

węgierskich trzeba było użyć gdzieindziej, usiłowania legatów zwróciły się ku Polsce. Stolica apostolska zapewne sądziła, że Kazimierz Jagiellończyk z łatwością da się nakłonić do przedsięwzięcia, do którego musiały go zachęcać tak jego dawniejsze starania o koronę czeską i wytrwałe przy prawach do niej obstawanie, jako też wyraźne życzenia Wrocławian i panów katolickich w Czechach. Stało się inaczej. Na wszystkie namowy legatów papieżkich król polski ciągle odpowiadał, że przed ukończeniem wojny pruskiej nie może myśleć o walce z Jerzym Podiebradzkim. Czy obok tego przekładał legatom, że nie godziło mu się łamać traktatu głogowskiego, i czy wskazywał na trudności walki, powiedzieć nie możemy, nie mając o tych rokowaniach żadnych szczegółów dokładniejszych. A trudności były nie małe. Wszyscy wiedzieli, że Jerzy czynnie gotował się do obrony. Dwaj sławni podówczas w Niemczech doktorowie praw, Marcin Mayr i Grzegorz Heimbürg, układali w jego imieniu manifesty i odezwy, w których dowodzili całemu światu chrześcijańskiemu, jak bezzasadnie pod względem oskarżenia, a nadto z pogwałceniem form sądowych i prerogatyw, przysługujących osobom koronowanym, stolica apostolska wytoczyła proces królowi czeskiemu. Niektóre z tych pism tak zręczną odznaczały się argumentacją, że wprawiały w podziwienie nawet nieprzyjaciół. Usiłując w ten sposób zjednać sobie umysły w kraju i zagranicą, Jerzy zamknął jednocześnie wstęp do swego państwa pismom stolicy apostolskiej: wszystkie gościńce, przeprawy i bramy poobsadzał szpiegami, a przykim znalaziono skrypt jaki, ten ulegał konfiskacie majątku, albo karze na zdrowiu, lub życiu. Na wszystkie miasta podejrzanej wierności, zwłaszcza w Morawach i na Szląsku, miały pilne oko silne załogi królewskie, porozstawiane w sąsiednich zamkach. Świadomi rzeczy katolicy obliczali, że król bez ruszenia załóg z miast i zamków, mógł w każdej chwili wyprowadzić do boju 30,000 wojska. Chociaż tedy związek panów pragnął wojny i za jego staraniem przychodziło tu i owdzie do powstańczych wybuchów, na wielki, porządnie zorganizowany ruch nigdzie się nie zanosilo, pomimo że legat Rudolf, który od 9 listopada 1465 zamieszkał we Wrocławiu, nie szczędził w tym kierunku pracy, tylko gmin wrocławski bez ustanku gardłował za wytępieniem heretyków. Dla tego

właśnie Jodek biskup wrocławski, lubo należał do związku, ale trzeźwiej sądził rzeczy, miarkował zapędy legata i swoich kolegów, aby unikali wszelkich kroków zaczepnych, dopóki nie zapewnią sobie zagranicznej pomocy. Tego samego zdania był Protazy, biskup ołomuński ¹⁾. Kazimierz Jagiellończyk musiał naturalnie o tem wszystkiem wiedzieć, jeżeli zaś legat, jak przypuszczać należy, wystawiał mu położenie związku w korzystniejszym świetle, a może nawet dowodził, że traktat, z heretykiem zawarty, nie obowiązuje prawego chrześcianina, to jednak nie potrafił go przekonać o możliwości prowadzenia naraz dwóch wielkich wojen narodowych.

Stolica Apostolska uznała nareszcie słuszość wymówki królewskiej i poleciła legatowi Rudolfowi zapośredniczyć pokój między Polską a Krzyżakami. W poprzednich latach, kiedy Pius II dla sparaliżowania zamiarów Jerzego Podiebradzkiego powoływał dwory europejskie do broni przeciw Turkom, przyjeżdżał do Polski w celu zakończenia wojny pruskiej arcybiskup kreteński Hieronim. Ale w taki sposób wziął się do dzieła, że zamiast pogodzić strony, jeszcze gwałtowniejszą zasiał między nimi niezgodę, a u Polaków zasłużył sobie na sławę sprzedajnego Kreteńczyka. Dowiedziawszy się o rozjemczej missyi Rudolfa, Kazimierz Jagiellończyk wysłał do Wrocławia dziejopisa naszego Długosza, aby zażądał od legata niewątpliwego przyrzeczenia, że nie pójdzie w ślady swojego poprzednika, gdyż ten nie rozjemcą, ale raczej był patronem Krzyżaków. Długosz przywiózł królowi jak najlepsze wiadomości i uspokoił panów radnych, którzy lękali się przybycia legata, jakby jakiej zarazy. Legat dotrzymał dane Długoszowi słowo: przyjechawszy do Torunia, zaczął szczerze pracować nad ukończeniem długiej, bo już od lat trzynastu bez przerwy grasującej wojny, i po sześciotygodniowych trudach w niedzielę 19 Października 1466 przywiódł do skutku wieczysty pokój, który oparł granice Polski o Bałtyk, a króla polskiego uczynił lennym zwierzchnikiem Zakonu. Ucieszony tak pomyślnym układem, Kazimierz Jagiellończyk obsypał hojnemi darami zwyciężonego mistrza i całe jego otoczenie, a legata Rudolfa, ponieważ ten nie chciał żadnego upominku

¹⁾ Palacky IV, II. 365, 367, 369, 384, 301, 394, 397, 398.

przyjąć za swoje usługi, mianował swoim radcą i zapisał mu dwieście czerwonych złotych rocznej pensyi na żupach solnych. Jednakże z zawarciem pokoju nie wszystko jeszcze było skończone; strony uznały, że traktat toruński musi być potwierdzonym w Rzymie, — zastrzegła to sobie Stolica Apostolska, ażeby zmusić Kazimierza do wypełnienia warunku, pod jakim przystała na upokorzenie podwładnego sobie Zakonu. Po załatwieniu sprawy pruskiej legat przystąpił natychmiast do sprawy Jerzego Podiebradzkiego. Nalegał na Kazimierza, ażeby ku chwale wiary katolickiej, jako też ze względu na niewątpliwe prawa swoich synów odebrał Jerzemu królestwo czeskie; zapewniał, że wszyscy panowie katoliccy powitają go z radością, obiecywał zasiłki pieniężne ze skarbu papieżkiego, ręczył za posłuszeństwo Szląska i Łużyc i przekładał, że zanim wypędzi Jerzego z Pragi, najbezpieczniej będzie mógł rezydować we Wrocławiu; a jeżeliby sam nie chciał przyjąć rządów, niech da Czechom najstarszego syna swojego Władysława, albo wreszcie którego z młodszych. Po krótkiej naradzie z obecnymi w Toruniu panami król odpowiedział, że znudzony jeszcze sprawą pruską i pragnąc jak najspieszniej opuścić miasto, dotknięte podówczas zarazą, a zwłaszcza bez dołożenia się sejmu nie może w tak ważnej i trudnej rzeczy powziąć stanowczej uchwały; przeto prosił legata, aby w Maju roku przyszłego pofatygował się na sejm do Piotrkowa. O wcześniejszem, a tembardziej o natychmiastowem zwołaniu sejmu nie można było myśleć, gdyż i w Polsce w wielu miejscach panowała zaraza. Odpowiedź królewska tak wybornie zgadzała się z okolicznościami, że legat z dobrą otuchą wrócił do Wrocławia.¹⁾ Rok następny rozwiął jego złudzenia. Kazimierz Jagiellończyk wołał dopiąć swego celu raczej środkami dyplomatycznymi, aniżeli siłą oręża, gdyż w wojnę z Jerzym i nie chciał i nie mógł się wdawać. Krajowe rycerstwo nie było obowiązane iść swoim kosztem na wyprawę zagraniczną, król zaś nie miał z czego płacić: skarb, zawsze źle przez niego zarządzony, a skąpo zasilany przez naród, wyczerpał się do szczytu w ciągu wojny pruskiej; w dodatku król winien był ogromne sumy wojsku, które w Prusach służyło.

¹⁾ Długosz XIII 364—366, 383—385, 393—395.

Przewidując, że wiadomość o pokoju toruńskim, zawartym przy pomocy legata papieżkiego, zatrwoży Jerzego, Kazimierz Jagiellończyk postanowił czem prędzej go uspokoić. Wyprawionym do Rzymu posłom Janowi Ostrorogowi i Wincentemu Kiełbasie, którzy mieli prosić papieża o potwierdzenie traktatu toruńskiego, polecił wstąpić do Pragi i oznajmić Jerzemu, że nie dał ucha namowom jego nieprzyjaciół, dopraszających się, ażeby wziął w swoją opiekę buntowniczych panów czeskich. Palacki domyśla się, że król polski przez delikatność kazał swoim posłom zamilczeć o istotnej misyi legata Rudolfa ¹⁾. Gdy tym sposobem żaden najazd obcy nie groził królowi czeskiemu, związek panów katolickich, zostawiony własnym siłom — papież bowiem mógł go wesprzeć tylko pieniędźmi — ratował swoje istnienie pozornymi układami z Jerzym o zgodę. Obojętność dworów dla Stolicy Apostolskiej była również powodem, że w Rzymie długo ociągano się z wydaniem na Jerzego ostatecznego wyroku, obawiając się, aby wyrok, którego nikt nie chciał wykonać, nie naruszył powagi sędziów. Ale rzeczy już tak daleko szły, że Stolica Apostolska nie mogła się cofnąć przed nieuniknioną konsekwencyą dotychczasowej walki swojej z królem czeskim. Kardynał Carvajal rozprószył wątpliwości, mówiąc w uniesieniu: „alboż w tak ważnej sprawie mamy zawsze rachować tylko na ludzi, nigdy na Boga? gdy nie pomoże nam cesarz, ani Węgrzyn, ani Polak, Bóg, powiadam Wam, zstąpi z nieba i zetrze głowę bezbożnika!“ Te słowa wyrzeczone były 21 grudnia 1466, a w parę dni potem Jerzy Podiebradski został wyklęty przez papieża, jako zatwardziały heretyk, krzywoprzysięzca i świętokradca i wraz ze swoim potomstwem odsądzony od władzy i wszelkich tytułów, a poddani jego uwolnieni od przysięgi wierności ²⁾. Najzawziętsi przeciwnicy Jerzego, Wrocławianie, najpierwsi dowiedzieli się o tym akcie, wkrótce potem powziął o nim wiadomość związek panów, a w drugiej połowie Lutego 1467 bulla ekskomunikacyjna już była powszechnie znaną w całych Czechach i w krajach sąsiednich. Ale Jerzy wiedział o niej

¹⁾ Palacký IV. II. 405.

²⁾ Rajnałd 441; Długosz XIII. 400 — 401; Escheuloer I. 349—352.

daleko wcześniej gdyż w końcu Stycznia przyjechał do Polski poseł jego Paweł, przeor Dominikanów w Zderazu, z zapytaniem, czy król polski chce dotrzymać umowy głogowskiej, głoszono bowiem w Polsce, że zamierza udzielić Wrocławianom swojej opieki. Nie wiemy, jaką dał Kazimierz Jagiellończyk odpowiedź Pawłowi, lecz niezawodnie przychylną, ponieważ niebawem wyprawił do Pragi umyślnego posła z oświadczeniem, że wcale nie myśli użyczać pomocy buntownikom, a nawet gotów jest zawrzeć z Jerzym nowym w tym przedmiocie układ. W tymże czasie margrabia brandenburski Albrecht Achilles złożył Jerzemu niepospolity dowód swojej życzliwości, wydając za jego syna Henryka najukochańszą ze swoich córek Urszulę ¹⁾ Ekskomunika przyspieszyła wybuch wojny domowej. Wrocławianie nie posiadali się z radości, pytając się, gdzie też Jerzy uciecze przed skutkami klątwy ²⁾? Związek panów począł śmiało się ruszać. Z drugiej strony Jerzy, który do ostatniej chwili przypuszczał, że za pewne korzyści, ofiarowane przezeń katolicyzmowi w Czechach, Stolica Apostolska pozwoli na istnienie husytyzmu, i dla tego pomimo wszystkie swoje manifesty i zabiegi około utworzenia koalicji antypapieżkiej kilkakrotnie próbował z Rzymem układów za pośrednictwem niektórych dworów, dowodnie się przekonał, że był w błędzie. Skoro więc zbliżyło się do końca zawieszenie broni ze związkiem panów, zawarte w jesieni do dnia ś. Jerzego, przywódca związku Zdenko Sternberg otrzymał od króla list wypowiedni ³⁾.

Wojna, która się odtąd zaczęła naprzód w Czechach, niebawem zaś ogarnęła Morawy, Szląsk i Łużyce, gdzie wiele miast, wypowiedziawszy posłuszeństwo Jerzemu, połączyło się z panami czeskimi w jeden wielki związek katolicki, miała charakter wojen feudalnych, jakie w XV wieku szczególnie wrzały w Niemczech. Do znaczniejszych bitew nigdzie nie przychodziło; obie strony walczyły małemi, po całym kraju rozsypkami oddziałami, paliły wsie, niszczyły zasiewy, uprowadzały zdobycz i oblegały zamki, których zdobycie przy nieco

¹⁾ Długosz XIII. 399; Palacky IV. II. 405. 424.

²⁾ Eschenloer t. II. str. 23.

³⁾ Palacky IV. II. 436.

rozwinętej jeszcze artyleryi polegało głównie na szturmie, lub wygłodzeniu załogi. Przy takim sposobie wojowania fortuna literalnie kołem się toczyła, pobity jednego dnia odnosił naza jutrz zwycięstwo i odwrotnie; wogóle jednak król był górą, a im dłużej trwała wojna, tem przewaga jego nad związkowymi stawiała się widoczniejszą ¹⁾. Ale postać rzeczy mogła się całkiem zmienić za lada wnięszaniem się dworu polskiego, ztąd obawy i nadzieje walczących były przedewszystkiem w tę stronę zwrócone. Panowie katolicycy prosili Kazimierza Jagiellończyka o pomoc; Jerzy, który nie mógł jej żądać bez narażenia swego sprzymierzeńca na klątwę papieżką, prosił o neutralność. Kazimierz pozostał neutralnym; jednakże rozważając swój stosunek do obu stron nieprzyjacielskich, z których jedna obiecywała mu za jego trudy najświetniejszą nagrodę, a druga, przynajmniej w owym czasie nie obiecywała za bezczynność, musiał niekiedy wychylać się z roli obojętnego widza. Pierwszych dni maja rozpoczął się sejm piotrkowski, podczas którego przybył od Jerzego nowy poseł Jan Iczyński z tem samem zapytaniem, z jakim w Styczniu przyjeżdżał przeor Paweł. Król ponownie oświadczył, że jak dotychczas wiernie dotrzymywał, tak i nadal dotrzyma zobowiązań głogowskich, byle Czesi wynagrodzili szkody, poczynione Polakom. Ściągało się to zapewne do przeszłorocznej, a niezafatwionej jeszcze sprawy wodza czeskiego Ścibora Towaczowskiego, który ciągnąc przeciw Wrocławianom, na żądanie kilku swoich rycerzy, mających jakieś pretensye pieniężne do Kazimierza, wpadł do Polski i zrabował Częstochowę, by tym sposobem dług odebrać. Tego rodzaju rzeczy były wówczas na porządku dziennym i jeżeli się nie działy z wyraźnego rozkazu panujących, nie uchodziły za złamanie pokoju międzypaństwowego. Iczyński przyrzekł zadośćuczynienie i odjechał uspokojony. Powodem jego poselstwa była na dworze czeskim obawa interwencji polskiej na korzyść związku katolickiego. Zdenko Sternberg przechwalał się bowiem, jakoby Król Kazimierz obiecał przysłać mu w pomoc pięć tysięcy jazdy, a za dojrzeniem w polu naszy dla koni przybyć osobiście ze znaczniejszem wojskiem. Ile w tem było prawdy, nie podobna dociec. W tym samym czasie, kiedy

¹⁾ Palacky IV. II. 438—448.

Sternberg puszczał w obieg wieść o posiłkach polskich, związek panów pisał do Kazimierza i do sejmujących w Piotrkowie stanów, a w tem piśmie nie ma wzmianki o żadnych obietnicach, czynionych Sternbergowi. Związek zdawał sprawę ze swego położenia, żądał rychłej pomocy, a dla wyjednania jej dodawał, że skoro papież odsądził Jerzego od królewskiej godności, najbliższe do tronu czeskiego prawo przysługuje Kazimierzowi i jego potomstwu. Pismo to doszło króla już po sejmie, odpowiedział więc, jak niegdyś legatowi Rudolfowi w Toruniu, że bez rady stanów nic przedsięwziąć nie może.²⁾ Ze wszystkiego jednak pokazuje się, że neutralność jego wobec walczących wystawiona była na ciężkie pokusy, i że w stosunkach swoich ze związkowymi nie odrzucał stanowczo ani ich prośb, ani ofiarowanej sobie nagrody. Zresztą Długosz wyraźnie mówi, że król umyślnie dawał wątpliwe na obie strony odpowiedzi czekając, jaki obrót weźmie sprawa. W istocie gdyby nie to dwuznaczne jego postępowanie, które utrzymywało w panach czeskich nadzieję pomocy ze strony dworu polskiego; nie mogłoby było przyjść do ważnego aktu, dokonanego wkrótce przez związek katolicki w Iglawie.

Naturalnem następstwem bulli 23 Grudnia były starania Stolicy Apostolskiej, ażeby wyrzeczona w tym dniu detronizacja Jerzego nie pozostała na papierze. Z rozkazu Pawła II legat Rudolf zaczął ogłaszać w Niemczech krucyatę; cesarz, królowie, książęta i dostojnicy kościoła dostali surowe upomnienie, aby wszelkie związki z Jerzym zerwali i nie wypełniali żadnych względem niego zobowiązań. W połowie Maja papież polecił Rudolfowi zgromadzić wyborców korony czeskiej, ażeby obrali nowego króla i jednocześnie wyprawił do Polski sekretarza swojego Piotra Erklensa, dziekana akwizgrańskiego, oraz mnicha Gabryela Rongoniego z Werony, niegdyś towarzysza ś. Jana z Kapistranu, aby nakłonili nareszcie króla do wojny z heretykami.¹⁾ Panowie czescy nie omieszkali zastosować się do woli papieża, zebrali się w Iglawie, głównej siedzibie Zdenka Sternberga, i zgodnemi głosami obrali królem Kazi-

¹⁾ Długosz XIII. 375—377, 405—406; Palacky IV. II. 440; Dogiel I. 20—21.

²⁾ Rajnald 444—445; Eschenloer II. 27, 60, 66—67.

mierza Jagiellończyka, ewentualnie zaś jednego z jego synów ¹⁾. Bliższych szczegółów, ani nawet daty tego faktu, zapisanego u Długosza, nie mamy. Z wiadomością o dokonanej elekcji pojechał do Polski proboszcz Eljasz; lecz panowie czescy kazali mu naprzód wstąpić do Wrocławia, gdzie się z nim połączyli Jan Hoffman, wysłaniec legata, i rajca Łukasz, reprezentant miasta. Po czem wszyscy trzej ruszyli do Krakowa, ażeby w imieniu Stolicy Apostolskiej, związku katolickiego i obywateli wrocławskich namawiać Kazimierza do przyjęcia korony. Ale kiedy się to działo, król tem mniej okazywał chęci przypodobania się papieżowi, że właśnie wówczas miał do niego urazę. W drugiej połowie czerwca wrócili z Rzymu posłowie królewscy Ostroróg i Kiełbasa, którzy zamiast potwierdzenia traktatu toruńskiego przywieźli tylko niepokojącą wiadomość, że papież poruczy tę sprawę legatowi Rudolfowi. Przytem Kazimierz Jagiellończyk, niezmiernie zazdrosny o prerogatywy królewskie, szczególnie wobec duchowieństwa, w ogóle nie pochwalał detronizacyi Jerzego i głośno się odzywał, że król namaszczone i ukoronowane jest nietykalnym, którego żadna władza ziemską strącić nie może. Wielu radców królewskich podzielało w zupełności to zdanie, a naród znowu nie był skłonny do wojny z Czechami, choć uznanymi w Rzymie za heretyków. Jeżeli gdzie, to w Polsce nie miano wówczas wstrętu do husytyzmu: społeczny historyk miasta Wrocławia Eschenloer wspomina, że gdyby nie usiłowania znakomitych prałatów polskich, w Polsce mniejby, niż w Czechach, słuchano papieża, że w stosunkach swoich ze Stolicą Apostolską Polacy mało się różnią od Czechów ²⁾.

Proboszcz Eljasz, Hoffman i Łukasz stanęli w Krakowie 2 Lipca, później przybyli Erklens i Rongani. Rozpoczęły się długie rokowania z Kazimierzem Jagiellończykiem. Posłowie odwoływali się do jego ambicyi, pokazując mu dyplom elekcji, również jak i do jego uczuć katolickich i rodzinnych, atoli żadne namowy nie skutkowały, król był stale niezdecydowany. Widząc to, posłowie sprowadzili pod koniec miesiąca legata

¹⁾ Długosz XIII. 408.

²⁾ Długosz XIII. 407; Eschenloer II. 52—53, 89, 190; Palacky IV. II. 465.

Rudolfa. Legat przywiózł ratyfikację pokoju toruńskiego, ale z zastrzeżeniem, że Kazimierz Jagiellończyk powinien przyjąć koronę czeską, a w razie odrzucenia posiłkować tego, kto ją przyjmie. Warunek ten nie podobał się zarówno królowi, jak panom koronnym: brali za złe papieżowi, że i pokój z Krzyżakami podał w wątpliwość i w nową wojnę wciągał Polaków, którzy dopiero co jedną zdołali ukończyć. Kazimierz pragnął korony, lecz nie chciał się o nią bić z Jerzym, a tem bardziej prowadzić do niej kogoś obcego. Chociaż tedy legat obiecywał królowi nie tylko pomoc papieża i wszystkich katolików czeskich, morawskich, szląskich i łużyckich, ale nawet poparcie ze strony cesarza i książąt niemieckich, król suszył sobie głowę jedynie nad ułożeniem takiej odpowiedzi, aby i od wojny z Jerzym zgrabnie się wymówić i Stolicę Apostolską wstrzymać od ofiarowania tronu czeskiego innemu kandydatowi. Po mozolnych namysłach oświadczył legatowi 28 Sierpnia, że serdecznie dziękuje papieżowi i panom czeskim za ofiarowanie korony, która zresztą należy się jemu według praw boskich i ludzkich; jednakże w sprawie tak wielkiej wagi musi zasięgnąć zdania sejmu, a co stany uchwalą, to będzie jego odpowiedzią; tymczasem chce po przyjacielsku nakłonić Jerzego do ukorzenia się Papieżowi, i w tym celu, oraz dla powściągnięcia w Czechach wojny domowej wysłał niebawem poselstwo do Pragi. Przy tem prosił, aby dla ułatwienia posłom ich misyi zaniechano głoszenia klątwy i krucyaty przeciw Jerzemu. Legat odrzucił propozycję królewską, zasłaniając się brakiem instrukcyi w tym względzie; natomiast domagał się stanowczej odpowiedzi na swoje żądania. Gdy takowej nie dostał, złożył deklarację na piśmie, że związek katolicki, zawiedziony przez króla polskiego, musi poszukać sobie innego obrońcy. Nazajutrz odjechał do Wrocławia, gorzko wyrzucając królowi i radzie koronnej, że nie troszczyli się o wielkość Polski i chwałę domu królewskiego. Rongoni zaś i Erklens ruszyli z Krakowa wprost do Węgier ¹⁾. Również Eschenloer użala się na króla, że pogardził pięknymi krajami, które dobrowolnie pod jego stopy się kładły; nasz

¹⁾ Długosz XIII. 407—410; Eschenloer II. 60—65; Palacký IV. II. 456—467.

Długosz, lubo także wielki nieprzyjaciel husytów i Jerzego, ale większy od Eschenloera polityk, wstrzymuje się w tym wypadku od wszelkiego sądu o swoim monarsze, któremu zresztą nigdzie, jak wiadomo panegiryków nie pisze.

W poselstwie do Jerzego wyprawił Kazimierz Jagiellończyk Stanisława Ostroroga, wojewodę kaliskiego, i Jakóba z Dębna, podskarbiego i starostę krakowskiego, oraz Długosza, który oczywiście na to był wybrany, ażeby świadczył swoją obecnością, jak bardzo chodziło Kazimierzowi o pojednanie króla czeskiego ze Stolicą Apostolską. Posłowie przyjechali do Pragi 19 Października, a nazajutrz mieli posłuchanie u Jerzego. Dotknąwszy nasamprzód jego zatargów z papieżem i opowiedziawszy, jak Kazimierz, gorąco zachęcany do wojny z nim przez Stolicę Apostolską i związek katolicki, nie usłuchał tych namów jedynie przez przyjaźń dla niego i dla narodu czeskiego, radzili mu, ażeby dobrowolnie poddał się papieżowi, i ofiarowali w tej sprawie pośrednictwo swojego pana. Ponieważ jednak usiłowania króla polskiego byłyby daremnymi wśród szczęku oręża, przeto żądali, aby Jerzy zawarł ze związkiem katolickim pokój, albo przynajmniej zawieszenie broni. Mowa ta, w której posłowie polscy pokatolicku zapatrywali się na walkę króla czeskiego z Rzymem, nie podobąca się Jerzemu i odparł, że zawsze był i nadal chce być posłusznym papieżowi w zakresie kompaktatów, ale papież, obalamucony przez niegodziwych potwarców, prześladuje go z taką zawziętością, że słaba cierpliwość ludzka nie może jej się oprzeć. Z tem wszystkiem dziękował królowi polskiemu, że się nie dał wciągnąć do wojny z nim, oraz że chce być jego orędownikiem w Rzymie. Zajścia swoje z panami katolickimi oddawał całkiem w ręce Kazimierza, bądź to jako arbitra, bądź jako pośrednika; lecz na zawieszenie broni przystawał pod warunkiem, ażeby nieprzyjaciel poddał mu zamek Konopisko, oddawna oblegany przez wojska Jerzego i już dostatecznie ogłodzony. Z tą odpowiedzią posłowie polscy udali się do Igławy, gdzie zastali tylko dwóch członków związku, Zdenka Sternberga i Jana Zająca. Sternberg oznajmił posłom, że na sąd Kazimierza Jagiellończyka chętniejby się spuścił, aniżeli na jaki inny, ale nic nie może stanowić bez zezwolenia swoich sprzymierzeńców; żądał więc rozejmu do ś. Wojciecha

i niezwłocznego z obu stron rozpuszczenia wojsk, ażeby w tym czasie związek mógł swobodnie zgromadzić się dla narady w Brzegu Szląskim; o poddaniu zaś Konopiska ani chciał słyszeć, twierdząc, że jeżeli dostanie się w ręce Jerzego, nie będzie wówczas mowy o pokoju, ani nawet o zawieszeniu broni. Z tem wrócili posłowie 11 Listopada do Pragi. Jerzy nic nie miał przeciw zjazdowi w Brzegu, lecz oświadczył, że dopóki panowie nie przyjmą pośrednictwa króla polskiego, dopóty i on nie zawiesi oręża dłużej, jak do Trzech króli; co do Konopiska, życzył, aby przynajmniej oddanem było do wiernych rąk poselstwa polskiego. Ale Sterberg i na to nie zezwalał; Jerzy zaś nie chciał uronić niewątpliwej zdobyczy, wiedząc, że brak żywności lada chwila zmusi załogę do poddania zamku. Dopiero gdy o tem i Sternberg się dowiedział, a z drugiej strony posłowie polscy ciągle nakłaniali Jerzego do przystępczości w układach, strony postanowiły, że podczas rozejmu oblężenie Konopiska ustanie, lecz cały aparat oblężniczy pozostanie na miejscu, a do Zamku wolno będzie naraz tylko tyle wprowadzić żywności, ile potrzeba do codziennego wyżywienia załogi. To samo zastosowano do Hojerswerdy w Łużycach, obleganej przez nieprzyjaciół Jerzego. Pod tym warunkiem przyszło do skutku zawieszenie broni od 30 Listopada do 25 Stycznia. Zjazd w Brzegu, na którym panowie czescy mieli się porozumieć ze swymi sprzymierzeńcami względem pośrednictwa Kazimierza Jagiellończyka, wyznaczono na dzień ś. Łucyi, t. j. 13 Grudnia. Posłowie polscy również zapowiedzieli swoją obecność w Brzegu, a Jerzy obiecał przysłać jednego ze swych radców do Kladzka. ¹⁾

Skoro Wrocławianie usłyszeli, że zjazd nie u nich się odbędzie, lecz w małej niepoczesnej mieścinie, wielce się zafrasowali utratą zysków, jakieby mogli wyciągnąć z napływu gości. Zmartwienie ich powiększyło się, gdy im powiedziano, że ani posłowie polscy, ani panowie czescy, ani nawet ich własny biskup Jodok, nie chcieli obradować w ich murach dla

¹⁾ Długosz XIII. 411—413; Eschenloer II. 83—94; Historia Wratislaviensis 148—159; Archiv cesky, wydany przez Palackiego, t. IV. str. 147—155.

idzkiej niesforności pospólstwa wrocławskiego, które istotnie podczas wojny z Jerzym dowodziło swojej gorliwości katolickiej raczej łajaniem husytów i rozruchami w mieście, aniżeli skutecznem wspieraniem związkowych. Rząd miejski ogłosił zatem surowe rozporządzenie, że wszelki wybrzyk swawolnego motłochu będzie śmiercią karany, i po wielu zabiegach dokażał nareszcie tego, że zjazd został przeniesiony do Wrocławia, gdzie trwał od 17go Grudnia do końca roku. Związkowi, którzy nie tylko w rzeczach duchownych, ale od czasu wyklęcia Jerzego i w rzeczach politycznych uznawali swoim panem papieża, obradowali pod przewodnictwem legata Rudolfa. Obok niego zasiadał Gabryel Rongoni, który świeżo wrócił był z Węgier i przywiózł od króla Macieja obietnicę pomocy. Licząc na to, zgromadzenie postanowiło nie wchodzić z Jerzym Podiebradzkim w żadne układy, a wszyscy członkowie związku złożyli w ręce legata Rongoniego nową przysięgę, że będą walczyć z heretykami do ostatniej kropli krwi i do ostatniego szeląga. Rozumie się, że związek ukrył to postanowienie przed posłami Kazimierza. Ale gdy im wręczono pismo, przez Rongoniego ułożone, w którym zamiast decyzji, dotyczącej pośrednictwa króla polskiego, wypisane były różne zarzuty przeciw Jerzemu, między innemi i ten, że Jerzy oddaje sprawę pod sąd Kazimierza, chociaż jest to właściwie sprawa religijna, której władza świecka nie może rozstrzygać, poznali ztąd posłowie polscy, że panowie czescy, jakkolwiek nie wprost, odrzucili pośrednictwo Kazimierza Jagiellończyka. Przytem legat nagał posłom, że wyklętego przez Kościół heretyka ciągle nazywali królem, na co odrzekli, że będąc pośrednikami, nie chcą żadnej strony obrażać. Przystępowano też do nich z zapytaniem, dlaczego Kazimierz nie przyjął korony czeskiej? i znowu żądano, aby przynajmniej przysłał do Wrocławia królewicza Władysława, którego legat gotów był natychmiast ukoronować; w przeciwnym razie zapowiadano im, że się pomysli o innym panu. Tu posłowie zaczęli się rozwódzić nad prawami synów Kazimierzowych. „Niechże więc Kazimierz — zawołali wszyscy — czynem poprze te prawa, a my z całego serca będziemy królowi pomagać, bo nie chcemy mieć panem heretyka!“ Na to posłowie odpowiedzieli, ma się rozumieć, że nie mieli upoważnienia do traktowania tej rzeczy i odesłali

związkowych wprost do Krakowa. Pomimo to wszystko nie uważali jeszcze swojej misji za chybną. Podczas zjazdu wrocławskiego Maciej Korwin zatrudniony był wojną z hospodarem wołoskim Stefanem Wielkim; chociaż więc przez Rongoniego zapewnił był swoją pomoc związkowi katolickiemu, a ten znowu dla przypomnienia królowi obietnicy wyprawił doń sekretnie Protazego, biskupa ołomuńskiego, to jednak o rychłym nadejściu posiłków węgierskich słusznie godziło się powątpiewać. Związek potrzebował zatem przedłużenia rozejmu z Jerzym i prosił posłów polskich, aby mu to wyjednali. Posłowie, nie wiedząc o stosunkach związku katolickiego z Maciejem, chętnie się przychylni do tego żądania i pojechali do Pragi. Na odjeździe członkowie związku ofiarowali im kosztowne podarunki; ale ta hojność pochodziła jedynie z przekonania, że posłowie, którzy przedtem odrzucili byli dary Jerzego, również we Wrocławiu nie przyjąć nie zechcą. Jakoż w istocie tak się stało. Za powrotem poselstwa do Pragi Jerzy wręcz odmówił przedłużenia rozejmu i gwałtownie oskarżał panów, że go podeszli; mówił bowiem, że nigdyby nie był przystał na zawieszenie broni, gdyby nie objawiona przez nich gotowość poddania się wyrokowi króla polskiego. W żądanej prolongacie rozejmu, szczególnie w jej warunkach upatrywał wyraźny wstręt swoich nieprzyjaciół do rzetelnego pokoju; wpadł zaś w niesłychany gniew, kiedy mu odczytano pismo Rongoniego! „O srogi niedźwiedziu! — wołał — czego rychezysz? wilku zgłodniały! czego wyjesz? alboż ci nie wystarczają trupy ludzi, którzy polegli z twojej przyczyny?“ Nie zważając na te wybuchy gniewu, posłowie polscy pilnie nalegali na Jerzego, aby nie odprawiał ich do domu z niczem i nie narażał tym sposobem przychylnego sobie monarchy na daremne zachody i koszta, aby raczej miał litość nad swoim własnym królestwem i pozwolił mu wytchnąć po tylu rzeziach i pożogach. Dał się wreszcie Jerzy namówić i 11go Stycznia 1468 roku zezwolił na przedłużenie rozejmu do 26go Maja. Nie sam atoli wzgląd na prośby posłów polskich był źródłem jego powolności; chciało mu się, mając mniej do czynienia z nieprzyjacielem domowym, rozprawić się na dobre z cesarzem Fryderykiem, którego nie wiadomo dlaczego uważał za głównego sprawcę wszystkich swoich utrapień, a któremu syn

Jerzego, Wiktoryn, właśnie w tym czasie wypowiedział był wojnę z rozkazu ojca. Dokument przedłużonego zawieszenia broni posłowie polscy odwieźli pierwszych dni Lutego do Wrocławia, poczem jak się zdaje, niezwłocznie wrócili do domu ¹⁾.

Podczas trzech-miesięcznego zgórą pobytu swego w Czechach poselstwo polskie stale okazywało pewną pobłażliwość związkowym. Mogło to pochodzić z mimowolnej sympatii ku spółwyznawcom, ale mogło także być wpływem instrukcyj Kazimierza Jagiellończyka, który przechylając się ku słabszym, może dążył tym sposobem do utrzymania równowagi między walczącymi, ażeby będąc niejako panem sytuacji, tem łatwiej torować swojemu potomstwu drogę do tronu czeskiego. Widzieliśmy, że o zbrojnym wystąpieniu król nie mógł myśleć: po pierwsze nie chciał zrywać traktatów, zawartych z Jerzym, a potem znowu ubóstwo skarbu, znużenie po wojnie pruskiej, wreszcie niechęć narodu do wojny z Czechami nie pozwalały mu zgromadzić tak znacznych sił, iżby mógł wróżyć sobie niewątpliwe zwycięztwo nad Jerzym. Pomoc związku katolickiego, jakkolwiek szczerą, ledwieby na to wystarczyła, ażeby stawić czoło nieprzyjacielowi bez nadziei wygranej. Innych sprzymierzeńców król nie miał. Stosunki jego z Maciejem Korwinem były bardzo napięte; wprawdzie legat Rudolf obiecywał poparcie ze strony cesarza i książąt niemieckich, ale to był pusty frazes. Na sejmie norymberskim, w miesiącach Lipcu i Sierpniu 1467 r. utrzymywano, że królem czeskim, który jest zarazem elektorem niemieckim, może być tylko Niemiec. Cesarz Fryderyk również usiłował przeszkodzić wezwaniu Kazimierza Jagiellończyka na królestwo czeskie, a podczas zjazdu wrocławskiego radził związkowi katolickiemu, aby powołał na nie raczej niemieckiego ¹⁾. Wszystkie zatem okoliczności skłaniały króla polskiego do polityki dylatorycznej, wyczekującej, która po części dogadzała mu także ze względu na jego charakter wcale nie rzutki i nie energiczny. O trafności lub nietrafności tej polityki; bardziej przymusowej niż dobro-

¹⁾ Długosz XIII. 413—414; Eschenlow II. 94—104; Hist. Wratisl. 172—173, 178; Palacku IV. II. 481—491.

wolnej, oczywiście trudno wyrokować; dosyć jest powiedzieć, że król nie uniknął tego, czego przedewszystkiem pragnął uniknąć, a czem straszili go bez ustanku nieprzyjaciele Jerzego: na drodze Kazimierza do tronu czeskiego stanął niebawem niebezpieczny współzawodnik w osobie Macieja Korwina.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Julian Sutowicz.

LIST Z WIELKOPOLSKI.

Jak iskra elektryczna wstrząsła wszystkich katolików i wogóle wszystkich uczciwych ludzi w Prusach wieść o zajęciu okropnem w Olawie na Szlązku. Rzec się ma jak następuje: W Zottwitz miał ks. Jarosz pomocnika w osobie ks. Neumanna, którego z polecenia władzy duchownej zasuspendował. Ks. Neumann, który dawniej za różne przestępstwa był w zakładzie demerytów, wezwał w swej obronie pomocy rządu, wskutek czego aresztowano ks. Jarosza i osadzono w więzieniu. Dziekan Beer obawiając się, by ks. Neumann nie sprofanował kościoła w Zollwitz przez odprawianie funkcji duchownych, i ponieważ de facto parafia była bez pasterza, przeniósł puszkę z Sanctissimum do swego kościoła w Olawie. Zasuspendowany kapłan zwraca się znowu do brachium saeculare — do landrata, a ten wysłał żandarma do kościoła w Olawie, aby się przekonał, czy zabrane dwie Hostye konsekrowane znajdują się rzeczywiście w Olawie. Wykonawca woli landratowskiej udaje się do kościoła, otwiera tabernaculum wielkiego ołtarza i ołtarza św. Anny, wyjmuje z ostatniego małą i większą Hostyę i zanosi je w ręce do biura urzędu radzcy ziemiańskiego. Ks. Neumann znajdujący się tamże stwierdza, że Hostye te są zabrane z Zottwitz, po czem żandarm odnosi je w gołej ręce do kościoła. Komuż się nie przypomniała słowa z „Komedyi Nieboskiej“ Krasińskiego: „Patrzcie i zważajcie! Od krzyża, na którym skonał Pan, piekielniejszej zbrodni nie było na planecie tym!“ Fakt ten oburzający a będący nowym dowodem systemu, jakim się liberalizm posługuje w obecnej walce kulturalnej, spowodował interpelacyą posła ks. Franza w sejmie berlińskim. Interpelant zapytał rządu: jakie zamyśla przedsięwziąć kroki, aby na przyszłość

nie dopuszczano się takich nadużyć. . . . Sprawa ta 18 maja była przedmiotem obrad w sejmie. Ośławiony minister hr. Eulenburg odpowiedział, „że postępowanie władz było zupełnie legalne i rząd nie ma żadnego powodu do pociągnięcia odnosnych władz do odpowiedzialności.“

Takiej cynicznej odpowiedzi raniącej boleśnie uczucia katolików, nikt się nie spodziewał. To też z oburzeniem największem powstał przywódzca Centrum poseł Windthorst z Meppen i w te się odezwał słowa:

„Jeśli urzędnicy policyjni tak są ograniczeni, że nie rozumieją znaczenia takiego świętokradztwa, powinien minister innych na to stanowisko powołać. *Co do mnie, to winszuję Prusom takiej administracyi.*“

Wypadek ów na Szlązku i odpowiedź ministra spraw wewnętrznych ogólne oburzenie wywołały w obozie katolików. *Germania*, główny dziennik katolicki wychodzący w Berlinie, napisała z tego powodu, że, jeśli rząd pruski nie położy wkrótce końca Kulturkampfowi, postrada *na zawsze* serca katolików Niemiec.

W tym samym sejmie pruskim kilka dni wprzód (13 i 15) odbywały się narady względem projektu do prawa o języku urzędowym w drugim czytaniu. Mimo świetnego przemówienia posłów naszych Magdzińskiego, Kantaka, Emila Czarlińskiego, Stanisława Chłapowskiego, Ignacego Łyskowskiego, większość przyjęła ten wniosek wedle poprawek komisyi.

Nie masz argumentu, którego by nie przytoczyli posłowie nasi: odwoływali się na gwarancye królów pruskich i różne reskrypta władz pruskich na korzyść języka polskiego wydanych; chcieli poruszyć strunę szlachetnych uczuć przedstawicieli narodu niemieckiego, — lecz . . . wszystko na próżno, bo bądź jak bądź . . . delenda est Carthago! Z wielką prawdą i siłą zakończył mowę swą poseł Kantak słowy, które powinni sobie Niemcy dobrze rozważyć:

„Na krążganku waszego parlamentu macie medale z podpisami, medale najszlachetniejszych, jak sądzę, mężów waszego narodu, skoro nazwiska ich umieściliście na ścianach kurytarza. Między medalami jest także medal Pfitzera, a pod nim wyczytuję słowa: *„Najświętszem prawem narodu jest istnieć i być uznanym.*“ Panowie! Jeżeli chcecie przyjąć ten projekt (a projekt ten, jak sami przyznacie, nie uznaje polskiej narodowości i jej istnienia), idźcie wprzód na krążganek waszego parlamentu i zmażcie ów napis, — albo przyjąwszy ten projekt, idźcie tam i zamiast wspomnianego napisu połóżcie słowa: *Prawo mocnego zasadza się na gnębieniu słabego. Jeśli tego*

nie uczynicie, z sal parlamentu słowa owe szyderstwem powitają was i dadzą wam policzek.“

Dowiadając się w tej chwili, że projekt o języku urzędowym przyjęto również w trzeciem czytaniu, a wkrótce pocznijemy konsekwencye okropne, jakie wypłyną dla języka naszego z tego prawa. Boć jasna rzecz, że i Izba Panów da na nie zezwolenie, a podpis królewski projekt zamieni w prawo. Jeśli obecnie już urzędnicy administracyjni i sądy wymagają prawie ogólnie korespondowania w języku niemieckim, łatwo przewidzieć, że na mocy tego prawa powstanie u nas chaos wielki we wszystkich stosunkach urzędowych . . . „że niniejsze prawo,“ jak to powiedział poseł Walter, „zamknie i zawiąże nam usta w W. Ks. Poznańskim i w Prusach Zachodnich.“

W drugiej połowie kwietnia i w początkach maja mieliśmy u nas kilkanaście zgromadzeń, na których miano obrać delegatów do Poznania w celu ułożenia nowego regulaminu wyborczego. Dawne bowiem ustawy wyborcze były nieco skomplikowane: ogólne było żądanie, aby uprościć agitacją wyborczą. Zebrania owe w celu wyboru delegowanego wogóle dość poważnie się odbyły: jedynie w Gnieźnie partya liberalna, widząc swą klęskę, wywołała skandal, który w całej Wielkopolsce nie miłe sprawił wrażenie. Przewodniczący p. Kuczkowski, kupiec z Gniezna, człowiek namiętny a pozujący na meniera powiatu gnieźnieńskiego, rozwiązał posiedzenie bezprawnie, kiedy ks. dr. Wartenberg, obrany na delegata, zażądał głosu do porządku dziennego. Szmer oburzenia, który ztąd powstał, spowodował komisarza policyjnego, że i on w imię prawa rozwiązał zgromadzenie. Komitet powiatowy jeszcze raz w skutek tego zajścia ogłosił wiec, na którym znowu obrano delegatem ks. dr. Wartenberga. P. Kuczkowski w sposób ostentacyjny wraz z swymi poplecznikami opuścił miejsce zgromadzenia — i całą tę sprawę poruszył w *Dzienniku Poznańskim* twierdząc, że na posiedzeniu uczynił zarzut delegowanemu, że nie jest patryotą, bo w r. 1872 nie głosował na posła wyznaczonego przez Komitet prowincjonalny p. Dziembowskiego lecz na ks. Wolińskiego. Faktem jest jednak niezaprzeczonym, że p. Kuczkowski tego zarzutu na zgromadzeniu nie wypowiedział, jak to ks. Dr. Wartenberg w liście do „*Dziennika Poznańskiego*“ oświadczył, gdyż w takim razie zaczepiony byłby mu dał stósowną odprawę.

Mówiłem z kilku obywatelami znającymi ks. dra Wartenberga, przypatrującymi się z bliska jego działalności. Nie mieli słów na jego uwielbienie. Ks. Wartenberg bowiem jest jednym z najinteligentniejszych ludzi w naszej Wielkopolsce, że zaś jest konserwatystą i katolikiem wszędzie i zawsze jawnie głoszącym swe zasady, — że nie kokietuje z liberali-

zmem poznańskim, — ztąd taka nienawiść przeciw jego osobie. . . .

Rzucając kamieniem potępienia na niemiłe sobie osobistości, powinien *Dziennik Poznański* nie zapominać, że i w jego obozie znajdują się ludzie, którzy może te same popełnili błędy, o jakie proskrybuje swych przeciwników.

Delegowani, wybrani przez powiaty, zebrali się 11 maja w Poznaniu. Tok obrad, trwających ośm godzin, odbył się z należytą powagą i z odpowiednim spokojem. Regulamin uchwalony, w którego skład weszły zasadnicze ustawy dawniejszego, tem się głównie odznacza, iż całemu mechanizmowi wyborczemu nadaje formę mniej skomplikowaną. Nie zna on dawniejszych mężów zaufania, nie zna wdawania się kół poselskich, lecz przyjmuje tylko Komitet wyborczy prowincjonalny, komitety powiatowe i walne zebrania prowincjonalne czyli zebrania delegowanych. Ani autonomiści żądający obszernej dla powiatów autonomii, ani centraliści żądający stanowczej centralizacyi, nie odnieśli zupełnego zwycięstwa; nowy regulamin obrał mediam viam — i jak się zdaje, droga ta najstosowniejsza.

Tak *Dziennik* jak *Kuryer Poznański* pochlebnie wyrażają się o posiedzeniu delegatów i o nowym regulaminie. Oby ten takt, jakim nacechowane były rozprawy, zechciał przeniknąć wszystkie późniejsze wiece i zebrania!!

Uwagi moje w ostatnim liście o Towarzystwie Oświaty ludowej w Poznaniu i o zakładaniu stowarzyszeń polsko-katolickich po parafiach (n. p. w Czerniejewie) dostały zaszczytu, iż *Dziennik Poznański* w N. 113 poświęcił im wstępny artykuł z napisem: *Prawdopodobność korespondenta „Przeglądu Polskiego“*.

Sam tytuł odpowiedzi świadczy, w jakim duchu i w jakiej tendencji artykuł ów skreślony.

Dziennik Poznański woła, iż „jasne każdemu, ile w mej korespondencji insynuacyi i fałszów.“ Przyznaje, że nie wspominał o towarzystwie czerniejewskim, „bo je uważa za secesyą (!) od Towarzystwa Oświaty ludowej już od lat przeszło czterech istniejącego; secesyą, którą nie usprawiedliwić nie zdoła“.

Wedle *Dziennika* poznańskie Towarzystwo Oświaty ludowej — to budynek na tak silnym wzniesiony fundamencie i tak misternie i artystycznie wykończony, że kto pod jego dach się nie schroni, ten „popełnia grzeszną secesyą, ten rozbija to, co z takim mozolem, trudem i ofiarami stanęło“.

Na namiętne wystąpienie *Dziennika* przeciw mej korespondencji odpowiadam sine ira sed cum studio co następuje:

Nie potępiam i nie potępiałem nigdy Towarzystwa Oświaty ludowej, bo wiem, że praca około ludu obowiązkiem

społeczeństwa naszego, ale żałuję, mówiąc z Kuryerem Poznańskim zastanawiającym się nad uwagami Dziennika, „iż Towarzystwo odmówiło dania rękojmi, żądanych przez ludzi szczerzej i dobrej woli i że przez to opóźniło wielce pożądane porozumienie“.

Pisałem wam w pierwszym liście, że p. Henryk Krzyżanowski, były poseł, wniósł na walnem zgromadzeniu w początkach marca b. r., aby do § 1 opiewającego, że oświata ludu ma się krzewić na podstawie narodowej, dodano i *na podstawie katolickiej*. Czy przyjęło Zgromadzenie ten wniosek? Bynajmniej! Większość oświadczyła się przeciw niemu, a niektórzy z mowców, jak poseł dr. Niegolewski, w sposób nie całkiem parlamentarny, o czem także pisałem. starali się projekt ów podać w śmieszność.

Oponenci wniosku p. Krzyżanowskiego wiedzieli, że od jego przyjęcia lub odrzucenia zależy udział lub abstynencya duchowieństwa i konserwatystów w Towarzystwie Oświaty, mimo to wniosek ów uznali za niestosowny. Tej rękojmi domagał się przez kilka lat *Kuryer Poznański*, o tem wspominał także jako o *conditio sine qua non* ten sam p. Krzyżanowski jeszcze w r. 1873 w liście do Dyrekcyi Towarzystwa Oświaty ludowej umieszczonym w N. 67 Kurjera Poznańskiego z tegoż roku. Czytamy tam między innemi co następuje:

„Przedewszystkiem żądam wyraźnego zaznaczenia, iż chodzi o oświatę *na podstawie religijnej i narodowej*, a więc o obronę tych właściwości, które z prawa historycznego i Bożego od nas zależą. To oznaczenie usunie odrazu przesady, które przeciw Towarzystwu w różnych sferach egzystują, a zarazem wskaże Duchowieństwu w Oświacie owo wpływowe miejsce, które mu się zwłaszcza w tej materji z prawa należy“.

Faktem jest dalej, że Towarzystwo Oświaty ludowej istniejące od czterech lat, bardzo małe osiągnęło rezultaty, że wogóle nie umiało ogólnego dla siebie zyskać uznania i poparcia.

I czem się to dzieje? gdzie przyczyna tego smutnego objawu? W ustawach Towarzystwa i w uporze tych, którzy nie chcieli przyjąć wniosku p. Krzyżanowskiego.

I my jesteśmy zdania, że „nie rozbijać — lecz podpierać, nie rozczłonkować naszych sił, lecz skupiać je należy“, ale w tym razie dodajemy warunek: *na podstawie katolickiej*. Dopóki to nie nastąpi, katolicy, zwani przez Dziennik „ultramontanami“ i konserwatyści, pracować będą nad ludem każdy w swym zakresie po parafiach — i jak sądzimy nie bez korzyści. . . . Już bowiem drugie w tym kierunku zawiązało się towarzystwo we wsi Orchowie pod Trzemesznem, a wiemy z pewnego źródła, że w Witkowie i w Punicu istnieją stowa-

rzyszenia oparte na tych samych zasadach, a założone prędzej od czerniejewskiego. Z biegiem czasu koło tych towarzyszt rozszerzy się niezawodnie — i zaręczamy Dziennikowi, że społeczeństwo wskutek tego nie rozpadnie się na atomy... o co, zdaje się, bardzo Dziennik lękać.

Jeden cel mamy i mieć powinniśmy, ale środki do osiągnięcia go różne są. Ludzi szukających nowych dróg potępiać nie wolno, jeśli cel, do którego dążą, jest szlachetny. Jeśli Dziennik Towarzystwu Oświaty czerniejewskiemu zarzuca „secesyą“, schizmę od poznańskiej Oświaty, to tem samem prawem nazwaćby można Towarzystwo poznańskie „secesyą“ od wydawnictwa tanich książek śp. ks. Bażyńskiego, które wielkie okóło wykształcenia ludu wiejskiego położyło zasługi...

P. s. Dziennik Poznański w N. 115 z dnia 20 maja prowadzi z powodu mej korespondencyi dalej walkę z Kuryerem Poznańskim. Kuryer zapytał, czemu ostatnie walne zebranie nie chciało dodatku „na podstawie katolickiej“. Dziennik odpowiada, że był to dodatek „zbyteczny“, bo Towarzystwo zawsze stało i stoi na podstawie narodowej i religijnej. Przyczyną rzeczywistą, mówi Dziennik, dla czego nie wszyscy przystępują do Towarzystwa, jest nieszczęsny zakaz ks. kardynała arcyb. hr. Ledóchowskiego. Zarzut to nie nowy, a na który odpowiedział już w 1873 p. Henryk Krzyżanowski w wspomnianym wyżej liście do Dyrekcyi Oświaty ludowej.

„Tłómaczono się, mówi szanowny poseł, iż nakaz z góry usunął duchowieństwo od wszelkiego współudziału. Czyż atoli wzięto pod uwagę, że cele Towarzystwa w ustawach tak ogólnikowo oznaczone zostały, iż tendencją ich przeróżnie tłómaczyć było można... Czy z tą władzą kościelną starano się porozumieć i dać jej w tej mierze stósowne objaśnienia, i czyż więc winą konsekwencyi ztąd wyrosłych na nią spada, która bez gwarancyi nie chciała popierać swą powagą instytucyi niejasnej w ustawach, a niepewnej w tendencyach, *czyli też nie raczej na tych, którzy porozumienia sobie nie życzyli i własną omnipotencją woleli stanowić o tej sprawie, która z pieczęcią religijną ludu tak silnie jest spojona*“.

Z słów tych pokazuje się jasno, że nie ks. Kardynał nabawił suchot Towarzystwa Oświaty, ale upór tych, którzy powoławszy je do życia, nie chcieli żadnym sposobem dać rękojmi katolikom, że nie popehną go na tory bezwyznaniowe, na drogi, któremi ongi chodził *Wiarus*, pismo dla stanu średniego.

Epsilon.

Z RZYMU.

Dnia 25 maja.

W pierwszych dniach lutego zeszłego roku spotkałem na Nilu, w podróży do Wyższego Egiptu, kilka wybitnych i znanych osobistości z Consorteryi włoskiej. W Assuanie, u podnóża Katarakty, czekały na nas listy i dzienniki z Europy. Mimo niezwykłego widoku, nowego zupełnie dla nas nubijskiego krajobrazu, mimo świeżych wrażeń i nowego celu podróży, często myślą sięgaliśmy poza Śródziemne morze i w rozmowach wracaliśmy na nasz stary i pocciwy kontynent. Wprawdzie nie wiele on dobrych przysyłał o sobie wiadomości, ale cisza i spokój, jakie nas otaczały, były tylko grobowem milczeniem, które Islamizm od kilku wieków rozniósł po całym afrykańskiem wybrzeżu. Echo walki dolatywało nas z Europy nawet na pustyni i odbijało się o ponure wyniesienie libijskie: wśród ciekawych w głąb kraju wycieczek znalazł się więc naturalnie czas i na dysputy polityczne.

Była to właśnie chwila, w której część opozycyi włoskiej nowy wywiesiła sztandar, starając się zbliżyć do korony; dzienniki zajmowały się bardzo ukazaniem się w Kwirynale kilku przewodców lewicy i względami, jakimi widocznie dwór ich sobie zjednać pragnął. Kontredans, do którego w pierwszej parze stanął p. *Nicotera* z księżną Małgorzatą, stawał się nie tylko wypadkiem dnia, lecz prawie epoką w dziejach jedności.

Nie zgadzaliśmy się wcale w naszych zapatrywaniach politycznych, nie wyznawaliśmy bynajmniej jednakowych zasad, ale rozdzieleni kilku setkami mil od Europy, a mając za świadków jedynie kilka „palm zielonowłosych“, kilku orłów, osiedlonych w niedostępnych skałach Katarakty, nie mieliśmy

powodów ani ukrywać, ani nawet osłaniać naszych przekonań. Rozmawialiśmy bardzo otwarcie.

Miałem przekonanie, że lewica znudzona długim czekaniem, pragnie koniecznie przyjść wreszcie do władzy; że czyni ustępstwa i okazuje umiarkowane dążności, by pozyskać zaufanie królewskie; że czuje sposobną dla siebie chwilę i niedaleką widzi się cel, gdy występuje jawnie z nowym sztandarem. Widziałem dla półwyspu zmianę bardzo ważną, któraby musiała postawić Kościół w daleko jeszcze trudniejszym niżeli dotąd położeniu, sprowadzić dni nie tylko katakumb, może i krwawego wyznania wiary, ale i monarchię na ciężką wystawić próbę. Lewica u władzy znaczyła republikę, republika rozbięcie gmachu jedności, razem wszystko nowe zaburzenia i nowy przewrót: Kościół mimo ucisku musi wyjść z niego jak zawsze tryumfujący, ale monarchia i rodzina Sabaudzka zniknęłyby zapewne z półwyspu. Pierwszy tom rewolucyi włoskiej się zamykał, drugi rozpoczyna pisać czynnie swe dzieje na kartach historii. Ci panowie nie dzielali bynajmniej mojego zdania, uważali je nawet podobno za echo ultramontańskich zachcianek, — skryte, niewczesne nadzieje konserwatywnego stronnictwa, które chętnie widziałoby u steru rządu skrajne żywioły, by tylko po nich nastąpił zwrot do reakcyi. Dla królestwa i monarchii nie przeczuwali żadnego niebezpieczeństwa, nie przypuszczali, by nawet jakiegokolwiek europejskie zamieszanie mogły dziś zachwiać gmachem jedności. Tryumfujący w całej Europie liberalizm był rękojmią pokoju, rozwoju i przyszłości dla młodego królestwa, które za lat kilka, najdalej za lat kilkanaście, uporządkowawszy finanse, wprowadziwszy niektóre potrzebne reformy, ukończywszy organizacyę wojskową, potrafi stać o własnej sile, bez szukania względów sąsiednich mocarstw. Wprawdzie kwestya religijna stawia jeszcze trudności, wiele nawet trudności, ale umiarkowana i roztropna polityka ministeryalna zmusi wreszcie Kościół do jakiejś z rządem ugody, do ustępstw na korzyść państwa, jeżeli papieżstwo nie chce do reszty utracić dawnego swego znaczenia. Stanowisko niezależności, o które Kościół walczy, jest niemożliwe wobec najnowszych zdobyczy cywilizacyi.

„Cudzoziemcy w ogóle, mówił mi jeden z tych panów, znają bardzo niedokładnie nasze stosunki, katolicy patrzą na nie przez pryzmat nienawiści dla liberalnych zasad. — Pragną nowego przewrotu we Włoszech, jeżeli nie powrotu do przeszłości: co chwila wyczekują nowej rewolucyi, z każdym rokiem spodziewają się jakichś strasznych u nas wypadków. Tymczasem nowa rewolucya u nas nie jest możliwa, bo stronnictwo republikańskie jest bardzo słabe i nie ma politycznego znaczenia, a opozycya występująca dzisiaj w roli Katyliny i Brutusów, gdyby przyszła do władzy, musiałaby koniecznie

zmienić dotychczasowe swe zapatrywania. Widzisz pan, że już dzisiaj występuje z innym zupełnie programem, jak przed paru laty, bo czuje, że rząd siły nabiera a ona traci grunt pod nogami. Nie *Depretis* lub *Nicotera*, lecz gdyby zasiedli na ławie ministeryalnej, *Mauro Macchi* i *Lazzaro* musieliby się wyrzec swej przeszłości republikańskiej i stanąć w obronie korony, bo przekonaliby się natychmiast, że bez niej rządzić we Włoszech niepodobna. Masz pan rację gdy sądzisz, że lewica więcej z chęci dostania w ręce władzy, niżeli z prawdziwych patryotycznych pobudek stawia zaciętą opozycję rządowi, ale się pan bardzo mylisz, mniemając, że jest niedaleka swego celu i przeczuwając na półwyspie nowe jakieś zaburzenia. Ostatecznie widzisz pan my się wiele nie różnimy w naszych zapatrywaniach od lewicy, wszyscy należymy do obozu liberalnego, chociaż nie podzielamy wszystkich jej zachcianek, bo w rachubę nie biorę małej liczby ludzi pragnących wszystko do góry nogami wywrócić, a mniej jeszcze garstki ideologów marzących o jakiejś szczęśliwej niebieskiej komunie: Mówię *niebieskiej*, bo dla *czerwonej* nie ma wcale na półwyspie elementów. Gdyby lewica stała się rządem, to niebezpieczeństwo nie leży w nowym programie, bo nowego programu u nas być nie może, ale w nadto gwałtownem przeprowadzaniu reform, które potrzebują czasu, umiarkowania i zręczności, a które dzisiaj mogłyby skompromitować szesnaście lat pracy rozwoju i politycznych zdobyczy. Na szczęście niebezpieczeństwo to dla nas nie istnieje, pomimo wielkiej chęci opozycji, a podobno i skrytych nadziei ultramontańskiego stronnictwa, bo lewica nie przyjdzie do władzy. Nietylko nie przyjdzie dziś, ale nie przyjdzie nigdy. Z każdym rokiem monarchia się wzmacnia i coraz głębsze zapuszcza w kraju korzenie, z każdym rokiem silniej się spaja i zrasta z narodem. Opozycja ma swoich zwolenników, ale traci przy każdych nowych wyborach kilka krzeseł w parlamencie, a poparcie w kraju. Nie ma ona ludzi pierwszorzędnych, nie ma jasno wytkniętej drogi, powiedziałbym nie ma nawet racji bytu. Jest to obóz malkontentów, z którym liczyć się trzeba, którego szczególnie z oka spuszczać nie można, ale który nie jest straszny dla stronnictwa, tak silnego, tak wybornie uorganizowanego i wypróbowanego jak nasze, a od lat kilkunastu mającego w swym ręku całą administrację kraju.“

To co słyszałem w Egipcie nie było bynajmniej zdaniem pojedynczym, ale wiernem odbiciem zapatrywania się całego rządowego stronnictwa. Spotkałem się nieraz z nim w Rzymie, i to nie przed rokiem, lecz świeżo jeszcze przed kilku miesiącami, a nawet i w wilią upadku gabinetu. *Consorteria* pomimo całej swej zręczności i chytrności przerachowała się tym razem: nadto liczyła na swą biegłość skakania po li-

nie i wymijania trudności, — nadto lekceważyła swych przeciwników i rozwinęta przez nich propagandę. Do ostatnich chwil nie wierzyła w przyjscie do władzy lewicy, przekonana, że jeżeli nawet p. *Minghetti* opuści ławę ministeryalną, to spuściznę po nim otrzyma jeden z jego dawnych kolegów i dalej prowadzić będzie politykę stronnictwa. Nie przypuszczano nawet, by w Kwirynale pomyślano o zmianie kierunku i by król powierzył rządy korony opozycji. Gdy p. *Depretis* otrzymał misję złożenia nowego gabinetu, przestraszył zapanował w szeregach prawicy, zły humor objawiał się w izbie, w klubach, w zebraniach prywatnych, ale spodziewano się jeszcze, że nowe ministerium będzie tylko ryzykowną i może niebezpieczną próbą, która rozwinie na nowo działalność stronnictwa rządowego i rozbudzi go z pewnego cierpienia, w jakie był popadł wygodnie spoczywając na laurach. Słyszałem ludzi uchodzących za powagę w kołach politycznych: „za dni kilkanaście będziemy znowu u władzy, a wtedy już na dobre“. Słyszałem deputowanych i senatorów, wypróbowanych w parlamentarnej szermierce: „z takich żywiołów złożony gabinet nie utrzyma się i czterech tygodni; jego rządy mogą nas kosztować drogo, nawet bardzo drogo, ale kraj dostanie raz na zawsze zbawienną naukę i przekona się, że tylko nasze stronnictwo jest może-bne u władzy“.

Tymczasem nie dwa tygodnie, ale całe dwa miesiące minęło od upadku p. *Minghettiego*, a łamane sztuki nowej opozycji nie potrafiły jeszcze obalić gabinetu lewicy. *Consorteria* tak dobrze uorganizowana gdy była u władzy, dzisiaj robi wrażenie rozbitego obozu w popłochu bez wodza, bez dyscypliny, i czy jeszcze nie może się opamiętać po niespodzianej porażce, czy też nie widzi dotąd sposobnej chwili do rozpoczęcia walki, dość że prawie bezczynnie przypatruje się rządowi nowego gabinetu, który na prawdę rozpoczął w kraju gospodarkę i z każdym tygodniem zwiększa szeregi swego stronnictwa. Ta sama centralizacya, która zamieniła rewolucyjny ruch włoski w liberalne rządy jedności i dozwoliła w kraju całkowicie i głęboko katolickim zapanować antykościelnym zasadom, przez lat szesnaście utrzymywała przy władzy stronnictwo monarchiczne, a dzisiaj pracuje dla jego przeciwników. Państwo w ostatnich czasach tak skoncentrowało w rządzie wszystkie żywotne siły społeczeństwa, że stało się ogromną machiną, która pochłania całkowicie wewnętrzne życie narodu i zarzuca straszną sieć na stosunki nie tylko polityczne ale społeczne i nawet rodzinne. Kto dzisiaj potrafi w swe ręce władzę uchwycić, czy ma do niej prawo czy też jest poprostu intrusem, przy pomocy centralizacyi może swą wolę narzucić całemu krajowi, byle tylko nauczył się zręcznie kierować machiną rządową i umiał wprowadzić w życie znane formułki

liberalizmu. Dotąd gabinet nowy przedstawia dopiero postępowe stronnictwo u władzy; nie jest on jeszcze właściwie rządem, ale w jesieni rządem stać się łatwo może. Nadchodzące upały nie dozwolą więcej jak dwa lub trzy tygodnie obradować Izbie, a ministerium przez cztery lub pięć miesięcy będzie miało zupełną swobodę działania. Przez pięć miesięcy wiele we Włoszech zrobić można, a gdy parlament obrady listopadowe rozpocznie, królestwo w nowem zupełnie znaleźć się może położeniu.

Ciekawe zasiadają dziś osobistości na ławie ministeryalnej we Włoszech: warto je lepiej poznać i nieco bliżej im się przypatrzyć.

Gabinet składa się z dziewięciu ministrów, ale właściwie trzech ludzi tylko nadaje mu wybitny charakter i polityczny kierunek: Depretis, Nicotera, Mancini stanowią rzeczywistą radę koronną, inni jej członkowie grupują się tylko na około tych trzech koryfuszów lewicy i tworzą koło o dwóch kolorach a raczej tylko odcieniach z jaśniejszym promieniem, na którym możnaby napisać nazwiska Majorana, Zanardelli i ciemniejszej barwy średnicą: Coppino, Melegari, Brin, i Mezzacapo.

Prezes gabinetu Depretis jest już człowiek nie młody. Zestarzał się w spisku, w knowaniach i tajnej pracy: własni nazywają go weteranem rewolucyjnym. Za młodu był on w ścisłych stosunkach przyjaźni z Mazzinim, należał do założycieli sławnego stowarzyszenia a raczej socjalistycznej propagandy *la giovine Italia*, należał też do wszystkich ruchów, które po roku 1830 podkopywały rządy Karola Alberta, a powoli przygotowały grunt do ostatniego zamachu. W pięćdziesiątym dziesiątym roku brał czynny udział w ruchu politycznym, naprzód w Piemencie, potem w Lombardyi i Toskanii, a w czasie wyprawy Garybaldego do Sycylii dopomagał swą radą dyktatorskim rządóm. Był nawet przez kilka miesięcy prokonsulem tej biednej wyspy, która do tej chwili nie może zatrzeć krwawych śladów ostatniego rewolucyjnego przewrotu. Dwa razy, ale bardzo krótko, zasiadał na ławie ministeryalnej pod przewodnictwem Rattazi'ego, po którego śmierci został obrany przywódcą lewicy. Dzisiaj nie tylko jest prezesem gabinetu, ale przyjął zarazem tekę ministra finansów. Oto krótkie jego curriculum vitae. Depretis w swej długiej karierze politycznej nie odznaczał się nigdy ani wielkimi zdolnościami ani energią charakteru. Nie jest on mężem stanu, mniej jeszcze finansistą. Jest poprostu spiskowcem i doskonałym szermierzem parlamentarnym. W tajnej pracy sekty musiał wielkie położyć zasługi, gdyż w każdej robocie rewolucyjnej zajmował wybitne stanowisko i gdy go stronnictwo postępowe nie tyle jeszcze za przewodnika, ile za swój sztandar obrało. Zimny, po-

nury, mało mówiący, nosi na swem czole wyryte piętno konspiratora. Podczas swych rządów w Palermo zrucono na ziemię i rozbito cztery marmurowe posągi ostatnich Burbonów, zdobiące wielki plac *la Marina*. Żywy i pełen zapału charakter mieszkańców Sycylii nie mógł znieść ponurego prokonsula, który cicho sam jeden, jakby ukradkiem, patrząc zawsze w ziemię, przesuwiał się po ulicach miasta. Przewano go *la quinta statua* i do tej chwili przydomek ten pozostał w pamięci wyspiarzy, jako charakterystyczna cecha dzisiejszego prezesa gabinetu.

Finansów włoskich z pewnością nie doprowadzi on do kwitnącego stanu, podobno nawet oddał je całkowicie w opiekę swemu jeneralnemu sekretarzowi *Seismid-Doda*; nie weźmie też inicjatywy w ważnych kwestiach polityki zewnętrznej, nie będzie miał nawet przeważnego głosu na radach ministeryalnych. W izbie młodszy po za jego plecami działali, ale w uroczystych chwilach on zawsze z urzędu głos zabierał i sztandar opozycji wywieszał. I dzisiaj, choć na innem stanowisku, będzie miał zawsze to samo zadanie. Był całe życie *konspiratorem klubowym*, stanie się teraz *konspiratorem rządowym*. Należał oddawna do admirałów polityki pruskiej, teraz więc może oddać się całą duszą niemieckiemu prądowi i plan kampanii przeciwko Kościołowi wspólnie z nowym ambasadorem układać. Powiadają nawet, że gdy został powołany przez króla do złożenia gabinetu, udał się natychmiast do pałacu *Caffarelli*, nie tylko by zasięgnąć rady p. Keudla, ale by zostawić dwie teki ministeryjalnej do jego rozporządzenia. Depretis miał już nieraz do czynienia z pruskimi agentami, chociaż nie oficjalnymi i z pruskimi pieniędzmi, nie od dnia dzisiejszego kursującymi między kierownikami liberalnej propagandy na półwyspie. Nie trzeba zapominać, że dwa razy był z Rattazim u władzy i to wtedy, gdy rząd przygotował zamach na Państwo kościelne i że należy on do głównych sprawców dwóch wypraw Garybaldiego, z których jedna skończyła się pod *Aspromonte*, a druga pod *Mentana*. Wypadki późniejsze zatępiły już po części wrażenie dwóch tych sławnych dyplomatycznych spisków, ale kiedyś świat wierzyć może nie będzie szczegółom tej brudnej karty dziejów jedności, na której tyle naraz złączyło się gwałtów, zdrady, przedajności i nikczemnych knoń. To też jeżeli prezes gabinetu osobiście jest jeszcze najuczciwszy z całego ministerium, jeżeli niezdolny zaprowadzić na nowe tory polityki włoskiej, to w każdym razie powolny będzie kanclerskim rozkazom, a zawsze gotów do nowej na Kościół konspiracji. W polityce europejskiej nie zajmie on wybitnego stanowiska, ale dla Stolicy św. jest to człowiek bardzo niebezpieczny.

Odmienną zupełnie osobistością, chociaż w tej samej szkole wychowany, jest minister spraw wewnętrznych. Baron *Nicotera*, młody jeszcze i nawet bardzo młody na stanowisko, jakie zajmuje, będzie podobno *sercem* gabinetu; w nim się koncentruje żywotność lewicy, od niego wyjdzie inicjatywa nowych reform i nowego kierunku, na niego głównie są zwrócone oczy przyjaciół i przeciwników. Na wulkanicznej ziemi urodzony, wśród skalistych gór południowego wybrzeża półwyspu, posiada niektóre zalety i wszystkie wady swojej ojczyzny. Żywy, gwałtowny nawet namiętny, umiejący więcej nienawidzić, jak kochać, potrafi jednak zapanować nad uczuciem i kierować się zimnem wyrachowaniem, gdy mu to będzie wskazywać osobisty interes. Nie miał czasu, podobno i nie pragnął wiele się uczyć: chował się w epoce, w której ajenci na ławach szkolnych pozyskiwali młodzież dla tajnych towarzystw, gdy po czterdziestym ósmym roku przyduszone, lecz nie zniszczone elementa rewolucyjne rozwijały tajną propagandę od Alp aż do końca Sycylii. Nicotera jest dzieckiem ostatniego ruchu, a dzieckiem noszącem na sobie cechę nowego politycznego i moralnego kierunku.

Rozpoczął swój zawód publicznego życia od pamiętnej w pięćdziesiątym siódmym roku wyprawy pod Sapri, będącej przedświtem ostatniego przewrotu, a zwiastującym już rolę, jaką Piemont miał odegrać na półwyspie kilka lat później. Wojsko neapolitańskie rozpędziło bandy powstańcze, któremi dowodził *Pisaccone*, a dzisiejszy minister spraw wewnętrznych za udział w zamachu przepędził kilka miesięcy w więzieniu. Nie spodziewali się podobno sędziowie, by ten młody spiskowiec stał kiedyś na czele administracyi kraju; on sam nie wierzył wtedy jeszcze w swą gwiazdę a raczej w smutną gwiazdę Włoch, tę biedną *Stella d'Italia*, która miała wkrótce wszystkie szumowiny społeczne wyprowadzić na wierzch i niemi zarazić blisko ćwierć wieku. Rok pięćdziesiąty dziewiąty znalazł go naturalnie w szeregach Garybaldego. Liczy się do mniemanych bohaterów tysiąca *I mille*, nosi medal za wyłączenie w *Milazzo* i za tę całą smutną komedią, jaką pod przewodnictwem i opieką rządu piemockiego, a współdziałaniem dyplomacyi europejskiej odgrywała się na południu. Na własną już rękę urządził powstanie w Kalabryi, siejąc postrach i przerażenie we własnej prowincyi, a stanąwszy na czele osobnego oddziału, torował dyktatorowi drogę do Neapolu. Wtedy nie nawidził on jeszcze monarchii, nosił w sercu pogardę dla królewskości, ministrów uważał za „krwawych smoków“, a administracyę piemonecką za rozbój wśród dnia białego. Swe przekonania tak wysoko cenił lub też tak wybornie odgrywał swą rolę, że gdy Garybalde pod sztandarem sabaudzkim wypowiedział już jawnie wojnę królowi neapolitańskiemu, Nico-

tera cofnął się ze swym oddziałem i walczyć pod *Volturno* nie chciał, dlatego tylko, by się nie shańbić znakiem monarchii. Nazwany wtedy *il calabrese repubblicano* nosił długo ten przydomek w izbie, klubach i dziennikarstwie.

Wybrany deputowanym do pierwszego parlamentu włoskiego, zasiadał przez lat dwanaście w Turynie, Florencyi i nawet już w Rzymie na ławkach skrajnej lewicy. Dopiero po śmierci Rattazzego, widząc że opozycja nie przyjdzie do władzy bez zmiany pierwotnego programu, zaczął powoli zbliżać się ku środkowi i zdaleka kłaniać się koronie. Długo zajmował wybitne stanowisko anti-rządowe, ale spoglądając z zazdrością ku ławie ministeryalnej, od roku stał się dla Kwirynału potulny jak baranek. Zajmował jeszcze wybitniejsze stanowisko anti-kościelne i na niem zapewne wytrwa aż do końca, bo ono mu drogę do władzy utorowało. Ile razy na porządku dziennym była kwestya religijna, Nicotera regularnie głos zabierał, by obelgami i nienawiścią rzucić na Watykan, zdeptać najwyższe zasady, najświętsze wyśmiać uczucia, wyznając otwarcie przekonanie potrzeby zniszczenia Kościoła. Kilka razy słyszałem go mówiącego w parlamencie. Umie władać językiem, umie pociągnąć za sobą galeryę, umie nawet gwałtowną wymową rozbudzić zapal w publiczności, ale znać w nim człowieka bez wykształcenia, bez nauki, nawet bez wytrawności politycznej, nawet bez pewnych stałych przekonań. Być może, że stanąwszy u steru władzy, rozpatrzywszy się w administracyi, na której stoi czele, spostrzegł się, że Kościół w ustroju politycznym przedstawia ogromną siłę i że jeżeli w Niemczech protestanckich żelazny kanclerz do tej chwili nie potrafił go zniszczyć jednym zamachem, tem bardziej z nim się rachować trzeba we Włoszech katolickich. Być więc może, że minister spraw wewnętrznych byłby w części zmienił zapatrywania się deputowanego z lewicy i chwycił się na nowo systemu Consorteryi, najbardziej podstępnego i niebezpiecznego, z jakim kiedy Kościół miał do walczenia we Włoszech. Ale *Rabagasem* na półwyspie w polityce być nie uchodzi. Kto powstał z sekty, ten się na całe życie wyparł niepodległości i dobrowolnie stał się jej sługą i niewolnikiem: kogo tajne stowarzyszenia wyniosły do władzy, ten wyzuł się z własnej woli, by im ślepo służyć za narzędzie. Nicotera lubi władzę i gdyby nie dla swych przekonań, to dla niej samej będzie się trzymał kierunku swego stronnictwa. Dzieckiem prawie zapisany do łoża, rozpoczął życie spiskiem na prawa Stolicy Apostolskiej; młodzieńcem wszedł w zawód publiczny wyprawą pod *Sapri*, spędził najważniejsze w życiu lata między *Aspromonte* i *Mentana*; chociaż republikanin konspirował ze wszystkimi ministeryami przeciw papiestwu, w Izbie stał na czele propagandy antireligijnej, w roku zeszłym interpelował rząd o po-

litykę kościelną, stawiał ministrom za wzór politykę pruską, żądał zniesienia praw rękojmii. Nie trudno zrozumieć, czego się po takim powierniku korony spodziewać można.

Na tem zakończyć nie można jego bijografii. W sześćdziesiątym siódmym roku, gdy po bitwie pod Mentaną nastał wielki popłoch w szeregach rewolucyjnych, a Garybaldi, jak się ktoś wtedy dowcipnie wyraził, „wskazywał na dzielnym białym koniu najkrótszą drogę z Rzymu do Caprery“, zginęła w zamieszaniu wojskowa kasa. Liberalne dzienniki jednogłośnie oskarżyły dzisiejszego ministra spraw wewnętrznych o przywłaszczanie sobie pieniędzy, które potajemnie z funduszków państwa Rattazzi wysyłał do obozu. Nigdy się z tego zarzutu oczyścić Nicotera nie umiał, i czas pewien panowało nawet nieporozumienie między dyktatorem a młodym pułkownikiem, który osobną wtedy bandą dowodził i o ile starannie unikał spotkania się z wojskiem papieskiem, o tyle jego oddział szerzył spustoszenie po całej kampanii pod same mury stolicy. Do tej chwili mieszkańcy Monte Rotondo i okolicy nie mogą zatrzeć śladów nadużyć i gwałtów, jakimi ta cała wyprawa się odznaczyła. W ostatnich latach Nicotera brał udział i w finansowych przedsięwzięciach kolejowych i bankowych, jeśli potrzebowały poparcia Izby, a w sławnej upadłości sycylijskiej stowarzyszenia morskiego *Trinacria* tak smutną odegrał rolę, że prefekt palermitański Gerra przysłał ówczesnemu ministrowi *Cantelli* cały plik dowodów mocno kompromitujących go i jego przyjaciół politycznych. Z pięciu milionów subwencji rządowej ulotniło się kilkakroć sto tysięcy między deputowanymi lewicy, adwokatami i wpływowymi osobistościami izby. Dzisiejszy naczelnik administracji prawie do dnia swej nominacji na ministra spraw zewnętrznych, był pod szczególną opieką policyi. Znalaziono przed paru tygodniami w tajnem archiwum ministerstwa *czarną księgę*, sporządzoną przez gabinet *Lanza-Sella*. Obejmowała ona biografje przewodzców opozycji, rzucające bardzo smutne światło na polityczne i społeczne stosunki liberalnego stronnictwa a wykrywające mnóstwo spraw skandalicznych neapolitańskiego obozu. Deputowany *Cavallotti* interpelował przed paru dniami rząd w tej kwestyi, żądając ogłoszenia tajemnych dokumentów. Nicotera w gwałtownej filipice odpowiedział, „że oszczerstwa hańbią jedynie tych, którzy je rozsiewają i niemi się posługują i że gdy opuści stanowisko urzędowe, upomni się jako obywatel kraju o obrazę własnego honoru“, ale dokumentów ogłosić nie chciał. Wiadomo wszystkim, że w *czarnej księdze* bardzo wybitne miejsce zajmował, i że mu w niej przypominano wiele szczegółów z życia, o których był zapewne na ławie ministeryalnej całkowicie zapomniiał.

Umyślnie dotykam tych brudnych kart dziejów jedności, bo w kraju naszym, mało bardzo obeznanym z tutejszemi stosunkami, rzadko komu wiadomo, jakich ludzi wydała z siebie we Włoszech ostatnia rewolucyjna epoka i po piętnastu latach niwelacyjnych rządów liberalizmu, jakie czekają jeszcze czasy Stolicę Świętą. A jednak dla Kościoła Nicotera nie jest najniebezpieczniejszym członkiem nowego gabinetu. Jest nim *Mancini*, minister sprawiedliwości i wyznań. Będzie *on głową i złym geniuszem* nowego kierunku, któremu Depretis posłuży za *sztandar*, a Nicotera za *wykonawcę*. Neapolitańczyk, adwokat, uczeń smutnej pamięci Tarazzi'ego, jest to człowiek ogromnych zdolności, głębokiej nauki, niepospolitych zasobów: z chrześcijańskim wychowaniem byłby niezaprzeczenie zajął pierwsze miejsce w świecie katolickim. Uposażony niezwykle od natury, wielkimi zdolnościami, obok talentów i prawdziwych zasług na polu naukowem, posiada osobisty urok, jednający mu z łatwością przyjaciół. Ale ten człowiek jest równie głęboko zepsuty. Nie z nienawiści lub widoków osobistych spiskujący przeciw Kościołowi, ale z systemu, z obranego naukowego i politycznego kierunku, z wytkniętej od dawnych lat drogi postępowania. Mancini jest jurystą, literatem i politykiem pierwszorzędnym; ostatnie lato stałe przemieszkiał w Rzymie, studiując jego zasady; zna dokładnie konstytucyę Kościoła, organizacyą Stolicy Świętej i będzie umiał zadać jej najdotkliwsze ciosy. Nie jest on nawet niepodległym. Zależy zapewne od tajnych towarzystw, ale zależy jeszcze bardziej od ambasady pruskiej. Od lat czterech był on kandydatem pałacu Caffarelli, był oficjalnym jego adwokatem, doradcą i powiernikiem. Był jego gościem codziennym, przyjacielem a nawet i dłużnikiem. Mimo wrodzonego lenistwa zarabia co rocznie ogromne pieniądze jako adwokat, ale nie ma sum neapolitańskich, któreby wystarczyły na jego utrzymanie i na zaspokojenie wierzyteli. Nie dali mu oni spokoju od pierwszych lat młodości, ścigali go przez całe życie, przyaresztowali nawet pensyę ministeryalną. W przeddzień jego nominacyi na ministra sprawiedliwości dostał pozew do sądu i sekwestr sprzętów domowych. W mieście panuje ogólne przekonanie, tak między jego przeciwnikami jak i przyjaciółmi, że za duże pieniądze sprzedałby nietylko własne przekonania ale i własną duszę i że są chwile, w których tylko ten może być pewien jego poparcia, kto dobrze płaci. Od pewnego czasu płaci p. *Keudel*; człowiek niepewnego charakteru, nieczysty, nawet skandalicznej przeszłości, nie posiadający ani zaufania, ani poszanowania poważnego sądownictwa, był stworzoną w Rzymie osobistością dla ambasady niemieckiej. Dzisiaj jest poprostu urzędowym przedstawicielem pruskiego kierunku w gabinecie, rękojmnią posłuszeństwa i zakładnikiem dla księcia kanclerza, a gdyby go przekonania i sym-

patye nie czyniły zwolennikiem polityki berlińskiej, staćby się jej musiał niewolnikiem za weksle płacone pruskimi markami.

Dla dopełnienia i wykończenia obrazu potrzeba nam odśłonić jeszcze jedną kartę z przeszłości. W trzydziestym trzecim roku, już po otworzeniu socjalistycznego stowarzyszenia *la Giovine Italia*, pewnego wieczora młody cudzoziemiec zapukał do małego domku w Genewie, w którym się ukrywał Mazzini. Przywiózł on z sobą list z Piemontu, od jednego z najgorliwszych i najukochańszych uczniów, polecający względem mistrza nowego adepta, który „czuł się powołany do ważnej misji wybawienia narodu“. W poufnej rozmowie dowiedział się Mazzini, że cudzoziemiec widząc upadającą rewolucyjną sprawę pod energicznymi rządami Karola Alberta, umyślił przygotować zamach na jego życie. Mistrz naturalnie pobłogosławił tak świętym przedsięwzięciom, sam plany wygotował, przybyłego zaopatrzył obficie funduszami, dał mu potrzebne instrukcje, dał mu nawet sztylet bogato oprawny w lapis lazuli, który zawsze leżał na jego stole jako znak jedności stowarzyszenia i który miał dodać odwagi niewprawnej jeszcze ręce. Młody konspirator pod cudzem nazwiskiem, opatrzony angielskim paszportem, powrócił do Turynu. Król miał zwyczaj co niedziela, powracając z kaplicy pałacowej do swych prywatnych pokojów, zatrzymywać się w wielkiej sklepionej galeryi dając audyencyę zagranicznym posłom, rozmawiając z ministrami, odbierając prośby od osób prywatnych. Zabójca potrafił dwa razy dostać się do pałacu i widzieć zbliśka Karola Alberta, ale czy przestraszony licznem otoczeniem dworu, czy też widząc niebezpieczeństwo przedsięwzięcia, nie mógł dokonać zamachu. Odkryty przez policję sabaudzką, musiał uciekać do Szwajcaryi. Wytoczony natychmiast proces w Turynie, odkrył całą konspiracyę na życie królewskie, wytropił spisek uknuty w Turynie a przygotowany w Genewie i pociągnął do odpowiedzialności przyjaciela, którego list rekomendacyjny dostał się do rąk sprawiedliwości. Sąd skazał zaocznie na śmierć zabójcę a jego powiernik odsiadywał karę w więzieniu, dopóki mu dekret królewski nie przyniósł ułaskawienie. Pierwszym był *Galenga*, znany później agent hr. Cavoura, prefekt i wysokiego stanowiska urzędnik rządu włoskiego, dzisiaj głośny korespondent „Timesa“; drugim był wówczas młody profesor ekonomii politycznej *Amadeusz Melegari*, a od d. 28 marca *minister spraw zagranicznych* Wiktora Emanuela.

Takto król powołał do rady koronnej i powierzył kierunek polityki zagranicznej dawnemu konspiratorowi przeciw rządowi Karola Alberta; syn zaufał człowiekowi, który należał do spisku na życie ojca? To rzecz niepodobna. Prawda. A jednak ani minister Melegari nie zaprzeczy świadectwom pro-

cesu ani inni członkowie gabinetu nie potrafia zatrzeć swej przeszłości poświęconej prawie wyłącznie tajnym knowaniom przeciw monarchii. Dziś jeszcze uważają to sobie za zaszczyt. Co dziwniejsze, to że Wiktor Emanuel nie był bynajmniej zmuszonym groźnem położeniem oddania się w ręce lewicy. Po upadku ostatniego ministeryum mógł być powołać, jak radził Minghetti albo jenerała *Cialdiniego* albo przedstawicieli frakcyi tokańskiej, albo przewodców lewego środka, nie potrzebując tworzyć gabinetu z samych skrajnych żywiołów. Stronnictwo dworskie powiada, że król chciał uczynić próbę a zarazem izbie i krajowi dać naukę, iż tylko stronnictwo piemonckie i jego adepci jest zdolne kierować sprawami kraju. Ale Wiktor Emanuel nie jest bynajmniej lekkomyślny, a opinia, jaka się o nim wyrobiła niemal w całej Europie, nie ma żadnej podstawy. Syn Karola Alberta jest typem rodziny sabaudzkiej a Filiberty i Amadeusze, którzy od siedmiu wieków pracowali nieustannie nad powiększeniem małego swego dziedzictwa w górach piemonckich, nie wyparliby się bynajmniej swego prawnuka. Pod formą szorstką i rubaszną ukrywają się u niego niezwykle zdolności polityczne, które wyrobiły przekonanie w Ratazzim i w wielu bardzo dyplomatach, że król jest najznakomitszym mężem stanu swego czasu. Poluje, bawi się, nie może usiedzieć dwóch tygodni na miejscu, nigdy prawie stale w Rzymie nie mieszka, ale nie się dotąd nie działo w zewnętrznej polityce królestwa, ani w ważniejszych sprawach administracyi wewnętrznej bez jego zezwolenia, bez jego wpływu, a nawet bez jego kierunku. Być może, że czasami jeszcze w duszy jego odzywają się wspomnienia świętobliwej żony, błogosławionej matki i ciotki, że sam bez obcych wpływów, bez parcia liberalnego stronnictwa nie byłby stanął na czele ruchu rewolucyjnego, ani go tak daleko doprowadził, ale jest rzeczą zupełnie fałszywą sądzić, że dom sabaudzki stał na uboczu, że uległ tylko przemocy, że Wiktor Emanuel nie życzył sobie ostatniego przewrotu i że musiał stoczyć wielką walkę wewnętrzną, nim się zgodził na wypędzenie ze swych dzielnic książąt sobie pokrewnych i targnięcie się na spuściznę Piotrową.

Jeżeli więc powołał do władzy lewicę, to miał do tego przyczynę. W ostatnim roku położenie dworu kwirynalskiego stało się bardzo krytyczne. Król ma po całej Europie długi. Ma je we Włoszech, ma je w Paryżu, ma je nawet u wicekróla egipskiego. Sam dużo potrzebuje pieniędzy, więcej jeszcze wydaje hrabina Mirafiori. Dwanaście więc milionów franków listy cywilnej nie wystarcza, a z każdym rokiem sytuacja staje się trudniejsza. Fałszywe weksle, które się naraz ukazały w kilku krajowych i zagranicznych bankach, wywołały niebezpieczną polemikę i zwróciły na kwirynalskie zakulisowe intrygi

nietylko prasę miejscową ale i cudzoziemską. Naturalnie urok monarchy na tem nie zyskiwał, ani się wzmacniał jego kredyt za granicą. Złemu trzeba było zaradzić i zaradzić prędko, a Minghetti nie śmiał ani żaden z jego stronników przyjąć na własną odpowiedzialność zapłacenie długów królewskich, podwyższenia listy cywilnej i przeprowadzenia z godnością w izbie całej sprawy nie zupełnie czystej. Skorzystał z chwili Nicotera, od roku mający wstęp do Kwirynału, dużo obiecał, dużo powolności okazał i użył wpływu hrabiny Mirafiori do powołania Depretis'a na prezesa gabinetu. Musiał nawet w części obietnicy dotrzymać, bo proces o fałszywe weksle został zawieszony, cała sprawa uśpiona i chwilowo na dworze cisza zapanowała. Winnych ukarać nie było można; bo hr. Montegazza zasłaniał tylko sobą daleko wyżej położone osoby, które zwykle wymiar sprawiedliwości dosięgnąć nie może. Wykupiono więc weksle i zapisano je zapewne w rubrykę nieprzewidzianych wydatków ministerstwa spraw wewnętrznych.

Nie ulega jednak wątpliwości, że król lekceważył sobie nowych ministrów i że w duszy myśli ich użyć tylko do swych osobistych widoków i prywatnych interesów. Przed dwoma czy trzema tygodniami księżna *Reuss*, żona byłego posła niemieckiego w Petersburgu, domu Wirtemberskiego, spokrewnionego z rodziną sabaudzką, przedstawiała królowi niebezpieczeństwo gabinetu, złożonego z takich żywiołów. „Niech pani będzie zupełnie o nas spokojna, odpowiedział ze zwykłą sobie rubasznnością, w jesieni tych panów wyrzuci się za drzwi i wrócimy do dawnego systemu.“ Otóż pytanie, czy się tym razem Wiktor Emanuel nie pomylił i nadto nie zaufał własnemu wpływowi i zręczności. Kto dużo stawia na kartę, dużo też przegrać może. Łatwo było powołać do władzy niebezpieczne żywioły, ale równie łatwo nie będzie usunąć je ze stanowiska, do którego przez tyle lat wzdychały i z którego pragną dla siebie ogromną fortecę utworzyć. Jeżeli do tej chwili ministrowie nie podnieśli żadnej pierwszorzędnej kwestyi gabinetowej, to że nie czują się jeszcze silni i że pracują przede wszystkim nad zapewnieniem sobie poparcia wszystkich gałęzi centralizacyi. Prefektury, biura administracyjne, sądownictwo, nawet senat, zapełniają się ich ludźmi; w całej machinie rządowej panuje ruch ogromny ciągłych przemian, dymisyj i awansów; propaganda dziennikarska szerzy się po całym półwyspie, a stronnictwo będące u władzy organizuje się od jednego końca do drugiego królestwa. Jest to przygotowanie do walki wyborczej, która za pół roku rozstrzygnie o losach monarchii. Z teraźniejszą izbą gabinet rządzić nie może i nie myśli jej nawet swych planów odkrywać, dlatego w jesieni będzie żądał rozwiązania parlamentu i rozpoczęcia nowej sesyi

z początkiem roku przyszłego. Nie ulega wątpliwości, że przy pomocy centralizacji i rozpoczętym już ruchu administracyjnym nowa izba będzie złożona z ogromnej liczby stronnictwa postępowego, kiedy po 28 marca na dwadzieścia kilka kół wyborczych *Consorteria* nie potrafiła przeprowadzić ani jednego swego kandydata. Król podobno sądzi, że to będzie chwila sposobna pozbycia się nie milego i nie potrzebnego wtedy gabinetu, odmówiwszy rozwiązania izby. Ale tu znowu pytanie, czy Wiktor Emanuel się nie łudzi i czy za cztery lub pięć miesięcy nie będzie zmuszony przyjąć polityki p. Nicotery za swoją.

Gabinet dzisiejszy ma silne poparcie Berlina i liczyć zupełnie może na pomoc kanclerską. Gdyby nie intrygi p. Keudla i propaganda pałacu Cafarelli, p. Mingetti byłby zapewne do tej chwili u władzy. Nie miał on ani zaufania, ani wielkiego poparcia własnego stronnictwa, ale utrzymywał się przez lat trzy obawą niebezpiecznych następstw, jakie zmiana sprowadzić mogła. Widocznie w Berlinie potrzebowano jej nagle i koniecznie, bo zdecydowano się na krok, który zawsze politykę pruską charakteryzował w chwilach stanowczych. Przy prowadząc w Niemczech centralizację sieci kolei żelaznych, zażądano od królestwa zakupna linii *Del' Alta Italia*, jako rękojmi bezpieczeństwa w razie wojny dla obu narodów. Ludzie dobrze obznajomieni z położeniem rzeczy zapewniają, że ani Minghetti, ani Sella nie byli zwolennikami tego systemu bardzo wstrętnego we Włoszech, nawet liberalnym żywiołom i że w żadnym razie nie chcieli podejmować się administracji rządowej, wystawiającej finanse państwa na wielkie niebezpieczeństwo, ale przestraszeni groźnem wystąpieniem niemieckiego poselstwa, byli literalnie zmuszeni przyjąć projekt berliński i popierać go w Izbie bezwarunkowo. Projekt ten wywołał rozdział w *Consorteryi*, sprowadził odłączenie się od gabinetu partii tokańskiej i przyspieszył upadek ministeryum. Jak tylko król powołał Depretisa do Kwirynału i nowy gabinet się uformował, p. Keudel natychmiast ustępstwa uczynił i chociaż żąda potwierdzenia konwencji zawartej w Bazylei, to nie nalega już więcej na administrację rządową kolei północnej.

Jeżeli więc nie zajdą jakieś nadzwyczajne okoliczności, lub jeżeli gabinet nie popełni wielkich błędów, to powinien się utrzymać na swem stanowisku nietylko do jesieni, lecz i dłużej, i Izbę rozwiązać potrafi i cały szereg reform naprawę rozpocznie. Wtedy dopiero nastąpią rzeczywiste rządy lewicy, panowanie stronnictwa postępowego i rozwinięcie na wielką skalę tych wszystkich projektów, z którymi opozycja nosiła się przez lat kilkanaście, a które będą ostatnim wyrazem ruchu włoskiego. Wtedy też dla dziejów jedności rozpocznie się tam nowy, osobny zupełnie rozdział historii i bogata za-

pewne w wypadki epoka. Umiarkowanie, z jakim rozpoczęło swe rządy nowe ministeryum, nie uspakaja nikogo, kto zna tutaj położenie rzeczy. Najważniejsze wypadki przygotowują się we Włoszech w największej tajemnicy, a cudzoziemiec zwiedzający półwysep, nie domyśli się nigdy, że nazajutrz może być świadkiem wielkiego politycznego przewrotu. Jeden z dyplomatów, od lat dziesięciu zamieszkały w Rzymie i wybornie znający miejscowe stosunki, rozbierając nienaturalne i dziwne położenie korony, gabinetu i kraju, które prześladowają chwilowo trzy odrębne kierunki, zrobił mi bardzo ważną uwagę, że tylko w jednych Włoszech konspiracye i knowania tajemne mają tak nadzwyczajne znaczenie, tak wyrobioną tradycyę, tak przeszły niejako w charakter narodowy, iż się stały punktem oparcia, motorem wszystkich ruchów, i że nie wystarczy nigdy rachować się tylko z wypadkami, jakie się rozwijają wśród dnia białego, z jawną polityczną akcyą. „Gdybym tu nie był świadkiem zamachu w sześćdziesiątym siódmym roku i zaboru Rzymu w siedemdziesiątym, nie byłbym nigdy przekonał się, jakim sposobem przygotowują się wypadki w królestwie i jak potężna musi być podziemna organizacya liberalnego stronnictwa, by wszystkie jej sprężyny z taką zgodnością działały. Powiem panu więcej, że gdybym był w ministeryum i czytał własne moje raporta, posyłane królowi, byłbym zapewne tak samo sądził, jak moi koledzy, że albo mnie unosi niezwykła jakaś gorliwość, albo też jestem pod wpływem urojonych obaw i fałszywych informacyj. W kilka miesięcy przekonano się, że miałem racyę, ja zaś nabyłem doświadczenia, jak szukać pewnych wskazówek do oryentowania się w tej podwójnej grze, jaką rząd włoski od lat kilku prowadzi. Każda możniejsza akcyą polityczną w tajemnicy się gotuje, dopóki role nie są rozdane, wyuczone, wypróbowane, dopóki reżyser nie da znaku do podniesienia kurtyny, sufler nie zajmie swego miejsca, scena do ostatniej lampki nie zostanie oświecona, a publiczność się budzi pięknego poranku, znajdując kraj w nowej zupełnie sytuacji.“

W położeniu tak niepewnem, w jakim się dziś Europa znajduje, w wilię grożącej kwestyi wschodniej, której rozwiązanie może a nawet musi spowodować nieobliczone następstwa, niepodobna przewidzieć do ostatniej linii kierunku, jaki królestwo i nowy gabinet zajmie w polityce zagranicznej. Nie ulega wątpliwości, że w tej chwili jakiś plan wyrabia się w pałacu Brachi, lecz nie ulega także wątpliwości, że rząd włoski będzie zupełnym niewolnikiem kanclerskich wymagań, i że się dla niego zaczną czasy prawdziwego teutońskiego jarzma. Mancini nie zadawałby się ministerstwem sprawiedliwości i wyznań, lecz od dwóch tygodni bardzo się miesza do dyplomacyi. Powiadają nawet, że wkrótce może zastąpi pana Melegari i stanie

urzędownie na czele ministerstwa spraw zagranicznych. Uderzającą jest rzeczą, że w chwili tak ważnej pozostawiono dotąd najważniejsze posady dyplomatyczne nie obsadzone i że ani p. Nigra nie jedzie jeszcze do Petersburga, ani na jego miejsce nie wyznaczono dotąd następcy. Z drugiej strony Moltke nie potrzebował koniecznie widoku ślicznego neapolitańskiej zatoki dla wyleczenia z kataru, jaki mu sprowadziła ostatnia podobno jeszcze wojna. Nietylko, że bawił on na półwyspie od dwóch miesięcy, ale zwiedził wszystkie zakłady mechaniczne, wszystkie porty, miejsca obronne, przejrzał niemal całą armię aż do ostatniego pułku, przetrząsnął koszary, przeglądał wojenne plany, przeplatając zajęcia techniczne poufnymi pogadankami z prezesem gabinetu i innymi ministrami. Liberalna prasa miała widocznie rozkaz milczenia o jego pobycie, gdyż bijąc czołem przed wszystkim co pruskie i z uwielbieniem pochylając głowę przed każdym półbożkiem wojny ostatniej, ani jednym słowem nie zdradził majowych wycieczek i niewinnych rozrywek wielkiego marszałka, tak samo jak przed trzema laty nie uczyniła nawet wzmianki o podobnym w królestwie pobycie jen. Blumenthala, który przez kilka miesięcy gorliwie pracował na półwyspie i pewno z próżną teką do Berlina nie powrócił.

Łatwiej można przewidzieć, jakiego kierunku trzymać się będzie gabinet w wewnętrznej administracji kraju. Ludzie, którzy całe życie konspirowali przeciw monarchii, którym pobielaty włosy w potajemnych knowaniach przeciw rodzinie sabaudzkiej, nie wyparli się w jednej chwili całej swej przeszłości i nie przemienili się pod magicznem działaniem ministerjalnej ławy w szczerych i obrońców patriotycznych Wiktora Emanuela, tem bardziej można być przekonanym, że skrycie pracują dla republiki i że całemi siłami podkopywać będą monarchię. Do wywrotu jej nie przyjdzie ani dziś ani jutro jeszcze, ale prawa przeprowadzone do 28 marca najlepiej dowodzą, że ministerjum pragnie na drodze legalnej przygotować jej tę pochyłą płaszczyznę, po której za lekkim popchnięciem zsuwać się sama będzie ku przepaści. W przeciągu dwóch miesięcy potrafią już zawotować zniesienie przysięgi w sądownictwie, za którem przyjdzie zniesienie jej we wszystkich gałęziach władzy administracyjnej i politycznej; potrafią wygotować projekt reformy elektoralfnej w prostej drodze, prowadzącej do powszechnego głosowania. Mancini wnosi do Izby prawo, oddające majątek kościelny w zarząd świecki czyli chce zrobić duchowieństwo zależnem od gminy; Nicotera w sposób najbardziej arbitralny rozwiązuje radę municypalną w Neapolu, gdyż się z większości katolickiej składała i przerabia po większych miastach listy wyborcze, by zapewnić zwycięstwo

swemu stronnictwu. Są to wszystko belki pomostu, po którym niespodziewanie przesunie się republika.

Nie wybiła jeszcze godzina dla monarchii; bo rodzina sabaudzka takie oddała i oddaje dotąd usługi rewolucyi, że jest w interesie stronnictwa postępowego utrzymywać ją dla własnych celów i wyzyskiwać jej wpływy dla przyszłego przewrotu. Korona, która stanęła na czele liberalnego ruchu włoskiego i rozpoczęła w Europie nową epokę aneksyi, jest wybornem narzędziem rewolucyjnem, dziwnie ułatwiającem zadanie skrajnym żywiołom. Do tego osobiste postępowanie króla, niezgoda i intrygi w rodzinie panującej, gwałtowny i niezdolny charakter następcy tronu, nie lubianego, nienawidzonego prawie we własnem stronnictwie, skandaliczne sceny kwirynalskiego dworu, które są znane wszystkim, ale o których bez wstydu zaledwie wspomuć można, same przygotowują grunt pod zasiew rewolucyjny, który w każdym innym kraju byłby już wydał krwawe i zastrasżające owoce.

Gabinet będzie przede wszystkim potrzebował monarchii do walki z Kościołem. Gdyby lewica miała więcej wytrawności politycznej, trzymałaby się dotychczasowego systemu Consorteryi, powolnego, niby łagodnego a systematycznego i gruntownego podkopywania konstytucyi kościelnej. Ale posłannictwo zaślepia nienawiść, któraby jednym ciosem chciała zgnieść Watykan i zniszczyć chrześcijański ustrój społeczeństwa. Żal tego ślicznego kraju, który wychował, powiedzieć można, i wykształcił całą Europę, który wydał z siebie najpiękniejsze utwory chrześcijańskiej cywilizacyi, dzisiaj jęczącego pod przewagą największego spisku przeciw społeczeństwu; jaki kiedykolwiek widziała historia. Żal serdecznie tego pięknego, niezrównanego półwyspu, który przez całe wieki panował moralnie nad światem swemi instytucjami, sztuką, życiem umysłowym a od lat kilkunastu zostającego w panowaniu sekty, z fanatyczną nienawiścią niszczącej jego przeszłość i narodowy charakter. Ale dla serca katolickiego w kwestyi włoskiej przede wszystkim występuje sprawa Kościoła, to jest całość Stolicy Apostolskiej i niepodległość Ojca Świętego. I dlatego ludzie, stojący dzisiaj u steru rządu we Włoszech, powinni i muszą zwracać na siebie uwagę nie tylko każdego, kto jakkolwiek bierze udział w ruchu katolickim, ale każdego, czyje serce nie skamieniało niewiarą, i obojętnie nie patrzy na straszliwą walkę, toczącą się w łonie całego społeczeństwa.

Że w łonie gabinetu panuje pod tym względem zgoda, to nie podlega wątpliwości, ale zdaje się, że do tej chwili nie określano sobie ostatecznego planu i nie wytknięto jeszcze toru postępowania. Będzie on jednak zależał głównie od wy magań pruskich i od nowych wyborów, mniej lub więcej skrajnych żywiołów, jakie składać będą przyszłą Izbę; a wreszcie

od wypadków politycznych groźną chmurą od Wschodu wychodzących na europejski horyzont. Kanclerz niemiecki w pół drogi nie lubi się zatrzymywać, a Włochy nie pozostawi bez swej czynnej opieki. W pałacu Cafarelli rozbierano już kwestyę religijną, a jeżeli do tej chwili nie można z pewnością wiedzieć, czy już i jaka stanęła ugoda między dwoma rządami, to na nieszczęście wątpić nawet nie wolno, że w sąsiedzie porozumienie istnieć nie będzie i że ani Depretis ani Nicotera ani Mancini, co gorzej ani dwór kwirynalski ani król osobiscie, nie będą stawiać przeszkód planom berlińskim.

Na drodze dyplomatycznej rozpoczną się negocjacye o usunięcie reprezentacyi państw katolickich przy Stolicy Św. i zniesienie prawa rękojmi. Nie jest to plan włoski, nie powinien nawet układać polityki tutejszej: Consorterya opierała mu się przez całe dwa lata, wiedząc bardzo dobrze, że *le garanzie* w praktyce już dawno nie istnieją, że ciało dyplomatyczne przy Watykanie nie ma właściwie żadnego wpływu, a w rzeczach Europy zapewnia niby niepodległość Ojcu Świętemu i zupełną swobodę działania Stolicy Apostolskiej. Ale Kanclerz pragnie koniecznie wyzuć Papieża nawet z tego łańchmana praw, jakie mu udzielił raczył parlament włoski a osobie jego odmówić wszelkiego niezależnego stanowiska, by ją móżdź pociągnąć do odpowiedzialności i wolę państwa narzucić. Mancini z taką gwałtownością występujący przeciw wszelkim atrybucyom papieżkim, w czasie dyskusyi ustawy o rękojmjach, Nicotera w roku zeszłym jeszcze żądający w Izbie cofnięcia tego „niemoralnego prawa“ i lewica dziś stojąca u władzy, za każdym razem popierająca obu swych koryfeuszów, nie zapewne nie będą miały przeciw polityce berlińskiej, która się stanie niedługo wyznaniem wiary Kwirynału. Przed dwoma tygodniami podniesiona burza w Komisji budżetowej przeciw ambasadorowi francuzkiemu w Rzymie p. *de Courcelles* była poniekąd pierwszym oznakiem rozpoczynającej się dyplomatycznej kampanii przeciw Watykanowi. Książę Bismarck nie od dnia dzisiejszego nalega na rząd francuzki o zmiany w ambasadzie rzymskiej, nie od dziś rozciągnął prawdziwą obserwacyę na cały ruch katolicki, nie od dzisiaj wreszcie popiera on skrajne żywioły, a poseł niemiecki w Paryżu miesza się tak często w sprawy czysto-domowego i nawet prywatego charakteru, że minister spraw zagranicznych musi mieć bardzo wiele cierpliwości, by znieść ten rodzaj nieustannej kontroli, jakiej ulegają każdy ruch, każde słowo, niemal każda myśl dyplomacyi francuzkiej.

Fakta dokonane przychodziły zawsze w pomoc dyplomacyi włoskiej i tu leży prawdziwe niebezpieczeństwo dla papieżstwa. Gdy projekta będą wygotowane, plan kampanii zatwierdzony, wtedy rozpocznie się propaganda czynna i wtedy też

pilnie trzeba zwracać uwagę na każdą demonstrację uliczną, na każdy rozruch ludowy, bo one będą sygnałem rozpoczętej walki. Gdy przed półtora roku Garibaldi zebrał był blisko pięćdziesiąt tysięcy robotników dla uregulowania koryta Tybru, zapanowała prawdziwa trwoga w poważniejszych umysłach, nawet liberalnego stronnictwa. Istniało wówczas prawdziwe niebezpieczeństwo może i dla monarchii, ale przede wszystkim dla Watykanu. Przygotowywał się zamach, który rząd z nie-słuchaną zrećznością usunął, stając sam na czele ruchu, bo miał słuszne obawy o własne istnienie. Z dzisiejszymi ministrami położenie się zmienia. Kanclerzowi niemieckiemu potrzeba rozproszenia Stolicy Świętej i wcale się z tem nie kryje; a ludzi stojących dziś u władzy do tego stopnia zaślepia nienawiść sekciarska, iż nie widzą, iż nie przeczuwają, że bez Kościoła, bez papieżstwa, bez Watykanu, jedność włoska jako organizacja polityczna znaczenia mieć w Europie nie będzie. Garibaldi wyjeżdża temi dniami na Caprę, to znaczy, że gabinet przez dwa lub trzy miesiące potrzebuje koniecznie spokoju do uorganizowania się i rozwinięcia propagandy; a gdy przyjdzie chwila zamachu, „pustelnik“ potrafi jeszcze przywdziać przyłbicę i stanąć na czele ulicznego motłochu. Dopokąd lewica stoi u władzy Stolicy Świętej, grozi ciągłe niebezpieczeństwo; może się ono odwlec, może nieprzewidzianymi okolicznościami być odroczone na dwa, trzy lub cztery miesiące, może wreszcie politycznymi wypadkami być zmienionem w pierwotnym kierunku, ale nie trzeba zapominać ani na chwilę, że panuje tajne porozumienie między Berlinem a Kwirynałem, i że dzisiaj najważniejsze projekta ministerjalne decydują się w pałacu Cafarelli.

Kiedy z wierzchołka kopuły Św. Piotra rzucić okiem na rzymską kampanię i góry sabińskie, a dalej jeszcze sięgnąć na śniegiem pokryte wierzchołki apenińskiego łańcucha, i dalej jeszcze sięgnąć myślą po za alpejskie wyniesienie ku północy i zachodowi, na ten ogromny obszar ziemi, który się kiedyś Europą katolicką nazywał, przerażający otwiera się widok i boleśnie ściska się serce. Wszędzie niezgoda, wszędzie potarganie węzłów społecznych, wszędzie zdeptanie zasad chrześcijańskich i tryumfujące prawo liberalizmu. W chwili, gdy panujące zasady rozdzielają Kościół od państwa, a raczej Kościół pragną uczynić państwa niewolnikiem; stosunki polityczne Europy same uczą, że nie można się wyrzec chrześcijańskiej podstawy, bez strasznego politycznego wstrząśnienia. Nie ma dzisiaj jednej kwestyi politycznej bez kwestyi religijnej. Obok wielkiego prześladowania w państwie niemieckiem, w każdym kraju, w każdym rządzie burzą się dawne podwaliny, mnożą się ruiny, społeczne szerzy się z każdym dniem spustoszenie, bez jednego płomyka nadziei i pokoju. W Hiszpanii

sprawa konkordatowa, niszcząca jedność religijną, we Francyi zagrożone wychowanie chrześcijańskie, w Austryi, w Węgrzech prawa konfesyjne, w małej Szwajcaryi panowanie staro-katolicyzmu, na naszej biednej ziemi osierocone stolice biskupie, męstwo poznańskiego duchowieństwa, pozbawionego swego pasterza, krew unicka dająca świadectwo wierze, wołająca o Miłosierdzie Boże dla narodu. Nawet w Hercogowinie obok intyg dyplomatycznych i politycznych zawikłań, islamizm walczy z resztkami chrześcijaństwa, nawet w ostatnich wypadkach w Salonice kwestya religijna krwawym śladem zapisało się na ścianach meczetu.

Z kopuły Św. Piotra widziałem nawet i morze wzburzone. Piętrzyły się bałwany, ponuro biły o skaliste wybrzeże i zdawały się chcieć pochłonać cały półwysep. Przypomniała mi się ta łódź ewangeliczna na jeziorze Genezaret, która wśród groźnego wału morskiego niosła Boskiego Mistrza i Jego Uczniów. Przerażeni Apostołowie zbudzili Chrystusa Pana, by ich ratował w niebezpieczeństwie. Na jeden Jego znak, na jedno spojrzenie uciszyły się żywioły, a od chwili, gdy Piotr rozkazem Pańskim stanął na czele łodzi, nigdy już więcej nie uląkł się burzy i nigdy więcej w Kościele nie zapanowała trwoga.

Przed kilku dniami Pius IX rozpoczynał ośmdziesiąty piąty rok swego życia, a blisko trzydziesty pontyfikatu. Jak zwykle otoczony kardynałami i liczny gronem biskupów, chodził po salach watykańskich pełnych Rzymian i cudzoziemców, patrycyatu i prostych pielgrzymów, dziękując za życzenia, przemawiając słowem pociechy. Na pięknem jego czole obawy znać nie było, ani trwogi w tym wzroku dziwnego blasku, który obok powagi i majestatu taką słodycz i spokój na całą twarz rozlewa. „Dzieci moje, rzekł, zatrzymując się nagle wśród wiernych, na kolanach czekających apostolskiego błogosławieństwa, ja jestem pełen nadziei w pół drogi dziewiątego krzyżyka i rozpoczynając rok nowy mego żywota, widzę przed sobą lepszą przyszłość i tryumf Kościoła.“ Nie siebie miał na myśli Pius IX, lecz papieża stojącego od dziewiętnastu wieków na straży chrześcijaństwa, czy to na tronie królewskim, czy to w podziemiach katakumb, Piotra niezatrwożonego podnoszącą się burzą, Sternika Chrystusowego, pewną ręką kierującego łódź Kościoła wśród piętrzącego się wału morskiego.

Józef Popiel.

27 maja.

P. S. W tej chwili ważą się losy gabinetu. Prusy znowu żądają potwierdzenia układu w Bazylei zawartego, lewica opiera się wykupowi linii północnej kolei żelaznej. Jest tu w tej całej sprawie jakaś tajemnica, podobno rząd ma dawne bardzo uciążliwe zobowiązanie względem domu Rotschildów i jest wzięty w ogień krzyżowy. — Przyjdzie zapewne do kompromisu, ale gdyby nawet ministerium upadło, Consorteria nie przyjdzie napowrót do władzy.

Przegląd Literacki.

Sprawozdanie z czynności Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1875.

Niejednokrotnie już Zakład Imienia Ossolińskich wzbogacił naukę wydaniem cennych materyałów historycznych, z przyjemnością więc powitaliśmy i ostatnie sprawozdanie z czynności tegoż zakładu, które nam przyniosło: Autografię Jerzego Ossolińskiego. Wydana z autografu przechowanego w bibliotece Ossolińskich posłużyła już Bohomolcowi do opisanie zgonu Ossolińskiego, dzieła napisanego bez krytyki i zakrawającego raczej na panagiryk, gdyż Bohomolec popadł w błąd właściwy nieraz biografom wielkich ludzi, w błąd bezwzględnej admiracji tych, których życie opisuje.

Wspomniona już autobiografia obejmuje zaledwie pierwsze 26 lat późniejszego życia kanclerza. To też ciekawie szukamy w niej jakim był w młodości, tej rzeźbiarce co wykuwa żywota cały, ów przysły powiernik królewski, poseł do tylu zagranicznych dworów, ów wielki mąż stanu snujący szerokie plany naprawy Rzeczypospolitej, oparte na wzmocnieniu królewskiej władzy i utrwaleniu katolickiej wiary.

Naukami młodego pacholęcia kierował rozumny i doświadczony ojciec, wojewoda podlaski, a jak o wiele lat później Jakób Sobieski przekazywał swym synom, aby się nie oddawali „naukom próżniaków, albo duchownych,” lecz się ćwiczyli „do spraw publicznych” — tak też i pan na Ossolinie do tego samego celu syna swego prowadził. Należał zaś przedewszystkim do tego tak bardzo ceniony podówczas „stylus oratorius,” znajomość historyków i filozofii moralnej, nauka

prawa rzymskiego i cudzoziemskich języków, a na zakończenie peregrynacja po obcych krajach.

Dobrze musiał się wywiązać ze swego zadania młody wojewodzie, bo i zdolności i ambicya nie pozwoliłyby mu w tyle pozostać. Wszędzie tu widzimy go jak występuje z dysputami i oracyami; w Lowanium drukuje nawet rozprawę. „O najlepszym stanie Rzeczypospolitej,“ (De optimo reipublicae statu: Lovanium 1614, 4to), w Paryżu przysłuchuje się ciekawie obradom parlamentu, a w chwilach wolnych zabawia się wedle przykazania ojcowskiego, rozmową z uczonymi ludźmi, lub grą na lutni.

Surowy ojciec, który wyraźnie w instrukcyi synowi wypisał, „że gdyby jeno cum apparentis non cum soliditati nauki i języków do nas się wrócił, twarzy łaskawej ojcowskiej spodziewać się nie ma, ale pewnego przekleństwa i wydziedziczenia,“ teraz zadowolonym być musiał zdorastającego już młodzieńca. A miał młody Jerzy wrodzoną sobie ognistą duszę pełną zapалу do wszystkiego co szlachetne i piękne. Ambitny pałał żądzą gorącą nabycia rycerskiej sławy, tak że i ów stary król chciał go przy sobie zatrzymać, on wołał towarzyszyć młodzieńczemu Władysławowi w wyprawie moskiewskiej, a gdy później w roku 1621 sprawował poselstwo do Anglii od króla Zygmunta tęsknił do ojczyzny „ekspedycyi tureckiej omieszkać bojąc się.“ Nic go też bardziej nie bolało, jak choćby cię skazy na własnym honorze. Gdy podczas wyprawy moskiewskiej jakie odwróciły od niego względy krówiecza, postanowił po rycersku raczej zginąć, jak dłużej cierpieć taką ujmę swej dobrej sławie. W obozie więc pod Moskwą z godnym towarzyszem Jakóbem Sobieskim uradzili pójść w pierwszym szeregu z petardą pod mury stolicy, i oświadczyli śmiało królewiczowi, „że jeśli co kiedy złośliwym animuszem i deliberrato uczyniliśmy takiego, coby było przeciwko osobie, dostojenstwa i szczęścia królewicza Jmci, aby nas z pod tamtych murów trupami wywleczono, a po śmierci jako bezecnych i mogiłą nie nakryto.“ Postanowienia tego nie zmieniły prośby Władysława, ani zapewnienia o łasce, odważni młodzieńcy jedni z pierwszych stanęli w szeregach, lecz powołni obydwoj do wielkich jeszcze rzeczy w ojczyźnie, cało i zdrowo wrócili. Ale serce wojewodzica nie dla samej sławy tylko bić musiało, i przez żelazny pancerz przekradło się uczucie daleko słodsze, z którym chętnie młody rycerz się pieści. wspominając, że „oraz w Marsową i Wenery służbę się zaprzągnął.“ Nawet obyczajem w tych czasach jeszcze właściwym, „oddął się za służbę“ swej pani, a była nią Izabela Daniłowiczówna podskarbianka koronna. Mógł ją wkrótce uszczęśliwiony młodzian nazwać swym dozgonnym „prz jacielem i pociechą,“ a odtąd zaczyna się i dla niego wiek męski pełen zasług dla ojczyzny. Ztąd

pamiętnik jego o tej swej ostatniej części jest oraz małym przyczynkiem do historii dyplomacji polskiej. Gdy bowiem burza turecka Polsce grozić zaczęła, a równocześnie rozejm ze Szwecją zbliżał się do końca wysłał król Zygmunt zaledwie 26 lat liczącego Ossolińskiego w poselstwie do Jakóba I. Nie wchodząc w szczegóły poselstwa powiemy tylko, że młody poseł zdradził już wówczas niepospolite zdolności, któremi się później odznaczył. Wymowny, bystry przenikliwy, przytem ujmującego ułożenia umiał sobie wszystkich serca pozyskać, poczynawszy od samego króla. Ale za to smutno jest słyszeć jak się skarży na opieszałość i niedokładność kancelaryi polskiej, czemu też może przypisać należy nieudanie się jego misyi dyplomatycznej. Charakterystyczny jeszcze rys, świadczący o szlachetności i żarliwości młodego posła przechował nam się w pamiętniku. Sam autor bowiem opowiada mu o sobie, osobiwie o tem przemyślał, „jakoby ubogich katolików, dla wiary prawdziwej po różnych więzieniach będących, mógł ratować, za tę którą mi pan Bóg sam dał był w oczach króla łaskę,“ i to też nieomieszkiał i sam opiekować się nimi ile mógł i do króla Jakóba żarliwie się wstawiać o ich uwolnienie z więzień.

Na tem kończy się autobiografia, zapisana przez wielkiego kanclerza Władysława IV na naukę potomkom, bo „należy wiele porządnej Rzeczypospolitej do zatrzymania w starożytnych domach wrodzonej cnoty, i do rozszerzenia tem gorętszej przeciwko ojczyźnie miłości, aby potomkom sprawy i dzieje przodków ich pokazane i przed oczy wystawione były.“ To też mamy te dzieje wystawione tak żywo i naturalnie, z tak prawdziwym kolorytem i dramatycznością, że czytając pamiętnik Ossolińskiego przenosimy się mimowolnie myślą i sercem w tamte czasy i nieraz że się wydaje, że i nam wolno będzie wkrótce przyłączyć się do rycerskiego orszaku, mającego utorować drogę młodemu królewiczowi polskiemu na tron moskiewski. Ztąd już widać, że im więcej dądziemy mieli tem podobnych źródeł historycznych, tem łatwiej potrafimy wnikać w ducha naszej historii i sądzić każdy czas, każdą epokę, wedle jej własnych pojęć i obyczajów.

L o.

Bogdan Jański, pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiej we Francyi. Szkic biograficzny, skreślił Edmund Callier.

Cała książka o ś. p. Jańskim nie ma racyi bytu w tej formie, w jakiej się ukazała, autor widocznie wytkniętego celu

przy jej napisaniu nie miał, lub sprawy w niej traktowanej zupełnie nie rozumiał.

O co autorowi chodzi?

Naprzód wykazał, że Jański pochodzi z szlacheckiej rodziny, a nie z mieszczańskiej jak utrzymuje X. Kajsiewicz; w tym celu kreśli nawet jego genealogię, która jednak za dziada nie przechodzi i nadaje mu herb Doliwa; powtórę wykazać, że Jański był założycielem Zmartwychwstańców, po trzecie, że Zmartwychwstańcy jego regule się sprzeniewierzyli, zamiast patrzeć przez „szybę polską,” kosmopolityzowali się, ojczyznę i narodowość poświęcili innemu celowi, jak i ten, dla którego ustanowieni zostali. Ztąd chęć apoteozowania Jańskiego, potępienie Zmartwychwstańców.

Jakkolwiek pochodzenie Jańskiego jest obojętne, to już kiedy autorowi chodzi o wielką ścisłość w jego życiorysie, musimy powiedzieć, że według naszego zdania szlachcicem nie był; w Niesieckim jest wprawdzie wzmianka o Jańskich na Rusi, nie zdaje nam się jednak, aby rodzina o swoich członkach więcej nie wiedziała jak Niesiecki. Synowiec zmarłego, który za materiałem do życiorysu stryja fobił poszukiwania, takowe autorowi dostarczył, najdalej do dziada dochodzi, t. j. tak daleko, jak zwykle w najuboższej plebejuszowskiej rodzinie tradycja sięga, dziwna także, że pan na Wiatrowicach i Lisowie nie miał żadnego urzędu ziemskiego, żadnego tytułu nie używał, chociażby komornikiewicza lub skarbnikiewicza; sam Bogdan Jański nie musiał wiele o swoim szlacheństwie wiedzieć, nie wiedzieli nic o tem jego koledzy szkolni, a ksiądz Kajsiewicz o jego pochodzeniu nie pisał na wiatr, ale daty musiał czerpać albo z ustnego opowiadania zmarłego albo z pozostałych po nim a nie ogłoszonych notatek.

Nie ulega wątpliwości, że Jański jeżeli nie pierwszy powziął zamiar utworzenia Zakonu polskiego, to pierwszy zaczął się krzątać, aby tę myśl urzeczywistnić, atoli tak nazwany klasztor Jańskiego w Paryżu nie był zakonem, a tem mniej zakonem Zmartwychwstańców; z tego klasztoru wyszli Zmartwychwstańcy, to prawda, ale Zmartwychwstańcami zostali, kiedy z niego wyszli, a nie kiedy go zamieszkiwali. Klasztor był zgromadzeniem ludzi świeckich, oddanych rzetelnie i szczerze praktykom religijnym według nauki Kościoła katolickiego, którzy jednak ani według ściśle oznaczonej reguły nie żyli, ani ślubem związani nie byli. W czasie utworzenia zakonu Zmartwychwstańców klasztoru już nie było i Jański umarł. Słusznie więc X. Kajsiewicz powiada, że oprócz myśli zamieszkania wspólnego nic im innego nie pozostawił, że go za założyciela uważać nie można. Za życia Jańskiego mogły być pogadanki, jakiejby reguły Zakonowi polskiemu trzymać się należało, pozytywnego nie utworzono nic; przypuszczamy,

że gdyby Jański dłużej żył i ślubami małżeńskimi nie był związany, byłby na regułę przyjętą przez Zmartwychwstańców się zgodził i do ich zakonów wstąpił; z tem wszystkiem jeszcze go założycielem zakonu uważać nie można. Jest inicjatorem życia religijnego na emigracyi, którego wynikiem jest zakon, nadto nie.

Naturalnem następstwem takiego stanu rzeczy jest, że zakon nie mógł się sprzeniewierzyć przewodniej myśli swego założyciela śp. Jańskiego, gdyż on założycielem nie był, jak to wyżej dowodnie wykazanem zostało. Zgromadzenie Zmartwychwstańców od swego założenia było takie, jakie jest dzisiaj, jeżeli reguła Zakonu niezgodną jest według zdania autora z przewodnią myślą ś. p. Bogdana, to utrzymywaniem, że Jański jest założycielem Zgromadzenia, popada autor w rażąca sprzeczność z samym sobą, neguje sam siebie.

Przystępujemy teraz do ważniejszej sprawy: Jański zapatrywał się na świat i Kościół przez „szybę polską“ i taki chciał mieć zakon; tej myśli Zmartwychwstańcy się przeniewierzili. Jański szczerze i bez skrytej myśli powrócił do Kościoła katolickiego. Kościół ten nie uważał za środek do politycznych celów, któryby opuścić można było, gdyby za środek użyć się nie dał lub z interesami jakiegokolwiek politycznego stronnictwa w Polsce kolidował, bo że z interesami wiernych wszelkiej narodowości Kościół kolidować nie może, na to dowodów nie trzeba. Dla każdego wierzącego ojczyzna wieczna musi iść przed ojczyzną doczesną, obowiązki względem Boga są ważniejsze niż względem kraju, chociaż jak już powiedzieliśmy dwa te obowiązki kolidować z sobą nie mogą, Kościół dla religii nie każe się wyrzekać narodowości ojczyzny, owszem jako dzieła Boże otacza je swoją opieką. Z państwem jako utworem ludzkim może wejść Kościół w kolizyę; jeśli ono prześladowało religię, wtedy obowiązki katolika powinny iść przed obowiązkami obywatelskimi, my państwem nie jesteśmy, a więc nawet i tutaj w kolizyę wejść nie możemy.

Jeżeli tak jest, autor mimo wszystkich pięknych rzeczy, jakie opowiada o nawróceniu się Jańskiego, musi go podejrzewać, iż to nawrócenie było nieszczerze, a że Zmartwychwstańcy zaprzędali się wrogom Kościoła i narodu Polskiego. Przypuszczenia niewystarczają, na to potrzeba dowodów, a kto ich przytoczyć nie może, uchodzić będzie w przekonaniu wszystkich uczciwych ludzi za oszczercę i paszkwilanta, a nie za historyka.

Autor zarzuca Zmartwychwstańcom, że identyfikują Boga z Kościołem, jedyny to pozytywny zarzut, jaki im czyni, zarzut, którego źródłem jest niewiadomość pierwszych zasad katechizmu, taki zarzut uczynić można wszystkim katolikom i Jańskiego nie wyjmując, jeżeli uawrócenie jego było szczerze.

My wierzymy, że Duch Św. przebywa w Kościele, tłumaczyć sobie Boga nie wolno, on musi przyjąć wszystko, cokolwiek Kościół przez widomą swoją głowę postanowił, inaczej nie byłby katolikiem; kto Boga sobie na własną rękę tłumaczy, i z definicyj, jakie sobie o nim wyrobi, raukę moralną i obyczajową wysnuwa, jest sekciarzem a nie katolikiem; jeżeli autor tak Jańskiego pojmuje, to nietylko że mu założycielstwa Zakonu katolickiego przyznawać nie można, ale potrzeba mu nawet odmówić inicjatorstwa życia katolickiego w emigracji. Jański byłby tylko drugim Towiańskim, nie więcej.

Do takich rezultatów prowadzi mania pisania książki, w przedmiocie którego się nie zna gruntownie, a cóż dopiero jeżeli się o nim wyobrażenia nie ma, jak to widać w każdym wierszu napisanym przez autora.

Pan Callier chciał wziąć w swoją protekcję ś. p. Bogdana, wynagrodzić niesprawiedliwość wyrządzoną mu przez X. Kajsiewicza; i jakże sobie postąpił? Od takich przyjaciół, zwolenników i protektorów uwolnij mnie Boże, odpowiedziały Jański, gdyby wstał z grobu.

Cóż dopiero sądzić o ogłoszonych listach Królikowskiego, sekciarza religijnego, i Janowskiego, sekciarza politycznego, dotyczących Jańskiego, tu już chyba chodziło autorowi o zochydzienie pamięci Bogdana. Królikowski pisze, że dla chleba został saint simonistą, dla chleba przeszedł do Jezuitów, z rozpusty ożenił się z nierządnicą z publicznego domu i z rozpusty dostał piersiowej choroby, na którą umarł; oględniejszym już jest Janowski, a o listach Królikowskiego powiada: że pisane są pod wpływem „*jalousie du metier*.”

Jańskiego młodość była burzliwa, człowiek ognisty, może nie raz w swawoli młodzieńczej przekroczył granicę, oddawszy się jednak Bogu, przy łasce Ducha Św. wytrwał do ostatka przy nim, a złą wiarę tylko ci mu zarzucić mogą, którzy nigdy w całym życiu w dobrej wierze nie działali.

Listy Królikowskiego. Gołombiowskiego, Janowskiego to zresztą nie dokumenta, to pamflety politycznych i religijnych stronnictw, nie mające żadnej wartości przedmiotowej.

Jeżeli się nie mylimy, książka ta powstała staraniem familii ś. p. Jańskiego, mianowicie synowca jego Władysława, żałujemy go szczerze, że chwalebne zapewne jego chęci lepszego tłumacza nie znalazły, że zamiast historyi napisano pamflet łącznie z podręcznikiem, zawierającym najulubieńsze frazesa deklamujących patryotów.

L. Powidaj.

PRZEGLĄD EKONOMICZNY.

(Ankiety w sprawie kredytu rolniczego).

Kłęski elementarne i pożyczka głodowa powtarzająca się po raz trzeci sprawiły, że w ostatnim czasie tak na sejmie, jak i w umyślnych obradach i w całym dziennikarstwie zajmowano się wiele sprawą ekonomicznego ratowania kraju, a przedewszystkiem ułatwieniem *kredytu rolniczego*. I dziwnie się znowu zdarzyło. Rząd, który ma w łonie swoim ministra z Galicyi, świadomego jej stosunków i potrzeb, wysyła do Galicyi umyślnie *profesora (!)* Marcheta, ażeby nas nauczył jak się mamy brać do rzeczy w sprawie kredytu dla małych właścicieli roli. I pokazało się, że tenże Galicyi nie tylko zupełnie nie znał, ale pewny był, że u nas niema jeszcze ani jednego stowarzyszenia, ani jednej instytucyi, mającej to zadanie, że zatem będzie można zaaplikować w Galicyi in anima vili teorye Reifeisena, których p. Marchet jest wyznawcą. O ile zatem jest pożądanem, że rząd zwrócił uwagę na potrzeby Galicyi, o tyle dziwnem jest, że używa do tego ludzi niemających żadnej nocy o naszych stosunkach, ani o tem co się u nas dzieje, i wielce dziwna rzecz, że nie czerpie takich wiadomości od ministra z Galicyi. Pośrednictwo bowiem tegoż, w tych sprawach, jest przecież bardzo naturalnem, a oszczędziłoby zapewne kosztów na umyślne poselstwa. Oby przynajmniej poselstwo przydało się na coś — gdyż p. Marchet otrzymał u nas najdokładniejsze informacye, lubo takowe wcale nie wypadły po jego myśli, to jest nie znalazł u nas ani tabula rasa, ani też gruntu na nowe eksperymenta. P. Marchet apostołuje spółki o nieograniczonej poręce członków, za których zobowiązania mają gmi-

ny (!) dawać gwarancję. Po nad temi spółkami ma stać centralna instytucja, za którą gwarantuje kraj. Fundusze mają dostarczyć poniekąd udziały, a głównie wydawane obligi dłużne gminne i krajowe. Nie mamy potrzeby rozbierać tu szczegółowo tych projektów, które, ze stowarzyszeń Schultzego mają robić banki, obracające papierami, które u nas są niemożliwe, *gdyż dotąd nie mamy gmin prawdziwych* — zresztą mamy już 85 instytucyj do tego celu, które się bardzo dobrze przyjęły i oparte są na zasadach innych — trzeba nam więc tylko dalej budować na danych już podstawach, a od rządu potrzeba nam *tylko* usuwania mnogich przeszkód.

Uwagi dalsze w broszurze p. Marcheta (*Zur Organisation des landwirtschaftlichen Credits in Oestreich. Wien 1876*) o postępowaniu spółek, bardzo są trafne, a mianowicie o ile dotyczą: udzielania kredytu na dłuższy czas, do powolnej spłaty, na niskie procenta, nieszukania wysokich zysków i dywidend, wzmaganie funduszu rezerwowego itd. — sama atoli istota rzeczy otrzymała dokładne odparcie w uchwałach, jakie zapadły na konferencyach zwołanych *ad hoc* dla p. Marcheta w Krakowie i we Lwowie, które temuż, jako zdanie kraju w tej sprawie do właściwego użytku udzielone zostały. Uchwały te w głównych rzeczach są zgodne z sobą, podamy je wszelako z osobna:

Ankieta *krakowska* orzekła:

Stosunki miejscowe wskazują, że najwłaściwiej będzie zostawić mającym się zawiązać stowarzyszeniom wybór między poręką nieograniczoną, a ograniczoną według własnego uznania i okoliczności bez nacisku w którymbykolwiek kierunku.

Dla rozszerzenia kredytu już istniejących, jak i zawiązać się mających stowarzyszeń potrzebnem jest utworzenie instytucji centralnej, któraby z jednej strony pośredniczyła między potrzebnym zwłaszcza w początkach kapitałem, a drobnemi instytucjami, a z drugiej strony prowadziła kontrolę czynności mniejszych instytucyj w ogóle, a w szczególności czuwała nad bezpieczeństwem kapitałów przez ścisłe zachowanie zasady udzielania pożyczek tylko z możebną pewnością zwrotu. Dokąd nie będzie przeprowadzona tak ogólnie pożądana organizacja gminy zbiorowej, należy zakładać drobne instytucje w granicach okręgów sądowych i w siedzibach tychże.

Co do kapitału wyjaśniono, że zrazu powstawały stowarzyszenia zaliczkowe wyłącznie z inicjatywy i pod opieką krak. Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń; w początkach potrzeba było posiłkować się kredytem wekslowym osobistym wielkich właścicieli, którzy wielką w tym względzie okazali gotowość i niepospolite położyli zasługi. Każda nowopowstająca instytucja potrzebuje koniecznie mieć zapewnioną łatwość otrzymania pożyczki na niezbyt wysoką stopę procentową. Tow.

wzaj. ubezpieczeń nie odmówi chętnie i nadal swojej pomocy w celu dźwignienia kredytu włościańskiego — atoli najważniejsza w tej mierze instytucja t. z. bank narodowy, używający wielkiej niezawisłości i rozległych przywilejów za mało przecież objawia chęci przyścia w pomoc instytucjom dążącym do dźwignienia z biedy klas najniższych. Bank ten ułatwiając instytucjom w formie będącym pożyczki, nie narażałby się na żadne zgoła niebezpieczeństwo, skoro w początkach tworzenia się tych zakładów instytucja prywatna, jaką jest Tow. wzaj. ubez. i właściciele ziemscy nie lękali się zastąpić ich własnymi kapitałami i kredytem. Instytucja centralna mogłaby pośredniczyć między bankiem narodowym a instytucjami kredytowymi. Co do rat kredytowych wyjaśniono, że zakłady nasze już istniejące ściągają udzielane członkom pożyczki według rozmaitej normy, bądź w krótkich terminach, bądź na zastaw ich własności z amortyzacją 12—15-letnią. Brak gwarancji będzie wszelako tak długo krępować wszelkie tego rodzaju zakłady kredytowe dopóki hipoteka gruntowa, księgi gruntowe włościańskie nie będą uregulowane — co jest nagłą potrzebą. Niemniej skutecznym środkiem dźwignienia moralności i dobrobytu ludu są szkółki przemysłu domowego, o których u nas zaledwo zaczęto myśleć.

Niemniej ważnym środkiem bywały subwencje rządowe dla towarzystw rolniczych, których uzyskanie coraz większym podlega trudnościom.

Ankieta *lwowska* orzekła:

Do organizacyi kredytu rolniczego u nas pomoc bezpośrednia rządu nie jest potrzebną, byle rząd w pracy naszej przeszkód nam nie stawiał. Podatki i opłaty bezpośrednie są nie tylko co do wysokości, ale i co do formy wymiaru niezmiernie uciążliwe, nadto władze wykonawcze dopuszczają się w tej mierze nadużyć i interpelują ustawy w sposób isticie potworny — nasze kasy oszczędności są wskutek tego w istnieniu swoim zagrożone. Zachowanie się ministerstwa wobec naszych sądów w wypadkach, gdy do ściągania lichwiarzy przystępują, jest przyczyną, iż lichwa śmiało u nas kryje się pod miano „wiernokonstytucyjności.“ Liche uposażenie galicyjskich filij banku narodowego (2.950.000 złr. wobec n. p. 15000000 na Morawie) niezaopatruje targu naszego pieniężnego w dostateczną gotówkę i nie wpływa należycie na obniżenie stopy procentowej.

Jedynie spółki zaliczkowe powinny być uważane za źródło zdrowego dla rolników kredytu, a wszelkie banki i wogóle wszelkie na zysk obliczone instytucje są szkodliwe dla kredytu wiejskiego. Dotychczasowa organizacja tych spółek jest dostateczna — poręka zaś gminy za spółki lokalne, a kraju za instytut centralny, została odrzuconą — z powodów bardzo

prostych, że ani kraj, ani gmina nie ma obowiązku poręczenia za zobowiązania jednostek. Poręka też oparta tylko na dochodach, jakby w tym razie być musiało, niewielką ma wartość u kapitalistów, jak świadczy o tem kurs renty austriackiej przez państwo gwarantowanej. Wskazano wreszcie, że najdogodniejszym źródłem dostarczania kapitałów obrotowych powinien być bank narodowy, potrzeba tylko stowarzyszeniom ułatwić przystęp do niego i udotować filie jego — założywszy jeszcze dwie w Tarnowie i Stanisławowie, kapitałem 15 milionów, a wtedy pieniędzy wystarczy i stopa procentowa się obniży.

Co do instytutu centralnego oświadczone, że „związek stowarzyszeń“ byłby najwłaściwszym łącznikiem stowarzyszeń i pośrednikiem między niemi, a wielkim targiem pieniężnym; na administrację zaś związku powinien łożyć kraj.

Tym sposobem wyjaśniono wysłannikowi rządu czego nam potrzeba, co już zrobiono, że pomysły jego nie są dla nas ani nowe, ani praktyczne, wyłuszczone też czego w tej sprawie od rządu mamy prawo domagać się.

Poruszoną więc została na nowo (dotąd na papierze dopiero) sprawa, w której z całego zakresu t. z. organicznej pracy najwięcej u nas zrobiono. Ani pod względem rolnictwa, ani przemysłu nie zrobiono u nas ani cząstki tego, co właśnie pod względem obrotu pieniędzy, ułatwienia kredytu, jak świadczą: pierwsze gal. tow. kredytowe ziemskie, następnie kasy oszczędności, znane starania Tow. wzaj. ubezpiecz. około stowarzyszeń zaliczkowych, wreszcie prywatne instytucje, jak bank galic. dla handlu i przemysłu, zakład kredytowy ziemski w Krakowie i liczne inne akcyjne banki, a od niedawna bardzo cenne *Towarzystwo wzajemnego kredytu*, również utwór Tow. wzaj. ubezpiecz. Gdyby nie lekceważące traktowanie Galicji przez Bank narodowy, zakłady te wystarczyłyby już zupełnie potrzebom kredytu miast i większych właścicieli ziemskich. Szczególniej zbawienne okazuje się Tow. wzajemnego kredytu — o którym też jako dającym większym rolnikom wszelaką już możność pomagania sobie i ratowania się — przy sposobności osobno pomówimy.

Nic więc dziwnego, że ankiety obie, wobec rządu położyły główny nacisk już na to — czego od rządu wymagamy, gdy kraj sam bardzo wiele w tej właśnie sprawie robi. Nie pora też tam była do bliższych rozbiórów o ile jeszcze dalej kraj może i powinien działać. Na ten więc punkt chcemy jeszcze tutaj zwrócić uwagę — co zdaje nam się potrzebnem, jeżeli żywe zajęcie się sprawą tą naglącą niema pozostać *pium desiderium*.

Własna pomoc u nas, jeżeli idzie o dźwignięcie z nędzy i ciemnoty warstw najniższych, może być tylko rozumianą jako pomoc kraju, pomoc warstw zamożniejszych i światłych, nie-

tylko materyalna ale i pomoc rozumu, czyli, że jak dotąd tak i nadal wszelkie prace w tym kierunku, nie mogą wychodzić z dołu — jak to w znacznej mierze ma miejsce w Niemczech, ale muszą się odbywać z góry. Potrzeba lud ratować, więc trzeba go wiać za rękę i to w sposób taki, żeby niepodejrzewał i nieopierał się. Lichwa, która go ssie, tę bodaj ma dobrą stronę, a po części i autonomia już się do tego przyczyniła, że lud chwytając z biedy za każdy ratunek, pozbył się w znacznej części nieufności — tak, że udział jego chętny w stowarzyszeniach dla niego zakładanych i wciągających go do uczestnictwa jest niewątpliwy. Wszakże garnie się lud do filij banku włościańskiego, chociaż tenże jest także po prostu lichwiarskim. Okoliczność ta jest nader ważną, gdyż zapewnia, że stowarzyszenia zaliczkowe mogą czasem stanąć na własnej pomocy przez udziały i oszczędności członków włościan i przez udotowanie ich kapitałami, które dotąd zazdrośnie w rękach nieudolnych urzędów gminnych są trzymane. Są to gminne kasy pożyczkowe i inne kapitały — które jakby stworzone są na to, żeby zostały uratowane i rozumnie, a niemniej uczciwie używane przez lokowanie ich w stowarzyszeniach zaliczkowych. Dokonać tego może wydział krajowy z pomocą organów rządowych.

Manipulacja weksłowa właśnie że: tak przez lichwę nadużywana, jest dla ludu wstrętą — dlatego udzielanie pożyczek na notaryalne skrypta dłużne, wymaganie ile możności wzajemnej poręki dwóch lub trzech członków, tak dla bezpieczeństwa, jak dla wpajania poczucia solidarności, kierowanie się przytem względami na moralną gwarancję, a więc kredyt osobisty — postępowanie to zdaje się być i wystarczającym i odpowiednim. Zachodzi tu jeszcze jedna okoliczność. Dlaczego, pomimo, że co do ułatwienia kredytu najwięcej u nas zrobiono, jednak skutki nie odpowiadają oczekiwaniu, dla czego kredyt nie staje się u nas ratunkiem w mierze odpowiedniej swojej rozległości? Oto dlatego że był i jest używany w znacznej części nie na *ratunek*, nie na *produkcję*, ale na konsumpcję — tak, że produkcja wcale niepodniesiona ponosić musi potem kosztą zmarnowanych kapitałów kredytowych. Dzieje się to od dawna — począwszy od kapitałów indemnizacyjnych, z których w ziemi, w gospodarstwie w produkcji prawie nic nie pozostało. Wypadek ten zachodzi u ludu wiejskiego w nierównie wyższym jeszcze stopniu — gdyż pomaga mu ciemnota, karczma — wreszcie zubożenie i jakby rozpacz, te następstwa lichwy. Otóż pozwalamy sobie zrobić uwagę, która oderwanie wygłoszona mogłaby wydawać się chimera, a przecież w naszych stosunkach, i jeżeli idzie o prawdziwą przezorną pracę dla ludu, bardzo częste praktyczne zastosowanie znaleźćby mogła. Idzie o to, żeby się upewnić, iż pożyczka wzięta przez

włoszianina będzie dobrze użytą, a nie zmarnowaną. A zatem trzeba by przed udzieleniem jej przekonywać się, czy w istocie i na co jest potrzebną — a następnie przypilnować żeby istotnie na wskazany cel poszła. Dokonać by tego można tym sposobem, *żeby tę pożyczkę dawać jakoby w naturze*. A zatem jeżeli pożyczką mają być spłacone lichwiarskie długi — spłacić je w obecności dłużnika — jeżeli ma być nabyty sprzęt jaki, lub narzędzie, krowa, lub koń — zapłacić za takowe kupcowi za nabywcę, a jeżeli ma pożyczka na przednowku pójść na konsumpcyą, lub paszę dla bydła, zapłacić za wzięte przez dłużnika artykuły żywności w znaczniejszej ilości, lub za paszę — lub wreszcie udzielać pożyczoną kwotę w pewnych terminach ratami odpowiedniemi potrzebom życia itd. Przyczyniłoby się to niewątpliwie do korzyści wynikających z kredytu, *a nadto wpłynęłoby na rzetelność handlu ziarnem, paszą, bydłem*, który to handel, głównie na prowincyi w ręku żydów będący, niemniej też lud wyzyskuje i rujnuje. Nie widzę żadnej trudności takiego postępowania — a nawet zarząd stowarzyszenia niewieleby więcej ztąd miał pracy — gdyż kupcy staraliby się te stosunki sami ułatwiać i zasługiwać na dobre imię u zarządu. Wiem jednak, że przeciw tej myśli podniosą się zarzuty — bo jest nową, lecz jest też to dopiero myśl, idea, wymagająca dobrej woli, obrobienia i zastanowienia — które może ją zmodyfikować, ale sądzę, że nie odrzuci.

Jeżeli zaś ważną rzeczą jest ułatwienie kredytu ludności rolniczej — to jednak niemniej ważną, a nieodłączną od tych prac rzeczą jest także samo ułatwienie dla małych miast i miasteczek. Zdaje mi się nawet, że kredyt rolniczy nie odda nigdy usług takich, i nie odpowie nigdy tym oczekiwaniom, jakie w nim są pokładane, jeżeli równocześnie z nim nie będzie pracy, na równie obszernej skale w celu dźwignięcia dobrobytu i rozwoju ludności małomiejskiej. Na okoliczność tę zbyt mało zwracają u nas uwagi, chcę ją przeto tutaj przypomnieć.

Gdyby u nas po miasteczkach był ożywiony ruch przemysłowy i handlowy, byłoby to największe ubezpieczenie dla naszego rolnictwa: niezmiernieby bowiem przybyło konsumentów na wszelkie płody rolnicze, i mieliby drobni zwłaszcza rolnicy na płody swoje zawsze otwarty i pewny targ najbliższy, targ prawdziwy, nie byłiby zdani na bezkonkurencyjną łaskę handlarzy żydowskich — a stosuje się to w znacznej mierze i do średnich właścicieli ziemskich. Nadto zasobny i ruchliwy przemysł w rękach najbliższej ludności miejskiej, byłby sam przez się dla rolników, jako stałych swoich dostawców, chętnym źródłem kredytu, bez form wekslowych i prawnych, ale zwyczajowo, na podstawie ciągłych rzeczowych transakcyj między stronami, które są z sobą w ciągłych, wza-

jemnych stosunkach. Wtedyby też miasteczka nastęrczały w nierównie większej mierze zarobek stały dla ludności wiejskiej, i tej, która zawsze za zarobkiem wychodzi i tej, która w złych czasach takowego potrzebuje — a może go, jak dotąd, otrzymać w szczupłej mierze, tylko od kraju, przez przedsiębranie robót publicznych, koło dróg itp.

Nieda się dalej zaprzeczyć, że udział włościan w stowarzyszeniach zaliczkowych i wogóle w wszelkiej ekonomicznej pracy, warunkowany jest u nas w znacznej mierze, właśnie udziałem ludności małomiejskiej, jako najbliższej włościanom, jako jeszcze po części rolniczej ¹⁾, jako stykającej się ciągle z włościanami, jako tej, która jest (może być) naturalną pośredniczką dla światła, między inteligentnymi warstwami, a ludem. Jest ta ludność małomiejska równie biedna i przygnębiona, jak lud wiejski, nie żywi atoli wcale żadnych niechęci, nieufności ²⁾, nierównie łatwiej zrozumie o co idzie, jest gruntem tem żyźniejszym, że nie brakuje tam po części tradycyi lepszego niegdyś bytu, wogóle dążności do dźwignięcia się. Jeżeli dalej kredyt rolniczy ma dźwignąć produkcją rolną i dobrobyt włościan — to kredyt ułatwiony i wogóle praca około małych miasteczek ma przed sobą szerokie pole produkcji przemysłowej i handlu — którym można pomódz przez tworzenie i opiekowanie się po miasteczkach stowarzyszeniami surowcowymi, konsumcyjnymi, produkcyjnymi itp., dla których w gminach wiejskich u nas niema żywiołu. W naturalnym toku rzeczy, stowarzyszenia te wyprzedzałyby nawet winny stowarzyszenia kredytowe, one to bowiem właściwie stwarzają ruch ekonomiczny, mnożą zasoby, dają realną podstawę stowarzyszeniom obracającym kapitałem pieniężnym. U nas wszelako, gdzie wszystkie te prace muszą się dziać jak już mówiłem z góry, nie z dołu — potrzeba przez stowarzyszenia mające na celu dostarczenie gotówki — ułatwić powstanie stowarzyszeń mających wprost przemysł i handel na celu, a

¹⁾ Małomiejska ludność w Galicyi, wyparta przez żydów od przemysłu i handlu ile może jeszcze roli się trzyma i więcej może z niej żyje, jak z nieudolnych procederów i czynszów domowych. Mówią też po małych miasteczkach: „chłopi poszli do pola, więc mieszczan niema w domu.“

(Przyp. Aut.)

²⁾ Gdy piszący to wydał w r. 1867 dziełko p. t. „Cechy i stowarzyszenia“ — otrzymał z najdalszych miasteczek zapytania i prośby o radę, o statuta itp. — w czem dowód dobrych chęci ludności miasteczek, że ona i czyta co może i radaby się ratować — lecz sama ratunkowi nie podoła.

(Przyp. Aut.)

których rozwój może dopiero wywiązać i stale unormować u nas stosunki między produkcją rolniczą, a przemysłową, z odsunięciem lichwy i z odsunięciem szkodliwego dla kraju, wyłącznien żydowskiego handlu.

Zwracając więc uwagę na te wszystkie okoliczności, które nie pozwalają zapominać o łączności i wzajemności i warunkowaniu się prac podejmowanych około ludności rolniczej, z pracami takimiż około ludności małomiejskiej, (o czem wszelako ankiety nie wspomniały) musimy przyjść do wniosku, że wskazany przez ankietę krakowską „okręg sądowy“ jako promień działalności stowarzyszeń, niemoże potrzebom wystarczająco odpowiedzieć.

Poprzednie uwagi, są bowiem uzasadnieniem twierdzenia, że oprócz miast, będących siedzibą sądu, właściwą siedzibą dla stowarzyszeń zaliczkowych i dalszych, są wogóle miasteczka — będące i terenem właściwym i mające po temu materiały. A o ile dla bezpieczeństwa i rozwoju pracy około stowarzyszeń, potrzebnem jest, aby wszystkie skupiały się nieodwrotnie w instytucie centralnym, niemniej potrzebnem jest, aby praca ta jak najwięcej była decentralizowaną, żeby nie pominęła żadnej miejscowości, nadającej się dla któregośkolwiek jej rodzaju. Mnóstwo miejscowych, choćby drobniejszych obrotów, powszechność ruchu tego, może dopiero tworzyć razem jego rozległość i skuteczność, a czujność instytutu centralnego i pewna zależność od niego, zabezpieczać będzie powodzenie tych rozgałęzionych przedsięwzięć przez mądry kierunek ¹⁾.

Okręg sądowy okazuje się niewystarczającym jeszcze i z innego powodu — mianowicie ze względu na dostarczenie funduszków.

Ażeby fundusze uwięzione w gminnych kasach pożyczkowych, pieniężne kapitały gminne, rozmaite stare fundacye istniejące po miasteczkach ¹⁾ mogły być lokowane w stowarzyszeniach zaliczkowych — (co zresztą tylko za sprawą wydziału krajowego i namiestnictwa mogłoby zostać przeprowadzone) potrzeba, aby zakłady kredytowe tworzyć, urządzić, w miejscach gdzie tylko podstawę kapitału znaleźć mogą, albo ile możności najbliżej gmin, któreby je miały zasilić i z nich korzystać. Inaczej to przelanie, a pozorne odebranie kapitałów z rąk, które je dotychczas dzierżą, napotkałoby z pewnością na ogólny opór. Potrzeba zaś koniecznie, kapitały te wydobyć,

¹⁾ Nawiasowo tu wspomnieć się godzi, że ów instytut centralny p. Marcheta, wcale nie jest czemś nowem, jest to także pomysł Schultzego — „Genossenschafts Verband.“

¹⁾ Są to nieraz wcale znaczne fundacye, a powszechnie najgorzej administrowane. (Przyp. Aut.)

uruchomić, uczciwie fruktyfikować, znajdując w tem i „własną pomoc“ i ogólne zainteresowanie dla stowarzyszeń zaliczkowych. Co do obrotu funduszków rozporządzalnych należałoby też przyjąć za normę produkcyjne ich używanie, a bezwzględne odmówienie na rzeczy niekonieczne. Tak n. p. przedsięwzięcia takie jak wystawy ogólne, krajowe — nie mają u nas żadnego prawa do wymagania subwencji kraju; gdy przeciwnie, zamierzone przez te wystawy dźwignięcie małego i domowego przemysłu, może być *wprost*, bez wystaw, nie wielkim nakładem dokonywane, jeżeli się obróci fundusze na zakładanie szkółek rękodzielniczych (koszyki, kapelusze, tkactwo, i zabawki drewniane itd.) w okolicach właściwych i przez ułatwienie targu na wyroby, których produkcją się podniesie. To ułatwienie targu, będzie też możliwem przez rozgałęzienie sieci *rzeczowych* stowarzyszeń, które z czasem także przez centralny rzeczowy instytut mogą być połączone z wielkim targiem miastowym. Jeżeli pod tym względem oglądać się będziemy wyłącznie na rząd — to zdana będzie rzecz ta na łaskę, i będzie się wlokła leniwo. Tylko samodzielne, organiczne dążenie do tworzenia i skupienia zakładów pieniężnych, w takimże instytucie centralnym, a zarazem równocześnie do tworzenia i skupienia zakładów pomniejszych i stowarzyszeń *rzeczowych* w takimże handlowym instytucie centralnym, czyli wytworzenie obok ruchu kapitałów pieniężnych, zarazem ruchu produkcyjnego i handlowego; tylko takie dążenie, obejmujące wszystkie gałęzie pracy, urzeczywistniane stopniowo, z planem z góry wytkniętym, a opartym na ciągłym badaniu miejscowych stosunków; może sprawić, że kraj prawdziwie się dźwignie, że pomnoży się praca, że wytworzą się moralne i materyalne zasoby, które staną się niezależnem od okoliczności źródłem własnej pomocy i ratunku. Taką drogę *usamowolnienia ekonomicznego*, trzeba wytknąć stale i trzeba nią kroczyć bez zboczeń i porywów, z pokolenia do pokolenia, jeżeli chcemy zapewnić sobie przyszłość, o ile to jest w ludzkiej mocy. Działanie wyłącznie w jednym kierunku, lepsze jest oczywiście jak nic, ale jest to jeszcze bardzo mało, i tem mniej, że działanie szerokie jest możliwe i od nas tylko zależne. Są bowiem w kraju, począwszy od kasy pożyczkowej gminnej i od tkacza robiącego w chacie na Rusi kilimek, siły uwięzione — potrzeba tylko ducha ożywczego — a rząd pomocy swojej choć w części odmówić nie może — bo ostatecznie musi zrozumieć, o ileby przy *takiem* działaniu, jakie tu szkicuję, wzrastała podatkowa siła kraju.

Co do uzyskania funduszków od Banku narodowego, to zdaje mi się, że dotychczas, trochę niezręcznie sprawę tę prowadzono, apelując przeważnie do rządu, gdy tymczasem nale-

żałoby może traktować wprost z bankiem nie o grzeczność, ani o łaskę, ale na podstawie interesu. Bank narodowy ma takie prawa, ma tyle kapitałów i tak jest dbały, niemniej od innych banków, o zyski akcyonaryuszów — że gdyby widział otwierający się w Galicyi ruch ogólny, pewny, uzasadniony, unormowany, ruch i pieniężny i rzeczowy — wówczas bank bez prośnienia musiałby spieszyć do Galicyi z swojemi kapitałami, gdyż one tutaj wyborby miałyby teren. Dyrekcyę bowiem Banku narodowego, któraby tego wówczas nie uczyniła, musiałoby najbliższe zgromadzenie akcyonaryuszów jako nieudolną usunąć. I trzeba zresztą i tutaj działać nietyle na drodze urzędowej tylko, ale raczej na poufnej, jak to zwykle *entre les hommes des affaires*, bez rumoru, a ze skutkiem — przedstawić potrzeby, plany, rozpoczęte prace, uzasadnione nadzieje — ufność kraju i udział czynny funduszków krajowych, pewność dla bankowych kapitałów itd. bo gdzie będzie interes, tam instytut finansowy nieda się prosić, tam z natury rzeczy wmieszać się czynnie *musi*, jak skoro tylko może.

Otóż więc i pod tym względem rozpoczęcie pracy na szeroką skalę, z programem szczegółowym, samo przez się zapewnia jej pomoc, do jakiej ma prawo.

Taka więc jest dzisiaj nasza wiejska i małomiejska sytuacja — co zgrubsza tylko narysowana. Trzeba działać — sprawa przeważnie od kraju zależy — a krajowi wytknął sejm punkt wyjścia uchwalając powołanie przez wydział krajowy *ankiety dla zbadania ekonomicznych potrzeb kraju i jak im zaradzić*. Przyniosły z sobą okoliczności, że ankieta ta ma dzisiaj już przynajmniej pod jednym względem, kredytu rolniczego, przygotowany materiał przez ankiety specjalne i przez całe dziennikarstwo — doczego tutaj staraliśmy się dorzucić uwagi i *inne strony* sprawy tej uwzględniające.

Lecz cóż się dzieje z tą ankietą? czy uchwała sejmu spoczywa jeszcze w aktach, czyżby i tym razem miało się skończyć na słowach? Zanosimy tę interpelacyę nieparlamentarną do Wydziału krajowego, a oczekując skutku uchwały, jako odpowiedzi — dodamy jeszcze, że w okropnem położeniu kraju, wobec świeżych znowu klęsk gospodarczych spowodowanych przez *mrozy* majowe, wielka ciężar na Wydziale krajowym odpowiedzialność za pośpiech i energią. Do ankiety przez sejm żądanej należy inicjatywa teoretyczna, do Wydziału praktyczna, powołanie czynników odpowiednich. Dotąd inicjatywą i pracą odznaczało się tylko Tow. wzaj. ubezpieczeń, ależ ono do tego jest obowiązane i ono samo wystarczyć nie może — tu kraj przez swój swój naczelny organ winien wystąpić — na rząd czekać nam *niewolno* — rząd niepowinien być wzywającym, ale wezwanym, tu idzie o *własną* pomoc, której

wolno szukać tylko poparcia i zasiłku u rządu. Inaczej nie będzie — a jeżeli coś będzie, to i to jak bywało, nie na naszą korzyść, choćbyśmy potem i z ofiarami szli w ariergardzie.

Ubiegły miesiąc przyniósł nam z odnowioną ugodą węgierską obietnicę podwyższenia jeszcze cła na zboże — walne zebranie Tow. wzajemnych ubezpieczeń, oraz gosp. roln. krakowskiego — o czem na przyszły miesiąc zdamy sprawę.

Szczepański Alfred.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 Maja.

Po roku jednostajnego biegu wypadków, w którym nie zaszło nic takiego, coby się uprzednim wyrokom teraźniejszej „ziemskiej opatrności“ czyli tak zwanej „polityce trzech cesarzy“ sprzeciwiało, coby w rachubę tej najwyższej instancyi w kierownictwie losami ludzkości nie wchodziło i naprzód ukarowaniem nie było, — nadszedł wreszcie miesiąc wielkich politycznych niespodzianek. Wspominaliśmy wprawdzie w ostatnim przeglądzie naszym, iż świat dyplomatyczny i dziennikarski obawia się wkrótce nadzwyczajnych wypadków i przewiduje niespodzianki, ale tych niespodzianek wyglądano z Berlina, a tymczasem one całkiem z innych stron przychodzą. Zajście w Salonice, wstrzymanie się Anglii od współdziałania w kwestyi wschodniej w myśl rezultatu berlińskich konferencyj trzech kanclerzy, wreszcie świeża katastrofa w Stambule, wszystko to jest jakby początkiem jakiegoś nowego ustępu w europejskiej historii; i jeśli powyższe fakta nie zostaną tylko epizodem, jeśli wypadki pójdą tak dalej *crescendo*, to się jeszcze niebawem wielkich rzeczy doczekać możemy. A dziwnemby to było doprawdy igrzyskiem losu, żeby szereg wypadków doprowadzający do wybuchu europejskiej wojny na wschodzie, do przemiany karty Europy, w naszym niepoetycznym wieku rozpoczął się jakby jaka starożytna epopeja, od drobnego zajścia z powodu młodej dziewczyny, uwiedzionej przez jakiegoś Beye; i gdyby w istocie ta Bułgarska Lukrecya, choć mówiąc nawiasem, nie była tak srogą jak rzymska ani dla siebie ani dla swego Tarkwiniusza, jak tamta na wieczne czasy nazna-

czyć miała początek nowej w historii epoki, i to nietylko w historii swego kraju, ale całej Europy!

A jednak wszystko to być może, katastrofa w Salonice tak w porę się zdarzyła i tak na rezultat konferencyj zjazdu berlińskiego oddziałała, że zadawano sobie już z różnych stron pytanie, kto ją właściwie umyślnie wywołał, tymczasem zdaje się, że samo zajście nie było naprzód ukartowane, tylko podniesiono je do większego znaczenia, niż nato wobec innych podobnych wypadków na wschodzie zasługiwało. Tó też żądania noty ks. Gorczakowa, na którą się na zjeździe berlińskim zgodzono i do której wszystkie gwarantujące mocarstwa oprócz Anglii przystąpiły, są poprosu śmieszne i dla każdego państwa, mającego w łonie swem zbuntowane prowincye, do przyjęcia niepodobne. Ma być zawarte dwumiesięczne zawieszenie broni z powstańcami, podczas którego wojska tureckie mają opuścić swoje pozycye w kraju i zamknąć się w fortecach, a zrewoltowana ludność ma zachować broń! Tymczasem komisya, złożona z chrześcian i Turków, ma się zająć przeprowadzeniem reform nad dozorem konsulów mocarstw europejskich, a rząd turecki ma z kasy publicznej dać zapomogi mieszkańcom krajów powstałych, którym spalono domy i zniszczono mienie, ma rozdać niejako premie za powstanie! Nie! na to trzeba cynizmu naszego wieku, żeby takie rzeczy komu na seryo proponować można. Toteż pomimo wszystkich stereotypowych frazesów dziennikarskich o berlińskim zjeździe, o jeszcze większem zespoleniu się związku trzech cesarzy, jak dotąd było, pomimo szumnych pokojowych zapowiedzi i głośnego słowa cesarza Aleksandra, na czem zasadza swoją politykę, na dnie wszystkiego czuć było, że tegoroczny zjazd majowy może jeszcze większą niż przeszłoroczny zostawił po sobie dysharmonię. W skuteczność instrumentu pacyfikacyjnego, narzuconego przez Rosyę, nikt wierzyć nie chciał; po zjeździe więc w całej Europie oprócz może w Rosyi ta sama niepewność i to samo wyczekiwanie wypadków bez stałego programu, jakie było przedtem. Najwyraźniej objawiło się to w Austrii w tym egzaminie, jaki p. Andrassy po powrocie z Berlina zdawać musiał przed delegacyami w Peszcie, bo piętno szczerości miały jego słowa w odpowiedzi na indagację p: Kurandy: „że nie może dzisiaj nawet sobie pomyśleć ministra ze stałym jakimś programem, wobec co chwila zmieniających się i nie dających się obliczyć wypadków“ i z prawdziwie Bismarkowskim humorem wyraził się, że woli, aby p. Kuranda i nadal został w niejasności w tem, co ministeryum spraw zagranicznych w takim lub owym wypadku robić zamysła, niż żeby on miał zdradzać tajemnice stanu.

Z kilkakrotnych przemówień p. Andrassego w Peszcie, uwidoczniają się dwie rzeczy: najprzód, że na konferencyach

w Berlinie ułożono jakieś tajne punkta, które w rzeczy samej według dobrze informowanych korespondentów z Londynu, mają być główną przyczyną tego, iż Anglia odmówiła swego podpisu na nocie ks. Górczakowa do Porty Otomańskiej, a następnie przebija się, że hr. Andrasy wiedział dobrze na co się zanoszi w Stambule, i niezawodnie grożącą katastrofę obalenia tronu Abdul-Aziza miał na myśli, gdy mówił o niedających się obliczyć wypadkach mogących co chwila nastąpić, a wymagających nowego porozumienia się z innemi mocarstwami. Już samo odsunięcie się Anglii od wspólnej akcji wywołało kwestyą, czy oficjalnie czy tylko nieoficjalnie ma być przedłożona Turcyi wiadoma nota berlińska, rosyjskiej redakcyi; a cóż dopiero gdy tymczasem w Stambule zaszła zmiana rządu! Teraz już rezultat zjazdu berlińskiego przeszedł od razu do historyi i niema nadal prawie żadnego politycznego znaczenia, mocarstwa mają rozwiążane ręce, i wszelka wspólna akcyja ustaje, musi się chyba sklejać na nowo, a kto z kim się teraz zwiąże, tego jeszcze przewidzieć nie można; w każdym razie jednak zachwiane są niewzruszone posady trójcesarskiej polityki.

Sam fakt detronizacyi Abdul-Azisa i obwołanie sułtanem młodego jeszcze i energicznego, jak mówią, Murada, dwojako pojmować można: raz jako samoistne zerwanie się Turcyi na własne nogi, otrząśnięcie się z ubezwładniających ją nieszczęsnych rządów, rozżutnego i niezdolnego już do żadnego samodzielnego czynu Sułtana, i z tego punktu widzenia nie można jak tylko sympatycznie być usposobionym dla tego, co zaszło w pałacu wysokiej Porty; zwłaszcza, że jeżeli to się stało w myśl angielskiej antirosyjskiej polityki, i jeżeli Anglia i dalsze kroki Turcyi na tej nowo obranej drodze energicznie popierać będzie, można mieć nadzieję, że nastąpi znowu pewne zrównoważenie sił politycznych, że już nie wszystko dziać się będzie jedynie pod presyą przemożnego wpływu Prus i Rosyi, że i zachód Europy za przykładem Anglii obudzi się na nowo, i że przecież cośkolwiek przeciwstawionem będzie północno-wschodnim potęgom.

Z drugiej strony jednak nie trzeba i tego spuszczać z oka, że to wielka rewolucya zaszła w Stambule w imię postępowych i liberalnych zasad, jak już sam tytuł nowego sułtana: „z woli narodu“ wskazuje; że to jest nowy tryumf liberalizmu w kraju gdzie jeszcze mało o nim słychać było, i że z tego w przyszłości nic dobrego spodziewać się nie można dla katolickiej ludności, rozsypanej po przestrzeni Turcyi, która w obecnej chwili cieszyła się tam względnie większą niż gdzieindziej wolnością, bo w Turcyi nie było Kulturkampf, a pod sztandarem tych ludzi, którzy teraz przyszli do władzy łatwo i tam do niego przyjść może. Z tego względu więc nie można bez pewnej obawy patrzeć na tę zmianę rządu, jaka zaszła w Turcyi.

Czy teraz wskutek tego z ogólnej sytuacji wojna wyniknąć musi? trzeba by być prorokiem nie dziennikarzem, żeby na to móżdź odpowiedzieć. Faktem jednak jest, że już floty wszystkich prawie mocarstw europejskich krążą po Śródziemnym móżu, że wszystko coraz bardziej jest na stopie wojennej, Rosya zciąga wojska na południe, Serbia i Czarnogóra stoją pod bronią, Grecya stawia armię i coraz głośniej przypomina się Europie. Wobec pozycyi, jaką obecnie zajęła Anglia, która już powiedziała swoje, chodzi teraz tylko o to, jak się zachowa Rosya w najbliższym czasie, jakie rozkazy wyda słowiańskim państwom zostającym pod tureckiem berłem lub zwierzchnictwem co do zachowania się ich względem nowego sułtana.

Nigdy kronikarz miesięcznego pisma nie jest we większym kłopotcie, jak kiedy musi zabierać głos nazajutrz po wielkiem wypadku politycznym, który od razu zmienia całą sytuację; wszystko co zaszło w ciągu ubiegłego miesiąca, błędnie do tego stopnia, iż przestaje być odpowiednim tematem godnym bliższego zastanowienia się w przeglądzie, a nowy horyzont jaki ostatni fakt dziejowy otwierał jeszcze zbyt jest nowy, żeby cośkolwiek naprzód zawyrokować można, nie będąc co najmniej ministrem spraw zagranicznych jakiego wielkiego państwa. Dla tego też kończę mój dzisiejszy przegląd na powyższych kilku uwagach, w przekonaniu, iż najbliższe fakta dni następnych powiedzą więcej jak wszystko coby dziś powiedzieć można. Przy tem pozwalam sobie zwrócić uwagę szan. czytelników na powyżej zamieszczone korespondencje, a szczególnie na list z Rzymu z wielką znajomością tamtejszych stosunków napisany, jak również i na powyższy „Przegląd ekonomiczny“ w którym nasze najdotkliwsze sprawy krajowe wyczerpująco są poruszone.

Ignacy Skrochowski.

Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002007725



II 4501/10/3-4/1876